

KAROL BUNSCH

## WAWELSKIE WZGÓRZE

### POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW ŁOKIETKA

L rudno odgadnąć, która iskra wygasłego ogniska płomień roznieci, lub gdzie się przechowa. Gdy urodzić się miał trzeci syn kujawskiego książątka Kazimierza z trzeciej jego żony Eurozyny, zjechali się zaproszeni goście i uczując oczekiwali rozwiązania. Kiedy wreszcie przyniesiono im wiadomość, że księżna powiła syna, do położnicy udał się małżonek wraz z biesiadnikami. Wszystkim wino i miód szumiały w głowach. Gdy stara piastunka podała ojcowi dziecko tak małe, że za kołyskę służyć mogły mu dwie wielkie dłonie ojcowe, Kazimierz roześmiał się swym grubym głosem i zawołał:

- Królik!

Jeden wielki śmiech powitał noworodka. Księżna za kotarą zarumieniła się z bolesnego wstydu. Odbierając dziecko od piastunki, przytuliła je do łona, szepcząc z czułością:

- Mój mały król!

Tego nie mógł pamiętać chłopczyzna, któremu dano imię Włodzisława. Ale utkwilo mu w pamięci inne wydarzenie: gdy mu już postrzyżono długie, płowe włosy, przyszedł raz do matki zbity i pokrwawiony, ale z ponurą zaciętością, miał łez, w jasnych oczach. Długo nie mogła z niego wydobyć, co mu się przygodziło. Wybuchnął wreszcie:

- Nikto mnie Włodzisławem 'nie zowie, jeno Łokietkiem przezywają na pośmiewisko.

Istotnie niewiele wybiegł ponad tę miarę. Księżna nie dała po sobie poznać, że i ją to dotknęło; powiedziała spokojnie:

- Nie to ważne, jeno żeś się pobić dał.

- Pobić się dałem! - zakrzyknął. - Dwóch było na mnie jednego, a żaden cały nie wyszedł.

- Tedy się nie trap - powiedziała księżna. - Krzywoustego też na pośmiewisko tak nazwali od szpetnej blizny po wrzodzie na twarzy. A dziś każdy ze czcią wymawia to imię, co przezwiskiem było. Człek nie sukno, łokciem go nie mierzyć.

Trzeci syn małego książątka z najmłodszej linii Piastowego rodu długo mógł myśleć, by Krzywoustemu dorównać. Ale myślał. Czasu miał dużo, nauczył się patrzeć i przewidywać. Rósł tymczasem, choć najmniej ciałem. Przewisko "Łokietek" przestano już wymawiać lekko. Myśl jednak, która w nim tkwiła od najmłodszych lat, zrazu powiększała jeno zamęt w kraju.

.Duch w nim mieszkał niespokojny, namiętny i zacięty. Od śmierci, brata I, dziedzica krakowskiej stolicy, z uporem zaczął się o nią dobijać. Zbrojnie zajął Sandomierz, lecz stamtąd daleka leszcze była droga do Krakowa. Zniemczony śląski Probus, odzierzywszy stolicę po Leszku, przekazał ją wielkopolskiemu Przemysławowi, który już posiadał Pomorze i jako najpotężniejszy władca z Piastowego rodu, przy poparciu i pomocy arcybiskupa Jakuba Świnki, sięgnął po koronę i dostał ją, ale Kraków musiał odstąpić Czechom.

. Zdało się, że Łokietek nigdy nie osiągnie celu swych zamierzeń. Już w następnym roku zdradzieccy siepacze brandenburskich margrafów stracili koronę Przemysława wraz z jego głową, a podały ją niemieckie ręce zniemczalemu Waławowi czeskiemu. Darmo opierał się Łokietek, przyzwany przez rycerstwo na wielkopolski stolec. Sięgali po niego i Leszek kujawski i Henryk głogowski. Sił nie stało Włodzisławowi do walki na wszystkie strony. Nawet własnego Sieradza obronić nie zdołał. Na ręce zniemczonego Ślązaka, Jana z Muchowa, zwanego Muską, z łaski Waławowa i pod naciskiem jego wojsk stojących w czasie wyboru przed kapitułą, wybranego krakowskim biskupem, Łokietek zrzekł się praw do Małopolski, złożył hołd z własnej dziedziny i wzięwszy ofiarowanych mu pięć tysięcy grzy-

1 Leszek Czarny. wien i kilku wiernych towarzyszy, uszedł z kraju na tułaczkę. Zdało się, że jego górne zamiary pogrzebane zostały. Nic nie miał do przeciwstawienia najpotężniejszemu z władców tego czasu, poza własną zaciętością. Niemieccy starostowie objęli rządy w kraju, znajdując w niemieckim żywiole gotowe oparcie, obsadzając obcymi wyższe urzędy duchowne i świeckie, gnębiąc prosty lud i pozbawiając wszelkiego znaczenia przerzedzone i zubożałe na skutek tatarskich napadów, rycerstwo rodowe. Polski przypisaniec, pomny jeszcze nieraz wolności, którą utracił za niezawinione długi, uginając się od ciężarów i dziesięcin na rzecz nowych panów, z zawiścią patrzył jak pod bokiem, wolny od nich, osadzony na własnym prawie i roli, tuczy się obcy przybłęda. Dzielnicy księżęta w ustawicznych walkach między sobą wyniszczali kraj do reszty, płacąc za poparcie coraz nowymi przywilejami potężniejszemu i bogacącemu się w oczach mieszczaństwu i szukając wzajem przeciw sobie pomocy u obcych, którym oddawali ojcowiznę, by ją przyjąć jako lenno. Zdało się po nie udanych próbach zjednoczenia podjętych przez śląskich Henryków i wielkopolskiego Przemysława, że kraj zjednoczyć może już tylko obce jarzmo, odwiecznym zaś dziedzicom pozostaje jedynie pochylić pod nie głowę.

## CZEŚĆ I

Ściany okazałego podmiejskiego dworca przeświecały bielą przez gęstwinę krzów, a świeże gonty lśniły jak złote w ukośnych promieniach niskiego już słońca. Przed podcieniem wspartym na drewnianych, okrągłych kolumnach pachółkowie odbierali komia od pana Gerlacha von Kulpen; jednak zamiast wejść do wnętrza, gospodarz przystanął koło furty i spozierał na drogę ku miastu, czekając widocznie na toczącą się w kłębach kurzu kolosę, która zatrzymała się przed domem.

Nie dla wesołej kompanii, by przy kubku i kościach spędzić wieczór u krewniaka, przyjechał sam wójt Albert. Wieści, które przywiózł były spodziewane, ale niepomyślne. Wiadomość o śmierci króla Waławowa chodziła już poprzednio, zmuszając do pilnego baczenia na bieg spraw. Zostawił wprawdzie król dziedzica, ale młodzik to był jeszcze, niedoświadczony, samowolny i rozpustny. Przy zmianie panowania korzyści można wyciągnąć, ale wiedzieć trzeba, na kogo postawić.

Wójt bez wiedzy nieobecnego biskupa Muskaty wszczął układy z Łokietkiem, Gerlach zaś pewny był, że dziewierz jego będzie wolał młodego Wacława przy Polsce utrzymać, by rządzić za niego wedle swej woli. Rozdwojenie między wójtem, a biskupem mogło być przyczyną nieobliczalnych strat, a położenie Gerlacha stawało się niezmiernie drażliwe, zmuszając go do wyboru między nimi. Muskała nigdy by mu nie darował odstępstwa, a zwłaszcza teraz, gdy rozdrażniony był zawieszeniem w urzędzie przez arcybiskupa Jakuba Świnę i rzuconą przez niego klątwą. Jakub wznowił zakończony uprzednio proces i wezwał Muskata do Sandomierza. Muskata śmiał się z tego, ale nieszczerze. Wytrącono mu z ręki oręż duchowy, którym zamierzał uderzyć Łokietka, a wielu ludzi, zwłaszcza duchowieństwo polskiego pochodzenia, zaczynało się od biskupa odsuwać. Trudno, by między nimi znalazł się własny dziewierz. Niejasne też było stanowisko arcybiskupa Jakuba. Wiadomo, że nie cierpi Niemców, a ze szczególną zaciętością ściga Muskata, ale i z Łokietkiem nie przyjaciele. Dość mu niespokojne sieradzkie ksiąŜątko dojadło w czasie swych rządów w Wielkopolsce. Kupić Jakuba nie było moŜna, czym go tedy przekonał Łokietek, że na jego stronę zdał się przechylać? Zgromadzeni u pana Gerlacha rajcy dziwili się i utyskiwali, wpadali w gniew i drwili. KomuŜ to na niemiecką potęgę podnosić rękę, co kostura nawet utrzymać nie moŜe, by wesprzeć nogi, nie chcące juŜ nosić zwiędłego ciała? Ale u źródła rozdraŜnienia mieszczan leŜało przekonanie, że Jakub Świnka po stronie Łokietka to uprawnienie roszczeń księcia i wiara u ludzi, której sam budzić nie mógł.

Tylko wójt krakowski Albert siedział 'milczący, z nieprzeniknioną twarzą, jakby chcąc dać się innym wygadać, by nie przerywali, gdy sam mówić zacznie. W zachowaniu jego i postawie była pobłaŜliwa wyniosłość. Przenikliwe, jasne oczy świeciły dumą, szeroką, suchą dłonią, na której lśnił pierścień wójtowski, gładził krótką szpakowatą brodę. Czasami jakby w zniecierpliwieniu, przygryzał wąs, lecz milczał.

Dopiero, gdy gospodarz zwrócił się wprost do niego z zapytaniem: - A wy panie, jak myślicie? Co nam naleŜy poczynać? - odpowiedział z pewnym lekcewaŜeniem:

- Juści nie pomoŜe babskie gadanie. Łokietek zuchwały jest i uparty; chytrości teŜ .mu nie brak, skoro wydolił dogadać się z tym staruchem, który na nic ii na nikogo zwaŜać nie zwykł, byle dogodzić swej nienawiści ku nam.

- Co tam o takie próchno - wtrącił Tylman Brand, dzierŜawca ŝup olkuskich.

- Raccie nie zapominać - ze sztywną uprzejmością przerwał pan Albert - że choć ręce mu się trzęsą, koronę nimi

9

włoŜy nowemu panu. Korona podwyższy Łokietka, jeŜli spocznie na jego głowie.

- Bez zgody Kurii stać się to nie moŜe, a nawet w koronie Łokiet do pachy wam nie dorośnie.

Wójt pogładził brodę, bo mile polectało go pochlebstwo,

ale odparł:

- Ważniejsze, że przy Krakowie nie utrzymał się żaden pan, któregośmy nie chcieli.

- Tedy o czym radzić? - porywczo rzucił pan Gerlach. - Dobrze nam było z Wenzem, nie będzie gorzej z jego synem. Niech Łokiet próbuje ze swym chłopskim wojskiem siłą nas brać. Zęby na murach połamie.

Rajcy spojrzeli po sobie ze zrozumieniem. Prawda, że było dobrze, a najlepiej panu Gerlachowi, gdy rządy w kraju dzie- wierz jego sprawował, łupił i skarby zbierał, a wszystko to kie- dyś siostrze biskupa, a żonie Gerlacha przypadnie.

Piotr Guis odezwał się z pewnym wahaniem:

- Ale miastu nie wojna zysk, jeno handel. A Łokiet ze swym - jak powiadacie - chłopskim wojskiem zajął już San- domierz, Biecz, Lelów i Pełczyska. Rycerstwo zresztą też za nim stoi i palatyn Amadej z Węgrami. Starczy by miasto oblegał parę miesięcy, o straty nas przyprawi, nim młody pan nad- ciągnie. Bieda, że biskupa 'nie masz. Zdałoby się wiedzieć, co on postanowi.

- Wiadomość mam, że wraca. Ino go patrzeć - odparł pan Gerlach. - I pomiarkować nie trudno, co zamierza. Nie darmo młodemu panu Elżbietę Arpadównę odradził, a naswatał Violę, córkę cieszyńskiego Mieszka, którego dzierżawy z krakowskimi graniczą.

Pan Albert, który znowu nie przerywał wymiany zdań, jeno brodę gładził niecierpliwie, teraz wtrącił:

- Nie wątpić, że ni czcigodny pasterz, ni żaden z nas nie chce Łokiet i nie nad tym nam radzić, jeno jak wyciągnąć ko- rzyści zamiast strat. Wenzel, choć przez cieszyńskie dzierżawy dostęp uzyskał, gdzie indziej odcięty, nie prędko nadciągnąć ~ 10 ~

może. A korzyści trzeba brać od każdego, kto je da. Darmo do miasta nikogo nie puścim.

Gerlach spojrział na wójta podejrzliwie, a Albert widno zro- zumiał spojrzenie, bo dodał:

- Z biskupem jeszcze się naradzimy, bo tak myślę, że ko- rzyściami i on nie gardzi, a strat nie lubi. Jego to, nie nasze majątności Łokiet po swojemu pustoszy, a pod nieobecność pana na nim, nie na nas, ciężar obrony spoczywa, skoro Wenzel woj- ska zabrał na węgierską wojnę. Tedy chyba i biskup na czasie zyskać zechce. Cóż więc stoi na zawadzie z Włodzisławem się układać, a mury umacniać?

, - Jeno, że Łokiet nie dziecko i zwodzić się nie pozwoli.

A łacniej mu zajęte miasto\* utrzymać, niż dobyć.

- Jeszcze w mieście nie siedzi. Łakomie układów się chwy- cił. I jemu dogodniej z wolą naszą wejść do miasta, niż siłą. A tymczasem biskup nadciągnie, a co ważniejsze zima, czas do oblężenia niesposobny.

W rozmowę wpadł wysoki i dźwięczny głos niewieści, ale do- chodzące słowa były grube. Pan Gerlach zaczerwienił się i prze- prosiwszy gości wyszedł. Wrócił po chwili, a na twarzy jego widać było zniecierpliwienie.

Wójt Albert wstał i żegnać się zaczął, a choć Gerlach zatrzymywał go, wymówił się grzecznie. Pomiarkował, że coś zaszło między gospodarzem, a jego żoną, panią Adelajdą, obawiał się zaś, by go nie wmieszała w te sprawy niewiasta nie licząca się z niczym. Panowie radni zabrali się z nim razem, a Gerlach skierował kroki do komnaty żony i zapukał do drzwi, ale zastał je zaparte. Wzruszył ramionami i kazał sobie podać wieczerzę.

Dojrzała, obfita i złota, jak chylący się ku zachodowi pogodny dzień jesienny, spoczywała w cieniu żółknących już drzew dostojna niewiasta. Dostojeństwo przebijało z każdego cała jej postaci. Zgrabne stopy, przybrane w ciżemki z czer-

~ U ~  
wonego safianu, haftowane perłami i złotem, wychylały się spod powłóczystej jedwabnej sukni opinającej kształtne ciało. • Czepiec przybrany klejnotami okalał biało-różową, piękną jeszcze twarz, w której zbytnia pełność zaczynała już zacierać delikatne, regularne rysy. Nie było natomiast w twarzy słodczy pogodnego dnia, lecz kwaśny wyraz znudzenia. Duże błękitne oczy błądziły leniwym spojrzeniem pomiędzy gałęziami drzew, jakby wyszukując skrawków podobnego do nich błękitu błędnącego nieba, lub zapomnianego na drzewie owocu, którego zbiór zapełnił już piwnice. Tylko na końcu sadu rozłożyła jabłoń ugięta jeszcze obciążona krasnym owocem gałęzie, zwieszając je aż ku ciemnej wodzie młynówki, ujętej drewnianą cembrowiną.

Owoce te były dumą zapobiegliwej i dbalej o wystawność pani Adelajdy, siostry wszechpotężnego Jana z Muchowa, krakowskiego biskupa i królewskiego wielkorządcy, a miazonki 'możnego 'rajcy i wielickiego wójta, pana Gerlacha von Kulipen. W dzień Pańskiego Narodzenia owoce zdobić będą stół, ku podziwowi gości, najdostojniejszych, jakich można znaleźć w mieście i kraju. Poza tym stanowią one ulubiony przysmak •pociech pani Adelajdy, jedenastoletniego Henczka i ośmioletniej Gerdy. A nie łatwo czymś dogodzić rozpieszczonym dziatkom-Brak im chyba tylko ptasiego mleka.

Może o tym pomyślała niewiasta, a może cos innego zwróciło jej uwagę, gdyż dźwignęła się leniwie ze sterty jedwabnych i safianowych poduszek, zaścielających szeroką ławę i rozejrzała się, jakby szukając kogoś 'z domowników. Ale nie dostrzegłszy nikogo, wstała i skierowała się ku ulubionemu drzewu. Przyspieszyła kroku, zdumiona i 'zaniepokojona. Choć w powietrzu cisza była taka, że liść nie poruszył się na drzewie, wychylone ku wodzie gałęzie jabłoni gięły się jak pod uderzeniem wichru, a uszu niewiasty doszedł plusk spadającego gęsto do wody owocu.

Gdy, biegnąc prawie, stanęła nad brzegiem 'młynówki, zrozumiała przyczynę. W dole, zanurzony po pas w wodzie stał wyrostek, w czapie na głowie, choć dzień był ciepły. Przywią-

12  
zany na powrózku kamień przerzucił przez gałąź i targał nią co siłą. Kilka innych, już ogołoconych z owocu z ulgą podnosiło

się ku górze.

Czelność łotrzyka aż oddech odjęła niewieście. Wyrostek zauważył ją również, lecz nie zdawał się zmieszany. Z niewielkiej odległości widziała wyraźnie jego duże, jasnoorzechowe oczy, zuchwałe, drwiące i 'złe.

Odzyskała oddech i wysokim, ostrym głosem krzyknęła:

- V'ermaledeyter frac 1.

Rozpalona gniewem patrzyła bezradnie na ciemną powierzchnię wody, upstrzoną czerwonymi plamkami jabłek, które oddalały się szybko. Chłopak kilku krokami przebrnął na drugi brzeg, jak kot wspiał się po cembrowinie i rucił przez ramię:

- Stara, wywłóczona torbo dziadowska!

Puścił się szybko ścieżką w dół młynówki, śmiejąc się głośno, a zjadliwie. Za nim biegły spazmatyczne krzyki niewiasty, wzywającej wszystkich świętych, piorunów z jasnego nieba i nieprzebieranymi już w gniewie słowami klnącej w pień domowników, którzy rozleźli się gdzieś, narażając na zuchwałe bluźnierstwa złodziejaszka jej niemal książęcy majestat. Końmi rozerwać bluźniercę!

Nieprzytomna z gniewu, z przekrzywionym czepcem na głowie pobiegła do domostwa.

Wywabiony głośnymi przekleństwami pan Gerlach wyszedł by ją uśmierzyć, lecz niedopuszczając go do słowa przypadła do męża, nieskładnie a głośno utyskując na niesłuchaną czelność łotrzyka i niedbalstwo służby. Ale małżonek ręką jeno machnął i odparł w roztargnieniu:

- Panów wójta i radnych sprosiłam i są tu. Hamujcie się.

Wolej zarządzcie co trzeba, by ich godnie przyjąć. O waszych strapieniach czas pomówić później.

- Nie czas! - tupnęła gniewnie nogą. - Chyba by prawa ^nie było, gdyby za takową obelgę łotr głową nie zapłacił! przeklęty łobuzie

13

- Wždy nie pobiegnę go chwycić. Ważniejsza mi tu sprawa ^^ odfuknął gniewnie i wrócił do gości.

Niewiasta cofnęła się do sieni, zacinając wargi. Gdzie te lata, gdy Gerlach pieśni dla niej układał, czatował na spojrzenie jej oczu, myśli i życzenia odgadywał? Zbyt pewna była swej urody, by przypuścić, że mu nie o nią, lecz tylko o przemożne poparcie królewskiego wielkorządcy chodziło. Ale jeszcze potrafi się zemścić za jego obojętność, a bez pomocy małżonka ukarać zuchwałego łotrzyka. Zawołała pachółka Trepkę, najbystrzejszego ze służby i, marszcząc ciemną brew, rozkazała już spokojnie:

- Bieź co siły ku młynowi. Jabłek złodziej natrzął i'z wodą puścił, musi je przed młynem wylawiać. Schwytasz go, to ubij na miejscu, biorę to na siebie; nie schwytasz, to przynajmniej dowiedz się, kto zacz, i do mistrza Hermana z Brzega skoczysz na ratusz, by się tu stawił nie mieszkając. Sprawisz się, wynagrodzę, nie, to różgi! Zrozumiałeś? .

- Zaśby nie! - odparł pachółek i już go nie 'było.

n

Sprawca zamieszania, niezbyt się nawet spiesząc dobiegł do leżącego opodal nad wodą żółtego, biało podpalanego psa. Pies warczał i groźnie szczyrzył kły na kilku wyrostków, którzy z drugiego brzegu łakomie patrzyli, jak na rozpiętej na powierzchni siatce gromadziły się napływające jabłka. Złodziejaszek przebrnął młynówkę i wyszedłszy na brzeg ładował zdobycz do sakwy.

- Dałbyś trochę - zawołał któryś z drugiego brzegu.

- Jeszczeby ci się uwidziało, żeś pana wójtowy syn - odkrzyknął, ale widocznie nic nie miał przeciw temu, gdyż rzucił zręcznie owoc:

- Łap, Pietrek!

- A mnie, mnie! - wołali inni.

Rzucił jabłka wywołując chłopców po imieniu, ale ujrzawszy nadbiegającą gromadkę innych, krzyknął:

- Starczy, na drzewie jeszcze ostało, możecie se wziąć. -

I zaczął zawiązywać worek.

- Ty! Marchewka! Nie dasz, to powiem wiertelnikom, żeś kradł. A starczy ci już, i żeś wrócił, choć cię z łaski panów radnych z miasta wyświecili na lat sto i dzień, miast zaraz obiesić - krzyknął najstarszy z gromady, rosły dryblas z twarzą już przyczernioną sypiącym się zarostem.

- Idź do Żydów po "Kozubales" 2 - odparł zagadnięty pogardliwie. - Albo w kości se zagraj, jeno poszukaj głupszych niżes sam, bo znowu sińce miast jabłek kupisz.

\* straż policyjna

2 wymuszona danina

15

Zaczeponego zeżliło niemile przypomnienie. Był scholarzem u Najświętszej Panny, ale mniej się przykładając do nauki, wałęsał się po mieście, wtykając duży nos w każdą dziurę i węsząc gdzie znajdzie się jakaś korzyść. Stąd znał miasto i ludzi, jak własne, puste przeważnie biesagi. Odparł ze złością:

- Do Żydów pójde, jak 'mi się zechce. Słyszysz, Marchewka! Nie dasz, to pożałujesz.

- Pamiętasz, że mnie wyświecili, a zabyłeś, iżem zakazał Marchewką się mianować - odparł wyrostek.

- Będę cię zwał, jak mi się uwidzi.

Nazwany Marchewką łypnął spode łba złym okiem, ale zdał się namyślać. Odsypał jabłek i powiedział:

- Ostawiam na pamiątkę, pójda ci na zdrowie.

Zaśmiał się złośliwie, zarzucił torbę na ramię i gwizdnawszy na psa oddalił się bez pośpiechu krętą ścieżką, wiodącą 'wśród moczarów Rudawy i Niecieczy, i zniknął między kępami krzów. Chłopcy puścili się pędem ku kładce koło młyna zwanego „na Garbarach”, ale kleryk wyprzedził wszystkich i zagarnął do torby kupkę jabłek, nim inni nadbiegli.

- Nam nie dasz, Nosderka?! - zapytał jeden.

- Moje są. Powtórzę wam, com rzekł: idźcie kraść sami.

Milczeli, bo bali się rosnącego draba. Jeno jeden mruknął:

- My nie nawykli kraść, jako ty.

Pożałował zaraz. Uderzenie pięścią zważyło go z nóg, a inni rozipierzchnęli się jak wróble. Zwycięzca z zadowoleniem podrzucił ciężką torbę i ruszył ku miastu. Słońce już zachodziło "i zaraz bramy będą zamykać. Owoce są piękne i drogie. Jutro sprzeda się je na targu i będzie za co w kości zagrać.

Zadowolony wyszedł na gościniec wiodący od Czarnej Wsi ku Szwieckiej bramie, nad którą rozkraczona, przysadzista i kwadratowa rozsiadła się baszta tegoż cechu, bodąc szpiczastym hełmem z ołowianej blachy ciemniejący już błękit nieba. Na murze grały jeszcze zorze zgasłego słońca, w dole, pod" ' kleryk, uczeń szkoły parafialnej

16

murem z kamienia leżał już cień. Zaciągano właśnie strażę i Nosderka tylko co zdążył przed zamknięciem. Przeciskał się wśród ciżby, ciągnącej do swych domostw przed zapadnięciem ciemności; przeskoczył strugę, która sączyła brudną wodę środkiem ulicy ku Rudawie, obejmującej dwoma ramionami całe miasto, i wyszedł na Rynek. U wylotu, przy narożniku ratusza stał tłum gapiów. Widocznie siekają kogoś u pręgierza. Nosderka nie przystanął jak zwykle, by nacieszyć oczy cudzym wstydem i bólem, bo coś mu się niemiłego przypomniało, ale wszedł między kramy, które już zamykano. Przejście przez Krzyż w "Kofkamerze" z dzikiego kamienia założone już było łańcuchami, skręcił przeto na targ ołowiany i koło wielkiej wagi zmieszawszy się z tłumem innych scholarzy zmierział przez "Thyrgasse" 2 ku szkole na "Wendecie" 3.

Trepka migiem był na kładce przy młynie koło zastawy, ale nie zastał nikogo. Rozejrzał się i dostrzegł idącego ku miastu wyrostka. Bez namysłu kopnął się za nim i dopadł przed bramą. Pacholik był zapłakany, i głośno wycierał nos.

- Czemu beczysz? - zagadnął Trepka.

- Bo mnie scholarz pobił - odparł zapytany.

- Każdemu juchy dopieką. Wyświecić by ich z miasta.

A o co poszło?

- Bom mu rzekł, że złodziej.

-. Ukradł co?

- Jabłka. Chciałem, by dał trochę, ale zaraz mnie wyciął.

Wyrostek znowu zaczął pochlipywać, ale Trepka węsząc już ślad przerwał mu:

- Jako że się zwie?

Czuł już parę skojców w kieszeni. Przydadzą się na piwo i dziewczęta. Jeno usłyszał imię Nosderki, pognał jakby go ' przejście przez Sukiennice (Kaufkammer)

2 ul. Zwierzęca, dziś Sienna

8 Mały Rynek

17

Wawelskie wzgórze - 2

giez ukąsił ku bramie, by zdążyć przed zamknięciem i zadywany wpadł na ratusz. W izbie jednak na wyżce, gdzie zazwyczaj siadywał naczelnik straży miejskiej, nie zastał nikogo. Po namyśle Trepka zlecił strażnikowi, by wyszukał magistrą



i kazał mu się stawić u pani Adelajdy, a sam pospieszył po przyrzeczoną nagrodę. Zamiast niej jednak, spotkało go łajanie, a gdy usiłował się sprawiać, małą ale silną rączką niecierpliwej pani Adelajdy po łbie dostał.

Nie wiele brakło, by to samo spotkało poważnego Hermana, który zjawił się wkrótce. Pani nie dopuściła go niemal do słowa, obsypując wyrzutami za niedbalstwo. Podrażniony odparł, że straż za murami do jego ludzi nie należy. Tupnęła nogą: - Słuchać, co mówię. Jeśli łotrzyk dziś jeszcze w dybach nie będzie, pożegnajcie się z urzędem.

Herman milczał, choć zółć się w nim obróciła. Wiedział, że piękna pani Adelajda nie tylko z urody podobna do ulegającego jej wpływowi brata, a nie było w Polsce człowieka, którego by zniszczyć nie potrafił potężny wielkorządca. Pan hutman I zamilkł tedy i przyrzekł sobie, że złość wyładuje na złooczyńcy, który był pośrednim sprawcą jego upokorzenia.

Utrapienie miał ze swymi wychowankami scholastyk Gerward, wikariusz od Najświętszej Panny. Wybryki niesfornej gromady obity się aż o uszy papieża, a niemal nie było dnia by nie zajrzał do szkoły cirkelmajster Fryczko, przełożony nad wiertelnikami grodzkiego kwartału, w którym leżały szkolne zabudowania. Kradzieże, gry, rozpusta, pijaństwo i bójki zdarzały się niemal co dzień, a złośliwe psoty, nie oszczędzające nawet najpoważniejszych obywateli, zdawały się być głównym zajęciem zbieraniny, wąsatych już nieraz młokosów, synów chłopów uwolnionych, łazęgów, drobnego rycerstwa, niższego duchowieństwa i kolonistów. Niby gotowali się do stanu du-', ' naczelnik straży miejskiej

18

chownego, ale najczęściej kończyli jako igrce ordinis yagorum, 'ioculatores, golliardi et buffoni, o ile wcześniej nie trafiło się któremuś, że za cięższe przestępstwo dostał się w ręce mistrza świętej sprawiedliwości i ukarany został gardłem lub ręką, albo wyświecony z miasta. Bezsilne były jednak upomnienia i kary, gdy nie świecił przykład idący z góry.

Nie wywołało też zbyt wielkiego zdziwienia, gdy zjawił się w refektarzu sam hutman z miejskim pachółkiem. Po wie- ' czerzy jedni scholarze .zabierali się do snu, inni przemyślivali, jak wymknąć się przez mur, okalający szkołę. Gdy hutman zapytał o Nosderkę, wskazano mu miejsce w dormitorium, gdzie sypiał. Pod zagłówkiem leżała torba z jabłkami, samego winowajcę trudniej było jednak znaleźć. W końcu wyciągnięto go z jakiegoś zakamarka na podstryszu i mimo oporu .skrepowano mu ręce powrozem, a hutman, ciężką ręką dał mu po gębie, tak, że ją rozkrwawił. Pachółek też nie żałował kości Nosderki, ciągnąc go na ratusz, aż się za nim scholastyk ujął, mówiąc że drobna kradzież raczej jako psota różgą winna być ukarana.

- Psota! - wrzasnął Herman. - To jeno lico, po którym poznać przestępcę. Za to, co popełnił, nie wiem, zali go mistrzowi nie wydadzą, a ile ja mu dołożę, nie zapłaci mi tego, com musiał przez niego wysłuchać.

Zostawił strapionego Gerwarda, który choć kłął i prał swych wychowanków, przecie serce miał do nich, winę na młodość ich składając i zły przykład zewsząd płynący. Także i towarzyszom wydłużyły się twarze i dziwnie szybko cisza zapanowała w gwaronym dotąd budynku. Rózgi, pręgierz i zamknięcie, a tym mniej poszturchiwania nie budziły strachu ni współczucia, ale wydanie mistrzowi, to już co innego. Przemysłiwac zaczęli, jakby pomóc Nosderce: dziś on, jutro kto inny. Bali się jeno wmieszać w nieznaną i brzydką widno ' zakonu włóczęgów, trefnisie, aktorzy i błazny

2 lico - dowód rzeczowy

19

sprawę, choć nie nowiną była bijatyka z miejskimi pachotkami, a i najście na ratusz nie byłoby pierwsze. Snadź większe jakieś moce wchodziły w grę, skoro nawet takiemu jak Herman sadła zalazły za skórę. Lepiej poczekać, aż się sprawa wyjaśni. Zasypiali przygnębieni.

Nosderka sam natomiast, choć zbity i poturbowany, nie był najgorszej myśli. Za to, że wziął trochę kradzionego owocu najwyżej parę różeg mu grozi, jeśli się wskazując sprawcę, zgoła nie wymiga. Na nocleg na twardych deskach, w towarzystwie opilców i włóczęgów był już przygotowany. Tyle że odzież i włosy pełne będą robactwa, ale to nie pierwszozna. Zrzędła mu dopiero mina, gdy zamiast do górnej izby od strony pręgierza, wrzucono go do kabatu i w ratuszowej wieży. Strażnik poświecił łuczycem, gdy Nosderkę zakuwano w dyby i przy mdłym świetle więzień dojrzał, że nie jest sam. Potem światło zgasło, posłyszał dźwięk zakładanej na drzwi żelaznej kłody i zapanowała zupełna ciemność.

- Cóżes dowinił, młodziku, że cię w dyby kują? - odezwał się czyjś głos.

- Wiem to ja? - odparł Nosderka, usiłując bezskutecznie przybrać wygodniejszą postawę, bo dyby ciasno trzymały mu nogi.

- Tym ci gorzej. Jak zaczną pytać, duszę mogą wytrząść z człeka. Jeśliś miętki, to przyznaj od razu czego chcą. Szubienica albo pieniek, to nic. Jakoby okiem mrugnął, ani poczujesz. Ale zaczniesz się raz wyłgłwać, to już trzymaj się tego, jak kleszcz skóry, choćby ci łeb urywali. Pomęczą, ale potem puszczą, najwyżej z miasta wyświecą, jeśli nie najdą dowodów. Młodyś, to się wyliziesz.

Nosderka słuchał struchlały i darmo silił się zrozumieć to, Co zaszło. Na myśl mu przyszły słowa Marchewki, na które poprzednio nie zwrócił uwagi. To on musiał go wsypać, ale kiedy i jak? Nosderkę ogarnęła naprzód wściekłość. Targać się począł w dybach, ale jeno golenie pocierał; potem naszedł go więzienie

20

strach, aż zimna rosa okryła czoło, a w końcu przygnębienie tak wielkie, że szlochać zaczął. Z ciemności odezwał się towarzysz zaspanym głosem:

- Leżże cicho, bo mi spać przeszkadzasz, a nic ci to nie po-

może. Miętkiś, przyznaj się lepiej. Lżejszą będziesz miał śmierć.

m

IM osderka męczył się bezsennie całą noc, i usnął dopiero nad ranem, ale za to tak twardo, że ceklarz ł, który mu dyby rozkuwał, dwa razy kopnąć go musiał, by się obudził:

- Wstawaj, ścierwo! Panowie czekać nie nawykli.

Scholarz zaczął trzeć zaspane oczy, ale kopnięty raz jeszcze, spróbował się zerwać i legł jak długi. Nóg nie czuł wcale.

Usiadł i rozcierał je stękając.

- Rusz się, bo za łeb powlokę. Wrony też czekają na śniadanie.

Nosderce strach włosy z jeżył na głowie. Powstał niezdarnie, bo nogi miał jak z drewna. Po udach kłuło go tysiące szpilek, kości bolały jak połamane, ale ruszył zataczając się ku wyjściu. Na dobitek towarzysz rzucił za nim:

- Pomnij, com ci rzekł. Przyznaj się lepiej od razu. Miętkis.

- My i z twardego wyciśniemy - zaśmiał się pacholek i pchnął scholarza tak, że wyrócił go na kamienne schody. Skomląc jak zbity pies Nosderka powlókł się na górę. Spodziewał się już najgorszego, a poczucie zupełnej bezradności krew mroziło mu w żyłach. Nawet nie wie o co sprawa, bo nie o głupich parę jabłek chyba. A czuł, że przyzna czego chcą, nim go dotkną.

Gdy go jednak przez dębowe, żelaznymi guzami okute drzwi wepchnięto do izby, zaświtał mu cień nadziei. Pod oknem stał scholastyk Gerward i swarzył się o coś z wysokopacholek straży miejskiej

22

kim mężem odzianym w obszywaną po brzegach futrem jakę 1 z ciemnego sukna. Spod fałdów krótkiego płaszczka, spiętego na ramieniu bogatą spinką, wyzierał koniec ozdobnej pochwy noża, zawieszzonego na pasie z kutych klamer.

Gdy Nosderka wszedł, swarzący się umilkli, a bogato przybrany dostojnik odwrócił się ku niemu i utkwiał w nim zimne oczy. Scholarz poznał pana Gerlacha i krew uciekła mu z głowy do serca, które zaczęło łomotać, jakby wyrwać się chciało z piersi. Przytomność wróciła Nosderce, gdy posłyszał głos Gerwarda:

- Moja rzecz karać scholarzy na skórze i włosach.

- A nasza na gardle i ręce - sucho odparł Gerlach. -

Urteil2- Ława wyda, nie wy. Dość długo i cierpliwie znosim nierząd i swawolę waszych scholarzy. Nie wydolicie ich ukrócić, my to uczynimy. Czas dać naukę, że nie wszystko znosić będziem. W biały dzień już kradną i na cześć najdostojniejszych niewiast się porywają.

- W biały dzień dowinienie mniejsze niż w nocy, a owoc ni pół kwartnika nie wart, tedy nie crimen to żadne, choćby z ołtarza skradziono - popędliwie rzucił Gerward. - Nie ma takowego wilkierza 3.

- Ale zniewaga dostojnej niewiasty, by nierządniczy. A nie

ma wilkierza, to się wyda. Ja wam poręczam. Przebrała się miarka.

Nosderka rozumiał po niemiecku, bo choć arcybiskup Jakub surowo przykazał, by nikomu święceń nie dawano, kto nie zna krajowego języka, przecie w szkole więcej po niemiecku, niż po polsku uczono. Ośmielony obecnością i wstawieniem się scholastyka, padł na kolana i zakrzyknął:

- Jabłek nie kradłem, a niewiasty nijakiej, jako żywo, na oczy nie widziałem. Niech mi Bóg tak będzie przy skonaniu. - Uderzył się w piersi.

1 kaftan

2 Urteil - wyrok

s uchwała

23

- Pozwólcie, że go rządnie rozpytam, - odezwał się Gerward i, nie czekając na przyzwolenie, zwrócił się do scholastyka: - Mów, ale krótko i składnie, a prawdę jak na świętej Spowiedzi. Skąd wzięłeś jabłka?

- Marchewka mi dał, bodaj go czarna śmierć!

- Łże! - przerwał pan Gerlach. - Jeszcze innych do kradzieży namawiał.

Ale Gerward nie pozwolił sobie przerwać i pytał dalej:

- Co zasz, ten Marchewka?

- On się po prawdzie inaczej zowie, jeno myśmy go przewiali Marchewka, gdy pół łba miał ryże, a pół zielone, jak trawa. On siebie Wiewiórką mianuje, a jako się zwie po prawdzie, nie wiem; jeno to, że rzezimieszek jest i szkodnik i że go rok temu z miasta wyświecono.

Scholastyk chciał pytać dalej, ale Gerlach przerwał:

- Wraz się okaże, czy wasz scholarz choć słowo prawdy rzekł. Bieżą j po hutmana - zwrócił się do stojącego przy drzwiach draba - niech registum proscriptorum et gravaminum przyniesie.

A zwracając się do Nosderki dodał zimno:

-- Módl się, by się okazało, że prawda, co mówisz. Jeśliś zełgał, to my cię lepiej wyspowiadamy, niż sam Ojciec święty. Oczyma przygniótł Nosderkę do ziemi. Zły był, bo zadzierka z gwałtowną, a bezwzględną panią Adelajdą najmniej była mu na rękę i postanowił, że bez litości dostarczy jej ofiarnego kozła, zajedno kogo.

Nosderka taki czuł się mały wobec gniewu przemożnego pana wójta wielickiego, że byłby się wnet schował w szparę między dylami podłogi. Modlił się tak, że aż pot wytąpił mu na czoło i trząsał się, jak psiak na mrozie. Na szczęście nie czekał długo. Rozległy się ciężkie kroki i wszedł opasły pan hutman, niosąc księgę oprawną w deski obciążone skórą i z hałasem położył ją na dębowym stole.

1 rejestr karny

24

Nosderka patrzył na nią, jakby chciał się jej uchwycić, by wybrnąć z topieli. Ale co będzie, jeśli notariusz pomylił coś, lub wpisać zapomniał? Zaczyna go "spowiadać", a wtedy ko-

niec. Przyzna się do wszystkiego. Skrzywienie stołu, na którym wsparł się pan Gerlach przewracając z szelestem karty pergaminu, przypominało mu skrzywienie szubienicy, gdy wiatr zakołysze wisielcem.

Proskrybowanych anno Domini 1304 było kilkadziesiąt, bo nie brakło w mieście niesfornych żywiołów - i długo trwało zanim pan Gerlach przeszedł wszystkich. Gdy wreszcie dźwignął się znad księgi, stół zaskrzypiał mocniej, a Nosderka w zimnych oczach pana wójta wyczytał zgubę, nim jeszcze usłyszał słowa:

- Łesz! Nijakiego Marchewki, ni Wiewiórki, nie masz w rejestrze.

Nosderce zdało się, że cały rozplywa się w pocie. Jak przez ścianę posłyszał głos scholastyka:

- Pozwólcie panie, że ja poszukam. Łotrzyk iście może broił pod innym imieniem. Pod rząd trzeba czytać.

Nim jednak zaczął, gruby hutman odezwał się.

- Rzekliście panie: Wiewiórka, lub Marchewka? Jakbym go widział, bo łeb mu płonął, jak pochodnie, przy których sam go z miasta wyświecałem. Jeśli dobrze pomnę, zwał się Ostróżka. Teraz Nosderce uczyniło się całkiem słabo i mokro, ale nikt na niego nie zwracał uwagi, bo scholastyk szybko przewracając karty zatrzymał się nad jedną, patrzył na nią przez chwilę. Zaczął czytać:

"In Nomine Domini - Amen! Panowie wójt i ława w dniu świętego Archaniola Rafała, rozpatrzyli sprawę Ostróżki, obwionego o liczne i wielkie crimina et delicta<sup>1</sup>. Zważywszy, że nikt ze świadków nie zaprzysiągł, jakoby pomienionego huncwota na licu<sup>2</sup> przytrzymano, by mieszki rzezał, ' zbrodnie i występki.

' na gorącym uczynku,

25

towary z ław ściągał, drób podbierał i wiele innego zła czynił, o co go głos powszechny oskarża, za co i szubienicy byłoby mało; a z 'drugiej zaś strony, że w całym mieście, 'jak wielkie, niepokój czyni, gdy mienia swego, gdzie się pokaże nikt nie pewny; że nijakiego szacunku dla nikogo, by najdostojniejszego nie ma; że panom wiertelnikom i straży brzydko odkazuje, pracy przysparza, wchodząc i wychodząc do miasta i z miasta jakoby zgoła nie było murów i bram, które panowie gwoli bezpieczeństwa wielkim kosztem i staraniem wystawili; gdy pan starszy rzeźniczego cechu, sławetny Bertold Sonnevlesser słusznie się użala, że rzeczony Ostróżka sturazem jestl szrutami<sup>2</sup> handluje, jakoby cechu zgoła nie było, czeladź do partactwa i nieposłuszeństwa przyucza - panowie wójt i Ława, w trosce by w mieście ich pieczy powierzonym spokój i prawo panowały, z których rzeczony Ostróżka jedno zakłóca," drugie ma za nic - a zaś mając na względzie iż młodociany jest, żywot mu grzeszny, który za łaską Pana naszego Jesu Krista poprawić jeszcze może, darowali, a pod prągiem go na rynku wystawić i różgami siec postanowili; a zasię potem obwiozłszy winowajcę na ośle, w miech zaszytego wraz

z jego psem, kto ren choć zwierzę ibezrozumne do nierządu pomaga, przy pochodniach z miasta na lat sto i dzień wyświecić: A gdyby powrócić się ważył, lub choćby koło miasta bliżej niż w mili się pokazał, ma być 'schwytyany i oddany mistrzowi świętej sprawiedliwości, by na gardle karany był.

W miarę jak scholastyk czytał, duch wracał w Nosderkę, a przygnębienie zmieniało się we wściekłość i chęć zemsty nad sprawcą swej poniewierki. Teraz nie wątpił, że Marchewka, po to jeno jabłka mu zostawił, by go wkopać. Gdyby Nosderka mógł wiedzieć, że zuchwalec małżonkę pana wójta, a siostrę samego biskupa ciężko znieważył, byłby go zaraz był schwytał.

' Stóhrer - szkodnik

2 szruty - kawalki

26

Tym pewniejszą wydawała się mu umyślna złośliwość przebiegłego łotrzyka, że Nosderka sam mu był coś winien. On to na czele gromady scholarzy najbardziej dogryzał winowajcy, gdy go postawiono pod pręgierzem, a potem obrzucał łajnem i błotem, gdy związanego w miech obwożono po rynku. Upačkany był, żeby go rodzona mać nie poznała. Nic nie mówił, ale patrzył tak, że trudno zapomnieć. I on widocznie chciał zapamiętać sprawców swego wstydu i hańby. Niech pamięta! Teraz skoro tamten ma przeciw sobie samego pana Gerlacha, Nosderka poczuł się górą.

Toteż gdy scholastyk skończył czytać, Nosderka zakrzyknął:

- Widzicie, panie, jako niewinnie byłem sponiewierany.

Ale jemu odpłacę. Skoro wrócił, ani chybi, znowu po mieście grasować pocznie. Już ja go schwytam, choć śliski jak węgorz.

- Jeszcze nie wiemy, czyś jego powrotu nie zmyślił - odparł wójt ze złością.

Wolałby dostarczyć małżonce ofiarę, niż niepewną obietnicę uchwycenia jej w przyszłości.

- Prowadzić go do pani Adelajdy! - zwrócił się do pachołka. - Niech sama rozezna, czy to nie ten przechera ją znieważył.

Nosderka jednak odzyskał już pewność siebie. Tęższy był od Marchewki i czarny, pomylić ich trudno. Uzuchwalił się tak, że powiedział głośno:

- Sam pójdę. Jenó pachołek niech mnie nie szturka, bo oddam z nawiązką.

Za godzinę istotnie wracał, wesoło gwizdząc. W garści duży złoty florena, którego dostał od pani Adeajdy, wkupiwszy się w jej łaski pomstowaniem na Marchewkę i przysięgą, że znajdzie go choćby pod ziemią, a schwyta choćby w kościele. Serce, niedawno obwisłe ze strachu, pęczniało chęcią zemsty i nadzieją przyrzeczonej nagrody: dziesięć sztuk złota! Nawet Judasz tyle nie dostał za Chrystusa Pana. Nosderka marzył, jak używać będzie, ale powściągnął te myśli. Do du-

chownego stanu nie czuł powołania, trzeba chwytać sposobność. Przy poparciu dostojnych osób może skrybą zostać albo handlem się zając i otrzymane złoto wielokrotnie pomnożyć. Kości bolały go jeszcze, ale po wczorajszym noclegu znużony, mimo podniecenia, usnął szybko, jeno śniło mu się, że spoczywa na worku złota. Worek twardy był i Nosderka kręcił się niespokojnie.

iv

Na szczycie kamiennej wieży biskupiego zamku w Lipowcu, jesienny wicher zdał się potrząsać potężnymi blakami; wył i skomlał w strzelnicach niższych pięter, niosąc chwilami bryzgi nadchodzącej nawałnicy.

Zapadał mrok. Jedno po drugim zapalały się żółte światelka okien obszernego budynku, zwróconych ku śląskiemu brzegowi i niedalekiej przeprawie na Wiśle, której strzegł zamek. Położony na zachodnim krańcu pasma wzgórz okrytych podmokłym, nieprzebytym borem, z gradami w Tyńcu i Piekarach na krańcu wschodnim, stanowił ostatnią bramę polskiego królestwa od południa, której klucze dzierżył w ręce Muskata.

Twarda to była ręka. Umiała wyciskać krew i złoto, przyginać do ziemi najtęjsze karki. Gdzie ręka była za krótka, sięgał zimny i jasny rozum, wyćwiczony na wzorach Zachodu i Południa, w Bolonii, Rzymie i Pradze. Znał myśli zmarłych mędrców i żywych ludzi. Szanował pierwszych, cenił drugich tylko, o ile byli potężni, a potrzebni dla jego szerokich i zuchwałych zamierzeń. Jeden miał tylko cieplejszy zakątek w sercu: dla siostry, pani Adelajdy i dla jej dzieci.

Znał dobrze 'tę jedyną słabość swego dziewierza pan Gerlach von Kulpen i może dlatego wołał oczekiwać na jego powrót u niego w Lipowcu, zanim się pamiętliwa małżonka bratu uskarży. Sam dumny i wyniosły w poczuciu swych bogactw i znaczenia, małym się czuł wobec krakowskiego biskupa, a obecnie rzeczywistego samowładcy przeważnej części Polski. Zachodziła zresztą konieczność jak najrychlejszego za-

~ 29 ~

wiadomienia Muskaty o tym .co stało się w kraju podczas jego nieobecności. Zuchwały Łokiet stał już z wojskami w krakowskiej dzielnicy, a sandomierską miał w ręku. Układał się z wójtem Albertem o wydanie miasta, skłonny słono za uległość zapłacić, a jednocześnie zajął zamki biskupie: Lelów od północy, Pełczyska od wschodu i Biecz od południa. Zmusił sandomierskie rycerstwo, by stanęło pod jego znakami; krakowskie, niezadowolone z twardego rządów czeskich, również garnać się do niego zaczynało. Książę rósł w siłę, jeszcze nie ważąc się zawierzyć jej tylko, ale już ją okazując. Czas było wiedzieć, czego się trzymać.

Dlatego pan Gerlach stał długo wraz z burgrabią Peską na szczycie wieży w wichurze, docierającej przez kozuchy do skóry, wypatrując powrotu biskupa, póki na jaśniejszej od mroczniejących brzegów płaszczyźnie podmokłych łąk roze-

znać można było drogę od przeprawy. Ale nikt nie ukazywał się na niej.

- Pójdźmy do komnat - przekrzykując wycie wichury zawołał burgrabia. - Miłościwy pasterz zatrzymać się musiał po drodze na nocleg. Zresztą niczego nie wystoim. Kiedy przyjedzie, wtedy będzie.

Zwrócił się do zapadnich drzwi i zniknął w ciemnym wnętrzu wieży.

Pan Gerlach stał jeszcze. Niecierpliwy był i niespokojny.

Wreszcie ruszył za burgrabią. Omackiem szedł po drewnianych schodach ku światłu przezierającemu przez boczne drzwi. Gdy je otworzył, ukazała się długa sień, na której końcu jaśniała rześcicie oświetlona komnata, skąd dochodził zmieszany gwar licznych głosów.

Z Gerlachem bowiem, nie bacząc na trud podróży po rozmokłych drogach poza samym wójtem zjechało, co było możniejszego w mieście. Rajcy: Jaśko, wójt sądowy ł, Henryk, sołtyś Kocierza, Tylman Brand, dzierżawca żup solnych, z zastępcą wójta Alberta, Petrem Guisem na czele, ławnicy Isin-

' przewodniczący sądu ławniczego

30  
bold i Paweł z Brzegu, Petzold i Jakub, sołtysi z Koźnowa, Suderman z Pisar, oraz stary Witko, dawny żupnik krakowski i wójt sandomierski: były wójt, bo uchodzić musiał wraz z resztą opornego mieszczaństwa, gdy Włodzisław gród i miasto opanował.

Witka los-był przestrogą dla krakowskich patrycjuszów, że i z Krakowa uchodzić trzeba będzie, jeśli siłą zostanie zajęty.

A z drugiej strony przed oczyma mieszczan opływających w dostatki i bogactwa, których żal było porzucić, stawały korzyści, jakie miasto uzyskać może, jeśli z dobrej woli wpuści uroszczyciela. Żądania postawione Łokietkowi przez wójta Alberta były zuchwałe, a prawie nie trafiły na sprzeciw.

"  
Wielką rozterkę przeciąć mógł jedynie Muskata. W jego ręku była siła w kraju i nici spraw za granicami. Dlatego rajcy nie czekali w Krakowie na powrót biskupa, byle prędzej pozbyć się ciężących wątpliwości. Przyjazd zapowiedziano na dzisiaj, ale oto kończył się krótki dzień listopadowy, a Muskały nie było. Gdy wszedł pan Gerlach, podniecony gwar umilkł, a Witko zapytał:

- Nie patrzyć nam dzisiaj pana biskupa?

- Widno nie przyjedzie - odparł pan Gerlach. - Pora nie-sposobna do podróży i drogi rozmokłe.

Usiadł u góry stołu na krześle z wysokim oparciem, zdobnym herbem Gozdawa, używanym przez Muskatę: dziewięcioma modrymi liliami na błękitnym polu. Mieszczańskiego pochodzenia, biskup nie miał prawa do rycerskiego znaku, ale sam go sobie nadał. Miał co i czym ozłocić.

Czeskie i niemieckie załogi w jego barwach stały w wielu zamkach, które bądź sam otrzymał za oddane usługi, jako Pławięc na Spiszu, bądź przetarzył za majątek kapituły, rozrządzając nim jak własnym. Kamienicę oddał za Biecz, kanonik z pre-



bendą za Kęty, potrzebne mu, by ze Śląskiem łączność utrzymać. W samej ziemi krakowskiej, za przywilejem Wacława obwarował Kielce, Hebdów, Tarczek, Iłżę i Sławków, prócz Pełczysk i Lelowa, zagarniętych teraz przez zuchwałego Włodzisława. Ani chybi, Biskup zechce je odebrać.

"f.- !

~ 31 ~

- Pobrane zamki Włodzisław sam zwróci, jeszcze za szkody dopłaci - odezwał się Witko, który najgoręcej gardłował, by z Łokietkiem wojny nie wszczynać, a drażniło to i odbierało pewność siebie innym, pragnącym spokojnie sprawę rozważyć. Dlatego Jaśko zachnął się i rzucił:

- Myślicie, że i wam odda sandomierskie wójtostwo? Już je sprzedał.

- Albo myślicie, że Kraków to Sandomierz? - dodał Suderman.

- Myślę, że nam za jedno, kto siedzi na grodzie w Krakowie, byle spokój był. Nie nasza rzecz wojna, jeno handel - gniewnie odparł Witko.

- A w Sandomierzu myśleliście inaczej - zadrwił Jaśko.

- Czas miałem przemyśleć po drodze do Krakowa - odciął się Witko.

- Trzeba było przemyśleć w swoim Sandomierzu. Tam widno dla was wszystko zaczyna się i kończy.

- I Kraków taki mój, jak i wasz. A straciłem już dość.

Istotnie Witko miał w Krakowie kamienice, place i ławy. Życ mógł jeszcze dostatnio, ale jeno jeśli Łokietek układem wejdzie do Krakowa. Gdy go weźmie siłą, z biesagami trzeba Witkowi wracać, skąd przyszedł. Nie ciągnęła go dawna ojczyzna. Bezrząd tam był i bieda. Tu zyskał znaczenie, majątek, nawet sławę: wielkie położył zasługi w obronie Sandomierza w czasie ostatniego najazdu Tatarów. I stary już jest, nie czas mu zaczynać od nowa. Drobniejszemu mieszczaństwu także wojna, nawet wygrana, nie obiecywała korzyści. Zgarną je najmożniejsi. Dlatego lepszy pokój, choćby pod takim panem jak Włodzisław, który wiadomo - Niemców nie lubi. I dlatego Witko, mimo że do Rady ni Ławy ni należał, przyjechał do biskupa. Zły był, gdy mu odczuć dano, że jego zdanie wagi nie ma.

- Myślałby kto, że pan biskup jeno naszego dobra strzegł będzie, bo patrzycie w niego, jak sroka w kość - mówił.

- Nasze dobro i jego, to jedno - odezwał się pan Gerlach. - A siłę ma on. t1

~ 32 ~ W

- Waszo, zapewne! Juści, swojackiego strzegł będzie.

- Tedy po coście przyjechali? Nie prosił was nikt •- szorstko odparł Gerlach.

- Byście wy za wszystkich nie mówili, skoro swego, jeno pilnujecie.

Patrzyli na siebie rozognionymi już oczyma, gotowi do kłótni.

Petzold wtrącił pojednawczo:

- Jak większość postanowi, tak będzie. Ale nie zaprzeczy-

cie, że pan biskup nie siłę jeno ma, ale i rozum. Jeśli uzna, że nie pora, wojny wszczynął nie będzie. I ma on więcej, niż my do przegrania. Dlatego radzie jego zaufać można.

-• Może. Jeno, że go .nie ma, a czas nie czeka - burknął Witko, cokolwiek się miarkując.

Jakby w odpowiedzi na te wątpliwości zaszczekały psy i strażnik w róg uderzył na bramie. Poderwali się wszyscy, żądni w swej niecierpliwości bieć naprzeciw, ale Gerlach ich wstrzymał:

- Pan biskup z podróży, na pewno przebrać się i odetchnąć zechce. Sam go powitam.

Gdy Gerlach wyszedł, Witko mruknął:

- Albo rozmówić się z dziewierzem w cztery oczy. .

Inni pomyśleli to samo, ale nie odezwał się żaden, nasłuchując, aż w krążganku rozległy się liczne stapania, a ponad zgłębki wybijał się niski, szorstki głos biskupa i jego rubaszny śmiech.

- Wesoło pan biskup wrócili. Nic dziwnego, z wesela - odezwał się Witko.

- Chwalić Pana Krista - zauważył. Suderman. - Wieści muszą być dobre.

- Dla niego - mruknął Witko, ale tak cicho, że nie dosłyszeli, gwar zresztą się uczynił, bo wszedł Muskata, a za nim Gerlach i kilku dworzan i rycerstwa. Muskata trzymał się przy drzwiach obrzuciwszy bystrym wzrokiem zgromadzonych i ruszył ku swemu stolcowi, po drodze rękę zdobną biskupim pierścieniem niedbale podając do pocałowania.

33

Wawelskie wzgórze - 3

Jedyna to była zresztą oznaka duchownej godności, ubrany był bowiem w świeckie szaty; suknia z barwnej tkaniny, zakrywająca kolana, obszyta była cienkim, złotym szlakiem, ciżmy miał wysokie, sznurowane, z czerwonej skóry, z wywiniętymi nosami. Pożłociste ostrogi wskazywały, że podróżował wierzchem, nie bacząc na swój szósty krzyżyk, ni jesienną zawieruchę, a łosiowy kaftan bez rękawów świadczył, że jeno co zbroję zrzucił. Drogi nie były całkiem bezpieczne, zwłaszcza gdy znowu niepokój wszczął się w kraju, a Łokietek nie zwykł przebierać w środkach. Muskata wolał być ostrożny, nieufny, tym bardziej, że i on nie zwykł był w środkach przebierać.

Bystry rozum, bogate doświadczenie i potężna siła, widoczna - z całej postaci, wielkie bogactwa i władza, dawały mu poczucie pewności siebie do granicy lekceważenia przeciwnika, której przekroczyć nie pozwalał jedynie zimny rozsądek, przypominający, że niepozorny, a czasem i nieprzezorny Włodzisław, jeszcze się mniejszym uczynić potrafi niż jest, a swego nie poniecha. W tej zaciętości była siła księcia, ale i słabość, na którą liczył Muskata.

Usiadł i zawołał o wieczerzę, którą zaraz podano. Jedli w milczeniu, dość niesporo, bo myśl zajęta była sprawami. Jeno biskup, nie zapominając i o kielichu, pożywiał się z ochotą, widocznie zgłodniały po podróży. Cisza panowała, tylko psy pod

stołem warczały, pryskał wosk w świecach i wicher wył na dworze.

Muskata skończył szybko, wierzchem dłoni otarł usta i nagle roześmiał się drwiąco:

- Jako na stypie siedzicie. Dobrego stracha wam ten chłystek napędził!

Odetchnęli. Biskup widocznie niezbyt się obawia Łokietka, skoro tak lekko o nim mówi. Pewni już niemal byli, że młody Waław z niemieckimi i czeskimi wojskami lada dzień nadciągnie i zwolni ich od konieczności wyboru. I on dawne przywileje musi miastu zatwierdzić, a nowe nadać za wierność. Tak zawsze bywało. Za wierność należy się nagroda, a woleli brać od swo-

34

r

jego. Witko, bardziej od innych przepłoszony, ale i więcej majacy do zyskania, zapytał:

- Prędko młody pan tu będzie?

- Dobrze, jeśli ku latu. Nie brak mu spraw gdzie indziej \- 'lekkie, ale z odcieniem złośliwości odparł Muskata.

Po chwili osłupiałego milczenia, Isibold zakrzyknął:

- Jak to? Wždy Łokiet czekał nie będzie. Jeśli cofniemy warunki, cośmy je sami postawili, wraz pomiarkuje, że gra nie-szczera.

- Zima idzie - odparł biskup - wojny teraz nie zacznie.

A jeszcze ja mu swoich warunków nie postawiłem.. Obaczym, czy przyjmie.

- Nie przyjmie, to wojna będzie. Już go krakowskie i sandomierskie rycerstwo panem uznało, możnowładców też przeciągnął na swoją stronę. I z niższego duchowieństwa wielu z nim trzyma, a bodaj i miejskiej gołoty, co nam zazdrości dostatków i znaczenia - dodał Peter.

- Z tym by się można nie liczyć - powiedział pan Brand.-

Gorzej, że arcybiskup pono się ku księciu nakłania.

- Żywię jeszcze ten stary grzyb? - zapytał drwiąco Muskata. - Jego zjednać nie sztuka. Kto nam, a mnie pierwszemu nienawiść okazuje, ten mu przyjaciel. Zapomniał już, co Łokiet potrafi, gdy się na wierzchu poczuje. Szczęściem, że to stare próchno, jeno patrzeć jak się rozleci.

Muskata uśmiechnął się lekceważąco, ale zeżlić go musiała wzmianka o arcybiskupie, bo kopnął pod stołem psa, który mu się nawinał pod nogę.

Przed innymi udawał, że lekce sobie waży sędziwego metropolite, spod którego władzy usiłował się wyłamać, ale zbyt był doświadczony, by go lekceważyć naprawdę. Nazywał go grzybem, który nogą można rozdeptać, ale wiedział, że kamień to raczej, o który przewrócić się łatwo. Twardy, mądry, niepodatny ni na strach, ni na złoto, on jeden zdawał sobie dokładnie sprawę, że zalewowi niemczyzny czas już ostatni kres położyć, jeśli Polacy nie mają stać się niewolnikami we własnym kraju.

A szczególna zawziętość, z jaką ten schorzały starzec ścigał Mu-

35

skatę mimo jego potęgi, i znaczenia wskazywała, że wie,

kto tu przewodzi pochodowi niemczyzny. Wiadomość zaś o pojednaniu się z Włodzisławem świadczyła, że gotów wybaczyć własne urazy i krzywdy, a celu swego życia ze starych oczu nie spuści.

Muskała był zuchwały i pewny siebie, ale ta starcza zaciętość niepokoiła go' wewnątrz. Wiadomość o zawartym sojuszu niepomyślna była: arcybiskup dla swych zamierzeń zyskiwał sprzymierzeńca chytrego, mężnego i bezwzględne, Łokiet zaś dla swoich '- powagę i zaufanie. Ten sojusz trzeba rozbić. •

Biskup jednak nie ufał zbytnio i mieszczaństwu. Niechętni Łokietkowi, ale mimo że pewni siebie za murami, muszą siłę czuć za sobą. Dlatego rozmyślnie udawał, że przeciwników ma za nic. Ale wiedział, że choć sam twardy do zgryzienia w swych zamkach, obsadzonych czeskimi i niemieckimi załogami, zniechęconymi przez prosty lud za zdzierstwa i nadużycia, nie utrzyma się długo, a nie ma czym w polu zniszczyć mężnego i ruchliwego księcia. Pozostaje drugi sposób: zawrzeć z Łokietkiem ugodę, przez co poróżni go z arcybiskupem. Jeny czy książę będzie chciał mówić jeszcze z wiarołomcą? A jeśli ugoda ma być korzystna, zawrzeć ją musi łącznie z mieszczanami. Nieobecność wójta Alberta była mu podejrzana, trzeba się z nim spotkać jak najprędzej. Dlatego wstając rzekł:

- Uczujcie wasze czeście, póki wola. Ale jam z drogi, a jutro do Krakowa mi jechać.

Ręką skinął na pożegnanie i zwrócił się ku drzwiom, gdy przez wycie wichury zabrzmiał róg i psy znowu zaszczekały przy bramie.

Muskata wstrzymał się i marszcząc strzępiaste brwi mrknął do siebie:

- Ki bies o tej porze?

Na odpowiedź nie czekał długo. Wpadł pacholek ze straży i oznajmił:

- Poseł księcia Włodzisława domaga się widzieć z waszą miłością.

36

Muskała uśmiechnął się z zadowoleniem. Jeśli Łokiet nie waha się wszczynać układów z wyklętym, niezbyt szczery musi być jego sojusz z Jakubem Świnką. Zwracając się do obecnych powiedział:

- Zabawcie miłego gościa. Ale o sprawach gadać z nim będziemy po społu w Krakowie.

Sieradz był po bracie Leszku rdzenną ojcowizną księcia Włodzisława. Tu w widłach rzecznych Warty i Żeligny pobudował on nowy zamek, w którym wytrzymał czeskie oblężenie w czasie walk o tron z Waclawem. Stąd uchodzić musiał na tułaczkę, kończąc pierwszy okres swego panowania, a obecnie znowu siedział w Sieradzu, albowiem zeszyli się tu nici wielu ważnych spraw.

Czekał na przybycie małżonki, księżny Jadwigi wraz, z synkiem Stefanem i córeczkami Kingą i Elżbietą. Zdana na wierność mieszczanina Gerkona, w mieszczańskim przebraniu ukry-

wała się w niedalekim Radziejowie, latami wyczekując na nie-  
pewny powrót męża. Po powrocie widzieli się tylko przelotem.  
Młodszej córki Włodzisław jeszcze nie znał. Przyszła na świat  
przed kilkoma dniami dopiero.

Ciągnęło go serce, ale siedzieć musiał w Sieradzu, bo tu za-  
powiedział swe przybycie arcybiskup Jakub Świnka. Do niego,  
do Gniezna Łokietek jechać nie mógł, wielkopolskie bowiem  
i kaliskie rycerstwo pamiętne niesławnych pierwszych rządów  
Łokietka, po śmierci Wacława obrało panem Henryka Głogow-  
skiego. Metropolita zgodził się jechać na rozmowę do księcia,  
nie bacząc na sędziwy wiek i jesienną porę. Tym bardziej na-  
leżało cześć mu wyrządzić, by usposobić przychylnie arcybi-  
skupa, skoro dość miał powodów, by nie być przychylnym.  
Dlatego też księżę porzucił rozpoczęte szczęśliwie działania  
wojenne i układy wszczęte z wójtem Albertem za pośrednictwem  
Zdzisława, proboszcza od św. Floriana i wyjechał jak mógł naj-  
dalej naprzeciw arcybiskupa, pozostawiając prowadzenie spraw

~ 38 ~  
krakowskich wierności, męstwu i rozumowi swego najzaufań-  
szego - Jaśka Leliwy z Melsztyna.

Niecierpliwie oczekiwał przybycia doradcy, choć życie na-  
uczyło go już cierpliwości. Wieść o wyniku układów zdałoby się  
mieć przed przyjazdem metropolity i brakło mu Jaśka jak ręki.  
Zaczynał się niepokoić, czy w burzliwym wojennym czasie nie  
spotkała go jaka przygoda. Myślą wylatywał naprzeciw niego,  
jakby chciał przeniknąć jesienną mgłę.

Natomiast złote jesiennie słońce kładło jeszcze swe skośne  
promienie na wodach Pilicy, niecąc oślepiające blaski. Na wy-  
niosłym brzeżku nad drogą do Przedboiza ktoś leżał i zdał się  
spać, a może tylko wygrzewał się, korzystając z resztek ciepła,  
nim chłodny powiew wieczorny pociągnie od rzeki. Odziany  
w przykrótkie parciane portki i wytarty kozuch bez rękawów,  
stopy miał bose; nagie ramiona, które skrzyżował przed sobą  
opierając na nich twarz, potężne były a gładkie i białe, jak ko-  
nary brzoźowego drzewa. Gdy leżał, zdał się być mężem i to nie  
byle jakim. Gdy ukląkł jednak, by ponad krze spojrzeć na za-  
kręt drogi, od której doszły go jakieś odgłosy, poznać w nim  
można było wyrostka. Dokoła czerwonych pełnych ust na białej  
twarzy dopiero wysypywać się zaczynał pierwszy puch, jaśniej-  
szy jeszcze niż jasna i lśniąca czupryna, która kędziorami opa-  
dała na potężne barki i szare, duże oczy o dziecinnym wyrazie.  
Odgarnął włosy z czoła i patrzył bystro z niecierpliwością i za-  
ciekawieniem, szeroką dłonią osłaniając oczy od blasku. •

Orszak, który się ukazał, był dość liczny, w blaskach słońca  
skrzyły się zbroje i broń. O kilkanaście kroków wyprzedzało  
oddział troje jezdnych. Jeden w sile wieku, poważny, ze szpa-  
kowatą, krótką brodą, drugi - młodzian lat dwudziestu kilku,  
pięknej twarzy, postawny i rosły. Między nimi jechała dziew-  
czyna.

Wyrostek widocznie czekał na orszak, gdyż zsunął się po  
urwistym stoku i stanął na kraju, niewidoczny dla nadjeżdża-

jących za zaskokiem urwiska. Stał, jakby cisnął i rozświetlonymi oczyma zawisł na twarzy dziewczyny. Ciemne oczy miała splakane, a w obliczu widoczny smutek, że chłopcu coś serce ścisnęło jak ręką. Zapatrzył się tak, że nie zauważył, iż młody wójak spozierając pogardliwie napiera na niego już koniem. Z zachwyty zbudziło wyrostka dopiero, gdy rycerz nagle zeskoczył na ziemię i chwytając go za rękę krzyknął:

- Skąd masz ten pierścień?!

' Na palcu prawej dłoni chłopca, na której czerniały ślady skrzepłej krwi, błyszczał złoty sygnet z wyrytym znakiem gwiazdy nad półksiężycem.

Zarumieniona pod spojrzeniem wyrostka dziewczyna przybladła. Rzuciła okiem na sygnet i krzyknęła. Z oczu jej zniknął smutek, a zjawilo się wzburzenie. Chłopak stał nie rozumiejąc widocznie, czego chcą od niego, niezdolny oderwać od dziewczyny wzroku, ale gasł w nich wyraz zachwyty. Zamrugął powiekami, jakby 'się budził ze smu, nie zdołał jednak słowa powiedzieć, gdy trzymający go za rękę rycerz krzyknął na ludzi:

- Brać go!

Dwie pary silnych rąk chwyciły wyrostka za ramiona. Nie stawiał oporu i coś się zbierał mówić, gdy młody rycerz w twarz go uderzył i krzyknął:

- Gdzie kasztelan?

Uderzenie jakby przeobraziło twarz chłopca. Wskoczyły na niej mięśnie zaciśniętych szczęk jak sęki, wargi zwięzły się, ukazując wilczej białości zęby, jasne oczy zaszyły krwią. Zniechęta szarpnął się potężnie w tył, rzuciwszy jednocześnie ramionami, tak że trzymający go, którzy nie spodziewali się oporu, wyrznięli wzajem łbami o siebie, aż oddało i puścili trzymanego. Rycerz nie zdążył się zastawić przed ciosem pięści; spadła na jego twarz jak piorun z pogodnego nieba. Zatonął i upadł zamroczony tuż pod kopyta podjezdka dziewczyny. Krzyknęli wszyscy, zeskakując z koni i rzucili się ku wyrostkowi, ale on nie czekał. Jednym susem był nad brzegiem rzeki, chlupnął w nią jak wydra, że niezbyt nawet woda bryzgnęła i tyle go widzieli.

40

Popędzili jedni w górę, drudzy w dół rzeki, szukając brodu, inni podnieśli leżącego i przemywali mu twarz krwawiącą obficie z ust i nosa. Starszy mąż zsiadł z konia i zwrócił się do dziewczyny:

- Zaczekamy Hanno, aż ocucą Jędrzeja i ludzie dojdą do sprawy.

Podał jej dłoń i dorzucił:

- Źle się stało, pono przez Jędrzeja Cedrowica nagłość, ale ty się już nie smuć, dziewczyno. Rodzic twój ani chybi żywie, a ten młodzik od niego musiał być posłany.

Ciemne oczy spojrzwały na mówiącego z wdzięcznością, ale w głosie była jeszcze wątpliwość, gdy dziewczyna zapytała:

- A ta krew na rękę?

- Juści, że Jaśka spotkać musiała przygoda. Najważniej-

sze, że nie zjedli go wilcy. A mówiłem, że o ciepłej porze nie napadną zbrojnego męża. Co inszego konia. Tego pożrą i w lecie, ale na człeka się nie rzuca, póki im luty wicher pustego brzucha do grzbietu nie przymrozi.

- Aleście, stryku, sami mówili, że zbóje oćca napaść mogli. Ten wyrostek od nich mógł być wysłany.

Rycerz zadumał się jakoś i powiedział jak do siebie:

- Nie patrzył on na zbója. Kogoś mi przypominał...

Urwał i rzekł trzeźwo:

- Jeśli i od zbójów, tedy mu Jaśko powiedzieć musiał, gdzie nas szukać. A jakoże mógłby powiedzieć, gdyby nie żył?

- Prawda! - zakrzyknęła. - Ale raniony pewnikiem.

- Nie pierwszyczna mu - lekko odparł rycerz. - Wygoi się do twego wesela. Pójdźmy-no do Jędrzeja. Nie mogę rzec, bym pochwalał, że spłoszył tego wyrostka. Znowu szukać trzeba na domysł. Ale zawdy zmówiony z tobą i za rodzica twego się ujmując szwank odniósł.

Dziewczyna zmarszczyła czarne brwi, ale już Jędrzej sam nadchodził, usiłując spuchnięte wargi rozciągnąć w uśmiechu.

- Z nagła mnie wyciął, aż mnie zamroczyło. Ale ja go jeszcze dostanę i pasy zeń darł będę.

-•v/ 41 /^

Zły wyraz oczu przeczył uśmiechowi, który zresztą zniknął wnet, gdy starszy rycerz z pewnym zniecierpliwieniem i niechęcią powiedział:

- Każcie go jeno czterem trzymać, bo dwóch widno za mało.

Jędrzej zacerwienił się, ale znów usiłował wywołać na usta lekceważący uśmiech:

- Sam starcze' na dwóch takich. I pies człeka skaleczyć może, gdy niespodzianie naskoczy.

- Wiem, że wam nie brak siły ni męstwa - odparł Spytek, jakby chcąc załagodzić dotkniętą chępliwość rycerza. - Pono rozsądku jeno ninie wam brakło. Nawet do psa czy konia nieznanego podchodzić należy ostrożnie. Niewielkiście szwank ponieśli. Ale żeby nie wasza porywczność, wiedzielibyśmy już, gdzie brat mój, a tak szukać musimy. Czas drogi, księżę pilnie czeka na wieści.

Jędrzej Cedrowic Gryfita zły był. Nie dość, że wstyd łyknął wraz z własną krwią, ale jeszcze spotyka go przygana wobec zmówionej z nim dziewczyny. Odparł szorstko:

- Nie trzeba było kasztelanowi łowów, skoro tak pilno.

Pomiarkował jednak do kogo mówi, a może i chciał zawołanie swe podnieść przed dziewczyną, bo dodał:

- Jedźcie tedy naprzód, a ja wrócę szukać, choćby sam.

Bądźcie pewni, że kasztelana najdę, a zbója dostanę.

Na myśl o wyrostku, który go pohańbił, byłby zgrzytał zętoami, gdyby nie to, że chwiały się trochę i zdało mu się, że ma ich w gębie do zbytu.

- Nie dajcie mu jechać - szepnęła dziewczyna do stryja.

Spytek odparł:

- Jeśli Jaśka zbóje pojмали, co nie jest pewne, bo mogli

i dobrzy ludzie w przygodzie poratować, kupą szukać trzeba. Córka pierwsza rodzica obaczyć ma prawo. Tedy my wrócim, a wy do księcia jedźcie, uwiadomić go, co zaszło.

- Jak chcecie - odparł Jędrzej z pozorną obojętnością. -  
A zbój - nie zbój, tego wyrostka dostanę choćby spod ziemi.

~ 42 ~

Skłonił się przesadnie, podszedł do swego konia i każąc dwom zbrojnym jechać za sobą ruszył z kopyta na północ, jakby uciekał, lub złość, chciał wyrzucić na koniu.

Pozostali ruszyli w przeciwną stronę, a Spytek z Hanną znowu wysunęli się na czoło, jadąc dłuższy czas wyciągniętym klusem w milczeniu. Zapadał wieczór, ale księżyc, choć w lisiej czapie, oświetlał drogę. Dopiero gdy konie dymić zaczęły w chłodnym powietrzu, a droga weszła w bagniste zagajniki, zwolnili, oczekując, aż dociągnie reszta orszaku. Hanna przysunęła się do Spytka i odezwała się niespodzianie:

- Nie wyjdę za Jędrzeja Cedrowica.

Spytek nie od razu odpowiedział. Z młodych lat znał kobiety aż za dobrze. Nie wątpił ani przez chwilę, że postanowienie dziewczyny ma związek z ostatnim wydarzeniem; by wybadać przyczynę powiedział po chwili:

- Jędrzeja słowo nie wiatr, za swoje zapłaci.

Kątem oka spojrzał z bliska w twarz dziewczyny, słabo widoczną w świetle zachodzącego oparami księżyca i zauważył w niej niepokój. Odparła jednak pogardliwie:

- Jakiście sami rzekli, odpłaci, gdy mu inni pomogą.

- Tak rzekłem, bo mnie zeżłiło, że przez niego zwłoka będzie. Ale da sobie rady sam. Rycerz to mocarny i ćwiczony jak rzadko, a zbójów przez ten zamęt zbyt się namnożyło. Trzeba ich tępić.

- Wasze to słowa, że nie patrzył na zbója ten młodzik - rzuciła z przekonaniem.

- Jeny pewności żadnej nie mam. Dowiemy się, daj Boże, wkrótce. Tylko pomnij, dziewczyno, że sam księżę Włodzisław ten związek swatał, by przez nas Gryfitów pozyskać. Wiele oni znaczą na Pomorzu, a oparcia wszędzie szukać trzeba. Jaśko się zgodził i tyś przyzwoliła. Jeśli się to teraz zerwie bez powodu, miast swojactwa - wróżda powstanie.

- Nie bez powodu... - zaczęła i urwała, a Spytek nie dopytywał, jeno rzekł:

- Miarkuj się, Hanno, bez rodzica niczego postanowić nie można.

~ 43 ~

Ujęła Spytka za rękę i rzekła przymilnie:

- Was, stryku, proszę: wstawcie się za mną. Żeby do klasztoru iść miała, nie pójdę za Jędrzeja - dorzuciła namiętnie. - Was i księżę lubi i poważa ibrat, coście mu ojca zastąpili - pochlebiła.

- Bogać tam zastąpiłem - odparł ze smutnym uśmiechem. - Ale ciebie rozumiem... Może lepiej niż myślisz.

Choć mroczno było, zauważył, że dziewczyna zarumieniła się i westchnęła.



Jriasztelana Jaśka poniosła namiętność do łowów. Sam, z dwoma psami jeno, które wpadły na trop jakiegoś grubego zwierza, ruszył z postoju, spodziewając się, że wróci wkrótce i dogna swój orszak. W pościgu jednak zapomniał o wszystkim i pomykał za gonem, ile pozwalał podszyty, a miejscami bagnisty las. Jeden z psów ustał, skaleczony, ale drugi szedł wytrwale, na oko głosząc zwierza. W końcu kasztelan dostrzegł sunącego między krzami niedźwiedzia, a gdy bagno zastąpiło mu drogę, przeciął ją i dopadł misia, na którym wieszal się pies, przeszkadzając mu uchodzić. Jaśko zeskoczył z zapadającego po brzuch konia i porzuciwszy go samopas, darł się z oszczepem, by skłuć zwierza. Nim go dopadł, rozległ się skowyt psa, którego niedźwiedź wziął pod siebie. Nie czekając tedy, by dziadek stanął mu na łapy, Jaśko pchnął całym zamachem, mierząc pod lewą łopatkę. Pośliznął się jednak, chybił komory i oszczep na kości rozsypał się w drzazgi, a kasztelan zachwiał się. Sięgnął do noża, ale nim go dobył, jakby rozpalonym żelazem przejechało go coś po łbie, a potem ciężar ogromny zwałił się na niego, wyduszając dech z piersi.

Gdy otworzył oczy, ujrzał nad sobą twarz chłopięcą. Usiadł o własnej sile i zapytał?

- Co się stało?

W tej chwili przypomniał sobie przygodę. Rana zapiekła go ogniem, a krew przesiąknawszy włosy zaczynała skapywać na twarz i oczy, ślepiąc go. Rozbity się poczuł i wciąż jeszcze nie mógł zaczerpnąć pędnego oddechu. Posłyszał dźwięczny i młody głos:

~ 45 ~

- Połóżcie się. Ranę wam przemyję, jeno opatrzyć nie ma czym, a do dom szmat drogi.

Kasztelan posłuchał i legł, przymykając oczy. W uszach mu szumiało, zęby cierpły, ale przytomny był zupełnie. Z troską myślał, że córka niepokoić się będzie, a księżę gniewać o zwłokę. Zadumanie przerwał wyrostek. Przyniósł wody we własnym kożuchu i przemył ranę. Kasztelan orzeźwiał i spojrzal na niego. Chłopak nagi był do pasa, bo giezła nie miał pod kożuchem, białe jak ludzie, którzy w leśnym cieniu się chowają. Bezwłosa jeszcze pierś szeroka była, potężnie sklepiona i pod cienką, gładką skórą przy każdym ruchu grały pasma i węzły mięśni.

- Gdzie miś? - teraz dopiero zapytał Jaśko.

- Wždy leży koło was. Ciężka jucha, zem go ledwo z was ściągnąć wydolił.

Kasztelan obejrzał się. Ciemny kształt zwierza wyłaniał się z traw, jak olbrzymie mrowisko, z którego sterczało drzewce oszczepu.

- Tyś go skłuł? - zapytał kasztelan z podziwem.

Jasne było, że nikt inny. Chłopak zaśmiał się jeno:

- Skłuć to łatwo, ale się jucha na was zwałił, aż jękło. Myślałem, że wam zgoła gnaty połomił i bałem się, że zadusi. Dobrzem'się musiał zaprzec, by go ściągnąć prędko. Takem się wysilił, aż mi się jeść zachciało.

Kasztelan mimo woli uśmiechnął się, choć nie do śmiechu mu było. Zarazem przypomniał sobie, że nie jadł od rana, a zapadał już wczesny zmierzch. Z niepokojem myślał, że trzeba będzie iść przez leśne bezdroża, bo konia nigdzie widać nie było. Żeby nie chłopak, szczeznąć by mu przyszło, choćby go i niedźwiedź nie dobił. Zapytał:

- Do dom daleko?

- Nie nadto. Będzie mil ze dwie, albo trzy, ja tam nie liczę.

Wydolicie już iść?

- Co robić! - powiedział Jaśko wstając. - Zjeść by się zdało i ranę opatrzyć.

Ruszyli, ale kasztelan liczył każdy krok, który odzywał mu

~ 45 ^

się bólem w tężejącej ranie. Nie doliczył i stu, gdy stanął, mówiąc:

- Nie mogę. Zanocować trzeba. Żeby choć ognia naniecić.

Noce już zimne są.

Szczękał zębami, a nogi uginały się pod nim. Mrok zapadał i przenikliwa mgła wstawała z bagien i moczarów, wilgotnym chłodem przenikając do kości. Wyrostek przystanął, ręką przejechał po jasnej czuprynie w strapieniu i odparł:

- Mam krzesiwo i hubę. Ale trzeba was opatrzyć i pod dachem położyć, bo gorętna przyjdzie. A będę was niósł, to na północ zaleziemy.

- Udźwigniesz to aby? Ciężki jestem.

- Udźwignę. Ino że nim wrócę, niedźwiedzi kozuch zepsują mi wilcy, bo to sama ich na bagnach dziedzina, a mój się już sterał. Łysy i dopiąć się nie chce. Skurczył się jakoś, a zima idzie.

- O kozuch się nie trap. Nie taki masz u mnie, z flamandzkiego sukna, kunami podbity. Jeszczem ci też i nie dziękował za zratowanie. Mało za to kozucha. Konia z rzędem też dostaniesz i zbroję. A dognasz moich, co do Sieradza ciągną, grzywien srebra trzydzieści dołożę, bo pilno muszę tam być. Sam księżę czeka na mnie. Masz tu pierścień, okażesz go i powiesz jak było. I ja, i moi do śmierci nie zapomnimy, coś uczynił.

Nie będziesz na niewdzięczność narzekał.

- Pacholek powrócił?

Głos odezwał się z ciemnego kąta, w którym na barłogu, ledwo widoczny w niepewnym blasku ognia, płonącego na kamiennym palenisku, leżał kasztelan Jaśko, z głową owiniętą szmatami. Chata, a raczej buda, sklecona z nadpalonych desek i tramów, widocznie szczątków dawnego pogorzelska, pełna była dymu, od którego łzawiło jedyne oko siedzącego przy palenisku człowieka. Odwrócił twarz, pokrytą wielkimi, choć widocznie starymi bliznami i odpowiedział.

s

•^ 47 ^

- Jeśli dognał waszych, nim Przedbórz minęli 'lino co ich patrzeć.

- Czy aby wydażył - powiedział ranny z powątpiewaniem. - Niedźwiedź zwłóczył mnie dzień cały, nim go do-

padłem... albo raczej on mnie.

Zaśmiał się gorzko.

- Przecie szukać was musieli, a chłopak zna tu wszystkie przejścia na parę dni drogi w koło. Od czasu jak dojrzał, nic jeno się włóczy. Ani go utrzymać, jako psa za ciecзки.

- Żeby się on nie włóczył, nie byłby mnie zratował. A i me dziwno, że młodzikowi cni się w takim pustkowiu.

- Anibyśmy zreć co mieli - odezwał się ostry głos kobiecy.

Stara, sucha, jakby w dymie uwędzona niewiasta wstała ze sterty łachmanów, na której siedziała nieruchomo i podszedłszy do rannego rzekła:

- Opatrzeć was trzeba, by się rana nie zaogniła.

- Ostawcie. Przyschnie jako i inne przyschły.

- Co innego od żelaza, co innego od zwierzęcych kłów i pazurów.

Ranny poddał się niechętnie zabiegowi, sykając z bólu, gdy zrywała przyschnięte szmaty. Po przemyciu rany letnią wodą westchnął z ulgą i zapytał:

- Wasz to dworzec i ziemia?

- Psia buda, nie dworzec i błoto, nie ziemia -- odmruknęła niechętnie.

Ale Jaśko nie dał za wygraną. Nie mógł się połapać kim był chłopak, który go wydarł śmierci w niedźwiedzich łapach i co go wiąże z dwojgiem tych ludzi. Ni chłopci to, ni rycerze, ni zbóje. Zapytał tedy wprost:

- Jakiegoście rodu?

- My' was nie pytamy, coście wy za jedni -- odparła opryskliwie.

Ranny zmarszczył się gniewnie, ale się pohamował i powiedział spokojnie:

~ 48 ~

- Ja nie mam co ukrywać. Jestem Jaśko Leliwa z Melszty-na. A jeśli o wyrostka pytam, to nie z ciekawości,, jeno wywdzięczyć się chciałbym za to, co dla mnie uczynił. Czas jest wojenny, chłop z niego na schwał. Księciu bym go zalecił i na pana wyjść może.

Kasztelan w zadymionym półmroku nie zauważył, że gdy wymienił swe imię, oboje starzy drgnęli i spojrzeli znacząco po sobie. Niewiasta odparła sucho:

- Bóg zapłać za chęci, ale przy nas ostanie, bo nie wyrobim na siebie. On kaleka, ja stara, pomoc nam nie ma kto.

W osadzie dwa dymy jeno i-ani jednego ogona. <

Ale kasztelan spostrzegł, że się wymigują i podnieciło to jedynie jego upór i ciekawość.

- Dworzec wam odbuduję i ludzi osadzę. A nie przystoi chłopaka za robieńca trzymać, skoro się do lepszego nadał.

- Z chłopów on, nic mu do szukania między panami - burknęła z widoczną już złością.

Pomiarkował, że skłamała, drażniła go opryskliwość, ale domyślał się, że nie jest to bez powodu, jeno silił się odgadnąć. Powiedział spokojnie:

- Zgorą pół wojska u księcia milites de cmethonibusl, niejeden ziemię rycerskim prawem osłodzie. Z wami zresztą jak wasza wola, narzucać się z wdzięcznością nie będę, skoro nią gardzicie. Ale chłopca sam zapytam, gdy wróci, czy pójdzie ze mną. Nie będziecie go tu więzili - dodał ostrzej.

Zapanowało nieprzyjazne milczenie. Ciszę przerwał tylko trzask ognia i pryskanie waru z zawieszzonego nad nim sagana. Stara wstała i napełniwszy misę polewką, przystąpiła z nią do kasztelana, mówiąc:

- Pożywcie się.

- Darmo brać nie zwykłem. Przyjmiecie zapłatę, wezmę, nie, to choćby z głodu zdechnę.

- Daliście chłopcu pierścień, starczy na polewkę, choćby ' rycerze z chłopów

Wawelskie wzgórze - 4 49

na rok. Uchował się pięknie bez złota i srebra... - Urwała dodając:

- Nie wszystko można zapłacić. <

W tej chwili drzwi skrzypaneły i cicho jak cień wsunął się do izby wyrostek. Patrzyli na niego zaskoczeni, czekając, by się odezwał, ale usiadł przy ognisku w milczeniu z twarzą ponurą, wpatrzony w ogień. Nie trudno było się domyślić, iż coś złego mu się przygodziło. Ciszę przerwał Jaśko:

-Mów-że! Dognałeś ich?

Chłopak pasował się ze sobą. Nagle wyrzucił z wściekłością:

- Dognałem. Pojmali mnie i zbili.

Zacisnął pięści i zęby, a oczy mgłą mu zasłyły. Stara przystąpiła do niego i kładąc kościstą dłoń na jasnych włosach, słowa kierując widocznie do kasztelana, powiedziała:

- Masz ci odwdziękę. A nie mówiłam, byś nie chodził! Nic nam do tego, czy komu pilno, czy nie.

Jaśko milczał, zaskoczony. Po chwili zapytał:

- Sygnet im okazałeś i powiedziałeś jak było?

- Miałem to kiedy?!. Jenó go zobaczyli, wraz mnie schwyta-  
tali, a ten... w twarz mnie wyciął.

- Nie do wiary! Ale kto by to był, będziesz miał swoją pomstę. Jenó dziwne, że brat mój do tego dopuścił.

Chłopak zaśmiał się pół-szlochem:

- Pomstę sobie sam wzięłem, bom jakem mu oddał, to się pod konia pokocił.

- Kto taki?

- A wiem ci to? Miody) na karym koniu jechał, koło...

Urwał, bo nie chciał mówić o dziewczynie. Nawet wspomnienie chciał wyrzucić, bo mu tylko łyzy gniewu i żalu wyciskało z oczu. Nie ujęła się za nim, choć jej ojca zratował! Za tę krzywdę, pomsty nie znajdzie, ani o niej nie powie nikomu.

- Jędrzej Cedrowic - mruknął kasztelan do siebie.

Zasumował się. Jędrzej pyszny jest, nie daruje zniewagi.

Nijak brać chłopca z sobą, by go na pomstę nie narazić i nijak ukarać przyszłego zięcia. A słowo się rzekło. Albo chłopcu nie dotrzyma, albo zerwać by trzeba związek, na wyraźne życzenie

księcia zadzierzgnięty i potrzebny dla sprawy. W obolałej głowie Jaśko poczuł zamęt. Położył się na barłogu i żuł gorzkie myśli, aż zasnął znużony.

Zbudził go ziąb. Przez szpary w strzesze przeświecało szarejące niebo. Izba wolna była od dymu/bo już i palenisko wystygło; nie było w niej nikogo.

Kasztelan czekał przez chwilę, czy ktoś nie wróci, ale gdy nikt nie nadchodził, wyszedł na obejście. Białe słońce już się ukazało, spędzając mgłę i przygniatając ją ku ziemi, z białego tumanu zaczynały się wynurzać czuby lasu, jak wyspy i krze na jeziorze. Jaśko huknął raz i drugi, ale nie odezwał mu się Mkt, a głos wsiąknął w mgłę.

- Przede mną uszli - mruknął.

Nie czas było jednak rozmyślać o tym, jeno jak dostać się najprędzej do księcia. Choć słaby się czuł i w głowie mu kołowało, ruszył ku osadzie. Koni nie mają, ale może chłop jaki za dobrym wynagrodzeniem zgodzi się odprowadzić go do gościńca, a tam już łatwo sobie poradzić.

Za dobrym wynagrodzeniem! Kasztelana ogarniał gniew, wstyd i żal - przyrzekł chłopcu nagrodę. Było za co! A tak się spełniło słowo Jaśka Leliwy! Cóż jednak był winien? Rozdrażnienie i złość zwróciły się także przeciw chłopcu. Czemu uciekł, udaremniając kasztelanowi bodaj wręczenie przyrzeczonej nagrody? Ubogi był widocznie, całe mienie mogła ona stanowić dla niego. Wietrzył jednak Jaśko w tym wszystkim jakąś tajemnicę, która niepokoiła go. I to dziwne zachowanie się starej! Jaśko oglądał się za kawałkiem kija na kostur, bo nogom jeszcze niezbyt ufał, a chciał porzucić jak najprędzej niemiłe miejsce. Nim jednak uszedł kilkanaście kroków, na stoku rozległy się głosy ludzkie i szczekanie psa. Z lasu, który dochodził do stóp wzgórza, wyłoniło się kilku konnych i kasztelan pierwszym rzutem oka poznał swoich. Oni poznali go również, bo pognali konie i za chwilę Jaśko ścisnął córę, a zaginiony pies obskakiwał go, skomląc z radości.

- Żeby nie on - odezwał się Spytek, wskazując na psa - nie łącno byśmy cię naszli. Rannyś widzę. Powiadaj, coc się ~ 51 ~

przygodziło. Jużeśnfty cię za straconego mieli, bo konia naszliśmy zarżniętego przez wilki. Gdyby nie on wyrostek, już -byśmy i nie szukali.

- Czas będzie gwarzyć po drodze, zmitrężyliśmy dość. Pomóżcie mi konia dosiąść, bo słabym jeszcze i - jazda!

- A ten młodzik gdzie? - Spytek rozglądał się, jakby oos przypominał sobie lub poznawał, ale Jaśko odparł opryskliwie:

- Jużeście za mnie podziękowali, że mi życie zratował. Możem jechać.

- Życie zratował! - szepnęła Hanna.

Ruszyli i zanurzyli się w las dziki, podszyty, gdzie trudno było jechać obok siebie. Może dlatego nikt nie wszczynał róż-\*mowy, choć było o czym gadać.

## VII

Liczne i ważne były przyczyny zaciętości sędziwego metro-

polity Jakuba Świnki przeciw Janowi z Muchowa. Jakub znał krakowskiego biskupa, gdy jeszcze jako wrocławski kanonik, wyjechał na studia do Bolonii. Wrócił z imieniem Muskały, tytułem magistra artium i doktora dekretów, zasobny w wiedzę i nawiązane stosunki. Zaraz po powrocie postąpił na łęczycki archidiakonat i w sporze Probusa z arcybiskupem Jakubem i biskupem Tomaszem, przełożeni wybrali go swym prokuratorem i wysłali do Rzymu.

Muskata umiał z tego wyciągnąć korzyści. Papież Marcin IV, który darzył arcybiskupa przyjaźnią jeszcze z lat wspólnych studiów w Bolonii, mile przyjął jego wysłańca, a chytry Ślązak umiał się tak zakreślić, że powierzono mu zbieranie z Polski świętopietrza. Otworzyło mu to źródło zysków i znaczenia, bo jako mandatariusz papieski miał prawo nakładać kościelne cenzury na wyższych od siebie w hierarchii dostojników. Skorzystał z tego zaraz, bo z pieniędzy wręczonych mu ad captandam benevolentiam wpływowych kardynałów w sprawie przeciw Probusowi nie wyliczył się, sprawy nie załatwił, a po powrocie, gdy go Jakub ciągać począł o dokumenty i rachunki, stanął po stronie Probusa. Arcybiskup skargę założył przeciw niemu przed nowym papieżem Mikołajem IV, ale Muskata wyrósł już żtak, że Jakub nic nie wskórał.

Siedział tedy Muskata we Wrocławiu, ale bystro rozglądał się dokoła, komu z wielkich tego świata może być potrzebny i oko jego padło na Waclawa. Podejrzewano Muskate, że to on ostrzegwał czeskiego króla, iż biskup krakowski, Prokop, który

~ 53 ~

wysłał kanonika do Pragi w sprawie przywileju na sól wielicką skrycie sprzyja Łokietkowi. W każdym razie miast niego, Muskata otrzymał dziesięcinę z Wieliczki, a Prokopa wezwano do Pragi, by się uprawiedliwił. Muskata świadczył na dokumencie, w którym Prokop uroczyście odrzekł się Łokietka, a za pana Krakowa i Sandomierza uznał Waclawa. Nie przebierający w środkach, przebiegły i śmiały, nadał się Waclawowi w jego planach stworzenia trój koronowego królestwa Przemyślidów. Toteż w tym jeszcze roku, gdy otworzyła się krakowska stolica biskupia, poparty wojskiem Waclawa, pieniędzmi i bezprawiem, zasiadł na niej Muskata, obejmując zarazem stanowisko królewskiego wielkorządcy.

Teraz zaczął się rządzić i urządzić, jak udzielny książę we własnym kraju, księciem też zwany przez Waclawa. Kruszec wydobywał z Hży, Tarczkach, Sławkowie i Kielcach, zamki warował, osadzając w nich czeskie i niemieckie załogi, a usuwając krajowe rycerstwo i tępiąc krwawo opór. Jego zgody zasięgać trzeba było na koronację Przemysława. Gdy zaś Przemysław padł z ręki skrytobójczych margrabiów brandenburskich i zdradzieckich Nałęczów, Muskata walnie się przyczynił do pokonania znowu dobijającego się do tronu Łokietka i wymógł na nim zrzeczenie się wszelkich praw do Krakowa i Sandomierza oraz obietnicę złożenia hołdu Waclawowi ze wszystkich innych ziem swoich. Droga do koronacji zniemczonego Czecha na polskiego króla stanęła otworem i sędziwy arcybiskup, zrażony do roz-

pustnego, chciwego i jak się zdało lekkomyślnego Łokietka, ze zgrzyzotą w sercu włożył piastowską koronę na głowę Waclawa I. Wpływ i znaczenie Muskaty doszły do szczytu. Zdobywcy drugiej korony Waclaw powierzył zdobycie trzeciej. Muskała został wicekanclerzem osieroconego po śmierci Andrzeja królestwa węgierskiego, z zadaniem wprowadzenia na węgierski tron młodocianego syna Waclawowego".

Tu jednak powinęła się Muskacie noga. Papież Bonifacy VIII poparł roszczenia do węgierskiej korony sycylijskich Andegawów 1300 w Gnieźnie.

54

wenów i wezwał Muskate, by do trzech miesięcy stawił się w Rzymie i usprawiedliwił, dlaczego to "prałaci kościołów sieją zamęt wśród narodów, wzniecają wojny, sieją zgorszenie i dostarczają mu żeru". Mniejsza z tym, że pogardliwie wyraził się o Muskacie „czcigodny brat nasz, biskup krakowski, jeśli godzi się zwać go czcigodnym". Gorzej, że na Węgrzech, z poparciem papieskim, zjawił się znowu Łokietek, który ani myślał za mięką soczewicy sprzedawać pierworodztwa, a pięć tysięcy grzywien wziął jedynie po to, by bez pieniędzy nie jawić się w Kurii. Muskata poznał, że trafił na przeciwnika, który nie zawaha się używać jego własnych sposobów, by cel osiągnąć, i po raz pierwszy musiał od powziętych zamierzeń odstąpić.

Gdy cofnął się raz, odwrót nie dał się zatrzymać. Za popieranie Karola Roberta na Węgrzech Łokietek uzyskał wzajem jego poparcie wraz z papieskim dla swych roszczeń w Polsce. Wtedy to Jakub, darmo dotychczas rozglądający się za kimś, kto mógłby pochod niemieckim zatrzymać, wytoczył Muskacie proces o symonię, wdarcie się bezprawne na stolicę, rozpustę, zabójstwa i zbywanie dóbr kościelnych. Wprawdzie pod naciskiem Waclawa musiał przyjąć uniewinniający wyrok, ale nie dał za wygraną, ani nie zapomniał. Skoro tylko z węgierską pomocą Łokietek zajął Sandomierz, zawzięty starzec wszczął kroki przeciw biskupowi, obłożył go klątwą i zawiesił w urzędzie. Na dobitkę umarł Waclaw. Nim 'młody dziedzic z Niemcami i Czechami wojskami nadciągnie, cały ciężar obrony spoczął na Muskacie. Nie brakło mu obrotowości, śmiałości, ni siły, ale było o czym myśleć.

Miał o czym myśleć i Łokietek, ale i on myśleć już się nauczył. Najbliższą przeszkodę widział w Muskacie, który uczynił się przywódcą Niemców, idących butnie ze zdobyczami nie swojej kultury, dla siebie usiłując zachować jej korzyści, a darząc pogardą tych, co jej nie mieli.

Łokietek w romańskiej swej pielgrzymce podpatrzył źródło tej kultury, a na bezwzględność czuł się zdolny odpowiedzieć. Pojmał biskupa i byłby potrafił wymóc na nim wszystko, lecz zwolnić Muskate kazał wróg jego, arcybiskup. Puścić go kazał

\

~ 55 ~

pod klątwą, mimo że sam uważał go za zakałę Kościoła. Musiał jeno biskup złożyć przysięgę wierności Łokietkowi i zobowiązać się wydać Kraków. Książę z góry wiedział, że biskup niczego

nie dotrzyma, ale rozkazu posłuchał. Nie z obawy klątwy. Świnka powagę miał u prostego ludu, drobnego rycerstwa i polskiego duchowieństwa, ugruntowaną dziesiątkami lat władzy metropolitalnej Ł, jedynej jaka trwała w zamęcie, kłębiącym się w podartym na strzępy państwie Piastowym, w którym kto chciał szukał zysków, zdobyczy, beneficjów i korzyści. Arcybiskup korzyści nie szukał, ale i nie znalazł, nie potrafił obronić, ale bronił. Jego siłą była prawda, którą umiał w oczy wyrębać każdemu. Łokietek wiedział, że tę siłę musi mieć po swojej stronie, jeśli ma osiągnąć wytknięty cel.

Nigdy serce nie zdrzało księciu w bitwie, nie tracił pewności siebie, nawet gdy jako wygnaniec stawał przed najmożniejszymi tego świata, ale teraz z niepokojem oczekiwał spotkania z metropolitą, którego pokornie prosił, by na wiek swój i zły stan zdrowia nie zważając, do Sieradza zjechał i razem do Sandomierza pociągnął. Obecność arcybiskupa przy księciu była braskiem korony i budziła zaufanie, jakiego sam Łokietek budzić nie mógł.

Czy wzbudzi je w doświadczonego i surowego starca, tak jak potrafił je zachować u małżonki swej, księżny Jadwigi, przeciw której też niemałe były jego grzechy? Księżna pisała w tej sprawie do Jakuba, który zawsze cześć dla niej żywił za jej stałość w nieszczęściu i dalekie od słabości poddanie się woli Bożej. W swej odpowiedzi arcybiskup wprost zaznaczył, że przybywa na jej prośbę.

Dolegała Włodzisławowi szczególnie w tej chwili, nieobecność Jaśka Leliwy. Jego niczym nie zachwiana wiara w księcia, przez którą związał się z nim na dobry i na zły los, dodawała zawsze Włodzisławowi pewności siebie. Nie było to ślepe przywiązanie wojaka do wodza. Rozumny i surowy Jaśko widział słabości swego pana, a mimo to wierzył w niego; toteż przywie-

' Od 30.VII.1283.

56

ziona przez Cedrowica wiadomość, że kasztelan żywy, jeno spotkała go jakaś przygoda, podniosła księcia na duchu.

Nim Jaśko wrócił, nadciągnął metropolita. Nie zjechał do Predykantów na starym zamku, lecz zatrzymał się u fary, choć biednie tam było. Kościółek, pochodzeniem początków chrześcijaństwa sięgający, w ciągu ostatniego pół wieku dwukrotnie ograbiony przez Tatarów, trzeci raz przez Czechów, świecił pustkami. Budynki dopiero zaczynały się dźwigać, nieobszere i bez wygod. Nie dbał o to pasterz, bo i orszak miał tak szczupły, że niejedynemu plebanowi okazywał się podróżować, a predykantów nie lubił. Nawet zaproszenia na południowy posiłek nie przyjął, mówiąc, że nie chce objadać braci, którzy sami o zebranych chlebie żyją. Zgryźliwy był, bo wiadomo, że reguła św. Dominika dawno już na pergaminie jeno została, a zakon, który za Iwona ] przybył do Polski z kilku jeno księgami w węzełkach, obrósł w tłuszcz i pierze, jak przepiórka na zimę i jeżeli zebrał, to nie na chleb codzienny. Domyślali się zresztą, że nie tylko to przyczyną niezyczliwości arcybiskupa, jeno że konwent, prawie wyłącznie z Niemców złożony, stosunki utrzymywał z macierzy-



stym konwentem krakowskim, który cieszył się szczególnymi  
względami Muskaty.

>

Włodzisław pomiarkował, że i do niego metropolicie nie pil-  
no, skoro odmówiwszy dominikanom przyjęcia gościny, na nowy  
zamek nie zajechał. Wolał nie pytać, jeno sam o szarym świetle  
udał się z nielicznym orszakiem do fary na nabożeństwo.

Choć światła dopiero zapalono, przy żółtym blasku świec do-  
strzegł już arcybiskupa, siedzącego przed klęcznikiem w prezbi-  
terium. Nie widział go od lat, a pożegnał już starcem. Patrzył  
teraz na niego z ciekawością i pewnym niepokojem. Przymknię-  
te oczy Jakuba zapadły głęboko, bezzębne usta znaczyły się  
jeno czarną, prostą linią pod wydatnym, suchym nosem, jak  
orli dziób sterującym groźnie z twarzy poranej brudami.

Lepszych na marach widywał. Gdy jednak książe podszedł do  
stall, pasterz otworzył oczy. Żywe były i błyszczące. Patrzył  
1 Odrowąż, bp krakowski 1222.

57

na księcia przenikliwie, nie skłoniwszy głowy. Łokietek pochylił  
swoją i ukląkł, rad, że w tej chwili pleban wyszedł z nabożeń-  
stwem i arcybiskup również opuścił się z trudem na kolana,  
ukrywając twarz w dłońiach powykreślanych gościeniem. Zatopił  
się w myślach, czy w modlitwie.

Gdy pleban odczytał ostateczną Ewangelię, książe powstał  
i skłoniwszy się wyszedł przed kościół. W szczupłym wnętrzu  
duszno było. Chłonał ostre powietrze poranka i stał, tłumiąc bu-  
dzący się znowu w nim niepokój. Czekał go rozmowa miłą  
być nie mogła. Gdybyż choć była skuteczną!

Rozmyślania Włodzisław a przerwał gwar w kruście. Uka-  
zał się prowadzony pod ramiona przez dwóch kleryków arcy-  
biskup<sup>^</sup>Byстрыm spojrzeniem obrzucił Łokietka, który pochylił \*  
się do ręki dostojnika, by ucałować pierścień. Arcybiskup syk-  
nął z bólu, gdy książe twardą ręką wojaka ujął jego dłoń; ale  
jej nie cbfnął. Potem patrzyli na siebie. By wszcząć rozmowę,  
książe zapytał:

- Jak zdrowie waszej wielbności po podróży?

- Podróż moja ma się ku końcowi, tedy mi i zdrowie nie-  
potrzebne.

- Tym bardziej wdzi<sup>^</sup>czen wam jestem, żeście się dla mnie  
trudzić raczyli.

- Dla was, nie dla was - przerwał Jakub popędliwie. -

Wiedzieć muszę, do czego zmierzacie. A tu gadać nie będziem,  
bo mi już nogi służyć nie chcą.

Ruszył ciężko, kierując się fcu plebani!, a Łokietek szedł przy  
nim, mówiąc:

- Tuszę, że mi cześć wyrządźcie i nie pogardźcie moim  
chlebem.

- Nie gardzę chlebem, jeno mi każdy jednako twardy,  
skoro zębów nie mam. Tu nie Kuria rzymska, rozmówić się  
możem bez uctowania. Babilon inagna meretrix...1 - burk-  
nął do siebie.

Przez cmentarz weszli na plebanie i znaleźli się w obszernej,  
1 Babilon, wielka nierządnicą.

mrocznej sieni. Przy wejściu do świetlicy stał już pleban, pokornie zapraszając do wnętrza. Jakub ręką wskazał księciu pierwszy krok, a potem zwracając się do tłoczących za nimi ludzi, fuknął:

- Obędziem się bez świadków.

Widząc zaskoczone i pytające spojrzenie Włodzisława dodał:

- Wždy nie jesteście Manichejczykiem, by się spowiadać przy wszystkich.

- Zdało mi się, że na rozmowę, niie na spowiedź tu idę - rzucił księżę cokolwiek rozdrażniony, hamując się jednak, by nie dotknąć arcybiskupa.

- Spowiedź, nie spowiedź - odparł Jakub wchodząc. -

Ja to wam grzechy wasze wypowiem, bo nie tajne one nikomu.

- Tedy może od razu do wyznaczenia pokuty przystąpicie - odparł księżę, uśmiechając się z przymusem. - Com zawinił, o przebaczenie proszę, a szkody, jakim wyrządził, z wiązką nagrodę.

- Nie o szkody idzie, jeno o grzech. "

- W samym Roku Świętym w Rzymie .odpustu zupełnego dostąpiłem.

- Każdemu oni tam wybaczą, kogo potrzebują, a nic temu, co im wadzi - sarknął Jakub: - Druha mego i nauczyciela Piotra z Albano, śmierć jeno ocaliła od stosu, który go czekał za to, że w demony nie wierzył, bo mądrość w nim była wolna od złości - i ludzkiej duszy i ciała zrozumienie.

Jakub usiadł ciężko i zdał się zatapiać w myślach, czy wspomnieniach. Łokietek usiadł również i czekał. Gdy milczenie się przeciągało, zaczął:

- I wasza mądrość rozumie słabość człeka. Dlatego i od was czekam rozgrzeszenia.

- Gorzką jest mądrość starości. Exsiccatum est fenum, occidit flos l. Pan nasz wiedział, dlaczego ludzkiego ciała zbyt w kwiecie lat. Gdyby moich dożył, nie wiem, żali na przykazawyschło siano, zginął kwiat

~ 59 ~

niach miłości zawiesił-by Zakon Swój... Niech mi wybaczy, jeśli bluźnię...

Jakub zadumał się znowu. Księżę, cokolwiek zniecierpliwiony, podjął:

- Grzeszniśmy! Jąc swoich win nie zapieram. Ale i mnie młodość minęła, żądze nie mącą już rozumu. Sam widzę grzechy swoje, ale szczerzy chcę być: nie rozgrzeszenia mi od was trzeba. Kłamałbym, przyrzekając, że .miłować będę nieprzyjaciół swoje, że nie miecz niosę przeciw sile, jeno gałąź oliwną, że na podstęp i kłamstwo prawdą odpowiem i szczerością. Że wybaczę tym, co nie żałują, że za duszy własnej zbawienie dziedzictwo przodków na frymarkę, obcym ostawię, a uciśniony lud nasz w niewoli. Gdy dzieła dokonam, niech Bóg minie sądzi, bo tak niech mi pomoże, jako nie sobie jeno chcę służyć. A wy mi zaufać musicie! Zali ten młokos, pijak, gnuśnik i wszetecznik, którego Muskała na tron chce wprowadzić,

lepszy niż ja? Jam był i ostałem dominus regni Poloniae 1, jak ' wielkie były by moje grzechy, a wy pierwszym dostojnikiem tego królestwa. Zali z wrogami jego przeciw mnie pójdziecie? Jakub długo milczał. Potem podniósł swe szare oczy i patrząc przenikliwie na księcia odparł:

- Cóż pomoże człeku, jeśli by wszystkim świat zyskał, a na duszy swej szkodę podjął?! Jako kapłan błogosławić temu nie mogę, co czynić będziesz musiał, by obce ręce przestały szarpać uciśniony kraj nasz, jak suknię umęczonego Chrystusa. Jeno nie krzywdź maluczkich, co znieśli już dość od swoich i obcych.. od ciebie też! Ich jednych jeszcze miłować może wyschłe serce moje, oni nie krzywdzą nikogo... bo słabi! Ni to szloch, ni śmiech wstrząsnął starcem. Milczeli. Łokietek wstał i pochylając głowę ucałował kościstą dłoń Jakuba, mówiąc:

- Uszanuję miłość waszą.  
' pan Polskiego Królestwa

60

-- Co tam! - powiedział pasterz szorstko, jakby wstydził się wzruszenia. - Nie o mnie chodzi. Gadajmy o sprawach. Uładziliście się z wielkopolskimi panami?

- Nie! Z Henrykiem głogowskim przeciwko mnie trzymają.

- Juści! Pamiętają rządy wasze, gdy rycerstwo łupiło jak w zdobytym kraju, a wyście dziewczki i niewiasty... tfu!

- Nie wypominajcie!

- Zło się samo wypomina. Co czynić myślicie?

- Krakowa muszę dostać. I korony mi trzeba.

- Bez zgody Kurii trudno będzie. A owce bez puszystej wełny nie mają tam wartości.

- Waclawa-ście bez zgody Rzymu koronowali!

- Tak trzeba było. Dostańcie przódzi Krakowa. Jeno kim?

- Mieszczanstwo już się nakłania, tyle że słono płacić sobie każą.

- Frymarczą, jak swoim - burknął arcybiskup. - Ale nie zda mi się, by was uznali bez zgody Muskaty, a on, póki żyje, z wami trzymał nie będzie, bo dogodniej mu panem być niż słuchać. Nie ma go zresztą, bo do Mieszka cieszyńskiego knować pojechał.

- Wraca już. Posłałem i do niego i czekam odpowiedzi.

Gdybyście go puścić nie kazali, łącznie bym się z nim dogadał.

- Nie zwolę biskupa, jaki on tam jest, w ciemnicy trzymać. Sąd nad nim do Kościoła należy. A nie ugodzi się, to waszych razem z Węgrami może być na niego za mało. Chyba że znowu z Tatarami na własny kraj pójdziecie? Mało go jeszcze naniszczyli i ludzi' pobrali?!

- Nie wypominajcie! - powtórzył Łokietek.

- Nie wypominam. Rozumiem ci ja, że każda siła dobra temu, co własnej nie ma i że za pomoc płacić, trzeba. Jeno nie krwią ludzką. Nie będziecie lepsi od obcych, nie utrzymacie się. A chce-li Bóg dalej ten uciśniony kraj złymi władcami karać, dziej się Jego wola. A ja do tego ręki nie przyłożę

i piekło niech pochłonie drapieżników.

~ 61 ~

• -

Starzec sapał z gniewu, a książę "czekał cierpliwie, aż się uspokoi. Po chwila odezwał się jak do siebie:

- Trudno pieniądzem walczyć temu, co go nie ma.  
- Osiądźcie jeno kraj, pieniądz i bez zdzierstwa przyplynie do władzy, jako wiór do brzegu. Nie z pieniędzy dzielność rośnie, ale z dzielności pieniądze - jako rzekł pogański mądrzec. Tymczasem pomogę, czym mam, choć mię spastem się, ' przy Waławie.

- Bóg zapłać. Skorzystam i nie zapomnę. Na pierwsze potrzeby wójtostwo sandomierskie sprzedałem.

- Stary Witko wielce się w walce z Tatarami zasłużył... - mruknął Jakub.

- Cóż chcecie ode mnie? - odparł Łokietek z pewnym zniecierpliwieniem. - Głaskać imam tych, co. rękę przeciw mnie podnoszą? Zresztą przykład potrzebny. Niech wiedzą w Krakowie, ^ że jeśli siłą go wezmę, mię oszczędzę nikogo. Tańsi będą.

- Ład chciałbym ujrzyć i sprawiedliwość, nim oczy zamknę - odparł Jakub. - Kiedy do Sandomierza ciągnąć zamyślacie? - zapytał.

- Jeno Jaśka Leliwy doczekam, którego przygoda jako- waś po drodze spotkała. Myślę, że tylko patrzeć, jak będzie. Jakby w odpowiedzi rozległo się pukanie. Książę pytająco spojrzął na arcybiskupa, który powiedział:

- Ważnego coś musi być. Pożegnam was, bo przed drogą wypocząć trzeba. Znużonym bardzo.

Wstał z trudem i ruszył ku drzwiom, które książę sam przed nim otworzył. W .drzwiach stał Jaśko. Głowę miał jeszcze obwiązaną, ale czerstwa twarz Ł błyszczące oczy nie zdradzały żadnej słabości. Księciu na jego widok też oczy za- ^ świeciły, ale powściągnął się i arcybiskupa do drzwi j ego izby odprowadził. Potem zwrócił się ku przybyłemu i biorąc go po- ufale pod ramię rzekł:

- Żebyś włosa nie miał siwego, łaźnię bym ci sprawił.

- Żeby nie miał siwego, nie byłoby za co, bo bym zwierza ubił.

~ 62 ~

- Za to, że ci się łowów zachciało, gdy ja jako na węglach czekam na wieści. Ale pójdźmy na polewkę. Córe twoją i Spytka rad ujrę. Jędrzej Cedrowic też-meciŁerpliwie czeka.

- Będzie się musiał cierpliwić - powiedział Jaśko. - Prosić was chciałem, ^ byście nie naglili. Poznać radbym człeka, któremu mam zawierzyć dziecko.

Książę spojrzął z pewnym zdziwieniem i zapytał:

- Przygodziło się coś?

Jaśko chciał odpowiedzieć, ale Włodzisław przerwał:

- Pójdźmy. Czas będzie gwarzyć w drodze do Sandomierza. Dziś jeszcze chcę wyruszyć. .

VIII

Wjazd Muskaty na stolicę po długiej • nieobecności mniej

był uroczysty niż zazwyczaj. Może winien był i słotny dzień listopadowy, zawleczonej przez wieczorną wicherę niskimi chmurami, siejącymi gęstą mżawkę, od której nawilgły szaty, a skórę przenikał ziąb. Siąpiąca z nieba i wstająca z ziemi wilgoć zdała się gasić świetność orszaku i zapal witających. Mroczna też jak to jesienne chmurne popołudnie była twarz biskupa. Wiedział, że nie tylko rozkisie do głębi drogi hamowały kroki wylęgających zazwyczaj na jego powitanie tłumów. Klątwa i interdikt rzucone przez Jakuba Świnkę też tu zaważyły.

Wobec wielkich klątwa, niegdyś zdolna obalić każdy tron, straciła już swą zgubną skuteczność. Żył i panował pod klątwą Włodzisław Laskonogi, i Mieszko Stary i Leszek Czarny. Zatrzymała jednak powietrze, siała zamęt. Choć nie zabijała już, stanowiła łatwy i tani oręż w ręku kościelnych dostojników, który osłabiał siły wroga.

I Muskata niewiele by dbał o nią, gdyby nie-czuł jej oddziaływania. Maluczcy bali się zbliżyć do wyklętego. Niższy kler, polskiego pochodzenia, którego dzięki Świnie namnożyło się, a zwłaszcza najbardziej przez Muskatę uciśnione rycerstwo po prostu skorzysta ze sposobności, by z posłuszeństwa się wyłamać, a danin i świadczeń odmówić. Najgorsze zaś, że sam klątwą dotknięty, użyć jej nie mógł przeciw Łokietkowi. Nie nadszedł jeszcze czas gdy klątwami okładano się nawzajem, jak pijani parobcy cepami. Klątwa i zawieszenie w urzę-

: ^/ Q4 ^^

dzie, przez arcybiskupa Jakuba, cieszącego się powszechnym szacunkiem, miały swoją wagę.

Zły nastrój pana zdał się udzielać całemu orszakowi, nie wyłączając koni, które leniwie wyciągały kopyta z grząskiego błota na gościńcu wiodącym od osad na Garbach ku Wiślniej bramie. • Zastukały o dyle mostu na odnodze Rudawy, toczonej mętną, wezbraną wodę i znowu zanurzyły się w topieli drogi przez rozkiszłą groblę, która odcinała od rzeki ciągnące się aż pod Wawel stawy, teraz złane w jedno wielkie jezioro. Od osad zbiegło się nieco ludzi patrzeć na wjazd pasterza. Stali trochę opodal kłaniając się, ale milczeli.

Muskała nawet okiem na nich rzucić nie raczył. Jechał o kilkanaście kroków przed orszakiem i zdał się uważać tylko, by koń znużony dźwiganiem przez cały dzień sporego ciężaru jeźdźca, nie ugrzązł na oślizgłej i wyboistej drodze.

Biskup oderwał oczy od pochylonego łba końskiego na widok tęgiego pachółka w wytartym niedźwiedzim kozuchu, siedzącego samotnie przy drodze, pod pochylonym pniem starej wierzby. Czapki nie mógł zdjąć przed biskupem, bo jej nie miał na głowie, okrytej jeno falistym, jasnym włosem. Ale winien był powstać, a przynajmniej nie patrzeć na dostojnika z poufałą a obojętną ciekawością, jak na jakieś dziwo wisko. Spojrzenie to do reszty rozdrażniło biskupa. Szarpnął konia silną dłonią, by go zatrzymać i złać gapia, ale właśnie w tej chwili tylna noga rumaka zapadła się w błotnistą dziurę, a koń cofnąwszy się przysiadł na zadzie. Jeździec bez zawa-

hania wyrzucił nogi ze strzemion i zeskokczył z siodła, lecz znalazł się powyżej kolan w zimnym błocie przydrożnego rowu, lgnąc coraz głębiej, spłoszony zaś koń przewrócił się na bok i bić zaczął kopytami. Jadący za biskupem krzyknęli, lecz nim kto zdołał doskoczyć, wyrostek, który był przyczyną wypadku, zsunął się do rowu i uchwyciwszy konia przy pysku poskromił go i postawił na nogi, po czym, zwracając się do biskupa, odezwał się jak do równego:

- Nie szarpalibyście konia, nie byłby się przewrócił. Siadajcież!

65

Wawelskie wzgórze - 5

Muskata spojrział na chłopca przenikliwie. Poufałość była 'tak oczywiście dziecinna, że rozbroiła go, a ujęła usługę. Powiedział spokojnie:

- Rękę mi' podaj, bo ulgnąłem.

Chłopak, trzymając lewą dłonią przy pysku jeszcze niepokojącego się konia, prawą podał Muskacie i pociągnął tak potężnie, że omal nie przewrócił, lecz wyciągnął biskupa z topieli. Gdy jednak Muskata nie mógł dosięgnąć strzemienia, uchwycił go w pól i podniósł lekko, jak dziecko.

- Osilek z ciebie - powiedział biskup. - Ciężki jestem.

- Cięższego niż wy niedźwiedzia sam dźwignąłem.

Komu innemu biskup nie darowałby porównania, ale chłopca nie mógł podejrzewać o uszczypliwość. Roześmiał się nawet, mówiąc:

- Niesposobnie mi teraz cię wynagrodzić. Zajdź do mnie, jutro. Wiesz, ktem jest? Biskup krakowski.

Chłopak obojętnie skinął głową, jakby nie zależało mu ni na osobie, ni na nagrodzie. Biskup zmarszczył się znowu, ale nie czas było stać, bo deszcz przybierał, mżawka przechodziła w pluchę, a dzień się 'miał ku schyłkowi. Niemniej chłopak zaciekawiał biskupa. Znajdzie się go jednak później. Ręką mu jeno skinął i ruszył.

Droga skręcała na południe wzdłuż ramienia Rudawy. Rzęska, rozdzielając się przy rurnusiel koło świętego Macieja, obejmowała miasto dwoma ramionami, wypełniając głęboką na sześć łokci fosę i broniąc dostępu do murów, którymi za przywilejem Leszka Czarnego mieszczanie opasali swe miasto. Poruszała też koła licznych młynów zbożowych, igielnych, tocznych, pilnych i innych, nabijając złotem trzosi mieszczan, pokręciła jeszcze królewskie młyny za miastem pod Wawelem, zaopatrzyła w wodę pozbawiony jej gród i kończyła swój pożyteczny bieg w ramieniu Wisły, opasującym zamek od południa. Teraz jednak nadmiar jej wody niemal napierał na dylowania mostu przy Wiślnej 'bramie w cofniętym załamaniu" 'urządzenie do prowadzenia wody

66

murów koło kościółka św. Norberta, stanowiącej jakby sięń wznoszącego się nad nią drewnianego budynku, na którego piętrze była strażnica. Straż wyległa witać biskupa, stając pod bronią w szeregu, ze starszym na przedzie. Biskup jakby

jej nie widział, skręcił w zaułek, zwany Kocią ulicą, biegnący wzdłuż muru aż do drugiego załomu za ogrodami klasztoru Braci Mniejszych, gdzie mur skręcał z nagłą na południe. Mieszczanie dbali, by miasto nie zbliżyło się zbyt do panującego nad nim grodu.

Orszak biskupa przed klasztorem skręcił na Psi Rynek, minął dzwonnice u wylotu ulicy Braci Bosych, którzy nie wyszli witac pasterza. Nie lubili go, a on ich wzajem. Oni to pomogli ujść Łokietkowi, gdy sławetny i możny cech rzeźniczy strzeżoną przez siebie Bramą Mikołajską zdradziecko wpuścił do miasta wojska Probusa. Z ich to zgromadzenia braciszcowi Mirosławowi śnił się biskup, to jako niedźwiedź usiłujący złamać drzewo potężne, to znów jako wilk lub pies wściekły z pastorałem w paszczy. Za sen człowiek nie odpowiada, ale opowiadać o nim nie musi. Drwili przy tym z miłych Muskacie dominikanów, mówiąc, że u nich Chrystus jedną rękę ma na krzyżu, a drugą w miechu ze złotem.

Mijając stojący przy Grodzkiej ulicy kościółek pod wezwaniem Wszystkich Świętych, biskup skierował kroki swego konia do dominikanów. Nie było to 'dziwne nikomu, bo biskup częściej tam przebywał, niż w swych zabudowaniach na zamku.

Bracia predykanci wylegli, ze światłem i śpiewami; uroczyście go witając, jakby zgoła nie wiedzieli o kłątwie i zawieszeniu biskupa w urzędzie. Białe ich habity, oświetlone płomykami świec, które osłaniali rękoma przed przybierającym deszczem, podkreślały jeno ponury mrok wczesnego zmierzchu. Sam przeor pomógł Muskacie zsiąść z konia, którego wraz z innymi odprowadzono do stajen przy murze miejskim, obejmującym od wschodu zabudowania klasztorne, a biskup, skracając powitanie wszedł do murowanego budynku i rozgościł się w izbie nawyżce, którą niegdyś zajmował święty Jacek.

~ 67 ~

Nieliczni gapie rozeszli się co rychlej, uchodząc przed słotą. Opustoszałe ulice zaległa cisza, tylko jednostajnie szeleściła jesienna szaruga.

\*

Wjazd nie był triumfalny, niemniej wieść o nim rozpełzła się po mieście i dotarła za mury.

Prepozyt od św. Floriana, Zdzisław, sam dopiero co powrócił z Wiślicy, gdzie pośredniczył w układach między Włodzisławem a wójtem Albertem. Wrócił zadowolony, gdyż Jaśko, w imieniu księcia przyjął niemal wszystkie warunki i wydawało się zacnemu prałatowi, że nie na darmo trudził swe kości, zaniedbując nadzór nad kończąca się właśnie odbudową swej kolegiaty spalonej wraz z osadą w czasie najazdu Tatarów. Ona też po części była przyczyną, że podjął się sprawy, nie wątpiąc, że za położone przy układach zasługi Łokietek nie będzie żałował datków ni nadań, by przywrócić dawną świetność kościołowi, który w miejscu Gedkowej bazyliki wystawił na Kleparzu pradziad Włodzisława, Kazimierz Sprawiedliwy, ku czci patrona i protektora Polski.

Obchodząc teraz budowę Zdzisław martwił się. Przez nie-

pokryty jeszcze blachą dach kościoła i zabite deskami otwory okienne zaciekała do wnętrza pluta, wilgoć lśniła na ścianach w blasku kaganka, a kałuże odbijały jego światło na kamiennej posadzce. Proboszcz gniewał się i troskał. Niezbyt posunęło się dzieło podczas jego nieobecności. Co prawda, pieniądze się wy-czerpały, a jesienne słoty nie sprzyjały pracy. Ściągnęła jak zwykle budowa trochę ludzi, którzy na miejscu spalonej osady pokleccili swe schronienia, ale trzymał ich zarobek. Gdy się skończył, odeszli. W gęstniejącym mroku migotały tylko światła okien obszernej, lecz ninie pustej plebanii. Za czasów swej świetności kolegiata liczyła czterech prałatów, czterech kano-ników i tyluż kleryków; teraz proboszcz mieszkał tylko z jed-nym klerykiem i kilk ergiem służby. Owczarnia jeszcze pusta, do cmentarnego muru przyczepione klitki robotników czerniały w mroku, rozmazując się w dżdżu, ciemne i martwe.

Brnąc w błocie Zdzisław zawrócił do plebanii, otrzepał wodę ł sukien i wszedł do świetlicy, gdzie płonący na kominie ogień

~ 68 ~

wabił ciepłem. Ściągnawszy namokłe skórznie usiadł na wy-ścielanej ławie i wziął się do czytania. Nie mógł jednak skupić myśli. Uciekały mu, krążąc koło powrotu biskupa. Obawiał się udaremnienia układów, a przynajmniej nowych żądań, gdy do-tychczasowe już były wprost czelne. Wójt Albert za wydanie Krakowa kazał płacić, jak za swoje. Prócz przywilejów dla mia-sta, zażądał dla siebie stanowiska krakowskiego żupnika i są-deckiego kasztelana. Zdzisław ponad własne spodziewanie do-prowadził już niemal do ugody. Wysunięcie nowych warunków mogło unicestwić jego nadzieje i nie tylko odwlec, ale i udarem-nić odbudowę kościoła, którą miał za cel swego życia. W dodat-ku z trudu, i wilgoci bolały go kości, wzrastała w nim gorycz i rozdrażnienie, jakby przy świetle ognia jaśniej widać było nie-miłe, a może i groźne położenie, wytworzone przez powrót bi-skupa. Już poprzednio nie patrzył on na Zdzisława życzliwym okiem, widząc w nim, słusznie, przywódcę nieprzychylnego so-bie polskiego duchowieństwa. Teraz dowie się niechybnie o po-średnictwie. Jeśli udaremni zajęcie Krakowa przez Łokietka, nie daruje swym przeciwnikom. Może uchodzić trzeba będzie, po-rzucając swe dzieło, żeby choć ukończone!

Na tę myśl krew uderzyła do głowy popędliwemu prałatowi.

Trzasnął książką o stół, aż pękła drewniana okładzina i krzyk-nął:

- Wieczerzę dawać. Posnęli tu wszyscy!

- Zaraz, zaraz - rozległ się z sieni powolny nosowy głos, tak niski, że nie poznać-by kobiecego, gdyby nie to, że otwo-rzyły się drzwi i weszła niewiasta z tacą w ręku. Postawiła na stole naczynia, nakryła róg lnianym ręcznikiem i bez pośpiechu wyszła. Prałat sapał, ale myśl odwróciła się ku wieczerzy. Wy-głodniały był po podróży, a i zjeść dobrze lubił. Pociągnął no-sem, by zgadnąć, co będzie na wieczerzę, lecz nim się domyślił, niewiasta powróciła, niosąc pieczoną gęś. Oskoma odciągnęła złe soki z głowy prałata, ale gospodyni przypomniała mu znowu:

- A jegomość to się ino ciska! Wždy samiście zakazali



wchodzić, gdy czytacie. Jeszcze jegomości kiedy zła krew za-  
leje.

~ 69 ~

- Niech się Tomaszowa nie mądrzy, właśnie skończył  
czytać.

- Juści! Aż słyhać było, jak jegomość skończył. Nie teza  
się wałęsać, ino budowy pilnować. Potem złość na mnie nie-  
winną.

' • 'Aji

- Tomaszowa niech swoich wąsów pilnuje, nie moich  
spraw - odparł rozsierdzony na nowo.

Istotnie wąsy miała niczego, a i na brodzie wiły się róż-  
nokolorowe kłaczki. Ale kobietą była na pewno, bo podniósłszy  
zapaskę zabierała się najwidoczniej beczeć, prałat jednak znie-  
cierpliwiony przerwał jej:

- Wszyscy ludzie z budowy się rozeszli?

Wytarła rozgłośnie nos, ale głos miała powolny jak zwykle,  
gdy odparła:

- Co było robotnego, poszło. Dziady jakoweś ostały; cze-  
kają na pierwsze miejsce przy kruchcie, niech się jeno kościół  
wykończy. Poczekają długo.

Proboszcz zachnął się, ale z doświadczenia wiedział, że nie-  
wiasty nie przegada i wziął się do jedzenia. Po chwili zapytał:

- Co za jedni i skąd przyszli?

- Skądś ze świata. Nie gadają. On nie stary, ale kaleka,  
na jedno oko niewidomy, a na drugie ślepy. Ona stara jędza,  
z Łysej Góry pewnikiem.

- Nie gadajcie byle czego. Łacnie na człeka obmowę rzu-  
cić. Wspomogliście ich?

Proboszcz serce miał miłosierne, większe niż kiesę.

- Czym? I po co? - odparła. - Parobka mają, że jeno  
mury nim walić. Chciał było magister operae 1, by cieślom po-  
magał. Gdzie zaś! Ino się włóczy, złe ziele. A urodna jucha, za  
dziewkami pewnie cieką. Pół gołe to, a roboty się nie chwyci.  
Betelfochty 2 dziadów do Krakowa nie puszczają, to się nam  
tu darmożjadów na Kleparz nazłazi. Wszystkich będziemy  
karmić?

1] mistrz budowy

2 wójt dziadowiski

70

Proboszcz pięścią w stół wyciął t krzyknął:

- Przestańcie krakać. Osada tu była i będzie, niech się jeno  
kościół odbuduje i czas .uspokoi. Wyżywią i nas, i biedotę.

- Niech się uspokoi - rzekła zgryźliwie. - A po mieście  
mówią, że ino patrzyć, jak książe Włodzisław nastąpi i szykują  
się już do obrony. Znowu jak zawdy złupią i spalą, co pod mu-  
rami. Tyle będzie parafian, co ich tu leży - ręką wskazała  
przez okno, gdzie wiatr pogwizdywał na krzyżach cmentarzy-  
ka. - Ci się już grabieży nie boją. Nawet przed Tatarami nie  
uszli.

Prałat Zdzisław odprężył się i huknął:

- Błuzniysz, niewiasto. Święty Florian wiedział, dlaczego  
koniom, co wiozły jego święte relikwie, tu stanąć kazał. Nie bę-

dzie na pustkowiu leżał, należnej czci pozbawiony! A tymczasem dobre i dziady. Do posługi w kościele nadadzą się. Wraz im jeść zanieście!

Pięścią palnął w stół, aż zadźwięczały cynowe misy.

- Zaraz, zaraz! A jegomości pewnikiem kiedyś zła krew zaleje.

- Nie bojam się, skoro mnie przy Tomaszowej przez tyle lat nie zalała.

Pozbierała bez pośpiechu misy i wyszła precz urażona.

- Mulier insuspectal! - rzucił za nią prałat zgryźliwie. -

Bies-by się jej nie chwycił, Wilgefortis 2! Tfu! - splunął i przeżegnał się. - Ni chłop, ni baba, jeno gada za dwie. Tyle, że strawę dobrze warzy.

Powrócił do księgi, usiłując myśl odwrócić od trosk.

W przytulonej do cmentarnego muru klitce, opróżnionej

1 kobieta niepodejrzana

2 Legendarna święta, córka króla Luzytanii, który pokonany przez króla Sycylii chciał ją za niego wydać, mimo iż ślubowała czystość. Modliła się, by ją Bóg zespeciał i przez noc wyrósł jej męski zarost. Uznano to za czary i ukrzyżowano ją. Obraz jej znajduje się w kościółku św. Salwatora w Krakowie na Zwierzyńcu.

~ 71 -<-

przez cieśli, wąty ogienek z wiór lizał bezsilnie dno zawieszono-  
nego nad nim kociołka. Pół-ślepy Duszka siedział przed ogniem,  
dorzucając od czasu do czasu paliwa, gdy płomień zaczynał ko-  
nać.

- Ni do północy woda nie zawre - odezwał się głos Terki.

- A niech ta! I tak nie ma co warzyć, a siedzieć bez ognia  
cni się. Ciężko będzie przezimować.

- Mało ci jeszcze zim, że jednej więcej żałujesz? - rzekła  
zgryźliwie.

Duszka skulił się, po czym powiedział jak do siebie:

- Zęby tak usnąć przy ogniu i nie zbudzić się. Ale zdychać  
z głodu i zimna w ciemności! Już się tam jakoś ułożyło, lżej za-  
czynało być, gdy Krzych podrosł. Przynajmniej nie było głodno  
i chłodno. A tu?

- Możesz wracać - syknęła stara.

Milczał zgnębiony i łzawiło mu jedyne oko, którym jeszcze  
rozdzielił światło. Wiedział, że nie jest nikomu potrzebny. Ale  
dawniej był. Szesnasty rok minął od czasu, gdy nieszczęście od-  
dało go na łaskę tej jędzy, wręcz nienawiścią, złością i zemstą,  
dziś tak samo jak wówczas. Nigdy słowa dobrego, ni uzalania  
się nad jego losem, od którego gorszy trudno wymyślić. Prawda,  
że winien jej życie, ale jakie życie? Niegdyś i on myślał o pam-  
ście, trudno nią jednak żyć tyle lat. Zresztą Mścigniew nie  
wróci już. Albo i on zapomniał, albo .nie żyje. I po co chłopcu  
zamykać drogę tam, gdzie z urodzenia przynależy, wciągając go  
w zapomniane, wywietrzało już sprawy?

Zdało się przez chwilę, że los coś chce odmienić, stykając  
przez przypadkową przysługę Krzycha z Leliwami. Jakby prze-  
czuwała, nie chciała go puścić, ale wyłamywać się już zaczynał

spod jej władzy. Poszedł i może wszystko by się rozwiązało, gdyby nie jakiś zły urok. Miast by chłopak zaczął żyć jak drudy i Duszcze zapewnić starość, porzucili spokojny kąć, gdzie przynajmniej głodno nie było i zwlekli się tutaj, gdzie nic nie mieli do szukania i gdzie ich nikt szukał nie będzie. Dusce zresztą zobojętniało już niemal wszystko. Tylko jeszcze zdychać nie chciał śmiercią bezańskiego psa.

\*

~ 72 ~

Smutne rozmyślenia przerwał chlupot bliskich już kroków po błocie; ktoś macał w ciemności, szukając wejścia.

- Krzych! - szepnął Duszka.

- Nie Krzych - odparła stara i zawołała: - Czego tam?

W drzwiach stanęła niewieścia postać z kobiałką w ręku i wręczając ją Terce powiedziała:

- Jego wielbność wspomóżenie wam posyła.

Wsunęła głowę, rozglądając się widocznie, po czym rzekła:

- A na złodziejstwo tego nicponia nie posyłajcie, bo w Krakowie srogie prawa. Chcecie li osiedzieć, do pracy go zagnać, bo złoczyńców i dziadów i bez was dość. Szubienice niedaleko stąd, przy Sławkowskim gościńcu na rozstaju.

Zaśmiała się grubym głosem i trzasnęła drzwiami. Słysząc było człapanie kroków po rozkiszłej ziemi i znowu tylko jednostajny szelest deszczu. Duszka powiedział nieśmiało:

- Nie trzeba było indziej na pustkowiach osiąść? Krzych w lesie wyzna się na wszystkim, a do pracy jako ogier do orki.

My zaś chyba pod kościołem siądziem, jeśli zwoła. I nie smakuje strawa, jako psu ochłap rzucona.

- Nie smakuje, to nie jedz. W mieście łatwiej się ukryć niż w lesie, a i szukać tu nie będą, nawet jeśli co pomiarkowali, bo Muskata tu panem, z którym koty drą;

- Ni oni, ni kto inny. I pókiż tego? - zapytał Duszka zgnębiony.

-- Póki życia, poty pomsty. Milczeć jeno masz, jakoś zaprzysiągł. Reszta nie twoja sprawa, boś do niczego nie zdały.

Złe ci tu, to możesz iść, kędy cię oczy poniosą.

Zaśmiała się cicho i położyła palec na ustach. Na dworze rozległy się szybkie kroki, drzwi otwarły się bezszelestnie i schylając swą wysoką postać wsunął się do klitki Krzych.

Zdjął i strzepnął przemokły kozuch i rozwiesiwszy go nad ogniem, otrząsając się rozcierał nawiłgłe, nagie ciało. Potem zgarnął kupę wiórów i trzasek i cisnął na ognisko, aż buchnęło wysokim płomieniem.

- Spal budę, spać będziem na dworze - burknęła stara.

- Mało to innych - mruknął.

~ 73 ~

- Ale kozucha drugiego nie masz. A miałbyś, żeby ci się nie zachciało za cudzymi sprawami chodzić. Tu niedźwiedzia nie ubijesz. Przyniosłeś co?

- Co miałem przynieść! Zwierza, jako mówicie sami, nijakiego tu nie masz. Ryb chciałem nałowić w rzeczułce, to wywarli na mnie pyski, że nie wolno. Mało do bitki nie doszło.

- Bo tu wszystko czyjeś. Do bitki się nie bierz, patrz, co drudzy robią. Każdy żyje z czegoś, przyuczysz się i ty. Krzych zdjął dymiący kozuch z kołka i otulił się nim. Stara zakrzętała się koło ognia, który tymczasem syczeć począł od bryzgów kipiącej wody. Duszka zapytał Krzycha:

- Gdzieżeś bywał?

- Miastom obleciał. Wielkie, że dziw i jako na ostrowiu leży. Woda wszędy dokoła, a ludzi pełno, gdzie ruszyć. Z czego też żyją, tak kupą siedząc?

- Sam obaczysz - odparła Terka. - Czego tu nie robią! I lepiej żyją niż z lasu czy z roli. Wszystko im gotowe przyniosą. Krzych zamyślony patrzył w płomień. Jakby mu się coś przypomniało, odezwał się:

- Biskupa-m widział. Taki sam człek jak inni. Z błota-m go wyciągnął. /

- Skąd wiesz; że biskup? - Stara nadstawiła odstające uszy, czymś poruszona.

Krzych odpowiedział obojętnie:

- Sam mi mówił. Kazał przyjść do siebie. Opowiedział wydarzenie, a gdy skończył, Terka rzekła:

-- Tedy pójdziesz do niego zaraz z rana. Teraz jedz i spać! Krzych wygłodniały nie dał się prosić. Skończywszy, zaka-pał się w wióry i usnął zaraz. Terka odezwała się szeptem do Duszki:

- Lepsze to spotkanie niż tamto. Widzi mi się, że sprawy się mają ku końcowi.

Duszka nic nie odrzekł. Niech się jeno Krzych ustali, jakoś przy nim przezimują. O czym innym już nie myślał. Do żadnej walki już nie miał sił.

ix

Ziimna mgła otuliła miasto tumanem, ale opadała już wi-docznie, bo słońce wzbiwszy się w górę przeświecać zaczęło, jak mały, srebrny pieniążek, a szczyty najbliższych baszt, krawiec-kiej, ciesielskiej i kuśnierskiej, majaczyły niepewnie szarymi zarysami swych szpiczastych dachów.

W tumanie słyhać było ruch niezwykły, skrzypienie wozów i krzyk woźniców.

Krzych stał przed klitką i .patrzył na niezwykle dla niego widowisko. Lekki powiew ruszył ze wschodu i zganiał mgłę ku Wiśle, odsłaniając coraz rozleglejszy widok na pierścień murów i wałów, najeżony częstokołem, a tu i ówdzie basztami. W od-dali, gdzieś na drugim krańcu, wyłaniał się z mgły górujący nad miastem wawelski gród, pnąc się wieżami Hermanowej katedry w błękitniejące z każdą chwilą niebo.

- Przestań się gapić i idź już - odezwał się głos Terki. - Z nikim się nie zadawaj, jeno pytaj o pana biskupa u braci pre-dykantów. Nie będzie go tam, na zamek idź. Pięknie go pod nogi podejmij i o służbę proś. A nie wytrzeszczaj oczu na niego, jak wół na malowane wrota, jeno pokornie stój i nie pytany nie gadaj nic. No, idź i wracaj rychło.

Krzych skinął głową i chciał ruszyć, gdy spojrzęła na jego dłoń i krzyknęła:

- A pierścień ostaw. W sam raz ci do łatanego kozucha i parcianych portek. Jeszcze go kto wydrwi od ciebie.

Krzych zarumienił się i odparł niezbyt pewnie:

- Nie chce złązić z palca.

~ 75 ~

Próbowała zdjąć sama, ale istotnie nie szło. Powiedziała:

- Później się jakoś zdejmie. Nie biskup-eś ani kasztelan, by złoty pierścień nosić. Tymczasem oczkiem okręć w dół, by nie był znaczny.

Zrobił, co kazała i dołączył się do idących gościńcem od Prądnika gromad. Ciągnęła go ciekawość, a hamowała płochliwa nieufność. Nie nawykł do tłumu i podejrzliwie oglądał się na wszystkie strony, jakby się miał na baczności przed każdym. Ale nikt nie zwracał na niego uwagi, mijano obojętnie wolno idącego, chyba że go ktoś ofuknął, że drogę zawala.

Przed bramą św. Floriana tłum był już zwarty, bo dzień był targowy i z okolicznych wsi, Prądnika, Krowodrzy, Kawiorów i dalszych, ciągnęło wszystko co żyło, by w mieście sprzedać owoce swej pracy, jarzyny, zboże, drób, a w zamian zapatrzeć się w miejskie wyroby. Ciągnęli kupcy i z dalsza, bo gościniec prowadził w świat, przez Łęczycę na Pyzdry i Konin do Poznania i przez Miechów i Kurzelów do Torunia.

Pod bramą gwar był nieopisany i ścisk taki, że przepychać się było trzeba. Krzych długo myślał, nim wparł się w tłum i zaczął przeciskać się ku bramie, odsuwając ludzi potężnymi łokciami, aż zaklął niejedną. Pacholkiwie miejscy uwijali się w tłumie jak pijawki w wodzie, pilnując, by przekupnie nie wykupywali przed miastem towaru, dla odprzedania go w dwójnasób drożej. Póki w Rynku wisiał kapelusz na słupie na znak targu, zakazane było, ale nigdy nie brakło takich, co zakaz obejść chcieli. Cechowi upatrywali szkodników, którzy korzystając z zamętu usiłowali przemycić towary zastrzeżone cechom. Nie brakło i rzezimieszków, węszących za łatwym zyskiem, nierządnych kobiet, wędrownych czeladników, rybaków, goliardów i-zwyczajnych dziadów. Nikt nie żałował gardła ni łokci i pilnujący porządku po sto rąk mieć by musieli, by wszystkiemu dać radę. Mimo chłodnego dnia spoceni już byli. Co chwilę nad gwar wybijał się wrzask, czy poszkodowanego na mieniu lub ciele, czy przechery jakiegoś, którego straż cią-

~ 76 ~

gnęła na dinghus ' do ukarania, nie żałując szturchańców i-Jcopnieć.

Krzych rad by się wycofał, ale tłum mocniejszy był od niego i wparł go na zwodzony most i do murowanej bramy o podwójnej bronie, gdzie tłok był jak w beczce. Za nią już tłum wylewał się swobodniej, rozpluwając na wszystkie stromy. Główna fala płynęła w Rynek, pojazdy błotnistą ulicą ze ściekiem pośrodku, piesi drewnianymi chodnikami wzdłuż domów o spadzistych dachach, szczytami zwróconych ku ulicy. Mniejsze strumienie ludzi płynęły na boki, to w Kącik pod świętym Janem, to ku szpitalowi duchaków<sup>2</sup>. Z tymi skręcił -Krzych i szedł wzdłuż murów, nie spiesząc się i rozglądając

ciekawie dokoła.

Miasto od północnej strony na j potężni ej było obwarowane, bo zaczynająca się tu sucha wyżyna pozwalała wrogowi od tej strony podejść najłatwiej. Tędy nadpłynęły wszystkie trzy fale tatarskiej szarańczy, z której ostatnią zdołały już powstrzymać umocnienia. Od tego czasu za Wacławowego panowania, urosły one jeszcze, a i teraz mieszczaństwo nie żałowało kosztów ni starań, by miasto uczynić niezdobytym i pana sobie obierać, jakiego zechcą. Ten, kogo wpuszczą, nakłady zwrócić musi stokrotnie.

Toteż robota wrzała przy murach i zewnętrznym wale ziemnym. Przestrzeń między nimi, szerokości kilkunastu łokci, zazwyczaj służąca za pastwisko i miejsce przechadzek, zawałona była stosami dębowych pali na częstokół i stertami faszyny do umocniania nasypu, rozmywanego przez deszcze, a podmywanego przez wezbrane wody Rudawy. Do murów tuliły się małe domki ubogiej ludności, byle jak sklecone, bo w razie oblężenia za każdym razem szły w perzynę, by nie przeszkadzać obronie.

Krzych szedł, przystając co chwila, niemal zapomniawszy po co idzie. Wszystko było dla niego nowe, ciekawe, ale nie-  
' ratusz

1 na miejscu obecnego teatru

77

pokojące i przytłaczające. Naj chętnie byłby wrócił, za murami czuł się swobodniej. Nie wiedział też którądy iść, a nie siniał zagadnąć nikogo. Wszyscy spieszyli się gdzieś, mijając go obojętnie, jeno niewiasty młodsze rzucały przelotne spojrzenia, przed którymi jednak uciekał oczyma. Budziły w nim niepokój, wspomnienie i żal.

Błądził przez dłuższy 'czas zaułkami koło domów, wreszcie usiadł na kupie belek i postanowił czekać, aż ktoś go zagadnie.

Wtedy zapyta o drogę.

Nie siedział długo, gdy ujrzał dwie białogłowy, strojnie i jaszkrawo ubrane, które widno nie spieszyły się nigdzie, wolno szły w jego siferonę, a rozmawiając snadź o czymś wesołym śmiały się hałaśliwie. Gdy były już blisko, spuścił oczy, patrząc na swe bose stopy. Krew mu uderzyła do twarzy, kiedy poczuł, że stanęły przed nim. Jedna z nich przerywanym jeszcze od śmiechu głosem zapytała:

- A ty czemu tu siedzisz? Nie zagrzejesz się na jesaen-  
• nym słońcu, prędzej byś się przy kim zagrzał.

Obydwie znowu wybuchnęły śmiechem, który do reszty stropił Krzycha. Wstał i 'nie podnosząc oczu wyjąkał:

- Do braci predykantów chciałbym, jeno nie wiem kędy.

- A po co ci do braci predykantów? Mnichem chciałbyś ostać? Patrzysz na to, ale szkoda takiego krasnego młodzika.

Nie zrozumiał kpiny i odpowiedział prosto:

- Nie. Jeno pana biskupa muszę odszukać.

- Juści u nich najłatwiej go najdziesz. Sama wczoraj widziałam, jak do nich zajechał. Pewnie znajomek jakowy?

- Znajomek - potwierdził. Nie wiedział, dlaczego aż za

boki się wzięły ze śmiechu. Krew mu mało nie trysnęła z policzków, kręcił się, nie wiedząc co począć i zbierał się odejść, gdy jedna, powściągnąwszy śmiech, powiedziała:

- Idź ino prosto tędy, aż trafisz na wendetę, gdzie ławy rzeźnicze są. W rogu stoi szkoła Najświętszej Panny, murem ' targ na Małym Rynku

78

obwiedziona. Gdy ją miniesz, to już ulica Braci Predykantów. Oczy zamknij i idź przed siebie, aż głową wytniesz o mur. To będzie dzwonnica przed ich kościołem, a obok niej brama klasztorna, gdzie ci brat furtian powie, czy jest-li pan biskup jeszcze w klasztorze, lubo do katedry, na zamek pojechał. A obaczysz go, to pokłoń się pięknie od nas.

Krzych, wdzięczny za udzielone wiadomości, zapytał układnie:

' - A od kogo mam się pokłonić?

- Od mniszek z prost&bulum l. Dawniej pan biskup bywał i na nas łaskawy.

Nie wiedział dlaczego uchwyciła się za żywot i aż usiadła ze śmiechu na ziemi. Zrozumiał, że drwiły z niego i uciekł.

Druga krzyknęła za nim:

- A trzosa pilnuj. Tu ci kozuch z grzbietu w największy mróz ściągnąć potrafią. Wydrwigroszy nie brak, a taki żółtdziób nie często im się trafi.

Na starym rynku, dawnej wiejskiej osady Odrowążowej, zwanym obecnie wendetą, Krzych wpadł w tłum i musiał zwolnić. U wylotu ulicy św. Ducha<sup>2</sup> przy studni pojono konie i spędzone bydło. Pod murem cmentarza N. M. Panny stali, siedzieli i leżeli przyjezdni, pożywiając się, wypoczywając, załatwiający sprawy i swarząc. Pod kostnicą<sup>3</sup> dziady obrały sobie siedlisko, wrzeszcząc o miłosierdzie i dla wzbudzenia go pokazując swe rany i kalectwa. Miejsce to było najruchliwsze, gdyż tu było przejście w szeregu jatek rzeźniczych, ciągnących się przez całą długość placu, aż do muru otaczającego szkołę Najświętszej Panny. Sprzedawano tam ćwierci mięsa w drewnianych budach, których okiennice służyły zarazem za ławy. Krzych szedł wzdłuż jatek, gdyż koło nich niezbyt było tłoczno. W targowe dni bowiem wolno było sprze-

' dom publiczny

2 ul. Szpitalna

3 obecnie kościół św. Barbary

79

dawać kijakom<sup>1</sup> na szruty<sup>2</sup>. Ściągali przeważnie z Piasków Wielkich, dlatego trzymali się gromadami na ulicy Rzeźniczej<sup>3</sup> i Krowiej<sup>4</sup> pod wałem wójtowskiego gródka. Żyli w stałej wojnie z cechowymi rzeźnikami, gdyż uboższa ludność wołała kupować mięso na kawałki, a że jedni i drudzy nawykli do krwi i radzi sięgali do noży, kręciło się tu więcej niż na samym Rynku ceklarzy i tutnarów<sup>5</sup>, pilnujących porządku i zapobiegających bójkom. Gwar i zamęt powiększały psy, gdyż, choć nie wolno ich było chować w rzeźniczym kwartale, ściągały tu z całego miasta, zwabione zapachami. Czeladź rzeźni-

cza odganiała je, bo nie rzadko udało się któremuś z nich w zamięcie ściągnąć z ławy kawał mięsa, a wówczas zbiegało się stado, gryząc się między sobą o łup, póki nie dopadł ich któryś z czeladzi i węgorzem 6 nie rozegnał. Nie na długo to pomagało, ubicie zaś psa uchodziło za zhańbienie rzemiosła i karane było wydaleniem z cechu. -

Jakiś zmyślniejszy od innych, żółty, biało-podpalany kundel omal nie wpadł na Krzycha, niosąc w zębach ćwierć cielęciny, prawie tak wielką jak on sam. Ścigało go z wrzaskiem i łajaniem kilku wyrostków, chytrze jednak kręcił między kołami wozów i między nogami stojących koni i bydła, aż zniknął ze swym łupem w ulicy Swiniej 7.

Krzych zagapił się i przypomniał sobie dokąd idzie dopiero gdy tłum zaczął rzednąć, a pustość w brzuchu uświadomiła mu, że musiało już minąć południe. Gdy przechodził koło szkoły, wysypała się stamtąd hurma scholarzy, pędząc na wszystkie strony, by wyprostować zdrewniałe od siedzenia nad księgami kości i skorzystać, ile się jeszcze da, z dnia targowego.

' handlującym mięsem na kiju

1 obnośnym rzeźnikom na kawalki

' wylot ul. św. Krzyża ku Plantom

\* wylot ul. Siennej ku Plantom

\* straż targowa

\* harap

' ul. św. Krzyża

~ 80

Krzych nie zważał na ich zaczepki i ruszył przed siebie wprost na widoczną już dzwonnice. Przyszedł w samą porę, a o biskupa nie musiał nawet pytać, gdyż właśnie otworzyła się brama i Muskała wyszedł w towarzystwie dwóch poważnych i, ze stroju wnosząc, dostojnych mężów. Orszak dosiadł koni, a oni mówili o czymś po niemiecku, kończąc widocznie rozpoczętą poprzednio rozmowę.

Natychmiast gromadzić się zaczęli gapie i z ich uwag

Krzych dowiedział się, że rosły mąż ze szpakowatą brodą, to sam potężny wójt Albert, drugi zaś, to mincerz, od niedawna starosta krakowski, Reinhardus z Florencji.

Krzych wahał się, nie śmiejąc przystąpić. Dopiero gdy Albert ucałował na pożegnanie dłoń Muskały, który dosiadł konia, zebrał na odwagę i podszedł do biskupa.

Dostojnik spojrzał ostro na śmiałka, ale poznał go widocznie, gdyż spój rzenie mu złagodniało i odezwał się:

- A, to ty?

Sięgnął do kalety, ale Krzych, przypominając sobie zalecenie Terki, powiedział:

- Weźcie mnie, panie, na służbę.

Równocześnie położył rękę na szerokich, purpurowych wódzach konia, które wabiły jego oczy.

- Na służbę? - zapytał Muskata, ściągając jednak wodze, gdyż podrażniła go poufałość. - A co ty umiesz?

Krzych po namyśle odparł:

- Nic.



- No, młodyś. Możesz się nauczyć. Coś za jeden?  
- Krzych.  
- Takie dobre imię jak inne. Ale wolny, czy przypisaniec, mieszczanin, czy chłop? Kto twoi rodziciele?  
Krzych wzruszył ramionami i odparł:  
- Nie wiem.  
- To iście niewiele wiesz. A skądś?  
Krzych nic nie odpowiedział. Zniecierpliwiony już biskup zapytał:

- Sam żywłesz, czy z kimś?  
"Wawelskie wzgórze - 6 81  
- Z Terką i Duszka.  
- Krewniacy?  
- Może krewniacy. Nie wiem.  
- A kto ci rzekł, gdzie mnie masz szukać?  
- Mniszki z... - przypominał sobie przez chwilę. Biskup chcąc mu pomóc poddał:  
- Od Św. Ducha?  
- Z prostibulum - wycodził z trudem Krzych. - Kazały się wam pokłonić.

Oczy biskupa błysnęły gniewem; ale niespodziewanie roześmiał się:

- Trottel!1 - rzucił do Reinharda, który też widocznie hamował śmiech i ciągnął po niemiecku:  
- Może wy go weźmiecie do oficyny 2. Do żadnego cechu nie przyjmą znajdy, a już najmniej gołego. Ale jaki głupi, taki silny. Znajdzie się tam praca i dla takiego ciotka.  
- Niech przyjdzie - odparł Reinhard.

Muskata, zwracając się do chłopca, powiedział: ,  
- Ja takiego nie potrzebuję, ale zgłoś się na zamek, do pana starosty Reinharda. Będziesz pamiętał? .

- Juści. Reinhard.  
- Pan starosta Reinhard. A tymczasem masz, kup sobie giezło i skórnie, bo zima idzie i pół goło po mieście chodzić nieprzystojnie.

Wydobył z kalety dwa szerokie grosze praskie i, wręczając je Krzychowi, dodał:

- A oszukać się nie pozwól. Tu wszystko na głupców jeno czeka, by obedrzeć do naga.

Trącił konia ostrogą, zostawiając zarumienionego Krzycha i orszak ruszył, skręcając przez bednarski targ pod dzwonnica i pod murem cmentarza dawnej parafii św. Trójcy ku Grodzkiej bramie.

1 głupiec

2 mennica

82

Reinhard, wracając widocznie do poprzedniej rozmowy, odezwał się:

- Niesłusznie się wasza dostojność sierzdziła na wójta Alberta. Ani mu to w głowie, by szczerze miasto Włodzisławowi wydać zamierzał. Złapać jeno chce, co się da, niczego nie stawiając. Może i nie ufa, że młody pan nadciągnie, ale pierwszy

się oddaniu grodu Łokietkowi sprzeciwił. Widno jako i my liczy na to, że gdy Wenzel z wojskiem przyjdzie, przywłaszczyciela jako w paści w mieście ułowim i raz z nim koniec będzie.

- Jedno mi dziwne, że Łokiet do was nie słał o wydanie grodu. Przecie rozumie, że w razie wojny w samym mieście się nie ostoi, jeśli Wawelu nie posiędzie.

- Ale pewnie mniema, że, miasto zajmąwszy, zmusić mnie zdoła, bym go wydał.

- Może i to być. Ale może i nie. Na baczności się mieć musicie. Chytry jest.

- Konrad już i na Wawelu był i drugi kasztel zbudował, a zamku nie dostał. Jeszcze z takimi wojskami!

Roześmiał się, ale Muskata był zadumany. Zresztą rozmowa się urwała, bo gościniec solny ku przewozowi wchodził na przepadliste bagno, rozmiękłe jeszcze od wezbranych wód Rudawy, po którym przejazd umożliwiały jeno nawalone gałęzie i chrust. Koniom więzły nogi, tak, że uważać trzeba było. Dopiero gdy minęli młyn i łąznie pod Wawelem, ruszyły rażniej, pnąc się na górę.

Krzych tak się zajął otrzymanymi pieniędzmi, które po raz pierwszy w życiu widział z bliska, że zrazu nie zauważył, jak otoczyli go gapie. Spozrzegłszy to, chciał się wymknąć, pomny na przestrogi, ale nie było łatwo. Tłum wyrostków różnego wieku, przeważnie scholarzy i rzeźniczych uczniów, zwęszył zabawę, może i zysk, a przynajmniej ciekawość chciał zaspokoić, skąd obdartemu wyrostkowi znajomość z potężnym biskupem. Nie tylko poważył się zatrzymać nieprzystępnego dostojnika, ale jeszcze i pieniądze od niego dostał. Ufni w liczbę ~ 83 ~

i na swoich śmieciach zuchwali, nie zamierzali wypuścić chłopaka, mimo że widać było, iż sił mu nie brak. Gdy jął ich odsuwać, przepychając się, by odejść, jeden przez drugiego wrzeszczeć zaczęli:

- Pokaż, ile ci pan biskup dał?

- Skądże ci taka znajomość?

- Piwa byś postawił, kiedy ci darmo przyszło.

- Nie bądź taki mocny, bo nas tu więcej.

Dalej stojący ze śmiechem i krzykami zaczęli przeć ku środkowi, tak że ścisk się zrobił, a Krzych tkwił w nim, nie wiedząc co począć. Nagle twarz skurczyła mu się gniewem, porwał najbliższego za kabat na piersiach i pchnął nim tak potężnie, że obalił kilku.

Rozległy się wrzaski i na barki i głowę Krzycha posypały się razy, których nie pozostał dłużny, ale może by się źle skończyło, bo czeladź rzeźnicza już do nożów sięgała, gdy nagle ktoś krzyknął przeraźliwie:

- Ceklarze idą!

Kupa rozprysła się, jak woda od rzuconego w nią kamienia, a Krzych namyślał się jeszcze, w którą stronę uskoczyć, aby ująć z oczu gawiedzi, gdy za rękę go uchwycił tęgi wyrostek pod wąsem i pociągnął za sobą. Krzych, rad znaleźć się jak najprędzej za murami, wyszarpnął rękę, ale nieznajomy po-

wiedział:

- Pójdźże! Nie zjem cię.

Krzych nieufnie ruszył za nim, rozglądając się na wszystkie strony, ale nieznajomy zaśmiał się:

- Nijakich ceklarzy nie było. Inom tak krzyknął, by cię poniechali. Dziękować mi winieneś, bo z rzeźnikami bójka niezdrowa, a nasi scholarze jeden za drugim stoją; nie dałbyś rady. Pieniędzyś nie stracił? Pokaż, ile ci pan biskup dał? Krzych trzymał je dotychczas w zaciśniętej pięści i spojrział podejrzliwie na towarzysza, który zrozumiał widocznie spojrzenie, gdyż pogardliwie wydał wargi:

- Boisz się? Nie takie mam, a nie boję się pokazać.

Pogrzebał za pazuchą i wyciągnął złotą monetę.

~ 84 • ~

- To mi pieniądz! Dukat ze św. Markiem, wenecki! A tobie pan biskup pewnie skojca dał, albo denara - skrzywił się pogardliwie.

Krzych zmieszany otworzył dłoń. Towarzysz obejrzał pieniądze i powiedział:

- Nie jest tak źle. Praskie grosze dobry pieniądz. Ale żebyś za to skórnio dostał i giezło i choć byle jakie trepy, tak dobrze nie ma. A zjeść i wypić też by się coś zdało, bo i wieczór niezadługo. Znasz się co na pieniądzach?

- Nie - odparł Krzych zawstydzony.

- Tak i myślałem. Zaraz widać po tobie. Szczęście masz, żeś na mnie trafił. Praski grosz wart dwanaście naszych denarów, a idzie ich czterdzieści i osiem na grzywnę. Ale co ci tam o grzywnach -mówić! Nie prędko je obaczysz, chyba że ze mną trzymać będziesz. Mam ja sprawę, na której obaj moglibyśmy zysk mieć nie byle jaki. Wraz pomiarkowałem, że chłop z ciebie silny, a takiego mi właśnie potrzeba i żeby nie był bojący. Może i ty będziesz miał dukata, a może i więcej.

Krzych spojrział dość nieufnie na towarzysza i zapytał:

-- A ty coś za jeden?

- Nosderka mi jest. A tobie Krzych, jako słyshałem. Klerikiem jestem, jeno że mi zbrzydło. Cisnę szkołę, niech się jeno sprawa uda, o której mówię. Może skrybą ostanę, bo pisać umiem na pergaminie i łacinę znam - powiedział dumnie. - A może handlu się chwycę. Jeśli mi teraz pomożesz, to cię wezmę do służby.

- A co to za sprawa?

- Schwytać muszę rzezimieszka, którego straż ułować nie może. Jedna bardzo dostojna pani mi zleciła. Musiał dziś być na targu, bo psa jego widziałem, ale samego ułować trudno, bo śliski jak węgorz. Co będziemy gadać o pustych brzuchach? Pójdźmy na rybny targ śledzi kupić i bułkę chleba, a potem na piwo do gospody. Na trepy i tak ci ostanie, a giezło głupi by kupował, skoro wiszą na każdym płocie. Jeno się chytrze zakręcić, dostać darmo można.

~ 85 ~

Krzych nie bardzo rozumiał dlaczego za jadło i napitek on ma płacić i dlaczego giezło można dostać darmo, a resztę przy-

odziewy trzeba kupić, ale onieśmiał go doświadczony widocznie towarzysz, nie pytał przeto, by się na drwiny nie narażać.

Weszli tymczasem na Rynek, ale kramy rybne i śledziowe pod św. Wojciechem już były zamknięte, a Rynek opróżniał się, bo krótki listopadowy dzień miał się ku schyłkowi, tym bardziej, że zachmurzyło się znowu. Zamykano też kramy w Kofkamerze ławkami, a przejścia między nimi drewnianymi kratami.

- Dziś i tak nic już nie kupimy, bo smartuzl zaparty.

Wszystkiego tam dostać można, od igły do kosy i od ciżem do czapki; a zdała by ci się. Po prawdzie, to gołyś, ale pilnuj się mnie, to się dorobisz. Tymczasem pójdźmy wypić.

Ze sklepów, do których zejścia po schodach wiodły wprost z ulicy, rozlegały się śpiewy i wrzaski. Zapijano wedle obyczaju litkup, a ten i ów zdążył już sobie podchmielić. Przed jeden z szynków u wylotu Grodzkiej ulicy, naprzeciw ołwiarnego targu, zajechali szrotarze 2 i położywszy na schodach deski, spuszczały po nich na pasach beczki z piwem. Nosderka pociągnął Krzycha za nimi, mówiąc:

- Tu pójdziem, bo piwo będzie świeże.

Korzystając, że obecni rozstępować się 'musieli, czyniąc miejsce dla toczonych beczek, Nosderka poszedł w głąb piwnicy, dość nędznie oświetlonej kagankami. Tylko przy jednym stole w kącie koło lady paliły się świece i siedziało przy nich kilku poważnych mieszczan. Leżące obok nich wysokie laski z metalowymi gałkami wskazywały, że to członkowie miejskich magistratur. Inne stoły z dębowych desek, położonych na kozłach, zajęte były przez kupców, rzemieślników, miejskich pachółków i przejezdnych. Panował gwar, ale obecność dostojników hamowała widocznie swobodę, bo gdy ani po

\* Schmaterhaus - sprzedaż różnych towarów

2 rozwoziciele piwa

~ ,86 ~

chwili wyszli, natychmiast podniosła się wrzawa, a opróżniony stół zajęło czterech ludzi, nieznanym widocznie, bo pili na osobności stojąc przy ladzie w głębi piwnicy. Nosderka docisnął się do ławy, za którą opasły gospodarz nalewał z beczek stojących na niskich kozłach wszelakie napitki i grubym " głosem poganiał roznoszące je dziewczki.

Nosderka rękę niedbale przyłożył do czapki i powiedział:

- Abend, her Czudisz! Dwa achtele piwa.

Gospodarz spojrzął na niego krzywo i burknął ze złością:

- Twojego dukata już widziałem. I kto go nie widział!

Zapłać naprzód, coś winien. Na borg nie ma.

- Nie będę mienia! dukata, by płacić za piwo. I mógłbym zgoła nie zapłacić, bo na borg szynkować nie wolno.

- Ty huncwocie! Idźno, bo cię wyciepnę, razem z twoim kamratem.

- Nie kamrat, jeno sługa. Jego myślelibyście wyciepnąć? - Pójdź-no - zwrócił się do Krzycha - postaw panu wirtowi beczkę na ladzie, bo mu się schylać nie chce do pipy.

Krzych położył trzymane w garści pieniądze i schwyciwszy beczkę bez wysiłku dźwignął i postawił przed zdumionym gospodarzem. Nosderka tymczasem zabrał pieniądze i pokazując je gospodarzowi powiedział:

- Innemu bym nie zapłacił, ale wam, her Czudisz, zapłacę. Hem winien?

- Z pół fasy już na borg wypileś. Trzy skojce.

Nosderka niedbałym ruchem położył przed gospodarzem grosza, wziął resztę i wręczył jeden kufel zdziwionemu Krzychowi, mówiąc:

- Pij! Potem pójdziemy co zjeść.

Krzych, który od rana nic nie miał w ustach, wypił, ale skrzywił się i splunął. Zakręciło mu się w głowie, bo czczy " był, a w życiu żadnego trunku nie pił.

- Nie smakuje ci! - zapytał Nosderka. - Podłe u was piwo, her Czudisz. Trzeba lepiej dbać o takich jak ja gości. Skoro patrzeć, będą mnie z pokłonami do samych schodów odprowadzać.

~ 87 ~

Zwrócił się ku wyjściu, gdy oko jego padło na siedzących przy opuszczonym, przez rajców stole ludzi. Grali w kości. Na ten widok Nosderka zapomniał o głodzie i towarzyszu. Stanął przy nich i patrzył. Podeszło kilku czeladzi i również śledziło grę.

Szła ze zmiennym szczęściem, pieniądze przechodziły z rąk" do rąk, ale po dłuższej chwili jeden zgarnął większą wygraną i powiedział:

- Bóg zapłać. Na dziś mi starczy.

Przecisnął się do lady, napił się piwa i wyszedł. Nosderka usiadł na opuszczonym przez niego miejscu.

- A ty tu czego? - zapytał gracz z krótką, czarną brodą i również czarnymi ruchliwymi oczyma, który właśnie trzymał kubek z kośćmi.

- Zagrałbym.

- Pieniądze masz?

Nosderka pokazał Krzychowe pieniądze, Krzycha jednak trącił go:

- Pójdźmy! Głodnym.

Ale Nosderka ani myślał odejść. Przez ramię burknął do Krzycha:

- Czeka! Jeno wygram trochę, wraz pójdziemy.

Pomrarkował jednak, że w Krzychu zbiera złość i dodał pojednawczo:

- Zaprowadzę cię na takie żarcie, jakiegoś w życiu nie widział.

I nie zważając, już na Krzycha zaczął stawiać ostrożnie.

Wygrywał i przegrywał po denarze, ale na ogół mu szło. Nie myślał jednak na tym poprzestać. Kupki srebra leżące przed graczami nęciły go nieodparcie. Rozpalał się, na twarz wystąpiły mu wypieki, ale nie był nowicjuszem i panował jeszcze nad sobą. Natomiast zaczynało się w nim budzić podejrzenie. Niespodzianie raz za razem brodacz wyrzucił wysokie kości

właśnie, gdy Nosderka podwoił stawkę. Podwoił znowu i brodac znowu miał wysoki rzut, Nosderka jednak miał najwyższy. Był przy swoich pieniądzach i przez chwilę zawahał się

88

czy nie wstać, ale namiętność przemogła. Dwa razy z rzędu postawił wyższą stawkę i przegrał. Mimo roznamiętnienia zauważył jednak, że brodac przy grze z kamratami miał rzuty różne, z nim zawsze wysokie. Nosderka miał już ostatnie pół grosza. Postawił i zaczął się. Gdy brodac sięgnął z drwiącym uśmiechem po wygraną, Nosderka 'niespodzianym ruchem chwycił jego kości. Były fałszywe.

- Przechery! - wrzasnął.

Brodacz chwycił go za rękę, by wydrzeć kości, a dwaj inni zerwali się, wyciągając noże i wymachując nimi, by otworzyć drogę. Jakoż gapie rozskoczyli się, a kostery pewni, że przywódca nadaży za nimi, skoczyli ku wyjściu i wpadli w ciemność. Nie pierwszy raz tak grali i byli zmówieni na każdy wypadek. Tym razem nie przewidzieli, że tęgi i obrotny rzezimieszek legnie od jednego uderzenia pięścią Krzycha ze złamaną szczęką i wybitymi zębami. Przytomny Nosderka zgarnął pieniądze ze stołu i wsunąwszy je za pazuchę chwycił Krzycha za rękę:

- Pójdźmy! Czekać nie ma co.

Na wszelki wypadek przy wyjściu puścił Krzycha naprzód, ale spółnicy pamiarkowawszy, że jest źle, też woleli nie czekać na nadejście straży, którą zwabić musiał wrzask, jaki się uczynił.

Krzych szedł milczący, a Nosderka gadał:

- Opłaciło się. Źle jeno, iżeś go tak wyciął, że ostał. Mogą dojść kto z nim grał, a po karczmach grać nie wolno, a już najmniej scholarzom. Ale jeśli nie głupi, to ^ę wyprze. My zaś tymczasem podjemy za ich pieniądze. Gęsp teraz tłuste i znam tu jedną wdowę, co je tak umie przyrzędzić, że same leżą do brzucha. Będiesz się miał dobrze przy mnie i czuje już, że i tamta sprawa nam się uda.

- Pójdę ja już sobie - odburknął. Krzych. - Bramy zamkną.

- To za miastem żywiesz? Bramy już zamknięte. Pojemy, a potem pójdziemy do dziewczek spać.

89

- Nie pójdę do dziewczek - odparł Krzych. - Oddaj mi moje pieniądze.

- U mnie pewniejsze. A za bramę nie wyjdiesz, po mieście zaś w nocy włóczyć się nie wolno. Ino byś na ratuszu przespał, a pieniądze stracił. Pójdź.

- Nie pójdę.

Głos Krzycha był już przytłumiony gniewem. Ale Nosderka uznał, że niedoświadczonego chłopca należy wziąć z góry. Odparł ostro:

- Słuchać masz. Pieniądze u mnie zostaną, bo ja płacę za wszystko. A spróbuj się stawiać, to z kabatów nie wyjdiesz. Widzisz to? - wskazał na majaczący drewniany budynek ra-

tusza z wieżą pośrodku i latarnią nad bramą. - Tam trzymają takich, co bójkę wszczynają po karczmach. Gęsi tam nie dają, jeno chleb i wodę, a spanie gorsze niż u dziewczek. No, idziesz pókim...

Nie zdążył dokończyć groźby, bo Krzych lewą ręką ułapił go za twarz i podbiwszy nogi obalił na ziemię. Kolanem przytrzymał szamocącego się, a prawą sięgnął za pazuchę domacał się pieniędzy, wziął co wpadło w garść i skoczył przed siebie. Za nim rozległ się wrzask Nosderki:

- Gwałt! Rabunek! Chwytać złoczyńcę!

Na ulicach już ruch zamierał, ale wrzask zwabił trochę ludzi, a z ratusza wybiegła straż. Nosderka dopadł bramy nie przestając krzyczeć i urywanymi słowami opowiadał, co mu się przygodziło. Nadszedł na to sam hutman Herman i poznawszy Nosderkę zapytał:

- Znowu ty? Miast w szkole spać, po mieście się włóczysz. Żeby nie pani Adelajda, wrazibym. cię do kabatów na nocleg zaprosił.

Nosderka opanował się i odparł "zuchwale:

- Żeby nie pani Adelajda, mię włóczyłbym się po mieście. Wasza straż nawet nie wie, że wyświecony Marchewka znowu był na targu, bo widziałem jego psa. Tedy sam go szukałem, bo gdyby się pani Adelajda dowiedziała, że nic nie czy-

~ 90 ~  
nicie, by go ująć, gniewna by była. Przyczepił się do mnie jakiś rzezimieszek, który obiecywał, że pomoże go schwytać. Pomiarkował, że mam pieniądze i obaliwszy mnie znienacka, zabrał.

Nosderka sięgnął do kieszeni za pazuchę i wyciągnawszy, co mu pozostało, przeliczyć chciał pod latarnią. Ale się pod nim nogi ugięły, gdy spostrzegł, że dukat zniknął. Uważał go za zadatek swego szczęścia i nawet miał w kaptorguł nosić, jeno zawsze na co innego wydał pieniądze. Rozpacz jego przeszła w wściekłość:

i

- A wy stoicie, jakby nigdy nic. Dowie się pani Adelajda, jak jej gorliwie usłużyć chcecie.

Hutman zrobił ruch, jakby chciał kopnąć Nosderkę, ale się pohamował i zacisnął zęby:

. - Rzezimieszek nigdzie nie ujdzie, jeśli go kto nie przechowa. Straż wysłę, a na bramach się zapowie, by pilnowali. W którą stronę zbiegł i jak wyglądał?

- Sam pójdę z ceklarzami; żebym całą noc miał nie spać, najdę przechereę.

Gdy straż z Nosderka odeszła, Herman splunął i mruknął:

• - Albo się złotego łańcucha dorobi, albo powroza na szyję. Tfu!

' schowek na amylet

x

Póki było słyhać wrzaski Nosderki, Krzych uciekał, potykając się w ciemności i wpadając w kałuże. Tu i ówdzie nad bramą domu świeciła latarnia, ale niepewne światło bardziej myliło drogę niż oświeślało.

Skręciwszy w Szwiecką ulicę uskoczył w pierwszy zaułek. w prawo, wycuciem kierując się ku północy. Po chwili wpadł niemal na mur otaczający kościół św. Szczepana 1. Omackiem. wzdłuż niego wyszedł na błotnisty plac i znowu kierując się ku północy dotarł do murów miejskich, pod którymi ciągnęła się twardsza droga. Wiedział, że idąc koło nich musi dojść do bramy św. Floriana. Na razie nie myślał jak nią przejdzie, ani że czatować tam mogą na niego. Szedł jeno czujny wszystkimi zmysłami i gotów do obrony.

W smolistym mroku ledwie można było odróżnić czerń muru od nieba. Po prawej stronie zamajaczyła jakaś ciemniejsza budowla, z której wylaniał się przysadkowaty prostokąt wieży ze spadzistym dachem. Gdy minął kościółek pod wezwaniem św. Macieja 2, linia muru zagubiła się i rozmazała .na tle bezlistnych już drzew. Teraz Krzych zawierzyć mógł jedynie czuciu i słuchowi. Jednostajny szum wezbranej wody w fosie za murem zmieszał się z poświstem wstającego wiatru w gałęziach. Zaraz jednak dwa te odgłosy zaginęły w plusku i dudnieniu. Krzych przystanął.

- Młyn - pomyślał.

' na obecnym pl. Szczepańskim, dziś nie istniejący  
8 dziś nie istniejący, w okolicy kościoła Reformatów  
~ 92 ~

Uprzytomnił sobie jednak, że o tej porze młyn już nie miele, przy tym odgłos był jakiś inny. Wśród plusku wody wybijał się" -wyraźnie metaliczny podźwięk. Posuwając się w tym kierunku Krzych nagle przystanął. W ciemność nocy o kilkadziesiąt kroków przed nim wypadały kliny światła przez szpary w okiennicach jakiegoś budynku przylegającego do murów i zamykającego drogę. Krzych rozważał, czy nie zdołałby się wspiać na mur, gdy nagle posłyszał za sobą głosy i zobaczył światło latarni. Skręcił w ulicę za budynkiem i posuwał się szybko, choć ostrożnie. W dole szeleściła woda, a pod jego stopami dudniły deski na próżni. Mostek, nie mostek? Wody widać nie było.

Przed nim świeciła latarnia nad bramą w murze cmentarza przy klasztorze zakonników św. Augustyna, a słaby poblask jej kładł się na ścianach kościoła stojącego na narożniku dwóch ulic. Brama wiodła widocznie na cmentarz.

Krzych zamierzał uskoczyć za kościół, by przeczekać aż przejdą nadchodzący za nim ludzie, gdy z przecznicy przed sobą posłyszał również odgłosy i szcęk broni. Kroki były szybkie, a głosy zdradzały podniecenie. Ani chybi, jego ścigają. Nie namyślając się przesadził murek i przycupnął pod nim. Po drugiej stronie kościelnego obejścia widoczne były małe domki. F r a - tres depenitentia beatorum martyrum 1, od rogatych kapeluszy zwani pospolicie Rogaczami, mieszkali każdy z osobna, by swobodnie rozmyślać nad sprawami wieczności. Widocznie byli w chórze, bo chatki były ciemne, a od kościoła dochodził pomruk modlitwy.

Mimo to Krzych usłyszał jakby głucho i urwane warknięcie. Pies? Uczyniło mu się ciepło. Jeśli zacznie szczeekać, zdradzi go. Ale cicho było. Stał nie śmiejąc odetchnąć, jeno bystro rozglą-



dał się dokoła wyteżonymi oczyma. Majaczyły kopczyki mogli-  
łek i sterczące nad nimi krzyże. Koło jednego z nich widniała  
jakaś jaśniejsza plama. Ostrożnie ruszył przed siebie. Znowu  
usłyszał urwane warknięcie, a zaraz po nim przenikliwy szept:

- Stójże,-aż przejdą.

' bracia pokutni św. męczenników

93

Stanął jak wryty i serce mu zabiło. Człowiek z psem widocz-  
nie również nie miał ochoty spotkać się ze strażą. Gdy głosy jej  
umilkły i jeno pomruk modlitwy przerywał ciszę, Krzych bacz-  
nie i ostrożnie podsunął się do psa. Ledwo dosłyszalny wionął  
ku niemu z ciemności szept:

- Burmistrze! czuwają. Zaczekaj tu dwa Ojczenasze.i cicho  
przeleż przez mur.

Jakaś ciemna postać smygnęła przez niewysoki murek, a za  
nią jaśniejsza plama psa. Krzych poczekał chwilę i przeskoczył  
na ulicę. Przy niepewnym świetle latarni umarłych 2 spostrzegł  
wyrostka z workiem na plecach i psa. Zdało mu się, że to tego  
psa widział rano na targu, jak umykał z ćwiartką cielęcia. Wy-  
rostek klęczał na środku ulicy i coś grzebał. Gdy Krzych zbliżył  
się, zapytał:

- Trzeba ci za mury?

Krzych przytaknął. Tamten ozwał się (krótko:

- To pomóż mi dźwignąć. '

Podważył deskę wdeptaną w błoto-uliczne, odsłaniając czar-  
ny otwór, z którego dochodził szelest płynącej wody. Niezna-  
jomy powiedział:

- Pójdź za mną pod prąd. ,

Gdy dostrzegł, że Krzych zawahał się nieufnie, dodał:

- Wóda tu płynie z rurmusa na Rudawie do rząpji w Ryn-  
ku i indziej. Nie trwóż się, wyjdziemy. Jeno głowę schylaj do-  
brze, a deskę za sobą zasuń, boby doszli, że tędy ktoś chodzi  
i kratę założą od koła, korę wodę czerpie z, fosy.

Nie czekając na odpowiedź zniknął w otworze.

Krzych nie miał wyboru. Ostrożnie spuścił nogi w otwór

• i nim schował głowę poczuł pod stopami oślizłe deski, którymi  
dno było wyłożone. Prąd rwał dość bystro, ale nie było głęboko.

Omackiem założył deskę nad sobą i posuwał się w grobowej  
ciemności, tak głębokiej, że trudno było uwierzyć, iż zabłyśnie

' służba wodociągowa i pożarna

2 przed cmentarzami świeciły się latarnie, zwane "latarniami umar-  
łych"

/

~ 94 ~

jeszcze światło. Otuchy dodawał Krzychowi szum wody rozbi-  
jającej się o kolana idącego przed nim wyrostka. Nim przebyli  
kilkadziesiąt kroków zajaśniał przed nimi wylot, a gdy wychy-  
nęli na wolne powietrze, Krzychowi zdało się, że noc pojaśniała.  
Stali po kolana w wodzie w dużym zbiorniku o ścianach z desek,  
a przed nimi ogromne koło kręciło się ze zgrzytem, szumem  
i podzwiękiem miedzianych kadzi i zlewało do zbiornika wodę;  
Białe bryzgi piany świeciły w ciemności.

W zbiorniku woda kotłowała się, ale nie było prądu. Posuwali się wzdłuż ściany, a po chwili towarzysz Krzycha dotarł do kąta, jak kot wspiał się po cembrowinie i zniknął. Krzych wspiał się za nim i dostrzegł, że stoją na wale, po drugiej stronie fosy. Od przedpoła odgradzał ich już jeno pochylony na zewnątrz częstokół, który przesadził?! bez trudu, mimo że nieznajomy miał ciężki worek na plecach. By coś powiedzieć, Krzych zapytał:

- Gdzie pies?

/- Najdzie się - odparł towarzysz beztrusko. - On się wody nie boi; i ja nie łażę tą dziurą, gdy woda cieplejsza, jeno gdzie bądź przepłyne. Masz szczęście żeś mnie spotkał, boś pewnie mieszek komuś urzezał i ciepło, by ci było, gdyby cię dopadli.

Zaśmiał się drwiąco.

Krzychowi z oburzenia krew uderzyła do twarzy, ale pomyślał, że w mieście kradną pewnikiem wszyscy, tylko nie trzeba dać się schwytać. Mimo to odparł dość gwałtownie:

-Nie kradłem, jenom Nosderce swoje odebrał.

- Komu? - zapytał nieznajomy, jakby nie dosłyszał.

- Wždy mówię: Nosderce. Znasz go?

- Znamy się.

Coś takiego było w głosie towarzysza, że Krzychowi nie-swojo się uczyniło, iż nieostrożnie wymienił przezwisko; ale nieznajomy klepnął go po barku:

- Dobrześ uczynił. Ale pójdźmy, bo stać zimno. Dokąd idziesz?

~ 95 ~

Krzych zawahał się, czy zdradzić swe siedzisko, ale wyrostek widocznie to zauważył, gdyż rzekł:

- Gdybym chciał i tak bym się dowiedział. Odprowadzę cię, bo po tych bagnach i wybojach błąkać się możesz do rana. Jeno worek mi poniesiesz.

Ruszyli, a w tej chwili nadbiegł pies i z rozmachem otrzepał się z wody. Krzych poznał go teraz.

- Twego psa widziałem jak ściągnął ówierć cielaka.

- Niesiesz ją w sakwie - odparł towarzysz, śmiejąc się. - Ale opowiedz, jak było z Nosderką.

Gdy Krzych skończył, nieznajomy wyrostek zachichotał:

- Trzeba mu było jeno łeb ukręcić, to by nie krzyczał.

Taka zjadliwość zasyczała w jego głosie, że Krzychowi uczyniło się niemilo. Towarzysz, zaś zapytał:

- Wiesz kogo miałeś pomagać złować Nosderce? Mnie!

Milczał przez chwilę, po czym rzekł spokojnie: \*

- Podziękuj św. Florianowi i swemu patronowi... jak d jest?...

- Krzych.

- Że cię od tej służby ustrzegli - ciągnął. - Nosderką mnie popamięta... i oni wszyscy... jeśli się w piekle pamięta.

Krzych nic nie odpowiedział i szli w milczeniu; ani się spostrzegł, jak z ciemności wyłonił się prostokąt budowli kościel-

nej i zabłyśły światła w plebanii.

- Zajdź do mnie - powiedział Krzych. - Zagrzejesz się.

Weszli. Duszka leżał w kącie i ani się nie poruszył. Terka siedziała przy ogniu i spojrzała pytająco i nieufnie na Krzychowego towarzysza, który rozejrzał się szybko, jakby czegoś szukał i nie mając na czym usiąść, wyciągnął się przy ognisku. \* Krzych również patrzył na niego z ciekawością. Niewielki,, raczej smukły, ale ruchy miał silne i dojrzałe. Zarówno w zachowaniu jak w wyglądzie było zarazem coś pociągającego i odpychającego. Młodzieńcza, różowa twarz z czerwonymi ustami, o pięknych, już wyostrzających się rysach, tworzyła przeciwieństwo z jasnymi, złymi i mądrymi oczyma. Teraz patrzył w ogień, ale Krzych był niemal pewny, że jednym rzu-

~ 96 ~

tem oka zobaczył wszystko, co chciał widzieć. Po chwili milczenia Terka zapytała:

- Cóżes zdziałał, żeś tyle czasu strawił? Nalazłeś biskupa?

Dał ci co?

Krzychowi zda'10 się, że uszy nieznajomego drgnęły na wzmiankę o biskupie. Wyciągnął pieniądze z kieszeni kozucha.

Wśród poczerńskiego srebra zabłyśnął złoty dukat.

Nim Terka zdołała się odezwać, Ostróżka dźwignął się na łokciu i zapytał:

- Nosderki dukat?

Sięgnął jak po swoje i patrzył na pieniądz dziwnym wzrokiem. Schował go do kalety tak szybko, że nim kto zdołał się sprzeciwić wyciągnął już inny i zręcznie rzucił Krzychowi na rękę, którą zaskoczony chłopak trzymał tak, jak wyjął pieniądze. Terkę jednak podrażniła niezrozumiała dla niej sprawa.

- Gadajcie, co to znaczy. Cos za jeden i co tu sobie tak poczynasz?

Wyrostek wzruszył ramionami.

- Wam zajedno, a ja muszę mieć dukata Nosderki. Tu macie, żeby wam krzywdy nie było, bo widzę że nie bogato u was.

- Wysypał z worka różne przedmioty z odzieży i żywności i widocznie zbierał się do wyjścia, gdy rozległy się kroki i w drzwiach stanął prałat Zdzisław. Rozejrzał się po wnętrzu, a potem oko jego spoczęło na nieznajomym wyrostku.

- Ostróżka? Co tu robisz? Myślałem, żeś na służbie u kasztelana.

- Znajomków odwiedziłem, a nie służę nikomu - odparł szorstko.

Prałat wzruszył ramionami i zwracając się do Terki powiedział:

- Przyszedłem zapytać, czy macie co jeść. Widzę, że tymczasem nie trzeba. Braknie wam, zachodźcie do mnie.

Pochwalił Boga i wyszedł, a z nim zniknął Ostróżka?. nawet nie zauważyli kiedy. Terka zaczęła wypytywać Krzycha, przygotowując równocześnie wieczerzę, gdy z kąta odezwał się Duszka:

97

Wawelskie wzgórze - 7

-- Wyrzucicie to. Niesamowity on, albo zgoła bies. Włosy ma jak płomień djabelaki.

- Głupis - fuknęła Terka. ^- Możesz nie zryć.'A. ty gadaj - zwróciła się do Krzycha.

Gdy jednak Krzych skończył \* oppwiac&nie odezwała się w zamyśleniu:

- Dukata trza odnieść temu Nosderce skoro masz tu na służbę iść. Sama go odniosę, ty do (miasta nie chodź, póki me zmądrzejesz. Za chytry tu ludzie dla ciebie. Będę i na grodzie u starosty. A o tym Ostrórze nie gadać nikomu.

W milczeniu wzięli się do jedzenia. Krzych, choć wygłodniały, jadł niespoiro. Przez całe SWOJO życie nie miał tyle do myślenia, co dziś. Dziwna rzecz miasto. Łaszą niż las, gdzie wszystko 'było proste.

Nazajutrz.zrozpaczony Nosderka radośnie został zaskoczony, gdy stara, nieznana niewiasta wywołała go ze szkoły i zwróciła mu dukata. Dopiero po jej odejściu spostrzegł, że to inna sztuka. Westchnął zmartwiony, bo przywykł uważać swego dukata za zadatek szczęścia. Ale pocieszył się myślą, że lepszy taki dukat niż żaden, a w końcu każde złoto jest szczęściem. Natomiast uspokoiwszy się zaczął się zastanawiać, skąd obdarły wyrostek, który najwidoczniej pieniędzy nigdy w życiu nie miał, mógł przyjść do dukata. Coś niejasnego kryło się w sprawie. Nosderka ciekawy był, a nieraz mu już ciekawość korzyść przyniosła. Postanowił to wybadać.

xi

I"rzychowi w mennicy niezbyt się wiodło i gdyby nie Terka, z którą czuł się związany, byłby uciekł pierwszego dnia. Zaczęło się od bójk z nowymi towarzyszami. Choć mincerze nie tworzyli swego cechu, ni do wielkiego1 nie należeli, czeladź • przestrzegała obyczajów cechowych, o ile miała z nich zabawę lub zysk. Do nich należała ceremonia przyjmowania nowicjusza, który winien się wkupić poczęstunkiem, a w zamian znosić ' złośliwe psoty i urągania.

Krzych nie miał za co postawić piwa, co gorzej jednak, nie' potrafił cierpliwie znieść wtajemniczeń w nowy zawód. Gdy starszy czeladnik kazał mu chwycić blachę cęgami, które okazały się rozgrzane tak, że Krzychowi skóra oblaźła z dłoni, chłopak cisnął nimi w dręczyciela i o włos byłby mu głowę rozbił. Poturbowali go, zresztą nie bez odpłaty, ale od tego zaczęła się udreka. Czego nie zdołał spokojnie przetrzymać raz, znosić musiał miesiącami. Gdy przyszły wozy ze srebrem z Olkusza i niósł ciężką bryłę metalu, ktoś próg mydłem wysmarował i Krzych przewrócił się z brzemieniem, które przgniotło go i potłukło. Jeszcze go krzyże bolały po wypadku, gdy znowu towarzysz, z którym dźwigali ciężkie płyty srebra z topni do kuźni, gdzie je przekuwano na blachy, puścił nie" spodzianie ciężar tak, że płyty upadły Krzychowi na stopę i kulał przez kilka dni. Kiedy indziej, gdy w topni wylewał płynny metal z tygła do formy, czeladnik niby przypadkiem rozlał dzban wody i para (poparzyła Krzychowi twarz i ręce. wspólny cech kilku rzemiosł

Udręka nie kończyła się z dniem, nocować bowiem musiał wraz z innymi na wyżce nad oficyną. Nie było niemal wieczora, by nie znalazł w posłaniu jakiegoś paskudztwa, to znów ginęło mu coś z odzieży, kiedy indziej złali go we śnie lodowatą wodą. Toteż przez cały dzień chodził czujny i najeżony jak wilk między psami, a nocami budził się na najlżejszy odgłos i czał w ciemności.

Ilekcio o coś zapytał, udzielano mu fałszywych wyjaśnień, tak że przełożeni Niemcy za głupca go mieli i śmiali się jeno ze złośliwych psot, jakie znosić musiał. Miało to jednak i dobrą stronę, bo przestali mu dawać zajęcie w topni i kuźni, gdzie żar i przeraźliwy hałas stanowiły dodatkową udrękę dla nawykłego do ciszy i powietrza Krzycha, a ustawiczny nadzór nad każdym krokiem i obmacywanie jak zwierzęcia na targu, by nie wyniósł czego, drażniły go i upokarzały. Nigdy nie wziął nic, choć widział, że inni mimo wszelkich środków ostrożności, umieli ukraść nieco srebra.

v •

Nosił teraz z szopy węgiel do pieców lub meł flachmell na kamiennych żarnach, czasem kręcił osadzoną na osi beczkę z wodą i miałem węglowym, z której poczerniało od żaru pieńdże wychodziły białe i lśniące. Tyle ich zresztą widywał, gdyż za pracę otrzymywał jedynie marne wyżywienie i odzież. Wolał te zajęcia, mimo że zrazu jesienne dżdże nieść zaczynały śniegowe płyty, potem sroga zima hulała przenikliwymi wichrami po wyniosłej skale wawelskiego wzgórza. Krzych po mału okrzepł i zaczął przemyśliwać, jak się wydostać z nieznośnego położenia.

Duszkę przygarnął proboszcz od św. Floriana, przyrzekając umieścić go u duchaków<sup>2</sup>, którzy opiekowali się chorymi. Terka jednak zwlokła się za Krzych em, zajmując małą izdebkę u rybaka pod Wawelem. Rybak był wdowcem z córeczką i po-  
' mieszanina piasku, miału węglowego i drożdży do wygniataania "szycht" czyli form odlewniczych  
' 2 zakonnicy św. Ducha, którzy prowadzili szpital św. Ducha (na miejscu obecnego teatru Słowackiego)

~ 100 ~

trzebował kogoś, co by się zajął gospodarstwem. Chodziła też z towarem na rybny targ i radziła sobie jakoś.

- Biskupa widział Krzych kilka razy, ale dostojnik nawet oka na nim nie zatrzymał, tak że spłoszony młodzik nie śmiał przystąpić do niego i prosić o inne zajęcie. Jedyną korzyścią obecnego położenia było, że z rozmów ludzi, wśród których się obracał, poznawał stosunki w mieście i kraju. Przyuczył się też mówić jak drudzy i rozumieć po niemiecku, a i ubiorem się od nich nie różnił. Tylko oczy jego, dawniej błyszczące ciekawością, stały się smutne i dzikie. Nie chodził z innymi do dziewek i szynków, jeno gdy wolny był od pracy, ulgi szukał za murami. Wędrował samotnie po ośnieżonych już polach i lasach, a wracając zazwyczaj nocą, pozostawał u Terki, gdyż z zapadnięciem ciemności nie puszczano na gród nikogo. Szmelcarz, który nadzór sprawował nad uczniami, zwymyślał

go kilka razy za włóczenie się po nocach, a raz wziął się nawet do bicia, ale spojrzenie przekrwionych oczu Krzycha przy jego potężnej postaci przestraszyło Niemca, że lepiej tego wyrostka nie tykać. Zaklął jeno szpetnie i odtąd udawał, że nie wie, iż Krzych przeważnie nocuje poza murami. Gdyby nie to, że przyjąć go kazał sam starosta, byłby się z miejsca pozbył niewygodnego wszystkim młodzika, o wilczym spojrzeniu. Sroga zima nie' zdała się hamować przedsiębiorczości Łokietka, natomiast jakby zmroziła jego chęć układów. Na postawione przez Muskatę żądania wcale nie odpowiedział, tak że starosta Reinhard nawet już nie oczekiwał poselstwa od księcia. Chętnie by i on zagrał na "zwłokę, ale brak jakichkolwiek starań Łokietka o polubowne wydanie zamku, zdał się wskazywać, że księżę zamierza go zająć siłą.

Gdzie sam Włodzisław przebywał, nie wiedzano w Krakowie, ale wojska jego pokazywały się na wszystkich wiodących do miasta drogach. W mennicy ruch malał, aż zamarł zupełnie. Zaniechano sprowadzania srebra, gdy raz i drugi wpadło w ręce Łokietkowe. Handel ustawał, mieszczaństwo napierali na

'ł ^  
~ . 101 ~

wójtów i Radę, by powrócili do układów, nie oglądając się na biskupa. Zarzucali wójtowi Albertowi, że postawił zbyt wygórowane warunki. W mieście panował niepokój, zaczynało się rozdwojenie i wzajemna nieufność, zwłaszcza wobec polskiej ludności, która uzuchwalała się, jak gdyby Łokietek siedział już na zamku.

Gerlach von Kulpen po naradzie z Reinhardem wyjechał do Lipowca, by uwiadomić Muskatę o stanie spraw i uzyskać wskazówki. Miast nich, otrzymał rozkaz pozostania tam, celem objęcia obrony biskupiego zamku, a Muskała sam, z częścią Lipowieckiej załogi, zjawił się niespodziewanie w Krakowie i stanął na Wawelu.

Mimo że przyjechał wieczorem, pacholki zaraz pobiegli do panów wójtów, by nie mieszkając stawili się na zamku. Nie wiedzano jeszcze, jakie zapadnie postanowienie, niemniej sam przyjazd biskupa podniósł na duchu mieszczaństwo, niecierpliwie oczekujące na wieści o wynikach narady.

Nie czekano długo. Jakkolwiek wójtowie otrzymali jeno zlecenie zwołania nazajutrz zebrania na wójtowskim grodku, przecież wiadomość o wzmocnieniu załogi zamkowej i o zbieraniu wojsk przez Waclawa na wyprawę do Polski, dodała otuchy mieszczaństwu. Sarkali jeszcze niektórzy, ale już jeno po cichu, że z przyczyny upokarzających warunków, postawionych przez Muskatę, układy z Łokietkiem upadły. Żywioły, które liczyły na zmianę, przysiadły. Muskała umiał opór krwią gasić. Nazajutrz dzień był niedzielny i Krzych wybrał się na nabożeństwo do katedry. Polubił niezrozumiałe dlań, a uroczyste obrzędy, wabiło go poważne i surowe wnętrza romańskiego kościoła. Modlić się tyle umiał," co go Duszka nauczył, słowami jeno, których również nie pojmował, ale dobrze było przy tym myśleć i marzyć. Najlepiej też lubił -pozostawać w kościele po

nabożeństwie, gdy ludzie już wyszli. Spokojnie było i cicho, jak w lesie, kamienne kolumny śmigały w górę jak pnie drzew, najmniejszy szmer niósł się pogłosem, głębia ołtarza ginęła w półmroku. Krzych czuł się tu zagubiony i bezpieczny. Byłby i dziś chętnie pozostał dłużej, lecz wkrótce od wejścia  
~ 102 ~

rozległy się szybkie kroki i pacholek koniuszego stanął nad Krzychem.

- Pan biskup do miasta jadą. Dwa konie kazali osiodłać. - Pojedziesz z nim, bo ja nogę otarłem, a koniary. biskupie poszli. Pan biskup -klnie, że strach słuchać. Będą się dobrze mieli, gdy wróci.

Krzych nic nie odrzekł, jeno głową skinął. Rad był nawet przewietrzyć się w pogodny dzień. Migiem uwinął się z siodłaniem i czekał przy bramie wiodącej z zamku na zewnętrzny dziedziniec, trzymając przy pyskach niecierpliwące się konie. Kary ogier biskupa wspaniale wyglądał w złotem zdobionym rzędzie i purpurowym kropieżu, gładka sierść lśniła w słońcu jak woda. Krzych, zatrudniony teraz w stajniach, zżył się z końmi, z przyjemnością patrzył na dorodne rumaki; gdy jednak nadbiegły psy, obszczekując je swym zwyczajem i ogier zaczął bić kopytami, Krzych ruszył z miejsca, by konie przeprowadzić i uspokoić, lecz w tej chwili psy popędziły, ujadając za jakimś psim przybłądą.

- Zdało mi się chyba - pomyślał Krzych. - Co by tu robił pies Ostróżki?

Ale nie miał czasu się zastanawiać, gdy wyszedł sam komornik, przełożony nad dworem biskupim, by dopilnować wypełnienia rozkazu. Pasterz gwałtowny był i nie darował żadnego uchybienia. Komornik obrzucił okiem naprzód konie, potem Krzycha i powiedział:

- Gnój tak (możesz wozić, nie z panem jeździć. Twój łeb balwiera chyba nie widział. Włosy przytnij obyczajnie. Nie dziewczaka-ś. I szaty przybierz przystojne.

Krzycha podrażniło pogardliwe odezwanie się Niemca. Zarumienił się i odparł śmiało:

- W tom przybrany, co mi dali. Nie mój wstyd.

Niemiec spojrział ostro, ale odparł:

- Zgłoś się zaraz do szatnego, to ci barwę biskupią wyda. Skinął na strażnika, by potrzymał konie i zawołał jeszcze za Krzychem:

~ 103 ~

- A zwijaj się, bo pan biskup czekać nie lubi. O włosach nie zapomnij.

Gdy Krzych wracał za kilka pacierzy, nie poznałby sam siebie. Postrzyżone równo nad brwiami jasne włosy wymykały się spod błękitnej mycki. Opięte nogawice, jedna również błękitna, druga ciemno niebieska, uwydatniały potężne uda, stopy tkwiły w pilśniowych półcholewkach z wygiętym przodem. Rzemienny pas z mosiężnymi guzami i nożem przy boku opinał jupkę z bufiastymi rękawami, a barki okrywał półkolisty, krótki płaszcz, spięty sznurem przez pierś, z klamrami o bi-

skupich herbach na obu ramionach. Workowaty kaptur zaciągnął Krzych na tył głowy, bo zimno było mu w kark po obcięciu włosów. Trochę bawił go nowy strój, ale czuł się w nim nieswojo.

Ze zdziwieniem spostrzegł, że strażnik wiezie konie do stajni, a przed bramę zamku zajezdza czterokonna kolasa. Na przodkowych jechało dwóch pachołków, w kolasie siedziała dorodna i strojna niewiasta. Gdy pojazd stanął, pachołkowie zeskoczyli z koni, które jeden z nich przytrzymał, a drugi podszedł, by posłużyć niewieście przy wysiadaniu. Komornik biskupi klaniał się jej nisko, na co odpowiedziała dumnym skinieniem głowy nakrytej płaską czapczką, z denkiem haftowanym złotem i perłami, futrzanym otokiem i podwiką spiętą pod brodą, która uwydatniała piękny owal twarzy. Jasno błękitne oczy zatrzymały się na Krzychu z dziwnym wyrazem i skinęła na niego ręką, mówiąc po niemiecku:

- Pomóż mi wysiąść.

Gdy patrzył na nią niepewnie, komornik powiedział po polsku:

- Posłuż pani Adelajdzie, a potem kolasę odprowadź przed stajnię.

Wsparła się na Krzychu całym ciężarem ciała, tak że przez chwilę trzymał ją w powietrzu i lekko postawił na ziemi.

- Kraftiger Bengell - szepnęła.

silny drab

104

l

t

- Nie rozumiem, pani - powiedział zarumieniony.

- Szkoda - rzekła z zagadkowym uśmiechem i jęła witać nadbiegłych dostojników biskupiego dworu. Zanim zniknęła w bramie odwróciła głowę i Krzychowi zdało się, że ujrzał znowu uśmiech. Zmieszał się, ale zmieszanie przeszło w złość, gdy pachołkowie szepcząc coś do siebie i spoglądając na niego chichotać zaczęli. Przystąpił do koni i szorstko odsunął trzymającą je pachołka, patrząc na nich wyzywająco. Pomiarkowali, że szuka zwady i że lepiej jej unikać. Umilkli, jeno gdy Krzych oddalał się, prowadząc konie ku stajniom, jeden z nich coś krzyknął za nim. Krzych jednak nie zrozumiał, a udał, że nie słyszy.

Zły był i rozdrażniony. Najchętniej pobiegłby do Terki. Do jej zgryźliwości nawykł, a lubił słuchać opowiadań rybaka Siedlika o dziwach, jakie się dzieją na wodzie i bagnach, i lubił patrzeć jak jego córeczka dziecinnymi jeszcze oczyma, z których promieniowała niezachwiana wiara w każde słowo ojca, wisi na jego ustach, zasłuchana tak, że przestała gładzić swego starego, spasionego na rybach kota. Zdało się wówczas Krzychowi, że sam jest dzieckiem.

Ciągnęło go tak, że wyszedł za bramę i stanął na wale od Wisły, by choć z dala spojrzeć na rybaczą chatę nad brzegiem rzeki. Właśnie zaczęła się z niej unosić smuzka błękitnego dymu. Warzą posiłek, a rybak pewnie coś opowiada. Ciepło



ogniska może by zatarło niemiłe uczucie gorąca, jakie jeszcze odczuwał od chwili, gdy pani Adelajda przywarła do niego swym bujnym ciałem, opiętym obcisłą suknią z miękkiego aksamitu.

Myśli jego odwróciły się jednak, gdy spostrzegł, że z chaty wyszedł ktoś i idąc skalistą ścieżką u stóp wzgórza, spogląda ku zamkowi. Za człowiekiem biegł pies, żółty, biało podpalany. Nie pomylił się! Ani chybi Ostróżka. Przystanął i patrzył na Krzycha, jakby go nie mógł poznać. Krzych przypomniał sobie, że przybrany jest w nowe szaty i skinął ręką. Ostróżka również ręką dał znak, że idzie ku ujściu Rudawy, gdzie było nie zamknięte rozlewisko, służące za wodopój.

~ 105 ~

Krzych zrozumiał, a rad był nawet, że może z kimś pomóc, zaciekawiony, czego może chcieć Ostróżka. Pobiegł do stajni, przebrał się w stare szaty i wcześniej, niż zazwyczaj, pognął konie do wodopaju.

Ostróżka stał na mostku i patrzył na wodę. Gdy Krzych nadjechał i stanął przy nim, odwrócił się i powiedział drwiąco<sup>^</sup>

- Widzę, żeś się dorobił. Ani-m cię poznać nie mógł.

- Nie - odparł Krzych, zmieszany. - Jenom jeahać miał z panem biskupem, tedy mi nowe szaty dali.

- Z panem biskupem? Staraj się, to cię swoim komesem uczyni. A jeszcze żebyś się pani Adelajdzie udał...

Krzych chwycił Ostróżkę za rękę, tak że wyrostek syknął.

Szepnął przez zaciśnięte wargi:

- A ty czemu o pani Adelajdzie?

Ostróżka wykrzywił usta uśmiechem i powiedział:

- Puść-no rękę. Widzę, żeś się już udał, albo i ona tobie/ Służ-że Niemcom. Albo cię kopna jak parszywego psa, albo cię razem z nimi bies weźmie.

Znienacka wyszarpnął rękę i stanął gotowy do bitki. Ale, Krzych miał rzucić się na niego, oparł się na poręczy mostu i twarz ukrył w dłoniach. Zapanowało milczenie. Po dłuższej chwili Ostróżka przerwał je:

- Jenom się nie rozbecz. Nieprawda, co mówię?

- A nieprawda! - wybuchnął Krzych. - Jenom wiem-ci ja co robić, albo i gdzie iść? A jeszcze Terka i Duszka...

- O tym myślisz? - Ostróżka podskokiem usiadł na poręczy obok Krzycha, kładąc na niej jedną nogę, a drugą bujając w powietrzu. Pod nimi szła mętna woda, niknąc o kilkanaście kroków niżej pod lodową skorupą Wisły. Krzychowi na sam widok uczyniło się zimno, ale Ostróżka ciągnął spokojnie, jakby siedział na ławie przed kominem:

- Twoje szczęście, że ci w porę powiem. Skoro patrzeć, jak z Niemców posypią się paździerze. Jenom... - urwał i ciągnął poważnie:

- Gdybyś komu' jedno słowo powtórzył z tego, co ci rzeknę...

106

- Nie powtórzę - szorstko przerwał Krzych.

, - Potrzebuję człeka na grodzie, co by mi pomógł nocą

bramę otworzyć.

Krzych patrzył na Ostróżkę w milczeniu. Zrozumiał i odparł:

- Wždy strażą stoi na bramie.

- Stoi, to może leżeć... - Ostróżka zaśmiał się tak, że

Krzycha dreszcz przeszedł.

- Zabić?!

- Nie, 'ino poprosić, by puścili. Głupiś. Żebyś od małego tak bity był jak ja, byłbyś mądrzejszy. Ale zmądrzejesz i ty.

Więc pomożesz, czy nie? Jeno prędko mów, bo konie się niecierpliwia.

Istotnie konie napiły się już i wyszedłszy na brzeg miały się ku stajni.

- Postoisz! - zawołał Krzych do koni i zwracając się do Ostróżki powiedział:

" - Pomogę!

- Tedy dziś, jeno miesiąc zajdzie. Czekać na mnie za węglem kapitulnego domu przy wieży północnej.

- Jakoż wejdiesz?

- Nie twoja głowa.

Gwizdnął na psa i odszedł. Krzych nie patrzył za nim. Dosiadł konia i pognał stadko, jakby przed czymś uciekał lub bał się gdzie spóźnić. Ale słońce chyliło się dopiero ku zachodowi, a błądy rożek księżyca wisiał wysoko na niebie.

Koniuszy zwymyślał Krzycha, że go nie było przy wyjeździe biskupa, ale otrzymał w zamian jeno chmurne spojrzenie. Krzychowi obrzydło już życie, do którego nie mógł nawyknąć. Znosił je, póki nie widział innej drogi. Teraz, gdy miało się skończyć, zabrakło mu cienpliwości. To, na co przed chwilą się zgodził z wahaniem, zdało mu się własnym pragnieniem, tak palącym, że nie wiedział, co począć z sobą, zanim nadejdzie pora. Niemniej rad był, że nie pojechał z biskupem, a jeszcze ~ 107 ~

bardziej, że nie widział już pani Adelajdy. Zamęt, jaki w nim wywołała, przygasł jednak wyraźnie. Krzych pochłonięty był myślą o nastąpić mających wypadkach. Schował się w stajni, rad, że nie musi zetknąć się z nikim i baczyć, by się nie zdradzić z podnieceniem. Nawet na wieczrę nie poszedł. Wyciągnął nóż, otrzymany rano i oglądał go przy ostatnich blaskach zachodu. Nowy był i lśniący. Gdy zapadnie ciemność, zczernieje od krwi.

Krzych nawet nie myślał, że sam może zginąć. Nie czuł trwogi, tylko podniecenie, jakby krew miała być progiem w nowy świat, którego nie znał. Ostróżka mówił o tym z drwiną, jak o psocie. Dawno się musiał obracać w tym okrutnym świecie. Bardziej niż za' pierwszym spotkaniem Krzych czuł jak go do Ostróżki zarazem coś ciągnie i odpycha. Ale przede wszystkim czuł pewność że Ostróżka zdoła wejść, choć gród strzeżony był, jak w czasie oblężenia. Podwójne straże stały przy każdej bramie i furcie, prócz tego nieustannie obchodziły wały dokoła. Jakkolwiek

Krzych siedział już na Wawelu od kilku miesięcy, sam nie potrafiłby wyjść niepostrzeżenie po zamknięciu bram. Właśnie zamykano bramy. Skrzyp zmarzniętych zawiasów pobudził do szczekania psy. Jeszcze i one!-Ciemność nie uchroni przed'nimi. Narobią wrzawy i mogą zdradzić obcego. Krzych zaniepokoił się o Ostróżkę. Słuchał jak zawałano kłodami bramy. Dwóch ludzi miało co dźwigać, ale o to nie dbał. Odwalić kłodę wydoiliby sam. Pomyślał, że biskup nie wróci widocznie dziś na zamek. Dobrze się stało, że z nim nie pojechał.

xn

Muskata zapowiedział, że na noc pozostanie u dominikanów. Tymczasem jednak siedział jeszcze na wójtowskim gródku koło Mikołajskiej bramy, gdzie zebrało się na naradę co jeno było znaczniejszych ludzi w mieście. Pomniejsi, jak zwykle w niedzielne popołudnie, zebrali się na strzelnicę, dziś jednak ściągnęło ich nie strzelanie do celu z łuków i kusz i pogwarka o codziennych sprawach, lecz bliskość wójtowskiego gródka, u którego stóp, między murem a wałem od bramy św. Mikołaja do furty przy wejściu "na śmiecie" i ciągnęła się strzelnica. Radai byli jak najprędzej dowiedzieć się, co postanowi starszyzna. Niecierpliwili się, lecz gdy zmrok zapadł, ten i ów dopijał piwa i wychodził. Rano wstawać trzeba do sklepu czy warsztatu; z przyzwyczajenia raczej, bo zamierało w mieście wszystko. Łokietkowe oddziały ukazywały się już po wsiach okolicznych, szczególnie należących do tynieckiego klasztoru. Podejrzewano opata, że sprzyja Włodzisławowi.

Zresztą i w mieście nie brakło takich, co mu sprzyjali, jeśli nie szczerze, to licząc się z jego zwycięstwem. Bo jeśli Waclaw nie przyjdzie, opór nie ma celu.

Innego zdania jednak była starszyzna, a jeśli narada się przedłużała, to jeno dlatego, że nie byli zgodni, czy próbować jeszcze zwodzić Łokietka układami, czy nie. Ku wiosnie idzie, skoro patrzeć, jak lody puszczą i kraj zamieni się w bagno. By coś przedsięwziąć, Łokietek musi poczekać do suchszej pory, a tymczasem nadejdzie Waclaw. Za to poręczał Muskata, jak również ' późniejsza Nowa Brama u wylotu ulicy Siennej

~ 109 ~

i za to, że straty jakie by miasto broniąc się przed przywłaszczy-cielem pomiosło, Wencel przywilejami powetuje. Konrad Mazowiecki nawet spalił miasto, a i tak mieszczanom opłaciło się, że obronili gród. Dzisiaj Łokietek nawet miasta nie dobędzie; co mówić o zamku. Muskata wstał i zaczął się żegnać.

Służba z pochodniami wyprowadziła panów. Biskup szedł pieszo, bo do furty na tyły klasztoru dominikanów było jeno kilkadziesiąt kroków. Starosta ^Reinhard towarzyszył mu. Kończyli rozmowę:

- Trzeba mi jednak na Wawel. Gotowe wszystko do obrony, ale wolę sam dopatrzeć. Ku odmianie się ma, noc idzie ciemna. Coś się Łokiet rusza, jak mi doniesiono, nie zawadzi się mieć na baczości.-

- Tedy nie zatrzymuję. Zjadę tam pewnie jutro - odparł biskup.

Reinhard dosiadł konia i za chwilę był przy Grodzkiej bramie. Straż, ile jej było, stała na murze, nasłuchu jąc gwaru, jaki dolatywał od Wawelu. Starszy, poznając starostę, zbliżył się i rzekł:

- Na zamek chcieliście, panie? Radziej nie jedźcie. Coś (d się tam dzieje niezwyčajnego.

Stali jeszcze, słuchając wzmagającego się gwaru, gdy niewidoczny we mgle gród zaznaczył się rudymi plamkami świateł. Potem opar nasycać zaczął czerwony blask i z ciemności wyskoczyły wieże katedry. Płonęły zabudowania na zachodniej części wzgórza. Zarazem gwar zmienił się w nieustający wrzask, ale zmieszał się zaraz z odgłosem dzwonów. Pierwszy uderzył św. Krzyż, za nim N. M. Panny, potem sygnaturki u braci bosych i predykantów. Głos dzwonów nabrzmiewał jak fala, obejmując całe miasto. Zaroily się senne ulice, tysiące świateł wymiotło ciemność. Cechowi biegli na wyznaczone miejsca na murach, rurmistrze gotowali bosaki, drabiny i wiadra do gaszenia pożarów, woziwody pędzili na wyścig z beczkami, furty i bramy zawalono stosami belek i kamieni. Miasto gotowe było do odparcia nieprzyjaciela, ale nikt nie następował.

110

Szło na odmianę. Mróz ku wieczorowi zamiast przybierać, zelżał wyraźnie. Słońce zaszło czerwono za oparem, niebo, choć jeszcze pogodne, zasnuwało się jakby przejrzystą zasłoną, przez którą z trudem przezierały nieliczne gwiazdy, a nad miastem leżała czarniawa mgła. W powietrzu była cisza, ale chwilami ruszał ledwie wyczuwamy, ciepły podmuch z południa.

Krzych bał się, że zaśpi. Wyszedł ze stajni na podwórzec i patrzył na niebo. Pochylony ku wzgórzom św. Bronisławy księżycowy sierp ledwo już był widoczny przez opar i zamazywał się coraz bardziej. Na grodzie panowała niezwykła cisza. Krzychowi zdało się, że wszyscy, tak jak on, czekają z bijącym sercem na wypadki.

Jeszcze tylko rudawy poblask zdradzał, gdzie wisi księżyc, ale był już nisko. Krzych wolał nie czekać. Przypasał nóż i skradając się pod ścianą zamku dotarł do ciemnego zaułka między północną basztą a budynkiem kapitulnym. Ciemno tam było zupełnie. W refektarzu na przyziomie okiennice nie przepuszczały żadnego światła, widocznie nie było w nim nikogo. Wyskok wieży poza mur zamku zasłaniał ciemny kąt od wałów, po których chodziły straże. Miejsce było dobrze wybrane, jeno stroma ściana skalna od północy trudna była do pokonania w ciemności.

Cisza zdała się dzwonić w uszach. Nagle przerwało ją szczekanie psa od południowego wału. Za pierwszym psem odezwały się inne i słychać było, jak pędziły z ujadaniem. Krzych zdrętwiał. Południowy stok był łagodniejszy, pewnie Ostróżka tamtędy się przebierał i zwęszyły go psy. Chwile wlokły się nieznośnie. Jazgot psi nie ustawał, lecz utknął w jednym miejscu i musiał zwabić straż obchodzącą wały. Krzych nie wiedział, co począć. Nagle uczył dotknięcie na ramieniu, i posłyszał szept:

- Pójdź!

Omal nie krzyknął, ale głos zamarł mu w gardle, bo z wieży strażnik zawołał:

- A co tam robisz?

~ 111 ~

- Nic - odparł Ostróżka bez wahania, ale takim głosem, że nie trudno było się domyślić, co może robić. Strażnik tak też widocznie zrozumiał, bo krzyknął:

- Czekaj, niech jeno zejde, to zeżresz to z powrotem.

- Poczekam. Podzielimy się.

Mimo całego napięcia Krzych omal nie parsknął śmiechem, ale strażnika widocznie nie rozśmieszyła odpowiedź, bo krzyknął gniewnie:

- Psi synu! Oduczę cię szczekać.

I widoczna na tle nieba głowa jego zniknęła.

- Pójdź no prędzej. Psy już musiały dostać mego kota, albo go straż z drzewa zdjęła, bo coś ucichły - naglił Ostróżka. Pociągnął Krzycha przesmykiem między budynkiem kapi tuły a wałem ku zachodniemu murowi.

Od czasów Leszka Czarnego całe wawelskie wzgórze było zabudowane i otoczone wałem i częstokołem. Prawdziwie obronna była jednak tylko część wschodnia, zamknięta wysokim murem od kościółka św. Gereona na północnym, do rotundy św. Feliksa i Adaukta na południowym narożniku. Potężnej bramy w połowie długości, broniła od zewnątrz obszerna baszta, a raczej gród, w którym stała znaczna część załogi. O ile nagły napad mógł opanować zachodnią część wzgórza, wschodnia trudna była do zdobycia. Wierni Leszkowi mieszczanie nawet sam zamek utrzymać zdołali przeciw wojskom Konrada, mimo że całą resztę wzgórza opanował i grodek wystawił. Od tego czasu umocniono jeszcze obronność zamku. Mając miasto za plecyma trudno było myśleć o długim oblężeniu, przeparcie bramy zaskoczeniem było niemożliwe. Ku niej zmierzał Ostróżka. Doszedłszy do muru, o kilkanaście kroków zatrzymał się i zdał się czekać na coś, czy nasłuchiwać.

Z grodu pierzchnęła już cisza. Tu i ówdzie słyhać było głosy ludzkie, psy odezwały się znowu, potem jakieś wołania zza wału od Wisły i nagle wrzask targnął powietrzem.

- Teraz - krzyknął Ostróżka. - Kłodę odwalać!

- Stojący we wnętrzu bramy dwaj strażnicy wszystkiego mogli się raczej spodziewać niż napaści od strony zamku. Nie

~ 112 ~

dali nawet takiego oporu jak królik łasicy. Krzych jeszcze stał nad swoją ofiarą, gdy Ostróżka wrzasnął:

- Kłodę odwalaj, niedojdo! Widzisz, co się wyrabia!

Widać wprawdzie nie było nic, ale słyhać wyraźnie. Wrzaski rozlegały się na murze nad nimi, zbliżały się od Wisły, ale i od zamku pędziła z krzykiem ku bramie gromada ludzi. Rudy blask płonącej smoły nagle wydobyl z cienia podwórzec. Jedna po drugiej zapalały się stojące na murach kadzie, wyganiając cienie ze wszystkich kątów. Krzych dopadł bramy, zaparł się barkami i dźwignął kłodę z haków, na których spoczywała.

Ledwo zdołał uskoczyć przed padającą, po czym chwycił ją oburącz, by odciągnąć. Kątem oka dojrzał nad sobą błysk miecza i zdążył jeszcze podbić rękę i uchylić się, gdy już zwałili się na niego napastnicy. Zbierał i oddawał ciosy, słuchając straszliwego wrzasku po drugiej stronie bramy, której skrzydła zakołysały się. Czerwony blask zalał nagle całe wzgórze, potem przed oczyma Krzycha zatańczyło tysiące iskier, krzyki zapadały się w jakąś głębię. A potem ogarnęła go cisza i ciemność.

Szary, mglisty ranek trzymał nad Wawelem dymy, przez które rudym blaskiem przeświecały głównie okopconych belek, okrywających się już nalotem siwego popiołu. Czasem jeszcze czerwony język ognia oblizwał tłące się zgliszcza, leniwie, jak dzikie zwierzę po uczcie. Gwar bitwy ustał o świcie, gdy niedobitki niemieckiej załogi uchodząc schroniły się w samym zamku. Wzgórze, otaczające zamek, dom kapitulny, zewnętrzny mur wraz z basztą i obydwoma kościołami zajmowały już wojska Łokietka.

Książę, który po przeparciu bramy odjechał ku miastu dopilnować własnymi oczyma, by gród nie otrzymał stamtąd posiłków, pozostawił strzeżenie miasta węgierskiej i ruskiej jeździe pod Piotrem z Drenowa i wrócił na Wawel na czele hufca sieradziwego rycerstwa z wojewodą Jakubem z Koniecpola. Oglądał pole nocnej bitwy i wydawał rozkazy do nowej, by skończyć, nim nieprzyjaciel ochłonie i przygotowuje obronę lub odsiecz.

113

Wawelskie wzgórze - 8

Niemiecka załoga zamku patrzyła bezradnie i z niepokojem na oblężnicze przygotowania. Łokietkowi zaciągali na mury olbrzymie kusze do wyrzucania belek i kamieni, za kapitulnym domem gromadzili naprędce zbijane drabiny, z resztek pogorzeli i rozebranych budynków klecono tarcice, pod których osłoną posuwać się miały tarany. Naprzeciw zaś, pod zewnętrzną bramą na podwórzec, wkopywano wysokie słupy, które połączono poprzeczną belką. Szczególny niepokój budziła machina nie znana załodze, która poznała ją, gdy z belki zwisły dziesiątki sznurów, zakończonych pętlami. Niema zapowiedź, co czeka oblężonych, gdy zamek zostanie zdobyty.

Teraz nie pamiętali już, że w podobnym położeniu zamek bronił się i obronił wojskom Konrada. Wielkie straty w nocnym napadzie, brak pomocy ze strony miasta i biskupa i otwarcie bramy podstępem czy zdradą, odbierały serca załodze. Snadź Łokietek otoczył miasto potężnymi siłami.

Burgrabia Gerlibo ze szczytu wieży spoglądał zatroskany na dziedziniec, po którym kręcili się Łokietkowi woje, to na szarzące w dole miasto, dokąd głos niemal mógłby dolecieć. Ale wiedział, że nie doleci. Sam musi radzić o sobie. Postanowił spróbować układów. Przywołał trębacza i kazał zatrąbić wezwanie na rozmowę.

Spizowy dźwięk spłoszył na murach i wieżach ptactwo, które krążyć zaczęło z krakaniem. Burgrabia przeżegnał się nie-

znacznie i czekał niecierpliwie na odpowiedź.

Z bramy wyszedł okazały mąż w pełnej zbroi. Na tarczy e błękitnym polu widniała srebrna podkowa z krzyżem. Za nim szło dwóch wojów. Gdy podeszli na głos, starszy rycerz zawołał:

- Czego chcecie?
- Mówić z wami,
- Nie będziem krzyczeć. Zejdźcie. .
- Poręczycie mi powrót?
- Ostawię zakładników.

Gerlibo podniósł się na duchu. Chętnie idą na układy. Nie

114

muszą być silni. Narzucił na zbroję bogaty płaszcz z cienkiego flamandzkiego sukna, kunami podbity, ze złotymi sprzączkami, na głowę miast hełmu włożył wysoki pilśniowy kapelusz, z lamowaną złotem opaską sadzoną kamieniami, twarz przybrał w dostojęństwo i powagę i wziąwszy dla okazałości giermka, który niósł za nim długi, oburęczny miecz, kazał otworzyć furtę i wyszedł.

Polski wysłannik na ukłon Gerliba, który się oznajmił wodcą zamkowej załogi, skłonił się poważnie i odparł:

- Jam jest Jakub Pobóg z Konięcpola, wojewoda sieradzki. Pan nasz zlecił mi zaprowadzić was do siebie. A to są zakładnicy: Mikołaj z Kurozwek, stolnik krakowski i Florian, sędzia sieradzki.

- Ufam waszemu słowu, zbędni mi zakładnicy - rzekł dwornie Gerlibo, wspaniałomyślność jego jednak nie zdała się robić wrażenia, gdyż Jakub jeno głową skinął i powiedział:

- Tedy pójdźmy.

Ręką wskazał przed siebie i puszyli ku bramie. Tu walka odbyła się najzaciętsza. Polskie trupy już pozbierano, niemieckie leżały jeszcze, poodzierane ze zbroi i szat. Kręciły się koło nich psy, liżąc skrzepłą krew. Na ten widok wzburzyło się serce w burgrabi, a że chęć układów z polskiej strony dodała mu pewności siebie, przystanął i odezwał się:

- Jako u tatarskich pogan w poniewierce u was chrześcijańskie zwłoki.

Jakub zmarszczył się tylko, ale Mikołaj z Kurozwek odparł bez namysłu:

- Spokojni bądźcie; jeno dorzniemy resztę, społem was pogrzebniemy.

Wojewoda ręką machnął gniewnie, a Gerlibo zachmurzył się. Pewność siebie opuściła go znowu.

Wróciła mu jednak, gdy weszli do baszty, w której stanął Łokietek. Burgrabia nie widział go jeszcze nigdy, a choć słyszał o jego nikczemnej urodzie, nie spodziewał się księcia w niepozornym człowieku, z twarzą przedwcześnie pomarszczoną,

~ 115 ~

w prostej zbroi, bez żadnych ozdób, okrytej sukiennym szkaplerzem. Oznajmiony skłonił się dumnie i czekał na zapytanie.

Książę zapytał znużonym, obojętnym głosem:

- Chcecie słyszeć jakie stawiam warunki poddania zamku?

- Ani mi to przez myśl nie przeszło - odparł Gerlibo. -  
O rozejm prosić chciałem na dwa dni, by pogrześć zabitych. Mo-  
gę też tymczasem słać do panów biskupa i starosty, co mi da-  
lej czynić każą. Tylko oni mogą się o wydanie zamku ułożyć.  
Łokietek dźwignął się. Zdał się jeszcze mniejszy, bo nogi  
miał krótkie, ale głos stał się tnący:

-- Jam jest dominus regni Poloniae i mój ci to zamek, co go  
przodkowie zbudowali i posiadali od wieków. Kto mi wstępu  
bronić się poważy, dla tego szubienica.

Gerliba opuściła pewność siebie i duma. Powiedział zduszo-  
nym głosem:

- Dajcie mi panie czas do namysłu.

- Tedy widzę, że obędzie się bez biskupiego przyzwolenia.

Dam wam czas. Sto kroków stąd do bramy na zamek, namyśl-  
cie się po drodze. Daję wyjście starszyźnie z tym, co ma na so-  
bie. Reszta zostanie.

- Drwicie ze mnie, miłościwy panie - odparł Gerlibo, czer-  
wieniąc się.

- Nie. Kto nie umie myśleć szybko, niech się do wojny nie  
bierze. Jak wasza wola: życie z mojej łaski, czy śmierć z łaski  
biskupa.

Zgoła niedostojnie wyglądał Gerlibo, gdy za kilka pacierzy  
opuszczał na czele starszyzny zamek. Polscy woje wylegli tłum-  
nie patrzeć na wyjście. Nie było ich zbyt wielu. Gerlibo po-  
myślał, że może zamek oddał zbyt pochopnie.

Ścigany drwiącymi śmiechami i kpinami, nie oglądał się za  
siebie i nie widział, jak na marcowym wietrze załopotiała z wie-  
' prostokątny kawałek sukna z wycięciem na głowę i wiązaniami po  
bokach

116

ży chorągiew z białym orłem na znak, że jest na zamku pan  
z Piastowskiego pokolenia.

Do chaty rybaka Ostróżka przyniósł pod pachą zdychają-  
cego kota, a dwóch wojaków dźwigało na noszach Krzycha,  
któremu na pozór też niewiele już się należało. Na ten widok  
łagodna zwykła Kundzia tłuc zaczęła Ostróżkę pięściami, co  
przyjmował spokojnie i obojętnie. Gdy skończyła i usiadła, za-  
nosząc się od płaczu, powiedział:

- Przyniosę ci nowego kota.

- Ukradniesz, jakoś i tego ukradł, złodziejski pomiole -  
rzuciła Terka ze złością. - Twoja to ani chybi sprawka, że się  
Krzych mieszał do bitki, do której mu nic.

- Zapomniał księżę was pytać, czy mu zwolicie - za-  
drwił. - Miast 'mi dziękować, zem mu lepszą służbę naraił,  
z pyskiem na mnie wsiadacie.

- Nie prosił cię nikt, to i dziękować nie ma za co. I tyle  
mu z tej służby, że pomrze pewnikiem.

- Nic mu nie będzie. Sam magister Marcin go opatrował,  
książęcy lekarz i tak rzekł, a on wie najlepiej. Zaś pozdrowieje  
Krzych, to łaskę ma u księcia, bośmy też i walnie pomogli gro-  
du dobyć.

- Nie poznać po tobie, żeś komesem ostał, skoro taki walny



z ciebie rycerz. Nawet ci łaska pańska szat nowych nie dała i dalej na rzezimieszka patrzysz, jak przódzi.

- Sam wiem, czego mi trzeba. Dobre mi te, co są.
- My też wiemy. Wynoś się do biesa.
- Coś byście się mnie pozbyć radzi, aż mi dziwne, dla-czego?

Rozsiadł się i patrzył na Terkę swymi jasnymi oczami przenikliwie.

- Ja lubię wszystko wiedzieć - dodał.
- Wynoś się, bo mietłę połamię na tobie.
- Ostawcie. Przyda się, gdy wam na Łysą Górę przyjdzie

~ 117 ~

jechać. Myślałby kto, że nie na rękę wam, iż Krzych przy księciu stanął?

- Ty mnie za język nie ciągnij - rzekła groźnie.
- Wždy o nic nie pytam. Sam się dowiem, co mi wiedzieć trzeba. Skąd też Krzych ma taki piękny pierścień?
- Jużes i to wypatrzył swoim złodziejskim okiem. Jesz-cześ ukraść gotów. Wynoś się, bo cię co złego spotka.

Zaśmiał się i powiedział:

- Z palca nie schodzi, a wy myszy straszcie, póki kota nie ma. Tymczasem żegnajcie. Przyjdę, kiedy mi się spodoba. Cmoknął na psa i wyszli. Nazajutrz istotnie przyszedł wieczorem, dziewczynce przyniósł młodego kociaka i rogowy grzebień, pięknie zdobiony, rybakowi nóż w skórzanej pochwie. Terki jakby nie widział i nie słyszał jej urągania. Postął chwilę nad Krzychem leżącym wciąż bez ducha i zasumował się jakoś.

- Lepszego starunku by mu potrzeba - powiedział.
- Nie twoja rzecz - fuknęła Terka.
- Wiem ci ja lepiej od was, co moja rzecz - odparł obojętnie. - A może i miarkuję, w czym wasza.

Zostawił ją drżącą z gniewu, ale zaniepokojoną. Ani chybi od Duszki coś wyciągnął, bo skądby? Poszedł Duszka na swoje, to się i przestał jej bać. Trzeba się z nim obaczyć.

Ale łatwiej było pomyśleć, niż wykonać. Duszka się przy szpitalu duchaków ustalił, pod kościołem Trzech Krzyży miejsce wyrobił i jakoś żył, choć nędznie, bo miasto było jak w obłędzeniu.

### XIII

Dzień i noc wzmocnione straże stały przy zamkniętych bramach miejskich i z obcych nie puszczano nikogo. Nad drogami zresztą panował Łokietek i kupcy z dalszych stron chętnie nawet omijali Kraków i sami wieźli towary z Rusi i Węgier do Flandrii lub na odwrót, miast prawem składuł zostawić je wraz z znaczną częścią zysków w Krakowie. Miasto ponosiło straty ogromne. Bogatsi mieszczenie narzekali na nie, uboższym zaczynało już być głodno, bo i żywności dowożono nie-  
sporo. Nastąpiła drożyzna, nie pomagały zakazy i naznaczanie cen. Coraz częściej zdarzały się wypadki rabunków i pobicia ceklarzy na targu. Scholarze brali od Żydów, jeśli nie szło inaczej to siłą, wzniecając niepokoje. Przedłużający się stan nie-

pewności ciążył coraz bardziej, a księżę siedział na zamku i patrzył z góry na oporne miasto. Sprowadził księżnę i dzieci, kancelarię założył, z której szły przywileje i nadania dla zasłużonych. Pewny się czuł widocznie, nie uderzał jednak, mimo że wiosna cofnęła rzeki do koryt i podsuszyła bagna. Ale wieści łatwiej przeciekać zaczęły do miasta, a nie były dla Łokietka korzystne. Możliwość władcy na Pomorzu wachać się zaczęli z Brandenburczykami, Waclaw zbierał siły na wyprawę do Polski. Położenie dla obu stron stawało się nieznośne. A były i znaki niepokojące. W sam dzień patrona Polski, w czasie nabożeństwa w parafialnym kościele starego miasta pod wezwaniem WW. Świętych wybuchnął pożar. Dźwięki dzwonów na trwogę popłoch wywołały, gdyż zrazu mniemano, że księżę 'prawo żądania, by przywieziony towar sprzedano w mieście ~ 119 ~'

nastąpił. Gaszono nieskładnie i gdyby nie to, że z północy zerwał się wichur, który zegnał płomień na mury, miasto mogło ulec zarazem pożodze, jak i zaskoczeniu. Spłonęły jeno domy na okolę 1 i pod Wawelem, a stamtąd wichur przerzucił płonące głównie na katedrę. I tam ratowano nieskładnie, z kolei bojąc się zaskoczenia, przez co wody z Rudawy czerpać nie było można, a jedyna studnia na zamku nastarczyć jej nie wydażyła. Całą noc wawelskie wzgórze świeciło pożogą, a rano, gdy płomień przysiadł, wschodzące słońce ukazało smutną ruinę. Północna wieża zwała się, południowa, okopconą, sterczała nad wypalonymi murami Hermanowego dzieła. Szeptano, że to kara Boża, jeno zdania były różne: na księcia, czy na biskupa.

Czas mijał. Nadeszło lato burzliwe, niosąc znów zmiany, tym razem dla miasta, a szczególnie dla biskupa niepomyślne. Niemal w jednym czasie zachodni wiatr przygnał wieści o zajęciu przez Łokietka biskupich grodów w Lipowcu, Piekarach i Tyńcu, przy czym dziewierz biskupi pan Gerlach ledwo zdołał całą wynieść głowę. Oznaczało to odcięcie jedynej łączności ze Śląskiem i Morawami, teraz właśnie, gdy zawarty między cesarzem a Waclawem pokój pozwalał się spodziewać rychłej ze strony Waclawa odsieczy. Wkrótce potem u Muskały zjawił się wysłannik arcybiskupa, przywożąc wezwanie do Sandomierza na wznowiony przeciw niemu proces, pod grozą złożenia z urzędu. Zarzuty przeciw biskupowi były ciężkie, a co gorsza prawdziwe i w obecnym położeniu Muskała nie mógł dopuścić do wydania wyroku in contumaciam<sup>2</sup>. Wyznaczony na dwudziestego lipca termin krótki był, wyjazd niebezpieczny, gdyż Muskała wietrzył podstęp. Wysłuchawszy jednak trwożliwych rad i niepewnych wyrzekań przybyłych do niego, zaniepokojonych wieściami rajców, powiedział:

- Każdemu wiadomo, że Łokiet już do Sandomierza wyjechał, przeto mniemam, że jego to dzieło ten proces. Widno tym 'przestrzeń między Wawelem, a dzisiejszą ulicą Poselską 2 zaocznego

120

sposobem na układy mnie zaprasza, sądząc, że na wystraszonem;

zdoła więcej wymóc.

- Tedy co czynić myślicie? - zapytał br&t Alberta, Ha-  
nuś, zwany też z polska Jaśkiem wójtem, bo ławie ongiś prze-  
wodniczył.

- Pojadę. O słowa łatwiej niż o wojska. Choćby mi i układ  
zawrzeć przyszło, czas zyskamy.

- O nas nie zapominajcie, jeśli iście do układów przyj-  
dzie - odezwał się młodszy brat wójta, Henryk.

- Ostrożniście, ale bądźcie spokojni. Im więcej spraw, tym  
się dłużej ciągną. Możecie mi zresztą dodać swoich ludzi, umo-  
cowanych do układów. Któż pojedzie?

Gdy spoglądali po sobie zmieszani, bo nikt się nie kwapił  
wychylić zza murów, gdzie czuli się bezpieczni, dodał z kpina::

- Strach wam leżć w gardło Łokietkowi? Ale nie smok to,  
jeno jaszczurka. Może ukąsić, ale nie pożre.'Nie pojedę ci ja  
zresztą bez osłony, a Witko i Zygryd najlepiej wiedzieć winni,  
na kogo w Sandomierzu liczyć można. Zda mi się jednak, że  
próżne obawy, bo od Jakuba list żelazny mam, a Jakub słowo-  
zdzierży. Zaś Łokiet z nim nie zadrze, póki go potrzebuje, jako  
już miałem przykład, gdy mnie w Kunowie pojmano.

- Prawda i to - przyświadczył wójt Albert z namysłem. -  
Ale jeśli prawda, to może iście jeno na sąd was pozywają. Cóż  
wtedy czynić mamy?

- Tymczasem nic. Przyjdzie Waclaw, to cały ten sąd  
i układy na wodzie będą pisane. A przyjść winien wkrótce, bo  
za to Miśnię i Cheb oddał cesarzowi Albrechtowi, by mu się tu-  
taj nie mieszał. Tanio cesarz sprzedał sprzymierzeńca - za-  
śmiał się złośliwie. - I Świnka odstąpić będzie musiał od pro-  
cesu, który wbrew prawu, już raz zakończony wyrokiem po"  
raz drugi wszczyzna z nienawiści ku mnie.

- Przybyć spraw to wam przybyło - bąknął zgryźliwy  
Witko - choćby o wiarołomstwo wobec księcia.

- Gdy Waclaw obejmie dziedzictwo, juści wiarołomstwo.  
wobec przywłaszczyciela cnotą będzie, nie grzechem - z kpi-  
ną odparł Muskała. - Zegnajcie tedy" wasze czeście i krzepcie  
~ 121 ~

•się, ostrożności nie zaniedbując, bo z lisem sprawa, co kitą kręci,  
wiatr myląc... by się zaś w Krakowie nie przytrafiło to, co Ger-  
libowi na Wawelu lub dziewierzowi memu w Lipowcu.

Spojrzał niechętnie na wielickiego wójta i wyszedł z Rein-  
hardem i Albertem do swych komnat nad skarbcem dominikań-  
skim i biblioteką, by pomówić jeszcze o sprawach, o których  
mówić nie chciał przy wszystkich. Odprawił ich jednak wkrótce,  
bo zamierzał wyruszyć skoro świt, by jechać o chłodzie, wy-  
poczywając w upalnych godzinach.

Szarzało dopiero, gdy zaskrzypiały wrzeciędzie Mikołaj skiej  
bramy, zazgrzytała dźwigana brona o kamienna prowadnice  
i zadźwięczały łańcuchy zwodzonego mostu, a z szyi bramy  
wysunął się na mogilski gościniec okazały, orszak biskupi. Roz-  
glądali się pilnie i niespokojnie, czy zasadzki jakowej nie bę-  
dzie, lecz minawszy wzgórek z kościołem św. Mikołaja, pa-  
trona flisaków, odetchnęli. Przed nimi ciągnął się gościniec

biały i pusty, ginąc w oddali w blaskach zorzy, grającej barwami na rzece. Od Wisły wstawał świeży powiew, konie parskwały rażno, na dobrą wróżbę. Podróż zapowiadała się pomyślnie. Mimo to Muskata jechał zły i milczący, tak że nikt nie ważył się do niego zagadać. Trzeciego dnia pod wieczór na ciemniejącym niebie zachodu zjawiły się za mgiełką zarysy sandomierskich -wzgórz, a zaraz potem skośne promienie zachodzącego słońca zagrały na wieżach górujących nad miastem kościołów św. Jakuba, św. Pawła i NMPanny. Potem zarysował się kamienny pierścień murów na nasypie, z przysadzistymi wieżami przy Zawichojskiej i Opatowskiej bramie i orszak zatrzymał się, jakby chcąc oczy napoić pięknym widolffiem. Do biskupa przystąpił komornik z zapytaniem:

- Gdzie nam każecie stanąć, dostojny panie?

Muskata zmarszczył strzępiaste brwi i odparł:

- Ostaniecie z orszakiem na Krakówce, bo w mieście ścisk, ani chybi. Nazjeżdżało się moich wrogów. Świnka stoi u swego patrona, tedy nijak mi zajeżdżać do dominikanów. Nie w gości proszonym, tedy i nie na zamek. U któregoś z mieszczan sta-

122  
-nać mi trzeba gospodą, jeno że taki im teraz suspectus 1 będzie, że ze mną trzyma.

\_ Derśław z Obręczny dom ma nieszczupły koło Najświętszej Panny. Do niego śmiało zajechać możecie. Stary jest i zasłużony, a Witkowy przyjaciel, bo razem grodu przeciw Tatarom bronili. Nie mieszczanin, tedy i podejrzany nie będzie.

- Niech i będzie. Nic mi do tego, a na sąd do kościoła będę miał niedaleko, w razie potrzeby zaś i na zamek. Tam zajadę.

- Na sądzie sami się bronić zamierzacie, zali przez prokuratorów?

- Sam. Exemptio rei iudicatae '2 jako na dłoni tu leży. A nie uwzględni go sąd, apelować będę do Stolicy Apostolskiej. Nim badać świadków zaczną, nadejdzie Waclaw, a potem...

Urwał i machnął ręką, dając znak dalszej jazdy.

Słusznie podejrzewał Muskata, że to Łokietek spowodował ściągnięcie go na sąd do Sandomierza w czasie zwołanego zjazdu krakowskiego i sandomierskiego rycerstwa, stanowiącego jedyne w kraju oparcie księcia. Zarówno ono jednak, jak i prosty lud, widzieli w Łokietku tylko przywódcę w walce ze znieprawdowanym za ucisk, okrucieństwa, zdzierstwo i odsunięcie od wpływów Muskata, oraz obcym żywiołom mieszczańskim. Bogactwa mieszczan budziły zazdrość, a drażniła buta obcych przybyszów, których niejeden ze starszych pamiętał, jak przywędrowali z węzełkami na plecach, a ninie obrońcy w dostatki okazywali lekceważenie odwiecznym gospodarzom kraju. Gdyby książę kazał uderzać, z chęcią darliby się na mury, by się dobrać Niemcom do gardzieli i kies. Ale ugoda kosztem dalszych ustępstw i przywilejów może wznieść taką niechęć, jak niegdyś przeciw bratu Włodzisława, Leszkowi Czarnemu. A zdobywanie tak jak ninie obwarowanego miasta wymagało sił i czasu. Siły potrzebne były gdzie indziej, czas naglił. Kończyć trzeba, nim nadejdzie Waclaw, który oddawszy węgier-

ską koronę bawarskiemu Ottonowi, zajmie się teraz polskim  
' podejrzany

2 zarzut sprawy osądzonej

123

dziedzictwem po ojcu, do czego nakłaniał go dawny ojcowy doradca, opat Konrad Zbrasławski. Wśród rycerstwa niewielu było takich, którzy rozumieli położenie i patrzyli dalej niż na doraźne korzyści lub danie folgi wzrastającej nienawiści do obcych, a nie mógł na to zezwolić książę, pomny, że już raz to samo kosztowało go panowanie w Wielkopolsce, do dziś mu niechętniej.

Jak pamięcią sięgał, Łokietek zawsze walczył z trudnościami. Miał jednak twardy upór i bezwzględność człowieka, który był już na dnie niepowodzenia, giętkość, wyrobioną ustawicznymi zmianami losu, a nade wszystko świadomość swego celu i wiarę w jego osiągnięcie. Upór krzepiła w nim księżna Jadwiga, skłonna znieść wszystko, byle męża i dzieci swe zobaczyć na tronie krakowskim, wiarę zaś Jaśko Leliwa, który związał z nim los swój, zanim zamarzyć mogło dzielnicowe książętko o dokonaniu dzieła, mającego z czasem stać się treścią jego życia.

Toteż gdy odeszli z narady przywódcy sandomierskiego rycerstwa, wojewoda Wojciech Sreniawa ze Żmigrodu i kasztelan Piotr Jelita z Mokrska, książę kazał jeszcze zostać Jaškowi.

Stanął on razem z innymi na zjazd ze swego Melsztyna, z którego oko miał na południe kraju i węgierskie sprawy. Książę, choć pilnie baczył, co się gdzie na świecie dzieje, nawykł skupiać się na jednym, sił nie mając na wszystko. Dlatego, nie przerywając, wysłuchał o uwięzieniu Ottona Bawarskiego przez palatyna siedmiogrodzkiego Władysława, o sporach sęddeckich klarysek z Muskata i zawiściach między Nowym Sączem a Krakowem. Na uwagę Jaśka, że można by w klaryskach zyskać sprzymierzeńców, odparł:

- Tymczasem muszę kupić Kraków, niech kosztuje co chce.

Z Pomorza wieści są złe, pilnie tam potrzebna nasza obecność.

Podszedł do okna komnaty, wychodzącego na klasztor dominikanów z kościołem św. Jakuba, położony na wzgórzu za parowem i patrzył przez chwilę. Nie odwracając się powiedział:

124

- Ufam, że rycerstwo przekonać potraficie, iż nie pora mi Kraków siłą dobywać lub dalej się tarzyć. Jeno nie wiem, jak do arcybiskupa podejść, by mi w sprawie z Muskata trudności nie czynił. On nawykł chodzić prostymi drogami, a ja...

Urwał i zamyślił się.

- Tedy prosto do niego podejdźcie. Mądry jest i zrozumie, że cel wasz jeden, choć drogi różne. Z Muskata już mówiliście? - zapytał Jaśko.

- Nie będę mówił, bo mi ręka sama do miecza sięga. Czelny jest, a chytry i czuje, że muszę znosić jego zuchwalstwo. Ty pójdziesz. Prowadziłeś już z Krakowem układy, łatwiej ci będzie zacząć.

- Co mogę mu ofiarować?  
- Wszystko. Muszę mieć Kraków, nim nadejdzie Wacław. Łatwiej bronić, niż dobywać.  
- Muskatał ni mieszczenie nie dotrzymują niczego.  
- To potem. Może się coś odmieni. Wtedy mi zapłacą. Tymczasem ja płacić muszę, ile żądają.  
Jaśko wstał, zamierzając pożegnać księcia, Łokietek jednak zapytał:  
- A jakoże córa twa? Wciąż jeszcze związkowi z Jędrzejem Gryfitą niechętna?  
- Ani słyszeć o nim nie chce. Gorzej, bo zgoła małżeństwu przeciwna. Lata już ma, a gdym jej rzekł, że nie tego, to innego wybrać trzeba, bo ludzie mnie już o jej rękę objeżdżają, odparła, że do klarysek pójdzie. Do świata i ludzi była dziewczka, wesola, a czasem i zbyt. Urok kto na nią rzucił?  
- Nie myślę, by urok, bo nie chciały do klasztoru. Dziewczyńskie wydziwianie. Pod czepcem by jej przeszło.  
- Wbrew woli jej nie wydam.  
- Nie nalegam. Jenó żal hożej dziewczki, by się mamała w klasztorze.  
- Bogu nie można za wiele ofiarować... jeno ze szczerego serca. A nie wierzę, by powołanie miała...  
Urwał i zasepił się, a księżę patrzył pytająco i po chwili powiedział:  
~ 125 ~  
Tedy nic innego, jeno kogoś w sercu nosi. Nie miarkujesz?  
Choćbym i miarkował, nie może z tego nic być. Ale gryzie mnie to. Pójdę!  
Sklonił się i zwrócił ku wyjściu, lecz przypominając sobie coś, zapytał:  
- A tenże wyrostek, com go wam naraił, nadał się?  
Sucha, zmarszczona twarz księcia wygładziła się uśmiechem.  
- Jakże! Przymierze zawarliśmy. Gadał ze mną jak równy z równym, swoje warunki stawiał. On mi pomoże Krakowa dobyć, a ja mu do zemsty pomocny będę.  
Księżę zaśmiał się i dorzucił:  
- Nie mogę rzec, by mi Wawelu dobyć nie pomógł, bo z drugim jakimś młodzikem bramę otwarli. Ale mimo takiego sprzymierzeńca wolę Krakowa nie dobywać.  
- Obwieś to jest - powiedział Jaśko - ale takiego chytrego przechery w tak młodych leciech jesczem nie spotkał.  
' - A jego gdzieżeś naszedł?  
- W gospodzie w Czchowie kupcom z Koszyc doradzał, jak Kraków z towarem ominąć. Dziwnie na krakowskich mieszczan zawzięty, a gdy o Muskacie wspomnieć, to mu te jasne ślepią płoną tak, jak jego łeb ryży.  
- Tedy pewny to sprzymierzeniec. A nie wiesz o co zawzięty?  
- Mało Niemce ludzi nakrzywdzili? Ważne to, że wielcy i mali pojęli, że tak nam z nimi żyć, jako z ościeniem w pierśsi. Czas z nimi skończyć.

Książę spoważniał i rzekł:

- Nie czas kończyć. Dopiero się zaczyna. Miał ci mi on tutaj wieści przynieść co się w Krakowie mówi.

- Tedy ino go patrzeć. Słowny jest.

Jaśko szedł zamyślony przez most nad parowem dzielącym zamek od wzgórza schodzącego ku Wiśle, na którego stoku leżał kościół NMPanny, poniżej zaś, niedaleko miejskiego muru, dworzec Dersława z Obręczny, gdzie z jednym jeno kapelanem i kilkorgiem służby stanął Muskata.

~ 126 ~

Kasztelan opowiedział się przez pachółka i wpuszczono go zaraz do komnaty, gdzie za stołem siedział przy wieczerzy biskup, w domowych szatach, w mycce na głowie. Na widok Jaśka nie powstał nawet na powitanie, jeno rzekł rubasznie:

- Dobrze, żeście choć wy przyszli. Nudno tu. Napijecie się piwa? Wyklętemu jeno dać nic nie wolno, ale brać od niego można. Może w kości zagramy?

Jaśko usiadł naprzeciw biskupa i odparł spokojnie:

- Wiem, że gracz z was. Jeno i ja nie dziecko, tedy mi fałszywych kości nie rzucajcie. Nie dla napitku i nie na igry przyszedłem. Zaś gdybym i szukał wytchnienia, to nie u was.

Muskata przeszył kasztelana wzrokiem, ale Jaśko patrzył obojętnie. Po chwili milczenia biskup zapytał:

- Tedy sprawę macie? Słucham was.

- Sprawę macie wy. A nie ma Waclawa, co by was przed wyrokiem i hańbą osłonił.

- Ale widzę Włodzisław zmiłować się chce nade mną, prawda? Tym łacniej mu to uczynić, że jeśli nie wszystkie moje grzechy i na nim ciążą, to jeno dlatego, że nie na wszystkie go' stać. Co będziem o słowa grali! Sądzicie mnie, bo mniemacie, żeście silniejsi. Kości na stół!

- Dobrze - rzekł Jaśko zimno. - Mam rozumieć, że układy odrzucacie i sile chcecie zawierzyć?

Patrzyli na siebie groźnie, ale Muskata przybladł. Wiedział, że tu jest bezsilny. Zagryzł wargi, hamując wściekłość i odparł-rwającym się głosem, siląc się jednak na kpinę:

- Widzę, że wasz pan do swoich sposobów nawet świątobliwego arcybiskupa nakłonić zdołał. Alem ja nie mysz, co w pułapce gryźć zapomina ze strachu.

- Anibym śmiał do myszy przyrównać was, coście jako wiadomo wilkiem z pastorałem w paszczy. Rad jestem, żeście świadomi położenia. Chcecie ugody? Kości na stół!

Biskup usta wykrzywił uśmiechem i powiedział:

- Nie dłuży się z wami gra, ale kończmy. Żądam umorzenia sprawy, zdjęcia interdyktu i przywrócenia urzędu. Żądam,  
" ~ 127 ~

zatwierdzenia wszystkich przywilejów i nadań, starych i nowych, moich czy krakowskiego Kościoła.

- Czy to już wszystko? - obojętnie zapytał Jaśko.

- Nie! - Muskata przestał drwić, natomiast oczy jego zabłyśły nienawiścią. - Żądam wydalenia z dworu i odjęcia urzędów wszystkim, którzy rękę na mnie podnieść się ważyli,

i żądam odszkodowania za zniszczenia i rabunki moich i kościelnych dóbr.

- A co dajecie?

- Kraków. Sedem regni principalem, dla której wasz Włodzisław poświęcić gotów nawet nienawiść swoją do mnie i do Niemców.

Jaśko milczał z twarzą nieporuszoną. Muskała wpił w niego swe przenikliwe, twarde oczy. Siłą powstrzymywał wybuch, a zarazem wstawał w nim niepokój: co robić, jeśli zimny i opanowany Jaśko na zuchwałę żądania nic nie odpowie i odepdzie? Chyba uciekać chyłkiem? Ale ani chybi pilnują go. Nie wytrzymał wreszcie i udając obojętność zapytał:

- Może jeszcze z panem swym uradzić chcecie? Ja sobie przy piwie posiedzę, a mile was obaczę, choćby i o północy. Ochrypły głos biskupa zdradził podniecenie. Natomiast kasztelan równie spokojnie jak poprzednio odparł:

- Nie muszę o nic pytać. Ważę jeno, czy nie taniej nam miasta dobyć.

Muskata pobladł, ale zaśmiał się drwiąco:

- Teraz wy mnie fałszywych kości nie rzucajcie! Gdyby •wam taniej przyszło, to byście ze mną nie ajpówili.

Jaśko, nieporuszony, odparł:

- Przyszedłem was kupić. Słów tracił nie będę, rozważyłem już. Co sprawy waszej z arcybiskupem dotyczy, przyrzec •mogę jedno: książę wszelkiego wpływu użyje, by do wyroku nie doszło.

- Każecie mi wiezić, że Włodzisław słowo zdzierży?

' stolica

128

- Tym łacniej wam to przyjdzie, że wy jeno przyrzec możecie wzajem, wpływu swego użyć na mieszczan. Ale tym razem przyrzeczenie swe umocnicie przysięgą wierności dla Włodzisława jako pana Polski.

Biskup zagryzł wargi, ale odparł spokojnie:

- Ja mam wierzyć bez przysięgi! Ale gdybym i przysięgł, jeszcze przez to Włodzisław panem Polski się nie stanie. Waclaw zostawił prawego dziedzica, który upomni się o swe prawa.

- Byle nie przez was. Waszym panem będzie Włodzisław.

Od tego nie odstąpię.

- A reszta moich warunków?

- Przyjmuję.

- Mieszczanie też będą mieli swoje.

- Znamy je. Przyjmuję.

Muskata zaśmiał się:

- Przycisnęło was. Po grze możem mówić szczerze. Rycerstwo pozyskaliście przyrzekając, że prawa Niemców ukróci-  
cie. A wždy mieszczanie nawet jurysdykcji zażądali nad ludźmi rycerskiego stanu, której przedtem nie mieli. Przedajecie swoje i nie swoje. ^ :

- Nie wasza sprawa. Ja wam szczerze powiem: płacimy, ile chcecie, byście się dobrze namyślili, zanim po raz drugi złamiecie wiarę. Więcej będziecie mieli do stracenia.



Muskata głową skinął i zaklaskał w dłonie. Gdy zjawił się pacholek, kazał podać kubki i wino, a zwracając się do Jaśka powiedział:

- Warto litkup wypić na taki targ.

- Dzięki! Książę pilno wracać mi kazał, bo jeszcze arcybiskupa musi odwiedzić, a Jakub słabuje i nie chciałby go książę nocną porą niepokoić.

- Tedy nie zatrzymuję - odparł Muskata oziębło.

Jaśko wykręcił się jeno od wypitki z niemiłym mu człowiekiem, bo zbyt późno już było, by niepokoić schorzałego starca, tym bardziej, że wczesnym rankiem arcybiskup zarządził nabożeństwo w kościele NMPanny przed rozpoczęciem sądu.

-a"TO

129

Wawelskie wzgórze - 9

Gdy kasztelan, zdając sprawę księciu, tłumaczyć się począł ze spóźnienia, książę ręką jeno machnął:

- Jakuba wolę sposobną porą zagadnąć, nie z nagłą, bo zaciąć się gotów, a wtedy nic go już nie ruszy. Muskała też dziś z mieszczanami gadał nie będzie. Niech on pierwszy swoje warunki wypełni, a mieszczanie niech nawykną do myśli, że na układach sprawa się skończy. Mięksi będą, gdyby i do walki przyszło. Tuszę jednak, że się bez niej obędzie, a że Muskała wszem wobec wysłucha, co mu arcybiskup zarzuca, nie mnie się o to trapić.

- Muskała za nic ma, co o nim myślą i mówią. A po prawdzie nikt tu od niego w prawie biegi ej szy nie jest, ni w mowie. Człek zuchwały, będzie się odgryzał, jako ścigany wilk. Nie uszanuje nikogo, ni was, ni samego arcybiskupa. Pycha jego jak dąb: na nic go przyginać. Toporem ściąć i korzenie wypalić.

. - Daj Bóg, by do tego przyszło, ale wiesz, że nie pora. Bywa jednak, że włóczęga ogień zaproszy i zniszczy drzewo, co się tysiącu burz oparło. Tymczasem trzeba mi znosić pychę i upokorzenia, choćby i to, że miłych i zasłużonych ludzi - Ottona i Zegotę Toporczyków z dworu wydalić muszę, bo gdybym tego nie uczynił, starczyłoby mu za pozór, by wzajem niczego nie dotrzymać. Po to on tego zażądał, by klin wbić między mnie a- rycerstwo.

- To mu się nie uda, jeno miejcie panie cierpliwość.

- Wždy ją mam. I modlę się, by mi jej nie zabrakło, nim odrzucić ją będę mógł, jako kamień, który pierś gniecie. Pomnisz, Jaśko, za młodu nie musiałem sam sobie nakładać wędzidla.

- Pomnę. I do dziś za to płacicie.

- Płacę. Jeno po sprawiedliwości pora by i jemu zacząć płacić. Tymczasem ja właśnie mam go przed tym osłonić, instancję wnosząc do arcybiskupa, by mu zbrodnie płazem puścił.' Hej! Zbyć by się go raz.

- Bóg go osądzi. Ale twardy człek, a niebezpieczny, bo zły, a rozumny. Nie zrobimy z Niemcami ładu, póki w nim czują oparcie.

130

- Spać chodźmy - uciał Łokietek. - Nie lubię ja o nim myśleć przed nocą, bo się potem po łożu przewracam; zasnąć nie mogąc. Na bramie bym go obwiesić kazał i niechby było, co chciało.

- Nie warto za pomstę zbyt drogo płacić.

- Nie warto! A ten twój chłystek, co za nią wszystko chce dać, nie zjawił się. Może i on się rozmyślił?

Jaśko pokiwał głową przecząco:

- Musiało mu się coś przygodzić.. Jeśli ludzi znam, on pomsty nie poniecha.

XIV

im osderka siedział samotnie w izbie sądowej i kończył przepisywać do grubej księgi dokument zaopatrzony trzema pieczęciami u spodu karty na pergaminowych paskach. Upalny letni dzień miał się ku schyłkowi i Nosderka, ocierając pot z czoła, z ulgą myślał, że dobrze zasłużył na czekające go w chłodnym sklepie piwo. Jeszcze tylko pozostały sygnatury świadków i opisy pieczęci. Sam wójt zlecił mu pracę; lubi mieć swoje sprawy w porządku.

Nic dziwnego, bo wójtowi nawet spamiętać trudno wszystkie ^posiadane majątkości i bogactwa. Domy, place, ogrody, łąny, kramy, jatki, młyny! A pieniądze? Nosderka może lepiej od niego wiedział jaki strumień złota płynie do wójtowej kiesy. Szósta część czynszów z całej własności miejskiej, jatek, kramów, łąw rzeźniczych, piekarskich, szewskich, z rzeźni, młynów i łąnów, trzecia część opłat sądowych; a wolność od ceł! Nie wie, co robić z pieniędzem i nic dziwnego, że dalej kupuje. Po nabożnej mieszczce Sulisławie nabył legowaną po połowie predykantom i braciom mniejszym jatkę oraz chlebowy kram, zapisane na budowę kościoła NMPanny. Lekko duchowieństwu pieniądź przychodzi, bo każdy rad zbawienie duszy zapewnić sobie za część bogactw, których i tak do grobu nie weźmie, a nie zawsze uczciwie zebrał.

Nosderka przez chwilę zastanowił się, czy dobrze zrobił, rzucając stan duchowny, ale pocieszył się zaraz myślą, że i w mieszczańskim o gotowiznę nie trudno. Nie mówić o takim Albercie, którego bogactwa świeciły mu jak gwiazda przewodnia, ale niemal każdy inny; choćby świadkowie dokumentu:

132

Jaśko, Lupold, Reinold, Henryk Keczer, Yoirad, Hatlibo! Żadnemu z nich nie brak złota. A do złota ciągnie złoto. Nosderka ścisnął za pazuchą swego pierwszego dukata. Pierwszego dukata, jak pierwszego szczygła, najtrudniej złowić. Ale ten pierwszy wabi dalsze.

Nosderka skończył, posypał piaskiem pismo, zamknął księgę, zwinął pergamin i razem schował do okutej, dębowej skrzyni. Przeciągnął zdrętwiałe od siedzenia kości i westchnął, wspomniawszy o przyrzeczonych za schwywanie Ostróżki dzieściu dukatach. Wciąż jeszcze krążą nad nim jak te szczygły, świecące złotymi skrzydełkami i jak one nieuchwytnie.

Otworzył okno, bo w izbie zaduch był, ale z rynku nagrzanego słońcem wionął kwaśny smród bydlęcych odchodów i kis-

nących odpadków żywności, których usuwaniem zajęte były wałęsające się psy i świnię. Namyslał się, którą gospodę zaszczylić swą obecnością. Żeby czas był inny, wyszedłby za miasto, ale ninie bramy zamykają zaraz po zachodzie i nie wpuszczają nikogo, choćby najdostojniejszego. Zbierał się do wyjścia, gdy do izby wszedł pacholek i oznajmił, że jakiś scholarz pilnie widzieć go żąda.

- Schodzę już - odparł.

Zabrał czapkę i wyszedł z powagą, naśladowując ociężały chód i przygarbioną postawę skrybera Gotfryda Keczera, które wydawały mu się dostojne. Na pustych jednak schodach popędził po dwa stopnie i w sieni wpadł na dawnego kamrata Cieńkałkę.

- Nowe dziewczki wywachałeś, czy głupca jałrowegoś do ogrania w kości?

- Anibyś zgadł: Marchewkę.

- Widziałeś go?

- Nie. Ale jego psa.

- To po cóżeś do biesa tu laź, miast go pilnować?

Nosderka był podniecony, ale i zły. Nie pierwszy raz ma donoszono, że Ostróżka kręci się po mieście, a zawsze się wymykał. Cieńkałka odparł jednak:

~ 133 ~

- Nie głupim. Obiecałem wyrostkom dwa wiardunki, jeśli dopilnują psa, a pół grosza, jeśli go złowią. .

- Ho j nys!

- A niechta i inni mają korzyść. My więcej zarobim. Co żałować pół grosza.

- Pieniędzy zawsze trzeba żałować. A psa ścigać to dla wyrostków zabawa.

- Żadna zabawa z Marchewką. Mścił się będzie.

- Na mnie. Jeśli mu czasu starczy. Ani chybi powróż go czeka. Czelnym jest, skoro w takim czasie do miasta wejść się ważył, gdy murów i bram pilnują, jako nigdy.

- Teraz łatwiej niż kiedy, bo wody w fosie po kolana.

Jeszcze ze dwie niedziele takiej suszy, a zbraknie w mieście wody. Koło na rurmusie ino co się kręci.

- Co mi tam o wodę. Gadaj, dokąd poszli?

- Pies się przemykał opłotkami za św. Duchem. Mieli mu od Mikołajskie j furty zastąpić.

- Pójdźmy no prędzej.

Szli szybko koło cmentarnego muru NMPanny i minawszy, wendetę weszli w Świnią ulicę. Tam zwolnili i zaczęli się rozglądać.

- Nie bez tego, by Marchewka w mieście nie miał swoich ludzi, eto go przechowują. Pewnikiem po gołocie, co się gnieździ przy murach, bo inaczej nie pojąć, by się zawsze wymykał. Ale na psa go ułowim, jako kunę na jajko.

Przez opłotki i zabudowania widać było gdzieś mur miejski i drewnianą basztę barchaników" Cieńkałka wskazując na nią zawołał:

- Tam są!

Popędzili, nie szukając przełazów, byle prędzej, drąc szaty na płotach. Ale nie zważali nawet na klątwy i wyzwiska, jakie tu i ówdzie rzucali za nimi naruszeni w nietykalności swych obejść właściciele. Nosderka, podniecony, nie zważał ani na prawo, ani na własne dostojęstwo.

Na zakręcie muru wpadli w gromadę wyrostków.

134

- Gdzie pies? - zapytał Cieńkałka, dysząc jeszcze z wysiłku.

- Tam się przytulił. - Jeden z wyrostków wskazał na kępę łopianów i innych zielsk pod murem, koło drogi, biegnącej wzdłuż niego i odgraniczonej od tyłów jakiejś posiadłości wysokim parkanem. U wlotu i wyjścia stało po kilku chłopaków 'z kijami. Pies był w matni.

- Czemu go nie bierzecie? - krzyknął Nosderka.

- Gryzie! Chyba go kamieniami ubijem.

- Ani się waż. Jeno za żywego zapłacę.

Jeden ze śmielszych wszedł ostrożnie w zarośle, szturkując kyern przed sobą. Nic się nie poruszyło.

- Może go już tam nie ma? - powiedział Nosderka rozczarowany.

- Wyjdź no który na mur. Stamtąd lepiej widać.

Cieńkałka sam skoczył ku baszcie, wspiał się na mur i za chwilę był nad nimi. Rozglądał się pilnie.

- Ruszcie no w kilku, to musi wyjść.

- Juści! Po to, by skoczył między nogi i wyrwał. Sam pójdę, a wy jeno pilnujcie, gdy wyjdzie - odparł Nosderka.

Wziął kij i bijąc nim po zaroślach posuwał się naprzód.

- Jest - krzyknął Cieńkałka, wskazując miejsce pod samym murem. Między szarozielonymi liśćmi migąła czasem żółta plama. Pies pełznął ostrożnie ku gromadce wyrostków, zagradzającej mu drogę. Widocznie zamierzał z nagłą wyskoczyć i przedrzeć się przez przesładowców.

- Zajdź mu od tej strony! - krzyknął Cieńkałka do Nosderki.

Nosderka szedł ostrożnie we wskazanym kierunku.

- Miej się na baczności, bo...

Cieńkałka nie skończył, gdy jak spod ziemi wysmignął pies i skoczył Nosderce do gardła. Nosderka zamachnął się kijem, ale chybił, a cofnąwszy się nagle potknął się na łodygach i upadł, zasłaniając szyję rękoma. Mało brakło, a pies byłby wyrwał, ale i on zaplątał się w gąszczu na mgnienie oka. Starczyło to, by doskoczył jeden z wyrostków i kijem zdzielił psa ~ 135 ~

w krzyże. Pies zawył i szczerząc zęby przysiadł na zadzie zezjonym na karku włosem. Zbierał się, ale niesporo, a tymczasem obkoczyła go gromada i posypały się razy.

•- Dość! - krzyknął Nosderka, bojąc się, że ubiją psa, który upadł na ziemię wywalając ozór, a z pyska ciekła mu krew^ Zajęci psem, nie zauważyli Ostróżki, który przesadził parkan i chwyciwszy porzucony kij skoczył w gromadę, bijąc gdzie i kogo popadło. Rozbiegli się z krzykiem. Nosderka wrzasnął:

- Brać go!

Sam wpadł na Ostróżkę, ale cofnął się. W ręku przeciwnika błysnął nóż, a oczy mówiły, że nie zawaha się go użyć. Porwał psa i puścił się ku Mikołaj skiej furcie. Uskoczyli mu z drogi, ale zaświstały za nim kamienie. Jeden ugodził go w tył głowy i widać było, jak włosy nasiąkają czerwienią od nich plamą krwi. Nie zatrzymał się jednak, lecz dopadłszy schodów skokami sadził na mur. Nosderka już zgrzytał zębami, widząc wymykającą się zdobycz. Wiedział, że Ostróżka zeskoczyć potrafi z muru i zniknie nim dopadną furty.

Obydwaj jednak nie widzieli, że górą chyłkiem biegł Cieńkałka. Gdy głowa Ostróżki wychyliła się nad chodnik, spadł na nią cios kija. Ostróżka zachwiał się i przysiadł, puszczając psa. Jeszcze chciał się zebrać, ale Cieńkałka chwycił go pod gardło, a w tej chwili opadła leżącego reszta gromady. Nie bronił się już, ale przytomny był widocznie, bo popatrzył na wroga tak, że Nosderce dreszcz przeszedł po grzbiecie. Potem zamknął oczy. Trochę ciągnąc, a trochę prowadząc, powlekli go na ratusz. Przodem szedł Nosderka i zacierał ręce.

Noc spędził Ostróżka majacząc. Zrywał się i wołał psa. Potem zdało mu się, że ktoś mu głowę owija tno krymi szmatami i przykłada dzban z wodą do spieczonych warg. Odczuł ulgę i uspokoił się, ale ogarnęło go ogromne osłabienie, tak że nie chciało mu się otworzyć oczu, by popatrzeć, kto gładzi go po głowie. Tracił świadomość: kto-by go mógł głaskać, jeśli nie matka? Westchnął z ulgą w poczuciu bezpieczeństwa i usnął głęboko.

~ 136 ~

Gdy się obudził, leżał dalej z zamkniętymi oczyma, ale przez powieki czuł na twarzy promień słońca, z niechęcią zbierał pamięć i zmysły, broniąc się przed rzeczywistością, by choć chwilę jeszcze żyć nocnym majakiem. Czując jednak, że ktoś pochyla się nad nim, otworzył oczy.

Twarz, którą ujrzał przed sobą, była tak jaskrawym przeciwieństwem tej, która zniknęła gdy oprzytomniał zupełnie, że aż usiadł. Gdyby nie ciemne oczy, duże i wylupiate, ale o łagodnym wyrazie, przypominałaby pysk starego capa. Nawet rozwichrzone czarne włosy nad płaskim, cofniętym czołem układały się jak rogi, wprawdzie raczej baranie. Coś baraniego było również w głosie, który się odezwał:

- Laudetur bonum vinum in pocula poculorum!

Gdy Ostróżka patrzył, nie rozumiejąc, nieznajomy ciągnął:

- Myślałem, że się nie obudzisz.

Widząc zdziwienie w oczach Ostróżki, dodał wyjaśniająco:

-- Spisz kamieniem już prawie dwa dni.

Ostróżka zrozumiał teraz uczucie, że brzuch przyrósł mu do pleców.

- Jeść - powiedział.

- Mea culpa s! - nieznajomy uderzył się w pierś. - Myślałem: pewnikiem pomrze, a mnie na sąd powiodą; dary boże się zmarnują. Bo i pies by tego nie zjadł, chyba bezpański. Spleśniały chleb i stęchła, jałowa kasza. Bogu nie przyganiam,

biore, co daje, ale skąpych mieszczan niech diabeł smolą nakarmi. Pan nasz powiedział: "Cokolwiek dla ubogich uczynicie, dla mnieście uczynili". A któż uboższy, niż biedny więzień! Nie ma już widno pobożnych ludzi, których hojności sławę można by w pieśniach głosić. Chcesz, to ci opowiem, jak święty król Ludwik braci naszych żebrzących z zakonu św. Franciszka podejmował. Przejdzie ci smak na spleśniały chleb i stęchła kaszę.

' pochwalone dobre wino, w puchary pucharów

8 moja wiina

~ 137 ~

Nie czekając na odpowiedź oszołomionego gadaniną Ostróżki ręce złożył i wznosząc nabożnie oczy mówił jak w ekstazie:

- Chleb z mąki białej, pszennej, że lepszej nie najdzie i na Hostię świętą. Jako aksamit idzie przez kiszki, nie tak, jak ten tutaj, co gardziel kaleczy, a kamieniem leży w brzuchu i kwasem odbija. Dzień postny' był, tedy ryby miast mięsa: pasztet tłusty z węgorzy, do tego nie kasza stęchła, jeno fasolka drobna i słodka, na mleku gotowana. A zaś potem węgorze w sosie ostrym, aż gębę skręcało.

Dla podkreślenia wykrzywił swą kocią twarz, jakby kto gąbkę ścisnął, po czym wygładził ją i ciągnął:

- Myślisz może, że koniec? Koniec był najlepszy. Ryż w mleczeniu migdałowym, cynamonem posypany grubo, aż w nosie kręciło. A żeby nie została w brzuchu żadna między jądłem szczelina, wina najlepszego, niczym w Kanie Galilejskiej, ile kto zdzierzył. Niektóry i nie zdzierzył.

Westchnął, wywracając oczy. Ostróżka jednak, którego głodu bynajmniej nie przytłumiło opowiadanie, zapytał trzeźwo:

- Kiedy zaś żreć przyniosą?

- Kiedy? - twarz nieznajomego obwisła nagle, jakby była z wolnego ciasta i ponury smutek zabrzmiał w jego baranym głosie:

- Ino co stróż był z jądłem, zanim się przebudził. A raz na dzień żreć dają, sknery przybrzydłe. Podpaśliby człeka przed śmiercią, tłusty lepiej się pali, a na mnie sadła ni za kwartnika.

Ale Ostróżka skoczył na równe nogi w złości:

- Ja z głodu zdechnę do jutra.

- Nie zdycha się z głodu tak łatwo. Ale bijże mnie! Za tożem po sprawiedliwości podzielił: tobie całą wodę i jeszcze giezło własne do niej dołożył, by ci łeb okręcić, a mnie resztę; a suszy to żarcie, jakbym piasku się obżarł. I soli nie żalowali do kaszy, miast okrasy, widać im darmo przychodzi.

Wyglądał tak nieszczęśliwie, że Ostróżka się udobruchał i powiedział:

- Jakoś wydzierzę i dziękuję ci za starunek.

~ 138 ~

- Co tam! Raz ty mnie, raz ja tobie. Jako między chrześcijanami przystało. Św. Franciszek nawet bydłatka pokaleczone opatrował, bo mówi: też braciszek, jeno że głupi.

Ostróżka drgnął i twarz mu zmierzchła. Przypomniał sobie

psa i zacisnął szczęki w poczuciu bezradności. Zadumał się ponuro, tak że nie słyszał dalszej gadaniny towarzysza, który wreszcie trącił go i zapytał:

- Gorzej ci? Bo jako błędny patrzysz. Kapka wody ostała, by choć gębę zwilżyć przed spaniem, ale wypij. Albo może szmaty ci przewinąć?

- Nie trzeba. Psa żałuję, co mi go potłukli, a potem pewnikiem dobili...

Zagryzł wargi, bo nie lubił okazywać wzruszenia, a poruszony był do głębi. Gniewnie dorzucił po chwili:

- Mówisz: bydłatka głupie! Pies mędrzy był od ciebie.

- To i nie musiał być bardzo mądry - odparł towarzysz bez złości. - Możem i głupi. Ale czemuż to Pan nasz dzieci najbardziej miłował, jeśli nie dlatego, że głupie! Cieszą się ze wszystkiego, nie stoją na zdradzie nikomu, to i ludzie się ich nie boją i krzywdy nie robią.

- Krzywdy nie robią?! - Ostróżka zaśmiał się przez ścisnięte gardło.

- Czemuż się śmiejesz? Chyba bardzo zły człek, żeby dziecku krzywdę uczynił. Wždy i pies szczeniaka nie ukąsi.

- To ludzie są gorsi od psów, bo najczęściej krzywd czynią tym, co się ich bać nie muszą.

- Tak myślisz? Ale krzywd lepiej nie pamiętać. Ino się cholera w wątrobie zapieka i nawet do jądła człek traci chęć. Od tego Pan Bóg ma głowę, by pamiętać, gdy Mu sędzić przyjdzie. Ale człeku najlepiej, gdy nie pomni, co wczoraj i nie myśli, co jutro.

- Jako kurczak, co nie pomni, że mu wczoraj matkę zarznąli, ani że jutro zarzną jego samego.

- A cóż by mu było z tego, gdyby pamiętał i myślał? Jeno' zgryzota i strach. A tak grzebie sobie, co najsmaczniejszych kąsków szukając i cieszy się, że słońce świeci.

~139~

Ostróżka fuknął, nie przekonany:

- Ani nam słońce nie świeci, ani z tego gnoju kąska nie wygrzebiesz. Jam nie kurczak. Muszę się stąd wydostać.

- Trudno będzie.

Nieznajomy przysiadł się do Ostróżki i zamyślił głęboko, a Ostróżka patrzył na niego ciekawie, usiłując rozgryźć. Od pacholęcia żył na własny rachunek i nauczył się poznawać ludzi, ale takiego jeszcze nie spotkał.

- Jak się zowiesz? - zapytał.

- Po co człeku imię? Jeno by próżność było o co zaczepić. Mów do mnie „Braciszku”.

- To z zakonu jesteś?

- Byłem i w zakonie. Po to Bóg świat wielkim uczynił, a człeku nogi dał miast korzeni, by się ruszał. Ale dużo by o tym gadać, a twoja sprawa pilniejsza, bo jak mnie na sąd powiodą, to sam niczego nie wskórasz.

- A za co cię sędzić mają?

- Za herezję i bluźnierstwa.

- Źle! Wedle magdeburskiego zakonu stos cię chyba czeka-

- A niech poczeka. Nie pierwszy raz. Jenó że pod biskupi sąd należę, nie ławniczy, a tu siedzę, bo biskupie kabaty i na Wawelu i w Lipowcu kto inny dzierży.

- Biskup wyjechał z Krakowa, tedy sąd się odwlecze.

- Nie spieszno mi. A dla ciebie lepiej. I lepiej, by cię w żelaza ni w dyby nie wzięli. Gdy człek ręce i nogi ma wolne, zawsze wolności bliższy.

- A ciebie czemu nie zakuli? . -

- Zakuli. Jenó że Bóg mi takie ciało dał, iż mało brak, a sam siebie bym w kieszeń schował, Podniósł leżące na ziemi kajdany, dłoń zwinął w trąbkę, wsadził w obręcz i wyjął bez trudu.

- Gorzej, gdy jako gdzie indziej bywa, za szyję człeka zakują. Głowy zwinąć się nie da, choć nosem i uszyna ruszani jak palcami.

Pokazał tę umiejętność tak śmiesznie, że Ostróżka, choć zgryziony, roześmiał się:

140

- Na jarmarkach mógłbyś to pokazywać.

- Pokazywałem i to i co inne. Zawszy z czegoś człek żyje. Ale mówmy o tobie, nie o mnie. Nie zakuli cię, boś leżał, jako bez duszy. Leż-że tak dalej, to cię i ostawią w spokoju. Tyle że żarcie dla ciebie mogą przestać dawać.

Poskrobał się w strapieniu po kędzierzawym łbie i dodał 2 westchnieniem:

- Podzielę się z tobą.

- Głodowałem ci ja nieraz. Wydzierzę. Nawet już mi ściskanie w brzuchu przeszło.

- Ale słaby będziesz, a sił może być potrzeba. Tutejszyś? Miasto znasz?

- Jak dłoń własną.

- Wiesz, gdzie złe duchy z opętanych wypędzają?

-- Różnie. Z którego zakonu egzorcysta, w tym kościele modły odprawia nad opętanym, a potem go na międzymurzu ostawią, bo tam najpuściej, wszystkie zaś zgromadzenia domy swe mają przy murach.

- A dałbyś rady się wymknąć, gdyby cię tak samego ostawili?

-Niech się ino tam najdę. Ale jako?

- Żeby mydła kawałek.

,- Mydła? Skądże tu i po co?

- Dowiesz się, niech jenó będzie. Dozorca mógłby przynieść.

- Znam tego huncwota. Z czego ceklarze człeka nie obędrą, on zabierze, nie żeby co dał.

- Może by przedał?

- Pokaż mu jenó jaki pieniądz, odbierze.

- Jużbym mu tak pokazał, żeby nie odebrał, jenó nie mam co. Czyż nie mówi św. Marek na rozesłanie apostołów: "Nie miejcie złota ani srebra w trzosach waszych." Tedy i po co trzos? Człek lekko pieniądze do trzosa wkłada, a ciężko wyjmuje. Pieniądz powinien być jako motyl: .chwyc go, przyjrzyj



mu się i puść. Niech leci!

~ 141 ~

- Mnie trzos zabrali wraz z nożem, ale trochę srebra mam w szatach zaszyte od wypadku.

'- *Benedicta providentia et benedictum argentum*<sup>1</sup>. Może i do picia uda się nam co dostać i zeżreć co lepszego. Ale mydło najważniejsze. Wyfruniesz, bracie, jako szczygieł ze swym czerwonym łbem i zapomnisz o mnie, bo o drobrodziejstwach łatwo się zapomina.

- Ja nie zapominam niczego.

- Tedy żal mi cię. Pamięć ciężkie brzemię, ale wdzięczność z niego wyrzucić najłatwiej. Diabłu na złość chcę zrobić dobry uczynek za to, że mnie opuścił, choć bluźnierców i hereetyków w szczególnej winien mieć opiece. Tedy nie żądam od ciebie żadnej odpłaty.

- Skąd wiesz, że dobry uczynek, skoroś ani zapytał, za co mnie sądzić mają?

- Co mi tam. Siedziałem ja już z różnymi, a zawdy lepsi byli od tych, co ich sądzili. *Omnia potestas terrae a diabolo*<sup>2</sup>. Zali nie diabeł ofiarowywał Chrystusowi wszystkie królestwa ziemskie? „Dam ci całą tę potęgę i chwałę ich, bo w mojej są mocy, a daję je komu zechcę” - powiedział. Ale ich Chrystus nie przyjął: „Królestwo moje nie jest z tego świata” - powiedział. Czyj-że tedy namiestnik szafuje ziemskimi koronami!?

- Spalić to cię spalą - powiedział rzeczowo Ostróżka. -

•Jeno że nasz biskup w urzędzie zawieszony, tedy może nie prędko.

- Juści! Gdzieś tam już drzewo na mój stos rośnie. Ale niech rośnie zdrowo. A tymczasem ptaki się gnieźdzą w gałęziach i robactwo w korze. Cieszą się, że słońce świeci, i ani o tym myślą, jaki los czeka drzewo. Ale o mnie gadamy, miast o tobie, a czas ucieka.

Istotnie noc już zapadła zanim skończył gadać, przerywając jeszcze wielokrotnie różnymi przypowieściami, a wreszcie zarzekał się w zgniłej mierzwie, ale jeszcze i przez sen gadał.

1 Błogosławiona przezorność i błogosławione srebro

2 Wszelka ziemska władza od diabła

142

Ostróżka długo nie mógł zasnąć, myśląc o tym dziwnym człowieku i o zamierzonej ucieczce. Gdy wreszcie zasnął nad rannem, towarzysz zbudził go. Okienko lochu dopiero szarzało.

- Nie Iza teraz spać, bo dozorca o różnych porach zachodzi, a trzeba zacząć od razu, póki nie spostrzeże, żeś zdrów.

Milczeli teraz nasłuchując. Naprzód doszedł ich uszu przytłumiony gwar z Rynku, potem w ratuszu ruch się zaczął, a wreszcie usłyszeli ciężkie kroki na schodach, szcęk kluczy i zgrzyt zawiasów. Do izby wtoczył się brzuchaty dozorca, niosąc w dwo jakach strawę, dzban wody i bochen chleba pod pachą. Postawił wszystko koło kubła z nieczystościami, zabrał go wraz z naczyniem z poprzedniego dnia i trącił nogą leżącego na wznak Ostróżkę, mówiąc:

- Wstawaj, bo jak ci ten zeżre, to drugiego nie dosta-

niesz.

Ostróżka jednak stężyły był i ani drgnął.

- Pomarł? - zwrócił się dozorca do drugiego więźnia.

- Cięgiem śpi, ale serce mu bije.

- No, no! Tyle czasu spać!

Przyjrzał się leżącemu. Ostróżka miał oczy pół otwarte, źrenice uciekły ku górze, jen,? białko świeciło między powiekami. Dozorca spróbował go dźwignąć; sztywny był jak kij.

Dozorca pokiwał głową:

- Hutmana muszę uwiadomić, żeby nie było na mnie, jak zdechnie. I pan Nosderka pytał o niego.

- Po co uwiadamiać? Zdechnie, to zdechnie. Tymczasem żarcia dla mnie więcej ostanie.

- A ty co myślisz, że tu wieprze opasamy? Tyle Ława każe dawać zreć, byś nie zdechł przed wyrokiem. Pieniądz będą mieć na takich?

Tarł czoło wierzchem dłoni z namysłem: \*

- I pani Adelajda przywieść go sobie kazała, jak się obudzi. Coś ta jej przeskrobał, bo chce rozeznać, czy ten sam.

A wielką nagrodę pono przyrzekła za schwytanie. Ale jak sam zdechnie, to mistrza nie trzeba będzie płacić, co go ma sprawić.

Miasto biedne teraz, nijakich zysków nie ma.

~ 143 ~

- Mądry i z kamienia grosz wydusi.

- Wyduś-że se. Cały loch z kamienia masz.

- Juści, że wydusiłem. s

Dozorca przystąpił do siedzącego:

- Pokaż no, psia wiaro.

- U was jest w tej kieszeni; ale nie darmo.

Dozorca sięgnął do kieszeni i zdumiony wyjął monetę.

- Skąd...

- Ściśnijcie w garści mocno, bo uleci.

Ostłupiały dozorca mimo woli sięgnął dłoń, a więzień zaś śmiał się i powiedział:

- Pokażcie ino, czy ten sam.

Niespodzianym ruchem ujął rękę dozorca, zręcznie otworzył dłoń i powiedział:

- Słaboście trzymali.

Na otwartej dłoni leżał kamyk. Dozorca splunął i cisnął go na ziemię.

- Nie ciskajcie; wždy to grosz jest - powiedział Braciszek. - Jeno darmo nie weźmiecie.

Schylił się i podniósł pieniądz. Dozorca z nagłą chciał go schwytać za rękę, ale Braciszek podrzucił pieniądz w górę:

- Fiut! Nie ma!

Pokazał puste dłonie. Dozorca stał z otwartą gębą.

- Przynieście mi pieczonej świniny, dzban mocnego piwa i jeszcze ręcznik i mydło. Dobrze zapłacę i pieniądz jako baranek pójdzie do waszej owczarni.

Dozorca dłuższą chwilę stał jak słup soli. Potem nic nie rzekłszy wyszedł.

- Uf! - odetchnął Ostróżka. - Już mi sił nie stało dech

przytrzymywać. Żebyś mi naprzód nie rzekł, sam myślałbym, że to czary. Aleś go wystraszył i może nie przynieść nic, a jeszcze ciebie o czartowskie sztuki oskarży.

- Ino raz mnie spalą. W każdym człeku o duszę biją się dwa demony. Jeden zowie się Strach, drugi Chciwość. Który mocniejszy, ten wygra. A mówiłeś, że dozorca chciwy jest. Tedy choć w strachu, a przyniesie.

144

Braciszek nie pomylił się, gdyż po dłuższej chwili rozległy się ostrożne kroki i zaskrzypiały drzwi. Dozorca wszedł rozglądając się, jakby się bał coś niesamowitego zobaczyć. Niósł jednak zawiniątko i dzban. Zbliżył się do Braciszka i stawiając koło niego powiedział:

- Masz, coś chciał, i dawaj pieniądz.

- Wždy zapłaciłem już.

- Co?! - wrzasnął dozorca.

- Po co się sierdzić o nic. Macie w kieszeni.

Dozorca włożył rękę w kieszeń i cofnął ją jak sparzony.

Ostrożnie włożył drugi raz i wydobył dwa grosze. Patrzył to na nie, to na Braciszka. Nagle zacisnął pięść i wypadł z lochu, nawet nie zamykając.

- Widzisz! - zaśmiał się Braciszek. - Boi się, bym mu nie odebrał, lub w kamień nie przemienił, choć myśli, że pieniądz od czarta pochodzi. I praw jest, bo każdy pieniądz pochodzi od czarta. Co Bóg człeku dał, to żyje i do słońca na wierzchu rośnie, a co Piekło, to spod ziemi się wydobywa martwe. Tedy przejeść pieniądz i przepić jest dobrym uczynkiem, bo się szatański dar na boski zamienia. Ale może by się zemknąć dało?

Ostróżka głową pokiwał przecząco i rzeczywiście kroki dozorca słyhać już było na schodach. Przekreślił klucz i" założył kłode.

- Mamy spokój do rana - odezwał się Ostróżka pełną gębą.

- Bibemus tandem! - odpowiedział Braciszek z dzbana, który już niemal opróżnił.

- Po coś mu dwa grosze dal? - zapytał Ostróżka, wycierając z tłustości gębę.

- Demon chciwości jest jako smok: im więcej zeżre, tym więcej by żarł.

- A czymże go nakarmisz, skoro już jeno jeden grosz nam pozostał?

pijmy tedy

Wawelskie wzgórze - 10 145

- Ani mi w myśli go nakarmić. Jeno rozbudzić chcę bestię, by jako lew ryczący *quereat quod devoret*. Muszę przecie i o sobie pomyśleć. Ale tymczasem, jeśliś już podjadł, próbę zrobimy, by wszystko poszło jak po mydle. Smak ma to paskudny, ale wodą popłuczysz i piwa ci ostawiłem łyk, by go . zgubić.

Ostróżka skrzywił się, ale wziął kawałek mydła do ust i przez chwilę obracał pod językiem.

- Gotówes?

Ostrózka skinął głową. Rzucił się na słomę i ciskać począł, zgrzytając zębami, wywracając oczy i tocząc pianę z ust.

- Wybornie! Sam święty Walenty lepiej by nie wydolił.

Jeno się zanadto nie ciskaj, bo do reszty łeb rozwalisz. A z rozwalonym łbem uciekać nijak.

W klasztorze Predykanów narada nad opętany trwała niemal do południa, nie brakło bowiem w zgromadzeniu ludzi, którzy niejedno wiedzieli o demonach, uczonych, jakimi nie mogli się pochlubić bracia mniejsi. Predykanci też tylko posiadali prosek św. Bibiany, w podobnych wypadkach szczególnie skuteczny.

Mimo to, a może właśnie dlatego narada się przedłużała.

Imiona mędrców, zarówno pogańskich, jak i Ojców Kościoła, którzy pisali o opętaniu, sypały się jak liście na jesieni, wraz z cytatami ich dzieł. Niemniej z największą uwagą słuchano lektora Gerharda, który prowadził studium solemne 2 w zgromadzeniu, a prócz tego trudnił się leczeniem.

- Rozważyc nam wypada szczególne okoliczności, wśród których nastąpiło opętanie tego nieszczęsnego grzesznika. Wiadomo bowiem, że, mimo młodego wieku, zatwardziały jest złoczyńcą, na skutek czego diabeł nad ciałem Jego łacnie mógł władzę uzyskać.

Przytaknęli wszyscy i padały imiona największych powag:

\* szukała co by pożreć

2 studium święte

146

Ł ^ymczak

św. Augustyna, Grzegorza Wielkiego i Izydora z Sewilli. Lektor Gerhard podjął:

- Jak nas uczy Psellos w dziele swym "Peri energias demonon" 1 demonów, które ludzkim ciałem zawładnąwszy rozdzierają je, miotając w ogień lub wodę, albo tłuką nim o kamienie, by duszę w stanie grzechu z niego wypędzić, - jest rodzajów sześć: ognia, powietrza, ziemi, wody, podziemia i ciemności. Mądry zaś Wilhelm biskup Paryża uczy nas, jak z działań rozeznac, czy demon sługą jest Plutona, Szatana czy Astarty, jakie jest jego imię, natura i pochodzenie.

Tu generalny kaznodzieja zacytował jeszcze powagi: Alberta Magnusa, Tomasza z Aquino i Bonawentury, oraz wyliczać jął liczne przykłady z "Dialogus miraculorum" Cezarego z Heisterbachu. Lektor przerwał cokolwiek niecierpliwie Mnożę rozmyślnie nawrócił do starożytności:

- Ojciec medycyny Hipokrates zgodny jest w tym z Platonem i Arystotelesem, że objawy onej, jak mówią choroby, zaczynają się w mózgu, który jest częścią ciała najbardziej świętą i boską. Jako poganie nie mogli oni mieć o demonach pojęcia, ale tu widzimy, że tkwiło w nich przeczucie prawdy. Człek questionis2 zdrów był na ciełe. Kiedyż nastąpiło opętanie?

Gdy kamieniem i kijem uszkodzono mu głowę. Któreżyż tedy demon napaść przypuścił i który z członków opanował?

- Locum minoris resistentiae3 - odezwał się ktoś,

a wszyscy przytaknęli.

- Słusznie - powiedział lektor.- Wiemy tedy gdzie szukać ducha nieczystego, ale jakiego? j

Najmłodszy ze zgromadzonych, Michał, dotychczas głosu nie zabierał, wstydząc się braków swej wiedzy wobec uczoneści innych. Teraz trafiła mu się sposobność. On chodził odbierać Ostróżkę i miał wieści, które niezmiernie ważne mu się zdały

' o mocy demonów

2 dotyczący, rzeczony

' miejsce mniejszego oporu

147

dla poruszonej kwestii. Rumieniąc się tedy z podniecenia poprosił przeora o głos.

. - Rozważaj ojcowie, czy nie jestem w błędzie. Gdy opętanego przywieziono do kabatów, był słaby i prawie bez rozoznania. Spał potem bez przerwy trzy dni i trzy noce dziwnym jakowymś snem, bo stężały był, jakoby umarły, a powieki miał otwarte.

- Słusznie mówisz, bracie - przytaknął brat Henryk. -

Demon przeto we śnie go już opanował. Tedy, ani chybi, succubus, który jest demonem ziemi.

Ojciec lektor wzruszył jednak ramionami, widocznie nie przekonany, a Michał rumieniąc się bardziej niż poprzednio ciągnął:

- Wybaczcie, ojcze: w tym samym lochu siedział już oskarżony o herezję i bluźnierstwa wagant jakowys. Wypytywałem dozorcę, czy czegoś niezwyčajnego nie pomiarkował, wiadomo bowiem, że na nic tak łatwo<sup>nie</sup> zwabi demona, jak na bluźnierstwa. Dozorca nic mi nie rzekł, ale zmieszał się. Tedy sam usiłowałem wybadać bluźniercę, wszcząwszy z nim dysputę. Muszę rzec, że w dziwne zamieszanie mnie wprowadził. Na pozór głupi jest, a zna Pismo święte jak mało kto i tak mną kierował, że sam sobie przeczyć musiałem, miast się o nim czegoś dowiedzieć. Zda mi się, że to nie tylko bluźnierca i heretyk, ale i czarownik, bo wyszedłem jako zaczadzony. W tym zaś podejrzeniu utwierdza mnie, że gdym -wychodząc dozorcę o tym napomknął, jał przeczyć tak gorliwie, jakby wiedział coś i chciał ukryć przede mną. Śmiem tedy mniemać, że tu leży źródło zła i że demon, który wszedł w opętanego, jest demonem ciemności.

1

Michał aż napęczniał z dumy, gdy zdanie jego prawie bez sprzeciwu przyjęte zostało, nawet przez kaznodzieję generalnego, a jedynie lektor wyraził mniemanie, że gdy z czarownikiem sprawa, demonów może być więcej i zakończył:

- W takim wypadku jedynie sposób św. Hildegardy okazać się może skuteczny.

~ 148 ~

Inni jednak, mimo niewątpliwej powagi lektora w tych sprawach, jeśli się sprzeciwiać: sposób ten trudny jest i długotrwały, wymaga aż siedmiu egzorcystów, przygotować się zaś mają postem, jałmużnami i biczowaniem. W wypadku św. Hildegardy chodziło o szlachetną panią, tutaj zaś o młodzika bez

znaczenia, w którym jeszcze demon nie zdążył się zagnieździć. Należy przeto użyć przepisów Bernarda z Clairvaux.

Wszczęła się gorąca dyskusja, czy przez post należy rozumieć wszelkie umartwienie ciała, czy tylko odmowę lub ograniczenie pożywienia. Znowu zaczęły padać imiona powag i cytaty, ale ostatecznie zgodzono się, że zrazu sięgnąć należy do prostszych środków.

Ostróżka tymczasem leżał w zakrystii ze związanymi rękoma i nogami i z pewnym niepokojem oczekiwał na przewidywany przez Braciszka rozwój wypadków. Głodny był i spragniony, a gdy zbliżało się południe, zaczął już tracić nadzieję. Odetchnął z ulgą, gdy go wreszcie wniesiono do kościoła i położono przed ołtarzem w kole opisanym święconą kredą, na którego obwodzie widniały imiona: Agła, Gaba, Emanuel. Szyję zawieszono mu jedną stulą, drugą zaś przytrzymało go wpół ciała dwóch braci. Ostróżka udawał osłabłego i leżał z przykniętymi oczyma. Kapłan śpiewał mszę, a skończywszy przystąpił do leżącego, trzema kolektami uczynił nad nim znak: krzyża świętego i uroczystym głosem mówić zaczął:

- "Boga, który cię urodził, opuściłeś i zapomniałeś Pana, Stworzyciela swego."

- „Oświeć oczy moje, bym nie zasnął w śmierci, by kiedy nie rzekł nieprzyjaciel mój: Przemogłem go."

"Potargałeś pęta moje, Tobie ofiaruję ofiarę chwały, a Imienia Pańskiego wzywać będę."

"Jezus Nazareński, król żydowski niech zachowa cię od wszelkiego zła. Amen!"

Następnie zdjął opatrunek z głowy Ostróżki i przybliżając usta do rany szeptał po kilkakroć cytaty z Pisma świętego, skończywszy zaś, skropił Ostróżkę obficie wodą święconą i zawołał wielkim głosem:

~ 149 ~

- Pójdź precz, duchu ciemności, z przytułku ciała tego, uczynj w nim miejsce dla Ducha Świętego. Nie zataj się w żyłę jakiejś, ani w kościach, ani w żadnym wiązadle jego członków. W nicosć się obróć, jak wosk w ogniu, jak sól w wodzie, jak proch na wietrze, by i dymu nie było. Yndica Gabriel, Michael, Horiel, Rafael, Tubiel, Petrus, Paulus, Johannes, Stephanus, martyres Domini nostri!

Ostróżka, który w czasie modłów jakby zapadał w sen, teraz wyprężył się jak kij, wyrócił półotwarte oczy, a końce Jióg i rąk drgały mu szybko, jak jaszczurczy język. Egzorcysta otarł pot z czoła i zawołał na kleryków:

- Prędko z nim teraz za mur, bo zły duch chce wychodzić.

Z szat go rozebrać, by się w nich nie przytaił i samego ostawić, by nie wszedł w kogo innego.

Porwali tedy Ostróżkę jak kawał drewna i cisnęli nagiego w międzymurzu za furta, koło dominikańskiego młyna.

Ostróżka zrazu leżał jak martwy, jeno nasłuchiwał pilnie, czy się coś nie porusza. Po chwili ostrożnie otworzył oczy i powiódł nimi dokoła. Cicho było i pusto, jeno młyn turkotał opodal. Zacerpnął oddechu i jednym susem był na wierzchu czę-

stokołu. Obejrzał się bystro, przesadził na drugą stronę i chlupnął w wodę. Potem jeno zachybotwały się trzciny na bagienku łączącym się ze stawem św. Sebastiana i ni znaku po nim nie było.

Rankiem, gdy go nie znaleziono na miejscu, ruch się uczynił. Gdy Nosderka sam przyszedł po więźnia, wyjaśniono mu, że musiał go porwać zły duch, który'widno wyjść nie mógł z powodu jakiejś przeszkody, a przerażony był zaklęciami. Nosderka pomyślał sobie jednak, że Ostróżka musiał zwiać, ale nie śmiał przeczyć tylu uczonym mężom. Zamiast z więźniem poszedł do pani Adelajdy z wieścią, że Ostróżki nie ma i miast przyrzeczonej nagrody spotkały go klątwy i wyzwiska ze strony gwałtownej niewiasty. Strapiony poszedł na swą gospodę licząc straty i siedział długo w noc, nim zadrzemywać zaczął. Ale i sen nie przyniósł mu ukojenia. Budził się wciąż,  
~ 150 ~

bo mu się zdało, że przez otwarte okna zakrada się Ostróżka, by wyrównać z nim rachunek. Choć gospoda była na wyżce, a noc była duszna, zamknął okno i świtało już, gdy wreszcie zasnął twardo.

Gdy'zabrano Ostróżkę, Braciszek zatarł ręce. Co dziwniejsze, był widocznie rad, że dozorca nie przynosi zwyczajnego posiłku, podśpiewywał sobie przez nos, gadał do siebie i śmiał się, a gdy wreszcie zapadła ciemność, a dozorca się nie zjawił", ogryzł wczorajszą kość, popił śliną i ułożył się spać.

Zbudził go skrzyp ostrożnie otwieranych drzwi i blask kaganka, udawał jednak, że śpi dalej. Dozorca zaczął go trącać. Braciszek usiadł, przecierając oczy i zapytał sennym głosem:

- Czy to już rano?

- Dopiero pierwsze kury piały.

- Niech pieją zdrowo. Spać mi się chce. -"

Ułożył się z powrotem, zamykając oczy. Dozorca zapytał niepewnie:

- Nie zjadłbyś czego?

Braciszek udawał, że się namyśla. Potem odparł:

- Nie! Dycha była słona i łykowata, piwo słabe i kwaśne.

Nie do takiego jadła nawykłem. Nie będę u was kupował.

Płacę dobrze, ale za dobry towar.

Dozorca jednak rzekł gniewnie:

- Nie u mnie, jeno gdzie? Może na targu? Z głodu tu zdechniesz.

- Nie trąpcie się o mnie. Nieraz ja po sześć niedziel ni kęsa w gębie nie miałem. Im dłużej poszczę, tym większa moc wstępuje we mnie.

Dozorca milczał stropiony, a Braciszek rzekł drwiąco:

- Powiedzcie prosto: pieniędzy chcecie?

- Juści - mruknął dozorca. - Kto by nie chciał?

- Sw. Bonawentura mówi: „Pieniądz nie jest niczym innym dla sług bożych, jeno jako szatan i jadowity wąż.”

-- Tak ludziom prawią - odparł dozorca z goryczą-' a za

~ 151 ~

wszystko płacić sobie każą. Największe majątności garną ci, co

niby ubóstwo ślubowali.

- Bo jako prostak nie wiesz, co pewien mędrzec pogański powiedział: "Najkrótszą drogą do majątku jest pogarda bogactwa."

- Ja ta nie wiem, co mędrzy mówią. Jenó mam oczy i. parzę. Nikt nie gardzi majątnością: ni panowie mieszczanie, ni rycerstwo, ni wielebne duchowieństwo. Łupią, podatki ciągną i dziesięciny. Ni odpustu darmo nie dostanie, ni sakramentów świętych, nawet relikwie za pieniądze jeno kupi. Tedy głupi ten wasz mędrzec, bo majątnością nie gardzą, a bogaczami są i każdy im się kłania, co pieniędzy nie ma. [

- Chrystus Pan powiedział: "Nie można Bogu służyć i mamonie." Zaś świątobliwy Cezary z Heisterbachu mówi: „Każdy bogacz jest albo złodziejem, albo synem złodzieja."

- Na kazania do kościoła chodzę, a co wiem, to wiem. Pieniądz jest pieniądz, a nie czart ani wąż. Pół wieka żyję, a jeszczem takiego nie widział, co by mógł mieć pieniądze, a nie chciał.

.3

- Nie widziałeś, to popatrz na mnie.

Ale dozorca zły był już. Liczył na pewny zysk i miał dla niego przeznaczenie, bo cztery marne wiardunki, jakie miasto płaciło mu co tydzień, zabierała stara i skąpa połowica, a rzadko udawało mu się bez jej wiedzy coś zarobić. Huknął ze złością.

- Głupiemu to powiedz. Widzę ja tu więcej złodziei, niż •  
\ twój Cezary Skądstam. Brudne to, plugawe i obdarte. Bogacze! Żebyś ty pieniędzy mógł mieć, ile chciał, to byś tu nie siedział z podartymi portkami na tyłku, jeno na złotym stolcu w futrach i bławatach. Powiedz, że więcej pieniędzy nie masz, a mnieś ino zwiódł, że wyczarować je wydolisz. Zdychajże sobie tu ^  
z głodu, jeśli cię raniej nie spalą, bo to, co gadasz, iście bluźnierstwa są, które świat wywracają do góry nogami.

- Nie ja gadam, jeno Ojcowie Kościoła i sam Chrystus Pan. I wyrócił świat. Ale przyszedł diabeł i odkręcił go z po-  
~ 152 ~ ' ^ ~

wrotem. Jego to namiestnik na Piętrowej Stolicy zasiada,- a służą mu książęta i biskupi.

Dozorca uszy zatkał.

- Powiem ja, gdzie należy, coś tu gadał. Za to jedno spalą cię bez ochyby.

Braciszek zaśmiał się.

- Czemu się śmiejesz, głupcze? Myślisz, że bawić się z takim będą? Jak ci puszczą pod nogi czerwonego koguta, inaczej zaśpiewasz. ' >

- Śmieję się, bo jeno chciałem was wypróbować.

- Wypróbować?

- Juści! Potrzebuję takiego człeka, co by dla pieniądza nie zważał na nic i nie bał się samego diabła.

Dozorca zaskoczony i zmieszany ocierał, zroszone potem czoło, a Braciszek patrzył na niego z kpina.

- Czy ty aby naprawdę się nie boisz?



- Nie boję się - odparł dozorca, starając się głos uczynić pewnym. - Jeno chcę wiedzieć: ile i za co?  
- Pogadamy. Tymczasem chcę gardło czymś przetrzeć i przepłukać.

Ręką machnął, jakby coś chwycił i pokazał grosz między palcami. Podrzucił go do ust, a drugą ręką sięgnął do dziury w portkach na tyłku i wydobył pieniądź. Podsunął go pod nos dozorca, mówiąc:

- Pewien cesarz rzymski powiedział, że pieniądź nie śmierdzi i praw był. Wina mi przynieś.

- Skądże ja ci wina wezmę po nocy? - rzucił dozorca zmieszany.

- Choćby z kościoła. Chcesz pieniędzy, masz robić, co każe.

Dozorca, choć roztrzęsiony i rozpalony chciwością, spojrział jednak podejrzliwie na więźnia:

- Czy ty jeno uciec nie chcesz?

Braciszek roześmiał się.

- Wnet sam zrozumiesz, jak głupio pytasz. Gdybym chciał, wyszedłbym stąd, a ty anibyś ręką nie ruszył. Jeno zakłęcie ~ 153 ~

wypowiem, kajdany spadną z moich rąk, a ściany się rozstąpią. Nie wierzysz?

Wyprostował się, ręce i głowę podniósł w górę, mamrocąc jakieś niezrozumiałe zaklęcia. Żelaza z brzękiem spadły na ziemię.

- Nie! Nie! - krzyknął dozorca.

Zataczając się, wybiegł z lochu. Braciszek dość długo czekał na jego powrót. Dozorca przyniósł mu wino, biały chleb i wędzoną rybę, przepraszając niemal pokornie, że o nic lepszego po nocy wystarać się nie mógł.

- Jutro wam przyniosę, co ino zechcecie, choć bieda teraz w mieście.

- Jutro? - powiedział Braciszek. - Jutro obaj będziemy daleko.

- Jak to? - zapytał niespokojnie dozorca.

- Cierpliwości. Sam wszystko zrozumiesz. Ile też chciałbyś dostać?

Na twarzy dozorca widać było walkę. Zapytał niepewnie:

- Czy ja mam duszę przędac diabłu?

-• Nie bój się. Za taką duszę, jak twoja, diabeł nie dałby ni skojca, bo i to nawet niepewne, czy masz duszę. Na oko bydlę z ciebie, co jeno żre i sra.

Mimo całego trwożliwego szacunku, jakiego nabrał dla więźnia, dozorca obruszył się:

- Jak to? Przecie chrzczony jestem, do Stołu Pańskiego przystępuję, Chrystusa w sobie noszę.

- Osioł, na którym Chrystus do Jerozolimy wjechał, żywego Pana nosił, a przez to jeszcze człkiem nie ostał, choć kości jego jako święte relikwie sprzedają. Samych nóg ze sto przedali.

- Cóż gadacie? Z jednego osła sto nóg?

- Osłów nie brak na świecie. Co się zresztą osłu dziwić, kiedy i święty niejeden po cztery nogi ma, jak zwykle bydlę,^ albo i więcej.

Dozorca uszy zatkał.

~ 154 '•<-

- Ostawcie! Ze was też żywy ogień z nieba nie spali za takie bluźnierstwa.

- Jakie zaś bluźnierstwa? Na własne oczy to widziałem włóczęgę po świecie.

- To chyba nieprawdziwe - powiedział dozorca z powątpiewaniem.

- Bacz, byś ty nie pobлуźnił. Zresztą prawdziwe czy nieprawdziwe, wiara tych, co kupują, prawdziwa i prawdziwy pieniądz, którym płacą. Co z głupim o tym gadać. Ile chcesz? Dozorca skrobał się po głowie, czując zamęt od wina, które' popijali i od wszystkiego, co widział i słyszał. Chwilami zdało mu się, że upił się i śni. Uszczypnął się w udo i powiedział z wahaniem:

- Zdało by się... kóp groszy praskich... ze...

- Co mi o srebrze prawisz! Chcąc go mieć tyle, by w dużym mieście dom kupić murowany, dworzec jaki-taki z ogrodem na przedmieściu i ze dwie jacie z dobrym towarem, na' dwa konie brać by trzeba.

Dozorcy aż mrówki chodzić jeły po grzbiecie, ale zapytał:

- A po cóż konie? Przecie nigdzie nie jadę.

- Jak'sobie chcesz. Jeno rozważ sam, co ludzie gadać będą, gdy jednego dnia zaczniesz w Krakowie, gdzie wszyscy wiedzą, żeś golec, domy, place i kramy kupować, szaty co najcieńsze, futra i klejnoty, dziewczkom złotem płacić, bo juści z takim starym opasłym dziadem darmo zabawiać się nie będą.

- Wždy nie muszę kupować, ni złotem płacić. Mogę żyć, jak przódzi. Byle na achtel piwa co dzień stało, a raz na miesiąc na dziewczki, bo mi zbrzydła już moja stara. Brzuszyko ma jak pierzynę i cuchnie zjełczałym łojem.

- Dobrze! Dam ci dwie kopy groszy. Starczy ci.

Ale dozorca aż podskoczył.

- Co, dwie kopy groszy! O złocie mowa była. Oszukać się nie dam.

- A na cóż ci złoto? Temu, co go wydać nie umie, złoto a mierzwa to jedno. Najdę sobie takiego, który będzie wiedział, co z nim zrobić.

~ 155 ~

Dozorca tarł czoło w strapieniu,

- Juści, zdałoby się dom kupić. I żarcie jakieś lepsze, nie zawdy jeno kasza ze skwarkami, a śledzia na post. Widziałem ja jak u wójta jedzą. Jeno tak nagle od miasta iść? Ani się komu pochwalić, żeby go zółc zalala?

- Pochwal się, to cię o czary ciągać zaczną. I jako się sprawisz?

Dozorca głowę ujął w dłonie w rozterce, ale Braciszek na-rparł na niego:

- Rozmyślaj ze sobie, a już drugie kury pieją. Przed trze-

cimi albo będziem za murami, albo ostań i żryj kaszę do końca żywota, a ja pójdę sam.

- Pójdę! Czego mam żałować? Tej wilgotnej nory koło kabatów, czy starej Trudy, co z niej nijakiej uciechy, a od ćwierci wieka życie mi obrzydza; czy pana hutmana, co nigdy dobrego słowa nie da, czy wójta, co na psa prędzej spojrzy niż na człeka, choć mu się do stóp kłaniać. Niech ich zła śmierć! Pójdę ja! Chcę też raz złotem rzucać, konie zajeżdżać, ludzi poniewierać. Ile dasz?

- Ile uniesiesz.

- Dawaj!

- Zgłupiałeś? Przecie nie tutaj. Zresztą, żeby zrobić złoto, muszę mieć ogień i ołów. I po co nosić, kiedy mogę zrobić gdzie zechcę.

- A skąd ja mogę wiedzieć, czy mnie nie oszukasz?

- Po cóż mi cię oszukiwać? Dla mnie złoto, a żelazo czy ołów, to jedno. Jeno tego za żadne skarby świata nie dostanie. Trzymaj, tylko nie zgub, bo nic wtedy ze złota. Będziesz miał pewność, że ci nie ucieknę. -

- Co to jest?

- Proszek. Kto go ma, ten z byle czego złoto zrobi. Słyszałeś o takim?

- Coś ta słyszałem. Mówią nawet, że ojcowie predykanci szukają, jak go zrobić.

- Niech szukają. Gotowy przepis dostałem od jednego Araba w Ziemi Świętej i to dwadzieścia lat się mozoliłem, ni-  
~ 156 ~

mem proszek zrobił. A nie każdy, co go zdobędzie, złoto robić potrafi. Żeby tak było, aniby mi ci potrzymać nie dał.

Dozorca jeszcze miał jakieś wątpliwości, bo zapytał:

- A za co ty mi chcesz tyle płacić?

- Będziesz robił wszystko, co każe, ani się pytając po co, póki sobie mędrszego sługi nie najdę. Teraz weź powróż, a długi, po którym z murów się spuścimy.

- To mury się przed tobą nie rozstąpią?.

- Żebyś znał Pismo, wiedziałbyś, że ściany więzienia rozstąpić się mogą. Mury zaś walić się musi, ale na to trzeba mieć trąbę jerychońską. Zejdziemy po powrozie, ale ściągnąć go trzeba, bo po co mają wiedzieć, którędyśmy uszli?

Dzień był jasny, gdy strażnik z Wiślniej bramy dostrzegł zwisający z muru sznur. Zaniepokoił się, że podczas jego obchodu ktoś widać wszedł do miasta lub wyszedł. Co tchu dobiegłszy dostrzegł, że na sznurze, omotanym o blankę muru wisi człowiek, zakryty chaszczami, które rosły w tym miejscu. Drugi koniec sznura przywiązany 'był do pała w częstokole. Strażnik usiłował wyciągnąć wisielca, ale że ciężko szło, skoczył po pomoc i we trzech wydźwignęli na mur opasłego człeka, w którym ze zdziwieniem poznali dozorcę miejskich kabatów. Żyw był, bo pętlę miał przewleczoną pod pachy, ale i tak ledwo zipał i nic z niego wydobyć nie było można. Odnieśli go tedy na ratusz, gdzie zastali zamieszanie, bo loch był otwarty, a więźnia ni dozorcę nie było. Hutman pieklił się na kogo popadło,

tym bardziej że już wiedział o zniknięciu Ostróżki.

Półprzytomnego dozorcę ominęła pierwsza złość hutmana, a gdy po południu poczuł się na tyle lepiej, że mógł stanąć przed wójtem i Ławą do sprawy, obmyślił już sobie obronę: w nocy postyszał w lochu jakieś niezwykle odgłosy, a gdy wszedł, coś porwało go i niosło powietrzem. Modlić się zaczął do św. Jerzego i św. Małgorzaty i Zły musiał go puścić, zawieszając go jednak ze złości na murze, gdzie wisiał, aż go zdjęto. Ponieważ pokrywało się to z podejrzeniami ojca Michała od predykantów, że więzień czarownikiem był, zważywszy dojrza-

~ 157 ~

le okoliczności wypadku, dano mu wiarę. Kabaty egzorcysta wykropił wodą święconą, by się Zły gdzieś nie przytaił, i wszystko ostało jak było, jeno zmiana zaszła w dozorcę. Wobec ludzi zrobił się milczący i dostojny i miast w szynku, każdą wolną chwilę spędzał przy ogniu, coś pichcąc. Ciekawą połowicę wyganiał i mimo że się piekliła, nie zdradził jej swej tajemnicy. Toteż gdy go wkrótce krew zalała, czy zadusiło złe powietrze, wychodzące z dekotów, wraz z tyglami i miechami wdowa wyrzuciła też czerwony proszek, słusznie mniemając, że to tłuczona cegła.

XT

Po wawelskich wypadkach Krzych długo przebywał poza świadomością. Rany zaogniły się i zaczęły jadzić. Ale nawet w gorętwie milczał, nie prosił o nic, nawet o wodę, nie zapytał nawet o Ostróżkę, który przestał przychodzić, ni o pierścień, który zniknął gdzieś z wychudłego palca.

Gdy pocieplało, rany przyschły i siły zaczęły Krzychowi wracać. Wstawał, bo Terka wyganiała go z legowiska, roboty bowiem nie brakło, a jakoś trzeba żyć! Wysechł jak wiór, a że wyrósł jeszcze, wyglądał na olbrzyma. Puch na twarzy mu pociemniał, a oczy straciły resztę dziecinnego wyrazu. Niemowny był i nieruchawy. Daremnie zabiegała Kundzia, która przywykły do niego w czasie choroby, rada byłaby mieć w nim towarzysza swych zabaw i trosk. Lubił ją; gdy o coś prosiła nie odmówił. Na pozór włączył się zupełnie w życie gromadki, ale gdy był sam, dumał. Życie zdało się płynąć koło niego, jak ta rzeka pod progiem. Patrzył na nią co dzień niewidzącymi oczyma; skądś przychodzi i gdzieś płynie, ale po co?

Sił przybywało mu z każdym dniem, coś z nimi trzeba począć i o sobie postanowić. Tymczasem pomagał rybakowi w połowach, bo trudno było siedzieć na jego łasce. Upodobał sobie wodne wyprawy i ciepłe noce po wiślanych łachach, gdy lśniąca i czarna powierzchnię wody marszczyła w srebrne koła żerująca ryba lub drgające pławiki zastawionych sieci. Szuwary szeptały tajemniczymi głosami, a przybrzeżne trzciny wrzały, gdy coś spłoszyło nocujące w nich ptactwo. Na wodzie czas płynął jakoś bez rachuby. Gdyby zachody słońca nie przesunęły się coraz dalej ku północy, można by myśleć, że czas stoi,

~ 159 ~

a płynie jeno woda. Wieczorami, gdy czekali aż się upiecze lub uwarzy złowiona na wieczerzę ryba, rybak grzebał w ognisku

i snuł jakby stamtąd wygrzebane opowieści, które tylko przy migotliwych blaskach płomienia, tworzących w mroku jakby zamknięty w sobie świat, mogły się wydać prawdziwe. Krzych przestawał czuć pustkę w piersi i polubił Siedlika z jego opowieściami. Bardzo' się też udał i rybakowi, który z wody i ognia umiał nie tylko wyciągać baśnie, ale i pieniądze. Ryba miała dobrą cenę, bo skąpo było z żywnością i w mieście i na zamku, a dzięki Krzychowi połowy zwiększyły się w dwójnasób. Zdałby się na stałe taki pomocnik, co namokniętą komieję sam jeden przenieść wydoił przez piaszczystą łąkę, lub przeciągnąć kilka sta jań przez bagno, a wór, by z najobfitszym połowem, jedną ręką na bary zarzucić. Rybak widział, że młodzik zapatrzony jest gdzieś daleko przed siebie, jak ptak gotujący się do odlotu i przemyśliwać zaczął, jakby go zatrzymać. Raz zagadnął go chytrze, gdy płynęli z prądem do domu, a Krzych siedział zadumany:

- Dużo też років sobie liczysz?

-- Siedemnaście - odparł Krzych.

- Ho! ho! - zdziwił się rybak. - Myślałem, że z górą dwadzieścia. Silnys jak koń.

Gdy Krzych milczał, dodał:

- Moja Kundzia dziesięć skończyła w sam dzień swojej patronki. Skoro patrzeć, jak dojrzeje. W matkę się wdała; urodną i zaradna była niewiasta, świeć Panie nad jej duszą i skróć jej męki czyśćcowe, bo bez świętych sakramentów woda ją zabrała. Bywało, przystroi się do kościoła, to i poniektóry z panów za nią się obejrzał. Jedna córka u mnie, wszystko co po mnie ostatnie dla niej. Jest i srebra trochę zakopanego pod węglem. Razem byśmy siedzieli. Złe ci to?

Krzych zmieszany ręką przebierał w wodzie, spuściwszy oczy. Gdy nie odpowiadał, rybak zapytał:

- Nie udała ci się Kundzia?

160

- Wždy to dziecko jeszcze. I gdzie mi niewiastę brać. Ani wiem, ktom jest, ani co mi robić. Zresztą Terka mówi, że wyjechać trzeba.

- A cóż ci Terka? Zrałyś już, swój rozum masz.

- Zawszy od małości mnie chowała.

- Matki nie pomnisz?

- Nie pomnę. Terka mówi, że mnie niemowlęciem naszli po tatarskim napadzie.

Rybak coś liczył i powiedział:

- Tedy by ci więcej było niż siedemnaście років. Pamiętam ja dobrze, bom też miasta bronił przed ową szarańczą. Miasto się obroniło, ale co kraju poszło w perzynę! A krakowskie rycerstwo niemal do nogi wybili. Bez to mieszczanie ostali się na wierzchu i tak ich rozděło, że z samym księciem wojnę myślał teraz prowadzić. Ale Łokiet twardy, a chytry, dopnie on swego. Brak mu rycerstwa, to prosty lud zbroi i za zasługi na rycerskim prawie osadza. I ty byś...

Urwał, bo pomyślał, że gdyby Krzych księciu poszedł służyć, to nic z jego wobec chłopca zamiarów.

Krzych nie słuchał. Terka więc go okłamała. Nie chce mu zdradzić, kim jest. Ogarnęła go nagle nieprzeparta - chęć dowiedzenia się prawdy. Zdało mu się, że dalsze jego życie od tego jeno zależy. Wciąż się coś niby zaczyna i znowu nic. Chwytał za wiosło i przeciw zaczął łódź, jakby ich kto ścigał. Rozmowa się urwała. Dopiero, gdy minęli ostatni zakręt przy ujściu Rudawy i dom już był w oczach, Krzych zapytał:

- Mówiła mi Kundzia, że Ostróżka chodził, pókim bez duszy leżał. Nic nie rzekł, kędy idzie, albo kiedy przyjdzie?

- Gdy był ostatni raz, mówił, że przyjdzie nazajutrz i nie przyszedł. Nieraz on się tak zgubi, a potem znowu znajdzie.

- To znaliście go przedtem?

- Widywać go widywałem, a zapomnieć go trudno, bo łeb ma jako pochodnię. Nawet włos, było, zaczernić chciał, żeby był mniej znaczny, ale potem zzieleniał, a gdy mu podrosł, to pół łba miał zielone a pół czerwone i wówczas to przewali go Marchewką. Ale źli się, jak go tak zwać. Znają go tu na Wawelskie wzgórze - 11 161

Stradomiu i Bawole od pętaka. Zawdy jak kot chadzał swoimi drogami, do nikogo nie przyłgnał. Ze wszystkim dziwny. Jednemu weźmie, drugiemu da.

Rozmowa urwała się znowu, bo dno łodzi zaszurało po żwirze. Krzych wyskoczył, wyciągnął łódź na brzeg i zarzuciwszy sieć z połowem na plecy ruszył w górę. W drzwiach wpadła na niego Kundzia.

- Był tu ktoś do ciebie!

Mimo że miał niejasne przeczucie jakiejś odmiany, zaskoczony zapytał:

- Od księcia może?

• - A juści, od księcia poseł! Portek nie miał, gołym tyłkiem świecił - rzuciła zgryźliwie Terka.

- Śmieszny cudak jakowys. Szkoda, że go Terka wygnali, bo różne dziwy pokazował. A ćwierkał jak wróbel, aż samego Maciusia zwiódł, że czaić się zaczął. Potem zaś zaszczekał jak pies i kotek uciekł za piec i wyleźć nie chce - opowiedziała Kundzia.

- Jeszcze by co ukradł, łazęga taki - wtrąciła Terka.

Ale Krzych nie słuchał. Jeśli nie od księcia, to chyba od Ostróżki. Wyszedł na obejście i patrzył na mroczniejący już brzeg i świecąca od zorzy wodę. Drgnął, gdy bezszelestnie zbliżył się 'do niego jakiś człowiek i zapytał cicho:

- Tyś Krzych?

- Jam ci.

- Ostróżka kazał rzec, byś mu jakową przyodziewę dał.

Do księcia jedzie, do Sandomierza. Pyta, czy pójdziesz z nami?

- Idę - odparł Krzych bez namysłu.

Dłużej nie mógł wytrwać w beczynności. Niech się coś dziać zacznie.

Jak przewidywał Jaśko, proces przeciw Muskacie szedł opornie. Nim przyszło do ustalenia tez dla świadków, biskup wniósł apelację do Kurii rzymskiej, zarzucając wprost Jakubowi, że wznowił zakończony już proces, by ustępstwa wobec

Łokietka wymusić i oskarża go o symonię, gdy sam wymógł na nim pieniądze przy objęciu biskupiej stolicy. Odmówił udziału w dalszym procesie przed rozstrzygnięciem apelacji i licząc na to, że po zawarciu układu ksiązę nie zechce siłą go zatrzymać, wyjechał do Krakowa.

Łokietek aż pozókł z troski i hamowanego gniewu. Uderzenia Waclawa każdego niemal dnia można się było spodziewać, a ksiązę dalej tkwił w niepewności, co przedsięweźmie biskup i mieszczanie. Wysłał tedy kasztelana Jaśka z węgierskimi posiłkami ku morawskiej granicy, a sam z pozostałym wojskiem wybierał się właśnie do Krakowa, by nacisk wyrzucić na miasto. Wieczorem przed samym jego wyjazdem zjawił się obdarty i wynędzniały Ostróżka, który nie zastawszy kasztelana, zgłosił się wprost do księcia.

Łokietek zajęty i stroskany przyjął go dość oschle:

- Nie pora mi teraz z tobą gadać. Czekałem na ciebie po próżnicy, mogę jeszcze poczekać, aż do Krakowa ściągniemy. Tobie niech szatny odzież da przystojną i możesz się do mego orszaku przyłączyć.

Ostróżce twarz pociemniała:

- Orszak mam swój, nielepiej odziany ni bardziej syty niż ja.

- Kogo przywiodłeś? - zapytał ksiązę, powściągając zniecierpliwienie; wyrostek już się zasłużył, a jeszcze może być potrzebny.

- Jeden, to onże młodzik, co mi bramę otworzyć pomógł na Wawelu.

- Wylizał się? Sposobną porą niech mi się przypomni, to wynagrodzę, a teraz zgłosi się u sieradzkiego kasztelana. Osilek ma być, niech się wdraża do rycerskiej służby. Chcesz jeszcze czego? - zapytał widząc, że Ostróżka nie odchodzi.

- Jest jeszcze jeden wagant, co mnie z więzienia uwolnił.

- To w więzieniu siedziałeś? Opowiesz kiedy indziej. Ale z klerykiem cóże mi począć? Chyba arcybiskupa poproszę, by

~ 163 ~  
go z sobą wziął, jeśli język polski zna, bo się skarżył, że duchownych mu brak. No, idź już, bo panowie na mnie czekają. Ostróżka skłonił się i wyszedł. Zbierała w nim złość. Towarzysze stali przed zamkiem, przy moście nad parowem. Gdy stanął obok nic nie mówiąc, Braciszek powiedział:

- Puśćże parę z gęby, bo pęknie. Cóżes zły, jak przepiórka?

- Praw byłeś, że żadnemu panu służyć nie warto. Potrzebnyś, to choć szyję daj, a niepotrzebny, to cł kość.rzucą jako psu.

- Dobra i kość, kiedy nie ma dychy. Gadaj po ludzku, gdzie ta kość, bo po prawdzie zjadłbym coś, a od spania też jestem. Zmęczyła mnie ta podróż. - - -

- Wzdys jeno leżał jak wór i grzał się do słońca, gdy Krzych wiosłował całą drogę.

- Miętkie mam serce. Męczy mnie nawet patrzeć, jak się kto trzodzi. A mówiłem: niechajcie wioseł, woda sama niesie.

- Alebyśmy całą niedzielę jechali.

- To i co? Było się po co spieszyć?

- Prawda, że nie było. Pójdźmy.

- Ale dokąd?

- Ja mam ostać przy księciu. Krzych do rycerskiej służby naznaczon, a ty do arcybiskupa.

- Gratias ago! Wolę 'ja już kościelnych dostojników nie oglądać. Z przyzwyczajenia każdy człeka spo-wadać zaczyna.

- Prawią, że Jakub inny niż drudzy. Surowy, ale sprawiedliwy.

- Wolę ja na boską sprawiedliwość poczekać. Po ludzku sprawiedliwość i prawo - to jedno. A prawa układają wielcy dla małych.

Ostróżka wzruszył ramionami.

- Żebyś tyle nie gadał, lżej by ci żyć było.

- Nie skarżę się. Jeno żebym nie gadał tego, co myślę, dawno bym sam był jakowym biskupem i drugich sądził.

- Jakub każdemu gada co myśli. A przed sąd postawił samego Muskate, choć ten od niego potężniejszy.

~ 164 ~

- Tedy pewnie chuda u niego fara. Ale poznać się warto. Jeno jakim sposobem został arcybiskupem, gdy ja za gadanie ino co na stos nie trafiłem. Al? pójdziemy do gospody, wypić na pożegnanie, bo nam się rozstać przyjdzie.

- Do Krakowa razem pociągniem, drogę i tak każdy z nas ma swoją, a wypić nie ma za co, bo żaden szelągim nie śmierdzi.

- Żebym ino wtedy pił, gdy mam pieniądz, dawno umarłbym z pragnienia.

- Nie rób tu żadnych cudów, bo znowu kłopotu napytasz - rzekł rozsądnie Ostróżka. - A ty, Krzychu, pójdiesz do kasztelana?

- Pójdę. Raz trzeba z sobą coś począć.

- Dobrze, żeś się odezwał. - rzekł Braciszek. - Gdyśmy byli ra2"em, ja gadałem za wszystkich. Ale teraz musisz się sam nauczyć, bo inaczej cię zjedzą.

Nazajutrz pociągnęli do Krakowa. Książę spieszył się. Na zamku zastał już posłańca od Jaśka z wiadomością, że Wacław piętnastego lipca wyruszył z Pragi na czele potężnych wojsk. Nie było czasu do stracenia. Książę otwarcie czynił przygotowania, by uderzyć na miasto, a zarazem gotował się do odparcia najazdu i rzadko bywał na Wawelu. Gdy wrócił jednego wieczora, jeno z konia zsiadł, przypytał się Ostróżka, którego książę nie widział od przyjazdu. Kazał mu iść za sobą i gdy znaleźli się sami, zapytał niecierpliwie:

- Masz co nowego? Mów prędko.

- Od wczoraj dziwnie się jakoś odmieniło w mieście.

- Gadaj, co wiesz.

- Mirosław Rożen z Dąbia kupił od wójta Alberta trzydzieści staj ziemi za rurmusem od Kleparza.



Książę wzruszył ramionami.

- To i co?

- A na drugi dzień od Jaksy odkupił je Muskała.

Książę zastanowił się i powiedział:

- Zapytam ja Mirosława sposobną porą, co ma z nimi.

~ 165 ~

Muskacie potrzebny był baraśnik<sup>1</sup>, bym nie odebrał, jeśliby prosto od wójta kupił, gdy miasto wezmę. Ale gdyby tak myślał, to by przysłali, że układ przyjmują. Wždy wszystkim przyrzekł, czego chcieli.

- Widno nie wiedzą, czy wy układu zechcecie dotrzymać.

- Co prawisz? Muszą przecie i oni mieć wieści, że Waclaw trzy niedziele temu z Pragi wyruszył. Ino go patrzeć.

-A biskup mieszczan do poddania miasta namawia. Pono na św. Idziego ma być zwołany wiec całego pospólstwa w tej sprawie.

- Tak biskup przyrzekł. Ale dziwne mi, że teraz właśnie chce dotrzymać. Miałem/być w jego sprawie u arcybiskupa. Trzeba i mnie dopełnić obietnicy.

Ostróżka, mimo całego zuchwalstwa, nie śmiał ostrzec księcia, że lepiej zaczekać, aż się sprawa wyjaśni. Zresztą książę pożegnał go słowami:

- Bacz dalej pilnie, bo dziwne to wszystko. Posiedzę teraz na Wawelu, zajdź ze swym towarzyszem po nagrodę.

- Mogę go przysłać, choćby zaraz. A o swoją sam poproszę, gdy będzie pora.

Przyczyna nagłej zmiany stanowiska biskupa i mieszczan przestała być jednak wkrótce tajemnicą. Wiadomość przyszła od Jaśka, że szóstego sierpnia młodociany Waclaw III, ostatni potomek męski rodu Przemyślidów, rządzącego Czechami od sześciu wieków, zamordowany został w domu ołomunieckiego dziekana, gdzie stanął na popas, ciągnąc z wojskiem przeciw Łokietkowi. Zabójcę, turyngskiego rycerza, Konrada von Potenstein, rozsiekała na miejscu straż Waclawa i nigdy mię dowiedziano się, kto nasadził mordercę. Podejrzenie padło na cesarza, że synowi swemu utorować chciał drogę na czeski tron, natychmiast bowiem, wbrew układom i prawu, ogłosił Czechy opróżnionym lennem i nadał je swemu pierworodnemu, Rudolfowi. Nie byli wolni od podejrzeń i niektórzy panowie czescy. Waclaw bowiem w swym krótkim życiu niemało narobił sobie 'pośrednik

166

wrogów, trwoniąc zdrowie na hulankach i rozpuście, a dobra koronne na grze w kości i hojności pijackiej. I na Łokietka rzucił podejrzenie rozdrażniony Muskata, gdy bowiem na tajnej naradzie miejskich i kościelnych dostojników mówiono o zabójstwie i konieczności zawarcia układu, by zyskać na czasie, biskup powiedział:

- Hic fecit, cui prodestl,

Takich było wielu, ale nikomu śmierć Waclawa nie była bardziej na rękę, a zwłaszcza nie przyszła tak w porę, jak Łokietkowi. Potężne państwo czeskie znalazło się w zamęcie,

jakiego nie pamiętały jego dzieje, wyprawa na Polskę została udaremniona, a wrogi żywioł niemiecki stracił oparcie, zmuszony jeśli nie ugiąć się naprawdę, to przycziąć, dając wolną rękę Włodzisławowi w chwili, gdy najbardziej tego potrzebował. Fala bowiem teutońska piętrzyć się zaczynała nad brzegiem Bałtyku, a wschód i północ kraju płonęły od ruskich i litewskich napadów.

Przywódcy zdawali sobie sprawę, że- to nie pokój, jeno rozejm, ale wśród pospólstwa w mieście, zwłaszcza polskiej krwi, zapanowała radość, jak po zdjęciu długiego oblężenia.

I surowa zazwyczaj twarz księcia pogodna była jak wrześ-, nitowe słońce, które grało złotymi blaskami na zbrojach i broni okazałego orszaku, towarzyszącego mu, gdy po ośmiu latach po raz wtóry wjeżdżał znowu na stolicę. Brakło w nim poznańskich i kaliskich dostojników, którzy panem okrzyknęli Henryka głogowskiego, ale Włodzisław i tak nie ludził się i wiedział, że to nie koniec, lecz początek jego pracy nad odbudową państwa polskiego.

Przy grodzkiej bramie sam wójt Albert w asyście Rady i Ławy wręczył nowemu panu klucze od miasta, a pospólstwo czyniło radosną wrzawę, która szła za orszakem w miarę jak się posuwał ku ratuszowi, gdzie księżę uiścić miał zapłatę za wydanie miasta. Spisany pięknie na pergaminowej karcie czekał pieczęci pana przywilej, zapewniający krakowskiemu Ten uczynił, komu z tego korzyść.

167

mieszczanstwu zyski i władzę, jakich nlie miały żadne inne: dwanaście lat wolności od czynszów, jurysdykcja nad ludźmi rycerskiego stanu, a wreszcie postanowienie, które skryberł Gotfryd Keczer ze szczególnym naciskiem odczytał: Wawel nie ma być nigdy połączony z miastem. Gdyby nieszczerłość układów nie była i tak dla księcia oczywista, .postanowienie te byłoby go przestrzegło.

Twarcz Łokietka nie drgnęła, gdy dokument czytano, po czym podkanclerzy Zdzisław na wosku zawieszonym na pergaminowych paskach wycisnął pieczęć i wręczył dokument wójtowi. Z ręką na krucyfiksie, stojącym na stole sądowym, składali członkowie miejskich magistratur i co przedniejsi mieszczanie przysięgę wierności księciu Włodzisławowi. Po raz drugi był panem Krakowa; ale wiedział, że jeno dopóki będzie miał siłę, by wrogi żywioł w posłuszeństwie utrzymać. Zza pleców skrybera niespokojnymi oczyma patrzył jego pomocnik Nosderka na czerwoną czuprynę Ostróżki, znajdującego się w orszaku księżęcym. Gdy z nim razem wjechał do miasta, upadała proskrypcja. Wróg jego pozostanie w mieście bezkarny i jeszcze zuchwalszy niż przody, bo pod księżęcą ochroną. Nosderka uspokajał jednak sam siebie tym, co zdołał podsłuchać: Kraków miał być pułapką dla księcia, którą nastawił Muskała. Po Waclawowy "spadek wraz wyciągną się obce ręce z nowymi przywilejami i nadaniami za pomoc mieszczan. Stronnicy zaś Włodzisława uchodzić będą musieli z miasta, jeśli zdążą.

Kołysany tą nadzieją Nosderka usiłował spojrzeć na Ostrózkę lekceważąco, lecz gdy oczy ich spotkały się, Nosderka prędko swoje opuścił. Miasto, choć wielkie, nagle zdało mu się zbyt ciasne. Na szczęście przyszło mu na myśl, że nie on sam ma porachunki z Ostrózką. Pani Adelajda potrafi się pomścić przy pomocy wójtów i biskupa. Muskata się z księciem nie liczy, zwłaszcza gdy będzie miał pozór prawa za sobą. A za pozór starczy sprawa uwolnienia Ostróżki, która ezarami cuchnie.

168

Nosderka ledwo wytrzymać zdołał do końca uroczystości i zaraz po ukończeniu pobiegł do pani Adelajdy z wieścią o powrocie Ostróżki.

Niemniej uroczysty wjazd odbył Muskata na Wawel, choć katedra leżała w gruzach, a kanonicy przenieśli się do swych dworców na Okolę. Wraz z dworem, większym od książęcego i własnym rycerstwem zainstalował się w domu kapitulnym i miast zając się odbudową katedry i uporządkowaniem diecezji, rozprężonej na skutek zawieszenia biskupa w urzędzie, snterdyktu i rozdzielenia wśród duchowieństwa, wbrew przyrzeczeniu ścigać jął otwartą niechęcią swych przeciwników i strat dochodzić. Choć książę zwrócił mu Biecz i inne kasztelanie i oddał w zastaw żupy bocheńskie, Muskata nie ustawał w dalszych żądaniach. Łokietek, mimo że gwałtownie potrzebował pieniędzy, zęby zaciskał i ustępował, pilne sprawy bowiem wzywały go na Pomorze i przede wszystkim potrzebował spokoju, nim znowu niemieckie ręce wyciągną się po spadek Waława. Królem czeskim został Rudolf austriacki, a uzurpowanie przezeń tytułu króla polskiego wskazywało niedwuznacznie, że sięgnąć zamierza po ziemie polskie, mając zapewnione poparcie niemieckiego żywiołu. Muskała doskonale oceenił piętzące się zewsząd przed Włodzisławem trudności i wyzyskiwał położenie bez żadnych względów.

Wreszcie Łokietek nie mógł dłużej odkładać wyjazdu i zabrawszy sieradzkie rycerstwo, ruszył przez Kujawy na Pomorze, wzywając Jaśka, by pod nieobecność pana oko miał na krakowskie sprawy.

XVI

JDziesiątkami skrętów przebijał się Dunajec przez pasma wzgórz, przełamał je w Pieninach i w sądeckiej równinie nabierał oddechu, by wziąć przeszkodę ostatniego wału górskiego i spłynąć swobodnie do Wisły.

Wytyczony przez rzekę szlak od wieków służył za drogę, łączącą Polskę z Węgrami, a bezpieczeństwa jadącego z towarem kupca i brodów na rzece pilnowały grodki, rozsiadłe na wyniosłych i niedostępnych wzgórzach, których stopy obmywała woda w czasie wiosennego i jesiennego przyboru. Przerzywała gościniec tam, gdzie przysunął się do niej' zbyt blisko, a brody czyniła nieprzebytymi, aż letni skwar wyssał wilgoć i zepchnął rzekę w koryto głównego nurtu, lub mróz skuł wody i wysuszył gościniec.

Do zimy było jeszcze daleko, ale jesienny dzień przenikał

chłodem. Wilgotny ziąb ciągnął od rzeki. Niski, szary i jednolity strop chmurnego nieba wisiał nad krajem, opierając się ciężko na szczytach wzgórz, okrytych rdzewiejącym już botem, aż ku wieczorowi zgniótł je i legł na rzece mgłą, w której majaczyły niepewnymi zarysami budynki osady, położonej u stóp melsztyńskiego gródka, ukrytego w tumanie. Tutaj sądecki gościniec rozdawał się wzdłuż rzeki na Tarnów i przez Bochnię na Kraków. W zimnym powietrzu mgła osiadała, czepiając się więdnących liści bezlikiem kropel i przepajając wszystko wilgotnym chłodem. Rzeka przybierała w oczach, widno w górach spadły deszcze, a i mgła powoli przechodziła w mżawkę, a potem w siapawicę. Dzień miał się już ku schyłkowi i zapowiedziany na południe orszak wracający z Sącza

170  
nie przybędzie widocznie. Przewoźnik wracał do swej chaty, Doszły go naprzód obce głosy, zanim we mgle rozróżnił postaci, stojące przy komach. Podróżni zamierzali widocznie jechać dalej, gdy bowiem przewoźnik zbliżył się, jeden z nich powiedział niecierpliwie:

- Od księcia jedziem i pilno nam. Prowadź do brodu.

Przewoźnik poskrobał się po kudłatym łbie.

- Wždy wieczór za pasem. Woda duża i jeszcze przybiera.

- Tym oi pilniej, bo odciąć nas może. Przejdziem jeszcze bród?

- Jeżeli konie silne, a nawykłe, może by i przeszedł.

- Tedy pójdźmy.

Ruszyli ku rzece, ale gdy stanęli nad brzegiem, przewoźnik przestrzegł:

- Niedobrze. Dwa pacierze temu woda była mniejsza. Duża fala idzie. Zlewy musiały gdzieś być.

Jakoż gliniasto - szary nurt sunął z groźnym pomrukiem i pospiesznym bełkotem toczonych kamieni, a wśród białawych smug piany widać było niesione konary i gałęzie. Konie na widok wody chrapały niespokojnie, cofając się. Rycerz rzekł z wahaniem:

- Przewieź nas. Pomożem.

- Sami, panie, widzicie, jaka woda. Ja ta pływać umiem, ale szkoda promu. Ciepnie nim gdzie, rozwali i czekaj, aż zrobią drugi. Każecie, to spróbuję.

Deszcz jednak przybierał na sile i zmrok już zapadał.

- Trudno! Trzeba zanocować. Ale o brzasku jedziem dalej, zęby pioruny były. Bym cię zaś szukać nie musiał - zwrócił się rycerz do przewoźnika.

- Tedy przenocujecie u mnie, panie. Sucho jest i ciepło, sliana nie zabraknie ni dla koni, ni do spania. Juści na zamku bogatsza gościna, ale konie widzę macie utrudzone, zaś droga na gród stroma i oślizgła. A kasztelana, ni młodych paniąt nie masz dama.

- Wiemy, że pana nie ma. Prowadź do siebie.

~ 171 ~

Ale w tej chwili zza rzeki dobiegły jakieś głosy, przytłumione przez szum wody i mgłę. Przewoźnik rzekł z widoczną

troską:

- Wybaczcie. Trzeba mi jednak próbować przeprawy. Panięta wróciły z Sącza.

- To się składa. Moi pomogą przeprowadzić.

Przewoźnik odetchnął z widoczną ulgą i wręczając bosaki dwóm towarzyszom rycerza powiedział: .

... - Konie trzymajcie, by bić nie zaczęły. We trzech migiem przeprowadzę.

Zadudniły kopyta o dno promu, który zepchnięty na spokojniejszą przy brzegu wodę trzej wioślarze pchać jęli pod prąd. Przewoźnik odezwał się do jednego z towarzyszy:

- Warn, widzę, woda nie nowina i sił nie brak. Pchnijmy na nurt.

Odbili na rzekę i prąd zaczął ich znosić bystro, ale prom szybko zmierzał ku brzegowi i zgrzytnąwszy dnem o żwir, stanął. Z szarego, zamazanego deszczem mroku wysunęło się kilka ociekających wodą postaci w opończach z kapturami.

Starszy rycerz wysiadł i skłoniwszy się powiedział:

- Jam jest Marcin Zbigniewie z Wieruszyc. Od księcia Włodzisława- z poselstwem jadę do kasztelana Jaśka. Pokłonić się chciałem i zapytać, zali nie wiadomo wam, gdzie szukać kasztelana?

- W Sączu jest i każdego dnia spodziewać się go - odpowiedział dźwięczny głos kobiecy. - Tedy w gości prosim na zamek. Szkoda ludzi i konie mamić o takiej porze.

Rycerz Marcin odparł z pokłonem:

- Dzięki, ale książe nie kazał tracić ni godziny. Skorośmy się już przeprowadzi, pojedziem.

- Jak wola wasza. Ale z powrotem, tuszę, nie pogardzicie naszym dachem.

Zwróciła się ku promowi, a za nią druga niewiasta i reszta małego orszaku, młode chłopię i dwóch pacholców. Przejezdni pomogli zepchnąć obciążony prom i stali jeszcze przez chwilę, ~ 172 ~

patrząc, jak przewoźnik mozoli się, by go podciągnąć pod prąd, podczas gdy pacholcowie trzymali niepokojące się konie.

- Może dopomóc trzeba - powiedział rycerz Marcin z wahaniem. - Ciężka jednemu człeku przeprowa.

Ale w tej chwila prom był już na nurcie i widzieli, jak przewoźnik z wysiłkiem zapiera się, by przepchnąć się przez prąd. Nagle posłyszeli trzask i krzyk. Ciemna masa pomknęła szybko z wodą. Widocznie bosak pękł i przewoźnik stracił panowanie nad promem. Jak jeden skoczyli na konie i pognali na złamanie karku urwistym brzegiem, w zupełnej już niemal ciemności.

Rzeka czyniła skręt w lewo i prom zbliżał się do brzegu.

Przez szum wody słyhać było niespokojne głosy. Jeden z jeźdźców wyprzedził płynących i zeskoczył z konia w miejscu, gdzie można się było spodziewać, że fala rzuci promem o brzeg.

Tymczasem dobiegli drudzy, lecz nim zdołali zeskoczyć, promem wycięło i zakręciło. Uderzenie zważyło z nóg ludzi i konie. Rozległy się krzyki. W zamieszaniu tylko pierwszy z jeźdź-

ców zauważył, jak ciemny jakiś kształt wpadł do wody. Skoczył bez wahania, a dwaj drudzy uchwycili za burty promu, usiłując go przytrzymać.

Woda zamknęła się nad rycerzem, lecz piersią uderzył o coś i uchwycił człowieka. Wychynał na powierzchnię i trzymając jednym ramieniem tonącego, drugim potężnie zagarniał usiłując go odrzucić od brzegu falę. Po chwili poczuł grunt pod nogami i choć prąd spychał go jeszcze w dół, pomału zbliżał się do zbawczego brzegu, pół wlokąc, pół prowadząc ocalonego. Widocznie wody tyknął, bo kszusił się i kaszłał, trzęsąc się przy tym tak, że nie mógł ustać na nogach ni wymówić słowa. Rycerz lekko wziął go na ręce i puścił się co sił ku promowi, skąd go dochodził niewieści lament. Zbliżywszy się, zawołał:

- Nie stało się nic. Jesteśmy.

Kto żył, rzucił się naprzeciw i niewiasty ścisnąć jąły wciąż jeszcze nie mogącego głosu dobyć chłopca. Ale rozsądny Marcin przerwał pieszczoty, mówiąc, że trzeba go z mokrych szat

~ 173 ~

rozebrać i pod dachem umieścić, by się w nim goręta nie zapaliła.

Przewoźnik, który drżał jeszcze na samą myśl, co by rzekł kasztelan, gdyby mu jedyny syn przepadł, odezwał się strapiiony:

- Nijakich budynków po tej stronie nie masz. Trzeba nam na drugi brzeg. Jenó by na mnie nie było, gdy nas znowu woda weźmie. Sam nie uradzę.

- Wyboru nie ma - powiedział rycerz Marom. - Bierz panięta i Krzych ci pomoże. Nic już po dalszej jeździe, a i on wysuszyć się musi.

Długo trwało, nim z ciemności znowu wyłonił się prom, a noc już była, nim wszyscy znaleźli się na drugim brzegu.

Przemoknięci i zgrabiali byli ale gdy zrzucili mokre szaty i zasiedli przy ogniu w chacie przewoźnika, języki się rozwiązały. Tylko Krzych siedział milczący i chmurny, choć nie szczędził mu pochwał i podziwu.

- Kasztelan was chyba ozłoci - mówił przewoźnik. -

Strach pomyśleć, co by się stało, gdybyście na czas nie skończyli.

- Ziąb mi chodzi po kościach - uciął Krzych. - Gdzie mam spać?

Zakopał się w siano, ale długo jeszcze przed usnięciem wpatrywał się rozszerzonymi oczami w dogasający żar ogniska.

Gdy się obudził, był już pełny, przejaśniający się dzień.

W chacie panowała cisza. Po dłuższej chwili posłyszał odgłos kroków i wszedł przewoźnik. Na zapytanie Krzycha o towarzyszy, zaśmiał się i odparł:

- Pojechali. Warn rycerz Marcin czekać kazał. Spaliście jak kamień i szaty wasze jeszcze nie wyschły, a skąd tu innych wziąć na takiego wielkoluda? Byli też z zamku pytać o was.

W gości was proszą, skoro jeno wstaniecie.

Gdy Krzych milczał niepewnie, dodał:

- Jeden u kasztelana syn i miłuje go, jak źrenicę oka.  
Nie trafi się wam drugi raz taką przysługę oddać możnemu  
~ 174 ~

panu, co los wam zapewnić potrafi. Nic by dziwnego nie było,  
gdyby i córę za was dał, jeno że starsza do klarysek przeznaczo-  
na, a młodsza dziecko jeszcze. Ale kto tam wie. I wyście  
jeszcze młodzi, poczekać możecie.

- Dobrze mi tu - mruknął Krzych nieswoim głosem -  
jeno jeść dajcie.

- Czego dusza zapagnie. Przysłali z zamku wszystkiego,  
a na dziesięci by starczyło.

Krzych zachnął się popędliwie:

- Nie prosiłem o gościnę ni poczęstunek. Możecie to sobie  
wziąć.

Przewoźnik ze zdziwieniem patrzył na twarz młodego ry-  
cerza zarumienioną niezrozumiałym podnieceniem i powie-  
dział:

- Nie ma wstydu brać, kiedy jest za co.

Krzych parsknął gorzkim śmiechem:

- Uchowałem się bez cudzej łaski i wymyślnego jada.

Może kasztelan i drugą córę do klarysek oddać, a psu żarcie.

Przewoźnik umilkł, widocznie dotknięty za swych państwa.

W milczeniu postawił przed Krzychem garnek z polewką i ko-  
łacz, zabrał przysłane jado i wyszedł.

Krzych włożył wilgotne jeszcze szaty i usiadł przed ogniem.

Długo siedział zadumany, wreszcie powziął jakieś postanowie-  
nie i wstał zmierzając do konia. Gdy minął węgiel szopy, twa-  
rzą w twarz natknął się na kasztelankę. Poznał ją od razu.

I ona poznała go widocznie, mimo że zmienił się bardzo,  
bo twarz jej zarumieniona, nagle przybladła silnie, a zasko-  
czenie było tak wielkie, że słowa wydobyć nie mogła. Stali  
naprzeciw siebie z opuszczonymi oczyma. Wreszcie opanowała  
się i rzekła oicho:

- Wolno wam pogardzić podzięką, choć Bóg widzi, że nie-  
słusznie. Ale nam nie wolno jej nie złożyć. Brat mój sam  
byłby przyszedł, jeno słaby po wczorajszej przygodzie. Żal mu  
będzie nie uścisnąć dłoni tego, co go ocalił, własne życie sta-  
wiać.

~ 175 ~

- Nic nie stawilem - odparł Krzych nie podnosząc  
oczu. - Pływam jako ryba, anim wiedział kogo ratuję. I p"  
psa bym skoczył, gdybym widział, że tonie.

- Wiem, że dobrze pływacie... - zaczęła i urwała zmie-  
szana.

Trzeba by mówić o pierwszym spotkaniu, o tym co czuła,  
gdy się dowiedziała, że ocalił jej ojca. Wiedziała, że tylko tym  
mogłaby sprawę wyjaśnić. Jaskrawy rumieniec zabarwił jej  
twarz, ale Krzych stał chmurny i milczący. Serce jej ścisnęło  
łęk, że zaraz się rozejdą, by może nie spotkać się więcej, a prze-  
czuwała, że żywi żal niesłuszny. Zmusiła się do spokoju:

- Bóg wie, że nie z naszej winy miast wdzięczności spo-  
tkała was krzywda. Ale jako wdzięczność okazać, gdy gardzi-

cie nawet naszym dachem i chlebem. Ciężkie to długi, z których się uiścić nie można. Gdybyście prośbę jakową...

Znowu urwała wiedząc, że już raz kasztelan odwdziękę mu przyrzekł, której nie mógł dopełnić. Krzych jednak podchwycił z gorzkim uśmiechem:

- Mam do was prośbę.

- Jeśli jeno wydołę, niczego nie odmówię - odparła i zarumieniła się.

- Byście kasztelanowa nic nie rzekli-. Nie trza mi nijakiej odwdzięki.

- Jako że? Wždy i tak dowie się. I dlaczego?

Żal i bezradność były w jej głosie, ale przemogła je duma.

- Jak chcecie. Nie powiem mu nic, o co mnie nie zapyta.

Nawet, zem z wami mówiła. Żegnajcie!

Odwróciła się szybko i odeszła. On stał, gryząc wargi. Później wyprowadził konia z szopy, dosiadł go i ruszył.

l

## XVI

.Kasztelan wiedział już od Marcina o wypadku. Obydwaj zdziwieni byli, nie zastawszy Krzycha w Melsztynie. Marcina zgniewała jego samowola, a kasztelan czuł się dotknięty. Niemniej obu korcił niezrozumiały postępek Krzycha i gdy na drugi dzień ruszyli do Krakowa, rozmowa sama zesłała na to, o czym myśleli obaj.

- Co zacz, ten młodzik? - zapytał Jaśko. - Jakoby urazę jakowąś żywił. Jakiego jest rodu?

- Zowie się Krzych. Ścierciałka '. Nie znam go. Tyle o nim wiem, że księżę za męstwo do rycerskiej służby wziąć go' kazał. Przodzi pono u krakowskiego biskupa służył i gdyśmy Wawel brali, przysługę znaczną oddał otwierając bramę, przy czym i posiekany był ciężko.

Kasztelan urwał rozmowę. Pomiarkował, że od Ostróżki może zasięgnąć wiadomości, a nie chciał się zdradzić, że nie jest mu obojętna ta sprawa. Gdy po przyjeździe mówił z córą o przygodzie małego Spytka i wychwalając jego zbawcę uradzić chciał dla niego nagrodę, Hanna dziwnie była zmieszana i wyraźnie unikała odpowiedzi. Jaśko widział, że pod udaną obojętnością coś stara się ukryć. Niespodziewanie łatwo zgodziła się przy tym odłożyć wyjazd do klarysek i rozpoczęcie nowicjatu. Kasztelan, który wolałby ją widzieć w małżeńskim czepcu niż w welonie, w duszy rad był nawet. Tym bardziej, że widno zapomniała o wyrostku spotkanym przed rokiem koło Przedborza. Z tamtej sprawy nic być nie mogło. Postanów;!

' rycerz służebny

Wawelskie wzgórze - 12

~ 177 ~

córę ściągnąć do Krakowa i przy księżnej Jadwidze umieścić. Zyskiwał przez to na czasie.

Po przybyciu jednak do Krakowa własne troski ustąpić

. musiały troskom i kłopotom, jakie zostawił mu księżę wraz z pustym skarbcem i rozkazem zatrzymania węgierskich posilków. Mieszczanie odmówili kolekty, powołując się na za-



warowane wolności, ani też pożyczyć pieniędzy nie chcieli. Trzeba było wojska rozdzielić na zimowisko po duchownych dobrach, gdzie ludność zamożniejsza była i łatwiej mogła znieść uciążliwych gości. Z miejsca powstały tarcia z Muskata, rozdrażnionym już łupiestwem, jakiego dopuszczał się po jego kasztelaniach Strasz Odrowąż z Końskiego. Podjudzony przez Adelajdę dopominał się też biskup ostro o wydanie jego sądowi Ostróżki, jako wmieszanego w czary i herezję. Na szczęście nie było Ostróżki na zamku i kasztelan mógł zbyć biskupa oświadczeniem, by sam sobie radził ze Straszem, a tamtego szukał. Wybuch w czasie nieobecności księcia mógł być groźny, a Muskata otwarcie się już odgrażał, że księcia kościelnymi cenzurami obłoży. Pozostało prosić sędziwego arcybiskupa, którego choroba zatrzymała w Krakowie, by powściągnął roz-zuchwalonego Muskatę.

Od przyjazdu z Sandomierza Jakub nie przyjmował nikogo, ale na prośbę Jaśka polecił wezwać biskupa. Choć Muskata zamieszkał na Wawelu, rozmyślnie zwłókł dwa dni, a trzeciego kazał się oznajmić wieczorem, wiedząc, że arcybiskup o tej porze czuje się najsłabszy. Wbrew jego przewidywaniom, metropolita przyjął go zaraz.

Muskata wszedł z podniesioną głową i drwiącym uśmiechem, ale całując z udaną pokorą pierścień arcybiskupa, powiedział po niemiecku:

- Wybaczcie, zem się zaraz na wezwanie nie stawił, ale słabowałem. Starość nadchodzi, a wraz z nią niedołęstwo. Patrzył na Jakuba wyzywająco, a zarazem ciekawie, jakby chciał odgadnąć, kiedy usunie mu się z drogi. W świetle jedy-  
1 danina na szczególne cele

^ 178 ~

nej świecy stojącej na klęczniku przy otwartej księdze twara Jakuba przypominała trupią. Cienie leżały w oczodołach i zapadniętych policzkach, uwydatniając wystające kości i lśniąca " jak pergamin skórę na czaszce. Ale głos wychodzący z bezzęb-  
nych ust nie zdradził słabości:

- Czas, byście się polskiej mowy przyuczili, jako synody zaleciły.

- Czy wzywaliście mnie, by mi to powiedzieć?

- By wam przypomnieć, że jesteście polskim biskupem, który wierność zaprzysiął domino regni Poloniae... i tylko dlatego jesteście.

- A mnie niech wolno będzie rzec, że depozycja nie od was na szczęście zależy, suspensę zaś samiście uchylili, by układ z księciem na mnie wymusić, którego mi nie dotrzymuje; i że więcej jest takich, co się domini regni Poloniae mienia, a kto nim ostanie, to się jeszcze okaże. Jenó wiedzieć chciałbym, czy grozicie mi jako metropolita, czy jako dostojnik książęcy?

- Sami sobie- odpowiedzieć zdołacie. Chcecie ode mnie słyszeć: gdybym jeno czystość Kościoła miał na względzie, wy-miółłbym was jak śmieć, na nic nie bacząc. Alem ja na straży całości tej ziemi i dobra tego ludu, z którego krwi pochodzę,

a którą wysysają przybłądy, w was mając przywódcę i orędownika. Tedy nie ma pokoju między nami, jeno armistitium<sup>1</sup>. Zechcecie je zerwać, uderzę!

Muskacie żyły nabrzmiały na skroniach. Stał wielki i groźny, patrząc na wysuszoną postać starca, jakby go chciał zgnieść. Uśmiech wymusił na twarz, ale oczy błyszczały mu złowrogo:

- Tedy pozwolicie, że wam odpowiem nie jako wasz sufragan, lecz jako Muskata: Nienawidzicie mnie nie za grzechy moje, jeno że waszym zamierzeniom stoję w drodze. Czy to, co czynicie, nie frymarka kościelną władzą dla celów tego pana? Czy, choć w oczach waszych niegodny, nie za waszą 'zawieszenie broni.

179

zgodą objąłem krakowską stolicę, 'bom wam sumy zwrócić przyrzekł, z których-em się w sprawie Tomasza nie wyliczył? Nie świętokupstwo to? Wagę swego urzędu kładę po strome władców, co lepszym tytułem wykazać się mogą niż Łokietek, gdy wy swoją służycie przywłaszczycielowi, co w braku prawa i siły, chytrą i zdradą, wiarołomstwem i skrytobójstwem dobija się zbyt wielkiej na jego głowę korony, będącej lennem cesarstwa. Za zbrodnię poczytujecie, że przewodzę tym, którzy znęcani korzyściami niosą tu światło i ład, a brudn-e owieczki z waszego stada uczą na dwóch nogach chodzić...

- Tace!

Muskata zamilkł, jeno oddychał szybko i chrapliwie, a Jakub podjął:

- Żeście biskupem, me zapominam; gdybym nie pomniał o tym, dałbym wam zgnić w lochu. Ale kapłaństwo ustanowiono, by ratować dusze, nie wypróżniać mieszk, owce paść, nie zarzynać. I cóżeście tu wy, Niemcy, przynieśli swojego, kromie trądu i pychy? Ale im wyżej pnie się jej korona, tym głębiej korzenie zanurzają się w ciemności, krętymi drogami szukając dla niej pokarmu. To wam powiadam, że jeśli nawet złamać jej nie zdołają bezsilne ręce moje - wyciągnął kościaste dłonie z powykęcanyimi palcami - złamie ją Bóg, który dłonią Dawida obalił Goliata.

Zapadło milczenie. Muskata już opanował się i zapytał drwiąco:

- Po to-ście mnie wezwali, by mi prorokować?

- Nie! Jeno przestrzec. Ensis spiritualis<sup>2</sup> ostawcie w pochwach, jeśli ostrza jego sami poczuć nie chcecie. Jeno dla spokoju, którego kraj potrzebuje, zgodziłem się przymknąć oczy na wszeteożeństwo w'asze. Na wyrozumiałość moją nie liczcie.

Muskata już opanował się.

' milcz.

2 miecz duchowy.

180

- Różnymi, widzę, względy kierować się zwykła sprawiedliwość wasza. Może dowiem się, dlaczego ochronę daliście przekonanemu bluźniercy, heretykowi i czarownikowi, który ciem-

nymi sposobami umknął mojej sprawiedliwości? Nie z waszego -to poduszczenia synod łączycki uchwalił, że beneficja utracić mają ci, co faworem darzą wrogów Kościoła?

- Nie wiem, o czym mówicie, ale nie dbam o wasze o mnie sądy, ni swoich o was nie zmienię. Skończyłem z wami. Możecie odejść.

Muskacie pobladłe wargi trzęsły się z wściekłości:

- Znajdzie się sąd i na was.

- Wszyscy przed Bogiem zdamy sprawę.

Jakub dźwignął się z trudem i podszedłszy do klęcznika opuścił się na kalana, nie zwracając już uwagi na Muskatę. Biskup wyszedł z dumnie podniesioną głową, ale do głębi wzburzony i upokorzony. Złość swą postanowił wyrzucić na złowionym Braciszku.

Na kominie świeże szczapy drzewa syczały, z trzaskiem rozrzucając iskry, o okiennice tłukły się gałęzie bezlistnych drzew, w których gwizdał północny wicher. Cichy skrzyp otwieranych drzwi i kocie kroki Ostróżki nie zbudziły kasztelana z zadumy. Myślał o córce, która przed kilku dniami przyjechała z Melsztyna. Nie mówiła o klasztorze, ale smutna była i milcząca. Ostróżka stanął za Jaśkiem i chrząknął. Jaśko podniósł oczy i powiedział z gniewnym zaskoczeniem:

- Mógłbyś się przez pacholka oznajmić. Siadaj!

- Myślałem, że lepiej, by nikt nie wiedział, że do was zachodzę. Pono biskup żąda, byście mnie wydali.

- To już wiesz o tym, żeś o czarowstwo i herezję oskarżeń, społem z tym wagantem, coś go do Sandomierza przywiódł?

- Niechże mnie biskup szuka. Ja już nie mam psa, by mnie drugi raz na niego złowili - powiedział Ostróżka obojętnie.

~ 181 ~

- Ale waganta już złowił i nijak się przyznać do niego, skoro świadkowie są, że kacerzem jest, bluźnił i czarną magią się para.

Ostróżka drgnął i powiedział cicho, ale z naciskiem:

- Musicie się o niego upomnieć.

Kasztelan odparł gniewnie:

- Zuchwałyś! Bacz, do kogo mówisz. O kleryka się nie upomnę, bo mi nic po nim i do niego, a spokój chcę mieć z biskupem.

Ostróżka patrzył ponuro na kasztelana.

- Tedy sam się upomnę. Ja nie zwykłem przysług ostawiać bez odpłaty. Pozwólcie się pożegnać.

- Czeka!

Kasztelan właśnie rozmyślał nad sprawą Hanny. Miał zamiar Ostróżkę wybać. Wzmianka o niewdzięczności podrażniła go, zdało mu się, że zuchwały młodzik do niego pije. Zapytał:

- Co wiesz o Krzychu?

Ale Ostróżka zbuntowany rzucił:

- To wiem, że mi ni jemu, ni wam nic nie dłużny i nie moja

sprawa.

Hamując gniew kasztelan odparł:

- Pięknie to, że za druhem umiesz obstawać, ale pozyjesz dłużej, przekonasz się, że cierpliwością i pokorą więcej wskórać można niż czelnością. Myślę, że i Krzych jest twoim druhem, skoroście społem walczyli. Życzę mu dobrze i pamiętam, com winien.

Ostróżka jednak nie zdał się przekonany. Odburknął:

- A ja pamiętam, com winien Braciszkowi. Jeno nie pytam, co za jeden. Choćby sam diabeł był, co się należy, odpłacę.

Jaśko poczerwieniał i zacisnął zęby. Potrzebując Ostróżki, musiał pobłażać zuchwalstwu młodzika, który zdawał sobie z tego sprawę. Kasztelan opanował rozdrażnienie i rzekł pojednawczo:

~ 182 ~

- Choćbym się o kleryka upomniał, na nic to, bobym mu jeno zaszkodził. Nie przyjacioły my z biskupem, a siłą go brać nie mogę. Poproszę arcybiskupa, aby on się jako o swego człeka upomniał, choć nie wiem, czy zechce. Więcej zrobić nie mogę. Ostróżka posepnie oczy wbił w ziemię i nad czymś rozmyślał. Niespodzianie zagadnął:

- Co chcecie wiedzieć o Krzychu?

Jaśko nie od razu odpowiedział. Nie chciał zdradzić swych myśli, tym bardziej, że daleki był od jakiegoś postanowienia. Chciał sprawę zbadać, ale wiadomości o Krzychu mogły zawazyć. Dlatego zapytał ostrożnie:

- Jak miarkuję, wiesz, że Krzych syna mi ocalił?

Ostróżka skinął głową w milczeniu.

- Jeśli ci o tym mówił, musiał i powiedzieć, dlaczego boczy się na mnie?

- O tym, że wam syna ocalił, mówią wszyscy, jeno nie on.

Kasztelan pomiarkował, że, objeżdżając, nie wydobędzie z Ostróżki niczego. Zapytał wprost:

- Chcę wiedzieć, co za jeden?

- To chcecie więcej wiedzieć, niż on sam wie.

- Ma jakowych krewniaków? Skąd przyszedł?

- Ze świata. Gdym go poznał, siedział ze starą jędząpółślepym dziadem. Ona prawi, że go naszli po tatarskim napadzie, on - że krewniak. A oboje lżą.

- Po czym miarkujesz?

- Gdyby go naszli po Tatarach, to by mu więcej było niż siedemnaście roków. Gdyby zaś znajdą był, to skąd mu krewniaczy?

- Juści prawda. Tedy mniemasz, że wiedzą, jeno nie chcą rzec?

- Że coś ukrywają, to pewne. Gadać o tym nie chcą, a pierścień, co go miał, zabrali, gdy pomiarkowali, żem go widział.

Jaśko dumiał nad czymś. Kołatały mu pogłowie jakieś wspomnienia i domysły, ale zbyt nieprawdopodobne. Otrząsnął się i rzekł:

~ 183 ~

- Dowiedz mi się wszystkiego, co wydolisz. Krzych jako was urazę zda się żywić do mnie, za co, nie wiem, bom go i na oczy nie widział. Nie przystoi mi sprawiać się przed młodzakiem, a tak by ono wyszło, gdybym go sam rozpytywał. Może ty jako wymiarkujesz, nie mówiąc, że ci ja wspominał. Mnie i jemu oddasz przysługę, a i ciebie nagroda nie minie.

Ostróżka głową skinał bardziej domyślnie, niżby sobie życzył kasztelan, ale odparł z uporem:

- Pierwsza moja troska o Braciszka. Musi być wolny i to zaraz, bo męczyć go będą.

- Pójdę do metropolity, nie mieszkając. A chybi mi, możesz liczyć na wszelką pomoc w ludziach, czy pieniądzech.

- Tedy pozwólcie, że tutaj poczekam. Nie będzie chciał arcybiskup, to najdę takich co choćby ratusz spala, czy klasztor predykantom, bo tam Braciszka pewnikiem trzymają; albo i siostrzeńców porwą Muskacie na wymianę.

Jaśko jeno westchnął. Wiedział, że Ostróżka nie grozi na próżno. Wszystko zależy od metropolity. Zebrał się i wyszedł. Kasztelan obawiał się, że Ostróżka może wszcząć w mieście niepokój lub do wściekłości doprowadzić Muskate, a nijak było temu zapobiec, chyba uwięziwszy go, czego Jaśko nie chciał i nie mógłby uczynić. Toteż wielce mu ulżyło, gdy arcybiskup, który dopiero od niego' dowiedział się o porwaniu waganta i zrozumiał postawiony sobie przez Muskate zarzut, że wrogów Kościoła popiera, pismo wysłał, żądając bezzwłocznego wydania więźnia swojej jurysdykcji i dostarczenia dowodów jego winy. Muskata jeno się złośliwie uśmiechnął i polecił wykonać rozkaz. Sprawa stała się głośną w mieście, gadały o niej kumoszki przy opłotkach i studniach, żaki i czeladź po gospodach i na Rynku, a nawet sami dostojni panowie z Rady i Ławy, strojąc ją w coraz to nowe, nieraz krew w żyłach mrozące szczegóły. Z góry cieszone się na widowisko, gdy palić będą potężnego czarownika na rozstajnych drogach i prowadzonemu od predykantów na Wawel towarzyszył tłum tak wielki, że straż biskupia ledwo się przepchnąć zdołała, a w ścisku niejednen ledwoż życiem uszedł, a często bez sakiewki.

~ 184 ~

Muskata z zadowoleniem myślał, że cokolwiek arcybiskup uczyni, nie wyjdzie mu na dobre. Przestępcę umieszczono tymczasem w wieży, a straż zamkowa rozpędziła ciekawy motłoch, który rozchodził się niechętnie, zawiedziony w swej nadziei widowiska.

Krzywił się i Ostróżka na taki wynik sprawy, ale kasztelan powiedział:

- Niech ci tymczasem starczy, żeśmy go wydarli z tych pazurów. Wróci książę, to może i zgoła wydobyć go zdołamy, gdy sprawa przycichnie. A nie, to tutaj łacniej sobie poradzisz, jeno ja o niczym słyszeć nie chcę. Nie będę Muskacie broni dawał do ręki, ani z Jakubem nie zadrę o jednego waganta:

A i ty miejże cierpliwość.

Ostróżka mruknął:

- Juści, poczekam.

Kasztelan, zadowolony, że tymczasem pozbył się sprawy, zaczął:

- Słać muszę do księcia. Pojedź razem z Krzychem. Po drodze ugadacie się naj łacniej. Wymogłeś na mnie, coś chciał, rozumiesz, czego ja czekam od ciebie. Nijak mi prosić młodzika, by wdzięczność moją przyjął, ni się przed nim tłumaczyć.

- 'Nie pojedę nigdzie, póki Braciszek nie będzie wolny. Nam łącno mieć cierpliwość, ale on jak wróbel; złowić go nie sztuka, a w klatce usiedzieć nie wydoił.

- Do biesa! - zaklął kasztelan. - Upartyś, jak cap. Czegoż ode mnie chcesz?

. - Chcę pewności, że Braciszek będzie wolny. Póki jej nie mam, za nic mi inne sprawy.

Kasztelan wstał rozdrażniony.

- Pójdę jeszcze raz do Jakuba. Niech go puści, albo osądzić każe. A wtedy rób co chcesz. Drogo sobie płacić każesz.

- Jeszczeście nic nie zapłacili •- mruknął Ostróżka.

Kasztelan udał, że nie słyszy i wyszedł.

XVII

Na prośbę Jaśka arcybiskup zgodził się rozpatrzyć sprawę Braciszka bezzwłocznie, tym łatwiej, że czuł się silniejszy, więc nie chciał dłużej zwlekać z wyjazdem do Gniezna.

Dwaj zbrojni pachołkowie wprowadziwszy związanego więźnia stanęli koło drzwi, dzierżąc końce powrozów, którymi był związany, jakby się bali, by nie uniósł się w powietrze. Gadki obiegające miasto nie były im obce i ciekawi byli sprawy.

Arcybiskup siedział za stołem, rozmawiając ze swym notariuszem Bogusławem. Gdy strażnicy weszli, przerwał rozmowę i zwrócił swe przenikliwe spojrzenie na więźnia, który wzajem wytrzeszczał na niego ciemne, wyłupiaste oczy. W spojrzeniu jego nie było trwogi, lecz ciekawość, a w całej postaci coś tak dziecinnie śmiesznego, że Jakub mimo woli uśmiechnął się, zakrywając twarz dłonią.

- Puśćcie powróż - powiedział do strażników.

- Dziękuję wam dostojny panie, ale niech sobie trzymają.

Zda im się, że są przez to ważniejsi - powiedział więzień.

Bez wysiłku zdjął więzy z rąk jak rękawice i powróż spadł na posadzkę. Strażnicy patrzyli w osłupieniu, graniczącym z przerażeniem. Braciszek podsunął sznur ku nim nogą, mówiąc:

- Powróż jest dobry. Możecie się na nim obwiesić.

Bogusław, mimo że sam zaskoczony, parsknął stłumionym śmiechem. Metropolita powiedział cicho:

- Sędzia, który się śmieje, nie może sądzić.

- A jeśli się gniewa, to może? - ozwał się Braciszek. -

~ 180 ~

Wzdy w złościwą duszę nie wnidzie mądrość, duch bowiem mądrości jest dobrotliwy.

Metropolita pominął pytanie i zwracając się do strażników nakazał:

- Wyjdźcie!

Wówczas Braciszek przystąpił do niego i klękawszy ucałował dłoń dostojnika ze słowami:

- Nie ucieknę. Ufam mądrości i sprawiedliwości waszej. Jeno czy nie szkoda czasu waszego, by jarmarcznego igrea o czary sądzić?

- Wstań - powiedział Jakub surowo. - Niech ci się nie zda, że pochlebstwem czy udaną pokorą ze sprawy Się wymigasz.

- Niech mnie Bóg chroni. Mówię, jak myślę. Może i głupio myślę, albo i gadam za dużo. Pono dlatego co ruszyć znowu w kabatach siedzę.

- Gadasz iście za dużo. Czekaj, aż zapytam. Sam uznam, czy ci wierzyć można, jeno głupiego nie udawaj.

- Głupiego nie trzeba udawać, a mądrego się nie da. Bo mądrości się nie dziedziczy, jako spadku po ojcach, ani nie otrzymuje z pańskiego czy królewskiego nadania; ni ją za złoto kupić, ni mieczem zdobyć. Jako drogi w ciemności przez pustynię, każdy jej sam szukać musi. Tedy nie brak głupców, choćby w infułach czy koronach...

Uderzył się ręką w gębę i dodał:

- Wybaczcie, wasza dostojność, sławiono mi mądrość waszą.

Na twarzy Jakuba jednak miast gniewu zjawił się wyraz zadumy. Po chwili ocknął się i zwracając się do Bogusława powiedział:

- Przepytajcie go.

- Pod posłuszeństwem prawdę masz mówić, jako na świętej spowiedzi - zaczął Bogusław.

- Usta, które kłamają, zabijają duszę - powiedział Braciszek i skinął głową zamasyście, aż mu czarne kędziory opadły na wypukłe czoło. Przysunął się do Bogusława i ukląkł

~ 187 ~

znowu, zegnając się nabożnie. Notariusz odsunął się, mówiąc szorstko:

- Wstań! Przed sędzią jesteś, nie przed spowiednikiem.

- Po cóż tedy mam prawdę mówić? /

- Byśmy jej od ciebie inaczej wydobyć nie musieli. I dlatego, że przed Ukrzyżowanym stoisz, który słyszy....

Kanonik drgnął i przetaił oczy. Czy zdało mu się, że krucyfiks stał na stole? Mrugał i wytrzeszczał oczy. Braciszek roześmiał się:

- Bóg prawdę zna, a osikowy kołek, choć go i święconą wodą skropić, nic nie słyszy. Stoi za wami.

Bogusław zerwał się i usiadł znowu. Na jego twarzy zjawił się gniew i zmieszanie. Jakub patrzył na Braciszka badawczo spod zmarszczonych brwi. Powiedział krótko:

- Przestań błaznować.

Braciszek uderzył się w piersi:

- Prawdę rzekła dostojność wasza. Ani to czary ani cud.

Bystre macie oko, skoroście to spostrzegli. Ale nawet wasze oko nie widzi, że wasz pasterski pierścień jest w tej kieszeni

czcigodnego prałata.

Jakub spojrział na swą dłoń. Złoty pierścień ze szmaragdem, dar króla Przemysława w dniu konsekracji, zniknął z obolatego, gościcem pokręconego palca. Notariusz sięgnął do wskazanej kieszeni i trzymał go, patrząc otepiałym wzrokiem, a Braciszek ciągnął:

- Oto na licu przestępca schwyty. Nawet go męczyć nie trzeba, by się przyznał. Ot i wasza prawda dla sądu.

- Wyjdźcie - powiedział Jakub do Bogusława.

Notariusz położył pierścień na stole i niemal wybiegł. Braciszek kiwał głową przyzwalająco i powiedział z naiwną poufałością:

- Nie głupi ludzie?! Myślą, że diabła trudzić trzeba, by takie cuda czynić, które ja gawiedzi po jarmarkach za parę ćwiertników pokazuję. Gdybym ci ja był jakowym biskupem albo opatem i prawując się z księciem zamknięty był, to by  
~ 188 ~

rzekli, że cud, iż ze mnie więzy spadły, jako ze św. Piotra w więzieniu. A zem jeno biedny wagant, to czartowska sztuka. Bóg stworzył wielkiego i małego i jednaką o wszystkich pieczę ma.

- Zuchwałyś i niekarny - powiedział Jakub spokojnie. -

Jak twoje imię? Coś za jeden?

- Duch Święty... karność uciecze przed obłudnością i oddali się od myśli, które są bez rozumu. Imienia nigdy-m nie miał. Na progu kościoła mnie naszli, a zem łeb jeszcze miał mokry od chrztu, tedy mnie już nie chrzcili i znajdkiem wołali, pleban zaś, który mnie przytulił - synem. Choć stary był i czystych obyczajów, przecie się dziekan do niego o zgorszenie czepiał i żądał, by mnie oddalił. Uparty był staruszek, na swoim postawił. Świeć Panie jego duszy^ która niech mi odpuści, zem mu jeno zgryzoty był przyczyną. Do stanu duchownego mnie sposobił, ale co Boże ziarno zasiał, to jeno kwiatki rosły. Tedy słusznie mawiać zwykł, że siano mam w głowie... Gdy mu się zmarło, ten, co po nim nastąpił, wyгнаł mnie na cztery wiatry. Bóg mu zapłać, bo mnie i nosiły, jako ptaka, co ino skrzydła rozpostrze i leci, sam nie wie dokąd. Lekko mu i ani się za gniazdem obejrzy, co już jeno kupką chrustu i patrzy z góry na świat, a ludkowie pod nim, choćby i król w koronie, nie więksi od mrówek i dziwuje się, że Bóg, co jeszcze z wyższa patrzy, Syna Swego zesłał do takowego robactwa.

- Pismo znasz? - przerwał arcybiskup.

- Juści znam. Wielka to rzecz, co Boże słowo i myśli ludzkie przez wieki i morza przenosi. Jeno że kto się cudzymi przeje, na własne mu miejsca nie staje; krzywić zaczyna, co proste, zaciemniać, co jasne, prostaków za nic mają, co piją u krynicy, nie dochodząc, którędy płynie i gdzie jej źródło.

- Na to Bóg człeku rozum dał, by dochodził wszystkiego, co stworzone.

- Ale Boże słowo wieczne jest; po prostu je Chrystus mówił, „Niechajże tedy mowa wasza będzie: jest, jest, nie, nie”, - powiedział, że i głupi zrozumie. A jak się doktorowie wzięli je objaśniać, kacerzem jest ten, co Chrystusowi wierzy, nie im.



Pod kijami zginął Cezary ze Spiry, za to, że się upierał przy

~ 189 ~

regule braci mniejszych na czystej Ewangelii opartej. A czyż nie przykazał w testamencie swym święty nasz nauczyciel, by się bracia nie wazyli żadnych przywilejów u rzymskiego Kościoła wypraszać, jeno za jałmużną chodzili od drzwi do drzwi i zadowalali się jedną suknią, wewnątrz i zewnątrz podartą. Czy trzeba objaśnień, co to jest suknia? I zakazał przecie pod posłuszeństwem do reguły lub testamentu oł<sup>^</sup>śnienia dodawać, bo - jako rzekł - pozwolił mu Pan prosto i jasno te słowa powiedzieć i tak one mają być rozumiane. Ale śmieją się mędrki, że jedna suknia, to przybytek robactwa i brudu, a tych, co Chrystusa w ubóstwie chcą naśladować, krowiarzami i świno-pasami zowią. Juści, że w pałacach czyściej niż w stajni, ale Pan nasz w stajni się urodził.

Zaległo milczenie. Surowa twarz Jakuba zawlekła się jakimś smutkiem. Po chwili zapytał cicho:

- Jesteś z Braci św. Franciszka?

- Byłem. Ale pozwolił nam Ojciec święty Celestyn ode-rwać się od skażonego zakonu i żyć życiem ubogim, bo i sam doskonałość chrześcijańską umiłował. I jego mierziły pałace i wrócić chciał do swej pustelni. Za to i on w więzieniu doko-nał żywota i z nas wielu. Ja uciekłem.

- I odstąpiłeś od Kościoła?

- Magna meretrix, co jako Judasz za złoto i srebro odstą-piła Chrystusa. On głowy nie miał gdzie schronić, jedna na niej korona - cierniowa. Antychrystowi, co się jego namiest-nikiem głosił, mało było złotej, to sobie drugą na pyszny łeb nałożył - cesarską. Ale przygiął go Pan. Intravit ut yulpes, regnavit ut leo, mortuus est ut canis ł jak mu przepowiedział brat Dolcino z Nawarry.

- Należysz do jego sekty?

- Nie! Brat Dolcino siłą chciałby nieprawość pokonać. Je-śli władzę zdobędzie, sam stanie się sługą Szatana, złoto i sre-bro zbierać musi, by wojska utrzymać. Oparł się jeszcze, gdy \* wstąpił jak lis, rządził jak lew, zdechł jak pies

190

go kuszono w Yercelli, by kondotierem ostał; nie oprze się, gdyby Rzymu dobył. Światem zechce władać, jako inni. A prze-cie Chrystus Pan Kościołowi rząd dusz powierzył, nad ciałami Szatan ma władzę i w lenno ją oddaje pysznym i okrutnym. Na samym czele Księgi Mądrości napisano: "Miłujcie sprawie-dliwość, którzy sędzicie ziemię." Obiegnę ziemię i nie na-lazłem sprawiedliwości.

Ceglasty rumieniec wystąpił. na bladą twarz arcybiskupa.

To jego własne myśli sprzed lat, gdy był młody i wierzył, że zło ustąpić musi przed prawdą, jako cień przed słońcem. Z tą wiarą jeszcze objął wakującą przez dwanaście lat wskutek gorszących sporów między elektami i walk między władcami stolicę rozprężonego Kościoła w podartym na strzępy pań-stwie, na to, by rok za rokiem, przez dziesiątki już lat zbierać gorzkie doświadczenie, że zło ustępuje tylko przed siłą, a w wal-

ce budzi się nienawiść i gniew, które ciężkim osadem okryły jego miłość dla swego kraju i ludu. Niemal z żalem patrzył na obdartego włóczęgę, któremu odebrać chce swobodę myśli i życia, czyniącego go szczęśliwym. Zapytał jednak surowo:

- Odwołasz błędy swoje i wrócisz do posłuszeństwa ?

- Prawda jest u Boga. Człek jeno wiarę ma, którą szczerością mierzyć. Powiedziałem, com myślał. Confessio - regina probationum<sup>1</sup>, cóże mam odwołać? Siłę macie nade mną, na cóż wam posłuszeństwo? Rodziciele kłamstwa, to przemoc i strach. Ale ja się nie lękam.

Jakub długo milczał, jakby coś ważył w umyśle. Wreszcie zaczął:

- Posłuchaj, bracie! Nie stworzył Bóg duszy ludzkiej bez ciała. Razem żyją, aż do dnia Sądu. Wolno człeku o własne ciało nie dbać, jeśli doskonałym chce być. Aleć przecie i Chrystus tym, co Go naśladować pragną, nie kazał domu swego i majątności spalić, złota i srebra wrzucać do wody, jeno ubogim rozdać. Nie ubóstwo tedy jest doskonałością, jeno miłość bliźniego. A jeżeli cnotą jest poświęcić jej swe marne, docze-  
1 przyznanie - królowa dowodów

191

snę potrzeby, tedy może wyższą poświęcić jej swe siły i myśli, Bogu ostawiając troskę nawet o duszy własnej zbawienie. "Kto by duszę swą stracił dla mnie, zySzcze ją."

Braciszek zamyślił się tak, że czarne kędziory opadły mu na oczy. Po długiej chwili zapytał:

- Czego tedy, panie, chcecie ode mnie?

- Obcego coś w mowie twojej - rzucił Jakub. - Dawność w kraju?

- Ino co wróciłem. Zrazu iście wieżę Babel miałem w głowie. Ale ninie już myślę po polsku. Widno myśl giętsza od języka.

- Dlaczegoś wrócił?

- Wiem ci ja? Może wiatr był w tę stronę. A może znudziło się wiecznie błękitne niebo i białe skały i domy z kamienia. Porzuciłem, jako rzekłem, brata Dolcino - nie było co robić. Nudno tam. A tu starczy, ręce pod głowę podłożywszy, w niebo patrzeć i coraz to coś nowego. I śnieg chciałem obaczyć, gdy świat cały jakoby w gronostajowym płaszczu...

- Zateśkniłeś?

Śmieszna i ruchliwa twarz włóczęgi zastygła w smutnym skupieniu. Poufale przykucnął u stóp Jakuba, ręce złożył dłońmi na zewnątrz i wsunął je między kolana. Milczał długo. Gdy wreszcie zaczął mówić, w głosie jego brzmiało jakby zdziwienie:

- Zateśkniłem? Nie ostawiłem tu nikogo i nic. Za jedno mi było w jakiej mowie gadam. Obszedłem marę internum<sup>1</sup> dokoła i nigdy wieczorem nie myślałem, com rankiem za sobą ostawił. Ale w nocy, gdy się śniło, to jeno nasze ciche strugi wśród kwietnych łąk z pochylonymi wierzbami, i bory czarne, i drewniane kościółki, i strzechy omszałe, i ludzie z jasnymi oczyma, naszą mową mówiący. Ale gdy dzień wstał, zapomniana-

ło się. Tedy nie wiem dlaczegom wrócił. Jak to zwykło we  
śnie, z dała też to inak wyglądało i nie wiem czy ostanę. Wy-

' Morze Śródziemne

192

baczcie! Mówię, jakbym wolny był. Wasza wola puścić mnie,  
'czy mistrzowi wydać.

- Nie puszczę - powiedział arcybiskup.

Czarne, wylupiaсте oczy Braciszka zawisły pytająco na twa-  
rzy Jakuba. Potem uśmiechnął się i rzekł:

- Każda wędrówka ma swój kres. Wola Boża. Ale szczerzy  
będę do końca: jeśli wydołę, ucieknę.

- Nie ucieczesz! Każda wędrówka ma swój cel. Człek nie  
bezpański pies, co biega sam nie wie dokąd. Jesteś potrzebny.

- Ja! Komu i na co?

Braciszek ręce złożył jak do modlitwy, bardziej przerażony  
niż w chwili, gdy mu się zdało, że arcybiskup mistrzowi go  
odda.

- Czymże ja jestem!

- Niczym. Każdy człek sam jest niczym. Ale nie jest sam,  
nawet do pustelni przynosi coś z drugich i odplacić im winien,  
choćby modlitwą. Umysł masz obrotny i kształcony, a mnie  
kapłanów brak. Duchowieństwo Niemcami zaśmiecone, co be-  
neficja obsiadają, a mowy naszej nie znając, obowiązki spycha-  
ją na barki ubogich i ciemnych wikariuszy, dla owieczek swych  
jeno pogardę żywiąc i nienawiść.

- Zmiłujcie się, panie.

-Milcz! Wiem, co powiesz: że jarmarcznego goliarda ka-  
płanem chcę uczynić. Widział Kościół i większe przemiany.

- Jeślim Szawłem, nie stanę się Pawłem. Tom rzekł, co  
myślę i tego nie odmienię. Czas miałem przemyśleć.

Głos Braciszka stracił nosowe brzmienie. Wstał, jakby się  
gotował do walki i śmiało patrzył w oczy Jakuba.

- Dość mówiłeś, słuchałem cierpliwie. Nie mogę rzec, na-  
szedłby i ziarno w tej plewie. Pomnij jeno, że i dar eloauen-  
tiael od Ducha Świętego pochodzi i nadużywać go nie Iza.  
Ale gdyby to i same perły mądrości były, zali sądzisz,' że  
mędrzec wszystko co wie przed tłumem na targu wykrzykiwać  
winien?

wymowy

Wawelskie wzgórze - 13 193

- Komu wstyd prawdy, niech ją pod korzec chowa.

- Zali mniemasz, że i Chrystus Pan, który - jako rze-  
kłeś - prostymi słowy do prostych ludzi mówił, wszystko  
objawił, co wiedział? Są prawdy i sprawy, których nie tylko  
głupi, ale i mądry nie zrozumie, lub gorzej, zrozumie źle. Któż  
w słońce patrzeć zdoła w pogodne południe? Milcz! - ruchem  
ręki przerwał zamierzoną odpowiedź Braciszka i ciągnął:

- I cóż to za światło siejesz? Juści łatwo w czapie trefni-  
sia wydrwiwać zło. Zda ci się, że sam tylko je widzisz? Aleć  
Pan nasz nie rzekł, że Kościół Swój zbuduje ze złota i klejno-  
tów. Z mułu ziemi go uczynił, jeno na opoce prawdy odwiecz-  
nej, której portae inferi1 nie przemogą. Trudniej ciągnąć, ja-

ko wół, pług swego obowiązku, by czystsze i obfitsze ziarno z bożej roli wyrosło.

- Bóg stworzył wołu do orania, a ptaka do latania. Wybaczcie, dostojny panie: zali widzieliście, by za oraczem, co sochą skiby kraje, nie szło ptactwo, bystrym okiem w ruszonej przez niego ziemi robactwa wypatrując, z którego rolę oczyszczają? Zali niepotrzebne ono, zali nie razem pracuje, choć nie w jarzmie? Któż rozsądny chciałby je wprząc do pług, choćby i wołom iście ponad siły był trud?

Jakub uśmiechnął się z lekka, ale odparł:

- Comparatio non est ratio a. Do stworzeń porównując, piskorz z ciebie nie ptak.

- Za pozwoleniem miłości waszej: do ryb porównując, nie piskorz, jeno szczupak, co karpie po stawie przegania, by nie osiadły na dnie, spasiono i mułem cuchnące.

- Dość przypowieści - rzekł Jakub surowo. - Znasz obce kraje i mowy, mnie ulżyć mógłbyś w pracy i sam odnieść dla ciała i duszy pożytek. Miast wagantem być, którym pomiata każdy, mógłbyś szacunek ludzki zyskać, miast innym zło wytykać, samemu go uniknąć, zasłużony chleb jeść na swym beneficium, miast zebranego i wydrwionego błazeństwem.

2 porównanie nie jest dowodem

' bramy piekielne

194

Braciszek zdał się zastanawiać. Nagle roześmiał się:

- Wybaczcie mój śmiech. To jeno dlatego, że mi sobie pomyślał, jakby mi to było w infule, z pastorałem i łańcuchem.

Iście dopiero błazeństwo; starczyłoby spojrzeć na mnie, by się ludzie pokładali ze śmiechu. Niewiele jest pokus, którym bym się oparł, ale tej łąco. Miast wołem do orania, tucznym wieprzem bym ostał, bo prawdę rzec, zjeść i wypić lubię dobrze, żadnego w tym nie mając umiarkowania, kromie tego, które sam żywot mój nakłada, nie często na próbę wystawiając.

I łąco mi odpokutować, gdy i po kilka niedziel poszczę, że mi potem ochłapy z psiej misy lepiej smakują niż wymyślne potrawy ze srebrnej. Jeśli wam usłużyć potrafię taki jak jestem, z serca to uczynię, żadnych nagród nie oczekując, kromie wolności takiego żywota, do jakiego mnie Pan Bóg stworzył. Ostawcie mnie!

Braciszek rzucił się na kolana. Gdy arcybiskup odsunął się, wagant rzekł z uśmiechem:

- Nie obawiajcie się. Niczego wam nie ukradnę. Podziękę jeno złożyć chciałem, żeście ze mną jak z człkiem mówili.

Zachowam w sercu słowa wasze. Ostanę wśród swoich. Czasem się z przypadku coś dobrego zrobić przytrafi, choćby i jeno to, że kogo do śmiechu pobudzę. Śmiech je&t jako sól; nie smakuje życie bez niego. A rzadko się tu ludzie śmieją.

Jakub zamyślił się. Potem rękę położył na kudłatej głowie

Braciszka, mówiąc:

- Różne ścieżki wiodą do Boga, idźże tedy swoją, boży błaznie.

XIX

Imieopodal solnej drogi, wiodącej od grodzkiej bramy ku mostowi na Wiśle, rozsiadła się obszerna karczma z podjazdem na drewnianych słupach, nakrytym dwuspadowym daszkiem, u którego szczytu na desce wymalowana była głowa bydlęcia z ogromnymi rogami i wytrzeszczonymi ślepiami. Od niej to karczma wzięła nazwę Bawołu, jakkolwiek malowidło miało przedstawiać wołu, godło Łukasza Ewangelisty i bractwa malarskiego jego imienia, które tutaj obrało sobie siedlisko, bodaj jeszcze przed Odrowążową lokacją, gdy pierwsi mistrze tego kunsztu przybyli z nim z dalekiej Italii. Wtedy też zjawili się pergameniści z Florencji, a że w pobliżu nie brakło wody ni wapiennego kamienia, potrzebnych im do blichowania skór na pergamin, tu osiedli. Nieco bliżej drogi stał kościółek św. Wawrzyńca i starczyło to, by stworzyć zawiązek osady, która od karczmy wzięła swą nazwę.

Na tyłach karczmy leżały dwa stawy, zasilane w czasie wiosennego przyboru wodami wiślanej odnogi, płynącej pod Wawelem, która nieco dalej na wschód łączyła się z głównym korytem Wisły. Mniejszy staw, o czystym zwierciadle, dostarczał ryb na postne dni przez cały rok, a latem pławiono i pojono •w nim konie i bydło. Zimą zaś stada wyrostków uwijały się po lodzie na gnatkach ł bijąc się i wrzeszcząc. Na większym stawie, bagnistym i porośniętym sitowiem, od wczesnej wiosny do późnej jesieni taplały się równie hałaśliwe stada gęsi i kaczek, póki nie przerzedziła ich rzeź, gdy zgodnie z obyczajem \* łyżwy z kości

196

każdy mistrz cechowy stawiał gęsinę swej czeladzi, kiedy po raz pierwszy w jesieni przy świetle ognia kończono pracę. Po tatarskim napadzie, gdy z wielu kościołów jeno opalone mury ostały, a z bractwa jeno ci, co się w bagnach i oczeretach przytaić zdołali przed dziczą, malarze przetrwali najcięższy czas. Z lokacją zaczęły się zarobki, które rosły w miarę, jak bogacące się w oczach mieszczaństwo i cechy fundować jeły dla kościołów i klasztorów obrazy i księgi, zdobne w bogate inicjały, by po najdalsze wieki wspomniano w modlitwach imiona dobrodziejów. Mistrze złotem sobie płacić kazali za swój kunszt, ale choć niejednego z nich stać już było nie tylko na zakupno prawa miejskiego, ale i domu w mieście, zbyt nieliczni jeszcze byli, by własny cech założyć, choćby razem z pergamenistami, a zbyt wysoko cenili swą sztukę, by się wraz z podlegszymi rzemiosłami wpisać do wielkiego1. Zresztą Galilei', którzy wciąż jeszcze przeważali wśród nich, trzymali się trochę z dala od Niemców, za coś lepszego się uważając. Stąd też stali za Łokietkiem, który wzajem z nich zamierzał stworzyć przeciwwagę dla niemieckiego żywiołu w mieście.

Trzymali się zresztą swej brackiej gospody, gdzie różne przetrwali czasy, ale na ogół nieźle im się działo. Choć ten i ów z nich dworek sobie postawił, wszystkich częściej w karczmie spotkać można było, niż w domu lub kościele. Mieli tu zresztą dla siebie przestronną i jasną izbę, gdzie i pracować mógł, kto chciał, a praca ich wymagała dziennego światła, którego w krót-

kie dni jesienne i zimowe więcej tu było niż w ciemnym warsztacie, z zapadnięciem zaś zmroku nie trzeba było taplać się po błocie do gospody, by wypić, gdy nadarzyła się po temu sposobność. Sposobności zaś nie brakło, bo gościniec był ruchliwy, a w karczmie każdy zatrzymać się musiał, kto nie zdążył przed zamknięciem bram wjechać do miasta. Nie rzadko trafił się wędrowny towarzysz sztuki, malarze bowiem pierwsi wprowadzili do "wielkiego cechu" należały rzemiosła, nie mające własnych cechów

' Włosi i Francuzi

\*

~ 197. ~

dzili wędrownie lata. Suchą porą często kupiec zjechał z dalekich krajów, a nigdy nie brakło miejscowych osadników z trzymających się również rzeki rybitwów i włóczków. Zresztą i z miasta zaglądał tu niejeden, nie obłożone bowiem miejskimi cłami i opłatami na rzecz Szrotamtu napoje tańsze były. W jasny jednak, zimowy poranek, po pierwszym obfitym opadzie śnieżnym, zawalista karczma jakby przysiadła pod puchowym okryciem, a śnieżna cisza ogarnęła i ją. Żaden ślad nie przekreślił jeszcze płaszczyzny ciągnącej się od świecącego w słońcu wzgórza do czarnej wstęgi Wisły. Wewnątrz karczmy też panowała cisza.

Spokój i światło natchnęły widocznie mistrza Franciszka zapalem do pracy, gdyż wczesnym rankiem chwycił za pędzel, by wreszcie wykończyć zamówione przez prepozyta od św. Floriana dzieło dla odnowionej kolegiaty.

Postać jej patrona, nadnaturalnej wielkości, była już niemal wykończona. Stał w srebrzystej zbroi, purpurowym płaszczu, w czapce książęcej, z proporcem w jednej, a tarczą w drugiej ręce. Na tarczy stary mistrz właśnie malował palmę, przybliżając twarz, gdyż niedowidział już trochę.

Na ławie pod oknem, które przez cienką, niemal przezroczystą błonę, sączyło łagodne światło grudniowego słońca, rozparł się Ostróżka, patrząc z pewnym zaciekawieniem, ale bez zachwyty na pracę mistrza.

- Czy św. Florian ze św. Wacławem to bracia? - zagadnął. "

- Nie. Zgoła kiedy indziej żyli. Czemu pytasz?

- Bo podobni, jakoby dwa liście z jednego drzewa. Sw. Wacław, com go na Wawelu widział, kubek w kubek taki sam.

- Podobny, mówisz?

Mistrz poskrobał się pędzlem po łysinie, zostawiając na niej zielony ślad.

- Juści. A obydwaj podobni do Żyda Lewka, co mieszka naprzeciw batsztuby ł.

łaźnia

198

Zmieszanie mistrza przeszło w oburzenie.

- Tyżeś mądry! Święty i podobny do Żyda!

- Może Żyd do świętego - powiedział pojednawczo Ostróżka. - Zresztą skąd wiadomo, jak wyglądał?

- Skąd?! - zakrzyknął mistrz. - Od wieków tak go malują. Tedy ten, co pierwszy malował, musiał go widzieć. .

- Księciem był jakowym? - zapytał Ostróżka, ale widocznie jeno dla podtrzymania rozmowy, bo patrzył przez szparę w oknie, jakby kogoś wyglądając. Mistrz poczuł się jednak na pewniejszym gruncie, gdyż odparł pouczająco:

- Kto mistrzem chce być w naszym bractwie, musi znać żywoty świętych lepiej niż niejeden biskup. Nijakim księciem św. Florian nie był, jeno rzymskim rycerzem i za wiarę do rzecki rzucony.

- To skądże mu czapka i płaszcz książęcy? A zbroję ma, jakby ją u płatnerza w-Krakowie kupił.

Mistrz, by zyskać na czasie, pominął na razie pytanie i odparł:

- Jedno to Niemce z Rzymu wzięli? A zaś czapkę i płaszcz wiesz czemu? - zakrzyknął triumfalnie. - Wszak ci patron jest jakoby księciem, co kraj ma w swej opiece i za nim przed Bogiem oręduje. Rozumiesz?

- Kto go zaś patronem uczynił? - zapytał Ostróżka, bez większego zaciekawienia, ale mistrz rad był popisać się wiedza<sup>^</sup> choć Ostróżka słuchaczem nie był zbyt wdzięcznym. Mistrz przerwał pracę i usiadł, zamierzając widocznie szerzej rzecz wyłożyć.

- Sam ci się zgłosił. Gdy krakowski biskup Gedko słał do Ojca świętego Lucjusza III za Kazimierzowym przyzwoleniem, by patrona Polsce naznaczył i relikwie jego przysłał, poszli w Rzymie do krypty św. Wawrzyńca, gdzie razem z nim spoczywali św. Stefan i św. Florian. Gdy ich papież zapytał, kóren do Polski chce iść za patrona, tamci jeno głowy odwrócili. Tylko św. Florian rękę z grobu wyciągnął, a w niej karteluszek dzierzył i na nim wypisane było, jako on chce iść. Tedy z wielką radością i czią go tu wieźli, ale gdy już na Kle-

~ 199 ~

parzu byli, wóz stanął, jakoby wrósł w ziemię, choć konie ciągnęły co sił, a tłum pobożny popychał. Zrozumieli tedy, że to znak widomy, iż tam chce ostać i zaraz bazylikę jeli mu stawić, by zaś godne miał pomieszczenie.

- Ale ci go wykołowali! Tamci święci chytrze j si, wraz pomiarkowali, że niedługo tego patronowania. On zaś pewnikiem dopiero później się połapał i dlatego dalej jechać nie chciał. Mistrz aż języka w gębie zapomniał z oburzenia i zaskoczenia. Nagle jednak szczęśliwie przyszło mu na myśl, jak wyjaśnić zawiłą i drażliwą sprawę:

- Bacz, byś nie przemądrzył! Nikto go kołować nie myślał, bo i kto mógł wiedzieć, że biskup Stanisław świętym ostanie? A cóż dziwnego, że gdy ostał, jego za patrona obrano? Zawdy swój, to i sprawy lepiej rozumie i prorocstwo jest, że jako się zrosło ciało świętego, tak i za jego wstawieniem zrosnie się rozzerwane Polskie Królestwo. Wszak ci i pana takiego sobie naród szuka, co by go od obcego jarzma wyzwolił, a kraj zjednoczył.

- Juści tak! I biesa bym zrobił patronem, byle jeno Niem-

ców krótko przy pysku trzymał, lub zgoła zabrał. Jeśli św. Florian nie wydolił, to nic po takim patronie.

Mistrz uszy zatkał. Zgorszony urwał i wziął się do malowania. Ale nie, ^-'o mu. Uwagi Ostróżki zburzyły w nim wiarę <v wartość swego dzieła, co gorsze, zachwiały jego wiarę w moc patrona. Usiłował jednak nie dać za wygraną kąśliwemu młodzikowi.

- Cóż, że nie jest już patronem Polski? Ale stolicę w rękach dzierży i przed ogniem strzeże.

- A to zaś jakim sposobem?

- Bo jedna jego ręka na Wawelskiej katedrze, a drugą w kościele na Kleparzu, w pięknych ci relikwiarzach z kutego srebra.

- Słaby jakowys święty - mruknął Ostróżka - bo ód czasu jak miasta strzeże, dwa razy spłonęło ze szczętem. 'ASamże jego kościół i katedra nie?!

200

Ostróżka zgębził mistrza Franciszka do reszty. Mistrz siedział osowiały, opuściwszy ręce, aż się Ostróżce żal uczyniło.

- Nie trapiecie się. Pewnikiem święty Florian o to cięty, że go tu na patrona zaprosili, a ninie rurmistrzem 1 ma być. Wyróbcie swoje, a o tamte sprawy niech się kto inny trapi.

- Kiedyś mi tym św. Wacławem klina zabił i praw jesteś. Jeszcze i ksiądz podkanclerzy wizerunku gotów nie odebrać, bo juści św. Floriana zamówił, a nie Wacława i co mu po nim?

- Wiecie co? Domalujcie jak św. Florian ogień gasi. Do ręki mu ceber z wodą dać miast tarczy, to i nikt nie pomyśli, że to św. Wacław.

\_\_\_ - Nie głupis ty, Ostróżka, jeno pyskaty, a kąśliwy - westchnął stary. - Tylko że mi ogień nigdy nie wychodzi. Ilekroć piekło malowałem, sami potępieńcy, zda się, śmieją się z tego ognia.

Popatrzył na siedzącego pod oknem Ostróżkę i zakrzyknął:

- Nie rusz no się! Jak słońce na twoją grzywę świeci, to iście ogień. Taki bym wymalował.

Ale Ostróżka ugodzony w słabą stronę warknął:

- Idźcie do biesa, to wam prawdziwy ogień pokaże.

Zerwał się i nie bacząc na zafrasowanego mistrza wybiegł przed karczmę.

Zbocze wawelskiej góry, pokryte świeżym śniegiem, świeciło w słońcu, aż oczy bolały, ale Ostróżka ręką je zasłonił i patrzył. Z góry sunęła opuszczając się na równinę, ciemna plamka, jak ogonek gronostaja. Zanim jednak Ostróżka rozeznał nadchodzącego, uwagę jego odwróciła kolasa, która minawszy most przy widocznej z dala grodzkiej bramie, szybko zmierzała ku gospodarzowi. Po złotym łańcuchu na piersiach siedzącego w niej duchownego Ostróżka od razu domyślił się księdza podkanclerzego i cofnął się na bok, nie sądząc, by Zdzisław mile go widział. Nie umiał i wobec prałata powściągać swego zuchwałstwa, mimo że cześć żywił dla niego za to, że się ważył przeciwstawić Muskacie. Skłonił się jeno z dala, podkanclerzy jednak ' straż ogniowa i wodociągowa



poznał go zaraz i dobrotliwie skinął ręką. Świeża godność, słoneczny dzień, a zwłaszcza wykończenie odbudowy umiłowanej świątyni napawały go zyczliwością dla całego świata.

- Pójdź-no, huncwocie. Cóż tu robisz?

- Co mam robić! Ja tu jak u siebie.

- Wszędys jak u siebie. Tedy i wiedzieć musisz, jest-li mistrz Franciszek w domu czy w gospodzie?

- Tu na was czeka. Ino co pomagałem mu św. Floriana wykończyć. Jeszczeście cudniejszego nie widzieli.

- Każda lizka swój ogon chwali. Jenom nie wiedział, żeś się do malarskiego bractwa przypisał. Na chwałę Bożą! Może i będą z ciebie ludzie. Ale, słuchajno! Włóczyysz się wszędy; nie wiesz no gdzie się on tęgi wyrostek dziewa, com cię u niego, rok temu będzie, naszedł?

- Co nie mam wiedzieć! Z mojej po ręki rycerzem ci ostał u księcia. Skoro patrzeć, na jakowego kasztelana postąpi, tak-koż z mojej poręki.

Ale na twarzy popędliwego prałata zamiast uśmiechu, którego oczekiwał Ostróżka, zjawiała się zmarszczka gniewu.

- A zaś z mojej poręki, niech go jeno spotkam, lagą oberwie po grzbiecie. We łbie się widno młokosowi przewróciło.

Dobry był mu Duszka, gdy bieda była, a ninie ani zapyta o krewniaka.

- Poczekajcie, a skoro będziecie go mogli sprać, bom właśnie po niego słał.

- Nie wydziwiaj, jeno mu rzeknij, że krewniak chorzeje i u duchaków w szpitalu leży. Może się i bez bicia serce w pachółku poruszy.

- Na waszym miejscu spralby go, tym ci bardziej, że na swoim nie mogę, bo mocna jucha, a zdałoby mu się. Ale oto idzie!

• Ale Zdzisławowi gniew już przeszedł, więc jeno pięścią pogroził nadchodzącemu od gościńca Krzychowi. Idący obok niego Braciszek zatrzymał się mówiąc:

- Mnie, czy tobie? Wolę ja tam nie iść.

202

- Pójdź-że! To podkanclerzy Zdzisław. Coś ci mu Ostróżka nagadać musiał. Ale nie uczyni nam nic złego.

-Już ja wolę żadnych dostojników nie widzieć. Taki jak Jakub, raz mi się ino trafił. Pójdę ku mostowi na Wiśle. Lubię patrzeć jak woda płynie. Ostróżka nie na mnie, jeno na ciebie czeka.

Ale Ostróżka szedł już ku nim.

- Odkąd to wolisz na wodę patrzeć, niż na miód, a bodaj na piwo? - powiedział, gdy Braciszek wyjawiał chęć poczekania przy moście. - Nie tobie prałat groził, bo cię i nie zna, jeno Krzychowi.

• Mnie zaś czemu?

- Żeś Duszki poniechał, a ponoć chorzeje.

- Trzeba mi zaraz do niego - powiedział niespokojnie Krzych.

- Trzeba, choć nie dlatego. Ale nie będziem gadać na mrozie, pójdźcie!

Gdy zasiedli przy kubkach, Ostróżka zaczął:

- - Kasztelan Jaško z pismem nas słać chce do księcia.
- Każe, to pojedziem - mruknął Krzych. - Cni mi się tutaj. Od rana człeka poganiają do wojackiej zaprawy, co dzień to samo. A zapadnie wieczór, to i począć z sobą nie ma co.
- Przyda ci się. zaprawa, boś surowy jako ciołek, a bitka przyjdzie, nie bój się. Zaś póki spokój, możesz ^w kości grać albo do dziewczek iść, jako drudzy.
- Albo niewiastę pojąć - dorzucił Braciszek.
- Odczepcie się, do licha, z waszymi białkami. Dość ich mam. Nad tym mamy radzić?
- Nie nad tym i nad tym. Czego to, prawisz, dość masz ty, coś żadnej nie miał? Chcemy ci pomóc, byś sobie miejsce znalazł, skądby cię nigdzie nie gnało, tedy nam piasku w oczy nie syp. A chcesz wiedzieć, ktoś jest, to rzeknij przynajmniej, co sam wiesz. Nic mi do ciebie i nie będę ja z dala objeżdżał. Jeśli pytam, to jeno dlatego, że mi cię żal, boś zacięty, a nieporadny; po prostu powiedzieć głupi!

~ 203 ~

Krzych dźwignął się groźnie, ale usiadł z powrotem i oczy wbił w ziemię. Braciszek wtrącił pojednawczo:

- Nie nawykł gadać o sobie, to i nie umie.
  - Dobrze! - odparł Ostróżka. - Tedy pytać będę, jak w sądzie. Chcesz - gadaj, nie - to wypijmy i chodźmy. Popędliwy zazwyczaj Krzych potulnie słuchał słów Ostróżki. Oczy spuścił i zadumał się głęboko. Ostróżka nie nalegał, jakby mu chciał czas zostawić do namysłu. Przypił do Braciszka, który patrząc na Krzycha ze współczuciem, wtrącił:
  - Pomyśleć, jak to różnie bywa: mnie z tym dobrze, że ani wiem, kto mnie rodzi, ani krewniaków żadnych nie mam. Swobodnym w sobie, nie wiąże mnie nigdzie nic, serce mogę rozdawać komu mi się spodoba. Zaś Krzychowi lepiej pono byłoby, gdyby się gdzieś przytulił, swojaków znalazł, co by za nim stali. Jako mniemasz, Ostróżka?
  - Co się nad nim będziesz użalał - odparł zagadnięty opryskliwie. - I tak by już przy cycku nie wisiał. Dużo mnie z tego, że wiem kto mnie rodzi? Od małości sam o sobie myśleć musiałem, jeszcze mi takie dziedzictwo ostało, żebym wołał nie wiedzieć.
  - A ja wiedzieć muszę - wybuchnął z nagłą Krzych.
  - No widzisz! Przecież jakieś słowo urodził, jak krowa martwe ciele - przerwał mu drwiąco Ostróżka. - Ale mądrej głowie dość dwie słowie. Skoro wiem, że tego chcesz, pomogę ci, chodem ni brat, ni swat.
- Wyciągnął zza pazuchy pierścień i włożył na palec. Krzych patrzył zaskoczony.
- Skąd go masz? Myślałem, że Terka zabrała.
  - Juści, że Terka. Ale o tym potem. Znak na nim Leliwów. Powiedz no ty, skąd go masz. Dziedziczny?
  - Gdzie zaś! Kasztelan Jaško mi go dał...

Krzych urwał, a Ostróżka rzekł szyderczo:

- Któryś z was łże. Kasztelan mówił, że cię na oczy nie widział. Namyślisz się powiedzieć, gdzie, kiedy i za co go dostałeś, to mnie zbudź.

204

Wyciągnął się na ławie, ręce podkładając pod głowę. Braciszek trącił Krzycha:

- No, gadaj że! Przecie wstydu nie ma?

Krzych wahając się i zacinając opowiedział swe przygody. Ostróżka nie przerywał mu, ani nie poganiał. Dopiero gdy Krzych skończył, usiadł z powrotem mówiąc:

- Ma ci kasztelan za co wdzięczon być, ani się od tego nie uchyla. Powiedz no, czemu przed nagrodą uciekasz? Co masz z tym Cedrowicem, to inna sprawa.

Gdy Krzych milczał, Ostróżka podjął:

- Nie powiesz ty mnie, to powiem ja tobie: dziewczka w tym siedzi, jako zadra. Myślisz, że jej znajdzie nie dadzą, tedy nie chcesz nic. A jak mniemasz: na'co kasztelanowi wiedzieć, jakiegoś rodu? Przecie tych trzydzieści grzywien, coc przyrzekł, mógłby i dziadowi pod kościołem dać. A i rycerski rynsztunek takóž. Miałby na zapusty przybranie. Słuchaj, co rzekę: bierz pierścień, pokaż Jaškowi i powiedz, że jego córkę chcesz pojąć. A nie chcesz, to powiedz prosto i przestań o niej rozmyślać, to ci zaraz inne zasmakują. Mocnyś w sobie, a na gębie gładki, nie zbraknie ci białek, jeno się prosić nie daj. A nie chcesz i tego, to do klasztoru wstąp, albo... w kark bym ci dał na ostatku...

- Ja bym do kasztelana nie szedł, póki się Krzych nie wywie o swe urodzenie - wmieszał się Braciszek. - Skoro kasztelan o to pyta, tedy widno za nieznanego człeka córy by nie dał. Zresztą, jeśli ona do klasztoru chce...

- Tak ci pewnikiem, jako i on - głową wskazał na Krzycha. - Po cóž by się Jaško o niego rozpytywał.

Krzych jednak nie słuchał. Zerwał się, mówiąc:

. -- Idę.

- Dokąd? - zapytał Ostróżka.

- Do Duszki.

- Siadaj no. Do Duszki pójdę ja, ale sam. Przycisnąć go trzeba, ani chybi, a tyś miętki.

- Pójdę z tobą - powiedział Braciszek.

~ 205 ~

- Ty się po mieście nie włócz przy białym dniu. Myślisz, że skoro cię arcybiskup puścił, to już wszystko zapomniane. A zląpią cię zaś, to ja więcej głowił się nie będę, jak cię z potrzasku wydobyć.

- Ty, Ostróżka, gorszego udajesz, niż jesteś. Gadaj, co chcesz, a wiem, żebyś mnie nie poniechał.

- Myśl jako chcesz, kiedy ci z tym lepiej, ale z miasta się wynieś, póki biskup tu siedzi i Niemce się panoszą.

- Tedy by nam na długo żegnać się przyszło; pogodzili się r. księciem - zaśmiał się Braciszek.

- Żyłem bez ciebie, to i dalej będę. Ale jeśli mniemasz, że ksiązę z biskupem się uładzą, to z nich nie znasz żadnego.  
- Wždy ksiązę wszystko robi, by biskupa ugłaskać.  
- Nie ugłaska go niczym. Ale niech jeno Łokiet w sile się poczuje, tak go głośnie, że skóra oblezie z biskupa. Jeno zda się, nie prędko. \

xx

Wypadki zdały się wskazywać, że Ostróżka ma słusność. Ksiązę wrócił do Krakowa pospiesznie i dość niespodzianie, załadziwszy sprawy na Pomorzu jak się dało. Odebrał hołd od miast, grodów i rycerstwa, rządcami ustanowił ksiąząt kujawskich, bratanków swych po Ziemomyśle, Przemysława i Kazimierza, w miejsce wojewody Świecy, któremu nie ufał, zwłaszcza, że odmówił żądaniu synów jego, by zwrócić wydatki jakie rzekomo ponieśli, zarządzając Pomorzem; proces zaś między Piotrem Gryfitą z Nowego, synem wojewody, a biskupem wrocławskim Gerwardem na niekorzyść Świecy rozstrzygnął. Rzeczywista obrona Pomorza spoczęła w rękach Bogumiła Leszczyca, zwanego Boguszą, sędziego pomorskiego, któremu ksiązę powierzył gdański gród, nie pozostawiając jednak żadnych wojsk ni zasobów. Pomorze zdane zostało na własne siły i wierność tamtejszego rycerstwa.

Po powrocie księcia zamek ożył. Nie słyhać było jednak śpiewów ni gęśli, jeno głosy rozkazów i szczęk broni.

Do trosk państwowych Włodzisława dołączyła się ciężka troska ojcowska. Mały Stefan, którego pożegnał zdrowym i hożym chłopięciem, marniał w oczach; nie skarżył się na nic, ale z każdym dniem stawał się bledszy i bardziej niemrawy. Mistrz Marcin próbował różnych leków, nie poniechano i odczyniania uroków, nie pomagało nic. Gdy ksiązę wrócił, chłopiec już z łóża wstawać nie chciał, nie dźwignął się nawet na powitanie ojca, jeno powlókł po nim osowiałymi oczyma.

Księżstwo długo stali nad synem bez słowa. Potem księżna Jadwiga ujęła małżonka za rękę, mówiąc:

- Pójdźcie! Spocząć wam trzeba.

~ 207 ~

W milczeniu wyszli do komnaty księżny. Włodzisław znużonym ruchem, jakiego jeszcze nigdy nie widziała u męża, opuszczył się na ławę i głowę ujął w dłonie. Księżna skinęła na Hannę, dając jej znak, by wyszła. Gdy księżstwo zostali sami, Jadwiga usiadła obok małżonka, obejmując go ramieniem.

- Bóg daje i odbiera. Może się jeszcze zmiłuje - powiedziała cicho.

Gdy ksiązę milczał nieporuszony, dodała:

- Nie buntujcie się. Może to kara za grzechy nasze.

Włodzisław wyprostował się i zamrugał przekrwionymi oczyma. Zapadnięta twarz skrzywiła się w bezsilnej, próbie przywołania uśmiechu:

- Za nasze? Za moje! Ale Bóg wie, że bardziej niż Stefana miłuję córki. Gdyby je odebrał, bolałoby serce, ale nie opadłyby ręce. A tak!...

- Czyńcie swoje,' na Boga zdając resztę. Boleść nie zwal-

nia od obowiązku.

- Nie nad sobą boleję. Nawet nie nad zmarnowanym trudem swego życia... a wiecie... ciężki był... i jest. Znikąd pomocy, nigdzie pewności, nigdy wypoczynku. Wziąłem to na siebie i niósłbym do ostatniego tchu. Ale po co? Komuż ostawię dziedzictwo? Widziałem ci ja śmierć niejednego człeka...

Księżna zacisnęła powieki i zagryzła wargi. Gdy na męża przysła chwila słabości, jej nie wolno swojej okazać. Dopiero upewniwszy się, że głos jej nie zawiedzie, rzekła:

- Tak właśnie czynicie, jak łowca, co zwierza napotkawszy myśli nie jak go ubić, jeno jak go do dom poniesie. A zwierz nie czeka. W sile z was jeszcze mąż... i jam nie stara - rumieniec okrył twarz Jadwigi. - Bóg mi pozwoli urodzić wam jeszcze dziedzica, gdyby tego zabrać Mu się spodobało.

- Bóg odwrócił oblicze swoje od Piastowego rodu. Jeden po drugim schodzimy bez męskiego potomka i dzieło zjednoczenia wciąż od nowa zaczynać trzeba. Widno kraj ten nieszczęsny w obce ręce wydać postanowił.

- Nie ludzka rzecz Boże zamiary zgadywać. Błuznicie! - krzyknęła księżna.

~ 208 ~

Włodzisław zamilkł. Jadwiga odetchnęła, gdy znowu mówić zaczął. Twarz miał już spokojną, oczy żywe i myśl widocznie odwrócił od codziennych trosk.

- Rad jestem, że widzę przy was Hannę. Słusznie Jaśko postąpił tu ją umieszczając. Prędzej jej klasztor wywietrzeje z głowy. Jędrzej Cedrowic zapowiedział, że tu zjedzie, nie poniechał widno swych zamiarów. Krewniak Święców, siła oni na Pomorzu znaczą, a na mnie gniewni. Zjednać by ich trzeba, jeno że Jaśko, co twardy jak żelazo, córce się dał osiodłać i przyniewalać jej nie chce. Niewiasty łacniej się zmówią między sobą. Wdzięczny byłbym, gdybyście ją nakłonić zdołali.

- Dobrze to i miłe dziewczę - odparła księżna - ale nie zda mi się, by miękka i ona była. Spróbuję.

- Jędrzej nie wcześniej jak ku wiośnie tu będzie. Czas się dziewczynie przyzwyczaić do myśli o tym związku. A może i ja będę już z powrotem, to się weselisko wyprawi.

- Zali bezpiecznie znowu z Krakowa odchodzić? Jaśko już chciał słać po was, bo się nijak z biskupem uładzić nie mogą. O Straszowe łupiestwa szczególnie Muskała się piekli.

- Wszędy być nie wydołę. Jedyne, co mogę, to działać szybko i w porę. Litwie odpłacić trzeba za splądrowanie ziemi kaliskiej i sieradzkiej, by zaś nie myśleli, żeśmy zgoła bezbronni. Zimą przez bagna przejść łatwiej, a zamęt u nich być musi, bo z Krzyżakami są w walce i Giedymin poległ od strzały ognistej.

Włodzisław wstał i zakończył:

- Tymczasem spocząć mi trzeba. O Hannie nie zapomnijcie.

- Nie zahaczę. Rada bym choć w tym wam dopomóc.

Uśmiechnął się do żony. Odetchnęła. Był taki jak zawsze, giętki i mocny jak rzemień.

Będziecie się, pani, do snu układać?

Nie do snu mi. Posiedzę przy dziecku - odparła księżna.

Wawelskie wzgórze - 14 ~ 209 ~

- Pozwólcie, bym ja. Rad mnie Stefan widzi, a trzeba będzie, obudzę was.

- Dobraś, Hanno, ale mnie troska i niepokój i tak sen spędzają z oczu. Matczyzna to sprawa nad dzieckiem czuwać, a tobie zabawy by się patrzyły wiekowi odpowiednie, jakie na innych dworach bywają.. Młodość jest jedna i krótka. Skoro ci pod czepiec i po niej.

- Nie mówcie, pani - szepnęła Hanna rumieniąc się.

- Taki już niewieści los, dziewczyno. Jeśliś myśli o klasztorze poniechała, to jedno ostaje. Czemużes to małżeństwu niechętna.

\*

Gdy Hanna nic nie odrzekła, księżna ciągnęła:

- Ku wiosnie zjedzie tu Jędrzej Cedrowic. W Swieciu burgrabią ma ostać. Rycerz jest mężny, z rodu znacznego, na którym siła księciu zależy. Wdały jest, znasz go przecie.

Gdy Hanna milczała zacisnąwszy usta i opuściwszy oczy, księżna zapytała wprost:

- Zmówieni byliście. Cóż się stało, żeś serce odmieniła?

- Nie miłowałam go nigdy... i nigdy miłować nie będę.

Radziej do klasztoru pójdę, niż za niego - odparła Hanna pory w czo.

- Radziej? Tedy nie rada. Posłuchaj, Hanno, mnie, co bym ci matką być mogła. I jam małżonka mego przed ślubem widziała raz jeno. Nie udał mi się. A dziś tak sercu memu bliski, jako i te dziatki, które z nim zrodziłam. Zresztą miłość przychodzi i odchodzi, jeno uczciwość ostaje.

Słowa księżny nie zdały się jednak przekonywać dziewczyny. Zarumieniona przedtem twarz przybladła, ale zachowała\* wyraz zacięty. Milczała.

Księżna patrzyła na nią przenikliwie, choć ż; zyczliwością.

Powiedziała łagodnie:

- Nie zamykaj się, Hanno. Nikt tu krzywdy twej nie chce.

Pan nasz twemu ojcu przyjacielem, a ja ciebie miłuję. Jeno zrozum, że upór twój zda się dziecinny, a w drodze staje sprawie, do której księżę przywiązuje wagę. Jedną troskę mogła-byś zdjąć z niego, a ma ich zadość. Rodzic twój życie nieraz

210

stawił dla księcia, ani się zawahał, a ty przed przysługą się cofasz?

Hanna zarumieniła się, ale odparła śmiało:

- Bogdaj mi mężem być, nie pożałowałabym i ja życia.

Ale za Jędrzeja nie pójdę, choćbym w wodę skoczyć miała.

Po chwili milczenia zapytała:

- Czy mogę odejść, pani?

-Jak chcesz, dziecko. Nie myśl, że na ciebie gniewna.

Jeno mi żal małżonka mego. Podpory znikąd, zewsząd troski wałą się na niego. Prosił, bym mu tej jednej ująć pomogła. Nie wydoliłam, wola Boża! Nie łatwo jest ulżyć ciężaru, nawet gdy się chce... a mało kto chce.

Gorycz zabrzmiała w słowach księżny. Hanna odczuła wyrzut. Stała drżąc i zmagając się ze sobą. Potem przyklękła u kolan księżny i powiedziała przez ściśnięte gardło:

- Powiem wam, pani, dlaczego nie chcę Jędrzeja Gryfity, "choć i mówić mi ciężko. A jeśli potem każecie mi iść za niego... pójdę.

Twarz ukryła w fałdach sukni księżny i umilkła, jeno chwilami przebiegało ją drżenie. Jadwiga położyła rękę na głowie dziewczyny:

- Nie bójże się. Nic ci nie nakazę, a wdzięczna-m za chęć.

Innego miłujesz? - zapytała z wyrozumiałym, trochę żalonym uśmiechem.

- Nienawidzę Jędrzeja Cedrowica, - wybuchnęła Hanna.

- Za to, że ci w drodze do innego stoi?

-• Za to, że przez niego w oczy nie śmiem spojrzeć człeku...

- Którego miłujesz? - podchwyciła księżna.

- ...któremu więcej winnam niż życie własne.

Mimo troski i przygnębienia w Jadwidze obudziła się kobieta ciekawość.

- Wspominał mi małżonek mój o jakowymś wyrostku, którego Jaśkowi życie na łowach zratował. O nim to myślisz?

- O nim - przytaknęła Hanna, rumieniąc się.

- No cóż, dziewczyno? Był i zniknął. Mało to takich wspomnień każda chowa? Za młodu nieraz i we śnie ktoś się taki i/

~ 211 ~

zjawi, co serce poruszy, że człek chodzi jak urzeczony, a dokoła siebie go szuka. A potem zapomni. Bo któż rozsądny życie swe wykrzywić pozwoli dla zjawy bez krwi i kości? Nie pójdziesz za Jędrzeja, innego wybrać będzie trzeba.

- Nie zjawa ci to żadna - odparła Hanna żywo. - Onże i brata zratował z topieli, a ninie tu jest...

Urwała, widząc, że się wydała ze wszystkim.

Księżna uśmiechnęła się wyrozumiale i pogładziła Hannę po głowie, pytając:

- Tedy widujecie się?

- Nie! - odparła Hanna z widoczną goryczą. - On na mnie i patrzeć nie chce.

- Przystoi to córce Jaśka Leliwy serce ofiarować nieznanemu człeku, który nie stoi o nie?

Wstyd, gniew, żal i udręka jaskrawym rumieńcem wybiły się na twarz dziewczyny. Odparła gwałtownie:

- Jędrzeja Cedrowica to sprawa.

- Nie rozumiem - powiedziała księżna.

- Zrozumieć trudno, a i opowiedzieć nie łatwo.

- Spróbuj! Nie jeno z ciekawości radam usłyszeć. Matki nie masz, może ja ci doradzić zdołam... a i noc prędzej zleci.

Jadwiga słuchała z rosnącym zaciekawieniem i współczuciem. Doświadczona niewiasta wiedziała już, jak sprawy stoją.

Gdy Hanna skończyła, księżna powiedziała:

- Rozumiem ja teraz, czemu ci Jędrzej nienawistny. Jeno siebie nie winuj. Każdy by się pomylił. I cóżeś mu uczyniła?

- Jako w obraz na mnie patrzył, a ja jako na zbója. Nie powinnam była uwierzyć. Takich oczu nie ma zły człek. I nigdy już tak na mnie nie spojrzy... -

Zacisnęła powieki, hamując łzy. Księżna pogładziła ją po ciemnych włosach:

- Oj! Jako dwoje dzieci jesteście, co się boczą na siebie. Przepytam ja o tego miedzianka, albo i sama go obaczę. Dobrze, żeś mi zawierzyła. I ulży ci i jak da Bóg, pomogę.

xxi

.Korzystając, że mróz ściał grząską zazwyczaj łąkę nad starym korytem Wisły, koniuszy Budziwoj kazał młodzieży tam ujeżdżać konie. Ubita ziemia twarda była jak kamień, tak że niejeden z trudem zbierał kości i długo je czuł po upadku, ale i Budziwoj nie był miększy i nieodmiennie udzielał jednej rady, iż nie należy się pozwolić zrzucić.

Rada była prostsza niż wykonanie, gdyż sprowadzone ze stadniny źrebaki dwulatki ostre były i dzikie, a ujeżdżano je oklep, bez wędzidla. Prawdziwa też była to próba sił końskich i ludzkich, to też mimo mrozu wszyscy zgrzali się, a mało któremu udało się uniknąć bolesnych upadków. Mimo to wesołość panowała i prześmiechy, a przykładano się do pracy gorliwie, bo każdy wierzył staremu koniuszemu, że lepiej tysiąc razy spaść przy ujeżdżaniu rumaka, niż raz w bitwie.

Szczególnie Krzych lubił to zajęcie. Wolał je, niż udaną bitwę na kije, lub zapasy, w których nie miał dla siebie przeciwnika. Tu przynajmniej wyładował swe siły, z którymi nie wiedział co począć.

Stał właśnie nad jabłkowitym łozakiem. Koń leżał na ziemi dysząc, ale i pod Krzychem nogi uginały się z wysiłku. Towarzysze śledzący z zajęciem ich zmagania, obstąpili ich teraz, rzucając uszczypliwe uwagi, w których jednak przebijał podziw, a czasem i zazdrość.

- Pewnie nie żał ze trzy dni, bo prędko z niego dech wyparło - zauważył któryś.

- Ba! Krzych ciężki, jako ciołek. Zęby wór kamienia na żróbka władował, teżby prędko parę puścił - dodał drugi.

~ 213 ~

- To jeno dlatego, że ja konia raniej zmordował. Mało brakło, a byłby się pode mną położył -- rzekł trzeci.

- A nic nie brakło, żeś ty się położył pod nim. Jużem chciał biec po miech na twoje kości - zaśmiał się któryś, a inni zawtórowali.

Niełatwo być samochwałem wśród kpiarzy, wyśmiany więc umilkł. Krzych, który milcząco przyjmował uwagi towarzyszy, ostrzegł teraz:

- Dajcie baczenie! Wstaje!

Istotnie koń dzwignął głowę i skoczył nagle na cztery nogi.

Krzych chwycił za uzdę, a koń zaczął bić kopytami.

- Dosiądź że go - krzyknął ktoś do samochwała.

Wezwany cofnął się i mruknął:

- Gnaty bolą.

Ale psotna młodzież nie myślała się wyrzec sposobności do



kpin; jeden przez drugiego krzyczeli:

- Konia też gnaty bolą, a nic nie mówi.

- Bo się nie boi, by go Sobiebór długo mordował. Jeno za-  
dem fiknie, a polecą niczym z procy, jako przódzi.

Inni jednak nic nie krzyczeli, jeno schwywali Sobieborę  
i mimo jego oporu, ładowali go, śmiejąc się, na grzbiet niepokojącego się łoszaka. Powstrzymał ich ostry głos:

-'Stać!

Koniuszy Budziwoj zjawił się niespodzianie wśród rozba-  
wionej gromady i krzyknął:

- Do swojej roboty, nie cudzą psuć! Głupiście, krowy wam  
ujeżdżać! Koń ino co poskromiony anarowi się, gdy znowu  
jeźdźcem praśnie. A Sobieborę i cap by zrzucił.

Parsknęli śmiechem i rozchodzili się gwarząc, a Budziwoj  
zwracając się do Krzycha powiedział:

- Będziesz na nim jeździł, bo w sam raz pod ciebie. Koń  
w dwóch leciech, sześć stóp i trzy cale, a ogień ma jak .diabeł.

Przeprowadź go, niech ochłonie, bo cały spieniony i dość na  
dzisiaj. Księżna kazała ci przyjść do siebie. Lawendą się po-  
krop, bo niewiastom nie pachnie koński pot. Gładkie dworki

~ 214 ~

są (przy księżnej, uważaj, bo jak która na kiel weźmie/to  
i najtęższego jeźdźca poniesie.

Zaśmiał się i poklepał naprzód łoszaka po •zadzie, a potem  
Krzycha po barach. Krzych zarumienił się i ujawszy kania  
za uzdę, ruszył ku stajniom. Przebierał się z ociąganiem. Wie-  
dział, że Hanna jest przy księżnej i widywał ją z dala czasa-  
mi, na myśl jednak, że mógłby ją spotkać oko w oko, ręce mu  
się trzęsły tak, że nie mógł sobie poradzić z zapięciem guzów  
w nowym kubraku.

Nie umiał rozmyślać, ale czuł, że żal do dziewczyny wy-  
wietrzył właśnie od chwili, gdy poznał, że ona ma żal do  
niego. Chciała go przejednać, a on zgodę odrzucił, sam nie  
umiał sobie uświadomić dlaczego. Wolałby uciec na kraj świa-  
ta, niż znowu stanąć przed nią. Cóż by jej powiedział, gdy  
zapyta? Czuł, że słowa z siebie nie wydobydzie.

Istotnie nie wydobył słowa, gdy natknął się na nią u drzwi  
komnaty księżny. Stał zmieszany, a ona rumieniając się powie-  
działa:

• /

- Pan jest u małżonki. Zaczekać musicie aż wyjdzie.

Zza drzwi słyhać było głos księcia. Mówił cokolwiek  
głośniejsz niż zazwyczaj, a choć zacierały się słowa, można było  
pomiarować, że czymś jest podrażniony. Krzych nieśmiało  
spojrzył na dziewczynę. Była tak widocznie zaniepokojona  
i zmieszana, że żal mu się jej uczyniło. Wahał się jeszcze, czy  
nie trzeba odejść, a trudno to było uczynić bez wyjaśnienia,  
gdy wtem głos księcia zbliżył się do drzwi i wyraźnie doszły  
jego słowa:

- Otoście mi pomogli! Nie o takie swaty prosiłem.

Drzwi się rozwarły i księżę stanął w nich. Powlókł jasnymi,  
surowymi i gniewnymi oczyma po stojących naprzeciw siebie

młodych i zwrócił się do Krzycha. Patrzył na niego przez chwilę, -jakby konia szacował i odezwał się:

- Z urody niczym białka, ale pachol z ciebie tęgi. Nie dziwić się dziewczynie, a reszta to Jaśkowa sprawa. Wiedz, że u mnie każdemu droga do wszelakich dostojęstw otwarta, ~ 215 ~

jeno nie piąć się do nich po dziewczęcej kosie, czy za babską kiecką. Na Litwę ze mną pójdiesz. Tam się okaże, czyś zdatny Jaśkowi 'na zięcia.

Książę odwrócił się i odszedł, ale Krzych stał jak wrośnięty. Nie wiedział, czy dobrze słyszał lub zrozumiał. Spojrzał spod oka na Hannę, by coś wymiarkować, ale dziewczyna twarz ukrywszy w dłoniach! uciekła. Z osłupienia obudził Krzycha dopiero głos księżny:

.- Skoroś przyszedł, to wejdźże. Niech i ja ci się przypatrzę. Całkiem imak to poszło niż zamierzałam i sama ochłonać nie mogę, ale na nic już skrywać, co odkryte.

Wprowadziła go do komnaty i dodała:

- Siadaj że! Jako chojar wyrosłeś i głowę trzeba do ciebie zadierać. Radeś, zem cię przyzwała? Podziękowałbyś, bom też i gorzkie słowa słyszała przez ciebie.

Ale Krzych siedział trzymając się kurczowo ławy, jakby się bał, że gdy ją puści, nogi same z nim uciekną. Poczzerwieniał jak mak i milczał. Księżna widząc, że młodzian nie przełamie przy niej onieśmielenia, powiedziała dobrotliwie:

- Wiem-ci, że nie ze mną chcesz gadać. Samych was ostawię na kilka pacierzy, choć ich pewnie odmawiać nie będziecie. Myślę, że się oswoisz, a bacz, że dziś - jutro z księciem ci przyjdzie ciągnąć na wojnę. Niech cię Bóg prowadzi.

Rękę mu położyła na głowie i wyszła. Krzych jednak czuł, że mógłby tak siedzieć do rana i słowa z siebie nie wydobyć. Widocznie i Hanina to wiedziała, gdyż zbliżyła się i ujmując miękką dłonią jego rękę powiedziała:

- Nie bój że się. Książę jeno tak powiedział ze złości o to, zem za Jędrzeja Cedrowica wyjść nie chciała... dlatego, że ciebie ukrzywdził... A kiedy już i tak wiesz, nie odrzucisz, myślę, podzięk i wdzięczności, któreśmy ci winni. Póki życia nie zapomnę...

Spojrzała przy tym tak pięknie w oczy Krzycha, że nie potrafił swoich od niej oderwać. Długo patrzyli, potem razem opuścili oczy. Zaległo kłopotliwe milczenie, które znowu prze-rwała Hanna:

216

-• Powiedz-że coś! Przykre słowo umiałeś mi rzec!

- Budziwoj mówił, że jak niewiasta na kiel weźmie, każdego poniesie...

- Budziwoj, to koniuszy?

- Juści! Na koniach się zna jak nikt.

Mimo że przejęta i wzruszona, Hanna oma} nie parsknęła śmiechem, ale zarazem przeszło jej zmieszanie. Pomyślała, że Budziwoj zna się nie tylko na koniach i uśmiechnęła się do Krzycha tak, że serce zatętniło w nim, a w uszach zaszumiło,

jak od wielkiego pędu. Hanna po chwili dodała:

- Nie mównyś. Dobrze, że rodzica nie ma, bo do Sandomierza wyjechał, a tymczasem księżę ruszy i nic ojcu nie powie. Potem zaś stryk tu zjedzie, on by najlepiej... Prawda, że i ty ciągnąć masz z księciem... na wojnę. Jeno mi wróć! Oczy jej zaszkliły się i ręce mimo woli wyciągnęły do Krzycha. Nic jej nie powiedział, a potem zaraz weszła księżna Jadwiga.

Gdy jednak Krzych ochłonął, powstała w nim tak silna potrzeba pomówienia z kimś o tym, co mu się przydarzyło, że choć wieczór już był, wymknął się z zamku. Skierował kroki ku chacie rybaka, ale coś go wstrzymało: może to, że nowina przykrą byłaby dla gospodarza. Pozostawało chyba pomówić z Ostróżką. Pewnie drwić zacznie lub dogryzać, ale do tego Krzych już nawykł, a musiał mówić, choćby do koni w stajni. Skierował się więc ku gospodzie pod Bawołem, Ostróżki jednak nie zastał, natomiast w gromadzie biesiadników siedział Braciszek i widno coś śmiesznego musiał im prawić czy pokazywać, bo ryczeli i tarzali się ze śmiechu. Mimo że luźczywo rzucało niepewne światło, poznał Krzycha zaraz i poskoczył ku niemu:

- Stało się coś, że o itej porze przychodzisz?

- Nic. Jeno gadać chciałem z Ostróżką. Nie wiesz, gdzie go szukać?

~ 217 ~

-- Szukać szkoda, może sam przyjdzie. Jeśli nie śpi gdzie indziej, to tu zwykł sypiać na górze. Przysiadź z nami. Zabawisz się, a może się go doczekasz.

- Nie do zabawy mi.

- Iście coś ty inaczej niż zawdy wyglądasz.. Powiedz no prawdę, może ja coś doradzę lub pomogę.

- Nie trzeba mi pomocy, jeno... jakoże tu gadać?

Przyszło mu na myśl, że nigdzie nie ma miejsca, gdzie byłby u siebie, ni człeka, przed którym mógłby swe myśli otworzyć. Braciszek, jakby zgadując je, rzekł:

- Polubiłem cię. Możesz mi zawierzyć. Jeno że ja też swego kąta nie mam. Mróz na polu, ale pod niebem każdy u siebie.

- Tedy wyjdźmy - powiedział Krzych.

Wymknęli się cichcem, by odejścia Braciszka nie zauważyli rozbawieni towarzysze i ogarnęła ich cisza nocna, jeno śnieg skrzypiał pod nogami i lśnił w księżycowym świetle, iskrząc się od mrozu. Licho ubrany Braciszek wtulił głowę w ramiona mówiąc:

- - Tęga zima idzie.

- Właśnie! - przyświadczył Krzych. Zdało mu się, że mówić może do ranka, a teraz nie wiedział jak zacząć. Zaczął wreszcie:

- Dlatego i księżę na Litwę rusza.

- Wiesz! O tym gwarzyć możemy i przy grzonym piwie.

Tedy myślę, że nie o księciu mówić mamy, jeno o tobie.

- Idę z nim.

- A no, kto się za psa poda, musi szczekać. Przygarnij no mnie pod opończę, bo mój kabat wiatrem podszyty. Schowam się pod połę, to ci się zda, że mnie nie ma i łacniej się wygadasz, jakoby sam z sobą.

Wsunął się Krzychowi pod ramię i zamilkł. Krzych wpatrzony w lśniący nią niebie miesiąc [powiedział cicho, jakby ze zdziwieniem:

- Miłuję Hannę. Nie myślałem, że to tak jest. A księżę gniewny o to na mnie.

~ 218 ~

- A skądże mu wiadomo. Jemuś rzekł, miał Hannie?

- Nie mówiłem nikomu. Sam wiedział.

- Juści! Gadać to ty nie umiesz, ale czytać w tobie każdy może, jako w księdze. Prawie na opak jak z Ostróżką. Chcesz tedy wiedzieć, co poczynać? Swaty słać by trzeba, ale kogóż ty pošlesz, niebożę? Chyba mnie z Ostróżką. Rzezimieszka i waganta do kasztelana! Albo i Duszkę, co pod kościołem rękę wyciąga? Sam chyba z Jaśkiem gadać musisz.

- Nijak nie potrafię."

- Nie bo j że się. Nie tyś jego dłużnikiem. Niech sam obmyśli, jak to sprawić, by mu uchyby nie było. A córa niech zaoręduje, jeśli ci przychylna.

- Zda się, że przychylna - powiedział rumieniąc się Krzych.

- Tedy naj ważnie jlsze, żeś się z nią dogadał. Niewiasta i na hak przywieść człeka potrafi, nie tylko do ołtarza. Możeby cię ktoś do rodu przyjął, by ci kiedyś nie wypominano, żeś znajda.

- Nie znajda-m ja. Jeno wyjawić mi nie chcą. Rzeknij Ostróżce, że jeśli zaraz nie pójdzie do Duszki, to sam pójdę. Ja muszę wiedzieć.

- Juści, że ważna to sprawa, ale nie pilna. Z księciem przecie ruszasz. Jedźże tedy i wracaj szczęśliwie, a sprawę ostaw Ostróżce. Chytry on jest i twardego udawać umie.

- Myślisz, że jeno udaje?

- Z wierzchu twardy, ale co tam w człeku siedzi, Bóg jeden wie. Gdy gada, myślałbyś, że nie stoi o nikogo. A pocóż by się tobą zajmował, gdyby tak było? Każdemu zimno w samotności, a on. nie wydoił tak jak ja, zagrzać się przy kimś przez chwilę i iść dalej. Nieufny jest i pamiętliwy. No, idź już. Pomożem ci naleźć twoje szczęście... jeśli je można indziej naleźć niż w sobie.

Wysunął się spod kapoty Krzycha i skinąwszy mu ręką oddalił się. Krzych zamyślony ruszył ku zamkowi.

XXII

Wtodzistał nie zwykł długo pieścić się z zamiarami i zebrawszy wojska, jakie były pod ręką, ruszył nazajutrz, Bra-" cizzek jednak nie zapomniał przyrzeczenia i Ostróżka, choć ustawicznie czymś zajęty, zebrał się odwiedzić Duszkę w szpitalu, by zasięgnąć wieści o pochodzeniu Krzycha.

Minął już wiek z górą od czasu, gdy biskup krakowski Pełka sprowadził z Vienny pierwszych kanoników regularnych Sw.

Ducha, zwanych pospolicie duchakami i osadził ich w Sławkowie, by mieli pieczę nad zdrowiem tamtejszych górników. Gdy kopalnie ołowiu podupadły i osada się wyludniła, biskup Iwo przeniósł ich na swój Prądnik. Tam szpital uległ zagładzie czasu pierwszego najazdu Tatarów, a ocalałych zakonników biskup Jan Prandota Odrowąż z Białaczowa umieścił na gruntach parafii św. Krzyża, na północno-wschodnim krańcu dawnego biskupiego Krakowa, gdzie dzięki licznym fundacjom i zapisom szpital rozbudował się szybko. Mur miejski objął szpitalne budynki i w jego załomie powstała jakby odrębna osada, żyjąca własnym życiem. Szpital bowiem przeznaczony był nie tylko dla chorych, ale stanowił również przytułek dla starców, schronisko dla włóczęgów i bezdomnych, żłóbek dla podrzutków i sierot, gospodę dla podróżnych, miejsce połogu dla ciężarnych kobiet, a nawet rekolekcji dla upadłych. Od reszty miasta oddzielał je wysoki parkan, a wejście wiodło przez kościółek pod tymże wezwaniem Sw. Ducha. Wszelka nędza i niedola znajdowała tu schronienie i pomoc zakonników reguły św. Augustyna, rozszerzonej o ślub dozgonnej służby chorym i ubogim.

220

W swej włóczędze po mieście Ostróżka nieraz zachodził i tutaj, ale zazwyczaj przez gospodarczą furtę od strony murów, lub nocą przez iparkan. Dziś jednak wszedł do kościoła Sw. Ducha właśnie gdy proboszcz szpitalny odprawiał poranne nabożeństwo.

Kościółek był szczupły, ale sklepionym oknem w ścianie za ołtarzem połączony z ogromną izbą, w której kalecy, niedołążni starcy i obłożnie chorzy mogli brać udział w praktykach religijnych. Stanowiły one główną podstawę leczenia i przestrzegano ich pilnie, a opornych karano odjęciem pożywienia. Nie była to mała kara, gdyż mnisi sami jeno dwa razy na dzień przyjmowali posiłek i biedotę tedy nie lepiej karmili. Gdy jednak oni zajęci byli przez dzień cały, a nieraz i w nocy, biedota żyła jeno oczekiwaniem na jadło i zgadywanie, co dostaną na południe lub wieczere, stanowiło jedyny przedmiot rozważań, przewidywań, a nawet kłótni. Toteż Ostróżka, znając życie szpitalne, zakupił dla Duszki podarki z żywności i odzieży. Czekał cierpliwie na zakończenie nabożeństwa, roz-  
giądając się nieznacznie za Duszka.

Kościół jednak zapelniali niemal sami zakonnicy w czarnych habitach, przepasanych czarnym również sznurem, z wyszytymi na lewej piersi białymi, sześcioramiennymi krzyżami o rozwidlonych końcach. Na ramionach narzucone mieli krótkie, fioletowe pelerynki. Chorych w kościele nie było.

Gdy przeto nabożeństwo dobiegło końca, Ostróżka wszedł za zakonnikami do izby za ołtarzem. Była bardzo przestronna, ławy stały szeregami, a po bokach klitki z narami dla chorych, którzy nie mogli wstawać. I tutaj Duszki nie zobaczył, a izba opróżniała się szybko. Przypytał się tedy do braciszka, który mu wyjaśnił, że wszyscy gromadzą się w refektarzu na posiłek, a gdyby i tam Duszki nie znalazł, pater hospitalariusz,

który prowadzi registr chorych, objaśni co się z nim stało  
i gdzie go szukać.

' ojciec szpitalnik

221

Ostróżka udał się wraz z innymi do refektarza i przez drzwi  
patrzył na siedzących przy szczelnie obsadzonych stołach.

U szczytu środkowego siedział przełożony, a po obu jego stro-  
nach wedle godności: definitor, praefectus sanitatis, mistrz no-  
wicjatu, prokurator, factor ruralis, decimator, klucznik, skarb-  
nik, kaznodzieje, spowiednicy i inni, aż do nowicjuszy. Zgodnie  
z regułą panowało milczenie, tylko jeden z braci czytał coś  
jednostajnym głosem. W powszechnej ciszy słychać było jeno  
żucie i chlipanie.

Posiłek trwał krótko, składał się bowiem jeno z chleba  
i polewki, a zaraz po jego ukończeniu, wynagradzając sobie  
przymusowe milczenie, obecni gwarnie zaczęli się rozchodzić.  
Ostróżka przepchał się do przełożonego i pokłoniwszy się, za-  
pytał o Duszkę.

Pater widocznie pamiętał chorego, poleconego przez pod-  
kanclerzego Zdzisława, gdyż zmarszczył strzępiaste brwi i za-  
gadnął gniewnie:

- Tyżeś ten krewniak jego, co go w chorobie poniechał?

Szpital jeno dla ubogich jest, o których zadbać nie ma komu,  
a i biedoty wszyskiej pomieścić nie może.

- Jenom od niego posłany; na Litwę ruszył z księciem -  
powiedział wymijająco Ostróżka.

- 'Myślałem - burknął prepozyt. - W infirmarii leży.

Braciszek cię zawiedzie, byś tu nie pobłądził.

Ostróżka pokłonił się i odszedł.

Infirmaria znajdowała się w długim budynku przy kościele  
św. Krzyża. Północna część, przeznaczona dla mężczyzn, gra-  
niczyła z cmentarzem, południowa, kobieca, z klasztornym bu-  
dynkiem duchaczek, które pieczę miały nad kobietami i dzie-  
ćmi. Oddzielone były wysokim parkanem, aby zapobiec nie-  
obyczajności.

W obszernej izbie z ołtarzem pośrodku panował zaduch  
i smród, hałas natomiast był mniejszy niż w innych budyn-  
kach. Chorzy leżeli wzdłuż ścian w komórkach zasłoniętych  
kotarami.

W jednej z komórek spoczywał Duszka, ciężko dysząc. Wi-  
~ 222 ~

dno brakło mu tchu. Gdy Ostróżka podniósł zasłonę, zamrugął  
jedynym okiem, ale nie poznał go widać.

- Od Krzycha przychodzę - odezwał się Ostróżka. .

Chory usiadł z trudem.

- Przypomniał sobie o mnie. A ty kto jesteś?

- Nie pomnicie? Byłem u was, gdyście w budzie pod św.

Florianem mieszkali z Terką i Krzychem.

- To przez ciebie nas odbieżał.

W głosie chorego był wyrzut. Ostróżka odparł:

- Cóżście mu ojciec, czy brat? Albo i on pies, by was pil-  
nował? Co wam tu przysłał zjeść i z przyodziewy, to jeno

z chrześcijańskiego miłosierdzia.

Chory westchnął ciężko i łapał przez chwilę oddech.

- Teraz mu niepotrzebnym...

Ręką przecierał łzawiące oko i" mrugając nim patrzył na Ostróżkę.

- Mówiłem, żeś zły człek - dodał.

- Możem i zły, choć bywają gorsi. Ale nie głupi. Przed podkanclerzem i prepozytem wygadujecie na Krzycha, że krewniaka w potrzebie porzucił. Cóżecie mu za krewniak?

- Czasem i nie krewniakowi więcej dłużnym być można, niż ojcu rodzonemu.

- Można. Jeno trzeba wiedzieć, za co? Bo nie za to, że on żywił takiego jak wy niedołągę. Jeno zechcecie mnie obelgać, zmyślniej to uczynić musicie niż z tym krewieństwem. Odkąd to znajdy mają krewniaków?

Gdy Duszka milczał, Ostróżka powtórzył:

- Za co? Jeśli prawda, odpłaci. Będzie miał z czego. Skoro patrzeć, możliwym komesem ostanie.

- Wždy go od małości chowałem - bąknął chory z wahaniem.

Na poranej bliznami twarzy widoczna była udręka, ale Ostróżka nie dał się wzruszyć. Zaśmiał się drwiąco:

- I szczeniaka człek dla siebie chowa, by mu zwierzyńę naganiał. Albo coś skrywacie, albo i to taka prawda, jak że wasz krewniak.

~ 223 ~

Gdy chory milczał, Ostróżka zaczął z innej strony:

- Marnie tu życie. Ni słońca, ni powietrza, żarcie diadowskie. I zimno tu.

Istotnie w powietrzu stęchłym i zepsutym oddech zamieniał się w parę, a stary .trzął się pod wytartą derą. Ostróżka ciągnął:

- Pod kościołem chyba lepiej?

- Lepiej - przytaknął Duszka 2 westchnieniem. - Jeno że jak chłody przychodzą, duchota mnie zbiera. Nie dosiedzę na deszczu i mrozie, ni do posług, jakie dziady przy kościele pełnić winni nie zdałym. Jest-li podkanclerzy na plebanli - Bóg niech mu odpłaci - jeść mi dać każe. Ale często nie masz go, to zdechnąć mógłbym w swej komórce, ani by kto wiedział. Dlatego mnie i tu umieścił... na umarcie.

- Stąd przynajmniej na cmentarz niedaleko - wtrącił Ostróżka.

Chory nic nie odrzekł, jen z jedyne go oka ciekły mu łzy.

Ostróżka poruszył się niecierpliwie.

- Mnie diadowskimi łzami nie zmiękczycie. Nie białka-m. Dlatego i Krzychowi przyjsć .do was nie dał, bo głupi a miętki. Użalał się nad wami, żeście na starość samotny, bez dachu i rodziny, alem mu rzekł: „a twój dach i rodzina gdzie? Trafia ci się-córę możnego komesa pojąc, co się do dziada będziesz przyznawał, któren łże, że twój krewniak. Swoje życie możesz wykrzywić dla takiego strzępa, za to, że cię na parobka dla siebie hodował..."

Ostróżka urwał, bo twarz chorego jakby skrzepła, gdy ozwał się dziwnie mocnym głosem:

- Prawdę rzekłem, żeś pomiot szatański. Niech Bóg da Krzychowi wszystko najlepsze i od ciebie go ustrzeże. Nie wdzięczność mnie jeno bolała, największa, jaką człeku wyrządzić można; do nędzy nawykłem.

Ostróżka ze złością ręką przejechał po czuprynie.

- Gadacie, jakby z książki czytał. Umieliście zmyśleć krewniactwo i znajdę, zmyślcie jaką powiastkę, za co to Krzych takową wdzięczność wam winien?

~ 224 ~

Wzburzony Duszka odparł urywanym głosem:

- Znajdę nie ja zmyśliłem. Swoje-m życie zmamił za jego...

Urwał i zmagął się z oddechem. Ostróżka czekał, spodziewając się, że chory powie coś jeszcze, ale on po dłuższej chwili, bezsilnym już, urywanym głosem dodał:

- Ostaw mnie. Nic ci nie powiem. Zabierz te podarki i idź już. I nie przychodź tu więcej. Chcę umrzeć spokojnie.

Wrzawa, która od pewnego czasu wszczęła się na przeciwnym końcu izby, przeszła w głośną kłótnię. Latały wyzwiska, zdało się, że lada chwila wybuchnie bójka, ale nadbiegł braciszek i uspokajając zaczął rozjuszonych. Na twarzy Duszki zjawił się wyraz niechęci i udreki. Ostróżka jeszcze spróbował dopiąć swego:

- Spokojnie to tu nie jest. Milej byłoby w dworcu przed kominem siedzieć, przy pełnej misie i kubku, albo i na czystym posłaniu w skóry się zagrzebać i słuchać, jak psy szczekają i wiatr śpiewa na dworze.

Duszka twarz rękami zasłonił, ale Ostróżka ciągnął bez miłosierdzia:

- Znalazłby się taki kąć dla was w Krzychowym dworcu, albo i kasztelu, bo ani chybi wkrótce na nim osiądzie, gdy jeno pojmie córę Jaśka Leliwy...

- Czyją córę? - Duszka zerwał się z posłania.- To być nie może!

- Myślicie, że mu wasze gadki przeszkodzą? Sobie jeno szkodzicie, jemu nie zdołacie.

- Nie to! Nie to! Jeno on jej pojąć nie może. Grzech...

Ostróżka nastawił uszu, ale chory urwał i dyszał ciężko.

Gdy się nie odzywał, Ostróżka zakończył:

- Namyślicie się powiedzieć, co wiecie, mnie w karczmie pod Bawołem należeć można lub wiadomość estawić. A nie, to zaproszenia na Krzychowe wesele nie czekajcie. Obędzie się bez dziada.

Wawelskie wzgórze - 15

XXIII

Pora nastąpiła ciepła i nie można było zwlekać z pogrzebem małego księcia. Usnął cicho, jak rybka, w majową noc, gdy zaczynały śpiewać pierwsze słowiki w krzaczach na stokach Wawelu, a świat cały stał w kwiecie i nabrzmiwał życiem. Żalobna wieść obiegła miasto i rozlała się po kraju z dźwię-



kami dzwonów, niosącymi się daleko po rosie porannej. Kopyta koni posłańców, pędzących ku Wiślicy, gdzie zatrzymał się książę Włodzisław w powrocie z wyprawy, zaznaczyły na rosie niepewny ślad, który zniknął, gdy wyszło ją majowe słońce, a jęk dzwonów zaginął w wesołym dzwonieniu skowronków nad gniazdami pełnymi już młodych. Życie biegło, ciesząc się sobą; mały Stefan leżał z otwartymi ustami, jak pisklę, które wypadło z gniazda i wyrazem osłupienia w pół-przymkniętych oczach. Może jeno przybitej własnym bólem i nieszczęściem matce zdało się, że dziwi się chłopczyna, iż zgon jego nie tylko żalował, nie wszyscy bowiem wrogowie Włodzisława trudzili się, by ukryć swą radość. Już przygotowania do pogrzebu otworzyły na to Jadwidze zapłakane oczy. Gdy kapelan i notariusz księżny, Jaśko, zawiadomił biskupa o śmierci małego księcia z, prośbą, by porozumiał się z nią w sprawie ceremonii pogrzebowych, Muskała odparł z drwiną:

- Niech mi jeno katedrę odbudują, wraz się tym zajmę.  
- U braci mniejszych zwłoki spocząć mają - odparł starszek, hamując wzburzenie - a Chrystus umarłych grzebać nakazał.

~ 226 ~

Muskała dźwignął się groźnie, powściągnął się jednak i uśmiech wywołał na twarz:

- I kazał miłować nieprzyjacioły swoje. Nie muszę wam mówić, jako mnie na zaniku miłują.

Zaśmiał się, ale nie zawtórowali mu nawet zauszniccy, kanonicy Ramund i Dyetwin; Jaśko pokiwał głową:

- Cóż za wróg, chłopię kilkuletnie?

- Wrogowie nie rodzą się na koniu i we zbroi.

- Zechciejcie to sami pani oznajmić. Mnie i powtórzyc wstyd - śmiało odparł Jaśko.

Odwrócił się i nie widział przeszywającego spojrzenia, jakie za nim rzucił Muskała. Nie był jednak biskup widocznie rad z siebie, bo mruknął, jakby się usprawiedliwiając:

- Księżna chciałaby zgon tego malca wyzyskać, by mnie niczym załagodzić, jeszcze i w tym despekt mi czyniąc, że miałbym odprawić egzekwie u tych brudnych żebraków, którzy trzymają z Łokietem i obelgi miotają na mnie.

- Zda mi się, że księżna nie tak myślała - zauważył nieśmiało Ramund. - To jeno dlatego, że jej rodzic tam spoczywa.

- A stryj tego malca u •predykantów. Tedy mnie wybór godziło się ostawić.

U księżny czekało zgromadzone duchowieństwo na zarządzenia w sprawie pogrzebu. Był sędziwy Reynbold, archidiacon krakowski i proboszcz od NMPanny, Bolesław, książę Toszku, scholastyk krakowski, prepozyt katedralny Adam, wikariusz Wawrzyniec, kustosz Jarost, magister Franciszek, ponadto świeccy dostojnicy. Gdy kapelan księżny zawiadomił zebranych o odmowie Muskaty, zapanowało kłopotliwe milczenie, a potem zgorszone szepty. Głos zabrał kasztelan Jaśko

Leliwa, który właśnie nadjechał wraz z posłami księcia z Wiślicy:

- Obradujcie, wasze wielbności, jakby biskupa nie było. Może i postanowienie swe zmieni, gdy wieści, któreśmy przywieźli, wysłucha i pomiarkuje, że złą obrał porę, by księciu ujmę wyrządzić.

~ 227 ~

Gdy duchowni wyszli, Jaśko zwrócił się do księżny, która gryzła wargi hamując łkanie.

- Dość macie matczynej boleści. Ostawcie nam troskę o inne sprawy. Książę zniesie i to, bo nie pora na obrachunek z Muskata. Pójdźmy do niego - dodał, zwracając się do posłów książęcych, Zegoty Toporczyka młodszego, chorążego sandomierskiego i Imbrama Sułkowica z Niedźwiedzia. - Tak czy inac, pisma księcia doręczyć mu trzeba.

Wezwani powstali, ale wszedł komornik biskupa oznajmiając, że on właśnie nadchodzi.

Jeżeli jednak ktoś mógł przypuścić, że przybył zawiadomić o zmianie postanowienia, zachowanie Muskały musiało go wyprowadzić z błędu. Księżnie skłonił się obojętnie, pozostałym ledwo głową skinął, a proszony, by usiadł, zaczął:

- Tak się między nami ułożyło, że moje sprawy dzieją się bez was, a wasze beze mnie. Nie czekajcie tedy na mnie, pani, z ostatnią posługą dla waszego syna, bo wyjeżdżam.

Toporczyk wstał i wręczył biskupowi zwitek pergaminu ze słowami:

- Może to na waszym postanowieniu zaważy. Książę Włodzisław z wiadomych powodów nie mógł wcześniej danych wam przyrzeczeń wypełnić. Na wiecu w Wiślicy przywileje Kościoła waszego, przez spoczywających w Bogu panów Bolesława zwanego Pudicus i Czarnego Leszka nadane, zatwierdzone i pismem umocnione zostały. Zlecił też pan nasz donieść wam, jako na Straszu - Dobiesławicu z Końskiego wymógł, by włości wasze ostawił w pokoju, zaś za poczynione szkody grzywien srebra czystego dwieście piędziesiąt zapłacić się zobowiązał i zapłatę zastawem wsi swych Golemny i Hebdze poręczył.

- Miłościwy pan zapomniał jeno - szorstko przerwał biskup - co i obecny tu kasztelan Jaśko przyświadczyć może, że w/ myśl ugody wszystkie, a nie jeno niektóre przywileje zatwierdzone być miały, nie w ociągu tedy i Waclawowe, któren hojnością dla Kościoła innych panów zawstydził. Niechże mnie tedy nikt nie winu j e, że tak ugody dotrzymam, jako mnie dotrzymana została. A za Straszowe łupiestwa, ani chybi

~ 228 ~

z książęcym przyzwoleniem dokonane, nie wy mnie, jeno ja, wam wynagrodzenie wyznaczę i do kościelnych sięgnę cenzur, by strat Kościoła dochodzić. Mylicie się tedy mniemając, że u mnie współczucie najdziecie, gdy słusznie was dotknęła Boża ręka.

Księżna zakryła twarz dłonią, ale chłodny zazwyczaj Jaśko odparł wzburzony:

- Mnie na świadka wołacie?! Wy, co wbrew ugodzie, prze-

ciwników swych nawet po kościołach więzicie, miejsca poświęcone chwale Bożej znieważając, by okup wymusić! Nie z waszym to przyzwoleniem załogi zamków waszych łupią chłopów książęcych? Nie wyście im dyspensy od postów udzielili, by czynić to mogły nawet w wigilie świąt i w dzień Męki Pańskiej? Pokój z wami książę chciał kupić; nie ma go ani chwili... i nie będzie, póki was nie dosięgnie Boża ręka... jeśli jej książęca nie uprzedzi...

Biskup wstał. Na twarzy miał drwiący uśmiech.

- Zawdy to mówiłem, że z wami dogadać się najłatwiej.

Wiadomo na czym stoimy: wy sobie szukajcie innego biskupa, a ja sobie innego księcia poszukam'.

Dumnie spojrzął na obecnych i wyszedł.

- Znowu knować zacznie z postrannymi - powiedziała Jadwiga zgnębionym głosem.

Jaśko poczuł wyrzut w słowach księżny i odparł:

- Juści lepiej byłoby spokój z nim utrzymać, gdy pan nasz Święców knowania poskromić musi, którzy u Brandenburchyków siedzą, by z ich łaski dobra swe odzyskać, po Wacławowej śmierci utracone. Ale spokoju z Muskata i tak by nie było, a jednego on nie wie, że Rudolf ciężko zachorzał i życia mu nie rokuje. Tedy czekać będzie musiał, by pomiarować, z kim knować, aż się w Czechach sprawy wyjaśnią.

' historyczne

229

Uroczystości pogrzebowe przeciągnęły się niemal do wieczora i księżna po powrocie z kościoła franciszkanów, znużona i wyczerpana, usiadła z nawyku przy pustyni już łożu zmarłego synka, przy którym wiele nocy spędziła w ostatnich miesiącach. W powietrzu wisiała jeszcze woń leków i świec. Księżna tuliła zapłakaną córeczkę. Dziewczynka była rozdasana i niespokojna.

- Nie płacz, Kingo. Bóg się gniewa na tych, co woli Jego przyjąć nie potrafią w pokorze.

Ale Kinga na nowo wybuchnęła płaczem. Księżna głaskała ją po włosach, aż dziewczynka uspakając się zaczęła. Gdy zamilkła, Jadwiga rzekła:

- Jemu już jest dobrze. Módl się jeno, by Bóg dał ci drugiego braciszka.

. - Nie chcę - odparła dziewczynka.

- Czemuż to? - zapytała księżna.

- Bo ojciec nas nie miłuje. Nigdy z nami nie siedzi, jako inni. Stefanka nawet pożegnać nie przyjechał. On taki biedny. Pewnie mu tam w kościele samemu straszno.

Na nowo zaczęła szlochać, a księżna zagryzła wargi. Sama w sobie żal do męża uspokajać musiała przypomnieniem, że to ona nie pozwoliła mu ugiąć się pod ciosem. Przełknęła łzy i odparła:

- Co ty wiesz, dziecko. Nie przyjechał, bo nie Iza mu spraw porzucić, które czekać nie mogą, aż żal, spłynie z serca. Pomódl się i spać idź. Niewinnych modłów Bóg najłatwiej wysłucha.

- Nie wysłucha - odparła pośpiesznie Kinga. - Modliłam się o zdrowie dla Stefanka i pomarł...

Znowu łzy ronić zaczęła. Jadwiga westchnęła ciężko i zawołała niańkę, by zabrała małą księżniczkę. Usiadła skulona i twarz ukryła w dłoniach. Gdy jednak postyszała kroki Hanny, wyprostowała się i zapytała usiłując głos uczynić spokojnym:

- Chciałaś czego, Hanno?

- Rodzic wyjeżdża. Pyta, czy może was pożegnać.

~ 230 ~

- Proś, Hanno. I tobie zbierać się z nim.

- Czemuż to, pani? Uraziłam was?

- Nie, dziecko. Rada cię zawsze obaczę i nigdy nie zapomnę serca, jakie mi okazałaś w tej ciężkiej próbie. Ale to, co zostało, sama już przenieść muszę. Prędsiej się wygoi. A ty o weselu myśl, nie o żałobie. Bóg ci da, że nigdy płakać nie będziesz musiała po dziecku.

Księżnie głos się załamał. Odwróciła twarz i powiedziała przez ściśnięte wargi:

- Idź już po rodzica, a potem spocząć przed podróżą. Naczuwałaś się zadość. Czy mówiłaś już z ojcem o Krzychu?

- Nie, pani. Kiedyż było? I rodzic trosk niemało dźwiga na sobie, a lękam się w złą porę utrafić.

- Pomówię ja z nim. Niech ci choć w tym odpłacę.

I przyjdź jeszcze przed wyjazdem. Chciałabym ci pamiątkę jakową dać.

Hanna przypadła do ręki księżny, która przytuliła ją i ucałowała.

- Zegnam was, pani - rzekła Hanna. - Ojciec świtaniem chcę ruszyć i nie będę wam już -przerywała wypoczynku.

- Tedy wręcę upominek rodzicowi. No, idź już, Hanno.

Jadwiga przeszła do swej komnaty i ze skrzyni wydobyła szkatułkę z klejnotami. Niewiele ich zostało. Lata całe żyła wyprzedając je, gdy małżonek tułał się po świecie. A kiedy powrócił, każdy pieniądz szedł na ważniejsze sprawy niż ozdoby i szaty. Nie było już w czym wybierać.

Księżna wyjęła pierścień z pięknym kamieniem, jeszcze z ojcowego spadku. Ocalał, bo sprzedać go nie chciała. Pod światło świec zapłonął krwawym blaskiem. Siedziała wpatrzona, wspominając własne dzieciństwo, gdy wszedł Jaśko.

- Rada bym was zatrzymać - zaczęła. - Małżonka mego nie prędko się spodziewać. Gdy i was nie ma, jako w obcym kraju się czuję.

- Jadę, bo muszę, wrócę jak będę mógł najprędzej. Ale spokojni bądźcie. Lud i rycerstwo tu pewne, a że Muskała wyjechał, to może-i lepiej. Bez niego Niemce nie wazą się nic po-

~ 231 ~

czynić. Na Pomorzu gorzej: od jednej ściany brandenburscy margrafowie, od drugiej Krzyżacy, a pośrodku zdradzieccy Święcowie.

- Tu Muskata, tam Święcowie - westchnęła księżna. -

Ale przecie rycerze Najświętszej Panny z pogany jeno walczą.

Jaśko zaśmiał się krótko:

- Tak głoszą. Ale całe to mnisie państwo na szalbierstwie zbudowane. Nie przedawali już poświęcanego miecza Wacławowi? Dotrzymani mu układu, bo potężny był. Tedy wolałbym, by nasze grody od krzyżackiej granicy silniej były obsadzone. A tam wszędy po kilkunastu jeno rycerstwa.

Księżna zaniepokoiła się wyraźnie.

- A małżonek mój zda się im wierzyć - wtrąciła niepewnie.

- Cóż ma czynić? Gdym mu rzekł to co wam, odpowiedział: "Wspólny nam wróg Litwa i Brandenburczycy, a nas się nie boją". Na słabość liczy, kiedy siły nie ma. Ale nie myślcie o tym, pani. Swoich trosk macie zadość.

- Troski już nie mam, jeno ból pozostał. Za córę waszą wam dziękuję, która mi go znośić pomogła. Niech jedzie do domu wypocząć, z druźnami śpiewać i wianki wić, póki wiosna, radości i wesela z swoimi zażyć. Bardzo mi do serca przypadła, chciałabym ją widzieć szczęśliwą.

Wzięła ze stołu pierścień i wręczyła go Jaśkowi mówiąc:

- To pamiątka ode mnie. Niech go da swemu miłemu.

Jaśko westchnął:

- Nie układa jej się przyszłość.

- Da Bóg, ułoży się, z waszym przyzwoleniem. Może-m i winna, że-m się bez was w te sprawy wmieszała, ale jakoś samo z siebie przyszło.

Opowiedziała pokrótce, co się przygodziło, a kasztelan słuchał zadumany. Gdy jednak doszła do tego, że to Krzych i synowi jego życie zratował, poderwał się.

- Trudno uwierzyć, ale prawdę rzec i mnie to na myśl przychodziło. Nie po sercu mi córę wydawać za człeka niewia-

~ 232 ~  
domego pochodzenia, ale aże dziwne, jak los mi w drodze stawia tego młodzianka. Prosiłem ja jednego przechebę, któren się z'Krzychem trzyma, by się o niego wywiedziać. Ważna rzecz gniazdo. Udał mi się zresztą i sam bym rad, gdyby z tego co wyszło. Ale tym bardziej choć jego samego poznać by trzeba.

- Zda mi się, że małżonek mój po to go zabrał z sobą.

- Niejedno w człeku na wojnie wypatrzy, aleć nie wszystko. Z tego, co już o nim wiadomo, mężny on jest. Wolałbym go jednak w spokoju mieć pod własnym okiem.

- Tedy jeno wróci, pošlę go do was pod jakimym pozorem i zatrzymajcie go, ile wam się zda. Jeśli ludzi znam, niezły to człek, jeno może trudniej mu będzie do naszego życia nawyknać.

- Oboje z Hanną wdzięczni wam będziem.

. - Rada bym jej nieba przychylić. A was kiedy w Krakowie spodziewać się można?

- Stróżować mam od wschodniej ściany, tedy nie prędko.

Prędeż chyba pan nasz wróci, bo tu najważniejsze sprawy.

- Dałby Bóg - odparła księżna. - Muskała do Wrocławia wyjechać, ani chybi znowu coś knować. I znowu bezrząd na tutejszej stolicy."

- Słałem już z wieścią do arcybiskupa do Gniezna. Niech,

co trzeba zarządzi. •

XXIV

lirzych wrócił z Litwy wcześniej, niż się można było spodziewać, bo ugodzony strzałą w udo, wraz z innymi rannymi został odesłany. Wojna udała mu się i on się wojnie udał, a książę obdarzył go rynsztunkiem, pochwałą i obietnicą nadania ziemi. Niemniej młodzian rad byłby z powrotu, gdyby nie to, że od strzały odprysnął kawałek kości i rana się jadziła, tak że leżeć musiał.

Zajechał do rybaka i tam już pozostał pod opieką Terki i Kundzi. Stara powitała go zgryźliwie:

- Gdy kości masz całe, ani nas znasz. Jeno gdy robić trzeba koło ciebie, tośmy dobrzy.

Krzych zawstydził się i zmieszał, ale Kundzia powiedziała żywo:

- A do kogóż ma iść? Przecieśmy swoi. Choćby i rok tu leżał, już ja sama...

Urwała, rumieniąc się z kolei. Rybak jeno westchnął.

Westchnął i Krzych, bo po prawdzie tylko czekał, by się wyrwać i nie Kundzia mu była w myśli. Próbował też zrazu odmawiać przyjmowania przysług od niej, ale tak wyraźnie bolała nad tym, że poniechał. Jakoś się wywdzięczy. Tymczasem myśli jego leciały do Hanny, a nawet pomówić o niej nie było z kim. Czuł, że Kundzi sprawiłoby to przykrość, a pewny był sprzeciwu Terki, bo nie tała swej wrogości do Leliwów. Także z Ostróżką koty darła, a Krzych pilnie pragnął się z nim zobaczyć nim zetknie się z kasztelanem, bo miał nadzieję, że Ostróżką, jak przyrzekł, zdołał się coś wywiedzieć o jego pochodzeniu. Choć gryzło go sumienie, musiał się uciec do po-  
~ 234 ~

mocy Kundzi, która w tajemnicy przed Terką poszła do karczmy pod Bawołem zapytać, ale jeno tyle przyniosła, że ni Ostróżki ni Braciszka dawno tam nie widziano.

Krzych pomału już wstawał i zaczynał chodzić o kiju. Wahał się, czy by do księżny nie pójść na zamek, ale nim przemógł nieśmiałość, sama przysłała po niego.

-- Niech cię jeno księżna nie wyswata, bo nic z tego bez mego przyzwolenia - odezwała się Terka drwiąco.

Krzych zarumienił się tak, że choćby nie wiedziała, łatwo się mogła domyślić. Gdy młodzian przybrał się odświętnie i wyszedł, do dziewczyny, która siedziała w kącie zasępiona, jak zmokły ptak, Terka powiedziała:

- Udał ci się Krzych? Smarkałaś jeszcze, a i jemu nie pora. Tam gdzie mierzy, chybi. Miej jeno cierpliwość, bo czas masz.

Dziewczyna miast odpowiedzi ucałowała szponiastą dłoń Terki i rozplakała się.

' Terka nie musiała się domyślać. Na kilka dni przed przyjazdem Krzycha przywłókł się o kiju do chaty rybaka półślepy i dychawiczny Duszka. Kundzia chciała mu dać wsparcie, ale on powiedział:

- Z Terką jeno chcę mówić i niczego mi więcej nie trzeba.-

Zamknęli się razem w komorze. Gdy wyszli, Terka śmiała się złośliwie, a Duszka rzekł:

- Lżej mi umierać będzie, a jemu lżej żyć. Przeboleje, ale potem droga przed nim prosta. Niechże ją sam wybiera, by nas kiedyś nie przeklinał... Życie-m na niczym zmamił, umrzeć chcę spokojnie.

- Juści! Umrzyj że se spokojnie - odparła Terka z nieodgadniwym wyrazem twarzy.

Kundzia wiedziała, że o Krzychu mowa, ale domyśleć się nie mogła niczego. Tym usilniej jednak nad tym rozmyślała.

Krzycha natomiast nie ostrzegło żadne nawet przeczucie, że waży się jego los, bo myśli miał zaprzątnięte całkowicie nadzieją zobaczenia Hanny, gdy z jednym jeno pacholikiem i li-  
~ 235 ~

stem księżny do Jaśka opuszczał Kraków. Nie mógł podróżować tak szybko, jak ponosiła go chęć, bo odwykł od konia i noga nie służyła mu jeszcze. Radość zaś oczekiwanego spotkania mącił mu niepokój, jak przyjmie go Jaśko. Ostróżki jeszcze nie spotkał, a nie był pewien, czy mimo poparcia księżny i przychylności Hanny Jaśko mu taką da odwdziękę, o jaką prosić zamyślał. Kasztelan był jednym z pierwszych panów w Królestwie, a on nikomu nieznanym przybłądą. Na myśl, że Jaśko może odmówić, wstawała w nim zawziętość: żadnej innej nagrody nie przyjmie!

Wlekła się tedy podróż, ale niezbyt dłużyła, bo pogoda była bez chmurki. W ciepłym powietrzu brzęczały roje owadów, nad głową dzwoniły skowronki, a szarawy nalot zieleni nasilał się w oczach. Krzych lubił samotność, której dawno był pozbawiony, a pacholik Unik, który patrzył w niego jak w tęczę, nigdy się sam nie odważył przerwać milczenia. Jednostajny tupot kopyt idących stępa koni dobrze wtórował pogodniejszym myślom i Krzych dawno już nie oddychał tak pełną wiosennych uroków piersią.

Niemniej uradował się, gdy pod zachód trzeciego dnia ze szczytu wzgórza ujrzał zielonkawę już, choć jeszcze nabrzmiałe od tających śniegów wody Dunajca. Rzeka leżała zda się spokojnie, głęboko w dole, jak błękitnawa wstęga na zielonym, mieniącym się barwami kobiercu. Niczym nie przypominała groźnego odmetu, jakim była, gdy Krzych poznał ją po raz pierwszy. Dopiero gdy zjechali w dolinę i skręcili na biegnącą wzdłuż Dunajca drogę, wzrastający szum, jakby gwar odległych tłumów, zdradzał siłę ruchu wodnego żywiołu. Towarzyszył im to słabnąc, to wzmagając się, w miarę jak droga i rzeka zbiegały się i rozbiegały, aż za jednym z zakrętów uwagę jadących odwróciły zarysy widocznego z dala na kopulastym wzgórzu zameczku, którego kamienna wieża świeciła w promieniach zachodzącego słońca. Krzych postyszał przyspieszone bicie własnego serca. W pogodny przedwieczerz zamek czynił wrażenie spokoju, ale zarazem zadufania w sobie, które zdało się odgradzać Krzycha od Hanny.

"

Mimo że spieszno mu do niej było, postanowił zanoć w karczmie, położonej na skraju nadrzecznej osady, by oporządzić się z drogi i nazajutrz z rana zbrojne, jak przystało rycerzowi, zjawić się na zamku. Gdy zajechał jednak do gospody, karczmarz, który wybiegł na powitanie, powiedział:

- Zjeść i przespać się możecie, ale dla koni w stajni miejsca nie ma. Nic to, paszę rzucimy na drabinę, a dery do okrycia na noc się najdą. Nie ukradnie ich tu nikt, możecie spać spokojnie.

- Wždy stajnia obszerna-powiedział Krzych, który przywykł dbać o konie tym bardziej, że po raz pierwszy mając własnego, byłby bez mała z nim sypiał, zaś noce jeszcze "bywały chłodne.

- Juści, obszerna, jeno zajęta. Goście jakowiś na zamku są, a orszak ich tu stanął. Pewnikiem na pana czekać będą.

- To kasztelana nie masz?

- Nie często on tu siedzi, ale pono spodziewany ino pa-trzeć. Do Krakowa, mówią, pojechał i wracając ma wstąpić.

- Tośmy się zminęli, bo ja z Krakowa do niego jadę - powiedział Krzych, ale w głosie jego miast zawodu czuć było ulgę. By się pozbyć wątpliwości, zapytał:

- A panięta w domu są?

- Gdzieby były? Aleście się nie zminęli, bo kasztelan od Przemyśla jechał. Jeśli nie w gości, jeno z wieściami, to i wracać możecie, bo go ani chybi po drodze napotkacie.

- Od księżny list wiozę do kasztelana, ale mam i 'swoje sprawy - odparł Krzych rumieniąc się. - Poczekam. A oni że goście, co za jedni? - zapytał, by odwrócić rozmowę.

- Dostojni jakowiś. Swaty chyba. Ale owo idą.

Przez bramę wchodziło na obejście trzech mężów. Dwaj starsi przybrani w długie kubraki z cienkiego sukna, po bokach od bioder rozpięte i obszyte futrem, w takichże czapkach, z łańcuchami na piersiach, nie zbrojni, jeno z nożami za pasem.

Między nimi szedł młody rycerz, przybrany jak do boju w łuskową zbroję, z mieczem na łańcuchu przez pierś, jeno pątlikiem na głowie miast hełmu, który giermek niósł za nim. MÓ-  
~ 237 ~.

wił coś podniesionym głosem z wyraźnym rozdrażnieniem, a oni milczaco przytakiwali.

Mimo że wzgórza rzucały już na obejście cień, który pogłębiał się z każdą chwilą, Krzych, jeno okiem rzucił, poznał w młodym rycerzu Jędrzeja Cedrowica. Wspomnienie doznanej krzywdy i obecność wroga w tym miejscu falę krwi rzuciły mu do głowy. Gospodarz ze zdumieniem patrzył na zmienioną twarz Krzycha. Gdy młodzian sięgnął do broni, karczmarz mający doświadczenie niejednej bójki, uchwycił go za rękę mówiąc:

- Miarkujcie się! Toć goście kasztelana. A jest ich tylu, żeby was na mieczach roznieśli.

Krzych przybladł i puścił miecz, ale zajście nie uszło uwagi nadchodzących. Jędrzej przyjrzał się bacznie Krzychowi i nagle twarz skurczyła mu się wściekłością. Wskazując pogardliwie palcem na Krzycha powiedział podniesionym głosem:



- Teraz wiem, komu niełaskę kasztelanki zawdzięczać. Temu przybędzie, co się pod nieobecność rodzica w rycerskim przybraniu koło niej kręci. Kasztelan może i nie wie, jaką cenę za rzekomą przysługę zapłaci, za którą dwóch sk ojców dla takiej gołoty dość by było.

Krzychowi pociemniało w oczach. Zapomniał o wszystkim, i rzucił się na Jędrzeja, ale karczmarz z tyłu za kubrak go ułapił, a stary, prawie siwy mąż stanął między nim a wrogiem i rzekł z oschłą powagą:

- Stać, bo w pęta wziąć każę. Nie tak sprawy między rycerskimi ludźmi łądzić się zwykły.

- Między rycerskimi ludźmi! - krzyknął Jędrzej. - Parabek to, co jeszcze jednej pary ciżem nie znosił, bo bosy zwykły chadzać. Skąd mu do rycerskiego przybrania, nie wiem, ale to pewna, że nie rycerz, jeno chłop. Swoim ludziom związać go każę i pasy darł będę, najwyżej pogłównie panu jego zapłaćciwszy.

- Milczeć! - powiedział starszy mąż i zwracając się do Krzycha zapytał:

~ 238 ~

- Słyszycie, że wam rycerski stan nagania? Jeśli nie praw, za zniewagę zadość będzie musiał uczynić. Kto jesteście? Jaki wasz ród i zawołanie?

Krzychowi zdało się, że krew mu tryśnie z policzków. Potem pobladł jak trawa pod kamieniem, ale zacinając się odpowiedział:

- Któm jest, od księżny Jadwigi dowiedzieć się można, od której do kasztelana posłuję.

Wyjął z zanadru pergamin z pieczęcią i okazał, mówiąc:

- A obelgi nie daruję, choćbym robakiem był, a Jędrzej synem książęcym... jakom już raz nie darował, choć mnie jego pachołkowie za ręce trzymali.

Teraz Jędrzej chciał rzucić się na Krzycha, ale stary rycerz odsunął go ręką, mówiąc:

- Może macie przyczyny, by nie wyjawiać swego imienia. Ale zrozumiecie, że Jędrzej wam nie stanie, bo z bezimiennym jeno w bitwie potykać się przystoi.

Cedrowic zgrzytał zębami, jakby kamienie gryzł, ale Krzych opanował się już. Spojrzał na niego pogardliwie, skłonił się obojętnie, odwrócił się i postąpił do koni. Jędrzej wraz pomiar-kował, że Krzych utyka na nogę, trafia mu się więc sposobność łatwej pomsty nad silniejszym wrogiem, którego nie można brać zbyt lekko, skoro jest w służbie książęcej. Dlatego rzucił za nim głośno:

- Choćby i nie był ściercialką, ale rycerskiego rodu, mało takich, co by z Swiebodzicem-Gryfitą w szrankach byli godni się potykać. Ale gdzieś na uboczu naukę z rycerskiej ręki wziąć może. Nie pochwałę się ja nikomu, a tuszę, że i on już się nie pochwali.

- Jeno czy kasztelan gniewny nie będzie, żeście się na jego ziemi bez jego zgody rozprawiali - zauważył drugi mąż, który dotychczas milcząco przysłuchiwał się zajściu.

- Kasztelan niech rad będzie, jeśli mnie ułagodzi za wy-  
rządzoną mi ujmę. A nie stanie mi ten młokos, to go osmagać  
każę.

Krzych odwrócił się mówiąc przez zaciśnięte zęby:

~ 239 ~

- Stanę ja wam, gdzie was jeno spotkam, choćby zaraz.

- Do rana możesz poczekać, bo dziś późno już. Jeno nie  
próbuj umykać, bo pilnować każę.

Krzych odwrócił się i bez słowa odszedł do karczmy. Pozo-  
stali rozmawiali jeszcze:

- Nie po obyczaju to i nieprzystojnie - powiedział stary  
rycerz.

- Ja o niczym wiedzieć nie chcę. I księciu narazić się mo-  
żecie, posłańca księżny ubiwszy.

- Włodzisław dość ma wrogów na Pomorzu, co za uwię-  
zionymi Świecami stoją - odparł Jędrzej zuchwale. - Tedy  
i o mnie bardziej stać musi, niż o jakowegoś przybłędę.

- A ja będę patrzył - rzucił trzeci rycerz - od wypadku,  
gdyby świadczyć przyszło, że nie zabójstwo było, jeno dobro-  
wolne spotkanie.

- Jako chcesz - odparł starszy. - Jeno .by wyjazd nie  
uległ zwłoce.

- Nie będę się długo zabawiał, bądźcie pewni - odparł  
Jędrzej chępliwie.

- Nie bądźcie wy tacy pewni - odparł starszy rycerz nie-  
chętnie. - Chłop jest na schwał, tyle że nogą powłóczy.

- Sam chciał - rzucił Jędrzej, nierad, że i inni zauważyli  
słabą stronę Krzycha.

Ostatnim, który o tym pomyślał, był sam Krzych. Ułożył  
się w komórce od stajen, ale długo w noc miały nim sprzeczne  
uczucia: radość, że Cedrowic złego doznał w zamku przyjęcia,  
gniew, który falami czerwonej mgły mroczył mu oczy, i upo-  
korzenie, że zapytany zawołania swego i rodu nie mógł podać.  
Upokorzenie wyparło wreszcie wszystkie inne; musi dowiedzieć  
się kim jest, bo inaczej nie żyć mu wśród ludzi. Zgasła ze szczę-  
tem radość spodziewanego spotkania z Hanną, jak ten kaganek,  
który pryskając zamrugał kilka razy jaśniejszym światłem  
i pozostawił go w ciemności, wypełnionej śwędem oleju. Krzych  
uspokoił się i wrócił myślą do najbliższej przyszłości. Wzra-  
stała w nim zawziętość, ale zarazem czuł, że nie starczy samej  
zapalczywości. Wiedział, że jeszcze do walki zdolny nie jest.

240

Postanawiał, że nie pozwoli się ponieść, bo jeno by ułatwił wro-  
gowi wykorzystanie przypadkowej przewagi. O walce myślał  
już chłodno i wreszcie zasnął.

Zbudził się jednak, gdy pierwszy ruch zaczął się w karcz-  
mie i zawołał Unika, by pomógł mu się przybrać. Na skórzany  
kubrak wciągnął kolczugę sięgającą do pól uda, na nią włożył  
luźną szatę bez rękawów, przepasał się rzemiennym pasem, na  
którym zwisał krótki miecz i włożywszy na głowę misiurkę  
z siatką drucianą, okrywającą kark i policzki, powiedział do  
pachołka:

- Pójdziem!

- Na zamek?

- Jak Bóg da. Ninie nad rzekę.

Przeżegnał się i wyszedł, potknąwszy się w progu. Splunął i zacisnął zęby. Powtórzył sobie ślubowanie, że ni przez chwilę nie zapomni, iż przeciwnik ma nad nim przewagę zdrowych nóg.

Ranek wstał świetlisty, niebo bez chmurki zapowiadało ciepły dzień, ale zbocza wzgórz, na których jeszcze nie oparło się słońce, pokryte były białawym nalotem szronu, który zmieniał się w obfitą rosę pod dotknięciem ciepłych promieni, migotających wszystkimi barwami w miliardach kropel.

Ale Krzych nie patrzył na dziw wiosennego poranku. Zajrzał do koni, które z chrzęstem żuły słodkie siano z przybitej na ścianie drabiny i poklepał jabłkowitego ogiera, który odpowiedział rzeniem, uśmiechnął się dziwnie i wręczając pacholikowi pergamin powiedział:

- Gdyby mnie ubili, doręczysz to na zamku. Z końmi wrócisz do Krakowa, powiesz księżnie, co zaszło, a co ostatek, oddasz Ostróźnie, o którego się dopytasz w karczmie pod Bawołem. Niech przędą i podzieli się z Duszka.

Chłopak patrzył przerażonymi oczyma i zapytał:

- To bić się będziecie?

A gdy Krzych jeno głową skinął, powiedział z prośbą:

- Pozwólcie iść z sobą.

WawelBfcIe wzgórze 16

241

- Koni pilnuj. Nie pojone - fuknął Krzych, ale widząc, że chłopcu na płacz się zbiera, dodał łagodnie:

- O mnie się nie trap. Zaś potem do studni się nie dopchasz, ni do wiader, a woda postać musi w słońcu, bo zimna. Jakoż na dziedzińcu zaczynał się ruch, a wśród kręcących się ludzi Krzych dostrzegł świecąca zbroję Jędrzeja, który obejrzał się i widząc, że Krzych patrzy na niego, ruszył ku rzece wraz z towarzyszem.

Krzych poszedł za nim. Teraz nie czuł żadnej trwogi ni niepokoju. Oddychał pełną piersią wiosennym, ostrym powietrzem, które go podniecało jak wino. Czuł w sobie taką pełnię życia, że nie mieściło mu się w głowie, by nie miał już ujrzeć Hanny, ni dosiąść konia. Nocna rozterka przeszła, jeno pozostała zjadła chęć, by dobrać się wrogowi do gardła. Niósł w sobie jakby jakąś pewność, że jeśli tego dokona, wszystkie inne węzły rozwikłają się same. Jeno gdy rzucił okiem na świecący w słońcu zamek, myśl jego pobiegła tam, ale wnet ją powściągnął.

Myślał już tylko o walce.

Dołączył się bez słowa do idących, którzy obejrżeli się jeno i szli dalej ścieżką wśród wikliny jeden za drugim. Krzych patrzył na kroczącego przed nim Jędrzeja i oceniał przeciwnika, by niczego nie zaniedbać.

Cedrowic miał na głowie hełm obcego kształtu z przyłbicą na jednym zawiasie, z Gryfem na szczycie, pancerz do kolan z dużych łusek, nogi w blachach. Na pasie z klamer zwiisał po-

nad cztery stopy długi miecz. W ręku niósł małą i lekką tarczę z kilku warstw skór, okutą blachą i nabijaną mosiężnymi guzami. również z wymalowanym pośrodku znakiem rodowym, białym Gryfem ze złotym dziobem i pazurami, na czerwonym polu. Krzych pomyślał, że ciężej zbrojnemu przeciwnikowi ciężej też będzie się ruszać, jemu natomiast trudniej swym krótkim mieczem dobrać się wrogowi przez kute blachy do skóry. Także jego ciężka i wielka pawęż, jaka wyszła już z użycia, nie nadawała się do pieszej walki w pojedynkę.

Rycerze wyszli na małą łąsinę w wiklinowych zaroślach, pokrytą białym i drobnym piaskiem, naniesionym przez wodę  
~ 242 ~

na warstwę żwiru. Tu i ówdzie puszczała się, nieśmiało jeszcze, kępka trawy. Starszy rycerz zatrzymał się i rzekł:

- W sam raz szranki do takiej walki. Boga przeprosiwszy, zaczynajcie.

Krzych poznał od razu, że i Jędrzej przemyśleć musiał, jak najlepiej wyzyskać swą przewagę. Natychmiast stanął tak, że słońce miał w plecy, a Krzych w oczy. Z trzaskiem zapuścił na twarz przyłbicę, spod której widać było jeno zaciśnięte szczęki. Odpiął miecz i odrzucił pochwę, by mu nie przeszkadzała w ruchach. Krzych również dobył miecza i stali mierząc się oczyma. Starszy rycerz powtórzył:

- Zaczynajcie!

Gdy Krzych ruszył z miejsca, by słońce dostać z boku, Jędrzej jednym skokiem znalazł się przed nim. Zdało się, że wpadnie na niego, ale jeno mignął miecz i Krzych przyjął cios na tarczę; sam ciał w próżnię, bo Jędrzej uskoczył o krok, usiłując widocznie wyciągnąć przeciwnika na środek łąsinki.

Krzych jednak nie dał się zbić z tropu, znowu postąpił w bok i znowu jego tarcza zadźwięczała od ciosu. Jędrzej był szczwanym graczem, ciosy zadawał korzystając za każdym razem, gdy przeciwnik ciężar ciała przerzucał na bolącą nogę. Krzych walcząc uczył się, ale sam nie mógł wykorzystać doznawanego doświadczenia, bo noga mu nie dopisywała. Prócz tego Jędrzej miał przewagę dłuższego miecza i Krzych poznał, że nie dosięgnie przeciwnika, jeśli nie zbliży się doń, czego widocznie chciał Jędrzej. Mimo iż dobrze zdawał sobie z tego sprawę, Krzych raz i drugi postąpił za ciosem i ani się spostrzegł, jak znalazł się na środku łąsinki. Miecz jego dwukrotnie dosięgnął Jędrzeja, ale odłupał tylko wiór z tarczy i strącił blachę z naramiennika, natomiast Jędrzej, jeno znaleźli się na środku, nie pozwolił cofnąć się Krzychowi, zmuszając go do obracania się w koło i obarczania chorej nogi ciężarem całego ciała.

Krzycha ogarniało zimne zapamiętanie. Czuł, że gdyby mógł ruszyć swobodnie, rozniósłby słabszego przeciwnika, mimo że tamten przewyższał go umiejętnością i doświadczeniem. Krzych  
~ 243 ~

skupił się, przestał zadawać ciosy, czając się do jednego, ale ostatecznego.

Walka się przeciągała. Słońce wzbiwszy się w górę zaczęło

dogrzewać mocno. Krzychowi pod kaftanem i kolczugą ciało lepiło się od potu. Jędrzej, w cięższej zbroi i ruchliwszy, tym bardziej musi być zgrzany ani chybi. Jakoż i on rzadziej zaczął zadawać ciosy, a spod przyłbicy na ściśnięte szczęki spływał mu pot, że lśniły w świetle, jak złane wodą.

Krzych opanował się zupełnie. Niezmiernie trzeźwo myślał, widział i słyszał wszystko. Krze dokoła trzęsły się od śpiewu ptactwa, które z całą obojętnością przyrody dla człowieka, pochłonięte było swymi zalotami, nie spłoszone nawet dźwiękiem żelaza. Na pokręconej, starej wierzbie, tuż na skraju łysinki uwijały się popiskując sikorki, o parę kroków dalej ukryta w krzu zięba wywodziła swe trele. I starszemu rycerzowi, który przyglądał się walce, widno uczyniło się gorąco, bo zdjął kubrak. Po chwili rozłożył go na ziemi i usiadł. Pewnikiem zdrętwiała mu nogi od stania.

Krzych czuł jednak, że i on dłużej nie ustoi. Cierpła mu i rwała chora noga. Czas skończyć! Gdy Jędrzej przystanął dysząc, Krzych nagle skoczył, wymierzając cios całą siłą ramienia, zdolny rozłupać hełm wraz z głową. Miał w głowę trafić w próżnię, nie utrzymał zamachu i runął na kolano, a w tej chwili poczuł uderzenie w bark u nasady szyi, od którego zdrętwiała mu prawa ręka i zwisała bezwładnie, puszczać miecz, sam zaś upadł twarzą w piasek i jakby z oddali usłyszał jeszcze głos:

- Stać!

To stary rycerz zerwał się i groźnym ruchem powściągnął Cedrowica, który już zamachnął się, by leżącemu ściąć głowę. Ale Krzych o tym nie wiedział, bo świat zadzwonił, zakręcił się i zgasł.

Gdy Krzych się zbudził, miał jaskrawego światła wiosennego słońca dokoła był jakby kościelny półmrok, rozjaśniony jeno żółtym płomieniem świec. Otworzył półprzytomne oczy:

~ 244 ~

nad sobą ujrzał nachyloną twarz, widywaną w sennych marzeniach i posłyszał słowa:

- Poznajesz mnie, mój...

Głos rozpląnął się w dzwonieniu i szumie, a twarz zniknęła "w zwidach. Walczył ze związanymi rękoma; z mrocznych głębi wyłaniali się nieznani wrogowie i nie mógł odwrócić głowy na zeszywniałym karku. Chciał uciec, ale zdrętwiałe nogi załamywały się pod nim. Od czasu do czasu zjawiała się znów upragniona twarz i z westchnieniem ulgi uspokajał się na chwilę, by znów dręczyć się w poczuciu bezsily i bezradności wobec czających się zewsząd niebezpieczeństw i pełnącej z ciemnych zakamarów grozy.

xxv

Spytek oczekiwał brata w jego nowym dworcu za Mikołajską bramą, u stóp wzgórzka, na którym wznosił się kościółek pod tymże wezwaniem. Wieści, z którymi przybył z Pomorza, były złe. Święcowie oburzeni, że Łokietek odebrał im rządy, zawarli układ z Askańczykami, przyjmując od nich w lenno

Dzierzłów, Polno, Tuchole i Nowe, które Askańczycy zagarnęli po śmierci Waclawa. Łokietek zaraz wyruszył przeciw Święcom, zabierając po drodze kujawskie rycerstwo i nim Brandenburczycy zdążyli udzielić zdrajcom pomocy, pojmał wojewodę gdańskiego Piotra i uwięził w Brześciu. Ale na Pomorzu wrzało, bo Święcowie byli możni, rozrodzeni i wpływowi, i rozdwojenie powstało między rycerstwem, a niemieccy mieszczaństwo nie byli niepewni i podejrzani o sprzyjanie Brandenburczykom. Spytkę księżę wysłał, by naradził się z bratem, czyby sił, jakowych ze wschodu ściągnąć by nie można.

Ale wiadomości, jakie przywiózł Jaśko, też nie były pocieszające. Z trudem można było sprostać szczupłymi siłami stałym niepokojom na granicy i jeśli się nie miały one przerodzić w otwartą wojnę, należało je ukrócić zaraz. Położenie było jasne i bracia niedługo nad -nim rozprawiali. Spytek miał nie mieszkać wracać z tym, że księżę sam rozstrzygnąć musi, jakowych ze wschodu ściągnąć się nie dało.

Zadumali się obaj i siedzieli w milczeniu, które przerwał Spytek:

- A co u ciebie i z twoimi? Poniechała Hanna swej myśli o klasztorze?

~ 246 ~

- Poniechała, czemu byłbym I rad, gdyby nie to, że jako wyszło, ona tego miedziaka w sercu nosi, który mnie od niedźwiedzia zratował. I kto by uwierzył, że tenże sam, syna mi ocalał z topieli.

- Palec Boży! Nie będziesz się chyba przeciwiał? Trudno jednemu człeku więcej zawdzięczać. A że Hannie wpadł w serce od pierwszego wejrzenia, wraz pomiarkowałem.

- Prawda! - przytwierdził kasztelan. - Aleć i nie wszystkim płacić można. Córę Jaśka Leliwy dać za przybłądę bez imienia - nie łąco się nakłonić. Coś ci 'tam niewyjaśnionego . jest na rzeczy. Przyrzekł mi jeden jego znajomek. -że się może wywie czegoś o jego pochodzeniu, by przynajmniej wiedzieć, kto zaczął. Słałem rrawet po niego, bo wołałbym być świadom, nim się z Krzychem obaczę. Do Melsztyna go księżna z listem wysłała. Prawdę powiedzieć, miętki zawsze bywałem dla Hanny, a i jemu piaskiem rzucać w oczy nie przystoi. Niech będzie wóz alibo przewóz, bo i mnie dręczy ta sprawa. Rankiem chciałbym ruszyć, jako że mi też nad San wracać, a może parę dni w domu zabawić wyp"dnie.

Zaczął krążyć niecierpliwie po komnacie, a postyszawszy jakiś ruch w domu zaklaskał w dłonie i zapytał nadbiegłego pachołka:

'- Czesław wrócił?

- Ino co - odparł zapytany. - Ostróżka kazał wam rzec, że zaraz przyjdzie i przywiedzie człeka, który ma wam coś wyjawiać.

- Dobrze już! - Kasztelan skinieniem ręki odprawił pachołka i zwracając się do Spytkę rzucił:

- Rad bym z serca, by wiadomość pomyślna była dla Hanny. Ale co Bóg da, byle się skończyła rozterka. Ciężko człeku

żyć z niewypłaconym długiem. •

'\_ - Ciężko - przytwierdził Spytek z westchnieniem, ale jakby o czym innym myślał. - I ja bym kamień wosku do kościoła ofiarował, byle po myśli wypadło. Jako własne dziecko twoją Hannę miłuję.

~ 247 ~

- I ona ciebie. A przylepna jest - dorzucił Jaśko i umilkli. Czas dłużył się, wreszcie jakieś obce głosy usłyszeli w sieni. Jaśko niecierpliwie poskoczył do drzwi i otwarty je zawołał:

- Kto zacz?

\_ - Ja-"- odpowiedział mu Ostróżka, ale nie zaraz wszedł, bo kogoś widno prowadził, i -

- Tędy! - wskazał drogę.

W drzwiach stanął mizerny człek, ślepy widocznie, bo machał przed sobą laską. Wszedłszy mrugał jedynym okiem. Kasztelan poznał go od razu. Podsunął mu stołek mówiąc:

- Siadaj. Poznajesz mnie?

- Wiem ktoście wy, tedy i poznawać nie muszę - odparł Duszka przerywanym, słabym głosem. - Byliście u nas, gdy was niedźwiedź poranił.

- Wynagrodzę i za pomoc, ale za wiadomość lepiej. Wiesz czego od ciebie chcę? Mówił ci Ostróżka?

- Byłbym mu dawno bez grózb i obietnic powiedział. Milczałem, bom przysiągł. Ninie wolny jestem; Chcecie wiedzieć kim jest Krzych? Wasz brataniec, Spytka syn.

Spod okna, gdzie nie zauważony przez Duszkę siedział Spytek, rozległ się stłumiony okrzyk, który przerwał osłupiałe milczenie. -Duszka drgnął i powstał. Chwiejnym krokiem podszedł i mrugając patrzył z bliska w twarz siedzącego.

- Wyście Spytka? - zagadnął.

Gdy nie otrzymał odpowiedzi, rwącym się, podnieconym głosem zaczął mówić:

- Wstydzicie się przyznać? Patrzcie na mnie! Wasze to -dzieło moje zmarnowane życie i Krzychowe sieroctwo i krzywda i... ogień i krew...

Załamał się nagle i zatoczył, chwytając się za pierś. Łapał Oddech jak wyjęta z wody ryba. Ostróżka poskoczył i podtrzymał słaniającego się, a kasztelan zawołał pacholka i rozkazał wynieść go i mieć o nim staranie.

Ostróżka ujął bezwładnego pod pachy i wyszli. Gdy umilkli

~ 248 ~

l

kły kroki, kasztelan zwrócił się do brata, mówiąc z niezmierną goryczą:

- Widzę, że prawda. Ot i wiadomość! Mało za nią kamienia wosku. Cóż teraz poczniesz?

Spytek, który zastygł w bezruchu z twarzą ukrytą w dłoniach, podniósł ją teraz, szarą jak popiół i odparł bezdźwięcznym głosem:

- Powiem wszystko. Jeno przywołaj Ostróżkę. Raz przez. usta przejść nie chce, po co dwa razy powtarzać.

Gdy kasztelan wahał się z niechęcią i zdziwieniem, Spytek powtórzył:

- Zawołaj! Sam zrozumiesz, gdy posłyszysz.

Jaśko wyszedł i wrócił, prowadząc Ostróżkę. Przez chwilę wszyscy milczeli. Spytek nie patrząc na młodziana zapytał:

- Jesteś Krzychowi druhem?

- Jemu może, wam nie - odparł opryskliwie Ostróżka. -

Chcielibyście, bym przed nim zataił, co wiem? Aleć wiem nie ja jeden.

Mimo zjadliwości Ostróżki Spytek odparł niemal pokornie:

- Krzycha chcę oszczędzić, nie siebie. Juści rozumiesz, że po tym, co na jaw wyszło, brat mój córy swej dać mu nie może. Tedy co mu rzec?

Ostróżka zamyślił się. Twarz miał chmurną i odparł z gorzką drwiną:

- To samo, co byście rzekli, gdyby nic na jaw nie wyszło.

Wstyd wam było nieznanemu człeku dać kasztelańską córę, choć było za co. Dla pychy swej chcielibyście wiedzieć, kto zacz, tedy wiecie. Krzych wam się z oczu straci i będzie jako było. Was nikt do sprawy ciągać nie będzie. Chyba jedna Terka. Ale jej możecie łeb ukreć. Nawet wielkiej szkody nie będzie, a baby do milczenia nie zmusicie.

- Bacz, do kogo mówisz - rzucił Jaśko wzburzony.

- Ja baczę jeno, co mówię. Wiem tyle, że i Krzycha i Duszkę spotkała krzywda, za którą chyba ta jędza się pomści, bo Duszka już do niczego, a Krzych, choćby wiedział, na rodzica ~ 249 ~

ręki nie podniesie, jak go znam. Tedy jemu pomoc nijak, a wy pomocy nie potrzebujecie przeciw babie.

Jaśko syknął i zacisnął zęby. Ostróżka skłonił się i odwrócił ku wyjściu.

- Zostań - powiedział Spytek z prośbą.

Gdy Ostróżka przystanął, zapytał:

- ' Co powiesz Krzychowi?

- Jeśli mu Terka czy Duszka nie powiedzą, ja nic. Lepiej, by nie wiedział. Żyćcie se dalej spokojnie.

Na bladą twarz Spytka wystąpił rumieniec, ale odparł cicho:

- Nie chcę żyć spokojnie. Nie mów jeno Krzychowi, że mój ojciec. Ale możesz mu rzec, że matka jego z mojej zginęła ręki, a j egom niemowlęciem w podpalonym przeze mnie dworcu na śmierć ostawił, I że przeze mnie Hanny nie dostanie.

Ostróżka patrzył na Spytka przenikliwie, a Jaśko z przerażeniem. Wiedział, że w życiu brata tkwi jakaś tajemnica, której nigdy nie poruszał, ale zdało mu się, że go uszy zawiodą. Stał jak skamieniały, a Ostróżka powiedział z namysłem:

- Chcecie, by was ubił? Należałoby się wam. Ale co, jeśli się potem dowie, kogo ubił? Rozważę.

Skłonił się dorzucając jeszcze:

- Zabyłem. Jeśli was sumienie gryzie, Duszcze-m przyrzekł, że gdy wyda, co wie, Krzych mu u siebie da dożyć dni w spokoju. Juści, że teraz nic z tego. Powiedziałem swoje, v-y róbcie



co chcecie.

- Możesz być pewien, że mu niczego nie zbraknie.

- Nic mi do tego - odparł Ostróżka i wyszedł.

Jaśko, jakby dopiero oprzytomniał, chwycił Spytka za ramiona i potrzęsając nim krzyknął:

- Powiedz, żeś pijany lub w gorętwie mówił, bo oszaleć można.

- Można. Ale nie oszalałem. Kościół mi wybaczył, bom mu nadań nie żałował. W samym Rzymie w Roku Świętym odpust zyskałem. Książę przez palce puścił, bom mu potrzebny. Ale Bóg widno takich win nie wybacza. Myślałem nieraz: tyle lat ~ 250 ~

już. Dawno wiatry popioły rozwiały. Spokojny byłem, przywykłem do tego kamienia w piersi. Jeno gdym poznał -pogorzeli-sko, gdzieśmy to ciebie naszli, zdało mi się, że mnie za rękę ktoś przywiódł. Raz tam jeno byłem w nocy... i pijany wściekłością i zemstą. A już mnie tknęło, gdym jego ujrzał. Jakby zapukało coś w kamieniu. Do niej podobny., jeno te oczy... Spyttek zasłonił twarz i ciągnął:

- Przeczuwałem coś, bo od tej chwili niepokój odżył we mnie; ale kto by uwierzył, że ocalało niemowlę z podpalonego. z czterech rogów domu, gdzie je ostawił.... w ramionach matczynego trupa. Myślałem, że mi jeno sumienie wypomniało, a to mściciel przyszedł.

Opanowany dotychczas głos Spytka załamał się. Jaśko otarł pot z czoła i powiedział;

- Nie trudno zgadnąć, że był w sprawie ktoś jeszcze. Co się z nim stało?

- Zniknął, jako kamień w wodzie. Zrazu szukałem, by go 'ubić, potem, by on mnie ubił. Ni wieści. Trzeba sobie samemu karę domierzyć, bo słusznie rzekł Ostróżka, że nikt mnie do sprawy ciągał nie będzie, a czas skończyć.

- O czym ty mówisz, bracie? - W głosie Jaśka brzmiało wzburzenie. - Opamiętaj się, bo diabeł ci myśl' podszeptuje, byś do grzechu dołożył grzech, jedyny, który nie ma wybaczenia.

- Najdź inną radę, tedy szatańskiej nie posłucham. Nie rozpacz przeze mnie mówi, bo i ona już minęła. Spokojnie myślę i ty pomyśl spokojnie. Co rzekniesz Hannie i Krzychowi, gdy o pozwolenie prosić będą?

- Juści, że odmówić muszę. Toć kazirodczy byłby związek.

- Nie o to pytam. Aleć dlaczego? Ze on znajda, bez imienia i rodu? Sobie i dzieciom serce złamiesz, miast miłości nienawiść zyszczesz i wzgardę.

Jaśko milczał. Po długiej chwili odparł:

- Ja-ć nie czynię wyrzutów; po co ty to mówisz, bracie?

I cóż by się zmieniło, gdybyś nie żył? Pobrać się przecie nie mogą. Nie kupisz im szczęścia ni za duszy własnej zaturę.

~ 251 ~

- To mi ostatnie zostało, czym za krzywdy mogę zapłacić Nie będzie mnie, skończy się pomsta, od ciebie może przyjąć, czego nie mógłby z moich rąk, skalanych krwią matczyną.

Przygarniesz go, miejsce należne mu zwrócisz... sierocie... i między nimi miłość może ostać, braterska...

Suche łkanie wstrząsnęło piersią Spytka. Zmagał się z sobą przez chwilę.

- Cóż mogę uczynić z żywotem, który przekleństwem ciąży, ży nad wszystkimi, co mi bliscy? Sam jeno-m winien, niech na mnie spadnie ztrata.

Jaśko odpowiedział z siłą;

- Nie kuś mnie, bracie. Nie wyrosnie dobry plon ze złego nasienia. Nie wiem co czynić, ale wiem czego nie Iza. I wiem, że nie żywię gniewu ni żalu. Byłeś mi dobrym bratem, słuszną, bym z tobą dźwigał ciężar. Przestańmy myśleć o sobie, na Boga to zdając. Wracaj do księcia, bo tam ważniejsze sprawy. Spytek długo siedział bez słowa. Po czym wstał.

- Jadę zaraz, bo mi tu nieznośnie, a tam może się znajdzie godniej szy sposób, by zbyć żywota. Pozdrów ode mnie swoich... i Hanne... miłowałem ją... niech źle nie wspomina. Zegnaj, bracie. Pewnie nie ujrzymy się już.

Długo trwał braterski uścisk. Potem Spytek wyszedł, nie pozwalając, by brat go odprowadził. Jeno zgrzyt zawiasów w bramie i tupot końskich kopyt oznajmił Jaškowi, że brat odjechał na przepadłe.

- "It mli

XXVI

JNie ciągnęło Jaśka do Melsztyna, ale czas naglił i nie mógł bez powodu zwlekać. Zarządziwszy co trzeba, by Duszcze spokój na resztę dni zapewnić i ulżyć sumieniu brata, wyruszył następnego dnia w południe, a późnym wieczorem zatrzymał się na pierwszy nocleg w karczmie pod Gdowem.

Gdy wszedł do świetlicy, między siedzącymi przy wieczery przejezdnyymi ze zdziwieniem poznał Cedrowica. Zaskoczony był i zaniepokojony; jeszcze jedna sprawa, która wikła inne. Przystąpił jednak z powitaniem, oznajmiając się jego towarzyszom. Powstali z pokłonem i starszy przypomniał się Jaškowi jako Świętosław Sławnikowic Pałuk, wojewoda tczewski. Młodszy był bratem jego, Zbylutem z Wieszka.

Wymieniwszy z nimi kilka słów, Jaśko zwrócił się do Jędrzeja:

- Anim się was widzieć spodziewał, bo nic mi w Krakowie nie mówiono o waszym przyjeździe.

- Nie zatrzymywałem się w Krakowie, bo zaraz mi wracać, a jeno do Melsztyna pilno mi było - odparł Cedrowic, uśmiechając się niemile.

Jaśko ukrywając niechęć odparł:

- I ja do Melsztyna jak po ogień. Dobrze, żeśmy aię spotkali, bo i po drodze ugadać się można. Mniemam, że i wy mi cześć wyrządźcie w gości u mnie stając? - zwrócił się do Pałuków.

Jędrzej zbierał się coś wtrącić, ale wojewoda odparł poważnie:

- My już od was wracamy, tedy jeno za chęć pbdziękować

~ 253 ~

się godzi. Swojak nasz - głową wskazał na Jędrzeja - prosił, byśmy mu towarzyszyli i pomogli sprawę zamierzonego związku załadzić. Ale miarkując z tego, co nam rzekła córka wasza, wracać nam nie ma po co, zaś jeśli zostało coś do powiedzenia, tu sobie rzec możemy.

Jędrzej znowu chciał coś wtrącić, ale Świętosław ciągnął dalej:

- Miał już wasze słowo, ale zda się, córka wasza z tym się 'nie liczy. Wasza rzecz, jak ją do posłuszeństwa wdroyć, a nasza jeno zapytać: stoi słowo czy nie?

Jaśko przybladł i zacisnął zęby. Patrzyli na niego badawczo, a przedłużające się milczenie zaczynało być wymowne. Jaśko czuł, że go zapędzają w kozłi róg. Choćby i wbrew sercu chciał wydać córę, gdy związek z Krzychem upadł, to jednak czyniąc to, nim się sprawy odstoją, jeszcze by pogłębił niechęć Hanny i krzywdę Krzycha. Odparł tedy wymijająco:

- Nie pora, ni miejsce na swaty. A i to wiedzieć musicie, że córka do zakonu wolę Bożą poczuła, która od ojcowej silniejsza. Tedy nim się sprawa na tę albo inną stronę obróci, nic wam -odrzec nie mogę.

Jędrzej parsknął obelżywym śmiechem i rzucił:

- Kasztelanowi Jaśkowi Leliwie przystałaby szczerłość.

A taki wykręt godzien kupczyka, co przedanej kupi wydać nie chce, gdy mu się lepszy kupiec trafi. Jeno że się trafił nie lepszy, bo ja bym się namyślił, czy go za psiarka wziąć, ale wam może prawie na zięcia. Jeno mnie wstydno z takim do targu stawać.

Jaśko dźwignął się groźnie. Przez posiniałe wargi odparł chrapliwie:

- Odpowiem wam, gdy będę mógł mówić wszystko. I wówczas wy mnie odpowiecie. Teraz rzekę jedno: plwacie na niego, bo go tu nie ma i nie lękacie się, by wam w pysk dał, jak łoni, żeście się na ziemię pokocili. Kto młodość rozumie, zrozumie i dlaczego Hanna obrzydzenie ma do was, coście się z własnej winy zhańbić dali bezkarnie.

254

- Tak nam trza było zrazu rzec, to by się sprawa wyjaśniła - powiedział Zbylut, ale Jaśko rozognionymi oczyma patrzył na Jędrzeja, przygotowany na wszystko. Było mu już za jedno, mimo że i w największym wzburzeniu pamiętał, że księciu na Gryfitach wielce zależy. Książę zrozumie i wybaczy. Zdumiał się, gdy Jędrzej odparł spokojnie, a drwiąco:

- Jeśli człeka zhańbić może, że go pies z nagłą ukąsi, to starczy chyba psiej krwi, by zmyć tę hańbę. Tedy myślę, że Hanna może mile na mnie patrzeć, a wam bez ujmy będę mógł stanąć, gdy jako prawicie, będziecie mogli rzec wszystko. Ale nie raniej!

Kasztelan stał osłupiały. Mimo obelgi, jakiej w życiu nie słytał, wziął w nim górę niepokój o Krzycha. Nieszczęście zdało się iść za nim jak wierny pies. Zapytał prawie spokojnie:

- Co z Krzychem?

- To Krzych mu było? - Jędrzej wzruszył ramionami po-

gardliwie, ale Zbylut odparł:

" •

- Bili się z Jędrzejem. Żywego jeszcze do karczmy w Melsztynie odnieśli. A co potem - nie wiem, bośmy też nie czekali.

Jaśko wciąż stał jeszcze, jakby coś ważąc. Potem skłonił się bez słowa, odwrócił się i wyszedł.

Za chwilę gnał do Melsztyna w ciemnościach. Dawno zagubił się za nim tętent kopyt koni towarzyszy, a on parł swego, póki rumak nie zaczął stękać chrapliwie.

Kasztelan zeskoczył z konia, by mu dać wytchnąć i ruszył przed siebie. Noc była ciepła, bezgwiezdna, zbierało się na deszcz. Droga weszła już w lasy, jak w wąwóz o smolistych ścianach niezmierniej wysokości, które rozplywały się gdzieś w górze w jaśniejszym pasie nieba, czerniejącym jednak z każdą chwilą, aż wreszcie wszystko zlało się w ciemność jednolitą, gęstą, nieprzeniknioną zda się nawet dla ucha, bo zapanowała martwa cisza. Żaden poszum nie szedł z boru, nawet odgłos kroków na mało uczęszczanym szlaku głużył mech. Kasztelan,  
~ 255 ~

mimo że znał drogę jak własną dłoń, stracił poczucie gdzie się znajduje. Omackiem dosiadł konia, bardziej ufając zmysłom wiernego zwierzęcia, i nie widząc przed sobą nawet jego łba, ruszył.

Zahartowany, spokojny i władający zazwyczaj sobą Jaśku wzburzony był do największej głębi duszy. Spytkowa tajemnica sprzed lat, której jeno mógł się domyślać, bo brat ni słowem o niej nie napomknął i którą zdał się pokrywać pył dawności, nagle jak smoczy ząb rozrosła się w potwora, sięgającego swymi mackami wszędzie i po wszystko.

Jaśko w samotności i ciszy starał się skupić, by znaleźć właściwą drogę w ciemności jeszcze bardziej nieprzeniknionej, niż ta, która go otaczała.

Ale myśl podsuwała mu jeno rozwiązania, na które otrząsał się ze zgrozą: nie trzeba było wstrzymywać ręki brata, gdy chciał ją zwrócić przeciw sobie. Można by wtedy przynajmniej powiedzieć Krzychowi, kim jest. Ból zawodu byłby dla młodych znośniejszy, a Jaśko mógłby spłacić Krzychowi dług wdzięczności, Jędrzejowi zaś obelgę; za cenę krwi, własną ręką wytoczonej przez brata i ojca!

Gdyby Krzych pomarł? Dokoła niego zdało się skupiać wszystko zło. Jedno pasmo krzywd, od chrztu krwią matki z ręki ojca, przez poniewierkę sierociego dzieciństwa, udrękę bezimiennej i bezdomnej młodości, do śmierci z ręki wroga, któremu jakby się zdawało, bez trudu winien podołać, w chwili, gdy miała się przed nim otworzyć jaśniejsza przyszłość. Ani chybi zaszedł jakiś podstęp, kasztelan bowiem nie wierzył, by bitka była uczciwa; znał ludzi i przekonany był, iż Jędrzej z zemsty gotów był na wszystko.

Niezmierny żal ścisnął serce Jaśka. Wolej by go wówczas niedźwiedź rozdarł! Wiedział Jaśko, że jest potrzebny do wielu wielkich i małych spraw, ale ogarnęła go niechęć do życia. Gdy zaś pomyślał o czekającej go rozmowie z Krzychem, je-

żeli żyw, to powściągał jeszcze i tak wolno idącego konia, który zdał się kopytami macać przed sobą w ciemności.

256

Przemogło wreszcie kasztelana znużenie drugiej niespanej nocy i jednostajny ruch ukołysał do snu. Ocknął się dopiero, gdy ulewny, ciepły deszcz przemoczył go już do skóry. Pojaśniało i przez zasłone strug wodnych było widać zarysy najbliższych przedmiotów. Do świtu musiało już być niedaleko. Jaśko popędził konia; zwłoka nie zmieni niczego.

Wawelskie wzgórze - 1T

XXVII

południowe słońce doskwierało. Braciszek moczył zakurzone, chude, owłosione nogi w nagrzaney, wodzie stawu za karczmą, a Ostróżka zrzuciwszy kabat i giezło wyłożył się na brzuchu z głową dłońmi podpartą.

- W samą porę wróciłeś.

- Juści, w samą porę - odparł Braciszek. - Biskup za mną do Wrocławia zjechał, mało brakło, byśmy się spotkali. Tam by ci mnie prędko sprawili, bo cięty musi być, że się pono przed czasem stąd wybrał, a z Henrykiem z Wierzbnał z dzióbeków sobie jedzą, jako para gołąbków.

- Po cóżeś tam łąził? Mówiłem, byś gdzie na boku przeczekał.

- Swoje strony chciałem obaczyć i bez ludzi cni mi się.

Jeno Niemce tak już ze wszystkim wzięli górę, ani po naszymu gęby do kogo otworzyć. Miasto też piękne i wielkie, niczym Kraków...

- Gdzie mu zaś do Krakowa •- przerwał Ostróżka.

- Przecież go nie widział - odparł Braciszek. - Zresztą niech ci będzie. Dość, że jedno jak drugie za małe, by mnie społem z Muskata pomieścić, tedy wróciłem.

- Szkoda, że nie wcześniej, boby cię pewnikiem arcybiskup rządcą diecezji uczynił, skoroście się tak pokochali. A nie było cię, kustosz Jarpst tymczasem nim ostał.

- Niech mu idzie na zdrowie. Co się uznoi, to jego, a słońca starczy i dla mnie.

' biskup wrocławski

258

- Aleć i co pieniędzy zgarnie, to jego. Muskacie zdało się, że wraz sobie innego pana znajdzie i wróci pieniądz i krew wyćiskać. Aż ci tu Rudolfowi się zmarło i znowu nie włada, kto w Czechach panować będzie. Tedy czekać musi bez pieniędzy, bo juści, że mu stąd ni skojca nie dadzą.

- Mądryś ty, Ostróżka, aże dziw. Jeno czymże się ksiązę troskać będzie, jeśli ty za niego się głowisz? Chyba żeś rajcą ostał, miast Jaśka? A Krzych może kasztelanem krakowskim w miejsce Wierzbieny? Tedy by mi żałować przyszło, 'żem się spóźnił, by biskupią stolicę obsadzić. Wraz byśmy .wszystko zwywracali, żeby świata nie poznał.

Chciał gadać dalej, ale Ostróżka na wzmiankę o Krzychu wstał i wciągając giezło powiedział:

- Ostanie świat, jaki był, bo ni ja rajcą, ni ty biskupem,

ni'Krzych kasztelanem, choć pono jemu najbliżej było. O nim chciałem gadać z tobą.

Ale przerwało Ostróżce stadne gęganie. Kąpiące się na drugim brzegu stawu chłopaki kamieniami spłoszyli gęsi, które przeleciały nad rozmawiającymi tak nisko, że wiatr od skrzydeł poczuł na twarzach. Braciszek spojrzął za nimi miłośnie.

- Spore już gąsięta. Lęgi wczesne musiały być. •

Wyjął nogi z wody i wyżywał ją z czarnej sierści, którą były porośnięte.

- O Krzychu, nie o gęsiach, chciałem prawić. Pójdźmy stąd, bo hałasują juchy, że słowa własnego nie słyszą.

- Gąsięta mi przez myśl przeleciały, bo pusty brzuch się odezwał. Wypiłbym też coś, bom przed świtaniem wyruszył i wszystka woda za mnie wyparowała, że mi mózg i język wyschł.

- Tedy pójdź do karczmy. Gęsi jeszcze chude kłapacze, ale widziałem rano, jak dziewczka kurczęta rznąła. I piwo świeże z lochu wytoczyli, bo niedziela, to i z miasta goście będą, jako zawdy w pogodny dzień. Kto może, rad przed smrodem ucieka.

- Że też ty zawsze wiesz, z której strony chleb masłem smarowany. Ale co z Krzychem?

~ 259 '>'

- Jeździł do swej kasztelanki, wrócił posiekany. Pójdź kałdun zapchać, bo znów gęsi latać ci będą po głowie, miast rady. Weszli do gospody, ale gadać się nie dało, bo goście z miasta zdążyli już popić i gwar był. Zjedli tedy byle prędzej i wyszli. Słońce pochyliło się tymczasem i od osad ciągnęli już ludzie na nieszpór do św. Wawrzyńca i św. Jakuba.

Ostróżka wszedł w łąki nad starym korytem Wisły i zdał się kogoś wypatrywać. Po chwili powiedział:

- Idą.

- Kto?

- Terka z Kundzią. Na Łysą Górę by jędzą poleciała, miast do kościoła. Ale poczekajmy, by nas nie obaczyły.

- Czemuż to?

- Bom rzekł, że wyjeżdżam. Zęby nie to, nie odstąpiła by od Krzycha. Pilnuje go przede mną, jako czart grzesznej duszy. Idź no do niego póki sam. Wydobyć trzeba co zaszło w Melsztynie i co on wie. A wróci Terka i wydolisz, to i z niej zdałoby się coś wyciągnąć.

- Czegóż się mam dowiedzieć? Bo tyle jeno wiem, że poraniony wrócił z Melsztyna.

- Milczek jest i niezdarą. Chłop mocny, że zda się jeno mury walić, a gdzie się ruszy, poharatać się da, jako ciele.

Takim zły, że bym plunął na to w ostatku, bo i po prawdzie, co mi do tego.

- Ale nie pluniesz, bo sierota sierocie brat.

- Jaki on zaś sierota! Ale prawda, ty nic nie wiesz. Tedy daj baczenie.

Ostróżka opowiedział, co zaszło po wyjeździe Braciszka, a on słuchał uważnie, aż mu czarne kudły opadły na oczy. Gdy

Ostróżka skończył, zapytał:

- Aż Duszki nic żeś więcej nie wydobył?

- Dobyłbyś ty, kiedy w gorętwie leżał, a za dwa dni pomarł. Nie wykosztowali się Leliwy, by mu za poniewierkę odpłacić.

- Requiescat in pace! A z tego, co majaczył, niceś nie pomiarkował?

~ 260 ~

- Chyba tyle, że jakowyś Mścigniew był w sprawie, bo imię powtórzył kilkakroć, jeno bez składu.

- Dobrze i to.

- Wiesz już, jak sprawy stoją, idźże tedy. Ja sobie nad rzeką posiedzę, a wieczorem najdziesz mnie w karczmie. Skończyć chciałbym, skórom zaczął, a mam i swoje sprawy. Braciszek ruszył ścieżką u stóp Wawelu nucąc pod nosem, a dotarłszy do chaty rybaka zastał gospodarza siedzącego na niskiej ławie pod ścianą i grzejącego się do słońca. Pochwalił Boga i nie czekając na zaproszenie usiadł.

- Ciepłą porę Bóg zesłał - odezwał się. - Lubo kości wygrzać.

- Kościom lubo, a kiesie nie lubo - odparł rybak. - Woda mała t ciepła, ryba nie włada gdzie zadziała się.

- Co tam o kiesę, a wypocząć zda się. Krzyeh wam pewnikiem jeszcze nie pomaga, jako drzewiej?

- Nic o kiesę temu, co płacić nie musi. Ale ja dzierzawne miastu winienem, bo im ksiązę przywilej na rybołówstwo na Wiśle zatwierdził, aż do Rybitew. Zasię wyżej benedyktyńskie wody, a niżej cysterskie, jeno boskich już nigdzie nie masz, a żreć trzeba i innym dać.

- Pozdrowieje Krzyeh, to wam odrobi.

- Pozdrowieje, to znów pójdzie. Lepszy mu rycerski stan. Jeno podziurawioną skórę latać do mnie przyjdzie.

- Mówicie, jakbyście mu radzi nie byli.

- Co mu mam być rad, kiedy on mnie nierad. Gorzej, że dziewczyna nadto mu rada, a Terka jej przyświadcza, choć nie będzie z tego nic.

- Czemu zaś nie ma być? Widziałem waszą dziewczuszkę, jak do kościoła szła. Wyrosła jako topólka, gładka jest i ani chybi wabna będzie, niech ino dojrzeje. A cóże on z drewna, czy kasztelański syn?

- Znajda jest, ale dla Kundzi z drewna. Żal patrzeć, jak ona chodzi koło niego, a w oczy mu zagląda; a on je w pułap wlepi i zda się nie widzieć nikogo. Albo i widzi, ale inną. Głupi

~ 261 ~

chłop. Czego ręką dosięgnie, tego nie chce, jeno gwiazdki z nieba.

- Ponoć sama księżną go swatała?

- Księżna nie księżna, baba jest, to i swatać lubi, a Krzych <> wdały, musi kasztelance wpadł w oko. Ale zaś tam taki pan da córę przybędzie! Tyle zyskał, że go jeszcze inny zalotnik posiekał.

- I jeszcze chorzeje?

- Zagoił się już, ale leży. Ot i dziś! Słońce jak złoto, a on jako zwierz w ciemną komorę się zaszyje, że się człek przystąpić boi, bo mu ino te oczy źle świecą.

- Kto by się bał! Nie ugryzie przecie, a choćby i ugryzł! Pójdę ja do niego, może go rozruszam - powiedział Braciszek. Wszedł do chaty i odchylił zasłonę komory, gdzie leżał Krzych. Leniwie zwrócił oczy na Braciszka, który stał milcząc. Po chwili rzekł niechętnie:

- Wróciłeś?

- Trudno coś odrzec na takowe pytanie. Z życzliwości przychodzę, a takeś to rzekł, jakoby: "Wynoś się".

- Ostań - powiedział Krzych zawstydzony i usiadł na posłaniu.

- Chwalić Boga, widzę, żeś zdrow już.

- Nie ze wszystkim. Głową już ruszam, jako chcę, ale ręka słaba. Obojczyk miałem przetrącony i aż się ostrze na gnatach w karku oparło.

- To mocny jakowys był chłop.

- Może i mocny. Jeno żebym pewnie na nogach stał, ani bym się pół pacierza z nim nie zabawił - odparł Krzych podrażniony.

- Juści, wierzę! Ale po cóż ci się było bić, kiedyś .na nogę słabował?

Gdy Krzych nie odpowiadał, Braciszek dorzucił:

- Popatrz, jaki człek jest! Gdy go złość zbierze, bić się będzie, choć nie wydoił. A do pracy byle co mu przeszkadza. Rybak się żalił, -że nijakiej wyreki z ciebie nie ma, a sam nastarczyć nie może.

262

Krzych zarumienił się znowu i po chwili odparł:

- Pójdę ja już stąd niedługo i zapłacę, com dłużen, niech jenó ksiązę wróci, bo mi też nagrodę przyobiecał i raniej za Wawel i ninie za litewską wyprawę.

- Juści! Zapłacić można za wszystko. Tedy ci pewnie i kasztelan zapłaci, skoroś był w Melsztynie. Jenó jak Duszcze zapłacisz? Srebra mu do grobu nasypiesz?

Gdy Krzych milczał zasepiony, Braciszek podjął:

- Ciemno tu i zaduch. W mroku czarne myśli się lęgną. Pójdź na słońce i wiatr, wraz ci się w duszy rozjaśni. Łąki skoszone wonieją, że człek opić się może bez wina; pszczoły aż huczają w kwieciu, a siądziesz se nad wodą, to ci ona coś mruczy i gada i szepce, że się człek zasłucha, jako dziecko, co choć słów nie rozumie, ale uśmiecha się, gdy gwarzyć do niego. Płuży słońce wszystkiemu, co żywie, a mroku i smrodu dość będzie w grobie i ni za cesarską koronę nie kupi jednego promyka, bez którego by najdroższy klejnot tyle ma blasku co mierzwa. Pójdź-że!

Gdy Krzych jeszcze się ociągał, Braciszek dodał:

- Skoro bym tu płakać jął nad tobą, choć ani wiem, coc się przygodziło? A przelecisz się, wraz ci do jadła przyjdzie ochota i do snu. Pójdź-że!

Krzych zebrał się niechętnie i wyszli. Gdy mijali rybaka,



Braciszek rzucił:

- Od jutra Krzych wam pomoże, ile wydoił. A mnie za baraśne wieczera by się patrzyła, jeśli mnie Terka nie wygna.

- Mój ci to dach i rad będę gościowi. I Kundzia też rada was obaczy. Nieraz wasze psoty wspominała.

- I jam jej rad. Wrócimy, jeno słońce zajdzie.

Zeszli ku wodzie i ścieżką przez groblę zmierzali do mostku na odnodze Rudawy. Nad rzeką krążyły srebrno-białe rybitwy, kwiląc żałośnie, z szuwarów na Żabim Kruku wypłynęło stadko kacząt ze starką i kołysały się na falce, którą podnosił ciepły powiew. Lśniący nur z pięknym, brązowym kołnierzem zjawił się nagle jak wyczarowany i równie nagle spostrzegłszy nadchodzących zniknął. Braciszek gapił się dokoła wylupiastymi

~ 263 ~

oczyma, ale Krzych swoje opuścił i siedł w milczeniu. Na mostku przystanął i zapatrzył się w wodę. Przypomniał mu się zimowy dzień, gdy stał tu z Ostrózką. Braciszek przystanął koło niego. Patrzyli na żółtawą wodę Rudawy, która jaśniejszym spłachciem zatrzymywała się przez chwilę u ujścia, po czym rozpływała się smugami w ciemniejszej, gładkiej i spokojnej toni Wisły, jak dym unoszony powiewem wiatru. Krzych niespodzianie przerwał milczenie:

- Po co mnie Ostrózką wciągał w swoje sprawy. Byłbym już może zapomniał. A tak...

Urwał, a Braciszek rzucił na wodę odszczypaną z poręczy drzazgę i patrzył, jak tańczyła ha małych wirkach, po czym wydostała się na nurt i spłynęła. Powiedział z namysłem:

- Nie umiesz płynąć jak on wiór, powiedz, czego chcesz?

A wracać do tego, co minęło - szkoda, bo ni Bóg, ni szatan tego nie odmieni. Wždy nie będziesz do końca żywota na wyrku leżał i w powałę patrzył. Mówiłeś, że wyjedziesz; dokąd?

- Wiem to ja! - wybuchnął Krzych. - Oto w wodę bym skoczył i zbył wszystkiego.

- Tak ci jest: gdy człek zaczyna, zda mu się, że rad by skończył, a gdy kończyć przychodzi, rad by zaczynał. Młodość ma swoją, a starość swoją głupotę. Ale wiesz co? Chcesz w wodę skakać? Wypławimy się. Woda nie tylko kurz z ciała, aleć i grzech z duszy zmywa. Wraz się raźniejszy poczujesz. I ja uznojony jestem, bom też dziś kawał drogi zrobił.

Braciszek, nie czekając, zrzucił szatę i zsunął się do Wisły, ale głębia była od brzegu i prąd zaczął go spychać. Krzych, widząc, że towarzysz nie umie pływać, rozebrał się co prędzej i chwycił go, gdy woda sięgała mu już do ust. Wyciągnął go na brzeg i trochę roztrzęsiony powiedział:

- Czemuż leziesz, skoro nie znasz głębi?

, - Pono czarownik nie tonie. Wiedziałem ci zresztą, że za to ty pływasz jako szczuka.

Otrzeptał się z wody jak pies i ciągnął:

- Chciałbyś żywota zbyć, w wodę ci skakać nie pomoże, bo gdy ci śmierć w oczy zagładnie, wyciągniesz się. Zda się

•

~ 264 ~

człeku, że mu życie zbrzydło, a także i śmierć niemiła. Przyjdzie ci ona, nie bój się, ani jej wołać trzeba, ale nim przyjdzie, musisz żyć. Tedy jako? Cóż robić zamierzasz?

Krzych popatrzył na swoje kolana. Potem powiedział:

- Gdzieś trzeba być u siebie. Nie lubuje mi siedzieć na łasce. ^Terka niech ma gdzie dokonać dni.

- Słusznie. Tedy dom jakowy wystawisz. Zechce się kiedyś gniazdo założyć, będzie jak znalazł.

- Nigdy! - zachnął się Krzych.

- Żebyś ty był inny, sam bym cię namawiał, byśmy społem powędrowali świat obaczyć, nim oczy zgasną. Ale życie dopiero ci się zaczęło. Niczego się nie zarzekaj. Każda rana się zagoi, choć zrazu zda się, że to już koniec. I na tobie niejedna już przyschła. Jeno żeś w Melsztynie nie ostał? Tam byś miał lepszy starunek.

Krzych zaczął mówić; wargi mu się trzęsły:

- Lepszy starunek! Choć w bólach leżałem i gorętwie, jenom oczy otworzył, jej liczko miałem nad sobą. Zasypiałem spokojny, że gdy się zbudzę, znów je obaczę. Zdało mi się, że i mówić nic nie trzeba i po wiek już tak ostanie!

Krzych zaczął palce wykręcać, że zdało się, iż je połamie.

- Aż ci raz budzę się. Hanna jak zawdy nade mną, jeno miast się uśmiechnąć, płacze. Tknęło mnie. Patrzę, a kasztelan ' stoi za nią i spoziera na mnie, jakbym pomrzeć miał za chwilę. Wołałbym! Czułem już, że szkoda mówić, alem się przymusił: "Waszego przyzwolenia czekamy" - rzekłem. A on mi: „Ząda) czego chcesz, a Hanny ci dać nie mogę. Nie pytaj, dlaczego." Nie pomnę, com mu odrzekł, bo mnie taki żal i gniew ogarnął, żem go może i zelżył. Nie odpowiedział nic i wyszedł, jeno Hanna ostała, trzęsąca się od płaczu...

' - Nie rzekła ci, dlaczego?

- Jeno tyle, że mnie jako brata miłuje, a dowiem się, gdy ^ przyjdzie pora...

Krzych zerwał się i krzyknął:

- Wy wszyscy coś wiecie, jeno mnie jako ślepemu tłuc łbem w ciemności. Ubiję...

~ 265 ~

- Kogóż ty ubijesz i za co? A w końcu co ci po tyto? Przecie nie Duszke, bo pomarł. A Ostróżka albo i ja? Cóżeśmy ci winni? Że ci pomoc chcemy? Albo Hannę, czy jej rodzica, kóren ci widno przychylny, jeno coś mu stoi na zawadzie? Terka, wiadomo, Duszce gębę wiązała, ona-ć ją rozwiązać mogła. Nie rzekła ci sama nic?

Krzych z nagłą twarz odwrócił, wyraźnie zmieszany, a Braciszek jak pies, który poczuł trop, pokręcił długim nosem:

- No, gadaj-że! Czemu milczysz? A nie powiesz, sam ją przepytam. Kogo to masz libić?

Na twarzy Krzycha odmalowała się widoczna udreka.

- Nie pytaj! Nie ubiję nikogo. Nic mi po wszystkim, kiedy Hanny nie dostanę, cóż jeśli i będę wiedział, dlaczego.

Braciszek pokiwał głową:

- Sam widzisz, że bywa czasem, iż człek chciałby mówić,

a nie może. Ale nieraz pies przegryzie więź, której przerwać nie wydoli; jeno cierpliwość musi mieć. Cóż tedy myślisz począc z sobą?

- W służbie-m przecie u księcia, to i co mi począc? I na Cedrowicu rad bym się pomścił.

- Każdy jeno pomstą chce żyć! Bóg z tobą. Pójdźmy! Wbrew zwyczajowi Braciszek milczał, gdy wracali ku domowi. Pod Wawelem przystanął i poczał się żegnać.

- Wždy sameś się na wieczerzę zaprosił do nas - powiedział Krzych.

- - Jeno z Terką gadać chciałem, ale nie będę, skoro ty nie chcesz. A do jądła przeszła mi ochota. Jeno upić się muszę, bo smutno mi...

CZEŚĆ

XXVIII

W czasie trzeciej wyprawy krzyżowej, pod murami Akkonu powstało Bractwo Szpitalne imienia Najświętszej Marii Panny, załączek trzeciego z kolei zakonu rycerskiego. Jak głosiła reguła, chronić miało pielgrzymów przed Saracenami i pielęgnować chorych.

Zapał, który poruszył serca i umysły Europy na myśl, że grób Chrystusa pozostaje w mocy niewiernych, przygaśł już znacznie i niewczesny twór byłby się rozplynął w nicości, gdyby w potężnej głowie czwartego z rzędu Wielkiego Mistrza małego zakonu z dziesięciu białych płaszczy, nie uległa się myśl nowa. Zrozumiał, że darmo już zachęcać zachodnie rycerstwo, by swymi kośćmi mościło drogę papieskim, bizantyńskim i weneckim korzyściom, w zamian za wątpliwą sławę zbierania ciągów od wyższych umysłem i sztuką wojenną Saracenów; łatwo natomiast natchnąć zakutą w żelazo pierś pobożnym zapałem do walki przeciw półdzikim, w skóry jeno odzianym północnym poganom. Kto by nie chciał zdobyć sławy i zbawienia kosztem życia... cudzego. In morte pcigani olorificatur Christus 1.

Hermana von Salza nie zniechęciła pierwsza nieudana próba, gdy osiadłszy w Siedmiogrodzie by walczyć z pogańskimi Kumanami, zaczął urządzać własne państwo w państwie Andrzeja II. Król wygnał rycerzy Najświętszej Panny z Węgier, ale dalej na północy, nad szarym morzem Bałtyckim leżały przecież „niczyje” ziemie pogańskie, w sąsiedztwie rozdartego ' śmiercią poganina sławi się Chrystusa

~ 267 ~

w niezdolne do życia strzępy, potężnego niegdyś państwa Piastów, na odwiecznym szlaku pożądliwości teutońskiej. Herman w lot uchwycił sposobność, jaka mu się nawinęła ze strony Mazowieckiego Konrada, który szukał środka by pozbyć się dokuczliwych pruskich sąsiadów. Wielki Mistrz natychmiast wysłał znaczną część swych "sił", składającą się z dwóch rycerzy i kilku giermków, z komturem von Landsberg na czele. Przybyli nad Wisłę i tymczasem wypłoszyli ptaki, gnieźdzące się w zagajniku na obłym wzniesieniu poniżej ujścia Drwęcy. Założyli grodek, a raczej okop, na pamiątkę ptasiego śpiewu zwany

"Vogelsang", a sami zaczęli śpiewać ponure pieśni pokutne, patrząc bezradnie jak pogańscy Prusowie wystawili po drugiej stronie rzeki trzy grody i zajęli kraj cały, naigrawając się z rycerzy krzyżowych, że niepotrzebnie trują się czuwaniem, broni ich bowiem własny smród, bijący z okopu.

Krzyżacy czuwali jednak z kamienną wytrwałością, zgodnie z surową swą regułą nie zdejmując nawet do snu obuwia, zawsze zakuci w żelazo, o które bezsilnie obijały się groty pogańskich strzał, podczas gdy strzały z ich kusz zdolne były na wylot przeszyć na sto kroków odzianego w skórę przeciwnika.

" Zostawiono ich tedy w spokoju. Szkoda kaleczyć nogi, by rozdeptać smocze jaje; niech leży, nie przeszkadza nikomu. Leżało cztery długie lata. Księżciu mazowieckiemu takie posiłki nie zdały się na nic, zresztą po śmierci brata Leszka Białego nie miał czasu zajmować się pruskimi sprawami, pochłonięty wojną domową o stołeczny Kraków. Wielki Mistrz zaś na czele niemieckich Krzyżowców pociągnął do Ziemi Świętej z Fryderykiem II. Ale Herman miał już w zanadrzu pergamin, z cesarską pieczęcią, w którym Fryderyk, jako pan całego świata, nadawał Zakonowi przysze zdobycze na ziemiach pogąbskich.

m

O pergaminie tym nie wiedział nawet papież, który sobie przypisywał prawo rozdawania ziem nawróconych, a tym mniej lekkomyślny Konrad, gdy w Bieczu oddał Krzyżakom kasztelanię chełmińską, w zamian za pomoc przeciw Prusakom, tak samo jak on sam i jego przodkowie nadali wiele innych ziem

~ 268 ~

innym zakonom i kościołom, ani my śląc'pozbywać'się nad nimi zwierzchnictwa.

Herman von Salza zaniepokojony już założeniem zakonu Braci Dobrzyńskich, którzy pomoc jego mogli uczynić zbędną, odetchnął. Ryba chwyciła haczyk, reszty miały dokonać fałszerstwa, przemoc, podstęp i zdrada.

Podstępem uzyskawszy bullę papieską zatwierdzającą nie tylko sfalszowany przywilej Konrada, lecz i wszystkie zdobycze w Prusach, Herman uznał, że nadszedł czas działania. Nad Wisłą zjawił się Landmeister Herman Balk z pięćciu rycerzy i poczetem knechtów. Smocze jaje pękło, porzucono cuchnącą skorupę i z nowego gniazda w Nieszawie bić jęło w pozbawione kośćca ciało pruskiego pogaństwa, jedno żelazne uderzenie za drugim. Ze wszystkich krajów Europy ciągnęło rycerstwo, natchnione pobożnym zapalem bicia słabszego w imię Chrystusa. W pół wieku później Zakon stanął twardą stopą nad Niemnem. Na miejscu dawnego swarliwego, ale nie groźnego pruskiego sąsiada, tkwił na granicy Polski zakuty w żelazo mnich i chciwym okiem zaczynał spozierać na ziemie swych dobroczyńców.

Nowi panowie Prus, którzy czystość ślubowali, nie mieszały się z podbitą ludnością, chyba przygodnie w zapale walki gwałcąc branki. Nie starczyło to jednak, by zaludnić spustoszone obszary, zakładanym miastom dostarczyć kupca i rzemieślnika, wykarczować lasy, osuszyć bagna i wypełnić spichrze krzyża-

ckie zbożem, a skarbiec złotem. Kolonistów trzeba było ściągać z dawnej ojczyzny, ale niechętnie szli drogą morską ludzie przywykli ziemię mieć pod nogami. A na drodze do dawnej ojczyzny, od Wisły do Odry, rozciągały się odwieczne polskie ziemie |wschodniego Pomorza na krzyżackie szczęście stale rozbite |i skłócone. Gdy dalsze parcie na wschód powstrzymane zostało | przez twardy opór Litwy, a Aleksander Newski obrzydził Krzyżakom "nawracanie" Rusi w słynnej "bitwie na lodzie", zagarnięcie Pomorza stało się koniecznością.

Trudno było jednak "nawracać" chrześcijański -kraj, ale można kupić. Najtaniej ^as od niewłaściciela: albo otrzymać ~ 269 ~

w drodze układów. Ale układać się łatwiej, gdy się ma coś w ręku.

Od zachodu wyciągały się jednocześnie po ziemie pomorskie chciwe ręce brandenburskich margrafów. Skorzystali z walk między Mściwojem a Warcisławem i w zamian za wypuszczenie im Gdańska, oddali Mściwej owi w lenno jego własną ojcowiznę. Gdy jednak przyszło Gdańsk odebrać, trzeba było pomocy wielkopolskiego Bolesława. By się pozbyć brandenburskiej opieki, Mściwój dał odczepne Słupsk i Słano, a sam związał się z Przemysławem i jego za zgodą kraju uczynił swym spadkobiercą.

Ale Pomorza związane z Wielkopolską przestawało być łatwym łupem. Trzeba było usunąć Przemysława. Uczylni to wynajęci skrytobójcy. Chwilowo wstrzymała zapędy margrafów potęga Waclawa. Ale gdy zmarł, pole do dalszych zdobyczy stanęło otworem.

Jak gderliwe kokoszę rozsiadły się nad Zgłowiączką duchowne i mieszczańskie młyny, z których wysypywały się zamączone postacie, by spojrzeć ku drodze do Starego Brześcia na spory poczet jezdnych. Młynarz Mateusz pierwszy poznał pana w jadącym na czele rycerzu i krzyknął na młynarczyka:

- Skocz no do wójta uwiadomić. Księżę nadciąga.

Ale właśnie w tej chwili orszak ruszył klusem i nim chłopak dobiegł pierwszych zabudowań, księżę minął starą osadę i wjechał w bramy miasteczka, zatrzymując się w rynku przed domem wójta Tylona.

Młody mąż, jadący obok księcia, pierwszy zeskoczył z konia i ruszył, by strzemię przytrzymać Łokietkowi, księżę jedntEkA kończąc widocznie poprzednią rozmowę, rzekł z pewnym zniecierpliwieniem:

t\* !|

- Strzemię może przytrzymać byle pacholek, albo i bez tego się obędzie. Innych przysług od ciebie czekam. Wracaj do Tczewa, czas niepewny, lepiej byś na miejscu siedział.

- Zeskoczył z konia i nie oglądając się na towarzysza, ni 270

czekając, by go witać ktoś wybiegł, skierował się do wójtowego dworca, widno dobrze mu znanego. Pozostali posiadali również i wiedli konie ku studni, koło której już gromadził się tłum usłużnych gapiów. Słońce stało jeszcze wysoko •i nie wiedzieli, czy księżę każe zatrzymać się na nocleg.

Towarzyszący Łokietkowi bratanek jego, ksiązę Kazimierz Kujawski, stał również, niepewny co mu uczynić przystoi. W postępowaniu stryja czuł lekceważenie, a nawet gniewną niechęć, której przyczyny się domyślał. Stryj musiał mieć mu za złe, że gdy za wstawieniem biskupa Gerwarda Leszczyca Łokietek ustanowił bratanków rządcami Pomorza, przed objęciem urzędu zasięgnęli zgody pruskiego Landmeistra. Henryk von Plotzke zgodził się łaskawie, a nawet pomoc przyrzekł w razie brandenburskiego napadu, którego Kazimierz się obawiał, a nie czuł się na siłach go odeprzeć. Rad był nawet, że klucz od Pomorza, Gdański gród, nie jemu został powierzony i nie miał stryjowi za złe braku zaufania, którego sam do siebie nie żywił. Do samodzielności nie nawykł, bo od najmłodszych lat do spraw mieszała się matka, księżna Salomea,, której jedynie najstarszy Leszek nie. pozwolił się osiodłać. W Leszku mieszkał niespokojny duch Piastowiców, ale- tyle jeno z tego, że naprzód zadarł ze stryjem, zagarniając Gdańsk, a wygnany stamtąd, samowolnie, za byle co, zastawił ziemię michałowską Krzyżakom, uzbroił się i ruszył na Węgry, gdzie popadł w niewolę u Czechów. Tedy znowu musiał dokończyć na wykup, ale ninię gdzie był lub czego szukał po świecie - nie wiadomo. Zapewne pieniędzy, bo tych synowie Ziemomyśla nigdy nie miewali i dlatego Kazimierz wdzięczny był strydliDwi za stanowisko rządcy Pomorza. Tym bardziej rad był rW^

'gorliwość okazać. Wszedł do gospody, by coś przekąsić, z postanowieniem, że zaraz nawróci. Ze stryjem wolał się już 'nie widzieć, chyba, że go sam zawoła; kolący jest, nie dziwić się zresztą, zewsząd troski wałą się na niego. Bracia wojewody Piotra Świecy, których Łokietek jako zakładników w Brześciu trzymał, zbiegli, wojewoda zyskał wolną rękę ~ 271 ~

i ani chybi z niej' skorzysta, by swoje odebrać. Kazimierz wolał, że nie jemu straż była powierzona.

Nie wiedział jeszcze, że w Brześciu czekały na stryja nie lepsze wieści z Krakowa i ze wschodu, które przywiózł Spyttek Leliwa. Darma też zapraszał Tyło, by Łokietek został na noc, a przynajmniej na wystawniejszy posiłek zaczekał. Ksiązę kazał podać co było pod ręką, ale i to jadł niesporo, a na przymówki wójta odparł:

- Gdy człek żółć ma w gębie, gorzkie mu wszystko.

Poklepał jednak gospodarza łaskawie po ramieniu, by nie myślał, że do niego ma złość. Tyło był jednym z niewielu niemieckich mieszczan, którzy dochowali wierności księciu w czasie wygnania. Natomiast brzeski kasztelan, Stanisław Pomian, wyszedł od księcia czerwony jak rak i ocierał spoczone czoło, nie wiedząc, czy się jeno na tym skończy, co usłyszał. I ksiązę widocznie nie był dobrej myśli, gdyż żegnając się z Tylonem powiedział:

- Ufam wierności waszej, choćby znowu próba przyszła.

Wyprowadzony przez wójta wyszedł i nie czekając nawet, •aż orszak przyjdzie do sprawy, kazał konia podawać i ski-

nawszy na Spytka, by mu towarzyszył, doskoczył w siodło jak młodziak i z miejsca ruszył cwałem. Dopiero gdy gościniec wszedł na lotne piaski, powściągnął rumaka i jakby odpowiadając własnej myśli odezwał się do Spytka:

- Z Muskatą trzeba skończyć.

- Jakub wezwał go na sąd .do Krakowa, ale Bogać tam przyjedzie - odparł Spytek.

- Na miejscu Jaśka nie byłbyś go wypuścił, skoro jawnie zdradę zapowiadał.

- Nie miejcie za złe Jaśkowi. Łęczycki synod klątwę grozi za uwięzienie biskupa bez sądu. Wždy samiście Muskafc już pojmanego wypuścili, byle z Jakubem nie zdrzeć.

- Arcybiskup zrozumieć musi, że Muskatą ręce mi wiąże gdy i dla wolnych nad siły roboty. O klątwę aniby dbał. Żyliśmy już pod nią, nie pomnisz?

272

Gdy Spytek nie odpowiadał, Łokietek spojrział na niego.

Rycerz twarz miał wpadniętą i pooraną bruzdami, na skroniach gęsto świeciła siwizna. Głowę pochylił i patrzył w kark konia. Księżca uderzyła zmiana w wyglądzie starego towarzysza. Zapytał:

- Chorzałeś?

Spytek milczał, a Włodzisław rzucił niecierpliwie:

- Cóż? Koniowi w grzywie włosy liczysz?

- Żyłem, pod klątwą - zaczął Spytek głuchym głosem. -

' Ciężko, ale można znieść... gdy człek wie, że ukorzy się, to zrzuci ją z siebie. Jeno przekleństwa złego czynu nie zrzuci; wlecze się za nim jak z mora, by skoczyć do gardła, gdy się człek najmniej spodziewa...

- Cóż prawisz, jako ksiądz na kazaniu, że i wyrozumieć trudno. Starzejesz się, skoro ci wspominki na myśl przychodzą. Kościół wybaczył, ludzie zapomnieli, a i ten nieszczęśnik z dawna pewnikiem, gdzieś ziemię gryzie. Wszyscyście zresztą winni byli...

- Jeno jeden był niewinny. I jako upiór z za grobu się zjawił.

- Kto? - twaa-z księcia wyrażała zdumienie.

/

- Syn mój!

Książę aż w dłonie plasnął. Po chwili rzekł:

- Tedy najcięższy grzech spadł ci z sumienia. Zgłupiałeś?

Tym się gryziesz, je jako Piotrowin wyglądasz? Jaśko mógłby się trapić, że mu z Melsztyna ustąpić przyjdzie, skoro znalazłeś dziedzica, ale poradzim i na to. Winienem ci coś, a nigdyś nic przyjąć nie chciał. Teraz będziesz miał komu ostawić. Cieszyć ci się radziej. Gdzieże on jest? Rad bym. go poznał. Żrały już musi być i wdał się w was chyba?

Widząc jednak, że wyraz ponurego przygnębienia nie zniknął z twarzy Spytka, książę dorzucił:

- Gadajże! Co jest w sprawie, że miast radować się, jako puchacz okragłymi oczyma w ciemność patrzysz?

- Znaie mego syna. To Krzych!

Wawelskie wzgórze - 18 273

- Krzych? - Włodzisław był widocznie zaskoczony. -  
Wdały jest i mężny, ale w niczym do ciebie nie podobny.

- W matkę się podał, aż dziw, że go zrazu nie poznał.  
Myślałem, że mi jeno sumienie wypomniało.

Spytek odwrócił twarz i ciągnął:

- Wiecie, że szaleństwo to było. Wiedziałem, że innego  
miłuje, ręce składała, bym jej poniechał: Myślałem: jego  
śmierć, albo moja, za jedno mi było, świat byłbym spalił  
dla niej. Bywa, że człek niewiastę przyniewoli, gdy żyć bez  
niej nie może. Alem ja skorzystał, że jego nieszczęście po-  
ścigło, co tu mówić, praw był, że mi tym samym odpłacił.

Jam był winien, nie miałem prawa karać jej... a już dziecka...  
Spytek urwał i jechali w milczeniu. Po chwili Leliwa pod-  
jął spokojniej, ale z bezbrzeżnym smutkiem:

- Jakobym swoje serce zabił. Nie było już niewiast dla  
mnie, nie chciałem dzieci, by się na nich los nie pomścił za  
tamtą... Umiłowałem Jańską Hannę jak swoją... i ona mnie.  
Na niej los się pomścił. Wiecie, że się z Krzychem miłują, na  
swoje nieszczęście.

Włodzisław powiedział z namysłem:

- Juści, niejedno człek za młodu popełnił, czego mu do  
dziś żałować. Żeby nie dziewczki, siedziałbym ja w Wielkopol-  
sce i nie lękałbym się o Pomorze. Ale nie byłoby młodości.  
Co tam rozpamiętywać, dziś jest dziś, a nie wczoraj. Kuria  
mogłaby im dyspensy udzielić, choć to prawie rodzeństwo  
i nie po obyczaju ani nie dobrze. A młodzi wiedzą wszystko?

- Hannie miał Jaśko rzec, bo i jako jej wyjaśnić, dlaczego  
na związek nie przyzwala, gdy tyle Krzychowi winien. Znie-  
nawidzieć mnie musiała za swoją i jego krzywdę...

- A Krzych?

- Póki żywie, Jaśko miał mu nie mówić... bo matkę po-  
mścić winien, a jako że na rodzicu?... Ale czy mu nie rzeknie  
kto inny...

Książę słuchał w zadumie, gdy Spytek pokrótce opowie-  
dział jak sprawa na jaw wyszła i zakończył:

274

r

- I w tym jeszcze los mnie pokarał, że się serce we mnie  
dla niego zbudziło, a nie śmiem mu spojrzeć w oczy. Nijak  
taką krzywdę nagrodzić. Jeno łasce waszej go polecam. Lżej  
mi będzie umierać...

- Cóż tak prawisz, jakbyś zbierał się ze świata? Nie  
umiera się od zgryzot, bobym już dawno nie żył. Tak widno  
być musi, że pokuta przychodzi, gdy człek własne grzechy  
rozezna i ma je w nienawiści.

- Nie umieram od zgryzoty, jeno chcąc Krzychowi należne  
miejsce przywrócić, nie mogę żyć. Jaśko mnie powściągnął,  
bym własną ręką kary sobie nie domierzył, ale umrzeć chciał-  
bym po rycersku i po chrześcijańsku. I jeśli się da, nie darmo.

Książę objął Spytka ramieniem, mówiąc:

- Śmierć najdzie każdego, ani jej szukać nie trzeba, a wo-i.



jaka łacniej niż kogo... Juści rozumiem, że od swoich uciekasz. Możebyś burgrabią w Tczewie ostał, bo prawdę rzec, nie ufam temu niedojdzie Kazimierzowi. I to potomek Chrobrego, aże wstyd, tfu!

- Nie chcę ja nijakich godności ni urzędów. Wojakiem być wołę, któren umrzeć może, gdy trafi się sposobność.

- Tedy jedź do Gdańska, do Boguszy. Lękam się, że tam o sposobność nie będzie trudno, a para takich rąk jak twoje, przyda się. O syna zaś bądź spokojny. Nie wiedziałem, kto zacz, a udał mi się chłop.

- Tedy pozwólcie, że zaraz was pożegnam. Lżej mi w samotności.

Włodzisław powściągnął konia i wziął Spytka w objęcia.

- Żal się rozstawać. Siłaśmy razem przeżyli. Aleć nie zatrzymuję. Prowadź Bóg, gdzie Jego wola. W Bożej mocy, byśmy się jeszcze ujrzeli, bo też mniemam, że bez potrzeby zarznąć się nie dasz.

- Rad bym wam jeszcze usłużył. A gdy mnie nie stanie, powiedzcie Krzychowl...

Spytek nie dokończył, zawrócił i spał konia. Popędził, nie obejrzawszy się. Jenó ksiązę patrzył za nim, póki nie zniknął w zapadającym mroku. Potem ruszył przed siebie rozmyślając nad tym, że życie mija tak szybko, jak rośnie przestrzeń między nim a człowiekiem, który przed chwilą był tak blisko.

Ksiązę zdusił w sobie żal. Siłą woli odwrócił myśl ku Muskacie. Z tym wrogiem uczciwością nie wygrać. Jeśli Mućkata'nie przyjedzie do Krakowa, trzeba posłać do niego. Ale wolałby Włodzisław, by ukorzony biskup patrzył, jak ksiązę będzie wieńczył skronie koroną Chrobrego w jego własnej katedrze. Jenó odbudować ją trzeba, a nie ma za co. Troski krakały w księciu, jak stado czarnego ptactwa. Nie czas słuchać nieśmiałego głosu serca.

XXIX

W Krakowie zastał już Łokietek arcybiskupa Jakuba, który zjechawszy na wznowiony po raz trzeci proces przeciw Muskacie, wezwał go do sprawy na dzień św. Bazylego. Do dawnych zarzutów przybyły nowe, a Jakub nie taił, że zmierzając będzie do depozycji zdradzieckiego biskupa, by raz ład zaprowadzić w Kościele i spokój w kraju. Wątpliwe było, czy biskup stawi się na wezwanie, ale ksiązę nie mógł czekać na wynik procesu, bo wieści od Jaśka były naglące. Zebrał garść rycerstwa, pusty skarbiec bowiem nie pozwalał na uzbrojenie znaczniejszego wojska i szybko pociągnął na Sandomierz.

W tym położeniu wielkie zdziwienie, a nawet zazdrość obudził zdroj łask, jaki zlał się na mało komu znanego młodziana. Wiadomo było wprawdzie, że Krzych zasłużył się przy zdobyciu Wawelu i dobrze stawał na litewskiej wyprawie, ale przecie nie on jeden. Ksiązę pasował go na rycerza, nadał na rycerskim prawie trzy wsie dwudziestu dymów na Kujawach,

podarował dworek na Łobzowie, a co dziwniejsze trzydzieści grzywien, w czasie, gdy sam od żydowskich bankierów na lichwę pieniędzy pożyczął. Snuto różne domysły, niektórzy oburzali się nawet, sam jeno Krzych przyjmował dobrodziejstwa obojętnie, od ludzi stronił, a nawet odsręcał ich ponurą twarzą.

Nie mniejsze zdziwienie budziła odmowa księcia zabrania młodego rycerza na wyprawę, gdy rycerstwa brak mu było. Został tedy Krzych w Krakowie, nie ciekawy nawet obejrzeć swych nowych włości, jeno przeniósł się z rybaczej chaty do

~ 277 ~  
•dworku, zabierając z sobą Terkę i pacholika Unika i zniknął ludziom z oczu, tak że wkrótce przestali o .nim gadać.

Ku latu się miała i Krzycna, który zdrów już był zupełnie, zaczynała dręczyć bezczynność i nuda. Terka wyganiała go, by jechał na Kujawy, ale odparł z gniewem, że nic mu po włościach ni do nich.

- Nic ci? Tedy po coś się w tę służbę wciągał? Jeno głupi orze, kiedy zbierać nie chce. A czegoż ty chcesz w końcu?

- Czego chcę, nie dostanę. Tedy nie chcę niczego. Ostawcie mnie w spokoju.

- Głupią! Czy to spokój człeku najpotrzebniejszy, kiedy mu dziewiętnaście roków?

Krzych nic nie odpowiedział, bo czuł, że stara ma słuszność. Gdy spłynęła pierwsza gorycz, nadmiar sił nie pozwalał mu trwać w bezczynności. Nie wiedząc, co począć z sobą, zrazu zaczął zajeżdżać konie, wałęsając się samotnie całymi dniami po bezdrożach. Ale gdy znużony rumak przechodził w stępa, nalatywały Krzycha to wspomnienia o Hannie, to myśli o pomście nad Spytkiem, której odmówił Terce, choć przyrzekła mu wyjaśnić wszystko, gdy pomsty dokona. Teraz już za jedno mu było, kim jest, a sam przed sobą przyznać nie chciał, że ociągał się z pomstą, by nie zranić serca dziewczynie, a wmawiał w siebie, że już o niej zapomniał. Wreszcie uczepił się myśli, by Cedrowicowi odpłacić za porażkę i upokorzenie. Teraz już Jędrzej nie będzie mógł zbyć go pogardliwie, ni wykorzystać jego słabości. Okazał się też przeciwnikiem, którego nie można lekceważyć i Krzych postanowił dobrze się przygotować do rozprawy. Znalazłszy cel w życiu, uspokoił się i ożywił i jednego ranka, przybrawszy się przystojnie, poszedł na zamek.

Niemal na wstępie spotkał koniuszego Budziwoja, który na jego widok zakrzyknął:

- Mniemałem, żeś na Kujawach. Z nieba mi spadłeś, bo pan kazał koni ujeździć, ile strzyma; co było młodziaków, zabrał z sobą, a dziadów mi ostawił. Zaś dziadowi do młodego

278  
konia jak do młodej dziewczki: nosi go kędy chce, praśnie, kiedy się jej spodoba. A cóże twój jabłkowity ogierek? Mam" tu jeszcze jednego, któremu rady dać nie można. Może byś pomógł? Pewnie tam dziewczki na ciebie czekają, ale ja w twoich leciech dzień i noc mogłem ujeźdzać, co pode mnie wla-

zło. No, cóże stoisz i rumienisz się, jak białka przetowłosa?

Przyodziewę zmien, bo tej szkoda i hajda na konia!

- Rad wam usłużę - odparł Krzych - jeno nie dziś.

Do miasta się zbieram zbroję kupić żelazną i długi miecz.

- Prawda, żeś to pasowanym rycerzem ostał i musisz mieć, co do wojackiego rzemiosła potrzebne. No! no! Ja bezmała dwa razy starszy byłem, nim-em pasa doczekał, aleć nie zawidzę, jako drudzy. Jeno-m obaczył, jak się do koni bierzesz, wraz pomyślałem, że będą z ciebie ludzie. Jeno zbroi, co by w sam raz na ciebie była, nikaj gotowej nie dostaniesz. Ale nic to. Pójdziem do płatnerzy przy Sławkowskiej bramie, zrobią na miarę, jaką zechcesz. A z jedną wioskę przyjdzie ci na to przedać, zaś prawdę powiedzieć wydziwianie to jest. Ja ta po staremu wolę kolczugę, albo i zgoła skórzany kaftan. I człek jest zwrotniejszy i koń się nie umęczy, a to w walce najważniejsze. Długi miecz - nie mówię, zwłaszcza dla silnego jak ty chłopca. Ale i tu miarę trzeba mieć. Krzyżackim obyczajem robią ci takie draży żelazne, że jedną ręką nie ruszysz. Prawda, że takim i we zbroi człeka bez pół by przeciął, ale jeno głupiego, bo mądry w czas uskoczy. A nic gorszego, jak jałowy cios. Ani się obejrzysz, jak oberwiesz. Tedy pomnij, byś nigdy całej siły w cios nie kładł. Nie musisz łba ściać, starczy jak rozbijesz. Coc jest?

Krzych pobladł i zacisnął szczęki. Po chwili odparł:

- Nic mi. Jeno tak właśnie jak prawicie małom żywota nie zbył. I kolczuga puściła, dlatego zbroję chcę kupić.

- Puści i kuta zbroja, jeno trzeba wiedzieć, jak się do niej dobrać. A już takowej, co by się kuszy oparła, nikt by nie udźwignął. Jedno pewne: stracisz w walce głowę, stracisz życie. I ćwiczenie trzeba mieć. Jeden się rodzi na wojaka, drugi nie, ale nikt się nie rodzi wojakiem. Inak się walczy ~ 279 ~

z konia, inak pieszo, mak w pojedynkę, mak w zwarciu, inak , w pościgu, inak w ucieczce, inak mieczem, inak toporem. Nim wszystko wiesz, sił zaczyna braknąć. Żeby tak mógł, jak wiem, nikt by mi się nie oparł. I właśnie wtedy czas innych uczyć. Pomóż mi konie ujeżdżać, a pokażę ci nie jedno, bo z gadania się nie nauczysz. Kto chce pływać, do wody musi skakać. Ale pójdźmy.

Mimo to stary wojak po drodze nie przestawał pouczać Krzycha, a i on, czując życzliwość, rozgadał się i opowiedział, jak uległ Cedrowicowi w walce. Koniuszy poklepał go po ramieniu, mówiąc:

- Szczwana liszka! Na własnej' skórze wypróbowałeś, że nie zawsze silniejszy słabszego pokona; częściej wilk wołu, niż wół wilka. Ale minie cierpliwością się uzbrój. Może księżę Kaźmirz przyzwolić Cedrowicowi, by się z tobą potykał, ale z tego, co mówisz, widzę, że Jędrzej bardzo nalegał nie będzie, tedy księżę nie przyzwoli, bo i czas wojenny na Pomorzu i na Gryfitach siła mu zależy.

- Wždy na Pomorzu nijakiej wojny nie masz - rzucił Krzych.

- Nie chodzisz widno między ludzi, tedy i nie wiesz, że sam Bogusza jeździł do pana do Sandomierza o posiłki na gwałt prosić, bo go Kaźmirz ostrzegł, że skoro patrzyć, jak Brandenburczycy uderzą na Gdańsk, by Święców z powrotem wprowadzić. Przeor Wilhelm od predykantów radził, by Krzyżaków w pomoc przyzwać, którą Kaźmirzowi - przyrzekli. I Łokiet zgotdził się, bo co mu począć? Nie wojny mu brak, jeno wojska. A mężni są ci brodacze, że każdemu strach z nimi wojować, jeno pazerni. Drogo będzie ta pomoc kosztować. Od Saracenów sztuki wojennej się uczyli i wojna im chlebem powszednim. A już jeśli idzie o zamków obronę czy dobywanie, nikomu się z nimi nie równać, bo i sprzętu wszelkiego mają, ile strzyma. Karność ci u nich żelazna i po prawdzie tyle z ich mnichostwa ostało. Jeszcze za starego Guntera ze Schwarzburga, którego jakowyś pociotek tegoż imienia komturem jest w Toruniu, ubóstwa przestrzegali. Ale 280

ninie rycerskim braciom nawet majątności dziedziczyć wolno. A już z czystością - stary zaśmiał się - to sam widziałem w Malborgu osobny dom, który zamtużem zowią, gdzie nabożni bracia uczęszczają, gdy ich diabeł nadto kusi. Wolą już to, niż za sodomski grzech płaszczą białego zbyć i po koniec żywota łańcuchami dzwonić.

Budziwoj zaśmiał się, poklepał Krzycha po ramieniu i dodał:

- Będiesz tam kiedy, obaczyć warto. Dziewki po prawdzie pruskie albo niemieckie, ale pewnikiem od braci nauczyły się saraceńskich sztuk.

Widząc, że Krzych zarumienił się, ale nie podtrzymał rozmowy, stary dodał:

- Co tam! Wojennej sztuki od Krzyżaków byś się nauczył. Jedź do Boguszy do Gdańska, obaczyć warto jak Krzyżacy wojują. A psie figle człek wspomina, bo i tyle mu ostało, Gadam, bo zazwyczaj młodzi to lubią, a ja lubię młodych, ale gdybym drugi raz żył, jedną dziewczkę bym wolał, a dobrą, i. niż dziesięć kóp byle jakich. Ożeń się ty, bo inaczej siły na białkach stracisz, a na starość sam ostaniesz, jfako i ja. A nie dadzą ci spokoju, bo nie przejdzie żadna, by się za tobą nie obejrzała.

Istotnie, gdy minęli Grodzką bramę i weszli w rój na ulicę, nie było niewieścich oczu, które by się nie odwróciły za Krzychem. Stary westchnął i dodał:

- Dobrze, że wiem, iż to nie za mną, bobyś sam musiał do płatnerzy iść. I obacz, jako niewiastom nawet małżeński czepiec nie przeszkadza ślepiami strzelać. Już ty się lepiej koni trzymaj, do których rękę masz. Umiesz ich zażyć, nie narowiaj się nigdy, nie tak jak niewiasty. Czemuż milczysz? Istotnie Krzych zamilkł i zasepił się, a na pytanie odparł mruklawie:

- Nic mi do dziewczek i żenić się nie myślę.

Stary spojrział spod oka. Czuł gorycz w słowach młodziana i domyślał się jakiegoś zawodu. Powściągnął uszczypliwą uwa-

gę i kryjąc pod wąsem uśmiech ciągnął:

~ 281 ~

- Tedy chyba do rycerskiego zakonu wstąpisz, bo do zwykłego szkoda cię. Mnichy piechotą chodzą, a tak zdatnego do koni człeka, jako ty, jeszcze nie spotkał, chyba siebie z młodu. Ale cóż, kiedy naszych Dobrzyńców już nie masz, a Krzyżaki Niemce są. Bywali u nich braćmi i nasi, nawet z piastowej krwi książęta. Jenó i u nich z tą czystością, jako rzekłem. A o templariuszach gorzej jeszcze słyhać. Pono diabłu oddawali cześć, na krzyż plwali, parali się wszete-czeństwem. Licho wie, co w tym prawdy, bo pono wtedy sprawa wynikła, gdy się mistrz Jakub de Maley z królem o pieniądze pokłócił, ale to pewne, że dawno już o Ziemię -świętą nie walczą, jeno trudnią się lichwą. Są pono jeszcze rycerskie zakony w Hiszpanii, ale to gdzieś za morzami, gdzie-byś tam jeździł!

Krzych nic nie odrzekł i rozmowa, a raczej gadanie sta-rego urwało się, tym bardziej, że w Rynku panował ścisk, przez który niemal przepychać się było trzeba.

Tłum był różnobarwny i różnojęzyczny. Kręciło się dużo Węgrów, przyjeżdżających z winem i miedzią, Rusinów, któ-rzy woły przypędzali, nie brakło i innych narodowości, ale język niemiecki przeważał, bo co było znacniejszego w mie-ście, z niemieckich kolonistów się wiodło, którzy choć kopę lat już siedzieli, w pogardzie mieli krajowy język. Po nie-miecku też powitał Budziwoj mistrza Piotra, zwanego Szwar-cpeszko, stojącego przed swym warsztatem koło Sławkowskiej bramy.

Mistrz niedbale uchylił czapy z czarnego łba, osadzonego na byczym karku i coś odburknął lekceważąco, ale Budziwoj seturknął go poufale pięścią w brzuch, mówiąc:

- Cóż mnie witacie, jakoby was spalił? O te głupie trzy grzywny, com wam dłużny? Przywiodłem tego oto r;yce-ryka, na którym więcej zarobicie.

Mistrz zmarszczył się, bo za nic sobie miał rycerstwo, które często zmuszone było prosić go o kredyt, a sam boga-czem był nie byle jakim. Potem Uśmiechnął się złośliwie i rzekł:

~ 282 ~

- Witam was, dostojny rycerzu, ale na borg nic nie prze-dam, nawet za waszą poręką.

Wyciągnął dłoń do Budziwoja, a gdy ten podał swoją, ścisnął ją jak kleszczami. Dłoń miał twardą jak żelazo, które obrabiał od młodości. Koniuszy zacisnął wargi, by nie syk-nąć. Pocierając nieznacznie rękę, powiedział:

- Ten młody rycerz zasypałby was srebrem, tedy nie prosi na borg. Ja zaś nie ręczyć przyszedłem, jeno dopilno-wać, byście mu byle czego za drogi pieniądz nie przedali.

Mistrz obrzucił Krzycha ciekawym i badawczym spojrze-niem, po czym wyciągnął rękę do niego. Budziwoj patrzył, mrużąc złośliwie oczy, jak na zaciętej twarzy Krzycha wy-skoczyły mięśnie na szczękach, a Szwarcpeszce gęba poczer-

wieniała z wysiłku. Trzymając się wzajem za ręce stali przez chwilę. Wreszcie Peszko rzekł trochę zmienionym głosem:

- Puście już. Nie przedam wam byle czego, ale i zbroi gotowej na was nie dobiore, nie często się trafi taki jak wy.

- Ale miecze macie gotowe - rzekł Budziwoj - a to nam pierwsze.

- Pójdźcie - powiedział płatnerz.

Wprowadził gości do składu obok kuźni, skąd dochodziły odgłosy, które przypomniały Krzychowi mennicę na Wawelu i Krzych zmarszczył się na niemiłe wspomnienie, ale po chwili uwagę jego zwróciły stojące w szeregu pod ścianą, jak w zbrojowni, miecze. Budziwoj przystąpił i biorąc jeden z nich, powiedział: ;'

- Dobrze miecze... dla pacholków miejskich płazem cizbę rozganiać.

Ważył miecz w rękę i oglądał, wziął drugi i trzeci, wreszcie wskazując jeden powiedział:

- Ten się nawet do płazowania nie nadał, bo się na tyłku złamać gotów.

Peszko odparł osfro, ale z pewnością siebie:

- Złamcie jeno, a darmo wam miecz dam.

Koniuszy oparł miecz o ziemię i przydeptawszy nogą .pociągnął za głowicę. Trochę mu żyły wystąpiły na skroniach  
~ 283 ~

z wysiłku, ale miecz pękł. Z pogardą rzucił go na ziemię i rzekł:

- Mógłbym was za słowo ułapić, albo i zgoła\* do cechu donieść, że wyrób sprzedajecie, któren życie może rycerza kosztować;

Peszko poczerwieniał i znacznie mniej butnie powiedział:

- Słowo się rzekło i dostaniecie miecz darmo. Macie oko lepsze ode mnie. Jeno je spuścić z czeladzi, robią jak z łaski Warn dołożę workiem, a im pasem.

Nabiegłymi krwią oczyma oglądał miecz na złamaniu.

Skaza była w żelazie, na zewnątrz niemal niewidoczna. Budziwoj rzekł zimno:

- Takiego miecza ni darmo nie weźmiem. A do cechu nie doniosę, jeśli się o inny uładzimy. Plewy schowajcie dla złotodzióbów, a my co macie najlepszego widzieć chcemy.

Peszko zawahał się i rzekł:

;- Pójdźcie ze mną.

Wprowadził ich przez podwórzec koło kuźni do dworku stojącego w głębi ogrodu i wszedł przodem do komory pełnej rynsztunku. Na półkach stały hełmy różnego kształtu, pod nimi zaś wisały tarcze od małych, okrągłych, jakich używali jeźdźcy saraceńscy, do ogromnych, prawie prostokątnych pawęży, zakrywających całego niemal człowieka. W kącie pod ścianą stała kowana skrzynia. Peszko otworzył ją i zaraz zamknął, wyjąwszy owinięty w aksamit jak klejnot miecz, w bogato zdobionej pochwie z jaszczurczej skóry. Wywinięte ku dołowi i rozszerzone na końcach jelce pokryte były złocnymi napisami w niezrozumiałym języku i bogato cyzelo-

wane, uchwyt owinięty srebrnym drutem, a na szczycie głowicy wprawiony był zielony kamień. Wręczając miecz Budziwojowi Peszko powiedział:

- Hiszpański, przez Maurów kowariy. Lepszego nie najdziecie.

- Nie do koronacji nam miecz potrzebny, tedy pokażcie co tam więcej macie.

~ 284 ~

Nie czekając na przyzwolenie otworzył skrzynię i wyjął jeszcze trzy miecze. Wyniósł je na dwór, mówiąc:

- Panowie mieszczenie lubią, by głowica dziewczkom w oczy świeciła, jak klejnot. A my zaś wolim, by brzeszczot wrogom w oczy świecił, jak błyskawica.

Oglądał miecz starannie, ważył w ręku i na palcu, próbował dźwięku i giętkości, wreszcie wybrał jeden i podając go Krzychowi rzekł:

- Ten spróbuj. Głowica siedzi w ręku, jak kura na jajach, a brzeszczot lata jak jaskółka.

Krzych istotnie machał jak trzcina, jeno powietrze warczało.

- Może za letki - powiedział z Wahaniem, choć miecz podobał mu się.

- Pomachaj nim do wieczora, a poczujesz, że wagę ma.

Mało to razy bitka od świtu do zmroku, że pod koniec trudno człeku gołą ręką dźwignąć? Weź go, a będziesz mnie mile wspominał. Ilu wrogów położysz, na tyle mszy da] za mnie, a będę pewny zbawienia, bo i po prawdzie nie ma komu dbać o moją duszę i szczerze mówiąc, sam nie bardzo o nią dbałem. Przymerz no jeszcze szłom.

Stary wszedł do komory i wyniósł hełm z przyłbicą na dwóch zawiasach, oglądając go ciekawie, Peszko zaś powiedział:

- Takich jeszcze u nas nie bywało. Uważcie, jak przyłbica letko chodzi, a zaskoczy, siedzi twardo, jakby z jednego kawałka.

Wsadził Krzychowi hełm na głowę i spuścił przyłbicę, zakrywając twarz, tak że jeno broda była widoczna. Koniuszy zaśmiał się mówiąc:

-Rzekłbyś, dziewczka się za rycerza przebrała.

- Zaś czemu? - zapytał Krzych jak z beczki i zarumienił się tak, że widać to było nawet przez kratę przyłbicy.

-'Bo ci złote kędziory spod szłomu wyłażą, a na brodzie puszek, że niejedna białka ma większy. Wąs ci się już lepiej wysypał, aleś prędzej do miecza dorósł niż do brzytwy.

~ 285 ~

Mistrz Peszko zaśmiał się, ale rzekł przypochlebnie:

- I św. Michała tak malują. Taki sam w ołtarzu na Skałce stoi.

- A zaś diabeł, z którym walczy, jako dwa kubki do was podobny i nic dziwnego, bo obaj ogniem się paracie. Ale do sprawy: ile za miecz?

- Na wagę złota to broń. I dla księcia nie byłaby za licha.

- Tedy im lżejszy, tym tańszy? Głupiemu to powiedzcie, nie mnie, com więcej miał mieczy w ręku, niż wyście widzieli, choć płatnerzem jesteście. Płacimy dobrym srebrem. Ile?

- Piętnaście grzywien - powiedział Szwarcpeszko z ociąganiem.

- Trzy odliczcie za złamany miecz i stoi zgoda.

Zaczęli się tarzyć, a Krzych, którego niewiele obchodziła cena, wrócił do komórki i zaczął przebierać tarcze, podobne do Jędrzejowej. Wybrał wreszcie niewielką, trójkątną, ze skór bawolich, na dwa palce grubą, okutą po brzegach żelazną blachą z dużymi mosiężnymi guzami. Prawie nie czuł jej w ręku, ale pamiętał, co koniuszy mówił o mieczu. Wyniósł ją na pole i powiedział do Peszki:

- Tę biorę.

Peszko chciał się odezwać, ale Budziwoj wpadł mu w słowo:

- Ja tu rządę. Albo wszystko weźmiem, albo nic. Za gotowy pieniądz prosić się nie trzeba. Osiemnaście grzywien wszystko razem, a na zbroi też zarobicie, jeno nie dziś. Prędko coś wypadnie, bośmy też nie liczyli, że tak drogi miecz kupić przyjdzie.

Widząc, że Peszko się zawahał, uderzył w jego dłoń i rzekł:

- Przybite! Jeszcze litkup postawicie.

A zwracając się do Krzycha dodał:

- Dawaj pieniądze!

Krzych odpiął trzos, twardo wybity srebrem i koniuszy poszedł z mistrzem do komory, gdzie spierali się jeszcze o obrzezane sztuki, a Krzych oglądał nabyty oręż, rad z nim odejść jak najprędzej. Cierpliwość jego jednak wystawiona ~ 286 ~

została na jeszcze jedną próbę, Peszko bowiem litkup postawił na miejscu i prosił siadać. Gdy chciał nalać Krzychowi, młodzian kubek zastawił dłonią i rzekł:

- Nie lubię napitków.

Mistrzowi twarz zmierzania, a koniuszy powiedział:

- Tedy co ty lubisz? Umocz gębę, bo taki obyczaj, by kupno ważne było, a ja wypiję za ciebie i za siebie. I co inne bym zrobił za ciebie, by się ino dało. A tu masz resztę pieniędzy.

Krzych biorąc trzos zapytała

- A swój dług zapłaciliście?

- Skądże! To inna sprawa.

- Nie chcę, byście mu byli coś dłużni. ,

Zaczął wysupływać pieniądze, co widząc Budziwoj odliczył trzy grzywny i położył przed Peszką, który zgarnął je milcząc. Krzych wstał i zbierał począł zakupione przedmioty, ale Budziwoj rzekł: .."

- Szłom i tarczę mistrz nam na Wawel odeśle,, bo jeszcze nie pójdziem do dom.

Podał dłoń płatnerzowi, który z kolei wyciągnął swoją do Krzycha, ale młodzian jakby tego nie widział odwrócił się i odeszli.



Wracali Świętojańską ulicą, a koniuszy, który nad czymś dumiał, odezwał się:

- Gdzieś ty się taki uchował? Gdyby nie to, że? o łokieć wyższy od pana, myślałby kto, że książęcy syn. Ale pieniądz A się ciebie trzymał nie będzie, skoro ty o niego nie dbasz. I o co ty dbasz w końcu?

Gdy Krzych milczał, Budziwoj podjął:

- Zbroi do Peszki robić bym nie dał, bo widno cięty na ciebie. Zresztą po co będziesz kupował? Takim mieczem w takiej garści jak twoja nie jedną darmo dostaniesz, a takbyś wioskę przedąc musiał.

- Nic mi po wiosce.

- Dziś nic, a wierz staremu, życie przed tobą. Rycerz,, co na ziemi nie siedzi, ścieralką jest i za nic go mają.  
~ 287 ^

Krzych przypomniał sobie zajście z Jędrzejem i umilkł, a stary ciągnął:

- Nawykli mieszczanie, że im się ludzie kłaniają, jeno dlatego, że mają gotowy pieniądz, a rycerstwo nim nie śmierdzi. Ba! Sam książę na wojenne potrzeby prosił ich i darmo. Mówią, że kolekty dawać nie obowiązani i pergamin pokazali. A bacz jako gdzie indziej: Filip Piękny mało że wszystko zgarnął, co świat chrześcijański templariuszom nadawał, gdy o grób Chrystusa wojowali, ale jeszcze łońskiego roku Żydów wygnał, miast im zwrócić, co dłużny. I co mu? Pieniędzy ma w bród i sam papież z nim się więcej liczy, niż on z papieżem. A nasz pan bez wojska wojny musi prowadzić, bo go uzbroić nie ma za co. Ale Łokiet zacięty Mazur, a pamiętliwy. Jeszcze mu się mieszczany do stóp pokłonią, jeno już łbów nie podniosą. Tedy bacz, że człek bez pieniędzy lekki jest i płocho nimi nie rzucaj. Po cóżeś za mnie płacił? Mógł Peszko jeszcze mi poczekać, skoro ja mogę czekać księciu.

- Zeżliło mnie, bo gadał z wami jak lepszy i jeszcze siłą - się puszył ze starym człekiem. Alem mu pokazał, że nie taki mocny, jak mniema. Nawet pieniądz brał lewą ręką.

- Pomiarkowałeś? I ja pomiark owalem. Krzepkiś, bo to moczarny znany w mieście. Nie byłem ci i ja słaby w twoich leciech- i też żyłem z ręki do gęby. Ale\* mnie życie nauczyło. Ty, jakeś zły, to płacisz, a ja, jakem zły, nie płacę. Mam ci ja te trzy grzywny, ale do lepszego by się zdały, niż poleć słoniny masłem smarować. Zwrócę ci w domu, choć wolałbym majątność zastawioną wykupić. Ale cc mi ta! Ostawić nie mam komu. Jutro pójdziem do malarzy na Bawół, by ci na szłomie i szczytce znak wymalowali. A jaki zaś masz?

Krzych zarumienił się i odparł:

- Nie mam nijakiego.

Budziwoj spojrział zdziwiony i rzekł z namysłem:

- Słyszałem ci ja, żeś nieznanego pochodzenia. Ale żeby książę pasując cię żadnego ci nie dal - dziwne.

Po chwili dorzucił:

~ 288 ~

- Wiesz co? Mego ciołka se wymaluj: pcie białe, a ciołek

czerwony. Niczego sobie na oko, d nosili go biskupi i wojewodowie. Jakoż pasowany rycerz bez znaku? Nijak nie przystoi. Nawet jakbyś chciał, to bym cię usynowił, bom cię polubił, jak konia. Choć co ci po tym? Ni sławy, ni majątności ci nie ostawię, zresztą sam się dorobisz. Ale wstąpmy do Najświętszej Panny, niech proboszcz miecz pobłogosławi. Pogański, a i Peszko mógł zamówić, boś mu flaki zwywraçał. A ty się zaś do św. Jerzego pomódl, by cię przyjął do swego cechu, teraz, zawsze i na wieki wieków.

Przepychali się, bo ścisk był przy wejściu, nie tyle pobożnych, ile gawiedzi, a zwłaszcza wyrostków, którzy się naigrawali z przykutej w kunie za szyję koło bramy cmentarnej dziewczki, którą obrzucali błotem i końskim łajnem. Budziwoj, choć już wchodzili do kruchty, mruknął:

- Myślałby kto, że panowie ławnicy jeno z własnymi żonami sypiają, albo i one jeno z nimi. Boże odpuść - sam z niejedną spałem, a jeszcze też nie widział, by jaką w kunie wystawili. Przed głównym ołtarzem w pierwszych ławach siadują.

Choć na polu było jasno, w kościele mrok panował, bo właśnie budowano nowe prezbiterium i okna zasłonięte były rusztowaniami. Stary kościół, jeszcze Pełkowej fundacji, szczupły był bowiem, a bogacące się mieszczaństwo chciało mieć własną katedrę, okazalszą od Wawelskiej. Miejsca na ławy jeno dla najdostojniejszych starczyło, a dla prostego ludu zostawało go niewiele i dlatego, choć dzień był powszedni, ciasno było w przejściu między ławami. Dwaj rycerze doprhali się przed ołtarz i Krzych ukląkł koło wejścia do ław, a koniuszy zabrał od niego miecz i poszedł do zakrystii.

W ławach miejskich dostojników ledwie kilka niewiast siedziało. Krzych był tak zatopiony w myślach, czy w modlitwie, że nie posłyszał, jak jedna z siedzących wstała i chcąc wyjść zatrzymała się nad nim. Ocknął się dopiero, gdy lekko Wawelskie wzgórze -19

289

rękę położyła na jego ramieniu. Podniósł oczy w górę i spotkał wzrok pani Adelajdy.

Poznał ją natychmiast, a może i ona go poznała, bo choć twarz jej zdradzała jakąś troskę, nieznaczny uśmiech poruszył jej usta. Patrzyła nie odrywając oczu od Krzycha, który zmieszał się i odsunął, robiąc przejście. Przeciskając się otarła się ciałem o niego, a jego war oblał, jak niegdyś na Wawelu. Opuścił głowę i zacisnął zęby, ale krew głośno dudniła mu w uszach. Nie mógł już skupić myśli i po chwili przeżegnał się, wstał i ruszył ku wyjściu.

Koło furty ścisk jednak zrobił się taki, że musiał się zatrzymać. Tym razem tłum nie zajmował się przykutą nierządnicą, lecz coś innego skupiło jego uwagę. Wyrostki wspinały się na murek, by lepiej widzieć, a okrzyki zdziwienia i przestachu, oraz na przemian wybuchy śmiechu wskazywały, że odbywa się jakieś widowisko. Krzych jeno spojrzał ponad głowy tłumy, poznał Braciszka, który wyprawiał swe błazeń-

stwa. Stał otoczony gawiedzią, mówiąc coś, ale słowa ginęły w gwarze. W tej chwili jednak znowu dłoń spoczęła na ramieniu Krzycha i wysoki głos pani Adelajdy odezwał się:

- Pomóżcie mi stąd się wydostać.

Tym razem uśmiechnęła się do Krzycha zupełnie wyraźnie, a 'gdy patrzył stropiony i zarumieniony, dodała:

- Wszakże znamy się, gdyście jeszcze na Wawelu byli . w służbie u mego brata, pana biskupa. A choć, jak słyszę, rycerzem ostaliście, możecie posłużyć niewieście. Pilno mi do dom.

Krzych podniósł na nią oczy. 'Zeszczupiała i wyglądała przez to młodziej, a smutek jakiś, przebijający w jej twarzy i głosie, zacierał wrażenie oschłości i pychy. Opanował zmieszanie i powiedział niezbyt pewnym głosem:

- Pójdźcie, pani.

Przepychał się w ciżbie pod murkiem, czując niemal dotykalnie jej obecność za sobą, jakby ciepło od niej promieniujące..

Gdy tłum zrzędł, odezwała się:

- Dziękuję wam. Dalej sama pójdę.

290

Podążyła mu rękę i znowu zdało mu się, że war go oblał. Stał jeszcze, patrząc przez chwilę za odchodzącą. Odwróciła się i nieznacznie skinęła głową.

Z zadumy jednak wyrwał go w tej chwili głos Budziwoja:

- Żeby nie to, że sterczysz jak tyka, nie znalazłbym cię.

Tak ono modlisz się do św. Jerzego! Pani Adelajda, ho! ho!

Skądże ci znajomość? Ni księżna Jadwiga tak się nie nosi. Jenó że syna ma niewiele młodszego od ciebie, któren też już za dziewczkami cieką. Taki ród. Brat jej, choć biskup, a nie w ostatku wszeteczeństwo mu zarzucają, choć daleko mu do nieboszczyka Pawła z Przemankowa, co do swego kurnika mniszki z klasztorów dobierał.

Widząc, że Krzychowi mało krew nie tryśnie z policzków, dodał klepiąc go po ramieniu:

- Wraz pomiarkowałem, dlaczego ci dziewczek nie trzeba, ni żenić się nie chcesz.

Gdy Krzych zaczął coś bąkać, stary rzekł z uśmiechem:

- Nie jam twoim spowiednikiem. Co się przede mną wypierasz? Jenó się na Rynku społem nie pokazujcie, bo nie ja jeden mam oczy. Ja-ć też nie opowiadam, z kim legiwałem, choć niejedna z nich pod murawą ninie leży i przed boskim sądem, tedy o ludzki nie stoi. Zaś ludzie gadać lubią, Gerlach możny jest, a i biskup dla siostrzanych grzechów może byłby wyrozumiały, ale nie dla twoich. Nie wiem zaś, czy i Jakubowi uda się ze stolicy go wysadzić, bo wszystko można rzec o Muskacie, jenó nie że mu rozumu brak, lub chytrości.

Stary machnął ręką, a Krzych jął się żegnać, mówiąc, że znajomka widział w Rynku, z którym rad by się zobaczył.

- Juści, wierę, że rad-byś.

Budziwój uśmiechnął się domyślnie i wręczając miecz Krzychowi powiedział:

- Tedy czekam na ciebie jutro rano. Jenó nie zaśpij.

Dotrzymując danego Budziwojowi słowa, Krzych ujeżdżał stadninę niemal sam. Przez dzień nie miał czasu na rozmyślanie, a wieczorami znużony walił się na łożo, często zasypiając bez wieczerzy. Natomiast w niedzielne, i świąteczne dni przybierał się strojn timer, szedł na sumę do Najświętszej Panny. Stając w nawie patrzył na widniejącą w pierwszych ławach jasną głowę pani Adelajdy, w haftowanym złotem i perłami czepcu, spod którego wymykały się na białą szyję niesforne kędziory. Nie szukał z nią spotkania, ale zdarzało się raz i drugi, że wyszła zanim opuścił świątynię. Przechodząc koło niego rzucała mu nieznaczne spojrzenie i zdało mu się, że uśmiecha się kącikami czerwonych ust. Nie chciał od niej niczego, a nawet obawiał się zetknięcia, bo zamęt, jaki w nim wywołała, dręczył go. Ale gdy pewnego razu ujrzał obok niej rosteo, z lekka już szpakowatego męża, a pani Adelajda wychodząc nie spojrzała, ni się uśmiechnęła, coś go ukłuło, jakby doznał zawodu. Doświadczona niewiasta lepiej od niego wiedziała, jakie wywiera wrażenie na młodziku. Podobał jej się, ale szczególnie w czasie nieobecności brata nie myślała wystawiać się na plotki i obmowę. Mąż siedział wprawdzie w Lipowcu, z rzadka jeno dojeżdżając do Krakowa, ale usłudni nie omieszkali-by mu donieść, gdyby jeno coś zauważyli. Nie dbał o nią, ale dbał o swą godność i dostojęństwo i nie darowałby obrazy.

Nudziła się jednak. W mieście o ciepłej porze trudno było wytrzymać, przeniosła się tedy do dworku na Garbarach, gdzie spędzała upalne dni w zupełnej samotności. Niewiasty nie szukały jej, bo zawsze dawała im odczuć swą wyższość, mężów

292

powstrzymywała nieobecność pana Gerlacha, a podrastające jej dzieci wołały zostać w mieście i korzystać ze swobody, niż się wraz z nią nudzić. Tytko Nosderka zjawiał się często, przynosząc plotki i wiadomości. Od niego wiedziała, że znali się z Krzychem oraz że młodzian zadawał się z Ostrózką i starym koniuszym i mile przez księstwa jest widziany. Bała się jednak sama wypytywać, wiedząc, że Nosderka bystry jest, a wiadomości zbiera i roznosi nie tylko dla niej, ale wszędzie, gdzie mu się jakaś korzyść kroi.

Nie nawykła do przeciwności niewiastę zaczynało drażnić, że wymyka jej się rozrywka. Nieśmiały i trochę dziki młodzian nie uczyni pierwszego kroku, nijak zaś przemówić do niego w kościele. Ściągał oczy niewiast swą urodą i rozmowa z nim nie uszlaby ich zazdrosnej uwadze.

Samotnie rozmyślała z goryczą, że oto bezpłodnie uciekają resztki młodości. Nawet własne dzieci, które kochała drapieżną miłością, stronią od niej. A nie tak dawno nadskakiwali jej wszyscy. Zmieniło się wyraźnie od wyjazdu biskupa. Wyjechał, może nieopatrnie, bo z tego co przynosił Nosderka miarkowała, że wrócić nie będzie mu łatwo, mogą minąć lata, a czyż ona ma je spędzić jak te upalne dni, haftując i przędąc w sardzie, bo w czterech ścianach trudno było wytrzymać, zdana jeno na towarzysztwo pomdcnika miejskiego pisarza? Zabawny

był, ale na myśl o nim parsknęła złym śmiechem; i on zmienił się od wyjazdu biskupa. Nieraz miał zwyczajnej pokory widziała błysk pożądania w jego czarnych oczach. Ale takiemu jak on wystarczy jej dziewczki służebne, do których się zalecał, gdy sądził, że pani tego nie widzi.

Krzych natomiast spodobał się jej od pierwszego wejrzenia, gdy jeszcze był pacholkiem stajennym u jej brata. Wówczas jednak patrzyła na niego, jak się patrzy na pięknego psa: ma się ochotę pogłodzić go po pięknym łbie i puszystych kędziorkach, a poufała bliskość jest przyjemna.

Potem obudził jej ciekawość. Czas jakiś gadano o nim po mieście. Była dokoła niego jakaś tajemnica, która wraz z urodą ściągała oczy niewiast. Ale on patrzył tylko na nią "jedną.

~ 293 ~

Jej uroda jeszcze potrafiła usidlić każdego. Kapryśna zachcianka stawiała się treścią pustego życia upartej niewiasty i zaprzętała wszystkie jej myśli. Zaczęła szukać samotności wychodząc za miasto, gdy jeno chłodniejszy powiew pociągnął o zachodzie od bagien i rozlewisk Rudawy.

Miedziany księżyc dźwigał się właśnie wśród oparów, przeświecając z daleka łuną przez krze nad polną strugą, wzdłuż której biegła kręta ścieżka. Na niebie stały jeszcze różowe zotfze, ale w krzach mrok gasił już barwy.

W ciszy, którą jeno uwydatniał ledwo dosłyszalny szept wody i coraz radsze głosy sadowiącego się na noc ptactwa, pani Adelajda zadumała się głęboko. Zda się, że to wczoraj tak samo wymykała się wieczorami z rodzinnego domu, by marzyć w samotności o jakimś wspaniałym życiu, pełnym miłości, bogactw i władzy. Zaczęły się spełniać, zda się, zbyt zuchwałe marzenia: brat, którego jako dziecko niemal nie znała, bo znacznie od niej starszy, wyszedł z domu i długo bawił na studiach w Italii, został nie tylko potężnym biskupem, ale wielkorządcą królestwa, z władzą, jakiej nie mieli w tym kraju nawet książęta. Słabość żywił do siostry, którą świetnie wydał za męża i spełniał wszystkie jej kaprysy. Życie ją psuło, by się w końcu wykrzywić, właśnie wtedy, gdy czuła, że nadchodzi kres jego uroków, choć tak niepostrzeżenie, jak gasną zorze na niebie. Przed chwilą jasno było, a już zapada ciemność.

Z zadumy rozbudził ją głuchy tętent idącego klusem konia, który właśnie ukazał się na zakręcie ścieżki. Zaszeleściły roztrącane gałęzie i odwróciła się w sam czas, by odskoczyć, gdy wprawny jeździec na miejscu osadził rumaka. Spojrzała gniewnie i serce jej załomotało. Oto nadeszła sposobność, właśnie gdy nie myślała o niej. Krzyknęła lekko z udanym przestraszaniem. Krzych zeskoczył z konia i poznał ją również. Zmieszany po chwili milczenia zapytał:

- Potrącił was koń? Anim myślał, by o tej porze kogo na ścieżce spotkać. Wybaczcie!

- Nic się nie stało, jeno przeleżałam się. Właśnie samotności tu szukałam. Nie ma gdzie uciec od ludzi.

294

- Wybaczcie - powtórzył. - Tędy mi najbliżej do domu,

Skłonił się i ująwszy konia za uzdę chciał wyminąć stojącą na wąskiej ścieżce niewiastę. Udała, że tego nie widzi i zapytała:

- Zda mi się, że i wy ludzi nie szukacie?

Gdy milczał, ruszyła ścieżką przed siebie, a on szedł za nią, nie wiedząc co począć lub mówić. Nagle pani Adelajda zaśmiała się. Stropił się jeszcze bardziej i zapytał:

- Czemu się śmiejecie?

- Z tego, że życie jest przekorne. Szukaliście mnie u Najświętszej Panny, a należiście tutaj. I sami nie wiecie po co.

Krzych sposepniał i odparł szorstko:

- Ja was nie szukałem.

• Szła dalej w milczeniu. Krzychowi było nieswojo. Bronii się przed ogarniającym go znowu uczuciem ciepła, jakby od niej bijącego. Było zarazem miłe i przykre. By coś począć odezwał się:

- Gorąco dziś.

Zaśmiała się znowu, ale jakoś, inaczej i otrząsnęła się.

- Mnie zimno - odparła. - Wrócę już.

I głos miała zmieniony. Odwróciła się i stanęli twarzą w twarz. Oczy opuściła, zdała się bezradna i smutna. Żal mu się uczyniło szorstkiego odezwania i powiedział niepewnie:

- Jeszcze gdzie pobłądzicie, a są tu i bagna zdradliwe. Koń mi raz ulgnał po brzuch, choć często jeżdżę tędy.

- To i cóż? - odparła głucho. - Nie będziecie mnie szukać.

Stropiony zrozumiał przymówkę i bąknął po raz trzeci:

- Wybaczcie! Tak się rzekło bez pomyślenia.

- Tedy właśnie szczerze. Nie gniewnam. Jeno prośbę mam: nie przychodźcie na sumę do Najświętszej Panny. Wszak modlić się możecie gdzie indziej.

- Czemuż to? - zapytał zawstydzony, bo wyczuł drwinę w jej głosie.

Odparła zimno:

~ 295 ~

- Bo ja bym musiała przestać przychodzić. Nie rozumiecie, że mnie na obmowę wystawiacie? Patrzą ludzie na mnie... i was trudno nie dostrzec... zwłaszcza niewiastom. A dopatrzeć się potrafią nawet tego, czego nie ma...

Zaśmiała się gorzko. Krzych milczał, myśląc o tym, co słyszał od Budziwoja. Koniuszy znał się na tych sprawach. Pani Adelajda jakby czekała na odpowiedź. Gdy się nie odezwał, podjęła:

- Mniemałam, że miło wam spojrzeć na mnie. I ja... -

urwała i ruchem zawstydzonej dziewczyny podniosła rękę do oczu.

Potem wyprostowała się i mówiła wzburzonym, rwącym się głosem:

- Teraz zrozumiałam! Nie obaczyć mnie, Jeno zniesławić chcecie, choć nic wam złego nie uczyniłam.

Urwała, jakby hamując łzy. Zdumiony i zaskoczony Krzych niemal zakrzyknął:

- Ja! A za cóż?!

Kiwała głową z politowaniem:

- Może namówił was kto, wrogów mi nie brak, a dziś, gdy nie ma brata mego... a małżonek dba jeno o swoje sprawy... łacno mi zelżywość uczynić bezkarnie... ale nie po rycersku...

Głos jej się załamał. Ruszyła, chcąc wyminąć Krzycha.

Uchwycił ją za rękę. Była ciepła, miękka i giętka. Zaczął mówić rwącym się głosem:

- Nikt mnie nie namawiał. Prawda, żem was obaczyć chciał w kościele... ale jeno po to... po to...

- No, po cóż? Mąż, który za hańbę by sobie miał okłamać innego męża, chlubi się, jeśli zwiedzie niewiastę. Jeszczeście się kłamać nie nauczyli.

- Po to, by o innej zapomnieć - wyrzucił i odetchnął, jakby się pozbył wielkiego ciężaru.-

Milczała przez chwilę.

- Chcę wam wierzyć... choć trudno. Która by was nie chciała?

~ 296 ~

Z udanym zmieszaniem wyrwała rękę z jego dłoni i zaczęła mówić jakby z pośpiechem:

- Nie umiecie wy pochlebiać, ale rada bym wam ulżyć.

Jeno po co mnie szukacie na ludzkich oczach? Ja we dworcu żywię na Garbarach i często w tę stronę chadzam o wieczornej porze...

Nie dokończyła i pobiegła ścieżką ku miastu. Słuchał jej lekkich kroków, choć ucihły zaraz na miękkiej ścieżce i długo stał na miejscu. Dopiero gdy koń ogryzając gorką łozę szarpnął za rękę trzymającą uzdę, Krzych przypomniał sobie, że rumak nie obroczonej od rana. Dosiadłszy go ruszył ku domowi. Z trudem zbierał myśli i uczucia. Przywykł widzieć w pani Adelajdzie dostojną, wyniosłą i dumną żonę wielkiego wójta i siostrę krakowskiego biskupa. Teraz ukazała mu się biedną, opuszczoną i pokrzywdzoną kobietą. I jego życie puste było i biegło bez celu. Będzie mógł ją spotykać, bo po cóż by mówiła, że tędy chadza.

Spotykał ją niemal w każdy pogodny wieczór. Czasami szła z nim aż do dworku w Łobzowie, czasem on ją odprowadzał do mostku na młynówce. Była łagodna, wyrozumiała i macierzyńska. Uczyla go niemieckiego języka i śmiejąc się mówiła, że nie wszystko, co by mu chciała powiedzieć, umie wyrazić po polsku. Umiała jednak słuchać i milczeć. Oswoił się z nią, jak jeszcze nigdy z nikim i po raz pierwszy zaczął mówić o sobie. Gdy mówił, wspomnienia traciły jakoś gorycz. Nie myślał wcale o tym, że ten okres pogodny skończy się kiedyś.

Skończył się nagle i bez zapowiedzi. Dni zaczęły się zimne i słotne. Z niecierpliwością czekał, gdy niebo znowu się wygładzi, a złoty księżyc jesienny będzie odbijał swój blask w wielkich oczach pani Adelajdy. Księżyc wrócił na niebo, ale siał błyski jeno po kałużach, bagienkach i polnych strugach. Krzych kilkakrotnie czekał do późnej nocy. Potem zaczął kręcić się wieczorami koło dworku na Garbarach. Wreszcie ośmie-

lił się zapytać spotkanego pacholka o panią Adelajdę. Wróciła do domu w mieście.

Znowu w niedzielne dni Krzych zaczął uczęszczać do Naj-  
~ 297 ~

świętszej Panny, ale teraz nie starczyło mu już patrzeć na nią z dala. Stawał jak mógł najbliżej i czekał na jej spojrzenie.

Przechodziła obok niego jakby nie widząc, oczy miała zamysłone, obce i zimne. Raz odważył się zastąpić jej drogę. Odwróciła się, jakby czegoś zapomniała i wyszła boczną nawą. W następną niedzielę nie przyszła.

Krzych szarpał się i gryzł, gotów popełnić jakiś nieobliczony krok. Poczerniał, schudł i znowu stał się opryskliwy i ponury. Stary Budziwoj przez pewien czas spoglądał na niego badawczo. Gdy raz zniecierpliwiony Krzych zaczął okładać bez pomiarowania ujeżdżanego żróbka, koniuszy powiedział:

- Zleż no z niego. Koń nie białka, by go prać, a potem przepraszać.

Krzych zawstydzony zsiadł z konia, a stary wlepiwszy w niego bystre oczy zapytał:

- Powiedz prawdę: bryknęła ci baba? ;'

Krzych nic nie odpowiedział, ale jaskrawy rumieniec był wymowniejszy niż słowa. Stary poklepał go po ramieniu:

- Pociesz się. Kto chce na jednym koniu jeździć, własnego musi mieć. Ale nim kupi, wypróbuje niejednego. A tej starej klaczy nie ma czego żałować. Narowista i twarda w pysku. Koniuszy zaśmiał się rubasznie patrząc z dobrotną drwiną na Krzycha, który stał zmieszany nie wiedząc czy gniewać się, czy przeczyć. Lubił i szanował Budziwoja, a powściągnął więc porywczność.

- O czym mówicie? - bąknął.

- O koniach. A ty coś myślał? O tym, co niewiasty szepcą?

Kto by im gębę zamknął?! A pan Gerlach wrócił do Krakowa; nie stoi skórka za wyprawę.

Krzych oczy opuścił zmieszany, a koniuszy poklepał go po barku mówiąc:

- I żróbek się markoci, gdy kobyła go od cycka odpędzi.

Ale się wrychle pocieszysz, gdy z młodzieńcami hasać zaczniesz. Idź między ludzi, naucz się żyć jak oni: w kościele grać, wino pić, z dziewczynkami płaść. Książę wraca do Krakowa, wraz się ruch uczyni we dworze. Zresztą i mieszczańskie dziewczynki nie z dre-  
298

wna, a panowie mieszczańscy mile u siebie młodzieńców rycerską widzą i radzi by się z nimi krewnić. Zjeść zaś i wypić można u nich lepiej niż gdzie, bo lubią puszyć się bogactwami, kiedy nie mają czym innym. Chcesz, to cię poznamy i będę ojcował, bo już przy tobie na mnie żadna nie spojrzysz. Za to mnie w kumy do pierwszego syna zaprosisz.

Mimo iż Krzycha zaskoczyła zrazu wiadomość, że spotkania z panią Adelajdą nie są tajemnicą, uspokoił się. Już gdy pan •Gerlach wrócił, widywać się nie mogą, zwłaszcza w mieście. A w kościele unika go, by ludzie nie gadali.

Pomyślał, że mógłby spotkać panią Adelajdę w mieszczań-



skich domach, ale po zastanowieniu odrzucił tę nadzieję. I ona zapewne nie byłaby rada i jemu to nie wystarczało. Między ludźmi była wyniosła i odpychająca, aż chłodem wiało. Całkiem inna, niż ta, którą poznał: przystępna, wyrozumiała, nawet wesoła. Pamiętał jej śmiech, gdyż raz z żartów pocałowała go w usta i aż się zanosila na widok jego zmieszania. Trzeba poczekać, aż znów przyjdą ciepłe dni. Ale co robić w słotne wieczory?

Tymczasem książę powrócił i zwyczajny ruch zaczął się na zamku, a Krzych zwolniony od swych zajęć przy ujeżdżaniu koni miał przez dzień więcej wolnego czasu i przypomniał sobie o Ostróżce, którego dawno nie widział. Myślał właśnie o nim, gdy spotkali się przy bramie prowadzącej na wewnętrzny dziedziniec. Krzych powitał go z radością, ale Ostróżka się spieszył i jakiś sztywny był. Gdy mu Krzych powiedział, że właśnie miał go szukać pod Bawołem, Ostróżka odrzekł:

- Rzadko tam teraz bywam, bośmy się wraz z Braciszkiem do rybaka Siedlika zwlekli, któren słabuje i pomoc mu trzeba. Ale tam pewnikiem nie zajdziesz, a my cię szukać nie będziemy. bo i nam od ciebie nic nie trzeba.

Krzych zmieszał się i odparł:

- Czasu nie stało odwiedzić go, bo młode konie objeżdżałem Budziwojowi.

- A wieczorami starą kozę - rąbnął Ostróżka.

Krzychowi krew uderzyła do głowy:

~ 299 ~

- Co ty gadasz?

- Mnie się pytasz?! Udawaj głupiego, jeśli wola, ale mnie za głupca nie miej. Teraz czasu nie mam. Chcesz gadać, to zajdź, nie to idź do licha. Dla mnieś ni szeląga więcej nie wart niż wonczas, gdyś bez portek chodził.

Odwrócił się i odszedł zostawiając Krzycha gniewnego, rozżalonego i zawstydzonego.

Lista zbrodni zarzucanych Muskacie była długa, ale proces krótki. Biskup, mimo zapewnienia bezpieczeństwa, danego mu przez Jakuba odpowiedział zuchwale, że nie starczy mu ono, a przyjedzie, jeśli książę poręczy na piśmie pod przysięgą, że bez względu na wynik sprawy nie pozbawi go wolności. Na termin nie stanął i zdał się lekceważyć sprawę, bo nie wniósł obrony, ni świadków dla odparcia zarzutów nie powołał. Trudne by to zresztą było w Krakowie gdzie występki jego jawne i wszystkim wiadome stwierdzali pod przysięgą nawet członkowie własnej kapituły. Proces przeto toczył się szybko i w dniu św. Bonawentury, w kościele braci mniejszych, arcybiskup uroczyście ogłosił wyrok, uznający Muskatę winnym symonii, morderstwa, krzywoprzysięstwa, obrazy majestatu, trwonienia dóbr kościelnych i wielu innych zbrodni. Sam Jakub obłożył go klątwą, uznając jednocześnie, że niegodzien jest piastowanego urzędu i winien zostać przez Stolicę Apostolską zdeponowany.

Było jednak do przewidzenia, że Muskata nie poprzestanie na tym i bronić się będzie ręką prawą i lewą. Kuria zaś, choć

Łokietek był jej potrzebny w walce z cesarstwem, ze zbyt wielu względami liczyć się musi, by obrotnego i wpływowego biskupa dla niego poświęcić.

Wiść o wyroku doszła Łokietka nad Bugiem, gdzie walki jeszcze trwały. Gdy jednak przygasły z pierwszymi słotami jesiennymi, zebrał się jechać do Krakowa, zostawiając szczupłe wojska pod wodzą Jaśka Leliwy i sandomierskiego kasztelana, Piotra Jelity z Mokrska. Żegnając się powiedział:

~ 300 ~

- Radźcie sobie wedle możności, na pomoc nie licząc. Radzie j ja czekam, byście mi, co wam się okaże zbędne, obesłali, bo też i gdzie indziej wojsk mi potrzeba.

Do starego zaś wojewody, Jakuba Poboga, który z powodu odnowienia ran wracał do swego Koniecpola, rzekł:

- Radbym o Sieradz zawadził, ale mi nijak. Jeśli wydolicie, wstąpcie do małżonki mej, która tam siedzi, bo się w Krakowie pewna nie czuje i pono do rozwiązania, daj Bóg szczepśliwą, ostanie. Niechby choć tyle było pomyślności, bo wsząd jeno ciosy się sypią.

- Wszak ci i sprawa z Muskata pomyślnie dla was poszła - napomknął wojewoda.

Łokietek zamyślił się, aż zmarszczka brwi mu przecięła.

Potem odparł:

- Tyle w tym pomyślnego, że skoro arcybiskup niegodnym go uznał i domaga się depozycji, nie będzie się tym razem o niego dopominał...

Książę nie dokończył, a wojewoda rzekł:

- A i cóż po nim Śwince? Gdy Muskała stolicę straci, straci i znaczenie. Jeśli jeno szkodzić przestanie, niech wraca, skąd przyszedł.

Łokietek nic nie odpowiedział, zacięty wyraz jego twarzy zdradzał jednak, że nie zamierza tak lekko skończyć z Muskata rachunku. Ale Pobóg całe życie chadzał prostymi drogami i nie mógł domyślić się, jakie sposoby, poznane w czasie swego wygnania, ma na oku Włodzisław. Jednego wojewoda świadomy był, znając księcia: jak rycerz, obskoczony zewsząd, chroni przede wszystkim głowę, tak Łokietek ponad wszystko dba o krakowską stolicę, której posiadanie dawało mu ziemię pod nogami. Ale książę wiedział, że nigdy Krakowa pewny nie będzie, dopóki zdradziecki biskup może stolicę obcym władcom zaofiarować, wraz z poparciem niemieckiego mieszczaństwa - i duchowieństwa.

XXXI

Muskała siedział w gościnie u przyjaciela swego, wrocławskiego biskupa, Henryka z Wierzbna i istotnie rozglądał się, kogo sobie "wybrać na księcia". Choć wyroku mu nie doręczono, znał jego treść, która nie była dlań niespodzianką, nie tym się więc szczególnie troskał. Gorzej go dotknęła śmierć Rudolfa, z którym już zdołał nawiązać porozumienie. W Czechach powstał zamęt, a obrany królem Henryk Karyncki nie miał miru i biskup jako szczywany gracz nie chciał się wiązać z nim przed rozproszeniem wątpliwości, czy Henryk utrzyma

się w Czechach. Tymczasem zamiast się rozwiać, pogłębiły się one przez wieść o zamordowaniu cesarza Alberta. Czechy uznane zostały za lenno cesarstwa i można było oczekiwać zmian. Muskata poczuł, że grunt pod jego nogami staje się niepewny, a zasoby się wyczerpywały. Wiedział, że może przewlekać proces, póki mu będzie trzeba, ale wymagało to pieniędzy. Tymczasem olbrzymie dochody z krakowskiej diecezji pobierają jego wrogowie. By się do nich dobrać, trzeba by pogodzić się z księciem. Biskup głowił się, jak nawiązać układy z nieufnym i doświadczonego przeciwnikiem, gdy los mu się znów uśmiechnął: jednego dnia sam Henryk z Wierzbna przyniósł wiadomość, że dwudziestego sierpnia Brandenburczycy ruszyli na Gdańsk. Trudne położenie Łokietka pogorszyło się jeszcze.

• Muskata zatarł ręce mówiąc:

- Najlepsza pora pogodzić się z krakowskim księciem.  
- Wzdyscie się już po dwakroć godzili - odparł Henryk z powątpiewaniem. - Nie więcej on wam ufa, niż wy jemu.

~ 302 ~

- Tym łatwiej się pogodzić, gdy wiadomo, że nie pokój to, jeno armistitium1 - zaśmiał się Muskata. Obu nam zależy na czasie; komu bardziej, ten pierwszy rękę wyciągnie. Tedy ja poczekam.

Henryk potrząsnął głową, ale już nazajutrz przyznać musiał, że Muskata dobrze oblicza. Od księcia przyjechał komornik Bodwin z pismem. Biskup krakowski przyjął go obojętnie i wyniośle, od niechcenia przebiegł oczyma pergamin i z uśmiechem wręczył go Henrykowi.

Łokietek pisał, że godne pożałowania spory i niesnaski szkodę jeno przynoszą Kościołowi, zgorszenie wiernym, a korzyść nieprzyjaciołom. Wyrażał przekonanie, że byle ład i spokój przywrócić w krakowskiej diecezji, nawet surowy arcybiskup na niejedno przymknąć zechce oczy, ku czemu sam księżę nakłaniał będzie, gdy jeno pewność zyska, że biskup szczerze pragnie zgody i przywrócenia wzajemnej ufności. Gdy zaś, jak sły chać, biskup jeno dlatego przybycia do Krakowa odmówił, że brak mu było książęcego poręczenia, tedy niniejszym wolność i życie książęcym poręcza mu słowem i przysięgą wobec Boga utwierdza, czyniąc to dla okazania dobrej woli, gdyż żądanie takie słusznie za obrazę mógłby poczytać.

Muskata wiedział, co mysiec o własnych i cudzych przysięgach, ale serce i potrzeba ciągnęły go do Krakowa. Jeżeli po tym piśmie przyjazdu odmówi, nie wiadomo kiedy zobaczy jedynych ludzi, których darzył uczuciem. Księżę potrzebuje spokoju, tedy chwilowo nie będzie chciał łamać danych na piśmie zobowiązań. Dla wszelkiej pewności Muskata prosił jeno wrocławskiego biskupa, krewniaka metropolity, by mu towarzyszył, pod pozorem pośrednictwa w układach, a w rzeczywistości dlatego, że obecność jego uważał za rękojmię, że Łokietek na gwałt się nie porwie. Ruszył więc w drogę.

Podróż szła składnie, gdyż rankami i wieczorami pierwsze przymrozki ścinały już błota jesiennych roztopów. Dopiero ostatniego dnia pod zachód wiatr naniósł chmur z północy

' zawieszenie broni

303

i orszak, wjechawszy do miasta w deszczu i mroku, pociągnął do predykantów i tam stanął gospodą.

Ze straży dano znać na ratusz, a od predykantów do sąsiedniego wójtowskiego gródka, ale tonące w kałużach i ciemnościach miasto spało już. To też kasztelan Wierzbęta, który nie bacząc na pluchę, przybiegł ze swego dworca na zamek z wieścią o przyjeździe Muskaty i domagał się niezwłocznego widzenia z księciem, wielce był zdziwiony, gdy pełniący służbę komornik oświadczył:

- Księżę zakazał puszczać kogokolwiek. Jeśli o przybyciu biskupa donieść chcecie, to panu już wiadome...

- Tedy oznajmijcie jeno, że jestem na zamku i tu przenocuję - odparł kasztelan.

Komornik zapukał do drzwi, spoza których dochodziły głosy, ale nie otrzymał odpowiedzi. Kasztelan odszedł tedy na swą gospodę, a komornik usiadł na ławie pod oknem, nasłuchując jak wiatr hula na dworze i deszcz puka w okiennice.

W taką noc i psa żal wygonić.

Łokietek niewielką żywił nadzieję, że zdoła zwabić Muskatę do Krakowa, to też przyniesiona przez Ostróżkę wieść o przybyciu biskupa zaskoczyła go. Księżę powstał żywo i przez chwilę chodził po komnacie, po czym zatrzymał się przed kominem i wpatrzony w ogień zadumał się głęboko.

Gdy przedtem myślał o możliwości przyjazdu wroga, którego napotykał niemal na każdym kroku długiej, ciężkiej i bolesnej drogi do upragnionego celu, zawziętość usuwała w cień wszelkie wątpliwości: skończyć za każdą cenę! Ale teraz trzeba było działać i to prędko. Postanowienie nie było łatwe i powzięć je należało na zimno, nie folgując namiętności. Wciąż jeszcze drogo płacił za nabyte doświadczenie.

Ostróżka, który bacznie śledził księcia, dojrzał gorzki uśmiech na jego suchej twarzy. Łokietek właśnie pomyślał, że wrogowie jego nawet męczennika potrafią zrobić z biskupa, gdy im będzie potrzeba, a mogą mieć w rękach dokument z księ-

żącą pieczęcią, z którego jasno wynika, że Muskała podstępnie został zwabiony w pułapkę. Włodzisław za nic miał przysięgę daną krzywoprzysięcy, ale obliczał skutki jej złamania. Gdyby z Muskały zdjęto święcenia, mógłby go przed swój sąd postawić i stracić. Tak jak sprawy stoją może jedynie kazać zgładzić go chyłkiem, a ten sposób odrzucał.

Jeśli go uwięzi, może arcybiskup za nim się nie ujmie, skoro go sam niegodnym uznał urzędu. Ale Kuria? Tam mniej wiadano o sprawkach Muskaty. Ma możnych przyjaciół, ujmą się za nim ani chybi.

Gniew znowu powstał w księciu. Kto go trzyma w Krakowie, w czasie, gdy wszystkie siły wyteńczy winien, by z pomocą przyjść zagrożonemu Gdańskowi? Powziął postanowienie i zagadnął Ostróżkę:

- Do predykantów biskup zajechał?

'- Społem z wrocławskim biskupem - przytaknął Ostróżka.

- Przewrotny - mruknął Łokietek i znowu zaczął chodzić po komnacie.

Nagle zatrzymał się przed młodzianem! zapytał:

- Co ty masz z biskupem?

- Obrachunki - odparł Ostróżka, na pozór obojętnie, ale ksiązę wiedział, że gdyby przyszło sprzątnąć Muskatę, wykonawcy nie daleko by mu szukać. Powiedział pół do siebie, pół do Ostróżki:

- Zgody mi z nim potrzeba... takiej jak chcę. Bym go jeno bez hałasu w ręce dostał! Ale jakoż? Ma tu swojaków i stronników, tylko im przywódcy brak i pozoru, bunt wybuchnąć gotowy... gdy mnie spokój niezbędny.

- Dajcie mi jeno ze dwudziestu śmiałego chłopca, co się ni z biskupem, ni jego pociotkami liczyć nie będą, a przywiodę go wam na powrozie, choćby i dziś.

Książę patrzył przez chwilę na Ostróżkę.

- Powiadasz: choćby dziś?

Zaklaskał w dłonie, a gdy z jawił, się służbowy komornik, rozkazał:

Wawelskie wzgórze - 20 305

- Przywołać Piotra z Drenową.

Zwracając się zaś do Ostróżki dodał:

- Węgrzyn! się nie zważają, choćbym im klasztor spalić a mnichów wyrznać kazał. Jeno rozumiesz, nie chcę rznąć ni palić. Po cichu ma się stać, żadnych zabójstw. I gardłem mi odpowiadasz za to, że biskupa w dobrym zdrowiu przywieziesz. Nie stać mnie, by sobie jeszcze jednego kłopotu napytać. Dość hałasu będzie, bom mu też wolność poręczył. Próbuj go zrazu po dobrej woli wywabić. Niech choć pozór ostanie, że go jeno na rozmowy proszę...

- Rozumiem - Ostróżka skinął głową i ciągnął ze złym uśmiechem: - W miechu go przyniosę, by się nie stłukł po drodze, a zdrowie ma pan biskup żelazne, nie byle co mu zaszkodzi.

- Jeno nóż tu ostaw - powiedział ksiązę, uśmiechając się pod wąsem - widzę, że Muskatę bardzo miłujesz, mogłaby ci ręka sama do noża skoczyć.

W tej chwili zapukano do drzwi i wszedł dowódca węgierskich zaciężników. Chłop był barczysty, pierś miał wypukłą % nadmiernie długie ręce. W smagłej, jakby wygarbowanej twarzy świeciły białka czarnych jak węgiel oczu, na które opadał kosmyk lśniących włosów z podgolonego łba. Skłonił się, czekał, na rozkazy.

Książę jednak zwrócił się do Ostróżki, mówiąc:

- Piotr da ci swoich ludzi z węgierskiej jazdy. Za nic im suknia duchowna ni poświęcane miejsce.

- Tedy sami im rozkażcie, że rabować ni mordować nie mają. Ja jeno dopilnuję, by biskupa żywcem wam dostawić. Reszta nie moja rzecz.

Książę zaczął mówić z Piotrem w węgierskim języku, a wójak jeno głową kiwał, jakby o zwykłą rzecz chodziło. Zwraca-

jąc się do Ostróżki Łokietek powiedział:

- Ludzie będą zaraz. Tedy rozmów się z rycerzem Piotrem, jak sprawę przeprowadzić.

- Po drodze się rozmówim, bo spieszno działać trzeba.

Pan biskup zdżony być musi, tedy się wcześniej ukłaść goto-306

wy. Zazwyczaj sypia na wyżce nad izbą, gdzie księgi przechowują. Ale pozór by wszelki odpadł, że go na rozmowy prosicie, gdybym go w gaciach przywiódł. Tedy lepiej, bym go jeszcze przy kielichu zastał.

- A do klasztoru jakże się dostaniesz?

- Juści, że mnie z dwudziestu ludźmi przez główną bramę nie wpuszczą, ale i mnichy nie zawsze nią chadzają. Kaźcie jeno godne pomieszczenie dla biskupa przygotować.

Zwracając się do rycerza Piotra dodał:

- Pójdźmy. Powrozów weźmijcie i spory wór na pana biskupa, v .

Przeor Henryk radośnie powitał zaprzyjaźnionego dostojnika, którego nie spodziewał się rychło ujrzeć. Z powodu spóźnionej pory uroczyste przyjęcie odłożono do drugiego dnia, a na wieczrę w przyległej do refektarza małej izbie zebrało się jeno kilku dostojników klasztornych. Po wieczery Muskata, który lubił zabawić się kielichem, rozpytywać począł o najnowsze wiadomości z miasta, wrocławski biskup jednak, którego to nie zajmowało, a znużony się czuł po podróży, powiedział:

- Trzeba by nam z rana na Wawel się udać, bo długo tu bawić nie mogę, a przedtem jeszcze rad bym mszę na intencję układów odprawił; tedy czas spocząć.

- Spocznijcie, miły bracie - odparł Muskała z uśmiechem - a ja sobie jeszcze posiedzę. Do ołtarza mi przystęp wzbroniony, a na Wawel nie wcześniej się udam, aż układ będzie zawarty. Tu mi bezpieczniej.

- Słusznie prawicie, wielebny panie - wtrącił przeor. -

W naszych murach możecie spać spokojnie, ale nawet na mieście radziej się nie pokazywać. Jutro po nabożeństwie panów z miasta się zaprosi na naradę, a i dostojną siostrę waszą od klauzury zwolnię, byście z klasztoru zgoła wychodzić nie musieli.

307

- Dziękuję wam - odparł Muskała - chociaż zda mi się, że to już zbytek ostrożności.

Henryk z Wierzbna wstał, by się pożegnać, gdy brat lektor, który słuch miał bystry, wtrącił:

- Wybaczcie! Zda mi się, że krzyk jakowyś słyszałem...

Nasłuchiwali przez chwilę, ale jeno wiatr szumiał w gałęziach drzew i świstał w szparach okiennic.

- Zdało wam się, bracie - zaczął biskup, ale w tej chwili w sąsiednim refektarzu jakby ktoś sprzęt jakiś potracił. Na wszystkich twarzach zjawił się niepokój, jeno Muskata rzucił lekko: ,

- Strach ma uszy nie mniejsze od oczu.

Ale i jemu oczy uczyniły się okrągłe, gdy drzwi od sąsiedniego refektarza uchyliły się bezgłośnie i stanęła w nich obca postać, ociekająca wodą.

Choć przybyły był sam, wszyscy zerwali się, a przeor krzyknął z gniewnym przestraczem:

- Kto tu?

- Posłaniec od-księcia Włodzisława do pana biskupa krakowskiego. Widzę, że dobrze trafiłem, choć ciemno.

Nie zdejmując z głowy czapy skłonił się Muskacie, mówiąc:

- Pan nasz pilnie was prosi do siebie.

\ Zjawienie się obcego człowieka o tej porze i w takich okolicznościach obudziło już czujność Muskały. Przewiercił przybysza oczyma i odparł ostro i wyniośle:

- Jeśli to prawda, że księżę śmie tym sposobem do mnie się odnosić, rzeknij mu, że sam uwiadomię kiedy i gdzie do rozmów będę gotowy.

Ostróżka przystąpił bliżej i odparł:

- Raczcie wybaczyć, że nie kasztelana z orszakiem do was wysłał, jeno mnie, ale powtórzyć wydolę, co mi nakazał: zdziwiony jest, że miast na Wawel, chyłkiem zajeżdżacie tutaj.

Albo to obraza dla księcia, że słowu jego i przysiędze nie ufacie, albo gorzej jeszcze, żeście nie do niego na układy, lecz do miasta, gdzie nic nie macie do szukania, póki się z panem nie ugo-

~ 308 ~

dziele, na knowania zjechali, bo i to mu wiadomo, że wójt już o waszym przyjeździe uprzedzony. Tedy księżę prosi, byście nie odmawiali przybycia, jeśli poręczenie jego ma pozostać w mocy. Muskata nie chował się między ołtarzem a zakrystią. Zrozumiał, że księżę z danego słowa chce się wycofać, ale nie wierzył, by tym sposobem pozwolił go jeno przestrzec. Rozbudzona czujność wietrzyła niebezpieczeństwo. By zyskać na czasie powiedział z pozornym spokojem:

- Z dobrej woli przyjechałem i gotów jestem choćby zaraz ją okazać, ale noc przecie i zawierucha. Tedy sędzę, że księżę do rana poczekać zechce, a wtedy nie mieszkając się stawię.

- Księżę czekać umie, ale nie lubi. Dlatego pospieszcie się, dostojny panie.

Muskata wstał, jakby istotnie zamierzał posłuchać wezwania, mówiąc z namysłem:

• - Plucha, jak widzę, na dworze. Ze szczętem przemokłeś.

Wyciągnął rękę, jakby chcąc dotknąć pociemniałych od wilgoci szat Ostróżki i niespodzianie potężną dłonią za ramię go uchwycił, przygotowany, że przeciwnik zacznie się miotać i wyrywać. Ale Ostróżka stał spokojnie i powiedział dobitnie:

- Wasze tu obecne wielmożności biorę na świadki, jako mnie, księżęcego posłańca, gwałt spotyka. Nie- byłby księżę panem, gdyby nań siłą odpowiedzieć nie potrafił.

' - Przesiedzisz w ciemnicy do rana, póki się nie upewnię, żeś nie jakowyś rzezimieszek, co mnie jeno wywabić chce z klasztoru - odparł Muskata, zaskoczony spokojem przeciwnika,

- Przesiedzicie wy w ciemnicy, póki się książę nie upewni, że go z waszej strony żadna więcej obelga ni zdrada nie spotka...

Gwizdnął przeraźliwie. Muskata chciał go chwycić pod gardło, ale Ostróżka niespodzianie podbił mu nogi i obydwaj upadli na posadzkę, taczając się po niej. Nim obecni ochłonęli, w sąsiednim refektarzu jakby kto burzę rozpętał. Rozległy się wrzaski i łomot wywracanych w ciemności sprzętów, a do komnaty wpadła gromada zbrojnych. Przeor poznał posiłkowych  
~ 309 ~

Węgrów i nie miał już wątpliwości, że to książę nasłał ich na klasztor. Nie czas było myśleć jak się nocą przez mury przedostali; sam jeden rzucił się osłaniać biskupa, który przytrzymywany przez Ostróżkę, daremnie usiłował powstać.

- Brać go! - krzyknął Ostróżka.

Twarde ręce odepchnęły przeora, aż się na stół zatoczył i patrzył z przerażeniem, jak wiążą broniącego się, niczym pojmany zwierz, Muskate. Pozostali trzęśli się ze wzburzenia i strachu.

Węgrzy z wprawą starych zbójów związali szamocącego się biskupa. Przeor, czując się bezradnym, krzyknął:

- Przed Bogiem i Ojcem świętym pan wasz za swe zachwalstwo odpowie.

Jeden z napastników zrozumiał widocznie, gdyż burknął coś po węgiersku. Słowo musiało być grube, gdyż pozostali jak jeden mąż wybuchnęli śmiechem.

Ostróżka wstał poprawiając na sobie szaty. W czasie szamotania czapa spadła mu z głowy i Muskata ujrzał jego płomienie czerwone włosy. Mignęło mu przez myśl, że takie już kiedyś widział, ale nie miał czasu na rozmyślanie, bo w tej chwili wór zakrył mu oczy. Czuł, jak go niosą, ujawszy za głowę i nogi.

Zaspany furtian przy bramie otrzeźwiał, otrzymawszy sam nie wiedząc za co kilka policzków. Szybko otwierał, nie pytając komu. Straż przy grodzkiej bramie, sownie obdarzona kopniakami, również nie miała czasu słać do hutmana, czy bramę otworzyć pozwoli. Potem słuchała, jak wśród szumu ulewy i plusku nóg w kałużach Węgrzy oddalali się, gwarząc i śmiejąc się głośno.

Gdy głosy ich ucichły, strażnicy popędzili na ratusz, uwia- domić władze miejskie o zajściu. Sam hutman co prędzej pognął do wójta, u którego zastał już posłańca z sąsiedniego klasztoru, z zawiadomieniem o porwaniu biskupa. Nim zaszarzał słotny, zapłakany poranek jesienny, całe miasto już wiedziało, że książę uwięził Muskate.

XXXII

rani "Adelajda nie była młodą dziewczyną, by jej starczyło to co Krzychowi, tym bardziej, że lepiej niż on zdawała sobie sprawę, iż naraża się na obmowę - za nic. Toteż gdy sprawa się przeciągała, a okoliczności ułożyły się niekorzystnie, postanowiła przerwać spotkania. Na razie zadowolilo ją przekonanie, iż jeszcze potrafi usidlać, kogo zechce, resztę zostawiła



przypadkowi. Tymczasem, jeżeli nawet ludzie coś pomiarkowali, zapomną.

Zresztą wkrótce sama przestała o tym myśleć, bo od brata przysłała wiadomość, że ma nadzieję, iż wkrótce będzie się mógł zjawić w Krakowie. Przygnębienie pani Adelajdy minęło, ustępując miejsca niecierpliwości i podnieceniu. Ani przez chwilę nie wątpiła, że biskup wraca z jakimś możliwym poparciem, by jak dawniej sądzić i karać. Poświęciła myśl przypominaniu, kto i co wobec niej zawinił, spodziewając się dokonać i własnych porachunków. Jak jątrząca się zadra tkwiło w niej wspomnienie ryżego wyrostka i nie pomszczonej zniwagi. Pan Gerlach znowu wyjechał do Lipowca przypuszczając, że biskup zechce tam wstąpić po drodze, wieści zasięgnąć i zapatrzeć się w zasoby. Pani Adelajda w oczekiwaniu ledwo już miejsce znaleźć sobie mogła. Wreszcie jednego wieczora, gdy właśnie zbierać się zamierzała na spoczynek, przybiegł pacholek z ratusza z wiadomością o przyjeździe biskupa. Odetchnęła, ale sen odleciał od niej. Z trudem powściągnęła chęć, by zaraz biec do dominikanów; na dworze jesienna szaruga, do klasztoru pod żadnym pozorem nocą jej nie wpuszczą, a brat sam pomyśli, by się z nią ujrzeć jak najprędzej. Czując, że nie

~ 311 ~

zaśnie, odesłała służbę, a sama siedziała przed kominem skracając wlokące się godziny dorzucaniem drew. W końcu jednak ulegając ogarniającej ją senności, zadrzemała siedząc. Ocknęło ją kołatanie do bramy. Opanowana jedną myślą zerwała się, spodziewając się wieści od brata, a może i jego samego, choć noc już była głęboka. Zanim jednak włożyła ciepłe okrycie, posłyszała zgrzyt otwieranej furty, a na schodach głosy, między którymi rozróżniła głos hutmana. Tknęło ją złe przeczucie. Coś ważnego zająć musiało. Nim zdążyła jednak wyjść naprzeciw w drzwiach stanął zdyszany hutman i łapiąc oddech powiedział:

- Książę porwał pana biskupa.

Miotana na przemian wściekłością i niepokojem pani Adelajda, doczekawszy świtania, pobiegła do predykantów. Pano wało tu zrozumiałe zamieszanie. Przeor pieklił się na braciszka, który nocą dozór miał na podwórzu przy stajniach i młynie; podejrzewał że braciszek schronił się do szopy przed deszczem i usnął, dlatego napastnicy naszli go zniemacka i związali, ledwo krzyknąć zdołał. Braciszek, pół żywy jeszcze z przerażenia, bożył się, że czuwał i mury obchodził, a nie zauważył nic podejrzanego, nim go na ziemię obalono i związane, zakneblowany usta. Brat lektor jednak przypomniał, że przywódca napastników, którego przed dwoma laty egzorcyzmowano w klasztorze, zniknął wówczas w niewyjaśniony sposób, ani chybi za pomocą czarów, tak jak i teraz, w niewiadomy sposób dostał się do klasztoru.

Biskup Henryk z Wierzbna wrzał z oburzenia i wybierał się na zamek, upomnieć się o przyjaciela. I w mieście było poruszenie, a niektórzy z panów radnych domagali się wysłania poselstwa do księcia z żądaniem zwolnienia biskupa. Rozsądnie j si

jednak sprzeciwili się. Jak się okazało słusznie. Henryk z Wierzbna wrócił bowiem wkrótce, jeszcze bardziej wzburzony, niż poszedł i zaraz zbierał się wracać do Wrocławia. Opo-  
~ 312 ~

władając przebieg rozmowy z księciem aż się zacinał z gniewu, a obecni słuchali go ze zgrozą.

Księżę przyjął wrocławskiego biskupa stojąc i nawet siadać go nie prosił. Wysłuchał zarzutów krzywoprzysięstwa i napomknienia o klątwie ze zmarszczonym czołem, a na żądanie zwolnienia Muskały odparł:

- Swemu gołowąsemu żółtodzióbowi żądania stawiajcie na swoich śmieciach we Wrocławiu. U mnie nalazłoby się miejsce w lochu i dla was, tym łacniej, że odwdziękę wam winienem za gościję, której wrogowi memu udzielacie. Mówicie o pergaminie? Bezpieczeństwo układów, a nie swobodę knowań poręczyłem. Przysługę chcecie oddać przyjacielowi, poradzę wam jedno: niech mi się mieszczanie do sprawy nie mieszają, bo mi głowa "Muskały za spokój w mieście ręczy i pewniejsza mi ta poręka niż wszystkie jego przysięgi. A będzie spokój, żywotowi jego nic nie grozi, tedy wracajcie do swego Wrocławia, im prędzej, tym lepiej, bym się zaś nie rozmyślił, bo i to wiem, że szkodzić mi będziecie. A choćby mi sam Ojciec święty przykazował, nie prędzej puszcze Muskatę, aż się przekona, że ja tu panem, nie on. Tak mi Boże dopomóż, a tej przysiędze możecie zawierzyć.

Biskup Henryk tym chętniej poszedł za radą księcia, że i panowie radni przestrzegali go, iż Łokietek i zbójów nasadzić potrafi, by się pozbyć niewygodnego człeka. Przyrzekł jednak pani Adelajdzie, że się o przyjaciela upomni u krewniaka swego, arcybiskupa i u samego Ojca świętego. Wy jechał pod wieczór i podązał szybko, jakby go kto ścigał; odetchnął dopiero gdy minął śląską granicę. Przyrzeczenia dotrzymał i zaraz po-  
, biegły posłance do Gniezna i Awinionu.

Ale Gniezno milczało, a Awinion był daleko. Tymczasem potężny niegdyś wielkorządca królestwa siedział w podziemiu wieży krakowskiego zamku, w którym niedawno rządził się jak chciał. Ten sam rudowłosy pacholek, który go porwał od dominikanów, przynosił raz na dzień nędzną strawę i stawiał ją przed więźniem bez słowa. Światło jego łuczywa odbijało się zrazu w wilgotnych zaciekach jesiennych, a potem zaczęło się  
~ 313 ~

łamać w lodowej sadzi na ścianach, wskazując, że na polu jest zima.

Muskata twardy był. Wiedział, że księżę po to go uwięził, by wymusić korzystną dla siebie ugodę, ale ani myślał się poddawać. Nie wątpił, że ujmą się za nim możni przyjaciele i czekał z dnia na dzień odmiany. Potem zaczął czekać na wiadomość o warunkach, jakie księżę zamierza za zwolnienie postawić. Przyrzec można wiele. Gdy jednak nie zjawiał się nikt od księcia, biskup mimo, iż ślubował wymyślną śmierć swemu dozorczy, postanowił spróbować, czyby się milczącego rozruszać nie dało. Dotychczas udawał, że go nie dostrzega, zagadnął tedy z po-

zorną obojętnością:

- Do Godów mamy daleko?

Miał odpowiedź otrzymał spojrzenie złych i zimnych oczu drapieżnika czającego się na łup. Zamilkł i postanowił nie pytać więcej, ale choć odważny był, obecność dozorca zaczęła budzić w nim niespokojną czujność, niczym bliskość dzikiego zwierza. Zarazem upewnił się, że gdzieś już widział podobne płomieniste włosy i zaczął się domyślać, że pacholek ma z nim jakiś ciężki porachunek. W samotności i nudzie dręczył się przypominaniem wszystkich krzywd, jakie ludziom wyrządził, gdy był przy władzy. Jak świecącego kamyka w strumieniu szukał w tym tłumie skrzywdzonego człeka z płomiennymi włosami. Czasami zdało mu się, że już chwyta wątek i znowu gubił się w zamęcie. Nachodziła go nieprzeparta chęć wyjaśnienia przypuszczeń. Po raz pierwszy w życiu czynił rachunek sumienia, jeno od żalu był jeszcze daleki. Ale do nędzy, jaką znosił z wyniosłą pogardą, dołączył się wewnętrzny niepokój, który zaczynał przeżerać Muskate. Dotychczas sypiał dużo i głęboko, skracając tym sobie nudę oczekiwania. Teraz zaczął spać czujnie i budził się na najlżejszy odgłos, po to, by w głębokiej ciemności aż do bólu wyteżać oczy, czy nie skrada się zaczajony wróg. Śmierci się nie bał, jeno nie chciał umierać, by nie ustąpić z drogi znieawidzonemu Łokietkowi, póki się z nim nie policzy. Ta nienawiść podtrzymywała go, by się nie załamał pod brzemieniem nienawiści ludzi tak małych, że-nawet przypom-

314  
nieć nie mógł sobie, za co go nienawidzą, jak rzeźnik nie pamięta zarzynanych cieląt. A jednak ta bezimienna nienawiść zbierała się i teraz zdała się skupiać w zimnych oczach pacholka. Jego spojrzenie czyniło bolesną rysę w twardej skorupie pychy i pewności siebie biskupa, przez którą przesączać zaczynał się strach, uczucie z ludzkich najbardziej przenikliwe.

Książę Włodzisław na prośbę Ostróżki chętnie powierzył mu dozór nad więźniem. Pewien był, że nienawiść jego do biskupa stanowi najlepszą rękojmię, iż nie pozwoli się przekupić ni ująć, a jego bystrość i przebiegłość potrafią udaremnić "próby uwolnienia więźnia, których łącznie można się było spodziewać w mieście, gdzie biskup miał wielu możnych swojaków i stronników. Książę odebrał jeno od Ostróżki przyrzeczenie, że na zdrowie i życie Muskaty nastawa! nie będzie i uspokojony, że głównego wroga ma w ręku, mógł swobodniej myśleć o innym sprawie poświęcić. Na wschodzie położenie wciąż było niepewne, wielka gra na zachodzie wymagała ciągłej bacności, żywioł niemiecki. W kraju wyraźnie czaił się jeno, ale nie uspokoił, przedmiotem zaś szczególnej troski było Pomorze, rozdarłe i bezbronne, zdane na własne siły, których nie było.

Ostrzeżenie Kazimierza aż nazbyt szybko okazało się słuszne. Askańczycy wiedzieli o trudnościach w jakich znajduje się Łokietek i z końcem lata pod wodzą starego margrafa Ottona i młodego Waldemara wyruszyli z Nowej Marchii, wiodąc z sobą zdradzieckich Święców i innych lenników. Ciągnęli, by dochodzić swych praw do Pomorza, nadanych im przez cesarza

Fryderyka II, który sam je sobie przypisał, a które już raz sprzedali Waławowi za Miśnię. Ale jeno wkroczyli w granice, zaczęli łupić i palić, jak wrogi kraj; Siły, które wiedli, dwustu rycerzy i trochę chłopskiej i mieszczkańskiej piechoty, nie były wielkie, ale wystarczały przeciw bezbronnym. Ciągnęli przez Bytów i Steżycę, nigdzie nie napotkawszy oporu i dwudziestego sierpnia zatrzymali się w Gołubiu nad jeziorami Raduńskimi, niespełna o dwa dni drogi od Gdańska, czekając stamtąd wieści.  
~ 315 ~

Sprzyjające im niemieckie mieszczaństwo wszcząć miało ruchy, by ułatwić zajęcie obronnego miasta. Stary margraf zabawiał się układaniem pieśni, młody łowami na zwierza i dziewczki, inni łapali ryby lub łupili chłopów. Nadciągająca jednak jesień zmusiła ich do działania. Skoro jabłko nie spada samo, trzeba drzewem potrząsnąć.

Od Tczewskiej bramy w Gdańsku, bagnistą drogą, wiodącą nad rzeczką Szydlicą, pędził od strony miasta ku grodowi młody rycerz ile sił w nogach. Północny wicher nagnał od morza szarych chmur, toteż, choć niewiele dopiero było z południa, stojący na wale przy bramie stary Bogusza Leszczyc trącił strażnika, pytając:

- Spójrz no, kto zaczął? Nogi w błocie pogubi.

- Wždy syn wasz, panie - odparł strażnik.

- Juści! Przezdrzew. Otwórz no furtę. Mrok, że własnego syna człek nie rozezna. Cóż mu tak pilno?

Strażnik pomyślał, że oczy już nie dopisują sędziemu, a może i uszy, bo przez szum wichru słyhać było odległe wrzaski, które wyraźnie wskazywały, że w mieście zajść musiało coś niezwykłego. Jakoż w tej chwili pod bramą Tczewską, między kościołem św. Katarzyny a klasztorem dominikańskim św. Mikołaja, zaczęła kupa ludu. Strażnik kopnął się, co sił, ku furcie i otworzył ją właśnie gdy Przezdrzew dopadł bramy grodu. Łapiąc przez chwilę oddech i spozierając ku nadchodzącemu ojcu, krzyknął:

- Mieszczany wpuścili Sasów. Kasztelan Wojciech się z nimi ścina, ale o pomoc prosi, bo nie wydzierzym.

Bogusza ze złością zakręcił siwą brodę:

- Cóż mu pośleć? Grodu pies będzie pilnował? Bierz lichy miasto...

Nie skończył, bo wyraźne już i bliskie krzyki zwróciły uwagę na wiodącą od miasta drogę. Przezdrzew krzyknął: . /

- Za późno! Jadą na nich.

~ 316 ~

. Jakoż wśród wrzawy rozróżnić można już było szczęk oręża.

Sędzia potężnym głosem huknął:

- Kto żyw, na wały! Do łuków się brać!

Głos jego, choć silny, nie dotarłby jednak do wszystkich zakamarków gródka w szumie wichury. Ale widno i straż stojąca na szczycie kamiennej wieży musiała dojrzeć co się wyraża, gdyż na dziedzińcu wysypało się w tej chwili kilkunastu ludzi, którzy biegli ku bramie, zajmując miejsca na wale. Pora była, bo pod bramą kotłował się już zwichrzony tłum i wrzawa

podniosła się taka, że własnego słowa nikt nie rozróżnił. W bezładzie tłoczyła się do otwartej furty w bramie grodu szczupła polska załoga zajętego miasta.

Na napierających napastników posypały się groty i leciały coraz gęściej, w miarę jak Polaków i Pomorzian przybywało na wale, a ubywało pod brania. W polu jeszcze tylko kilku dawało odpór napastnikowi, nie dopuszczając, by na karkach uchodzących wjechał do zamku. Ale pociski dzwoniły już jak grad po brandenburskich blachach i niejeden barwił swą krwią jesienne błoto na drodze. Dowódca napastników widząc, że grodu od jednego zamachu nie weźmie, zakrzyknął na swoich, by odstępowali. Sasi pozbiali co szybciej rannych i ścigani pociskami, wycofali się, po czym stanawszy w ładzie, odeszli, a furta zatrzasnęła się za obrońcami. Ostatni wszedł Spytek Leliwa. Bogusza zwrócił się do niego:

- W ociągu szliście. Siła naszych legło?

- Nie wiem - odparł Spytek. - Na gospodzie byłem, gdy się zaczęło. Pono Gdańszczanie Słupską bramę otwarli Sasom znienacka. Jenom stamtąd wrzawę postyszał, wraz pomiarkowałem, co się dzieje i zebrawszy kogom dopadł, skoczyłem pod Tczewską, by nam odwrotu nie odcięto. Jakoż widno tak się zmówili, bo miejskie pacholki zaraz na nas wpadły, aleśmy ich wygubili do nogi, nim się naszych kupa zwała ku bramie, a Sasi na ich karkach. Ale i po mieście wrzaski słyszeć było, jeno czekać nie stało czasu, tedy nie wiem, kto ostał, a kto uszedł.

- Ja byłem pod Słupską - odezwał się kasztelan Wojciech. - 317 ~'

- Ale nie będziem tu uradzać, bo ,i usiąść zda się i przed deszczem schronić.

- Tedy pójdzmy - powiedział Bogusza. - Dziś już ani , chybi nic nie będzie, tedy mamy czas. I was proszę - dodał, zwracając się do kasztelanów: puckiego Wojsława i chełmskiego Stefana, których oblężenie zaskoczyło w Gdańsku, a teraz wraz z innymi znaleźli się w grodzie.

Bogusza zarządził wzmocnienie straży przy bramie. Zamku, położonego na małej wyniosłości u ujścia Szylicy do Motławy, z innych stron bronila sama przyroda. Leżące między grodem a miastem, bagniste łąki, z nędzną osadą rybacką, zwaną Osiekiem, rozkisłe były od dżdżów jesiennych, tworząc nieprzebyte bagno, a otaczającą gród potrójną fosę, przegradzaną częstokołami, wypełniały po brzegi wezbrane wody Motławy, tworząc z niego ja?Ay wyspę. Jeno, że można było na niej z głodu zdechnąć.

Toteż sędzia Bogusza, który przed ludźmi udawał spokój, wszedłszy do izby na stołbie, prasnął hełmem, tak że się potoczył z brzękiem. Zakrzyknął gniewnie:

- Bodaj zaraza takich starostów! Kaźmirz ostrzeżenie przysłać umiał, jeno nie sprzęt, żywność i pieniądze.

- Liczył, że z miasta ściągniem - odezwał się kasztelan Wojciech. - Starczyłoby na wszystko.

- Jeno nie liczył, że zdrajcę wrogowi miasto wydadzą -

warknął sędzia. - Zresztą nie czas psy karmić, gdy gon idzie. Wojciech nie odrzekł nic, natomiast pucki kasztelan za-  
uważył:

- Na Żuławach wsie zasobne. Póki ich Sasi nie obłupią, trzeba ściągnąć, co się da, choć i bez zapłaty. Łodzi nam nie brak, ni ludzi, bo do obrony i połowa starczy.

- A do obżarcia grodu i ćwierć - burknął Bogusza. - Zaś do odbicia miasta i wszystkich nas za mało, i sprzętu nijakiego nie masz.

Milczący dotychczas Spytek odezwał się:

- Gorzej, że między ludźmi rozdwojenie. Widzą, że o obro-  
nę nie zadbano, a wielu może i Świecom przychylni, a choćby  
318

i nie, ostawiwszy w nieście rodziny i mienie, ze strachu zdradzić gotowi. Pilnie baczyć trzeba.

Zaległo milczenie. Kasztelan Wojciech westchnął:

- Grodu bronić mozem, a w ostatku samej wieży. Ale i co z tego? Kraj wyniszczą i złupią, gdy pieniądz od krwi droższy, a wygnać ich nie ma komu.

Bogusza brodę kręcił, nad czymś zadumany. W końcu przemówił:

- Zezwolił mi książę Włodzisław, gdym go o pomoc prosił, krzyżackiej wezwać, gdy sam dać jej nie może. Landmeister Plotzke też ją księciu Kaźmirzowi przyrzekał... Wiem ci ja? W jedną lub dwie niedziele mogliby tu być. Wojennicy straszni, sprzętu mają ile strzyma, i Wisłą by go ściągnąć mogli bez trudu. Nie równać się z nimi nikomu, jeno...

- Jeno co? - podchwycił Woj sław.

- Jeno drogo płacić sobie każą. Za Waclawa pilnowali już tego grodu, za co pięć wsi i Tymawę nadać im musiał.

- To i cóż? Ziemi nam nie brak, a z samego Gdańska do dziewięć! tysięcy grzywien wpływa co roku.; I pięćdziesiąt wsi kupi - odezwał się kasztelan Wojciech.

- Ja bym się po obcą pomoc nie kwapił - wtrącił Leliwa. - Nie po sercu mi ona.

- Zaś księciu po sercu widno, skoro o nią prosić przyzwolił - odparł kasztelan.

I on pozostawił w mieście rodzinę i mienie, każda pomoc przeto była mu dobra. Na poparcie swego zdania dodał:

- Księciu jako na oku w głowie, na Pomorzu zależy, a od Krzyżaków cóż grozić może? Wždy imię książęcego pradziada w modlitwach codziennych między dobrodziejami wymieniają.

'- Tania to wdzięczność. Zaś gdy pan nasz z Waclawem się

• zmagął, przeciw niemu stanęli, Brześć zajmując - odparł Leliwa.

- Juści, swego pilnują. Kto wonczas mógł liczyć, że Łokiet wróci? \

- Tak ci ono i jest. Z silnym przeciw słabemu zawždy trzymać gotowi, by od obydwu skorzystać - mruknął Spytek.

319

Wojciech ramionami wzruszył, a Bogusza zakończył:

- Tania pomoc, czy droga, słać o nią trzeba. Niechaj jedzie

Niemierza, bo on zna Landmistrza. Byle go jeno w Elblągu Zastał; może już z Litwy wrócił.

- Sloty idą, wrócić musieli. A jeśli na pośpiechu zależy, słać by i do Guntera do Torunia. Wie on, że Landmistrz pomoc przyrzekał, a Wisłą prędzej może być niż z Elbląga i maszyny potrzebne sprowadzić - zauważył Wojciech.

- Słać można - mruknął Bogusza. - Syn mój pojedzie do Torunia. Jeno że przy tym ogniu stawy nie uwarzy, bo tam jepo dwanaście białych płaszczy.

- Niechby choć kilka przysłali i knechtów trochę. „Sasi się do wojny z Krzyżakami kwapić nie będą, zwłaszcza pod zimę - wtrącił pucki kasztelan. - Ale macie słać, to zaraz, nim się margrafowie umocnią w mieście i do oblężenia grodu przysposobią.

- Czekać nie mam na co, a wodą i w nocy jechać można, i bezpieczniej - odparł Bogusza i wyszedł.

Po dłuższej chwili zahurkotały łańcuchy zwodzonego mostu z wieży na pomost przystani. Spytek dźwignął się, mówiąc:

- Stało się. Nie włada, co gorsze: choroba, czy lekarstwo.

Zabrał miecz i wyszedł na wały. Wiatr nacichał, a niebo jakby się trzetało, bo na zachodzie płonęła zorza, wyszczerbiona od dołu czarnymi zarysami miasta, nad którym górowały zabudowania domikańskiego klasztoru, bodąc dwiema wieżami płomienne niebo.

Spytek utkwiał oczy w ponurym widoku. Ogarnęło go zniechęcenie. Przyjechał tu walczyć i życie poświęcić. Wiedział, że Bogusza do tego, co czyni, ma książęce upoważnienie na wypadek potrzeby. I wiedział, że potrzeba ta nadeszła. Gdy przybył do Gdańska, wstała w nim wewnętrzna pewność, że tu będzie kres jego drogi. Poczucie to przyniosło mu ulgę. A trzeba będzie żyć dalej, wlokąc ciężar, którego nie czuł sił ni chęci dźwigać.

W nadchodzących jednak dniach nie brakło sposobności, by walczyć i życia zbyć. Sasi niemal codziennie próbowali czyby

~ 320 ~

się bramy przełamać nie dało, podsuwając się pod osłoną tarcic i faszyny z pokłóconymi naprędce drabinami i taranem. Spytek chodził wśród walczących, spokojny i obojętny na lecące z łuków i kusz strzały, którymi saska piechota starała się przeszkadzać obronie. Błoto, miszone stopami walczących po obu stronach bramy, przybrało czerwoną barwę od krwi. ale na-^ tarcia nie były groźne. Stary margraf nie ruszał się z kasztelańskiego dworca w Rynku, bo z wilgoci bolały go kości. Wiedział że nim lód skuje wody i otworzy dostęp do zamku, szkoda w wilku. Pozwalał jednak młodemu Waldemarowi zabawiać •; i pod bramą i próbować, czy przypadek lub szczęście nie wyderze grodu w jego ręce. Grywał na lutni lub w kości z biskupem Henrykiem kamieńskim i Fryderykiem lubuskim, którzy jako lenn'cy brali udział w wyprawie. Poza tym nudził się.

Waldemar, widząc, że zamku nie ubiegnie w otwartej walce, spróbował raz naskoczyć chyłkiem w dżdżystą noc, ale odparty ze stratami, gdy i sam omal nie dostał się do niewoli. ponie-

chał próżnych usiłowań. I towarzysze jego i lennicy Bethko Jagow i Lutke Glasenap zniechęcili się do tej zabawy rr.w'-ąc że lepsze zajęcie mu znajdą na długie noce. Odtąd wlokły rf one w głuchej ciszy, chyba że jesienny wicher hu^ał na dworze, pędząc pod prąd leniwe fale Motławy. Aż jednej nocy załogę zamku obudził zgrzyt łańcuchów zwodzonego mostu, ciężkie kroki zadudniły na pomoście i przy czerwonym blasku • pochodni ukazały się brodate twarze braci zakonnych, w białych płaszczach z czarnymi krzyżami na lewym boku. Sześciu ich było, ale chłop w chłopą jakby na jednym kowadle wykuty, od stóp do głów w blachach, w których migotały błyski płomieni. Gdyby nie odmienne znaki na tarczach, nie odróżniłby jednego od drugiego, jakby to nie ludzie byli, ale wojenne maszyny. Biła od nich siła i kamienna obojętność. Gdy wśród nadbiegającej załogi rozlegał się szmer radosny, a w oczach świeciła chęć witania oczekiwanych posiłków. Krzyżacy stali obojętni i zimni, wsparci na swych olbrzymich, oburęcznych mieczach z podwójnymi jelcami, jakby nie słyszeli lub nie rozumieli, co do nich mówiono.

Wawelskie wzgórze - 21 321

Nadeszły i maszyny, (brodaci) knechtowie wynosić jęli z łodzi ogromne kusze do miotania belek i głązów, tarany, bosaki i drabiny. Komtur Gunter von Schwarzburg, który od innych braci różnił się jeno pióropuszem na hełmie, bez słowa pozdrowienia zwrócił się do Spytka, mówiąc łamaną polszczyzną:

- Zawołajcie sędziego Boguszę.

Spytka gniew ogarnął, ale pohamował się i rzekł zimno:

- Zawiodę was do niego.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył przodem ku schodom do izby na wieży. Komtur krzyknął coś na swoich i usiadł gdzie który stał, jak poruszeni jedną sprężyną, sani zaś poszedł za Spytkiem. Gawiedź z załogi, widząc, że Krzyżacy nie zwracają na nią uwagi, zaczęła się rozchodzi(r), nadbiegł natomiast Bogusza. Spytka w milczeniu wskazał go ręką komturowi, a sam oddalił się.

Komtur był krewniakiem mazowieckich Piastów, toteż Bogusza witał go niemal uniznienie, a Gunter przyjmował to jak należny sobie hołd. Gdy weszli do izby, nieproszony usiadł i zwracając się do sędziego powiedział.

- Wzywaliście pomocy. Jesteśmy.

- Juści, widzę - odparł Bogusza. - Jeno mnie pomoc nie do obrony grodu potrzebna, bo sam wydolę. Miasto odbić należy i "margraf ów wygnać.

- Landmeister Henryk wojska zebrać musi. Tymczasem grodu nam bronić nakazał i przysposobić wszystko do odebrania miasta.

Bogusza niecierpliwie brodę szarpnął:

- Wielce-m wdzięczny za gotowość. Ale rad bym wiedział, ile też za pomoc zapłacić sobie każe.

- Nie nasza rzecz - odparł komtur. - Niech się Landmeister z waszym księciem uładzą. Ninie jeno połowa zamku oddacie mi w zastaw.



- Zastaw dać mozem, ale przecie nie to najpilniejsze. I jako że pół zamku oddzielić, a w końcu i po co? Nam ciasno będzie, bo i załoga z miasta tu jest, a wam dla tych kilkudziesięciu ludzi tyle miejsca nie trzeba.

~ 322 ~

- Bracia wedle reguły oddzielnie sypiać mają, a knechtów i pruskich giermków z waszymi mieszać nie zezwolę, by nie wyszli z karności. Zaś swoją część odgraniczym sami. Gdy Landmeister z wojskiem nadciągnie, a skoro go patrzeć, to i w całym zamku zbyt ciasno będzie. Zresztą zastaw musi być, bo taki rozkaz.

• Bogusza, choć niezbyt chętnie, zgodził się, pomyślawszy, że tak jak sprawy stoją, on Guntera, a nie Gilnter jego słuchać by musiał. Jakoż nazajutrz opróżnił północną część grodu z budynkami między drugą a trzecią fosą, które zaraz zajęli Krzyżacy i sprawnie oddzielili się od reszty wałem i rowem, z jednym jeno przejściem, którego dzień i noc pilnowała straż, nie przepuszczając nikogo z polskiej załogi. Ukończywszy jednak obwarowanie, bez zwłoki przystąpili do przygotowań oblężenia miasta. Nie bacząc na słotną porę, od świtu do zmroku budowali pod Tczewską bramą wieżę oblężniczą, ujadając się z obrońcami miasta, którzy przeszkadzać chcieli; ustawiali zasłony z ziemi i faszyny, zwlekali belki i głązy, nie oglądając się zgoła na polską pomoc, jakby sami miasta dobywać myśleli. Polacy patrzyli z podziwem, Sasi zaś i mieszczenie z trwogą, jak sprawnie i karnie pracują krzyżackie wojska. Askańczycy wcale nie pragnęli wojny z Zakonem, a na obronę zajętego miasta, w braku wojennego sprzętu, nie byli przygotowani; mieszczenie zaś bali się pomsty za zdradę. Walki toczyły się już teraz pod miejskimi wałami, ale Gunter nie taił, że przed przybyciem Landmistrza nie zamierza próbować wziąć miasta, jeno odciąć chce od dowozu, by w razie potrzeby ogłodzić. Sam natomiast domagał się zaopatrzenia jak dla wielkich wojsk, a Bogusza czynił co mógł, dziwiąc się jeno, że Landmistrz tyle ludu ściągnąć zamyśla, gdy starczyłoby paruset, byle dobrze zbrojnych i w sprzęt zaopatrzonych, aby miasto odebrać i Sasów z Pomorza wyżenać.

Innego mniemania byli jednak widno Krzyżacy, bo drogami przez Żuławy, rozkisłymi od listopadowych deszczów, ciągnęło ku Gdańskowi blisko cztery tysiące luda, jak na wielką wojnę. Sto białych płaszczy, pod wodzą Landmistrza i komturów

~ 323 ~

Karola z Trewiru i Lutra z Brunszwigu, stanowiło jeno czoło pochodu. Za nimi szedł spory oddział mniej jednolicie uzbrojonych półbraci. Składali się na nich poszukiwacze przygód z całego niemal chrześcijańskiego świata, najczęściej wywołańcy z własnych krajów, którzy ścigali do Krzyżaków, by sprawiedliwości uniknąć, a zyskać odpust swych win w walce z poganami. Nie mierzyła ich jednak także inna walka. Odziani byli również w białe płaszcze lniane, jeno pół krzyża nosili na piersi. Długim węzem sunęła za nimi piechota, złożona z zakonnych knechtów i zacieężnych pachołków, których dostarczać musiały

miasta i wsie zakonne. Pochód zaś zamykała lekka jazda, w której służyli przeważnie ochrzczeni Prusacy, nie ochrzczonego bowiem bronni nie wolno było posiadać i jako niewolnicy do robót jeno byli używani. Jazda pruska oddawała duże usługi . w walkach z Litwą, w bagnistych borach bowiem, gdzie ciężki rycerz ulgnąć by musiał, zwrotni byli, a obeznani z krajem, używani do pościgu. Do czego jednak byli potrzebni przy obleganiu miasta, darmo głowiła się polska starszyzna, stojąca u przeprawy przez Wisłę, powyżej ujścia Motławy. ;

- Pono chyba po to, by za pomoc drożej sobie kazać zapłacić - mruknął Wojsław, niemniej okiem wojaka patrzył z uznaniem, jak sprawnie Krzyżacy przerzucili przez rzekę most na łożdach sprzężonych linami, po którym bez krzyku i zamieszania przeszło całe wojsko. Nim wczesny wieczór zapadł, jeno rozdeptane na przyczółkach brzegi o jego przejściu świadczyły. Zamek wypełnił się do ostatniego miejsca w szopach, mimo że pruska jazda i oddział półbraci odeszli zaraz po spyżę dla ludzi i koni, piechota zaś stanęła obozem pod namiotami przy obu bramach miejskich. W mieście powstał zamęt i trwoga.

Landmistrz ze swym orszakiem zajął gospodę w zamkowej wieży i nie zszedłszy nawet na wieczerzę, na którą prosił Bogusza, jął wydawać rozkazy starszyźnie, Polaków na naradę nie wzywając. Tyle jeno, że oznajmił Boguszy, iż od rana zamierza przystąpić do oblężenia miasta. Sędzia przeto zwołał swoich i postanowiono na własną rękę wziąć udział w natarciu, w któ-

324  
rym z polskiej strony kasztelan Wojciech miał przywozić. Spytek w naradzie nie uczestniczył, bo zamek obchodził, patrząc, jak Krzyżacy sobie poczynają. Gospodarowali jak u siebie, nawet polskie konie wyrzuciwszy ze stajen, by dla swoich miejsce uczynić, mimo że na polu mżyło i był ziąb. Dopiero wieczorem Leliwa odszukał Boguszę, który przeniósł się do izby strażniczej przy bramie; gdy pytał co czynić zamierza, sędzia odparł:

- Nic tu po mnie. Jadę do książąt do Tczewa. Niech sami z Landmistrzem gadają.

- A wam co rzekł? - zagadnął Spytek.

- Tyle, co nic. Gdym pytał, ile ta pomoc kosztować będzie, odparł, że do Wielkiego Mistrza śle do Wenecji, bo sam stanowiąc nime może.

- Do Wenecji? Nie prędko tedy się wyniosą.

Spytek rozdrażniony był i zuł w ustach wyrzut przeciw sędziemu, ale widząc jego przygnębienie, poniechał. Sam zresztą Bogusza, jakby się usprawiedliwiając, powiedział:

- Raz już. tu siedzieli, będzie temu siedem godów i sami odeszli, choć nie darmo, i bojam się, że więcej policzą, niż my zapłacić będziemy mogli. Ale co zrobisz? Bodaj Święcę ni na Sąd Ostateczny z grobów nie wyrzeli, bo przez nich to wszystko. Ale wybaczcie, bo przed świtaniem mi ruszać, żeby za dnia stanąć w Tczewie.

Wezbrane fale Moławy podchodziły aż pod most na przy-

stani, odcinając się odbiciem gasnącego już nieba od czarnych i płaskich brzegów. Jeno pod ścianą wieży leżał na rzece głęboki cień, w który zanurzyła się nadpływająca od Wisły łódź. Ciszę przerwał ostry i donośny głos:

- Wer da?

- Bogusza - odparł sędzia wracający z Tczewa łodzią, która w tej chwili zachrobotła burtą o pale pomostu. Sędzia wstępował po schodkach, zdziwiony i zaskoczony, że na przystani, gdzie swoją straż zostawił, stoi ninie krzyżacki strażnik.

Westchnął: trzeba znosić to, czemu nie można zapobiec. Wiedział, że z chwilą przybycia Landmistrza w rzeczywistości skończyły się jego rządy na grodzie.

Przez furtę w bramie skierował się do izdebki strażniczej, w której osiadł, gdy swą izbę na wyżce odstąpić musiał Landmistrzowi. Nim jednak wszedł, uderzyły go z wnętrza podniesione głosy. Otworzył drzwi, stanął, patrząc na niespodziewany widok: brodate knechty grały w kości na ławie, popijając piwo i kłócąc się. Gniew z jeżył sędziemu siwą czuprynę:

- Precz stąd! - ryknął.

Ale głos jego, choć donośny, zginął w gwarze. Knechci grali dalej, a tylko jeden, który w grze nie brał udziału, podszedł do sędziego, mówiąc drwiąco, łamaną polszczyzną:

- Polaki poszli precz i wy precz!

Sędzia zacisnął pięść, by w zęby dać zuchwalcowi, ale zdołał się pohamować. Knecht nie ważyłby się tak postąpić gdyby

~ 326 ~

go nie uzuchwalono. Trzasnął drzwiami, aż echo oddało z sieni, jak młodzik skoczył na górę do Landmistrza i wpadł do izby.

W żółtym blasku świec płonących w dwóch trójramiennych świecznikach, siedziało kilku zakonnych dostojników, nad czymś widno radząc. Na widok Boguszy umilkli.

- Co się tu wyprawia? - krzyknął sędzia.

- Narada - odparł Landmistrz. - Ale skoroście tu przyszli, zechciejcie podpisać ten pergamin.

Zaskoczenie Bi<sup>^</sup>guszy było tak wielkie, że bezmyślnie podszedł i wziął do ręki białą kartę. Nie rzuciwszy na nią okiem, niepewnym głosem zapytał:

- Co tu napisano?

- Jako z dobrej woli oddajecie w zastaw Zakonowi gdański gród, póki wynagrodzenia nie otrzyma za poniesione szkody i wydatki.

- Wzdyśmy się o pół grodu ugodzili - rzekł niepewnie Bogusza, zwracając się do Guntera ze Schwarzburga.

Ale komtur nawet nie spojrzął na sędziego, jakby zgoła nie słyszał, natomiast Henryk Plotzke odparł:

- Pół grodu nie starczy. Zresztą cały dzierzymy i nie oddamy, póki nie otrzymamy zapłaty. Podpisujcie!

Bogusza poczerwieniał tak, iż zdało się, że go krew zaleje.

- To bezecna zdrada - zakrzyknął.

- Tuszę, że się namyślicie, czy lepiej czią Zakonu szargać, czy słuszny układ podpisać. Straż! - zawołał.

Wskazując nadbiegłym knechtom sędziego, rzucił:

- W ciemnicy zamknąć! Gdyby ze mną mó<wić chciał, sprowadzić.

Odwrócił się, jakby nic nie zaszło i podjął przerwana naradę. Żaden z komturów nawet okiem nie rzucił za Bogusza, jakby wyprowadzano natrętnego psa. Sędzia nie stawiał oporu. Szedł jak obuchem uderzony w głowę i za chwilę drzwi lochu •zatrzasnęły się za nim. Znając loch jak własną rękę, odszukał w ciemności pieniek i usiadł, słuchając jak po ścianach skapują strumyki wody, oznajmiające, że Motława przybiera. Na klepisku woda stała już po kostki.

""^327 ~

Czas miał na przemyślenie, bo jesienna noc wlokła się czuwającemu. Nim zajaśniało okienko pod powalą lochu, nikt nie poznałby wczorajszego dowódcy zamku. Wstał, zataczając się na zdrętwiałych od siedzenia w zimnie i wilgoci nogach i podszedłszy do drzwi bić w nie jał pięściami. Za chwilę zachrobotła i dźwiękiem opadła żelazna zawora, a Bogusza powiedział trzęsącym się głosem:

- Prowadź mnie do Landmistrza.

W niedługi czas potem sędzia stał przed bramą gródka. Skierował kroki ku miastu, bo nie było gdzie iść. Od północy bagno zmieniło się niemal w jezioro, od południa Szydlica zamykała drogę. Nie myślał o tym, co w samym Gdańsku zastanie. Było mu zajęto. Nie dziwił się, ani nie pytał, dlaczego przepuściły go strażę krzyżackie przed miejską bramą, ani kto otworzył w niej furtę. Poszedł jak pijany do znajomego przeora Wilhelma do predykantów, bo było najbliżej, i tam go o nic nie pytano. Nakarmiony, uwalil się na łożo i zasnął kamieniem.

Nie dane mu jednak było wyspać się do sytości. Obudziło go szarpanie za rękaw. Przeor Wilhelm trącał go:

- Ocknijcie się. Z dawna czekają, by mówić z wami.

- Kto? - zapytał Bogusza, przecierając oczy.

Kró.tki dzień jesienny już gasł, w izbie panował półmrok. Sędziemu zdało się, że dopiero usnął. Z trudem prostował kości.

- Kasztelan Wojciech i rycerz Leliwa - odparł przeor.

Bogusza dopiero teraz uprzytomnił sobie wczorajsze wypadki. Zerwał się z łoża:

- Proście co prędzej. Trzeba było mnie zaraz obudzić. Nie czas na wypoczynek. \*"

Potwierdził to wnet Spytek:

- Jeśli się na siłach czujecie do -podróży, radziłbym jechać nie mieszkając.

- Juści wypocząłem coniebaż - odparł Bogusza. - Ale dok' d mi jechać? Wždy dopiero wróciłem. Jeździć było szkoda - - duda! gniewnie.

^ 328 •'-

Opowiedział, hamując rozdrażnienie, co mu się przygodziło,

•a oni słuchali kiwając głowami. Gdy skończył, zapytał:

- Ale jako się stało, że i was z zamku wyżenięto? W mie-

ście siedzicie? Sasów nie masz?

- Odeszli - odparł Spytek. - Zaraz po waszym wyjeździe do Tczewa Krzyżacy uderzyli na miasto od obu bram. Poszliśmy też, ale po prawdzie ino patrzeć, bo nam Landmistrz sprzętu odmówił i zgoła na nas nie zważali. Uderzyli potężnie, ale się mieszczenie bronili na podziw, a i deszcz niemało przeskadzał, bo fosą jakoby rzeka szła, zabierając belki i faszy-ny. Bramy jednak Krzyżacy sporo nadwyrężyli, a przy Tczewskiej nawet wdarli się już, jeno drabina złamała się za nimi i tych kilku, co wtargnęli, wycięto. Ale zeszliliśmy z pola, dobrej myśli będąc, bo zdało się iż miasto nie dziś, to jutro się podda, tedy przynajmniej nie darmo za pomoc nam płacić.

- Wždy w mieście siedzicie - przerwał Bogusza.

- Siedzimy. Ale posłuchajcie. Przed świtaniem drugiego dnia mieszczenie iście przysłali do nas na zamek poselstwo, że miasto nam wydać gotowi, byle jeno krzyżackiej załogi nie wprowadzać. Jak się okazało Sasi z miasta wyszli, ani chybi z Landmistrem się porozumiewszy, bo ich Krzyżacy zgoła bez walki przepuścili. Tedy zrozumieliśmy, że zdradzieccy mieszczenie wpadli we własne sidła. Na Brandenburczyka pana zmienić chcieli, ale nie na Krzyżaków, bo wiadomo, że u nich zakonni wójtowie w miastach rządzą i wszelkie zyski z handlu idą do zakonnej skrzyni. Tedy mieszczenie radzi by sprawę odwrócić... żeby się jeno dało! .

- I Landmistrz zgodził się?

' /

- Zgodził się, co i nam było dziwne, ale się zaraz wyjaśn<sup>o</sup> bo z zamku calet naszej załodze do miasta wynieść się ka-zał. Daj Bóg, by na tym był koniec, bo nie wierzyłem im i nie wierzę.

Bogusza zmarszczył się, bo mu się zdało, że czuje przyga-nę w słowach Spytki.

- Wyżęli was z zamku? - mruknął.

329

- Jako psów. Gdy się Wojciech przeciwił, Landmistrz siłą z;agroził. Nie było co poczynać przeciw przemocy, odeszliliśmy t<edy do miasta. Mieszczenie, jakby ich kto nagle odmienił, za pirzeniewierstwo nas przepraszają, błagając by ich bronić przeci-iiw Krzyżakom. Ale do wiarołomnych ufność mieć trudno, tedy siła naszych już i stąd odeszło: kasztelanowie Woj sław i Ste-fean, Piotr Drogosławic, sędzia poznański i Michał sandomierski, pomniejszych nie licząc. Ostali jeno duchowni, a ze świeckich cii, co me mieli dokąd iść. I wy wyjeżdżajcie, panu przedstawić C(Q zaszło, niech jakową pomoc obmyśli. A do brata swego bisikupa Floriana wstąpcie do Płocka po drodze, niech się u księ-ciiia Bolka wstawi, by pomoc dał, bo na Włodzisławową może b^yć za późno. Przyrzekali i ci co odchodzili, zebrać, co się da, alle co wydolą przeciw takowej sile.

- A wy ostaniecie?

- Ja już tu ostanę - odparł Spytek.

- I ja - dodał Wojciech. - Mnie ksiązę miasto zawierzył, uiszedłbym, podda się Krzyżakom ani chybi:

- Tedy mnie zbierać się trzeba - rzekł Bogusza wstając

ciężko. Wróć i ja, daj Bóg, by w porę. Może zresztą Landmistrz się rozmyśli, skoro na miasto nie uderza. Po cóż by mi ipergamin płodpisywać dawał, w którym wyraźnie stoi, że i gród oddadzą p"o zapłacie, gdyby na tym poprzestać nie myślał?

Spytek jeno głową kiwał: Bogusza jeszcze wciąż wierzył, hub chciał wierzyć Krzyżakom.

Sędzia, nim noc zapadła, wyjeżdżał przez Tczewską bramę wvraz z synem, żegnany spojrzzeniami i szeptami cechowych, k'.tórzy krzywym okiem patrzyli, jaki ciężar obrony, do którego diźwigania nie czuli się w sile, spada na ich barki. Ninie chcieliiby obronę znaleźć w zdradzonych przedtem Polakach.

Przez najbliższe dni Krzyżacy stali spokojnie. Nieustające zllewy i przenikliwy ziąb przygasło musiały wszelkie wojenne pnoczynania, natomiast żywności w wyczerpanym wojną mieście zaczynało brakować; jak zwykle naprzód ubogiej ludności,

"• ~ 330 ~

która wygnana w czasie walk ze swych siedzib koło wałów miejskich, obozowała w Rynku, pod skleconymi z płacht i tarcic szałasami, cierpiąc od zimna i wilgoci. Kasztelan z niepokojem patrzył na ponurą gromadę, która zagrażała porządkowi w mieście, kradnąc coraz zuchwalej, a nawet zaczynając rabować. Polskie i pomorskie rycerstwo, które nie miało gdzie wywieźć swych rodzin tu osiadłych, pozostałe w sile około sześćdziesięciu mieczów, na rozkaz kasztelana przeniosło się ku klasztorowi. W kupie bezpieczniej było, niż wśród rozkiełzanej tłuszczy i obcych, a na wypadek zajęcia miasta znaleźć można było schronienie w klasztorze u pomnego licznych dobrodziejstw i życzliwego przeora - w ostatku azyl w kościołach, pod opieką ołtarzy.

Kasztelan widział, że w mieście duch upadł i patrzył na nisko ciągnące z północy chmury jak na pomoc niebieską, nim ziemską nadejdzie. Dokoła miasta było jedno grzęzawisko, w którym tkwiły jeno krzyżackie straże chowające się przed deszczem.

Wcześniej jednak niż pomoc nadszedł pogodny ranek czternastego listopada. Gdy opadła mgła, zaświeciło dawno nie widziane słońce, zimne już i zmalałe, ale blaski jego wesoło zamigotały w kałużach i rozlewiskach, błękitnych odbiciem bladego nieba. Błotniste ulice miasta zaroily się ludźmi, obozująca w rynku gołota suszyła nawilgłe szmaty. Zdać się mogło, że nadeszło jakoweś święto, ale kasztelan patrzył niespokojnymi oczyma na ten tłum, wyczekujący otwarcia dróg, spokoju i chleba. Odezwał-się do Spytki, który po nocy bezsennej zaczerwić-nione oczy mrużył od blasków:

- Wole j bym do końca żywota słońca nie widział, niż teraz je obaczyć.

- Lżej w słońcu umierać - odparł Spytek, jakby swej myśli odpowiadał. Od rana naszła go pewność, że stanie się coś ostatecznego. Kasztelan spojrział na niego niespokojnym i pytającym wzrokiem, a Spytek dodał już obojętnie:

- Ani chybi uderzą, bo i czekać nie mają na co. A jako jest z obroną, wiemy. Każcie kilku wojakom iść ze mną do Słup-

.-v 331 "v

skiej bramy, bo tam nikogo z naszych nie masz. I zdałoby się resztę, po znajomkach i swojakach na mieście ostali, ściągnąć ku klasztorowi.

Leliwa zabrał kilku młodszego rycerstwa i poszli. Obszedłszy wały, wrócił do klasztoru, by się pożywić. Było już południe krótkiego dnia i nic się nie działo. Zabawiwszy niewiele, zbierał się iść z powrotem, mówiąc:

- Widno dziś nie uderzą, jeno nad ranem lub w nocy. Ostatną tam już, by na mieszczan dać baczenie.

Ale na wałach wszystko było gotowe do obrony, bo i mieszczanie spodziewali się czegoś.

Splatając się w długie pasma wraz z wstającym z mokradel oparem, snuły się sine dymy ognisk, palonych przy wałach, na których grzano od wypadku wrzątek i smołę. Wody do gaszenia pożarów wszędzie było pod dostatkiem, zresztą nawilgłe dachy nie łatwo chwyciłby płomień. Spytek chciał być dobrej myśli, ale nie mógł. Znużony był, a zamierzając czuwać po już jednej niespanej nocy, powiedział do towarzyszy:

- Pójdę spocząć do domu kasztelana w Ryнку. Gdybym zaspał, niech mnie który zbudzi z nastaniem mroku, a gdyby trzeba było - wcześniej.

Wnętrze kasztelańskiego dworca puste było, jeno na dziedzińcu ujadął pies. Po odejściu Sasów i plądrowaniu gawiedzi w komnatach nie pozostał cały ni jeden sprzęt. Porozrzucane leżały szaty niewieście i dziecinne. Spytek zgarnął je w ką, zrobił sobie z nich legowisko i zdjąwszy jeno hełm, ułożył się. Gdy zapadał w sen, zanikającej jawie towarzyszyło ujadanie psa i Spytkowi zdało się, że wcale nie zasnął, jakkolwiek gdy otworzył oczy, na niebie stały już zorze zachodu. Pies ujadął nadal, aż się zanosił, przechodząc chwilami w wycie, lecz prócz szczenia psa dolatywały teraz inne głosy. Spytek nastawił uszu: dalekie jeszcze wrzaski, w których brzmiały trwoga i przerażenie. Zerwał się, nasłuchując. Nagle pod domem ktoś krzyknął:

- Uchodźcie! Krzyżacy w mieście.

Biegając już, rycerz nakładał hełm. Wypadł na Rynek i cofnął się. Ujrzał białe płaszcze. Gromady zbrojnych wdzierały się

~- 332 ~

do domów, skąd co chwilę dochodziły przeraźliwe krzyki zarzany. Nie brakło między nimi wysokich głosów kobiecych i piskliwych dziecięcych. W jednym kącie Ryнку kłębiła się zawierucha ludzi, z której dochodziły odgłosy walki, ale wnet rozwiła się, jeno ciała czerniły na błotnistej ziemi.

Na twarzy Spytka odmalowały się gniew i groza. Już miał skoczyć, gdy posłyszał tupot nóg po drewnianym chodniku. Spojrzał: nadbiegał, widno ostatkiem sił, jeden z wojów, których zostawił przy bramie Słupskiej. Za nim pędziło z krzykiem kilku knechtów. Szybko zblizali się ku furcie, z której Leliwa patrzył na okrutne widowisko. Ścisnął w rękę miecz. Polski rycerz przebiegł koło niego o krok. Spytek dojrzał, że z ust spływa mu krew i usłyszał chrapliwy oddech. Nie stało czasu patrzeć za nim, bo prześladowcy byli tuż. Przywarował,

gotując się do ciosu. Miecz jego spadł na twarz nadbiegającego knechta z takim rozmachem, że zatrzymał się dopiero na nausz-  
nikach hełmu, który jeszcze siłą uderzenia zmiotła z na wpół  
rozwalonej głowy, a trup zwałił się pod nogi Leliwy.

Stało się to tak niespodzianie, że następny z biegnących nie  
zdołał się zatrzymać, choć dostrzegł, co się wydarzyło. Zadał  
w biegu cios, który Spytek odbił z łatwością, pchnął z tyłu  
i nadział wroga na miecz, jak kurczę na rożen, aż ostrze wyszło  
przodem. Ale sam ledwo zdołał się uchylić od pchnięcia włócznią  
pod brodę, tyle jeno, że grot trafił w okap hełmu, strącając go  
na ziemię. Spytek błyskawicznie oddał cios, ale przeciwnik zda-  
żył się zastawić drzewcem, które pękło jak sucha trzcina. Roz-  
brojony knecht odskoczył, co widząc ostatni z jego towarzyszy  
cofnął się również i by przekrzyczeć gwar, podniesionym gło-  
sem przyzywać jął kręcących się opodal krzyżackich i pruskich  
wojowników. Jakoż od gromady oderwały się dwa białe płasz-  
cze i przez wyboje i kałuże krzyżaccy rycerze biegiem zmierzali  
ku walczącym.

Po napadzie gniewu Spytek stał się zimny jak kamień. My-  
ślał już tylko, by w ostatniej walce nie być gorszym niż w pier-  
wszej. Skupił zmysły i siły. Rad by na pożegnanie z wojną uj-  
rzeć białe płaszcze u swych stóp w błocie i krwi, ostatnimi cio-  
~ 333 ~

sami uczynić szczerbę w ponurej sławie Krzyżaków, jako nie-  
zwycięzonych szermierzy, budzących trwogę samym swym  
widokiem. Ale gdy bystrym spojrzeniem ogarnął pole walki, by  
niczego nie zaniedbać, kątem oka dostrzegł, że polski rycerz,  
który przebiegł koło niego, kłęczy o kilka kroków, chwiejąc się  
i opierając o ścianę. Spytek jednym skokiem był przy nim i po-  
rwaawszy pod pachy wciągnął go do sieni domu, zatrzasnąwszy  
furtę za sobą. Otworzyła się w tej chwili, pchnięta przez pozosta-  
łych dwóch knechtów, którzy w obawie by im nie uszła ofiara,  
rzucili się za nim. Ale rycerz spodziewał się, że go będą ści-  
gać i stał gotowy do ciosu; spuścił miecz z zimnym wyracho-  
waniem na pierwszą głowę, jaka ukazała się w jasnym otworze  
i kopnięciem zatrzasnął znowu furtę przed ostatnim, który nie  
s ważył się już otworzyć jej, jeno przeraźliwym wrzaskiem przy-  
nagłał nadbiegających.

Tym razem Spytek nie czekał. Porwaawszy rannego, wlokąc  
go, wypadł na tyły domu i przejściem, między stajniami skre-  
cił w opłotki ogrodów.

Pusto tu było i cicho, jeno z dala dochodził przytłumiony  
zgiełk, a odgłosy z domu zdradzały, że prześladowcy tam szu-  
kają zbiegłego. Spytek ruszył, wylamując przejścia w płotach  
w nadziei, że tędy dotrzeć zdoła z rannym do klasztoru. Ale po  
chwili poczuł, że ranny leci z nóg. Złożył go w ciemnym kąci<sup>^</sup>  
pod jakąś szopą i przykląkszy nad nim zapytał:.

- Nie wydolicie już iść?

Na młodej, wyciągniętej twarzy rannego zjawił się blady  
uśmiech. Powiedział szeptem:

- Śmierć mnie najdzie... jako i nas wszystkich... tu, czy  
gdzie indziej... Wam dzięki... że nie bez pomsty... za przenie-



wierstwo...

- Jako się to stało? - zagadnął Spytek;  
- Wpuścić ich musieli... boczną furta... z tyłu naskoczyli,  
ja się przebiłem... inni...

Zaczerpnął oddechu by mówić dalej, ale zbulgotało mu  
w krtani. Spytek z bliska patrzył, jak w oczach rannego zjawiło  
się śmiertelne przerażenie. Zaraz uspokoiły się i stanęły w słup,  
~ 334 ~

a wyciągnięta twarz zszarzała. Zniknął z niej ślad walki ze  
śmiercią, która już zwyciężyła.

Spytek przeżegnał się i, wsparłszy się na mieczu, powstał.  
Gdy się odwrócił, drgnął. W półmroku gasnącego dnia, jak zja-  
wa stał przed nim wojownik w białym płaszczu z półkrzyżem.  
Ogromny być musiał, ale na ciemnym tle bezlistnych drzew,  
biała postać, podwyższona jeszcze białym pióropuszem na heł-  
mie, zdała się wyrastać ponad wymiary ludzkie. Twarzy nie  
można było rozeznaczyć; bo okap hełmu rzucał na nią cień, z które-  
go błyszcząły jeno jasne oczy. Wpijał je w Leliwę. Spytek sły-  
szał niespokojny łomot własnego serca. Spodziewana walka, ni  
śmierć, nie przyspieszyłyby jego bicia. Ale tu o coś innego cho-  
dziło. Wszak Krzyżak zaszedł go niespodzianie i mógł ubić bez  
walki; patrzył jednak na Spytka, jakby oczyma chciał go za-  
bić, nie mieczem. Świeciła w nich przerażająca, zimna niena-  
wiść. Chwila milczenia wlokła się jak grudniowa noc. By je  
przerwać Spytek zagadnął ochrypłym głosem po niemiecku:

- Ktoś jest?

- Nie poznajesz mnie? - rzucił nieznajomy po polsku. -  
Szukałeś mnie pono, jeno nie tu i nie dziś. Wówczas górą byłeś.  
Jak odległe echo odezwało się w Spytku na dźwięk tego  
głosu wspomnienie, budząc w nim zamęt. Mimo to pogardliwie  
odparł:

- Wiem jeno, żeś przedawczyk, co za Judaszowe pieniądze  
niewiasty i dzieci morduje. Podnieś no miecz przeciw mie-  
czowi, a tuszę, że Bóg wymierzy sprawiedliwość.

- Wymierzy, gdym jej gdzie indziej nie znalazł.

Lewą ręką zdjął hełm i cisnął pod nogi Spytкови. Zalśniły  
w poblaskach zachodu jego jasne włosy. I jego głos brzmiał  
żrącą pogardą:

- Podnieś miecz, jeśliś nigdy ręki nie skalał krwią niewia-  
sty i dziecka. Moje są'czyste.

Uczynił krok i w półmroku przybliżył twarz do twarzy'  
osłupiałego Leliwy, powtarzając:

- Teraz poznajesz mnie?

~ 335 ~

- Mścignłew! - szepnął Spytek niedosłyszalnie, poblady-  
mi wargami.

Patrzył z bliska w jasne oczy z ciemniejszą obwódką źre-  
nic - oczy Krzycha - i powstające w nim przypuszczenie, że  
Krzych jest synem Mścigniewa zmieniało się w pewność. Duma  
powstrzymała go od wyznania wrogowi, że syn jego żyje.  
Ale w sumieniu czuł, że winien to uczynić. Lecz nie zdążył  
rzec słowa, mogącego jeszcze odwrócić przeznaczenie wszyst-

kich, których losy związała jego zbrodnia. Głowa jego potoczyła się w zwiędłe chwasty pod płotem.

Mścigniew patrzył ze zmarszczoną brwią na czarny strumień krwi, bluzgający z wstrząsanego drgawkami ciała. Gdy się uspokoiło, podniósł hełm i skierował kroki ku klasztorowi dominikanów, który rozkrzyczał się tymczasem głosem swych ' dzwonów.

Ale spóźniona była ich przestroga. Kto jeno żył w mieście, wiedział już, że wpadło w moc nie znającego litości nieprzyjaciela. Nawet mieszczanie, którzy mu otwarli bramy, by wkuścić się w jego łaski i uniknąć okrucieństw, jakie zwykły towarzyszyć zdobyciu miasta siłą, a teraz usłudźnie wydawali nowym panom ukrytych Polaków i ich rodziny, nie wyszli bez strat. Rozpasane gromady grabić jęły, a wszelki opór oznaczał śmierć.

Ale śmierć kosiła przede wszystkim Polaków, nawet tych, którzy niemowłęcymi czy niewieściami dłońmi żadnego oporu dawać nie mogli. Toteż gdy Wojciech spostrzegł co się dzieje, uprosił przeora Wilhelma, by dopilnował przeniesienia osiadłych pod klasztorem rodzin polskich do kościoła, a sam skrzyknął rycerstwo i, zgromadziwszy je na ulicy między św. Mikołajem a św. Katarzyną, czekał ostateczności, żywiąc jeszcze nadzieję, że zapadająca noc położy kres rzezi, a do rana minie rozpasanie żołnierstwa. Nie wiedział, że przed wejściem do miasta sam Landmistrz Henryk von Plotzke wydał rozkaz wycięcia wszystkich Polaków, bez względu na wiek i płeć, a teraz dostojnicy jego z zakonnym posłuszeństwem pilnowali, by rozkaz został wykonany dokładnie. Bracia zaś w gorliwości swej

~ 336 ~

chętnie miecze poświęcone ku obronie chorych i ubogich, maczali w krwi bezbronnych. Gdy ciemność przeszkadzać zaczęła dalszej rzezi, podpalili w Rynku parę szop i przy blasku płomieni dzieło swoje prowadzili nadal. Kilku Krzyżaków zapędziło się aż pod klasztor, ale widząc stojących zwarcie w pogotowiu polskich rycerzy, zawróciło, uwiadamiając o tym star-

szynę. Nad gwar i krzyki wzbił się dźwięk spiżu, zwołujący braci pod sztandar.

Polakom zdał się wezwaniem na Sąd Ostateczny. Czekali, modląc się pobladyłymi wargami i patrząc rozszerzonymi oczyma, jak na tle łuny zbliża się od Rynku czarna, milcząca masa. Ucichło, jeno nad ich głowami jęczały dawony, jakby wzywając pomocy, która znikąd nadejść nie mogła.

Potem wrzask targnął powietrzem. Jak deszcz iskier, zamigotały w czerwonych blaskach miecze. Polskie rycerstwo walczyło z rozpaczą, wiedząc już, że zagłada ich z góry jest postanowiona, Krzyżacy z wprawą i zimną zajadłością podniecaną oporem garstki przeciw przemocy. Ale opór nie trwał długo, obrońcy zepchnięci pod samą bramę kościelną rozprysnęli się. W tej chwili rozwarły się jej podwoje, ukazując oświetlone wnętrze kościoła. To przeor Wilhelm, widząc co się dzieje, przy-

garnąć chciał niedobitków pod ochronę ołtarza.

Ale i tam nie było ucieczki. Za uchodzącymi wdarli się prześladowcy. Wypełnione dotąd jeno trwożnym szeptem młdów ukrytych tam niewiast i dzieci wnętrze, rozkrzyczało się przerażeniem, za tętniło krokami uciekających i napastników. Wyciągano ofiary zza ołtarzy, spod ław, ciągnięto od konfesjonałów, w których mnisi dominikańscy spowiadać jęli, w nadziei, że choć świętość sakramentu powstrzyma zbrodnicze ręce. Ale nie było względu na nic i na nikogo. Kto się opierał, ginął na miejscu, innych wiedli oprawcy pod umilkła już dzwonnice, jak owce do rzeźni i tam ich sprawiali.

Z oliwskiego klasztoru, słysząc co się dzieje w Gdańsku, nadbiegł opat Rudingerus. Dopytawszy się o Landmistrza, błagał go w imię Chrystusa, by nakazał zaprzestania rzezi. Gdy Landmistrz odmówił, prosił, by choć spowiadać zezwolił idą-

337  
Wawelskle wzgórze - 22

cych na śmierć. Henryk von Plotzke odparł drwiąco, że dla zbawienia ich dusz starczy, gdy opat udzieli im abszolucji in articulo mortis 1, jako ginącym na wojnie.

Po północy wnętrze splugawionego i zniszczonego kościoła ściemniało i zamilkło. Zgasła również luna nad miastem. Pozostali przy życiu mieszkańcy zapadali w niespokojny sen. W głuchej ciszy, jaka zaległa po przeraźliwej wrzawie, słyhać było jeno chłupot nóg przechodzących straży w kałużach i odgłosy chleptania porozlewanej krwi. Teraz piły ją wałęsające się psy. Rankiem zwycięskie wojska krzyżackie stanęły w sprawie w Rynku. Landmistrz ze starszyzną był jeszcze w ratuszu, dokąd sprowadzić kazaf wójta i miejskie władze. Mówił do nich w zrozumiałym, niemieckim języku: wały mają być zniesione, fosy zasypane, bramy zburzone, ludność przeniesiona do Prus. Zakon sam zbuduje i urządzi stolicę swego Pomorza.

Słuchali pokornie; ten język rozumieli. Nikt nie ważył się rzucić nawet uwagi, czy prośby. Wśród milczenia Henryk von Plotzke wyszedł przed ratusz i dosiadłszy podanego sobie konia rozkazał:

- Na Tczew!

Gdy jedną bramą wychodzili zdobywcy, pozostawiając jeno załogę, by dopilnowała wykonania rozkazów, drugą ciągnęli na wieczny spoczynek prawowici posiadacze miasta. Na cmentarzu oliwskiego klasztoru udzielił im ostatniego schronienia starszek opat, Rudingerus.

Prędzej zaś, niż wojska krzyżackie, jakby wichrem z północy pędzona, leciała wieść, że Niemiecki Zakon Najświętszej Panny rzucił wyzwanie chrześcijaństwu. Lecz mimo to w dalekiej Wenecji Wielki Mistrz Zygfyrd von Feuchtwangen odechnął. Zakon rośnie w potęgę, nie potrzebuje się obawiać losu templariuszy. Skalany krwią bezbronnych miecz nie stracił swej wagi w rozgrywce między papieżstwem a cesarstwem.

' w obliczu śmierci

338

Pogłoski o gdańskich wypadkach wyprzedziły przyjazd do Krakowa Boguszy. On jednak pierwszy przywiózł wiadomość o upadku Tczewa. Przybyły z nim razem rycerz, Antoni z Kujaw, był tego naocznym świadkiem.

Łokietek słuchał z pozornym spokojem, od którego wysłannicy woleliby wybuch gniewu. Niekiedy suchym, obojętnym głosem rzucił pytanie, patrząc nie na nich, jeno na swe żyłaste dłonie, które otwierały się i zamykały, jak jastrzębie szpony.

Zamek w Tczewie był silny, murowany, z basztami na czterech rogach, od wschodu odgradzony od Wisły murem i głęboką fosą, od zachodu chroniony stromym płaskowzgórzem, na którym leżało miasto, również mocno obwarowane; od południa zaś i północy broniły go urwiste parowy. Opierać się mógł długo, nawet znacznej przewadze, gdyby serca nie brakło. Ale księżę Kazimierz, który wiedział już, co zaszło w Gdańsku, stracił je do reszty. Gdy postyszał, że Krzyżacy nadciągają łodem od Gdańska, z dziekanem gnieźnieńskim Wincentym i dwoma rycerzami, wyjechał naprzeciw Landmistrza i powołując się na dobrodziejstwa, przyjaźń i obietnice, na klęczkach błagał go, by nie zajmował Pomorza. Von Plotzke z kpina odpowiedział, że wolał, by Pomorze zajmowali kujawscy książęta, niż ktoś od nich silniejszy, ale najpewniej będzie się czuł, gdy zajmie je sam. Na dowód jednak swej życzliwości, zaprosił księcia na śniadanie, po którym Kazimierz odjechał do Tczewa, gdzie zastał zamek już otoczony przez przeważające siły krzyżackie. Wysłał przeto księżę rycerza Antoniego do Landmistrza, pytając, czy może wyjść bezpiecznie, na co otrzymał drwiącą odpowiedź, by wyszedł lub się bronił, jak mu serce każe. Skwapliwie skorzystał z przyzwolenia i Landmistrz tym razem wypuścił bez przeszkód polską załogę z zamku, a Kazimierz odjechał do Swiecia. Miasto jednak broniło się jeszcze przez kilka dni, ale pozbawione oparcia w zamku, obawiając się na wypadek zdobycia, że podzieli los Gdańska, poddało się, Krzyżacy zaś spalili zamek, a mieszkańców miasta siłą wyrzucili do Prus. , ~ 339 ~

Jasne było, że nie chodzi o jakieś odszkodowanie, lecz o samo Pomorze.

Gniew Włodzisława nie w ostatku zwrócił się przeciw Muskacie. Z jego to winy, pod ustawiczną groźbą knowań, mogących pozbawić księcia podstaw panowania w Polsce, siedzieć musiał w Krakowie beczynnym, gdy każdy miecz potrzebny był na północy. Toteż, choć zaczynał już nakłaniać ucha naleganiom z różnych stron, by rozpocząć układy z Muskata, teraz zaciął się znowu. Cofnął ulgi w więziennym życiu biskupa, na jakie zezwolił widząc, że zdrowie jego szwankować zaczyna. Tkwiącego w sercu państwa wroga złamać postanowił przedinnymi.

Pani Adelajda straciła rozbudzoną już nadzieję uwolnienia brata. Gdy małżonek jej odmówił odbicia dziewierza siłą wiedząc, że księżę pilnie baczy na więźnia, a nie udana, próba kosztować może życie, sama powzięła postanowienie.

W niedzielny dzień, wróciwszy z nabożeństwa, na którym znowu spotkała Krzycha, oświadczyła domownikom, że jedzie do Lipowca w pilnej sprawie. Zbierała się jednak tak długo, że wyruszyła niewiele przed zachodem, z jednym jeno woźnicą. Gdy minęli bramę, kazała skrócić na Garbary, a zajechawszy do swego dworca poleciła konie odwieść do stajni mówiąc, że boi się wstającej zawiei i wyruszy rankiem, by dzień mieć przed sobą. W rzeczywistości o noc jej chodziło; skoro tylko zapadła, pani Adelajda upewniwszy się, że woźnica wraz ze stróżem spili się i posnęli, odziała się ciepło i wyszła. Zaciętość i na nowo rozbudzona zachcianka dodawała jej odwagi. Darła się wśród zamieci nieuczęszczaną teraz ścieżką na Łobzów. Bała się jedynie, że Krzycha może nie zastać. Wiedziała, że pacholik śpi przy koniach, a stara Terka po drugiej stronie domu. Nie myślała jednak o niebezpieczeństwach, gotowa na wszystko, byle dopiąć celu. Rozważyła sprawę do najdrobniejszych szczegółów i jeśli tylko zastanie Krzycha, pewna była swego.

Krzych spał już, gdy obudziło go ciche skrobanie w okien-

340  
nicę. Zrazu zdało mu się, że może wiatr zaszeleścił gałęzią, ale.. gdy skrobanie się powtórzyło, pomyślał, że to Ostróżka, dla którego nie było pory ni bram. Wskoczył z łóżka i wyjrzał na pole. Zdumiał się, gdy w poblasku śnieżnej bieli rozróżnił niewieścią postać. Mimo, że twarz miała zakrytą kwefem, ani przez mgnienie oka nie wątpił, że ma przed sobą panią Adelajdę. Podniosła jednak zasłonę z twarzy i przyłożyła palec do ust, a potem wskazała na drzwi. Rozlatanymi rękoma narzucił odzież i cicho jak złodziej otworzył je. Weszła bez słowa, a gdy je zamknął za nią, ujęła go za rękę, widno by się nie potknąć o coś w mrocznej sieni. Mimo że ziąb był, Krzych otarł pot z czoła. W izbie puściła go jednak i usiadła milcząc. Stał nie wiedząc, co począć. Potem przykląkł przed kominem i rozdmuchiwał jął dogorywający żar. Gdy zwrócił się ku niej, dostrzegł, że patrzy na niego zagadkowym spojrzeniem. Nie wiedział, co czynić lub mówić i sam nie poznał swego głosu, gdy się odezwał:

- Stało się coś? Potrzebnym?

Uśmiechnęła się nieznacznie, ale głos miała nabrzmiały czułością, gdy odparła:

- Wiecie, że was miłuję... jak siostra, lub matka... i rada bym dla was wSzystko... jeno się lękam osławy. I za cóż? Nic • złęgo nie robimy, ale ludzie są źli. Obniosą. A tak was prosiłam, byście na sumę nie zachodzili do Najświętszej Panny. Czy choć tego dla mnie uczynić nie możecie? Ja wient, jak ciężko nie widywać się, dlatego przyszłam... ale już żegnajcie i nie każcie mi znowu życia stawić.

-- Ostańcie jeszcze choć chwilę - powiedział drżąc. - Tu nas nikt nie obaczy...

- Nie obaczy? - szepnęła. - Na dworze zamieć - otrząsnęła się - a tu tak cicho, spokojnie i ciepło!

Rozejrzała się po izbie, jakby walcząc z chęcią pozostania, co widząc Krzych jął błagać, by jeszcze nie odchodziła. Opie-

rała się niepewnie, wreszcie rzekła z uśmiechem:

- Ostanę, ale jeno chwilę, póki szuba nie obeschnie. Tedy pomóżcie mi ją zdjąć, bo gorąco.

'~ 341 ~

Pomógł.

Gdy przed świtem żegnali się opodal dworku na Garbarach, pani Adelajda powiedziała:

• - Jeno przyrzec mi musisz, że sam nigdy mnie szukać nie będziesz. Ilekroć wydołę, wyrwę się do dworku. Światło ujrzysz w moim oknie. Psy pozamykam, a stróż pijanica, spoić go nie trudno... i znowu będziemy sami.

- A teraz, kiedy was... kiedy cię znowu obaczę? - zapytał.

- Muszę jechać do małżonka do Lipowca, by pozer zachować. Wrócę w sobotę, po zamknięciu bram i na- Garbarach się zatrzymam. Bądź cierpliwy, to jeno parę dni.

Ale tych parę dni wlokły się Krzychowi jak miesiące. Choć wiedział, kiedy pani Adelajda wraca, oraz że szukać mu jej nie wolno, spodziewał się, że jakiś przypadek zmusi ją -do wcześniejszego powrotu, a zarazem usprawiedliwi jego nieposłuszeństwo. Brał konia i wyjeżdżał daleko naprzeciw, mimo zawodów powtarzając to co dnia. A już w dzień zapowiedzianego jej powrotu miejsca sobie znaleźć nie mógł od rana, a jeszcze nie szarzało, gdy stał już nad zmarzniętą młynówką i patrzył na dworek. Z drzeniem dostrzegł wkrótce jak drogą wzdłuż murów zajechały sanie i teraz nie było już siły, która by zdołała go stąd odciągnąć. Ale czekać musiał dłu'go. Psy naszczekiwały,'a mimo że ciemność już zapadła, wskazane okno wciąż jeszcze było mroczne. Krzych nie czuł, że mróz przybiera, jeno słyszał jak śnieg skrzypieć zaczyna pod jego nogami, którymi mimo woli dreptał, nie zdając sobie sprawy, że mu marzną. Wreszcie jak dwie gwiazdy znienacka zaświeciły serca okiennic i w białawy mrok wybiegły dwa jasne promienie. Wysiłkiem powstrzymywał nogi, by go same nie niosły i skradając się ostrożnie podszedł i zapukał cicho. Okiennice w tej chwili rozchyliły się bezszelestnie i jednym skokiem znalazł się w izbie.

- Co się stało? •- szepnął widząc, że pani Adelajda twarz ma zapłakaną i gryzie wargi. Nie odpowiadając usiadła i znowu zaniósła się płaczem. Stał nad nią bezradny, usiłując dowiedzieć się przyczyny rozpaczy, niespokojny i trwożny. Ręką skinęła, 342

by poniechał. Siedziała jeszcze przez chwilę z twarzą ukrytą w dłoniach. Potem podniosła głowę i rzekła:

- Nie stało się nic 'takiego, co by ciebie dotknąć mogło. Spokojny bądź!

- Ale co tobie? Nie mogę patrzeć, jak płaczesz.

- Musisz przywyknąć - odparła z bladym uśmiechem. -

Nie twoja siła usunąć moje zgryzoty. Wyrosłeś jak topola, a dziecko-ś, któremu się zda, że pieszczoty staną za wszystko. Odsunęła go łagodnie dodając:

- Tak się cieszyłam na tę naszą noc. Anim myślała, że ją przepłaczę.

Wybuchnęła znowu łkaniem, a on chwycił ją w ramiona mówiąc:

- Nie dziecko-m. Powiedz co jest. Zrobię wszystko...

Wysunęła się z jego objęć.

- Tak ci się teraz zda. Każdy przyrzeka, gdy szczęśliwość chce osiągnąć, a potem...

Zerwała się. Na jej twarzy zjawiał się gniew.

- Stara-m już. Nasłuchałam się przysięg i widziałam, jak się je łamie. Ty może wierzysz, w to co mówisz - dodała łagodniej - ale ja ci wierzyć nie mogę. Nie leć, jako ćma do płomienia; ani wiesz, co byś musiał uczynić.

Padł na kolana i zawołał:

- Przysięgam, że uczynię wszystko.

Poczuł jej długie, ciepłe i giętkie palce we włosach. Niby odpychała jego głowę, ale zarazem wabiła uśmiechem.

- Przysięgasz? A wiesz, że życie musisz stawić? Ale .cóż?

Czyż ja go nie stawię dla ciebie... i więcej niż życie: dobre imię, dom, dzieci, wszystko...

- Powiedz jeno, co mam uczynić? Żeby sam na stu miał uderzyć.

Zaśmiała się lekko.

- Sam na stu? Nie! Tego nie żądam. Może na nikogo... może na jednego...

- Co mam uczynić? - powtórzył, .

~ 343 ~

- Uwolnić pana biskupa!

Krzych zerwał się.

- Jako że to może być? Wždy sam ksiązę go więzi. Mam zdradzić?!

Pani Adelajda zesztyniała; powiedziała zimno:

- Służyłeś panu biskupowi, nim poszedłeś na służbę do księcia. Nie byłaś i to zdrada?

Krzych czuł w głowie bolesny zamęt. Nie 'znajdywał odpowiedzi, choć czuł różnicę. Pani Adelajda zaś ciągnęła bezlitośnie:

- Nie wiedziałam, że się boisz. Mój pan małżonek boi się także... u ciebie się tego nie spodziewałam. Ale już idź. Sam widzisz co warte przysięgi, gdy się do łoża chce iść. Tuszę jeno, że nikomu nie wspomnisz, com ci mówiła, mając wzgląd, jeśli nie na mnie, to na siebie.

Groźba i pogarda brzmiały w jej głosie. Krzych stał zmiażdżony, bąkając coś niezrozumiale. Pani Adalejda powtórzyła:

- Idź już!

Patrzyła na Krzycha badawczo; na jego pobladłej twarzy widniała głęboka boleść i wahanie. Ale w niej budziło to jeno złość. Zachciankę już zaspokoila, kochanek jej niepotrzebny, jeno wykonawca rozkazów. Zawód i gniew zaświecił w jej zimnych oczach, gdy Krzych skierował się do wyjścia. Ale odetchnęła; pomału odwrócił się i powiedział cicho:

- Ostanę. Uwolnię pana biskupa.

Porwała go w objęcia. Ale pieszczoty miały dla niego posmak goryczy. Myślał, jak dotrzyma przyrzeczenia i ona o tym

jeno myślała. Leżeli w ciemnościach szepcząc, ale nie jak kochankowie, jeno jak spiskowcy.

Wyszedł w ciemną jeszcze noc i brnął w śniegu otepiał. Był przed siebie. Nogi same niosły go do domu. Zasnąć i nie myśleć o tym, co przyrzekł! Ale i sen go nie uwolnił; śniła mu się drwiąca twarz Ostróżki. Stał między nim a biskupem, oczyma trzymając Krzycha jakby na uwięzi i uśmiechał się złośliwie na widok, jak szamoce się bezradnie.

- " 344 ~

Krzych odetchnął głęboko, gdy potrząsnęła nim jakaś ręka, spędzając dręczącą go zmore. Stała nad nim Terka i śmiała się bezzębnymi ustami.

- Wstawaj! Południe już. Cóż się wylegujesz jak położnica?

Krzych począł się sprawiać, jękając, że słaby się czuje.

- Juści sił nie przybywa od włóczenia się po nocach. Ale od tej słabości się nie umiera, wszyscy młodzi na nią chorują. Przespałeś się, teraz pojedz sobie i możesz znowu iść. Lepsze to, niż durzyć się po próżnicy. Wraz ci głupie myśli przejdą. Ale Krzych aż syknął. Przeszłość minęła bezpowrotnie, teraz zdeptał nawet wspomnienie. A za tę miłość trzeba zapłacić; im prędzej, tym lepiej. Będzie wolniejszy, gdy dopełni tego co przyrzekł.

Zebrał się, ofuknął Terkę, która go próbowała nakłonić, by zjadł coś i wyszedł.

• Idąc przemyślał. To, co przyobiecał, nie było łatwe. Zarówno on jak i pani Adelajda budowali jeno na tym, że Krzych na zamku wszędzie ma dostęp i nie budzi podejrzeń Ostróżki, który przed nim nie będzie się miał na baczności. Krzych ma jeno pomoc biskupowi wydostać się za mury, gdzie znajdzie już życzliwych ludzi, którzy mu dadzą schronienie. Najprostsze byłoby ubić Ostróżkę i pani Adelajda próbowała ostrożnie wybadać, czyby się Krzych nie dał do tego nakłonić, opowiadając mu o zniewadze, jakiej doznała i przedstawiając to jako konieczność w nadziei, że jedną strzałą uda jej się upolować dwa ptaki. Krzych o takiej konieczności myślał ze zgrozą. Znając towarzysza nie sądził, by się Ostróżkę podejść dało i uniknąć użycia przemocy. Ale bez przerwy przecież Ostróżka przy biskupie nie siedzi. Postanowił więc raczej wybadać, kiedy powierza dozór nad więźniem komu innemu.

Z tymi myślami idąc, palił się ze wstydu. Zdał się sobie Judaszem. Wiedział, że Judasz się powiesił, ale co sam uczyni, nie wiedział. Pewien był jeno, że znowu trzeba będzie odrzucić dotychczasowe życie i zaczynać na nowo. Jeno gdzie, z kim i po co!

~ 345 ~

•  
Ulżyło mu trochę, gdy u wejścia do chaty rybaka zastał Braciszka. Rąbał drwa i nucił coś fałszywie przez nos. Na widok Krzycha zakrzyknął:

- Laudetur! Mówiłem Ostróżce, że przyjdiesz. Bardzo się pieklił na ciebie, żeś Siedlika w chorobie nie odwiedził.

- Wždy przyszedłem - odparł Krzych spuszczać oczy.



- Ba! Jenó żeś się spóźnił. Siedlik nie czekał i przeniósł się na Bożą rolę, świeć mu Panie! Jam tu teraz całym gospoda-? rzem, choć-em się do tego nadał, jak wróbel do orki. Ostróżka nawet zjeść nie zawsze przyjdzie. Pilnuje biskupa, jak sęp ścierwa.

Krzych zacisnął zęby, a nastawił uszu. Starał się. nie zapomnieć, po co przyszedł. Zapytał:

- To Ostróżki nie masz? O jakiej porze najłacniej go zastać?

- Pewnikiem przyjdzie na wieczerzę, bo na obiedzie nie był. Masz co do niego, to poczekaj. I Kundzia się ucieszy. Biedna dziewczuszka, krewniaków żadnych nie ma. Sama na świecie, tedy siedzieć tu muszę, jako kołek w ścianie. Ostróżka, jak to • on, zresztą Kundzia żrała już, a urodna się robi, tedy wojski potrzebny, Najlepiej by jaka stateczna niewiasta; Terka, choć nikomu dobrego słowa nie da, Kundzię lubiła. Ale co tam gadać o tym, kiedy nie może być. Zresztą i rybakiemostałem, jako św. Pięter, jenó że on naprzód rybakiem był, a potem apostołem, ja zasię na odwrót. Możeby i do pracy nawykł. Jako widzisz, drwa rąbię przy świętej niedzieli; a nawet strawę gotuję, gdy Kundzia z rybami idzie na targ, albo do kościoła, choć sprawniejszym do jedzenia niż do warzenia i czasem aż nogi swędzą, tak się chce wędrować na góry, na lasy. Za rybaka by ją wydać, co by sprzęt wziął po starym i dzierzawę. • Ale ona o tym i słyszeć nie chce...

Krzych przerwał potok wymowy Braciszka, bo przykre mu były ciągle przytyki do Kundzi, zresztą skorzystać chciał z nieobecności Ostróżki, by się o nim wywiedzieć, czego potrzebował; zapytał tedy:

- Jak mniemasz, prędko Ostróżka przyjdzie?

~ 346 ~

- A skądże mam wiedzieć? Czasem i po dwa i trzy dni go, nie masz.

- I cały czas tak strażuje przy biskupie?

- Przecie go nie pytam,' bo i co mi po tym? Albo i tobie?

A zresztą znasz go. Wędruje, kędy mu się widzi, powie, co mu się zda. Ale chcesz, to go sam spytaj, bo oto nadchodzi.

Istotnie ścieżką po skale od Wawelu szedł Ostróżka. Braciszek przynaglił:

- Pójdźże prędej, bo się tu Krzych na ciebie doczekać nie może.

Ostróżka zeskoczył sprężystie z występu skalnego, miast go obejść, a Braciszek ciągnął:

- Niesłusznieś prawil, że nie dba o nas; a już o ciebie dopytuje, jak o rodzzonego.

Krzych zarumienił się gwałtownie i czekał na jakieś zjadliwe odezwanie się Ostróżki, ale on jakby nie zwrócił uwagi na gadanie Braciszka. Podał rękę Krzychowi i rzekł:

- Przecieżeś się zebrał. A widzę, że i ko'ni Budziwojowi objeżdżać już nie pomagasz, bo i na zamku dawnoś nie był.

- Słabowałem - odparł Krzych, myśląc z niepokojem jak mu trudno kłamać przychodzi, przy czym patrzył spod oka,

czy Ostróżka wierzy; tamten odparł jeno:

- Iście nędznie •wyglądasz. Aleś już widno zdrów, skoroś przyszedł.

'-- Zdrow-ym. I od jutra^do Budziwoja pójdę.

- Tedy częściej się widywać będziemy. Zajrzyj i do mnie, bo ja Muskaty pilnuję, a ksiązę srogo przykazał, by go ni na chwilę nie spuszczać z oka, bo nie brak biskupowi stronników, co by go uwolnić radzi.

Kraychowi serce zabiło, ale Ostróżka patrzył nie -na niego, jeno na ścieżkę i przerwał mówiąc:

- Kundzia wraca z nieszporu od św. Wawrzyńca. Wieczereżę masz gotową? - zwrócił się do Braciszka. - Bo ja długo zabawić nie mogę.

- Jakże mi ją mieć, skoro Krzych nadszedł i gadaliśmy.

~ 347 ~

Ale drew narąbałem, a Kundzia migiem coś uwarzy. Już ja wolę, jak ona zgotuje. Walna z niej gospodyni.

Nadbiegła przyspieszonym krokiem, zarumieniona, nie wiadomo czy z dosłyszanej pochwały, czy na widok Krzycha. On stał zmieszany, bo każdy objaw serdeczności budził w nim pogardę dla samego siebie. A już nieukrywanej radości dziewczyny zgoła nie miał czym odwdzięczyć. Zauważył jednak, że istotnie wyrosła i wyładniała, ona zaś mówiła z dziecinną jeszcze otwartością:

- Od rana czułam, że mnie radość spotka.

Trzymała go za rękę patrząc mu w oczy i uśmiechała się, ale smutek przebijał przez jej uśmiech. Ciągnęła:

- Wszyscy cię tu lubią. Ale coś mi marnie wyglądasz?

- Słabował - wtrącił Ostróżka, a dziewczyna powiedziała z wyrzutem:

- Czemużeś nie uwiadomił? Byłabym przybiegła czasem, bo Terka stara i dogodzić ci pewnie nie umie. Żle-m to chodziła koło ciebie, gdyś tu poszczerbiony leżał?

Ostróżka ugryzł się w język i przerwał sucho:

- Po cóż wypominasz, kiedy on sam ani wspomni. Lepiej do izby go prowadź, miast trzymać na mrozie, a najlepiej do wieczery się weź, bo wszyscy na nią czekamy.

- Migiem zrobię, jeno szatki zmienię. Ostaniesz z nami? - zapytała Krzycha przymilnie.

- Juści, że ostanie - odparł za niego Ostróżka, a Krzych. miał ochotę uciec, by nie kłamać każdym słowem i spojrzeniem. Przemógł się jednak w nadziei, że dowie się jeszcze czegoś, co mu pozwoli zmiarkować, jak się z danego przyrzeczenia wywiązać.

Istotnie po wieczery Ostróżka postawił miód i popijając rozgadał się tak, że Braciszek aż patrzył na niego badawczo. Skrytego i małomównego Ostróżki pijanym jeszcze nie widział. Ale z równym zdziwieniem patrzył na Krzycha, który nie pił nigdy, a teraz wychylał kubek za kubkiem i coraz się czynił czerwieńszy, a wreszcie wyszedł żegnany serdecznymi zaprosi-

~ 348 ~

nami Kundzi, by ich znowu rychło odwiedził. Braciszek rzekł

do Ostróżki:

- Zęby tak księżę słyszał twoje gadanie, pewnie by cię wygnał. Po cóż ma kto wiedzieć, jak biskupa pod korcem trzymacie? Jeszcze się Krzych wygada gdzie nie potrzeba, bo łatwowierny jest.

- O mnie się nie troszcz, a Krzych najlepiej sam wie, po co mu te wieści, skoro po nie przyszedł.

Braciszek długo patrzył na Ostróżkę swymi wylupiastymi oczyma. Widno zrozumiał, bo powiedział:

- Jeno mu krzywdy jakowej nie uczyni. Z księciem żartów nie ma.

- Księżę się nie dowie, a ja Krzychowi jeno pokażę, że głupi, zaś pani Adelajdzie, że ja miłośnika wydrę z jej szponów, a nie ona swego brata z moich. Chyba że Krzych nakłonić się dał, by mnie ubić. Wtedy...

Parsknął złym śmiechem i odszedł.

XXXIV

Dudziwoj z zadowoleniem powitał powrót Krzycha, ale doświadczonego człeka uderzyła widoczna w młodzieńca zmiana.

- Wsiąkł powyżej pasa - mruknął do siebie i nie dopytując o nic pilnie baczył na swego ulubieńca. Zauważył jak zmieszał się na widok nadchodzącego księcia i odszedł w przeciwną stronę, jakby chciał uniknąć z nim spotkania. Nie uszło również uwagi koniuszego, że gdy skończyli pracę, Krzych, miast jak dawniej odjechać do domu, poszedł do wieży północnej, gdzie były wejścia do kabatów. Za drugim razem koniuszy przycail się, poczekał i, niby przypadkowo, natknął się na niego, gdy wychodził.

- A cóż ty tu robisz? - zapytał.

• Krzych, starając się ukryć zmieszanie, odparł:

- Znajomka odwiedzam.

- Wždy tu kabaty są. Siedzi?

- Nie, jeno pilnuje.

- A, tak - powiedział koniuszy obojętnie i poszedł dalej.

Ale gdy Krzych zniknął za bramą, zawrócił do wieży. Zapukał do drzwi izby przy zejściu do sklepów i wszedł.

Ostróżka leżał na narach, nad czymś głęboko zadumany. Na widok koniuszego dźwignął się leniwie i spojrzał pytająco.

Koniuszy rozejrzał się podejrzliwie i usiadł. Widocznie nie spieszo mu było. Zapytał obojętnie:

- Sam kabatów pilnujesz?

- Wždy strażą stoi przy wejściu.

- A wolno to postronnym tu zachodzić?

Myślał, że Ostróżka się zmiesza, ale młodzik" odparł czelnie:

350

- Wždyście przyszli, cóż się mnie pytacie? Burgrabia wam powie jakie straż ma rozkazy. Nie moja sprawa. /

- Słuchaj no! Kto-m jest, wiesz. Zda mi się, że twoja sprawa, by więzień nie uszedł.

- Juści, moja sprawa - odparł Ostróżka i ułożył się z powrotem.

Ale koniuszego nie łatwo było zbyć, lub wyprowadzić z rów-

nowagi. Zapytał spokojnie, ale ostro:

- Co tu robił Krzych?

- Odwiedził mnie. Znajomek.

- Czego chciał od ciebie?

- I wy go znacie; j ego zapytajcie.

- Iście, że go znam dobrze. Prosty, jak dziecko i dlatego łącznie się nim chytrze j szemu posłużyć. A ciebie nie znam i miarkuję, żeś nie głupi. Dlatego albo rzekniesz, po co Krzych był, jeno mi piasku w oczy sypać nie próbuj, albo pójdziem rozmówić się do księcia.

Budziwoj widocznie utrafił w słabe miejsce, bo Ostróżka usiadł. Patrzył przez chwilę na koniuszego. Potem zapytał:

- A jak wam rzekę, schowacie dla siebie?

Ostróżka p&trząsk zastawił starannie. Zawiasy w drzwiach z dziedzińca do wieży i do swej izby natłuścił, kawałki skóry podłożył pod żelazną kłodę w lochu i zabezpieczywszy się przed hałasem, który by mógł spłoszyć nieproszonego gościa, czekał.'

Po zaciągnięciu straży koniuszy, zgodnie z umową, przysłał Ostróżce wiadomość, że Krzych gra w kości na strażnicy przy zachodniej bramie. Dawniej nie grywał wcale, Ostróżka wiedział więc, że gra jest tylko pozorem, by pozostać na zamku, nis zwracając uwagi. Pewny był, że zbliża się rozstrzygnięcie.

I Budziwoj był pewny. Przyszedszy, kazał odejść strażnikowi mówiąc, że sam będzie strażował. Wojak oddalił się rad, że marznąć nie musi, ani się nawet domyślając, że coś więcej go ominęło. Gdy kroki jego ucichły. Budziwoj wszedł do izby-Ostróżki i bez słowa zasiadł we wnęce za piecem, Ostróżka zaś,  
~ 351 ~

skróciwszy knot w oliwnym kaganku, ułożył się na wyrku. Słaby i chybotliwy blask ledwo oświetlał jego twarz, na oczach leżał czarny cień. Zdać się mogło, że śpi głęboko, bo słychać było jego równy oddech. Zresztą cicho było jak pod wodą, ledwo dosłyszalne odgłosy jakieś dochodziły z dworu, ale i one wnet umilkły.

Budziwoja zaczynała w tej ciszy ogarniać senność, a bał się, czy i Ostróżka nie usnął. Syknął na niego. Ostróżka podniósł ostrzegawczo palec do ust i znowu słychać było tylko jego oddech, który pozostał równy, gdy ledwo dosłyszalnie zaszemerało coś od wejścia z dziedzińca. Szmer zbliżał się, aż ustał koło drzwi izby i cisza trwała tak długo, że Budziwoj już myślał, iż złudził go słuch podniecony oczekiwaniem. Ale w tej chwili posłyszał niewątpliwy już szmer od drzwi. Rozchylały się tak wolno, jak opada piasek w klepsydrze, potem ukazała się ręka zmierzająca do wiszącego na futrynie klucza i bezszelbestnie zniknęła. Wszystko szło, jak przewidzieli. Szmer oddalał się i ścichł.

Budziwoj czekał. Zobaczył jak Ostróżka wstał, .zabrał kagankę i osłaniając światło ręką wysunął się jak kot. Zapanowała zupełna ciemność, w której majaczył jeno zarys kraty okienka na podwórzec. Dopiero gdy oczy do mroku nawykły, Budziwoj wyszedł na korytarz i przycupnął pod ścianą. Niejedno w życiu przeżył, ale teraz serce biło mu głośno. Ostróżka grał

zuchwale. Jeżeli Krzych użyje siły, za chwilę będą trupy. Myślał o tym z niepokojem. Nagle w zamkniętej przestrzeni jak grom rozległ się huk zatrzaskniętych drzwi. Budziwoj przyczaił się. Posłyszał szybkie, choć niepewne kroki na schodach od lochu. Nadchodzący w ciemności natknął się na otwarte drzwi izby. Koniuszy poderwał mu nogi i obaliwszy go usiadł na nim. Powiedział już spokojnie:

- Leż-no wasza wielbność, bo nóż mam w ręku.

. Po chwili ujrzał poblask światła na ścianach, który rozszerzał się, potem długi cień pełznął po powale, a w końcu dojrzał wysoką postać Krzycha w świetle niesionego za nim kaganka Ostróżki. Gdy doszli do drzwi izby, Ostróżka nakazał:

~ 352 ~

<ż" ls^ff^c^a& .

- Wejź!

Krzych wszedł bez oporu, a Ostróżka zwrócił się do Budziwoja, mówiąc:

- Zleźcie z pasterza. Nacieszył się już swobodą, czas mu wrócić, gdzie należy. Myślę, że pójdzie sam, bym go za nogi nie musiał wlec, jak wieprza. Na schodach mogłyby się czcigodne kości połamać.

Muskata wstał. Nie zaszczycił swych gnębicieli ni jednym spojrzeniem. Dumnie, nie spiesząc się, ruszył do piwnicy, położył się i do Ostróżki, który wszedł za nim ze światłem, powiedział:

- Wynoś się. Chcę spać.

- Szkoda. Wybiłem się ze snu i właśnie gadać z wami mam ochotę. Nie często mi się to trafia, jak wiecie. Ostatnio będzie temu kilkanaście lat, nie licząc naszej rozmowy u predyktantów, bo tam nie od siebie mówiłem. Trudno nam będzie się dogadać, gdy się nasze chęci mijają. Wówczas znowu wam chęci zabrakło.

- Jeszcze porozmawiamy - odparł Muskata zimno i wyniośle. : • • ' .

- Różnie bywa, jeno cierpliwość trzeba mieć. Kto by wtedy uwierzył, że tak sobie jak dziś gadać będziemy.

Stawiając kaganek przystąpił do biskupa i mierzył go oczyma. Postać Ostróżki rzuciła olbrzymi cień, który zaległ pół piwnicy, a na jego tle głowa zdała się płonąć, ciągnąc nieprzepracie oczy Muskaty. Aż do bólu silił się wydobyć na jaw świadomości kołające się w nim wspomnienie.

- Gdzie ja cię widziałem? - wyrwało mu się pytanie.

- Nie pamiętacie? U swoich nóg. Pomogę przypomnieć: ot, co uczyniliście...

Kopnął Muskatę w twarz, podniósł kaganek i wyszedł. Od drzwi dorzucił:

- Przyda się wam przypomnienie, jeśli kiedy będziecie czynić rachunek sumienia. Ja zaś jeszcze tylko siostrę waszą rad bym ujrzeć w kunie pod Panną Marią, jak ją gawiedź gnojem Wawelskie wzgórze - 23

353

obrzuca. Trafia się sposobność, bo właśnie jej gacha mamy

w ręku, który głupi żywot stawiał za to, co lepsze może mieć za dwa skojce u nierządnic pod Floriańską bramą.

Myśli Muskaty czarniejsze były niż ciemność, która zaległa loch, gdy Ostróżka drzwi za sobą zatrzasnęła.

Zamknawszy Muskatę poszedł nie spiesząc się do swej izby, rozjaśnił kaganek i spojrzął na Krzycha, który stał bez ruchu, jak słup, z opuszczonymi oczyma. Budziwoj usiadł na ławie i pierwszy przerwał milczenie:

- Pani Adelajda cię namówiła? - zapytał.

Po dłuższej chwili ledwo usłyszał odpowiedź:

- Tak!

- Książę Włodzisław ufność w tobie położył, dobrodziejstwami obsypał, księżna z Jaśkową córą swatała. Nie pomyślałeś, że stanąć przed nimi przyjdzie? Cóż rzekniesz?

Odpowiedzi nie było. Wtrącił się Ostróżka:

- Twoje szczęście, żeś ręki na mnie nie podniósł. Miałbyś ninie kilka cali żelaza w sercu.

- Wolej bym miał - szepnął Krzych.

- A cóżem to ja złego ci uczynił, żeś moją głowę chciał stawić i dla kogo?

- Nie chciałem - odparł Krzych.

- Nie chciałeś? A nie myślałeś, że gdyby ci się udało, książę kołem łamać by mnie kazał za to, że-m, tobie zawierzywszy, Muskatę z rąk wypuścił? Swoją czią i moim życiem zapłaciłbyś za kuper, po którym, mało, dziesięć kogutów skakało.

Krzych z bladego uczynił się czerwony. Odparł rwącym się głosem:

- Ninie możesz nas lżyć. Miłowaliśmy się. Dlatego jej brata uwolnić przysiągłem.

- Głupis-powiedział Budziwoj.-Ona ci jeno płaciła, byś jej zamierzeniom służył. Większa hańba takiej przysięgi dotrzymać, niż wyłudzoną złamać. I cóżeś myślał? Że z dziećmi będzie sprawa? Ty, może, ale nie ona. Wiedziała, że twoją głowę stawi, a swoją jeno rzyć. Tani-s dla niej.

- Nie mówcie! - wyjąkał Krzych posiniałymi wargami.

~ 354 ~

- Gadaj z takim - mruknął koniuszy. - Jeszcze jej chce wierzyć!

Nagle zmienił głos:

- Siadaj! - powiedział. - Jeszcze nie przed sądem stoisz.... i może nie staniesz. Prócz nas nie wie nikt. Wierzysz, żeśmy ci przychylni?

Krzych usiadł i odetchnął głęboko.

- Życia mi nie żal... jeno wstyd... - szepnął.

- I życia szkoda za nic. Ale sam pomyśl, czy mogę cię puścić, wiedząc, żeś Muskatę uwolnić poprzysiągł? Toż byśmy spółnikami twymi ostali w zdradzie.

Krzych opuścił głowę.

- Przecie go już nie uwolnię - powiedział cicho.

- Sama chęć stoi za zdradę. Dasz rycerskie słowo, że więcej, choćbyś mógł, usiłować nie będziesz?

- Nie będę. Przyrzekam - powiedział Krzych i odetchnął

znowu.

Ale ulga minęła, gdy Budziwoj ciągnął:

- Tedy i po twojej przysiędze. Ale oznajmić to musisz pani Adelajdzie. Inaczej tak byś postąpił jak urwipoleć, co z dziewczką prześpi, a rankiem uchodzi chyłkiem z portkami na plecach i cizmami w rękę, korzystając, że ona śpi, by nie zapłacić.

. Krzych skręcał się, ale koniuszy był bez litości, choć nawet Ostróżka się wstawił, mówiąc:

- Cóż się będzie sprawiał przed ladacznicą?

- Nie sprawiać się winien, jeno uwiadomić. Skórom już nad nim pieczę wziął, nie ustąpię. Nie przystoi mężowi nawet przed ladacznicą pozoru dać, że bez czci jest.

- Pójdę - wykrztusił Krzych.

- Kiedy?

- Chyba wieczorem. Zakazała do siebie zachodzić, by ludzie nie gadali...

'- Jak to o niewieścią cześć stoi! - zadrwił koniuszy. -

Tedy idź wieczorem, by cię nikt nie widział i sławie jej cnoty ujmę nie było. A teraz idź spać, bo ledwo już siedzisz. Musiałeś całą noc sprawę z nią omawiać.

~ 355 ~

Gdy się za Krzychem drzwi zamknęły, Ostróżka mruknął:

- Po cóż go do niej wysyłacie? Pan Gerlach jest w Krakowie.

- Nie szkodzi. Kto chce konie kraść, musi do cudzych stajni zaglądać. I jam nieraz z cudzego okna skakał na mróz. Ale myślę, iż się już ceckać nie będą, gdy ona się dowie, jak sprawa poszła. Pożegnają się rychło i na zawsze.

- Od wypadku pokręcę się wieczorem koło wójtowego dworca - powiedział Ostróżka.

- Jako chcesz. Ale lepiej dla niego, by się raz już bez niańki chodzić nauczył.

Pani Adelajda spędziła bezsenną noc w oczekiwaniu na wiadomość jak się powiodło Krzychowi. Już po otwarciu bram skostniały od mrozu przyszedł jeden z ludzi biskupa, którzy czekać mieli na niego pod Wawelem, z oznajmieniem, że ani Muskata nie nadszedł, ani nie słyhać, by na zamku coś zaszło.

Złość zebrała panią Adelajdę, ale powściągnęła ją pomyślawszy, iż może Krzych natrafił na jakieś przeszkody, które zmusiły go do odłożenia przedsięwzięcia. Znużona zasnęła z zamiarem wymknięcia się do dworku przed wieczorem, dokąd niechybnie Krzych przyjdzie z wiadomością. Zamiar udaremnił jednak pan Gerlach - zapowiadając, że na wieczór radnych w gości zaprosił, by pogadać swobodnie o sprawach. Nie śmiała wtajemniczać małżonka w swe poczynania, bo nie uwierzyłby, że uzyskała pomoc książęcego rycerza bez odpłaty, a musiała się zobaczyć z Krzychem, by uzgodnić dalsze działania. Toteż drażnił ją i niecierpliwiał gwar schodzących się gości i od podejmowania ich wymówiła się słabością. Siedziała samotnie w swej izbie przemyśliwając, czyby się jednak wymknąć nie dało. Zaczęła się sposobić do wypoczynku, gdy z nagłą usły-

szła ciche pukanie. Przejęta jedną myślą skoczyła do drzwi sądząc, że jednak Krzych znalazł sposób, by ją uwiadomić o zamierzeniach. W drzwiach stał on sam. Zaskoczenie było większe  
~ 356 ~

nawet niż chęć usłyszenia wieści. Wciągnęła go prędko do izby zatrzaszczając drzwi.

- Czyś oszalał? Ty tutaj? Co się stało? No mówże, jeno prędko!

Rzucała pytania, rozglądając się równocześnie, gdzie gu ukryć. Krzych stał milczący z opuszczonymi oczyma. Wygląd jego starczył za odpowiedź, ale wiedzieć musiała, co dalej porozczynać. Ze złością syknęła:

- No mówże, niedołego. Dokąd tu będziesz stał?

Podniósł na nią swe znużone oczy i powiedział:

- Nie udało się, a więcej wam pomagać nie mogę.

- Co się stało? Dlaczego?

Zaskoczona była i wzburzona. Z trudem panowała nad sobą.

- Nie mogę. Przyrzekłem.

Pani Adelajda zrozumiała. Ogarnął ją niehamowany już gniew.

- Mnie przysiągłeś. Przestrzegałam cię. Pożałowałeś życia tego łotrzyka? Jemuś przyrzekł?

Krzych stał ze zwieszoną głową. Nie potrzebowała już odpowiedzi. Nie dość, że zawiódł pokładane nadzieje, ale jeszcze wrogowi dał do ręki dowody jej przენiewierstwa i kłowań. Gniew i nienawiść zwróciły się przeciw kochankowi.

- Jegoś się przeląkł? Mnie nie, bom niewiasta? Mniemasz, że mnie można zwieść bezkarnie? Źle wybrałeś. " "

Patrzył na jej zmienioną twarz, jakby ją pierwszy raz widział i coś się w nim łamało. Zamęt czuł w głowie, chciałby się sprawić, wyjaśnić, by zrozumiała. Nieśmiało wyciągnął rękę.

- Precz! - krzyknęła wysokim, przeraźliwym głosem.

Zaniepokoił się. Dom pełen był ludzi, gwar słychać było przez drzwi. Poznał, że już jej nie zdoła pohamować i powiedział cicho:

- Pójdę już. Żegnajcie.

- Nie pójdziesz! - krzyknęła. - Tu mi zapłacisz.

Jeszcze nie rozumiał. Ruszył ku drzwiom, ale zastawiła je sobą i krzyzczyć ją przeraźliwie, drąc na sobie szaty. Nie

~ 357 ~

śmiał jej odtrącić i stał bezradny słysząc tupot nóg w sieni.

Drzwi się otwarły i ukazał się w nich pan Gerlach.

Pani Adelajda wybuchnęła płaczem i wskazując Krzycha zawołała:

- Prześladowuje mnie dawno... nawet w kościele. A ninie chciał mnie siłą...

Urwała i padła na ławę szlochając.

- Służba! - wrzasnął pan Gerlach i sam rzucił się na Krzycha.

Krzych jednak wreszcie zrozumiał. Ogarnęło go obrzydzenie i gniew. Stracił z siebie ręce pana Gerlacha i runął w drzwi,



pełne ludzi.

Ostróżka wiódł Krzycha ścieżką wydeptaną przez zamrznięty staw ku grobli. Krzych ciężył mu, przystawali więc często, a Ostróżka kłął pod nosem Adelajdę, Krzycha, a w końcu i Budziwoja.

- Zachciało mu się ućciwym być ze ścierką! Trzy grosze posłać było, nie skórę takiego ciołka, jak ty. A nie bez tego, byś tam i cudzej nie podarł. Gwałt będzie w całym mieście, o księcia się oprzeć gotowy i wylezie wszystko.

- Usiądźmy - powiedział Krzych półprzytomnie.

- Siądziesz, to nie ruszysz dalej, a ja nie udźwignę takiego kłoca. Farbujesz zresztą i kałuża ostanie. I tak nie wiem, czy po śladzie nie najdą. Pójdźże! Nie daleko już.

- Dokąd mnie wieszysz?

, - Przecie nie na zamek, byś nie był pod ręką, ni na Łobzów, bo tam szukać będą. Do Kundzi.

- Nie pójdę.

- Pójdziesz! Kundzia cię o nic pytać nie będzie, ani odwdzięki żadnej nie czeka. Jaki masz wybór?

- Ostaw mnie tu - powiedział Krzych.

- Trzeba mi to było pod wójtowym domem powiedzieć.

Skórom cię tu dowłókl, teraz nie poniecham. Nie byłoby tego wszystkiego, żebyś do dziewczek chodził, jako ja. I schronienie

358  
człek ma w razie potrzeby i wieści z całego miasta. A gadasz z taką jak z człowiekiem, to wierniejsza i ućciwsza niż niejedna, co przed głównym ołtarzem kiecki wyciera.

- Kundzi szkoda - szepnął Krzych od rzeczy.

Widno odchodziła go przytomność. Gdy ścieżka pięć się jęła po skale, Krzych zachwiał się i usiadł.

- Złe! - pomyślał Ostróżka. Choć się zastrzegł, że Krzycha nie udźwignie, zadał go sobie przez ramię, stękając, dobił się do chaty i kopać jął w drzwi, aż posłyszał ruch i dziewczęcy głos:

- Cóż tak pilno? Ostróżka?

. - Juści, że pilno - odburknał. - Gołaś, to zbudź tego lenia. I wody nastaw.

- Wždy idę już. Umarłego byś obudził - odezwał się nosowy głos Braciszka i rozległ się szczęk rygła. Gdy drzwi stanęły otworem, Ostróżka rzucił:

- Prędko! Pomóż mi go zanieść, bo już nie wydolę.

Na klepisko puścił Krzycha, który legł jak martwy.

- Chryste! - krzyknęła Kundzia. - Nie żyje?

- Przecie bym nieżywego nie doniósł. Omdlał. Teraz prędko wody zagrzej i chust czystych nastrój, a ty pomóż mi go rozdziać - zwrócił się do Braciszka.

Zawlekli Krzycha na legowisko i rozbierać jęli. Szaty miał przepojone zamrzniętą już krwią, że łamać je trzeba było.

- Ale ci go porznęli! - powiedział Braciszek przez nos.

" Po oderwaniu giezła przywartego do ciała rany na nowo krwawić zaczęły. Ostróżka krzyknął na Kundzię:

- Dawaj szmaty i wodę, jaka jest, bo Krzych wyfarbuje

do reszty. I tak nie włada, czy się wylize - mruknął.

Braciszek trącił go, bo weszła Kundzia, niosąc wod<sup>^</sup> w sądach i chusty. Gdy postawiła naczynie, rękoma zasłoniła twarz, moką od łez. Braciszek mówił rozwlekłe:

- Wždy już pono czwarty raz. Powinnaś nawyknać. Takie-  
mu często krew trzeba puszczać, bo go roznosi. Nic mu nie bę-  
dzie. Lubisz go pielęgnować, to czemu becysz?

~ 359 ~

- I beczeć lubi - dorzucił Ostróżka. - Ale teraz się wy-  
noś, bo go obmyć musim i zaopatrzyć. Potem możesz se przy  
nim siedzieć, choćby do białego dnia.

Za parę pacierzy-Braciszek wyszedł do płaczącej po piecem  
Kundzi i głaszcząc ją po twarzy powiedział:

- Możesz już iść do niego. Patrzy przytomnie. Skóra się  
wygol, jeno szaty nowe będzie musiał kupić, bo tamte już nic -  
potym.

Dziewczyna weszła cicho. Krzych spojrzął na nią spłoszo-  
nym wzrokiem, ale uśmiechnęła się do niego.

- Trzeba ci czego? - zapytała.

- Pić! - szepnął.

Gdy go napoiła, zdało jej się, że się uśmiechnął. Zamknął  
oczy. Po chwili po równym, choć płytkim oddechu poznała, że  
śpi. Gdy pojękiwał przez sen, gładziła go po włosach, szepcąc  
coś cichutko.

xxxv

Słusznie obawiał się Ostróżka, że sprawa oprze się o księ-  
cia. Jak miasto szerokie i wielkie nie mówiono o niczym, jeno  
o wypadkach w domu wielkiego wójta. Wśród Ławy i Rady  
wrzało. Nawet ludzie księciu przychylni nie śmieli hamować  
podnoszących się gwałtownych głosów, które groziły wprost  
buntem, jeśli książę nie wymierzy sprawiedliwości. Darmo jed-  
nak poszukiwano sprawcy po całym mieście, najpilniej strze-  
gąc bram i przetrząsając wszelkie zakamarki, kościołów i klasz-  
torów nie wyłączając. Wreszcie stało się pewnym, że ująć mu-  
siał z miasta. Nosderka, który znowu ważnym się uczynić, po-  
trafił, pierwszy wpadł na myśl, że w sprawę zamieszany był  
Ostróżka. Niejednokrotnie bowiem już pokazał, że drwi z bram,  
murów i straży. Jak potrafił uprowadzić poranionego winowaj-  
cę, trudno się było domyśleć, łatwo natomiast, że ukrył go na  
Wawelu, skoro sam tam siedzi.

Stronnicy donosili księciu, co się w mieście, dzieje i mówi,  
tak że Łokietek z miejsca wydał zarządzenia na wypadek, gdy-  
•by rozruch przybrał poważniejsze rozmiary, a zarazem gotował  
się na rozmowę wiedząc, że Rada zamierza żale swe i żądania  
mu przedstawić.

Wieści doszły także do starego Budziwoja, który strapił się  
nie pomалу. Siedział w swej gospodzie i kręcił siwą brodę, nie  
wiedząc co począć. Zrazu wybierał się do Ostróżki po wiadomo-  
ści ó Krzychu, ale po namyśle poniechał; lepiej, by mógł księ-  
ciu szczerze powiedzieć, iż nie wie, co się z Krzychem stało,  
a doszedł do przekonania, że sprawy ukrywać nie wolno. Książ-  
kę musi znać prawdę, a dla Krzycha mogło to być groźne. Spra-

~ 361 ~

we Muskaty Włodzisław stawił widno nawet przed pomorską i łącno mógł nie darować przeniwierstwa. Budziwoj zaś szczerze polubił Krzycha, nadto winnym się czuł w tym, jaki sprawa obrót przybrała.

- Stary-m, a głupi - warczał sam do siebie. - Przechwalałem się mówiąc, że znam niewiasty lepiej niż konie. I bies się w nich nie wyzna.

W ciężkiej rozterce ulżyło mu, gdy posłyszał, że nadjechał kasztelan Jaśko Leliwa. Znał go od chłopięcia. Nie namyślając się ni chwili postanowił jemu sprawę zawierzyć i natychmiast udał się do kasztelana, choć wieczór już był późny, a Jaśko jeno z konia zsiadł z dalekiej podróży.

Mimo to zaraz przyjął starego znajomka i dalekiego swojaka. Budziwoj zaczął:

- Nie trudziłbym się po próżnicy, z pilną sprawą przychodzę. Do księcia jeno z wieściami przyjechałeś, czy już wracasz na dobre?

- Gdzie mi tam do dom! Póki ziemia skuta, Litwa i Jaćwierz grozi, gdy zazieleni się trawa - Ruś z Tatarami. Ani oka spuścić z granicy, gdy zdałoby się siły na północ obrócić. I tu, słyszę, znowu niespokojnie. Rąk i głowy nie staje, ale wola zmarłego brata, święta rzecz. Jeno jej dopełnię, wracam.

- Prawdę rzec, szczęście to dla mnie, żeś przyjechał. Trzeba Włodzisławowi pilnie jedną sprawę przedstawić, a samemu mi nijak. Tobie zaś ufa i lubi cię.

- Chętnie ci posłużę. Prośbę jakową masz?

- Chciałbym winowajcę on ego niepokoju w mieście przed książęcym gniewem uchronić, a zem i sam nie bez winy, tedy jakże gadać mi.

- Czy aby pora o łaskę prosić, gdy nikt panu zgryzot nie oszczędza? Nie wiem, zali i moja prośba skuteczną będzie, O kogóż chodzi?

- O głupiego młodzika, a kiecka w sprawie. Książę tym wyrozumiały być winien, że i sam za młodu kieckami wiele wiatru narobił. A Spytek - świeć mu Panie! - nie o kieckę to sobie życie zawikłał?

~ 362 ~        a

- Ale obaj drogo za to zapłacili, tedy czy książę wyrozumiałym być zechce? O kogóż idzie?

- Znasz go dobrze, bo do twojej Hanny się miał. Krzych. Jaśka aż poderwało.

- Wždy ja w jego sprawie przyjechałem. Brataniec mój! Z kolei zdumiał się Budziwoj.

- Jakoż? Wždy Spytek dzielny nie był, a było was tylko dwóch braci.

- Spytków syn! I winienem mu niejedno.

Kasztelan opowiedział dzieje Krzycha i zakończył:

- Tedy zrobię dla niego, co jeno wydolę. Cóż takiego popełnił?

- Teraz rozumiem, czemuś mu Hanny odmówił. Złe się stało. Nie byłoby tego wszystkiego.

Budziwoj bez osłonek powiedział co zaszło, a Jaśko słuchał marszcząc brwi. Westchnął:

- Czy się t9 zło nigdy nie skończy?! Hanna do klasztoru się wybiera, on łąco mógł zbyć żywota, a już ufność Włodzisława nieprędko odzyszcze. Ale mniemam, że dla pamięci i zasług Spytka synowi jego wybaczy, a uwiadomić pana trzeba, by zaś wiedział jako z mieszczanami gadać. Dobrze, żeśmy się zmówili.

- Juści dobrze. I mnie ulżyło, bo prawdę rzec, polubiłem tego chłopaka, ani wiedząc kto jest, a samem go na niebezpieczeństwo wystawił. Szczęścia to on iście nie ma. Pożegnał się i wyszedł kręcąc głową. Po namyśle, chcąc się wywiedzieć o Krzycha, skierował kroki do Ostróżki. Idąc myślał o nim i mruknął do siebie:

- Ryży ma łeb, ale lepszy niż niejeden siwy.

Na zamek waliła niemal cała Rada i Ława. Łokietkowi nigdy nie byli mieszczanie przychylni i jeżeli dotąd siedzieli spokojnie, to jeno dlatego, że brakło im przywództwa Muskaty i możliwości porozumienia się przez niego z postronnymi władcami,  
~ 363 ~

by zrzucić Włodzisławowe rządy. Ostatnie jednak niepowodzenia Łokietka na Pomorzu i zajęcie ujścia Wisły przez Krzyżaków, grożące stratami w handlu, podnieciły niechęć mieszczan na nowo, uzuchwalając ich jednocześnie. Tym bardziej potrzebny im był pan, z którym by Zakon się liczył i który by zabezpieczyć potrafił korzyści, jakie dotychczas krakowskiemu kupiectwu przynosił handel przez Wisłę i Gdańsk z północą i zachodem. Toteż chętnie dawali ucha judzeniem Gerlacha, uważając sprawę jego za dogodny pozór, by na księciu dalsze ustępstwa wymusić. Szli pewni siebie, żądać i grozić.

Na dziedzińcu zamkowym roіło się od rycerskiej młodzi, która wymieniając głośno lekceważące uwagi, patrzyła z zaciekawieniem na ten pochód najwyższych dostojników miasta, strojnych w bogate futra, aksamity i bławaty, lśniących od złota i srebra. Ubogie rycerstwo patrzyło na nich jak na pożądany, ale zakazany łup. Wrogość wisiała w powietrzu.

W wielkiej komnacie z pustym jeszcze tronem książęcym, na podwyższeniu za stołem, czekali już na mieszczan wojskowi i dworscy dostojnicy. Widno księżę posłuchaniu zamierzał nadać uroczyste pozory, by mieszczan onieśmielić. Panowało milczenie, ale spojrzenia wymowniejsze były jeszcze, niż prześmiechy młodzieży na dziedzińcu. Można by mniemać, że nie rajcy zebrali się na rozmowę, jeno na bitwę dwa hufce i czekają na rozkaz przywódców, by wzajem na siebie uderzyć. Wójt Albert wysunął się naprzód, jakby wyglądając przeciwnika, milczący i dostojny; ale wódz przeciwnej strony czekać dawał na siebie. W miarę jak czas płynął, rósł podniecony gwar. Gorętsi z mieszczan już gardłowali, by nie czekać, skoro księciu do rozmowy z nimi nie spieszo.

Gwar zgasł nagle, gdy w -bocznym wejściu ukazali się dwaj komornicy i nim zdolali przybycie pana oznajmić, ukazał się on sam. Wszedł szybkim krokiem na podwyższenie

i stanął za stołem. Spokojnym, ale bystrym spojrzeniem ogarnął mieszczan, jakby ich chciał policzyć i zapamiętać, po czym usiadł.

^ .364 ~

Wójt Albert powolnym, ciężkim krokiem wystąpił i skłoniwszy się dumnie, choć nisko, rozpoczął po niemiecku:

- Wdzięczni jesteśmy, żeście nas przyjąć raczyli i wysłuchać chcecie, co nam leży na sercu, a i wam na korzyść to jeno wyjść może.

Łokietek przerwał podniesieniem ręki i rozejrzał się po swoich, jakby kogoś stukał. Skinął na Budziwoja i nakazał:

- Będziecie mi wykladać, co pan wójt mówi. Jeno krótko.

Wśród mieszczan wszczął się szmer, a wśród rycerstwa prześmiechy. Wiadomo było powszechnie, że Włodzisław dobrze zna niemiecki język i tłumaczyć mu nie trzeba. Budziwoj w lot pojął o co idzie i odparł:

- Jak każecie panie. Jeszcze pan wójt nic ważnego nie rzekł.

Książę zwrócił się do wójta dając znak, by mówił, ale pan Albert przeszył oczyma koniuszego, kamiennym wzrokiem powiódł po zgromadzonym rycerstwie i zaczął po polsku:

- Nie przez posły z wami mówić pragniemy i nie koniuszemu wiedzieć, co dla nas ważne. Sam krótko mówić potrafie: żądamy sprawiedliwości.

- Juści moja rzecz ją uczynić, ale nie moja domyślać się, o co wam idzie. Kto oskarżenie wnogr, winien je wywieść, wskazać winowajcę i podać dowody. Tedy czekam - sztywno odparł książę.

-• Prawda, że na niejedno skarżyć byśmy się mogli. Ale nie sąd tu, byśmy się porządkiem ograniczać musieli. Nie dość na tym, że drogi niepewne od zbój ów,'a bodaj i niepłaceni zaciężnicy na gościńcach należności swych szukają, na czym handel cierpi; ale i domy już nasze w samym mieście od rozpusty waszych ludzi niepewne.

Dumnym i wyzywającym wzrokiem powiódł po książęcych dostojnikach, wśród których rozległy się szepty. Książę odparł spokojnie:

- Póki mi zaprzysiężonych układów dotrzymujecie, domy wasze pewne. A gdy mi kolekty nawet na obronę granic odma-

- 3Wi -

wiacie, sobie przypisujcie winę, że łotrzyków po gościńcach ścigać nie mam kim, a głodny wojak chleba szuka.

- Nie płacimy, bośmy nie powinni, coście nam na pergaminie poręczyli.

- Alem nie poręczał, że będę bronił waszych towarów i zysków - odparł Łokietek obojętnie.

- Bo i poręczać nie trza, gdy wiadomo każdemu, że porządek w kraju utrzymać tego rzeczą, kto panować chce. Tedy nie nasza to rzecz.

- Że nie wasza, jeno moja, wiadomo i nie was się radził będę, jak przeprowadzić, co mi samemu leży na sercu. A nie żał wam będzie pełnych skrzyń uchylić, bym potrzebne zasoby

zyskał, ułożyć się mozem zawsze.

Gerlach, który niecierpliwie już czekał, kiedy jego sprawa poruszona zostanie, teraz nie wytrzymał:

- Nie układać się o daniny, jeno po sprawiedliwość my przyszli. Skrzynię otworzyć łatwiej niż loch, w którym dzie-  
wiera mego gnoicie, choć bezpieczeństwo miał poręczone -  
nie hamując się już cisnął księciu w twarz.

Ale Łokietek odparł zimno:

- Łatwiej! I zgnije, jeśli się nie ugnie. O niegoście się upo-  
minać przyszli?

- "Może przyjdziem i o niego. Ale ninie kary żądam na ry-  
cerza waszego, który z zuchwalstwem niesłychanym, niemal na  
ludzkich oczach na małżonkę moją targnąć się ważył. I nijak  
być nie może, by, co każdy w mieście wie, wam nie było wia-  
dome. A za lica staną trupy, które po sobie zostawił. Żądamy  
wydania go miejskiej jurysdykcji, skoro zbrodnia w mieście  
została popelniona.

Gerlach tracił panowanie nad sobą, ale księżę patrzył na  
niego zjadliwie:

- Cnoty małżonek waszych sami brońcie, jeśli one jej bro-  
nić nie umieją. Juści wiadomo mi, o co niewiasta wasza onego  
młodzika oskarża i nie przeszkadzam wam wierzyć. Ale wiem  
też, że nieszczęśnik ten raniej brata jej, biskupa, podstępem  
~ 366 ~

uwolnić usiłował. Tedy cięższe są przeciw niemu niż wasze za-  
rzuty, które ja sądzić będę, a wondrous się okaże z czyjej namo-  
wy i w zamian za co to uczynił. Jeno gadać o tym przedwcze-  
śnie, skoroście sprawcy ujść zezwolili.

Pan Gerlach zbladł i cofnął się, ale wójt Albert widząc,  
jaki obrót sprawa przybiera, podjął: .

- Nie pomoże światła chować pod korzec. Jeśli do was po  
sprawiedliwość nad wszeteczniakiem przychodzim, to dlatego, że  
bez ochyby na Wawelu się ukrył. Nie będziem-że go tu poszu-  
kiwać!

W głosie wójta brzmiała groźba, ale księżę udał, że jej nie  
słyszy.

- Nie będziecie. A zbyt wiele o sobie mniemacie, panie  
•wójcie, jeśli się wam zda, że wykręcać się muszę przed wami.  
Jeśli sprawcę odnajdę, sam go osądzę, a spodoba mi się nawet  
winy mu darować, was o to pytał nie będę.

- Ze nie będziecie, wiemy, bo i nie pierwszy raz. Wysłu-  
gujecie się przeciw nam przecherà, który za liczne przestępstwa  
z miasta wyświecony został, a pod waszym płaszczem powró-  
cił. Jego się zapytajcie, gdzie szukać przestępcy, jeśli wam nie  
wiadomo, bo ten obwieś z szubienicy urwany i wasz ulubiony,  
rycerz, co się ninie rzekomo łaski waszej niegodny okazał,  
z jednej gliny na jednym kole toczeni, już raniej razem po mie-  
ście grasowali. My zaś o sprawiedliwość spraszać się nie bę-  
dziem, skoro już wiadomo, że tyle nam prawa, ile siły.

Sklonił się dumnie, a księżę wstał na znak, że posłuchanie  
skończone. Rumor się uczynił w komnacie, a groźny pomruk  
między rycerstwem. Za wychodzącymi mieszczanami ktoś

krzyknął:

- Daj Boże doczekać, by was własna jeno moc bronila. Nie uznoim się.

Rany Krzycha nie były ciężkie, jeno upływ krwi wielki.

Choć jednak nogi trzęsły się pod nim jeszcze, zwlókl się z legowiska, mimo próśb Kundzi i przedstawień Braciszka, że i tak

~ 367 ~

nigdzie wyjść nie może, bo pan Gerlach za schwywanie go wyznaczył nagrodę. Krzych coś gryzł w sobie. Przez cały dzień siedział na ławie pod piecem, zadumany i milczący i tak go zastał Ostróżka wieczorem. Popatrzył na niego badawczo i powiedział obojętnym głosem:

- Wylazłeś już z wyrka? Tedy jutro, gdy się ściemni, masz iść na zamek do księcia.

Gdy Krzych nic nie odrzekł,, a nawet się nie poruszył, Ostróżka burknął:

- Słyszaleś?

Krzych jeno głową skinął, a Ostróżka, nie zwracając więcej na niego uwagi, usiadł do wieczerzy i jedząc opowiadał Braciszкови przebieg posłuchania na zamku. Zakończył:

- Zda się, że ksiązę Krzychowi wyjechać każe, co i lepiej, bo skoro już mieszczanie wywęcchali, ani chybi przez Nosderkę, że się razem trzymamy, gotowi go i tu wywęcchac, choć ja zawsze baczę, by śladu po sobie nie zostawić.

Krzych odezwał się zmienionym głosem:'

- Miał ksiązę nic nie wiedzieć. Kto mu rzekł?

- Jako że miał nie wiedzieć, skoro ruch się uczynił w całym mieście?! Kasztelanowi Jaśkowi, który szczęśliwym trafem właśnie nadjechał, Budziwoj opowiedział, po to, by ksiązę znał sprawę, gdy mu z mieszczanami gadać przyjdzie. Przez to mógł Gerlacha w zimnej wodzie wykapać, a ciżmy uszyć pani Adelajdzie. A ty się nie trwóż, bo i z tego, co Łokiet mówił, wychodzi, że ci darować zamierza i Budziwojowi kasztelan przyrzekł wstawić się za tobą, a wiele on może u księcia.

Ostróżka, mówiąc, nie patrzył na Krzycha, dlatego jeno Kundzia, która nie spuszczała z niego oczu, zauważyła, że na wzmiankę o Jaśku Krzych drgnął. Nie odezwał się jednak i nie poruszył, gdy Ostróżka, wychodząc, powtórzył:

- Pamiętaj! Jutro wieczorem. Przyjdę po ciebie, by cię na bramie nikt nie widział.

Po odejściu Ostróżki Braciszek ziewnął,

- Zazdrosczę Krzychowi - mówił - że pojedzie. Gdy człek na miejscu siedzi i dzień do dnia podobny, zda mu się, że  
368

wcale nie żyje. Spać idę, może mi się choć co nowego przyśni. I ty byś szedł polegać! - zwrócił się do Krzycha. - Słabyś jeszcze, a jechać ci przyjdzie.

Gdy Krzych nie ruszył się z miejsca, Braciszek spojrział na Kundzię porozumiewawczo, zapalił trzaskę od żaru na palenisku i poszedł do komórki, gdzie sypiali razem z Krzychem.

Kundzia siedziała jeszcze, nieśmiało patrząc na młodziana, ale gdy nie zwracał na nią uwagi, westchnąwszy odeszła również.

Chatę zaległa cisza, przerywana jeno pochrapywaniem Braciszka. Gdy czerwony blask idący od żaru na kominie wygasł, przez błony w okienkach przesiało się szare światło księżycy, który po chmurnych i mglistych dniach wyczyścił się i zawisł nad ściśniętym przez mróz światem.

Kundzia długo leżała bezsennie nasłuchując i patrząc jak księżycowa poświata pełźnie po klepisku, ale cisza i ciemność ukołysały ją wreszcie. Zасыpiając, słyszała dalekie pianie kurów. Ocknął ją jednak jakiś inny odgłos, bliższy i przenikliwy, choć cichy. Usiadła na pościeli nasłuchując. Nie było to pianie koguta, głos był przeciągły, jakby ktoś ostrożnie drzwi otwierał. Narzuciła na siebie chustę i na palcach weszła do izby. Krzycha nie było. Stała przy uchylonych drzwiach do komórki. Wyraźnie dochodził ją głęboki oddech Braciszka, przerywany pochrapywaniem, ale żadnego innego odgłosu. Szepnęła w ciemność:

- Krzychu!

Ale nikt jej nie odpowiedział, jeno Braciszek chrapnął głęsniej i zamamrotał coś przez sen. Tknęło ją. Szybko wybiegła na dwór. Gdy uchylała ostrożnie drzwi, zamrożone zawiasy wydały ten sam przeciągły i przenikliwy odgłos, który ją obudził. Była już pewna, że Krzych wyszedł. Rozejrzała się dookoła.

Gęsta sadz okryła cały świat, który bielił się i lśnił jak szklany. Księżycowa poświata obramiała załomy piętrzących się -w górze zabudowań zamkowych, w dole leżało miasto, dziwnie bliskie i zmałałe, delikatna mozaika błękitnawych cieni i ziewawelskle wzgórze - 24 369

\

lonkawych światel, nieprawdziwe jakieś, jak zaczarowane.

. U stóp skały wiła się rzeka, jak szeroki, biały i równy, gubiący się w czarniawej dali gościniec, po którym oko biegło nie znajdując oparcia. Na jasnej płaszczyźnie, na zakręcie pod skałą Wawelu, jedyną ciemną plamą odbijał się wir, którego odmetu mróz jeszcze skuć nie zdołał. Dziewczyna powstrzymała okrzyk: Krzych szedł ku niemu. Skoczyła za nim i dopadła, czepiając się jego sukien:

- Nie idź! Tam wodnik siedzi, zły, wciągnie i już nie puści.

Nie idź!

Usiłował oderwać czepiające się go z dziwną siłą, jak wodorosty, małe ręce, i szedł dalej jak we śnie, wlokąc ją za sobą. @tanał na występie skałki, pod którą kłębiła się czarna woda.

Powiedział cicho:

- Puść!

- Nie puszczę!

Oplotła się o niego jak powój i rwącymi się słowami mówiła:

- Nie pójdziesz sam. Tam strasznie. Zgubisz swoją i moją duszę. Boję się... tam pod lodem ciemno. Zmiłuj się, nie idź!

- Ostaw mnie! Tam mi lepiej, niż tu.

- I mnie jest źle, ale nie chcę umierać. Jeszcze będzie wiosna, słońce. Pojedziesz, zapomnisz; zmiłuj się! . •



- Dobrze to młodym do księżycy chodzić, ale dzwierz ostawiliście otwarte i mróz mnie ukąsił jak pies - niespodzianie rozległ się za nimi nosowy głos Braciszka.

Nagła ulga wyzwoliła w dziewczynie potok łez. Usiadła na skale zanosząc się od płaczu. Braciszek powiedział:

- Pójdź beczeć do ciepłej izby, bo ci tu łzy zamarzną.

Usiłował ją dźwignąć, ale gdy mu nie szło odezwał się do Krzycha:

- Cóż stoisz, jak sopol lodu? Pomóż ją podnieść, bo jeszcze dziecko ziąb chwyci. Nie odziana przecie. A wybieriecie się inny raz gadać na mrozie i ty byś kozuch włożył. Pod wąsem jużes, a jako za dzieckiem łązić trzeba za tobą i pilnować.

~ 370 ~

Krzych, nic nie mówiąc, schylił się i podniósł Rundzie, ale widząc, że nie ustoi, wziął ją na ręce i ruszył ku domowi. Była lekka, ciepła i drżąca, jak spłoszone zwierzątko. Czuł, że go w gardle coś ściska. Czas mu odjechać i nie wolno wracać więcej. Gdy go znów poszczerbią, musi leżeć sam. Tam dokąd pójdzie, nikt się o niego troszczył nie będzie.

Usnął, gdy na niebie stały już mieniące się złotem i zielenią zorze przedświt. Gdy się obudził, znowu migotały gwiazdy. Ujrzał nad sobą Ostrózkę, który trącał go mówiąc:

- Czas iść do księcia!

Wracali późną już nocą. Budziwoj szedł z nimi, bo nie był pewny, czy Krzych nie żywi urazy do niego. Obaj młodzi milczeli, a stary gadał:

- Nie bocz się na mnie, iżem Jaškowi powiedział, jak sprawy stoją. Ukryć nie Iza było, a że cię tam księżę trochę zgrzeblem wycesał, przyda ci się. I żróbek się płoszy i wierzga, gdy go pierwszy raz kuja, ale za to potem pewniej na nogach stoi i na byle czym się nie pośliznie. Jenó żeś strykowi Melsztyna ustąpił, no! no! Jaško czestny człek, bratanka nie ukrzywdzi, ale zawżdy byś na zamku siedział, jak wojewoda lub kasztelan. Po Spytku-ś taki widno, bo on też za młodu dbał jeno o spódnice, a później o nic. Ale i tak panem będziesz, nie na byle włościach osiadłym. Przyjdzie czas, żonę pojdziesz. Jenó ożenić się nie daj dla wiana i rodu. Niewiastę i konia sam sobie człek dobrać musi. Mnie się nie dali ożenić, jakem chciał, tom i bezzenny ostał. Ale gdy się już do koni nie zdam, będę żróbki po tobie na starość ujeżdżał.

Gdy Krzych nie odpowiadał, koniuszy ciągnął:

- Nie dziwić się, że cię zamroczyło, jakobyś w kark dostał. Znajdą byleś, bez rodu, aż ci tu się pokazuje, żeś Leliwa. Niech ino Łokiet swoje osiągnie, między pierwszymi będziesz w królestwie. Zaraz z rana dam ci półksiężyc z gwiazdą wymalować na szłomie i szczycie, jeno gdzie je masz?

- Na Łobzowie ostały - mruknął Krzych.

~ 371 ~

- Ja przyniosę - wtrącił Ostrózka.

Chciał się rozmówić z Terką. I Krzych o niej myślał, tak że niemal nie słyszał gadaniny Budziwoja. Chciała, by zabił własnego ojca! Burzył się wewnątrz. Dokąd mu być jeno narzę-

dziem służącym do cudzych celów, o których nawet wiedzieć nie ma? Rad był niemal, że książę kazał mu wyjechać; może się wreszcie wyzwoli. Zwrócił się do Ostróżki:

- Będziesz tam, rzeknij, niech Terka tu przyjdzie, bo mówić z nią chcę przed wyjazdem. Zaś Unik niech mi konie przywiedzie i co tam zostało z przyodziewy i oręża.

- Poczet ci Jaśko ma dać, a może lepiej, byś na ludzkich oczach nie ściągał z Łobzowa wszystkiego, bo mogą tam pilnować i najdą cię po śladzie - zauważył Budziwoj.

- Niech przyjdą - warknął Krzych.

- Oho! Widzę, że się już w siłach czujesz. Ale pomnij, że księciu nie na rękę, by znowu zagotowało się w mieście. Dlatego przecie wyjechać ci kazał.

- Wyjadę. Ale wrócę tu jeszcze, z nimi się policzyć.

- Chciałbym, żebyś wrócił. A może mnie książę pozwoli jechać do ciebie? Koni teraz nie ma, bo co było, na Pomorze Włodzisław wysłał i rycerstwa co może dopycha, bo wojna 2 Krzyżakami nie przelewki. Znam ja ich i jakem stary, jeszcze bym się przydał. Ani chybi książę o wojnie tej myśli, dlatego i Świecie obwarować kazał i jak się dało zaopatrzył. Nie pójdzie tak łącno Krzyżakom jak z Gdańskiem i Tczewem. Może też Kaźmirz i Przemko zmadrzeli, a słyszę, że i Leszek wrócił. Onże z nich jeszcze najobrotniejszy i serce ma do bitki, jeno warchoł i letka głowa i ze stryjem zadzierał onego czasu, gdy mu się to Gdańska zachciało. A chorzeje właśnie mać, co ich za koszule wodzi jak dzieci. Skończy się babskie wtrącanie, to może i sprawy inak pójdą.

Budziwoj przestał gadać, bo doszli do chaty. Braciszek i Kundzia jeszcze nie spali, z niepokojem ^czekając na powrót Krzycha. Gdy Ostróżka opowiedział co zaszło i jak się skończyło, Kundzia plasnęła w dłonie z radością wołając:

~ 372 ~

- A widzisz! Było się czym trapić?

Gdy dowiedziała się jednak, że Krzych musi jechać już na-  
zajutrz, zasmucona pokręciwszy się chwilę, wyszła. Budziwoj, który bacznie się jej przypatrywał, poklepał Krzycha i rzeki:

- Żebyś tak rękę miał, jak szczęście do białek.-Hanna piękna dziewczyna, Adelajda, żeby nie to, że trochę przechodziona, też byłaby niczego. Ale ta kłaczka, niech się jeno w piersiach i zadzie trochę wypełni, to piękniejszej nie szukać.

- Ostawcie - fuknął Krzych ostro. - Nie w głowie mi niewiasty.

- Powiedz komu innemu. Odkąd cię znam, nic ci innego w głowie.

Krzych zmieszał się, bo istotnie Budziwoj miał z czego powziąć takie mniemanie. Odparł więc:

- To nie białka, jeno dziecko, a ja jadę i nie wrócę.

- Dopiero coś mówił, że wrócisz z mieszczany się policzyć.

Ja zaś ci radzę, wróć do niej. Oczy ma wierne, poczeka, a i czas wam obojgu.

- Wróci tu z nawyku, jak go poćwiartują -'wtrącił Braciszek. - Gdy jeno niemocen, Kundzia mu kości okłada, jako

miłosierny Samarytanin. A wydobrzeje, idzie do innych.

- Zaś teraz skończcie już go swatać - wtrącił Ostróżka - i niech bezżenny spać idzie, skoro jutro na noc mu ruszać. Pan koniuszy mądrze radzić umie, jeno sam się tego, co mówi, nie trzyma. A ty - zwrócił się do Braciszka - gadasz, a nie znasz się na tym.

- Prawda, że już zabyłem. Ale jedno wiem, że Kundzię do rany przyłóż, zagoi się.

- Co tam ją będziesz komu przykładał! Sama się przyłoży, gdy na nią czas przyjdzie. Wracam tedy na zamek, a ty do Terki, skoro świt. Idziecie? - zwrócił się do Budziwoja.

- Na starość mało sypiam, tedy ostanę jeszcze. Zimno u mnie na gospodzie, a tu ciepło, jak w stajni. Dość się sam nasiedzę - odparł Budziwoj.

~ 373 ~

- Tedy ugość pana koniuszego, skoroś tu całym gospodarzeni - zwrócił się Ostróżka do Braciszka - by wam śliny do gadania nie zabrakło.

- Wyszczekanyś kundel - rzekł koniuszy pobłaźliwie - aleć nie przeczę, że wypić i pogadać wolę niż w powałę patrzeć, co dzień tę samą.

- Tedy wam Braciszka ostawiam, któren do gadania i picia zawždy gotowy, choćby go w nocy obudzić - odparł Ostróżka i wyszedł.

- To i chwalić Boga - mówił koniuszy - bo juści dziś jest po czym wypić i o czym pogadać. Może z tobą lepsze będę miał szczęście. Krzycha lubię, nie pije, zaś konie nie gadają. A onże Ostróżka, kto zacz? - zapytał.

- Kto go wie - odparł Braciszek. - W kabatach my się poznajomili. Mieszki rzezał, ninie towary z miasta i do miasta przemyca, mieszczanom dokucza. Z wierzchu kolczasty, a do środka nie dobrać się.

- No to się napijemy - rzekł po namyśle Budziwoj.

XXXVI

l erka chorzała na nogi i z trudem chodziła, siedziała przeto w domu, ale gdy o Krzychu przez kilka dni wieści nie było, powlokła się do miasta. Tam dowiedziała się, co zaszło w domu pana Gerlacha, ale o Krzychu jeno tyle, że poraniony uszedł i że szukają go. Że tak jest, pomiarkowała sama, bo koło dworca na Łobzowie kręcili się jacyś podejrzani ludzie, którzy -- jak się domyślała - pilnowali, czy Krzych chyłkiem nie przyjdzie. Toteż gdy nad ranem usłyszała ciche pukanie, zaniepokojona wstała co prędzej.

- Kto zacz? - zapytała przez drzwi.

- Od Krzycha - odpowiedział nosowy głos Braciszka.

Otworzyła drżącymi rękoma i wciągnęła przybyłego do sieni.

- Gadaj prędko. Gdzie on?

- Poprosilibyście do izby, bo zmarzłem. Składnie opowiem z czym przychodzę.

^ Przepuściła go przed sobą i rozgrzebując popiół na palenisku, by się żaru doszukać, powtórzyła:

- Gadaj!  
- Przecież po to przyszedł - powiedział nie spiesząc się. - Krzych kazał, by Unik przyodziejew\* i oręż na konie załadował. O zmroku przyśle po nie.  
- To zdrów już? Wyjeżdża?  
- Skoro wyjeżdża, to zdrów.  
Spojrzała złym okiem na Braciszka, ale zapytała spokojnie:  
- A ze mną co?

t

~ 375 ~

- Dach macie nad głową i srebra, co tam jeszcze zostało. Unik z Krzychem pojedzie, tedy na życie wam starczy, a bodaj i na pochówek.

Terka milczała przez chwilę, dorzucając drzazgi na rozdmuchany płomyk, który chwycił je chciwie, oświetlając jej pomarszczoną twarz. Zapytała sucho:

- Samą mnie chce ostawić teraz, gdym niedołączna? Za to, żem go od maleńkości chowała. Tedy niech bierze srebro i dworca mi nie trzeba. Zdychać można wszędzie, ale przódzi widzieć go muszę. Niech mi to sam powie, bo nie wierzę, by to on was z tym do mnie wysłał.

Braciszek rozsiadł się na ławie i odparł wymijająco:

- Inak to obmyśliłem: weźcie Kundzię. Sierota, a na nią jedną pianą nie parskacie.

- To Siedlik pomarł? - zapytała zaskoczona. -- Czemuż to nikt mnie nie uwiadomił?

- Kundzia chciała, ale Ostróżka jej nie dał.

Poderwała się z gniewem.

- Cóż to diable nasienie ma do rozkazowania? Czuję ja jego rękę w tym, co się z Krzychem wyrabia. Bies go do chłopa przypętał. A i ty, łazęgo, coś tu chowasz. Gadaj z czymś przyszedł?

- .Co bym chował! Wždy mówię, jeno nie wszystko naraz.

Czas mam do wieczora, a dopiero świta.

Zacisnęła bezzębne szczęki i po chwili zapytała z pozornym spokojem:

- Gdzie jest Krzych?

- Kiedy bo z wami składnie gadać nie można. Ino się złicie, miast odrzec, czy weźmiecie Kundzię do siebie?

- Chyba z sobą, bo ja Krzycha nie opuszczę.

- Nie wy jego, jeno on was. A Kundzię podwozić mu na nic i nie przystoi.

- Widzisz, jacy się naleźli opiekunowie! Prosił was kto?

A Krzych mój jest i nie dam go sobie wydrzeć, ani wam, ani komu.

• ~ 376 ~

Stanęła groźnie nad Braciszkiem, przesywając go oczyma, ale on zapytał nieporuszony:

- A was kto o opiekę nad nim prosił? Juści ludzka i chrześcijańska rzecz, przygarnąć sierotę. Ale człek nie bydlę należione, co staje się przez to cudzą własnością, woli swej i sumienia pozbawiony. Sobie jeno i Bogu duszę swą winien i nikto wię-

cej nią nie władnie. Ani by komu z tego co przyszło, by was od Krzycha odciągać, gdybyście go do złego nie wiedli.

- A licha wam do tego, dokąd go wiodę. Sama wiem najlepiej.

- Zaś ja właśnie przyszedłem, by się dowiedzieć. Szukaliście pomsty r.a Spytka Krzychowymi rękoma. Ręce miał w ojcowej krwi ubroczyć, ani wiedząc o tym. Bóg go ustrzegł i swoją rękę na Spytka położył -niech mu będzie miłosierny! Ale ninie już Krzych wie, kim był...

- Bodaj Spytka z piekła nie wyrzął - rzuciła zajadle. - Uszedł mojej pomście, ale nie koniec...

Braciszek przerwał jej z niezwykłą u niego powagą:

- Miłość może iść za grób, nienawiść tu ostać winna. A zre was - siedzcie z nią sami, skoro Krzych wam po to jeno potrzebny, by był ślepy ramieniem.

Braciszek wstał, ale stara szponiastą dłonią uchwyciła go za rękę:

- A twoje jakie prawo do niego? I cóż ty wiesz, znajdo, co to pomsta za matkę!

-• Boga chwalić, nie wiem. Nie znam matczynej miłości, ale nie znam i pomsty za nią. Nie stoi jedno za drugie.

Patrzył spokojnie na zaognioną gniewem twarz Terki i bez wysiłku wysunął rękę z jej dłoni, mówiąc:

- Ani zdołacie zatrzymać mnie, ani Krzycha. Zegnajcie. Nie zmówić się z wami jak z człkiem.

Spojrzała na niego i szepnęła zmienionym głosem: .

- Cóż ty wiesz o mnie, że mnie sądzisz?

- Prawda, że niewiele wie człek o-człeku. A' sądzą się wzajem i mszczą się, miast Bogu to ostawić. Krzywdę widzą jeno, gdy na nich padnie. Złość zawždy bez rozumu jest. •

^ 377 ~

- A ty? Z rozumu, czy z serca srebrem chcesz mi płacić za to, zem Krzycha jak mać chowała, gdy własnej mu nie stało? Na swoje sumienie bierzesz, że zdechnę gdzieś na barłogu, jak suka, którą zły pan wygna, gdy już zęby straci!

Na ruchliwej twarzy Braciszka zjawilo się wahanie.

- Praw był Ostróżka, że sam chciał gadać z wami. Za miętki jestem. A powiem wam, to znowu Krzychowi życie wikłać będziecie, jakby nie dość jeszcze było powikłane.

Braciszek zamyślił się tak, aż mu czarne kudły opadły na oczy. Terka patrzyła na niego badawczo, pewna już, że dowie się, czego chciała, gdy Braciszek rzekł niespodzianie:

- Przyślę wam Ostróżkę. Jego nie tak łatwo zmiękczyć, jako mnie. Miast od was wyciągnąć, co nam potrzeba, wnet bym wam wydał, co wy chcecie, choć wiem, że knujecie coś nadal.

- Może się Ostróżka nie trudzić, bo i gadać z nim nie będę. Co chcesz wiedzieć? - zapytała szorstko.

- To, coście mieli Krzychowi wyjawić, gdyby Spytka ubił - odparł Braciszek i wlepił swe małe oczki w starą. Wytrzymała dziwnie przenikliwe spojrzenie i odparła:

- Oba-ście mędrki, a jeszcze-ście nie pomiarkowali, iż nie mogłam Krzychowi rzec, kim jest Spytka dla niego, bo

juści że wtedy na nim mścić by się nie chciał.

- Jędrza z was jest, ale uwierzyć trudno. Tedy chcieliście, by naprzód rodzica swego ubił, a potem się o tym dowiedział? I możecie przysiąc, że tak było po prawdzie i niczego już więcej nie skrywacie? Ze do niczego się już nie mieszając zwolicie mu żyć, jako chce?

Zaśmiała się z przymusem.

- Niechby była na mnie spadła ta krew. Jako kania na deszcz na nią czekałam. Przeklinam tego, co mi pomstę wydarł, a do skrywania nie mam już nic. Przysięgam.

- Bóg niech was skarzę, jeśliście mnie zwiedli. Przyjdźcie o zmroku na mostek przy młynie na Biskupim Prądniku. Stamtąd Krzych odjeżdża na Kujawy. Niech sam postanowi, co z wami, by zaś mnie on nie kłął, zem wam wbrew sercu uwierzył.

~ 378 ~

Braciszek wstał i wyszedł zadumany. Nie obejrzał się i nie widział złego uśmiechu na twarzy Terki. Gdy się drzwi za nim zamknęły, mruknęła do siebie:

- Serce masz mędrsze niż głowę.

Krzych wyjeżdżał z Krakowa z ulgą, za sobą, zostawiając sprawy, w które wplątany był mimo woli, a których rozwikłać nie potrafił. Przed sobą zaś miał cel prosty i jasny, jak ta śniegiem w dogrzewającym już południowym słońcu lśniąca droga: walkę, mającą przywrócić mu zaufanie ludzi, których zawiódł i zaufanie do samego siebie, walkę z budzącym powszechny postrach, okrutnym wrogiem. Czuł się na siłach jej sprostać i ochotę zmierzyć się ze strasznymi brodacami. Rozpamiętywał nauki i przestrogi Budziwoja, natomiast starał się wymieść z pamięci wszystko, co minęło, nie zapominając jeno o pomście nad Cedrowicem. Od niego się zaczęło wszystko zło i Krzychowi zdało się, że gdy pomsty dokona, wyrówna rachunki z całą przeszłością. Wiedział jednak, że w cierpliwość uzbroić się musi, bo Jędrzej stał załogą w Swieciu, dokąd księżę ile wydolił, ścigał krakowskiego i sandomierskiego rycerstwa, jak i rdzennych Pomorzan, a znając wzajemną nienawiść Jędrzeja z Krzychem, zakazał młodzianowi stawać w Swieciu.

Krzych zresztą rad był nawet, iż w grodzie nie będzie zamknięty. Wśród ludzi zawsze było mu obco, wyniesione z Krakowa doświadczenia przejęły go jeszcze większą niechęcią.

Najlepiej się czuł, konia mając pod sobą, a przed sobą otwartą przestrzeń, która wabiła nieznanym. Z zadowoleniem, a nawet z pewną dumą oglądał się na człapiący za nim poczet, w który, zgodnie z przewidywaniami Budziwoja, zaopatrzył go Jaśko.

Pożegnał on bratańca życzliwie, a zalecając go przychylności swojaków i znajomków na Kujawach, na rozstanie powiedział:

- Gdy się sprawy odstoja \ uładzą, zjeżdżajże do mnie do Melsztyna. Ułożyć się musim o spadek po twym rodzicu.

Widząc zaś zmieszanie młodziana dodał mimochodem:

~ 379 ~

- Hanny już nie zastaniesz, bo wyjechała do Starego Sącza, by u Klarysek wstąpić do nowicjatu, ale my radzi cię oba-

ezym, a zwłaszcza syn mój. Cięgiem się dopytuje o ciebie. Brata nie masz, on że ci najbliższy. Serca i dźwierze zawsze u nas najdziesz otwarte. Tedy jedź z Bogiem i wracaj szczęśliwie. Za doświadczenie jużes zapłacił, a książę łaskę swą chętnie ci przywróci, byleś zasłużył na nią, bo rozumie, że młodość płocha bywa i nierozważna.

Krzych nic nie odrzekł, jeno rękę stryja ucałował, nie myślał jednak prędko z zaproszenia skorzystać; chyba kiedyś, po latach, gdy to, co minęło, będzie już jeno bladym wspomnieniem. Wstydził się prosić Jaśka, by o tym, co zaszło, nie mówił Hannie, a nie śmiałyby jej oczu pokazać, jeśli by się dowiedziała. . Związek z nią przywykł już uważać za niemożliwy, ale nie umiał myśleć o niej jak o siostrze. Niechby ona choć jasne wspomnienie zachowała, bo pewnie nie zobaczą się już nigdy. Na myśl o tym wstał w nim żal do życia i ludzi i uraza do Terki, a nawet do Kundzi, choć rozsądek mu mówił, że dziewczynie jeno wdzięczność winien, a Terka niczego by zmienić nie zdołała, nawet gdyby jego związkowi z Hanną była przychylna. Zgodził się, by przybyła doń na Kujawy, gdy się już tam zagospodarzy, postanowił jednak, że siedział z nią nie będzie. Przybyć miała Wisłą, gdy lody spłyną, a wtedy on ruszy na Pomorze, gdzie niechybnie oczekiwać należało dalszych walk z Krzyżakami.

### XXXVII

Były wieści, że Wielki Mistrz opuścić ma swą siedzibę w Wenecji i przenieść ją do Prus, co wskazywało, że zamach na Pomorze z dawna był przemyślany, a napad brandenburski stworzył jeno dogodną sposobność.

Podróż odrywała myśli Krzycha od przeszłości. Uciążliwa była, bo drogi kopne i ciągnął wolno, kierując się na Brześć, gdzie książę polecił mu zgłosić się do wojewody, Wojciecha Leszczyca. Stamtąd dopiero przez Służewo udać się miał do swych włości, położonych nad niewielką rzeczką Tonczyną, na granicy nieprzebytych borów, dzielących Kujawy od Pomorza.

W Brześciu zjazd był dość znaczny, tak że po gospodach o miejsce było trudno i Krzych zamierzył poszukać noclegu w podmiejskich osadach. Dosiadł już konia, gdy zagadnął go jakiś poważny mieszczanin, jak się okazało sam wójt Tyło, który zobaczywszy znak Leliwy na tarczy młodego rycerza, dopytywać jął, skąd i dokąd jedzie. Gdy dowiedział się, że Krzych jest bratankiem Jaśka, ofiarował mu u siebie gościnę, choć i tam ciasno już było. Stanęli bowiem gospodą u wójta bracia Leszczyce: wojewoda Wojciech i sędzia Bogusza z Bobrowa, oraz rycerz Żyra z Krupocina, z załogi Swiecia, który do Boguszy po rozkazy przyjechał. Sędzia objąć miał dowództwo tego grodu po burgrabi Michale, nie cieszącym się zbytnim zaufaniem księcia. Rozdwojenie bowiem było wśród rycerstwa na Pomorzu, Święcowie wielu mieli stronników, a przypuszczać można było, że chybiwszy z Brandenburczykami, teraz zwiążą się z Krzyżakami, byle dojść swych roszczeń i pomstę wyrzucić na Łokietku.

Przy wieczerzy wiele o tym mówiono, a Bogusza opowiadał o zdradzieckiej napaści na Gdańsk i popełnionych tam okrucieństwach. Krzych słuchał z zaciętymi ustami i czuł, jak rośnie w nim zawziętość przeciw wiarołomnym mnichom. Sędzia skończył opowiadanie, a widząc wzburzenie Krzycha, zwrócił się do niego:

- Sposobność cię nie minie pomścić rodzica. W Swieciu już nas nie zaskoczą, przygotowane wszystko, nie brak ludzi, ni sprzętu, a i pomoc łatwiej będzie otrzymać, bowiem przyrzekł ją Bolko Mazowiecki, i z wielkopolskiego rycerstwa życzy Włodzisławowi wielu, którym obmierzył ziemczają Henryk. Majętności przy tym mają na Pomorzu, które by potracili, gdyby się Krzyżacy ostali. Ja też rad będę pomścić zdradzieckie uwięzienie i wielu takich jest, co krewniaków w Gdańsku postradali i zawzięcie bronić będą grodu, póki Włodzisław nie nadejdzie.

Krzych nienawykły mówić wobec obcych i stropiony napomknieniem o Spytku, odparł ociągliwie:

- Nie zda mi się, by książę rychło tu nadszedł, bo powiadał stryk, że póki się z Muskatą i mieszczany sprawa nie uładzi, z Krakowa ruszyć się nie może, zaś wojska na wschodzie potrzebne., Co mógł, to już podesłał, by gród pomoc miał z zewnątrz i ja także z pola mam walczyć.

Bogusza, któremu młodzian udał się i z wyglądu jego wiele sobie po nim obiecywał, zapytał z nieukrywanym niezadowoleniem:

- Przeszkadzać Krzyżakom w oblężeniu i zbóje mogą, których nie brak tu w borach, ni na wiślanych kępach. I im nie w smak krzyżackie panowanie, bo tępią ich Krzyżacy po swojej stronie. O handel wielce dbali, zaś u nas - żal się Boże - namnożyło się ich, bo stamtąd uchodząc, na tę stronę Wisły przeszli. Lepiej się nawet niż ciężki rycerz nadają, by z nagła napaść, bo znają kraj i przejścia po bagnach i lasach, gdzie ich •nikt nie poścignie.

~ 382 ~

- Choćbym i rad - odparł Krzych - nie Iza mi do Swiecia, bo książę zakazał. Zaś w lesie i po bagnach jam jako u siebie i lepiej się tam nadam, niż indziej.

- A że mi dziwno, że ci książę zakazał - powiedział Bogusza, a powątpiewanie brzmiało w jego głosie. - Dobrze zbrojnego i ćwiczzonego rycerstwa, co by Krzyżakom wręcz sprostać mogło, nie ma zbyt wiele, a obrona grodu najważniejsza. Krzych, rumieniąc się, odparł:

- Książę tak kazał, bo Jędrzej Cedrowic jest w Swieciu, a mamy z sobą porachunki.

- Tak ono jest? Juści, teraz rozumiem. Jędrzej zawzięty i mściwy, nie z byle kim zadarłeś i daj na siebie baczenie.

A o cóż poszło?

- Darujcie - odparł Krzych podrażniony - ale nim się policzymy, nie radem o tym mówić.

- Dziwne mi to - wtrącił wojewoda Wojciech. - Wždy Jaśko córę pono wydać za niego zamierzył. .



Krzychowi krew uderzyła do głowy, ale zmilczał, a wojewoda ciągnął:

- Nie łączno Krzyżaków i z pola szarpać, bo kupą walczyć zwykli i nie wolno żadnemu dalej niż na głos od znaku odejść. Jedź do siebie, do wiesny pewnikiem spokojnie będzie, przyda ci się kraj poznać; najlepiej na łowach, a przednie tu są. Całe to zresztą będzie twoje gospodarstwo, bo za Tonczyną bagna już, jeno łąk trochę, a łąch rzadko się trafi. Żeby spokojny czas, osadników by ściągnąć, co bory by wykarczowali, ale nie chyba koni trochę przychowasz, bo siana więcej będziesz miał, niż zboża.

Wojewoda skończył i odwrócił rozmowę, zaczynając o krakowskich wypadkach, czego Krzych słuchał niechętnie, bo gryzły go wspominki. Na pytania mrukliwie odpowiadał, a w końcu sprawiwszy się zmęczeniem, spać poszedł na podstrysze. Zасыpiając, jeszcze głowę pełną miał myśli, jakby się zasłużyć. Zdało mu się, że Leszczyce zachwalają męstwo i umiejętności wojenne Krzyżaków, bo ich strach oblatuje i niezbyt

~ 383 ~ •

pewni są siebie. Ubodło go także wysokie zachowanie, jakie miał Jędrzej u sędziego. Krzycha podniecało to jeno.

- Obaczmy jeszcze, kto lepszy - mruknął i zasnął, bo istotnie był zdruzony.

Po odejściu Krzycha rozmowa potoczyła się około wyjazdu brata Leszczyców, biskupa płockiego, Floriana i Gerarda wrocławskiego na synod zwołany przez metropolitę do, Gniezna. Zachodziła obawa, że synod ten burzliwy będzie z powodu uwięzienia Muskaty. Położenie metropolity Jakuba było trudne, sam bowiem wywołał uchwałę, że uwięzienie biskupa powoduje klątwę i interdikt ipso facto ł, a po uwięzieniu Muskaty kar nie ogłosił. Lękano się, że uczyni to Kuria, która choć uwiadomiona o popełnionych w Gdańsku okrucieństwach i świętokradztwach, niczego przeciw Krzyżakom nie przedsięwzięła. Pomorze zdane było na własne siły, których Leszczyce niezbyt byli pewni. Pozostawało bronić Swiecia i czekać bożego zmiłowania. Strapieni umilkli.

Jakub powagą swą i stanowczością zdołał opanować na synodzie nieprzychylne Łokietkowi głosy stronników Muskaty, domagające się ogłoszenia klątwy i interdaktu, nie na wiele się to jednak zdało. Papież Klemens V. bowiem na skutek zabiegów Henryka z Wierzbna delegował jako sędziów jego sufraganów, Pawła de Bancz, biskupa Tyberjady i dwóch kanoników z poleceniem, by zażądali uwolnienia Muskaty, przywrócenia beneficium i zagrabionego mienia pod zagrożeniem kar kościelnych, a gdy. Włodzisław nie posłuchał, spadły na jego kraj cenzury, zachęcając wrogie mu żywioły do oporu. Naciskany ze wszystkich stron Łokietek uznał, że czas z biskupem sprawę załadzić, znając go jednak, postępować musiał z największą ostrożnością, by Muskata nie pomiarkował, że księżę znalazł się w przymusowym położeniu. Na razie pod pozorem, że biskup na zdrowiu zapada, kazał go przenieść do górnej izby ' tym samym

na wieży i zezwolił donosić z miasta strawę i czego by zażądał, z wyjątkiem wieści.

Gdy rozkazy doszły do Ostróżki, zabrał swą czapę i komornikowi, który mu je oznajmił, powiedział:

- Rzeknijcie panu, że mam co lepszego do roboty niż tuczyć wieprza. Niech tedy straż nad więźniem zleci komu innemu, bo jeno się odpasie, ujdzie.

Zostawił komornika, który na zuchwalstwo młodzika języka w gębie zapomniał, i poszedł. Niemniej komornik zdumiał się, gdy książę jeno ręką machnął na przyniesioną mu wiadomość. Uwolnienie biskupa było koniecznością, a księciu chodziło już tylko, by najkorzystniejsze warunki ugody wymusić.

Ze wszystkich ulg, jakie uzyskał Muskata, najgłębiej odczuł odejście Ostróżki, którego sama obecność, a nawet świadomość jego bliskości, stanowiła udrękę; dozorca wzniecał w nim nieznanne dotychczas pysznemu i zuchwałemu możnowładcy uczucie niepokoju i upokorzenia, jak daleki oddźwięk przywalonego pychą i bezwzględnością sumienia, które dotychczas było dla Muskaty zbędnym słowem tylko. Do jego świadomości dobił się lęk, że może przyjść chwila, gdy z czynów trzeba będzie zdać rachunek. Zaciętość głuszyła ten odgłos, ale lęk pozostawał.

Gdy Ostróżka odszedł, wewnętrzny ucisk zelżał. Przestały nachodzić biskupa myśli pokutne, wyparte myślą o pomście. Ale by pomsty dokonać, musi odzyskać wolność. Zapłaciłby za nią każdą cenę, a już najłaciej cenę jeszcze jednego wiarołomstwa. Wiedział jednak że nieufny, przebiegły i znający ludzi Łokietek zwieść się już nie da. Myślał natomiast o arcybiskupie: choć surowy i zacięty, ale prosty i szczery, łaciej u drugich w szczerość uwierzy. Korzystając z ułatwionej obecnie łączności ze swymi stronnikami, wniósł przeciw metropolicie skargę przez legata papieskiego, Gentiisa do Monteflorum, ale o tym Jakub jeszcze wiedzieć nie mógł. Postanowił tedy odnieść się do arcybiskupa, by podjął pośrednictwo w zawarciu ugody z księciem. Jeżeli zdoła przekonać Jakuba, sprawa jest wygrana. Wawelskie wzgórze - 25 385

Łokietek nawet wbrew przekonaniu posłucha arcybiskupa, tym bardziej, że i jemu samemu na uspokojeniu musi założyć.

W bezsenne, krótkie, letnie noce, gdy okienko w zachodniej ścianie wieży odcinało się jeszcze w ciemności gasnącymi zorzami zachodu, a na wschodzie niebo bladło już od wstającego nowego dnia, Muskata przemyślał sprawę do najdrobniejszych szczegółów. Patrzył na leżące w dole w mgiełkach przedświt miasta. Świeży powiew przynosił dalekie pianie kogutów i bliższy żabi chór z dymiących oparem stawów. Biskupowi marzyło się, że już jest wolny i skracal sobie czas oczekiwania liczeniem głów, którymi wrogowie jego za tę wolność zapłacą. Zadrzemywał, gdy świtało i przesypiał nieraz aż do nadejścia dozorca z południowym posiłkiem.

Pewnego dnia obudził go jednak wcześniej dźwięk dzwo-

nów, a wkrótce po tym na zamkowych dziedzińcach wszczął się ruch i gwar. Gdy dozorca nadszedł, Muskała zapytał:

- Król jakowy przyjechał, że go dzwonami witają?

- Nie, wasza wielbność - mruknął niechętnie zapytany. - Jeno arcybiskup Jakub.

Muskacie silniej zabiło serce. Zagadnął dozorcę:

- Radbyś sztukę złota zarobić?

Widząc nieufne spojrzenie dozorca, dodał:

- Nie lękaj się. Mógłbyś ją samemu księciu okazać. Chcę ci jeno radość wyrządzić, gdy i mnie radość spotkała. Arcybiskup uwolnić mnie przyjechał. Sam sobie dziękować będziesz/ iześ się do mnie z należnym szacunkiem odnosił.

Muskała spojrział dumnie i łaskawie na zmieszanego dozorcę, na którego twarzy malowało się wahanie.

- Cóżże miałbym uczynić dla waszej wielbności? - zapytał.

Uwolnienie biskupa było prawdopodobne, a dozorca z dawnych lat pamiętał, że źle się wiodło tym, co w niełasce bywali. u Muskaty. Biskup odparł:

- Skoczysz jeno na Okół do kanonika Engelberta, by się do metropolity z pokłonem ode mnie udał i prośbą, by mnie sa-  
386

memu pokłonić mu się było wolno. Potem zaś pójdziesz do żony pana wójta wielickiego i powiesz, iżem ci kazał dwie sztuki złota wypłacić.

- Dwie? - zapytał zdumiony dozorca.

- Dwie, bo powiesz jeszcze pani Adelajdzie, by się już nie trapiła, gdyż jeno patrzeć, wolny będę. Niech mi do podróży wszystko przysposobi, jako że w pilnej sprawie wyjechać muszę.

Co do drugiej sztuki złota dozorca miał pewne wątpliwości, czy mógłby ją księciu pokazać, ale pomyślał, że nikt o tym wiedział nie będzie; jeśli biskupa wypuszczą istotnie, to może jechać dokąd chce, jeśli nie, to nikomu nie szkodzi, że konie czekać będą. Skinął milcząco głową i odszedł wykonać zlecenie.

W dzień Nawiedzenia NMP Muskała w ciemnej szacie, bez, żadnych oznak godności biskupiej klęczał przed ołtarzem, przy którym sam Jakub celebrował uroczystą mszę. Arcybiskup silniejszy się czuł ostatnio, jeno gdy podnosił kielich i patynę, ministranci podtrzymywali mu pokrzywione od gościa dłonie. Muskata odrywał wówczas od posadzki utkwione w niej oczy' i patrzył na metropolitę z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Opuszczał je znowu, gdy jeno padło na niego spojrzenie wyblakłych oczu Jakuba, jakby zamknąć chciał przed nim swe wnętrze. Za chwilę z rąk metropolity przyjął ma Ciało Pańskie. co oznaczać będzie zdjęcie kłątwy i przywrócenie zawieszzonego urzędu, a przede wszystkim - wolność. Na jego też ręce złożyć ma przysięgę, że dotrzyma ugody, która była jej ceną. Złamanie przysięgi zagrożone było żpso facto kłątwą i depozycją, ale Muskata ni przez chwilę nie pomyślał, by ugody dotrzymać, choć już ją podpisał w obecności gnieźnieńskiego i krakowskiego duchowieństwa i dostojników książęcych i miejskich,

a dwa jej odpisy wysłane zostały do legata Gentiisa i do Avinionu. Ugoda oznaczała poddanie w walce z Łokietkiem, a biskup poddawać się nie zamierzał.

~ 387 ~

" Ody Jakub skinął na niego, Muskata podszedł i ukląkł na stopniach ołtarza. Wówczas oczy ich skrzyżowały się, lecz Muskała opuścił jakby w pokorze głowę. Nie dźwignął jej, przyjmując Ciało Pańskie<sup>^</sup> ni słuchając odczytywanego przez arcybiskupa przed zaprzysiężeniem brzmienia ugody: przyznawał się w niej publicznie do buntu, ślubował wierność księciu i posłuszeństwo metropolicie; przyrzekał nie opuszczać diecezji, chyba na jego lub papieskie wezwanie; zobowiązywał się oddalić nieżyczliwych księciu ludzi, wybaczyć zaś jego stronnikom i uwolnić wszystkich więźniów; oddawał ostatni dzierżony przez Gerlacha zamek w Lipowcu, zaś aż do czasu jego zdobycia, którego koszta miał pokryć, oddawał w zastaw Sławków. Umorzyć miał własnym kosztem wszelkie procesy i na przyszłość donosić księciu o każdym niebezpieczeństwie.

Słowem poddać się miał bez zastrzeżeń, a poddać się nie namierzał. Wolność potrzebna mu była, by walczyć. Złożywszy rękę na Ewangeli, którą przed nim trzymało dwóch diakonów, powtarzał obojętnie rotę przysięgi. Dopiero gdy skończył i ucałował rękę Jakuba odwrócił się, by odejść do swego klęcznika, wyprostował się i podniósł głowę. Obecni ujrzeli dawnego Muskatę. Pysznym i twardym spojrzeniem powiódł po zgromadzonych, zatrzymując oczy na twarzach świadków, którzy przeciw niemu zeznawali w procesie. Zdał się ich liczyć, by zapamiętać; Tomasz, dziekan gnieźnieński; z własnej jego kapituły kanonicy Adam i Franciszek, kustosz Jarost, wikariusze Wawrzyniec, Paweł, Klemens, Mikołaj, Czechosław i Jakub; kanonik Włodzisław od św. Floriana, prepozyt Teodoryk ze Zwierzyńca, archidiaconi Reymbold krakowski i Nanker sandomierski. Patrzyli na upokorzenie biskupa, ale teraz w oczach jego nie widzieli pokory, jeno groźbę.

Po nabożeństwie Jakub, zamyślony, udał się do księcia, którego sam uprosił, by nie był obecny w świątyni, chcąc oszczędzić biskupowi jeszcze jednego upokorzenia. Postępował zgodną ze swym sumieniem, dążąc do przywrócenia w Kościele porządku, a w kraju spokoju, czuł jednak wewnętrzny ucisk.

'•"' 388 <"

Nie był pewny, co pocnie Muskata, który prosto z kościoła udał się z wójtem do miasta. Ulżyłoby Jakubowi, gdyby księżę sam o sprawie mówić zaczął. Ale Łokietek roztargniony był, a gdy arcybiskup wrócił do niej, Włodzisław powiedział z pewnym zniecierpliwieniem:

- Rad bym o tym choć przez chwilę zapomniał, bo o czym innym mi myśleć. Przyszły wieści z Pomorza, że Krzyżacy wtargnęli znowu z wielkim wojskiem i spalili Chojnice i Nowe, nawet kościołów nie oszczędzając. Na nich - przeklętych mnichów Kuria nie znajduje cenzur, jeno mnie ręce wiąże klątwą i interdyktem...

Gorycz zabrzmiała w głosie księcia, ale opanował się zaraz

i dodał spokojnie:

- Wybaczcie! Dziękować mi jeno za wasze trudy i przychylność. Póki mi jej nie skapicie, nie lękam się niczego. Ató choćbym i sam ostał, jako przed dziesięciu laty, nie poddam się nigdy.

- Niech was Bóg wspiera - powiedział cicho Jakub i znak krzyża nad księciem uczynił.

Pomyślał, że oto błogosławi/wyklętego, ale się nie zawahał. Słuchał nakazu, który był w nim.

XXXVIII

tirzych darmo czasu nie tracił. W nieustających wędrówkach po drogach i bezdrożach, rzadko dach mając nad głową, poznał duży szmat kraju od Gopła po Wisłę, od Włodzisławia po Świecie. Pomny książęcego zakazu, z dala jeno na gród ten spoglądał, nie ufał bowiem sobie, czy w razie spotkania z Jędrzejem opanować się potrafi. Łakomie też patrzył na zamki krzyżackie leżące za skutą jeszcze lodami Wisłą, przezuwając pokusę przepłynięcia się na krzyżacki brzeg i wypróbowania swych sił i umiejętności w starciu z Krzyżakami. Korciło go, ale się powściągał; za murami nic im nie uczyni. Wśród zbójów, których nieraz w wędrówkach swych spotykał, może by i niejeden dał się nakłonić do przeprawy w krzyżackie ziemie, ale jeno by kupców po drogach rabować, a i to niewielu chętnych by znalazł, Krzyżacy bowiem pilnie strzegli zarówno granicy jak i gościńców, a kary, jakie na pojmanych zbójców spadały, mroziły krew w żyłach.

Wkrótce jednak Wisła puściła i Krzych, choć niechętnie, musiał pomyśleć o przyjeździe Terki i o gospodarstwie, o które dotąd nie dbał zupełnie. Przypisańcy chwalili sobie nowego pana, którego widywali rzadko, najczęściej, gdy im przelał na łąkach pędzić przyszło, dziwiąc się jeno, że nawet starego domu pod lasem, gdzie ongi wódarz książęcy siedział, na nowo poszyć nie kazał, tak że podczas wiosennych dżdżów lało się na głowy. W dworcu nad rzeczką koło łągów osadził swych ludzi z Jaśkowego pocztu, ale i tam o konie się jeno troszczył, oraz by oręż był w pogotowiu. Żył oczekiwaniem wojny, a jeno w rzadkich chwilach wypoczynku wracał myślą do przeszłości

390

i do ludzi, "którzy się przez nią przewinęli. Gdy tylko wzbierać w nim zaczynała tęsknota, zrywał się i szukał trudów, by nadmiar sił wyładować.

Wiosna była już w pełni. Głębokie borów zaległ zielonkawy cień od młodego listowia, łąki mieniły się kwieciami, a bagna jeżyły świeżą trzcina i szuwarem. Niepokój był na ziemi i w powietrzu, zachody bywały krwawe, kruki wywiodły liczne potomstwo, a po wilgotnych łożach igrały gromady wilczych szczeniąt. Mówiono, że zwierzę czuje, iż żeru będzie pod dostatkiem, ale ku latu już szło a nic się nie działo.

Zdziwienie powstało w osadzie, gdy jednego dnia przyszedł Unik z rozkazem, by cieśle dom oporządzili.

- Widno dziedzic żenił się będzie - domyślali się osadnicy, a w przypuszczeniu utwierdził ich posłaniec przybyły

z Włodzisławia z wieścią, że zjechała tam stara niewiasta z młodą dziewczyną i domagają się, by kolasę po nie przysłać, bo poniżej tego grodu strażę krzyżackie wszystkie łodzie wylapują. Najwięcej podniecenia i domysłów wzbudziła wiadomość wśród niewiast:

- Takiemu to dobrze - mówiły dziewczuchy - ani swatów posyłać nie musi. Wdała jucha, na żadną z nas ani spojrzy, myślałby kto, że mnich.

- Patrzy to na mnicha? Jeno że jako wilk koło swego legowiska nie łowi. Cudo jakoweś pewnikiem mu przywieźli.

, Wkrótce zaspokoily ciekawość, gdy z wymoszczonego wozu z trudem wysiadła stara niewiasta, wiedziona pod rękę przez dorastającą dopiero dziewczynę z czarnymi, grubymi jak ręka kosami nad gładkim białym czołem i ciemno-fioletowymi oczyma, ocienionymi długą rzęsą, pod łukami cienkich brwi.

- Urodna jest - szeptały niewiasty między sobą. - Krewniaczki chyba - przypuszczały z pewnym rozczarowaniem.

- A ze starej wiedźma musi być - dodała jedna.

Darmo jednak było wypatrywać i podpatrywać. Pana nie było w domu, gdy nadjechały, i nie zjawił się. Przybyłe niewia-  
~ 391 ~

•3ty wzięły się do gospodarstwa i wkrótce wieś poczuła, że stara, choć, zda się, niedołężna, twardą ma rękę. Wzdychali do powrotu Krzycha, ale nawet wieści nie przysłał, gdzie się obraca. Terka chodziła zgryźliwa, a Kundzia zadumana. Nie mówiły z sobą o Krzychu, choć obie myślały o nim. Aż jednego wieczoru Kundzia zaczęła:

- Wróć ja, matko, do Krakowa. Na nic mi tu siedzieć.

-Na nic? Widziałaś, jako pani Adelajda mydłka złowić umiała? Nie była jej w tym Hanna przeszkodą. Cierpliwość miej.

- Ją go łowić nie chcę - odparła Kundzia smutno. - Ale po cóż go mam z domu wypłaszać? Mam swój ką, niechże i on swój najdzie. Złe człeku, gdy jest jako liść na wietrze.

- Nie ty go wypłaszasz, jeno ja - zaśmiała się stara. -

A źle mu będzie, wróci. Cóż się nad nim użalasz? Zawždy za czymś gonił, teraz w głowie mu wojna, o której gadają wszyscy. Ale kiedyś spokój nastanie, przyjdzie pora i na niego, trzeba, byś była pod ręką. Nie złowisz go ty, złowi go inna, albo i Leliwy go wyswatają, jako krewniacy - zaśmiała się znowu. Kundzia patrzyła na Terkę zamyślona.

- A czemuż to przed wami ma uciekać, skoro siedział z wami od maleńkości?

- Dużo by mówić.

- To nieprawda, coście o nim Braciszkwowi mówili?

- I ty chcesz wiedzieć, czego ci nie trzeba.

- Wróć ja do Krakowa - powtórzyła Kundzia ippo chwili. - Duszno mi jakoś w nieszczeroci.

- Można nawyknać - odparła stara - gdy się za nią kupić coś chce.

.- Nie kupię nic za nią i nie chcę. I jemu duszno, dlatego ucieka.

- Tobie nikt kłamać nie każe. Czego nie wiesz, nie twoja wina. Nie pytaj przeto.

\*

Gdy dziewczyna, widno nie przekonana, milczała opuściwszy oczy, Terka podjęła:

392

- Nie mówię, że jestem stara i niedołączna, bom ci nie matka, nie siostra, choć rada bym. Ale z kimże tam będziesz siedziała? Z tym starym capem i rzyżem obwieszem?

- Dobrzy byli - szepnęła Kundzia. - Ale ich pewnie nie masz, bo i tak zbyt długo dla mnie na miejscu siedzieli. Sierota-m, tedy muszę nawyknąć, że sama jest i... pozostanę. Głos Kundzi zadrgał. Stara odparła szorstko, ale i jej głos nie był pewny:

- Wiem, że jestem zła. Ale przecie nie dla ciebie. Życzę ci tego, czego sama pragniesz. Zaufaj mi i nie przeszkadzaj.

- Nie chcę - powiedziała cicho Kundzia. - Coś wy zamierzacie, czego się lękam dla Krzycha. Nie potrafię tak żyć, jakoby bez słońca i powietrza. Odejdę.

Stara siedziała objawszy suche kolana kościstymi dłońmi. Pomarszczona jej twarz nie zdradzała żadnego poruszenia. Jenego głos jakoś obco brzmiał, gdy zapytała:

- A zostaniesz, jeśli ci powiem? Myślisz, że łatwiej ci będzie? Już ci, prawda jest jako słońce, zdrowiej nie patrzeć w nie. Kłamać trzeba się nauczyć, a kłamać będziesz musiała, lub pożegnać się ze szczęściem. Bierzesz ciężar, któremu nie wydolisz. Żal mi cię.

- Braciszek mówił, że szczęście, to spokój.

- Głupiec! Najdziesz to w życiu spokój?

- On jeno głupiego udaje. W sobie spokój - mówił. Nie mam go i nie będę miała, jeśli się prawdy nie dowiem.

- Nie będziesz go i w sobie miała. Ciężki ci przypadnie wybór. Byś mi nie złorzeczyła. I przysiąc musisz, że nie powtórzysz Krzychowi.

- Po cóż mam przysięgać? I długo milczeć każecie?

- Uznam, że pora, sama mu powiem. A przysiąc masz po to, byś nie miała wyboru. Zbyt ciężki dla ciebie.

- Chcecie, to przysięgnę. Mówcie już - szepnęła Kundzia.

Na dworze zapadał pogodny, letni wieczór. Cisza i spokój były dokoła, jeno opodal gromady wróbli gwarzące się pod "

~ 393 ~

stajnią i tyłające się w kurzu na drodze ku osadzie, teraz rozćwierkały się w kłótni o miejsce na nocleg w przydrożnych krzaczach. Ciężki od leśnej ściany sunął niepostrzeżenie i bezszelstnie ku domowi. Kundzia zdało się, że to sunie ciężka chmura i jeno patrzeć, jak grom z niej uderzy. Siedziała zaszuchana, bez ruchu, jeno chwilami przechodziło ją drżenie, jakby mróz ją przeniknął. Oddychała nierówno.

- Pewnie ci trudno uwierzyć będzie, że i ja kiedyś była

- młoda. I mnie samej się już wierzyć nie chce. Ale pamięnę jeszcze, jak się miłuje. Gorzkie było szczęście i krótkie, jak letnia

błyskawica. Rozświetliła życie i zgasła. Ostała ciemność... Zabrał mnie daleki krewniak, potrzebna byłam, bo mu żona zmarła w połogu i ostawiła dziewczuszkę... Nie wiem jak się miłuje własne dziecię, ale za nią w ogień i w wodę bym skoczyła. Matką Jej byłam i matką mnie zwała... na ręku mi rosła i, jak twoje, rosły jej kosy, które co dzień czesałam. I oczy miała jak twoje... I słodka była... jak ty.

- Nie mówcie - szepnęła Kundzia.

- Wcześniej za nią goniły męskie oczy, ale ona w jedno tylko patrzyła: włos miał w złotych kędziorach, śmigły był, jak topola, szeroki, jak dąb. Twarz biała, jako u dziewczyny, a ręka jak żelazo...

- Jak Krzych! - szepnęła Kundzia.

- Jak Krzych! - powtórzyła Terka. - I jak on, sierota.

Mścigniew mu było. Z rodu możnego Nałęczów, jeno go opiekunowie obdarli i wyzuli z ojcowizny. I jak Krzych, nie stał o to. Dopiero gdy moją dziewczuszkę pojąć zamierzył, rodzic jej na zrękowiny przyzwolił, ale z pokładzinami czekać kazał, póki majątko nie odzyszcze, by na swoim osiadł, bo mu jeno stary dworzec i szmat bagien ostawili... Gdzie tam młodym czekać. Jeno jam wiedziała i osłaniałam ich miłość, bo mi się zdało, że moja odżyła. Wedle prawa stadłem się stali, ale rodzic by nie odpuścił. Spieszyć się trzeba było. Tyle zaznali szczęścia. Odszedł.

~ 394 ~

Stara urwała i coś żuła bezzębnyimi ustami, jakby wyrzucić z siebie nie mogła zapieczonej tajemnicy. Ale Kundzia była już niemal pewna. Krzyknęła:

- Mówcież! To Krzychowi rodzice? A Spytek?...

- Pojechał Mścigniew... Darmo Łokta o sprawiedliwość prosił. Potrzebni księciu byli Nałęcze. Nic nie wskórał. Pobił opiekunów i w ciemnicy na sąd czekał. A Spytek skorzystać •chciał z nieszczęścia...

Zamierzała mówić dalej, ale Kundzia przerwała:

- Tedy Krzych z Hanną nie krewni. Czemuście ich rozdzielili?

- Bo Leliwa moich rozdzielił. Poparcie miał księcia, zawziął się, a zdało się, że Mścigniew przepadł. A tu Spytek napierał. Rodzic dał się ubłagać, by przynajmniej odczekać pewności, jak się sprawa Mścigniewa obróci, ale Spytek i słyszeć o tym nie chciał. Siłą ją porwał... Nie pomogła ni kłątwa na gwałtownika, nie należeć było sprawiedliwości u spółnika rozpusty, a potem i rodzic zmarł i nie było się komu upominać. Dopiero Mścigniew wyrwawszy się, ze zbójami na dworzec Spytka napadł i wydarł ją. Niepomiarowany był, ludzi pobił, dom spalił, jeno Spytka samego nie dostał, bo go doma nie naszedł. A potem uchodzić musiał, a tu jej czas już nastał i nijak ją było brać. Tyle jeno, że mnie uwiadomić wydolił, na mnie opiekę zdając, póki nie wróci. Ukrywać się kazał i zataić Krzychowe pochodzenie, bo się pomsty obawiał na dziecku, nie tylko Leliwów, ale i swoich rodowych.

Stara umilkła i zapatrzyła się gdzieś. Oczy miała rozwarte



szeroko, jakby widziała to o czym mówi:

- Nie pomogło. Miast dworca, zastałam zgliszcza, miast mej niebogi - opalone kości. Nie przepuścił Spytek nawet psom. Jeno Duszka ocalał, bo widząc co się dzieje pod łozem się przytail i z płonącego dworca dziecię uniósł, cudem, bo się płonący już dach na nich zwałił. Przez przypadek odnalazłam zdychających w lesie. Odchuchałam i tułaliśmy się, póki Spytek na • wygnanie nie poszedł wraz ze swym księciem. Wtedy ściągaliśmy z powrotem na pogorzelsko, na Mścigniewa czekając. Nie ~ 395 ~

wrócił, zginąć musiał, bo on nie z tych, co by pomsty poniechali. Tedy ja pomstę zaprzysięgłam do ostatniego tchu, na wszystkim co miłe krzywdzicielowi... żebym psa Jego dopadła - struję. Czekałam, aż Krzych do sił dojdzie, by mu wyjawic i pomstę zdać w jego ręce, bom się lękała, by się przedwcześnie nie porwał. Los zadrwił ze mnie. Miast krew Leliwów wytoczyć, Krzych życie ocalił Jaškowi i jego szczenięciu. Miast ich nienawidzić, pokochał Hannę, dla niej to pomsty odmówił nad Spytkiem. Tedy niech choć mienie krzywdziciela pokrzywdzonymu przypadnie, a jego umiłowana bratanica niech schnie w klasztorze. Gdy ciebie przy Krzychu ujrzałam, zdało mi się, że czas się odwrócił i ziemia oddać chce krew, którą wessała. Nikt nie śmie wiedzieć, kim jest Krzych, póki o Hannie nie zapomni. Tobie jednej zawierzyłam, bo wiem, że go miłujesz i gdyby ciebie pojął...

Kundzia wstała^ Zdało się, że jej lat przybyło. Mówiła z dojrzałą nad wiek powagą:

- Nie przyłożę ręki do Krzychowej krzywdy, ani za szczęście własne. Niech nie będzie mój, ale mnie niech nie przeklina. Przeszłość chcielibyście odwrócić! Nie zwolnicie mnie od przysięgi, drugą dodam z dobrej woli: nigdy nie będę Krzychową. gdy go jeno wasza tajemnica od Hanny odgradza.

- Głupiaś! - krzyknęła Terka. - Nie wiesz, coś rzekła.

Kundzia skuliła się, ale odparła z wysiłkiem:

- Wiem. I siebie mi żal i was. Ale wyzywacie los, który widno chciał pomście kres położyć. Lękam się, że coś straszego stać się może...

- Ja się już nie lękam niczego. Boisz się, to odejdz. I po tobie, ni nad tobą już płakać nie będę. Łez nie mam już dla nikogo, ani mi czyich nie trzeba.

- Pójdę - szepnęła Kundzia. - Nie wiem, jakbym teraz w Krzychowe oczy spojrzeć mogła.

- Nie bój się. Człek do wszystkiego przywyknie. A i spieszyc się nie musisz. Wojna idzie, wysługuje się Krzych panu, co jego rodzicielowi sprawiedliwości odmówił. Wróci pewnikiem, jak go zaś potłuką. Będiesz mu mogła połamane kości ~ '396 ^

okładać, a w zamian beczeć po nocach. Jeno teraz jeszcze nie musisz. Bacz, by ci łez nie zabrakło. Nadto szafujesz nimi. Kundzia nic nie odrzekła. Wyszła przed dom, usiłując się uspokoić. Zapadła już noc. Na granatowym niebie słabo migotały gwiazdy, miedziany księżyc dźwigał się za oparem, wsta-

jącym z łąk. Odgłosy dnia już ucichły i nim się nocie odezwą, była chwila ciszy.

W ciszy tej, zrazu niemal niedostłyszalnie, zaszeptał las, którego czarna ściana piętrzyła się o stajanie, poszarpaną linią odcinając się od nocnego nieba. Po chwili zagadał głośniej i już rozróżnić można było dudnienie kopyt, idących w skok koni. Jeno ktoś dobrze znający drogę pędzić mógł" przez nieprzebite ciemności leśnej głębiny.

Kundzi szybciej zabiło serce. Cofnęła się na podcień, a w tej chwili odgłosy kopyt rozległy się już na dziedzińcu i do reszty zburzyło ciszę wołanie przybyłego Krzycha:

- Unik!

Gdy z czarnego cienia pod daszkiem zajazdu, wysunęła się drobna postać, Krzych zeskoczywszy na ziemię rzucił: ; ,

- Pojedziesz ze mną. Konie siodłaj i spyży załaduj, co jest pod ręką.

- Jam nie Unik - odpowiedziała dziewczyna. - Pacholik śpi pewnikiem. Ale wraz- go obudzę, albo ci konia potrzymam.

- Któżeś? Kundzia?

W głosie Krzycha zabrzmiało niechętnie zdziwienie.

- Skąd ty tu?

- Wždy z Terką przyjechałam. , • .

- I jeszcze siedzisz?

Gdy dziewczyna nie odpowiadała, Krzych zmieszany dodał:

- Dobrze ci tu, to ostań. Nie wyganiam cię, a i sam doma nie siedzę. I teraz jeno coniebądź zabrać przyjechałem i wraz wyjeżdżam.

Odwrócił się i wszedłszy do domu krzyknął ponownie:

- Unik! Na koniu się wyśpisz. Gdzieżeś, gapiu?

\

~ 397 ~

- Idę już, panie - odpowiedział mu zaspany głos pacholika.

W domu wszczął się ruch, zapłonęły światła. Terka wyszła z kagankiem ze swej komory. Patrzyła na krzątającego się Krzycha i zapytała:

- Cóż ci tak spieszo? Mógłbyś mnie choć powitać.

- Radziej pożegnać. Na wojnę ciągnę. Myślę, że tam za mną nie przyjedziecie.

- Cóżeś taki koleczasty? - •

- Czas na mnie - odparł. - Siedźcie tu, kiedy wasza wola.

Co ostało w Krakowie, Kundzi ma być, gdybym nie wrócił. Co daj Boże!

Wszedł do koni. Unik już siedział na swoim, trzymając podwodnego, a Kundzia - jabłkowitego ogiera. Przytuliła nieznacznie twarz do jego ciepłej i gładkiej szyi. Krzych ujął dziewczynę za rękę, biorąc od niej wodze.

- Nie myśl, zem ci nierad. Dobra byłaś zawdy dla mnie, niczego w zamian nie czekając. Wiem, że to Terka cię tu zwlekała. Uciekaj od niej.

- Wracam do Krakowa - odpowiedziała szeptem.

- Dobrze czynisz. Gdybyśmy się już nie obaczyli, pomy-

ślałem, byś mnie jako niewdzięcznika nie wspominała. A Braciszka i Ostrózkę pozdrów. Jeśli kogo wspomina, to was troje. Ale samemu mi lepiej.

Dosiadł konia i ruszył. Za chwilę las znowu zagadał odgłosem kopyt, potem już jeno szeptał i umilkł.

Kundzia stała jeszcze. Księżyc z miedzianego uczynił się złoty, potem zaślnił srebrem i rozjaśnił świat. Od lasu ruszył chłodny powiew i spędził spiekotę dnia. Jakoś lżej można było oddychać.

XXXIX

Wojewoda Wojciech skupił wyborowe siły w Swieciu, gród bowiem bronić się miał do upadłego. Drobniejsze zaś oddziały, stanowiące zbieraninę uchodźców z zajętych przez Krzyżaków ziem, osadników, zbójów i odrobiny rycerstwa, rozmieścił w Tucholi, Krupocinie i Nowem. Przynoszone przez zbiegów wieści z północy upewniały wojewodę, że napaść każdej chwili nastąpić może. Spodziewał się jej jednak w dolinie Wisły, gdzie Krzyżacy ze swych zamków mieli możliwość uderzyć dogodnie niemal w każdym miejscu, piaszczyste zaś i bagniste bory Tucholskie stanowiły dla ciężkiego rycerstwa niemałą przeszkodę. Upewnił się w tym mniemaniu, otrzymawszy wiadomość, że znaczne wojska krzyżackie, pod Marszałkiem Zakonu Henrykiem z Trewiru ciągną w górę Wisły. Jakkolwiek, nie czując się na siłach, nie zamierzał wdawać się w walną bitwę, pchnął natychmiast rozkazy do wojsk rozstawionych dokoła borów, by zgromadziły się pod Swieciem i ciągnęły pod Nowe, dla opóźnienia krzyżackiego pochodu.

Krzych, który bawił w Krupocinie, a raczej kręcił się niecierpliwie w okolicy, przyjąwszy polecenie, pozostawił pieszych ludzi ze swego pocztu i pognął jakby go kto ścigał do Tucholi, gdzie stał znaczniejszy oddział pod wodzą sędziego sieradzkiego Floriana Pilawy. Gdy przybył tam pod wieczór, zastał skrzęt i zamieszanie. Z trudem udało mu się dopytać o sędziego, a gdy oznajmił z czym przybywa, sędzia wyraźnie odetchnął. Usiadł i otarł spocone czoło mówiąc:

- Tedy przynajmniej wiem, co poczynać. Wyruszę, choćby  
~ 399 ~

na noc, bo i ciągnąć milej o chłodzie. Niech się jeno wojska zbiorą.

Widząc zaś pytające spojrzenie Krzycha, dodał:

- Nijak wyżywić takiej gromady w małej osadzie, tedy się to rozlało po okolicy, a właśnie smolarze wiadomość przynieśli, że Krzyżacy nadciągają i są już w Czersku. Na nas uderzą, lub na Chojnice, tedy lepiej wczas się wycofać.

Krzych patrzył na sędziego, hamując się. Rzucił na pozór spokojnie:

- Zda mi się, że gdyby wojewoda o nadejściu Krzyżaków z tej strony wiedział, nie kazałby wam ciągnąć pod Świecie, jeno tutaj opór dać.

. - Mędrkować łatwo. Czym? Widziałeś to wojsko? Nie im się mierzyć z Krzyżaki.

Ale Krzycha ogarnął gniew. Odparł bez namysłu:

- Tedy po coście tu przyszli? '   
 - Coś za jeden? Zuchwałyś. Na wodza cię przysłano?   
 - Spytków Krzych, Leliwa. Mnie przysłano bić się.   
 -- Nie wiedziałem, że Spyttek syna miał - mruknął sędzia,   
 ale Krzych dotknięty przyciął: ' •   
 - Choćbym znajdą był, nic to nie ma do sprawy. Skoczę   
 wywiedzieć się kędy ciągną Krzyżacy: na was, czy na Chojnice.   
 - Juści, że zdałoby się wiedzieć. Nie oblatuje cię 'strach,'   
 tedy idź. MłcKiys i nie wahałeś jeszcze Krzyżaków.   
 - Tak myślę, że przecie najdę i tu takich, co się też nie   
 boją.

" - Spróbowałbyś dowodzić - rzekł sędzia sapiąc gniew-   
 nie - gdy każdy rycerz poczem swym rządzić chce, jak wo-   
 jewoda, a tej zbieraniny nie ma komu do ładu doprowadzić.   
 "Jaki wódz, takie wojsko" - pomyślał Krzych, ale nic nie   
 rzekł i wyszedł.

Na błotnistym Rynku gwarno było i tłumnie. Zbieranina   
 ta była iście, przypadkowo spędzona, niećwiczona i niekarna.   
 Krzychowi przykro się uczyniło, że ubódl starca, któremu iście   
 powierzano zadanie nad siły. Rozniecone ogniska, przy których   
 ~ 400 ~

warzyła się wiecezra, oświetlały postacie odziane i zbrojne   
 różnorodnie. Jeno na wszystkich twarzach widział Krzych nie-   
 pewność i czuł, że starczyłoby iskierki, by popłoch wybuchł   
 jak pożar i całe to wojsko wsiąkłoby w ziemię, jak rozlana wo-   
 da. Pomyślał, że lepiej by sędzia uprowadził tę zbieraninę,   
 z której bieglej szy wódz przecie coś zdatnego do boju wylu-   
 skać by zdołał. Sam jednak ani myślał łączyć się z nim. Roz-   
 glądał się, czy nie znalazłby choć kilku, co by się do niego przy-   
 garnąć chcieli, by razem ruszyć pod nieprzyjacielskie wojska,   
 gdy wśród gwaru doszły go trwożliwe okrzyki. Skierował się   
 ku nim i gdy wyszedł poza zasięg blasku ognisk, zauważył, że   
 na zachodzie niebo rumienić się zaczyna, a po chwili rozżarzyło   
 się łuną. Gromadki ludzi stały, pokazując ją sobie i szepcąc   
 niespokojnie, po czym rozchodziły się spieszenie, widno na wła-   
 sną rękę zamierzały odwrót. Wreszcie pozostała tylko jedna.   
 Krzych zagadnął choć niemal był pewny:

- Chojnice płoną?   
 - Chojnice - odparł barczysty mąż. - Na rano Krzyżacy   
 tu mogą być. Trzeba się od tej zbieraniny odczepić.   
 Krzych spojrział z bliska w brodate i wąsate oblicza. Nie   
 widział w nich trwogi, jaką zdradzali inni. Zapytał:

- Skądęście?   
 - Tutejsi. Z lasu, - odparł zagadnięty wymijająco.   
 Ale Krzych wiedział już, z kim ma sprawę. Tędy byli,   
 zbrojni niezgorzej. Wszyscy mieli miecze i łuki z kołczanami,   
 •oraz noże za pasem, a mówiący z Krzychem - hełm miast   
 czapki cokolwiek porąbany, z pustą tulejką na piuropusz i za-   
 wiasami po przyłbicy - widno zdobywczy. Krzych pomyślał,   
 że tacy zdaliby mu się i zaczął:

- I jam nierad z tym tłumem uchodzić, rad bym zaś   
 z bliska przyjrzał się Krzyżakom.

- - Myśwa ich już oglądali. Niezdrowo, ale można. A wyście kto?

- Za nadnoteckim borem nad Tonczyną mam ziemię - odparł Krzych również wymijająco, ale przywódca zbójeckiej gromadki zaśmiał się:

401

Wawelskie wzgórze

26

- Nie łącno takowemu się ukryć, ani wara trzeba, bo was nie obieszą, gdy spokój nadejdzie. Tak na oko biorący, to wyśta Krzych Leliwa, bo między naszymi o was gadali. Z wami pójdziemy. Radocha mnie wołają.

- A konie macie?

- Ja mam konia, zaś oni - wskazał na towarzyszy - swoje przedali, ale w takim zamęcie migiem mieć mogą. - Zaśmiał się.

Zgrani byli widocznie, bo nic więcej nie rzekł, a tamtych jakby wiatr zdmuchnął. Krzych powiedział:

- Wraz tu swoich przywiodę. Mam kilku ludzi, niezgorzonych.

! 'i "i ! l^T

- Przed północą mozem być pod Chojnicami - mówił Radocha patrząc na niebo. - Im wcześniej, tym lepiej. Póki Krzyżacy łupią, a rzną zawždy się trafi, że się któryś zapędzi i złowić go można. Tedy pilnie czekam na was.

Nie minęło ni dwu pacierzy, gdy spora gromadka jezdnych posuwała się w milczeniu piaszczystą drogą ku Chojnicom. Miękki grunt nie oddawał odgłosu kopyt, broń nie zadźwięczała. Dopiero gdy minęli małą opustoszałą osadę Zalno i droga zeszyła na łąki między stawami, Radocha odezwał się:

- W osadzie już pomiarkowali, co się święci i widno w bory uszli z gadziną. I my skoro zboczyć musim z drogi, bo mogą tu ciągnąć i łącno o ćmie niespodzianie na większe siły się nadzieać. Od Człuchowa nam trzeba zajechać, lub od Czerska, bo stamtąd mniej będą juchy pilnować, nie spodziewając się napaści. Ku Czersku zresztą wozy mozem przychycić, któr& zawždy wiodą za sobą.

Chojnice już mieli na oczach, a raczej wielkie ognisko, w jakim stało nieszczęsne miasto. W spokojnym powietrzu płomienie buchały wysoko, podbijając kłęby dymu, który wisiał już gęstą chmurą nad pożarem, jarząc się jaskrawą czerwienią od poblasku. Nie można już było rozeznąć poszczególnych budynków, jeno stojący nieco na uboczu kościół odcinał się czernią na świecącym tle.

~ 402 ~

Zeszli z gościńca nieco ku południowi i zaczęli zataczać półkole. Droga ku Człuchówu była pusta. Gdy ją przechodzili, dach kościoła stanął nagle w płomieniach i z ogniska sterczała już tylko wieża. Radocha mruknął:

- Rozmyślnie juchy podpalili, bo kościół na osobności stoi i nijak mu się od gównie zająć, skoro nie ma wiatru. Nie uszanują ni człeka, ni Boga.

Byli tak blisko, że wśród płomieni widzieli uwijające się

drobne postacie. Mieniły się raz czarno raz czerwono, jak diabły. Krzycha ogarniało drżenie. Siłą musiał powstrzymać chęć, by nie skoczyć ku nim. Radocha pomiarkował ochotę młodego rycerza, bo powiedział:

- Ostawimy konie w onym zagajniku, a sami pieszo podejść musimy ku czerskiej drodze; ani chybi, gdzieś na niej wozy stoją. Ułowim kogo, to ino tam. I łup tam wziąć na j łącniej. Mimo widocznej nienawiści do Krzyżaków, myślał by i zysk wynieść z przedsięwzięcia. Krzych łaknął jeno krwi, ale nie chciał się sprzeczać i posuwali się ku drodze, zostawiwszy pod strażą konie. Pożoga przesiliła się już, przepalone budynki zaczynały się zapadać, rozrzucając stada iskier, luna przybladła, bo dymy spędził lekki powiew od boru. Zbliżyli się tak, że słyszeli zjadliwy syk płomieni i suchy trzask walących się krokwii. W krzaczach przy drodze Radocha skinieniem ręki zatrzymał idących i jał rozglądać się i nasłuchiwać. Oczy miał widno bystre. Milcząc wskazał na stojącą opodal przy drodze samotną sosnę. W poblasku pożogi pień jej świecił złotem, jeno u stóp jego widać było cienie, jakby gromadki stojących bez ruchu ludzi. Krzych pytał szeptem:

- Krzyżaki?

- Wisielce - odparł Radocha.

Podsunęli się ku drzewu. Krzych poznał, że Radochy wzrok nie mylił. Wisieli mężowie i kobiety, nawet niedorostki pękiem, jak pobity drób. Blaski pożogi grały w wytrzeszczonych oczach. Krzychowi krew uderzyła do głowy, a potem falą odpłynęła do serca, aż załomotało gwałtownie. Szczęki zacisnęły mu się tak, że słowa wymówić nie mógł. Radocha jednak, nawykły do ta-

•^ 403 ~

kich widoków patrzył obojętnie. Nagle uchwycił Krzycha za rękę i pociągnął z powrotem w krzaczki. Krzych otrzeźwiał; i on usłyszał już tętent na drodze, który zbliżał się szybko. Patrzył z podziwem, jak sprawnie i bez słowa gotowali się ludzie Radochy do skoku. Widno nie pierwszozna im była takie łowy. Krzych nie zamierzał wziąć w nich udziału, nie spodziewając się walki, nadjeżdżający bowiem był sam. Natomiast przyglądał się z zaciekawieniem i podnieceniem. Gdy widoczna już postać jeźdźcy w długim płaszczu zrównała się z pierwszym z kraja wojakiem, wszyscy jak jeden skoczyli na drogę. Krzyżak spostrzegł co się dzieje i ściągawszy konia, zawrócił go na miejscu, ale już ł do odwrotu drogę miał odciętą. Nie stracił głowy i chwyciwszy za miecz, wpadł na najbliższego. Z tyłu jednak ułapiły go silne ręce nim cios wymierzyć zdążył, i zwały z konia na drogę. Nie zdołał się dźwignąć, bo brzuch i piersi przygniotły mu twarde kolana, a krzyk stłumił własny jego płaszcz, który omotał mu głowę. W mgnieniu oka pojmany był już w krzaczach, gdzie z równą wprawą obierano go ze wszystkiego. Radocha trzymał przy pysku niepokojącego się zdobycznego konia, mówiąc z uśmiechem:

- Opłaciło się na początek. Rycerza nie często ułapi.

Mimo że jeniec ciskał się i bronił, łupienie nie trwało długo.

Gdy powstał, obrany niemal do naga, Krzych ujrzał twarz kil-

kunastoletniego chłopca, z sypiącym się dopiero jasnym zarostem. Nie zdradzała trwogi jeno pychę i wściekłość. Obrzucił Krzycha wyniosłym spojrzeniem i rzekł po niemiecku:

- Pasowany rycerz, co zbójckimi sposobami walczy z rycerzem Najświętszej Panny!

Krzych zrozumiał i złość, którą uśmierzył widok młodocianej twarzy jeńca, ogarnęła go ponownie. Pogardliwie odparł:

- A tak walczą rycerze Najświętszej Panny!

"

Wskazał na drzewo objuczone wisielcami.

- To wrogowie Zakonu - odparł młodzik. - Wszystko co czynią Krzyżacy, czynią w imię Boga.

- Co warczy ten szczeniak? - zapytał Radocha.

~ 404 ~

Krzych niechętnie przełożył, a zbój zaśmiał się i rzekł:

- Tedy rzeknij ta mu, że jako Krzyżak, będzie też wisiął w imię Boga.

- Chcecie go obwiesić? - zapytał Krzych.

- A cóże z nim będą robił? W spokojny ca^można by spróbować okup wziąć, ale ninie?

Wzruszył ramionami i chwyciwszy jeńca za kark, pociągnął go ku sośnie. Krzyżak zrozumiał widoczna gdyż głos mu zadrział strachem, ale w słowach była pycha i zuchwalstwo, gdy zwrócił się do Krzycha:

- Hańba wam, jeżeli mnie obwiesić kazecie. Książęcego rodu jestem, krewniak Lutra von Braunschweig, Trappiera Zakonu - i sługa Boży.

- Co on prawi? - zapytał Radocha.

Krzych przełożył i odwrócił się z odrazą. Mierziła"go pycha i czelność młodzika. Choć poprzednio, widząc jego młodość, wahał się czy mu nie darować życia, teraz postanowił pozostawić go jego losowi. Usłyszał za sobą szamotanie i słowa:

- Wuj potrafi mnie pomścić!

- Pójdź no - zachęcał Radocha, ciągnąc jeńca. - Jeszcze też nigdy księcia nie wieszałem, ale myślę, że się powróż nie urwie. Nie cięższyś, niż chłop.

Krzych z niechęcią słuchał oddalającego się śmiechu zbójów. Rozognione oczy zwrócił na osadę. Przygoda z Krzyżakiem jeno go rozdrażniła; Czekał niecierpliwie, aż za nim rozległ się głos:

- Wisi, jak drozd na sidłach. Że książę, nie poznać, ale płaszcz ostawiłem. Zaraz widać, że sługa Boży.

, Zaśmiał się drapieźnie, a inni mu zawtórowali.

- Pójdźmy do koni - rzekł Krzych ostro. - Dość zabawy.

- Dobra zabawa, kiej kto inny za nią płaci - odparł Radoch.

Skierowali się w chaszczę. Krzych doskoczył konia i wyjechał na drogę. Radocha zrównał się z nim i zapytał:

- Na wozy uderzym? Zdałoby się naprzód wypatrzeć gdzie stoją i od tyłu zajechać, nie od czoła.

~ 405 ~

Ale Krzych nic nie odrzekł. Spiał konia i pędem ruszył ku

płonącemu miastu. Pozostali popędzili za nim, myśląc, że oszalał.

Mazurscy osadnicy wojewody Krystyna Gozdawy, nawykli do wolności i bron<sup>^</sup>znaleźli się pod srogim rządem zakonnych wójtów, na równi\*? pruskimi niewolnikami przywaleni robotniczną i daninami, nie mając prawa posiadać nie tylko broni, ale nawet pługa żelaznego. Siedząc od trzech pokoleń, przywiązali się już do ziemi, którą własnymi rękoma wydarli bagnom i borem, zresztą nijak im było wracać do starego kraju, chyba by znanego pana na nie znanego zmienić. Kto tedy karku ugiąć nie umiał, wyjście miał jeno do lasu na zbój, gdzie stawał się wprawdzie ściganym wilkiem, który wcześniej czy później skończy na haku, ale przestawał być jucznym wołem, idącym na rzeź, gdy już jarzma udźwignąć nie wydoli.

Radocha wyrostkiem będąc wyciął w łeb kamieniem krzyżackiego wójta, który mu ojca zabierał w więzach, za to, że potajemnie mełł na żarnach. Od tego też czasu stowarzyszył się z Pizłą, który nadbiegłszy wówczas, widząc jak wójt dźwiga się z ziemi z zakrwawionym łbem, powiedział zacinając się jak zwykle:

- Dorznać trzeba, póki się Niemce nie zwiedzą. A pośle dużymi chodami do lasa.

Rada była rozsądna, ale Badosze ręce się trzęsły, bo nigdy przedtem nie zabił człowieka. Widząc to Pizło rzekł:

- Daj wielgi kamień!

Spokojnie i miarowo, raz za razem walił wójtą w łeb, póki jeszcze drgał. Potem obtarł ręce w portki i rzekł:

- Tera bierzemy za giry, razem, bo ciężki. Prędko, praśniem go w wodę.

Jak rzekł, tak uczynili, ale nie zdało się na wiele. Gdy po kilku niedzielach podeszli pod wieś, by się o swoich wywiedzieć i pożywić, bo w lesie jeszcze się nie zagospodarowali, zdało im się zrazu, że mieni się w oczach. Na miejscu wsi było zorane

406  
pole. Od tego czasu Radosze już się ręce nie trzęsły, gdy zabijał.

W lesie nie wiodło im się źle. Przywykł do życia ściganego zwierza, odgryzać się umiał. Polubił nawet swoje nowe rzemiosło, w cichości wyżej je nawet ceniąc od rycerskiego, uważał bowiem, że rycerz i zbój robią to samo, jeno zbój nikogo nie ma nad sobą. Ale w miarę jak Zakon rósł w siłę i tężał, a ludności przybywało, coraz ciasniej zaczynało być w lesie, a co gorsza, dziesiątki chłopskich pokoleń odżywało się w Radosze tęsknotą do ziemi, im bliżej starości, tym głośniej. Nieraz stawał na skraju leśnej polany, i wciągając zapach poruszonej gleby, patrzył jak oracz skiby kraje, tak jak głodny patrzy na krającego chleb, z zazdrością. Na starość chciałby spokojnie na ziemi osiąść, spojierać z lubością jak schodzi młoda ruń, jak faluje i srebrzy się łan żyta, jak kładzie się równym pokosem od zamachu twardych rąk. Jeno nie po to, by zbiór odwieźć do cudzej stodoły. Tedy chował to swoje marzenie, nie zwierzając się nawet przed Pizłą, choć chłop niemowny był i rzec mu co, jak-



by kamień do studni wrzucił. Myślał już Radocha, że do końca żywot spędzić przyjdzie bez domu i ogniska, jak wilkowi, który zęby straciwszy z głodu zdychać musi, lub trafi na powróż.

Usłyszawszy jednak, że Łokiet za wojenne usługi ziemie na rycerskim prawie nadaje, Radocha zebrał swoich zbiegów spod jarzma i do sędziego Floriana się przyłączył. Znając się jednak na walce, w mig pomiarkował, że pod takim wodzem niczego się nie dosłuży, gdy jak z nieba spadł mu Krzych, o którym chodziły wieści między zbójami.

Krzych wprowadził w zamieszanie oddział szatnego Lutra, ale stracił dwóch ludzi, a i zbója jednego nie można się było doliczyć. Sam zaś omal nie stracił życia, bo strzała wypuszczona z kuszy przebiła mu na wylot kolczugę i kubrak, i boleśnie, choć nieszkodliwie, rozorała skórę na piersiach. Trzy palce krócej, a miałby ją w sercu. Słuchał jednak obojętnie wyrzutów i uwag Radochy, który mówił:

- Lubię i ja bitkę, ale takim sposobem daleko nie zaidziem.

Cała sztuka, by w kilku bić na jednego. Rozumieją to Krzyżaki, 407

dlatego trzymają się kupy, a teraz będą bardziej niż kiedy, bośwa ich też napaskudzili. Ale jeno dlatego, że się nie spodziewali, by na nich ktoś tak głupio szedł i raz się to ino udać może.

A szkoda by was było. Rozsądku i doświadczenia trochę, a nikt wam nie dostoi, J-"o rękę macie i ćwiczenie, że podziw.

Mimo że gderał i straconych ludzi żał mu było, patrzył na młodego rycerza z uznaniem i zadowoleniem. Dobrze mu się trafiło. Słyszał też, że Kasztelan Jaśko Leliwa wielkie ma u księcia zachowanie i liczył, że pod kapotą jego bratanka do księżęcej łaski się wkupi, na wojnie się zasłużywszy. Ale tym bardziej postanawiał strzec młodego rycerza od lekkomyślnego narażania życia, bo gdyby Krzych zginął, wszystkie zasługi poszłyby na marne.

Uwiesili się koło oddziału Lutra i ciągnęli nieraz tak blisko, że Krzyżacy słyszeli trzask łamanych gałęzi w przydrożnych krzaczach, w które się jednak zapuszczać nie wazyli, bo zbóje umieli łuków używać, a kryć się przed wrażliwymi pociskami. Luter, ciągnął wolno, paląc i niszcząc, wszystko po drodze, nie oszczędzając nikogo i niczego. Osady jednak przeważnie puste już były i ludzie Radochy zasypywali studnie, zmuszając Krzyżaków do szukania wodopojów i urządzając przy nich zasadzki. Krzych musiał przyznać, że zbójeckie sposoby wojowania skuteczniejsze okazują się od rycerskich, bo nie straciwszy już ni jednego człeka, szkody wyrządzali Krzyżakom nie małe. Za Krupocinem jednak bory urywały się i do Swiecia nie było ^daleko. Tam Krzych dowiedział się, że od tygodnia już otoczone, opiera się ciężkim uderzeniom Krzyżaków, którzy spaliwszy Nowe, podeszli lewym brzegiem, a jednocześnie spłynęli nocą z Chełmna. Gród jednak zaskoczyć się nie dał, natomiast ze wszystkich stron jest już odcięty, miasto spalone, mieszkańcy zaś poszli w pęta lub pod miecz. '

Świecki zamek położony był na dość znacznej wyniosłości, klinem, schodzącej w spływ Czarnej Wody i Wisły, w których

przełądał się panujący nad okolicą<sup>tołb</sup>. Z jego szczytu wzrok  
408 ••<-

lecieć mógł daleko, gdy letnie niebo przejrzyste było i bez chmurki, a sierpniowe słońce siało na świat złote blaski. Ku północy, aż po granice widnokręgu, falowała pstra zieleń Tucholskich borów, przechodząc na wschód w przyćmiony już skwarem szmaragd nadwiślańskich łągów, przeciętych szarobłękitną wstęgą Wisły, o postrzępionych zalewiskami brzegach. Po prawym, odcięty od łądu Małą Wisłą, mienił się w słońcu barwami Świecki Ostrów, obramowany srebiastą zielenią wikliny i rdzawą szuwarów, za nim zaś, w lekkiej mgiełce wyłaniało się pasmo niewysokich -wzgórz, biegnący łukiem ku południowemu wschodowi, ginąc w prześwietlonej dali. Gdyby nie blask, bystre oko dojrzeć by mogło na jego krańcach strzelistą wieżę fary i przysadziste baszty krzyżackiego zamku w Chełmnie.

Wzrok zgromadzonej na szczycie stołbu starszyny świeckiego zamku nie biegł jednak daleko, choć piękny widok nęcił oko. Opatrywali jeno niewielką przestrzeń, otoczoną wałem i częstokołem, a ninie odciętą od łądu południowym ramieniem Czarnej Wody, przez które w spokojnym czasie biegła ku miastu grobla, stanowiąc jedyne z nim połączenie. Teraz było przecięte, gdyż Bogusza w przewidywaniu napaści rozkopać je kazał i gród znalazł się na wysepce, broniony wodą ze wszystkich stron, ale wyjść z niego mogło chyba tylko ptactwo gniezdzące się na wieży, które płoszone przez ludzi, latało dokoła szczytu z niespokojnym krakaniem. Nad wodnymi połączeniami panowali bowiem Krzyżacy, których tratwy i łodzie roiły się dokoła zamku. Dwa strzelenia z łuku wzdłuż i jedno wszerz, to była cała ziemia, jaka została pod stopami obrońców. Nie cała nawet, na łasze bowiem, w jaką przechodził ku północy klin wysepki, stały zakotwiczone tratwy krzyżackie i za osłoną tarcic czynione były na brzegu jakieś przygotowania, pod ochroną lejących z dość wyniosłego, lewego brzegu Czarnej Wody pocisków z ustawionych tam machin. Gród odpowiadał, miotając belki i głązy, by przeszkadzać jak się da, w oblężniczych robotach, które mimo to posuwały się wyraźnie.

~ 409 ~

Z jeszcze większą troską patrzyła starszyna na przeciwległy kraniec wysepki, gdzie Krzyżacy spędzali schwytanych jeńców do odbudowy grobli. Z ciężkim sercem oblężeni musieli pracujących razić pociskami, od których ginęło co dzień kilku. Bardziej jeszcze przygnębiał załogę widok ogromnej szubienicy, którą naprzeciw bramy zbudować kazał komtur gniewski Zygfryd i każdego wieczoru o zachodzie wieszał na niej paru co słabszych lub słabszych jeńców, głosząc, że nie spocznie, póki  
...W1

ilakól

wszystkich Polaków nie powywiesza.

Tymczasem jednak tyle było jego sławy, że wieszał bezbronych, uderzenia bowiem, jakie dotychczas Krzyżacy przypuszczali ze wszystkich stron, spotkały się z zaciętym oporem

i krwawo zostały odbite. Landmistrz von Plotzke kończyć chciał szybko, by przed przybyciem Zygryda von Feuchtwangen z Wenecji całe Pomorze mieć w rękę i zapowiedzianym przez Wielkiego Mistrza układom z Łokietkiem stworzyć najkorzystniejsze dla Zakonu warunki. Dlatego ściągnął wojska nie tylko z graniczących z Polską komturii, ale nawet z dalekiej Bagnety. Przywiódł je komtur Berner, prowadząc zarazem rycerskich gości z Zachodu, zawsze ściąganym przez Zakon pod pozorem walki z pogańską Litwą, a sam Marszałek Zakonu i komtur Królewca - Karol z Trewiru objął dowództwo nad wyprawą, we wszystkim jednak dając głos Landmistrzowi, który podbój Pomorza rozpoczął i pragnął go dokończyć.

Gdy jednak po nieudanych natarciach wody Wisły poniosły ku morzu sterty drzazg z rozbitych tratw i czółen, a w wirach u spływu obu rzek niejeden biały płaszcz zakręcił się i poszedł na dno, Marszałek zwołał starszyznę, by się nad dalszym prowadzeniem oblężenia naradzić.

Zasiedli przy nim: najwyższy godnością i znaczeniem Luter von Braunschweig, Szatny i komtur domowy Marienburga, który jeno w czasie wojny Marszałkowi podlegał, Gunter von Schwarzburg, komtur toruński, wsławiony w bojach z Litwą i przy zdobyciu Gdańska; Karol z Trewiru, krewniak Marszałka, któremu trafnie wróżono wielką przyszłość w Zakonie; Berner, komtur Bagnety, oraz najmłodszy wiekiem i urzędem, kom-

~ 410 ~  
tur gniewski Zygryd, którego świeżo otrzymana godność natchnęła szczególnym zapalem do walki z Polakami.

Toteż gdy Landmistrz von Plotzke otwarcie przyznał, że łatwość, z jaką w ubiegłym roku zdobył Gdańsk, Tczew i Gniew, wprowadziła go w błąd i pomylił się, sądząc, że postrachem opór w Swieciu da się złamać, sam jeden Zygryd z zapalem jął przekonywać, że nie można dawać oblężonym ni chwili wytchnienia, przede wszystkim zaś zagrozić wywieszaniem całej załogi, jeśli się nie podda dobrowolnie.

Marszałek uśmiechnął się pobłażliwie na jego młodzieńczą porywczosć i odparł:

- Cierpliwość jest równie wielką cnotą jak męstwo, a posłuszeństwo nie mniejszą niż gorliwość. Chwali ci się, bracie, i, zapał, z jakim potrzebnych do robót jeńców łowisz, ale niech ci to starczy do czasu, gdy grobla będzie gotowa. Nie przeciwię się też wieszaniu jeńców, ani tym mniej groźbie wywieszania załogi, bo od tego strach rośnie i upadają serca, ale. bacz, by jeńców do robót starczyło, bo coraz trudniej o nich.

- Nie brak tych psów po lasach, jeśli z osad uszli - butnie odrzekł Zygryd - i tam ich łowić pocznę. ,

- Książątka Przemko i Kazimierz miękkie mają serca - wtrącił Luter - tedy postraszyć ich łatwo. Ale! do łowów wracając, pomnij, bracie, że po lasach nie psy jeno, ale i wilki siedzą, które ugryźć potrafią. W sercu mam żalostny przykład siostrzana mego, którego niemal pośrodku mych wojsk spotkała śmierć męczeńska, na pierwszej wyprawie, w wiosnie jego żywota. Nie wiem jak mam siostrze przekazać tę bolesną, choć

chlubną wieść.

- Jednak Pan robotników w winnicy swej płaci, czy ich rankiem powoła, czy wieczorem - odparł Marszałek Henryk. -

Nagrodził mu już niebieską koronę, na którą nam, jeśli Mu się • tak spodoba, długie lata jeszcze pracować przyjdzie.

- Brat Otto - wtrącił Zygryd - młodzianem był niedoświadczonym. Ale jam bywał na Litwie i nie obce mi pogańskie sposoby wojowania. Tedy zezwólcie mi na łowy po lasach, a poręczana, że stada tego bydła przywiode.

~ 411 ~

- Nie można zbyt wiele poświęcić dla chwały i pożytku Zakonu - odparł Henryk. - Jedźcie z Bogiem.

Komtur Zygryd wyszedł ku Jezewu na czele kilkudziesięciu pieszych knechtów i kilku konnych gości-ochotników, którym cniło się pod Swieciem i radzi byli wziąć udział w bezpiecznych - jak zapewniał komtur - łowach.

- Czas był żniwny, ale miast ścierni-pola okrywała mierzwa stratowanego, a miejscami - szary popiół wypalonego zboża. Pogorzelska spalonych osad wyciągały ku błękitnemu niebu osmalone kikuty, lecz Zygryd i tak je przetrząsać kazał, wiedząc z doświadczenia, że pogorzelscy często wracają, by w zgłiszczach swych domów poszukiwać resztek mienia, lub nawet z opalonych desek i krokwi sklecić' na miłym miejscu daszek nad bezdomną głową.

Tym razem jednak Zygryd nie znalazł nikogo, kraj wyczesany już był z osadników. Pod wieczór komtur dotarł do Jeżewa i rozstawiając straż ciepłą noc spędził pod gołym niebem, bo osada była scalona. O szarym świcie jednak podniósł ludzi i zanurzyli się w bory.

Komtur pouczał rycerskich gości, jak wojować należy w lesistej okolicy: gdy jeno las był wysokopienny, rozsypywał ludzi ławą na odległość wzroku, gdy trafiali na podszyt, którego obejść się nie dało, skupiali się w gromadę, a przodem przedierała się straż. Czasami zostawiał za sobą zaczajonych ludzi, by sprawdzić, czy ktoś nie idzie w ślad. Wszystko to jednak czynił bardziej, by się wobec gości popisać znajomością rzeczy, niż w poczuciu niebezpieczeństwa. Żadnych poważniejszych sił nie zauważono w okolicy. Kręciło się wprawdzie trochę kujawskiego i wielkopolskiego rycerstwa oraz zbiegów z Pomorza, którzy w dowozie przeszkadzać usiłowali choć bezskutecznie, bo Krzyżacy wszystko mogli Wisłą dostać z własnych zamków, a harcownicy umykali, gdy jeno pokazała się jakakolwiek siła krzyżacka. Zygryd spodziewać się mógł jedynie spotkania bezbron-

~ 412 ~

nych gromad zbiegów, złożonych przeważnie ze starców, kobiet i dzieci, ale na to właśnie polował.

Gdyby jednak miał doświadczenie, jakim się przechwalał, byłby może pomiarkował, że nie wszystko jest w lesie tak zwyczajnie. To zdrajczynie-sojki skrzeczały gdzieś na uboczu, przełatując z drzewa na drzewo, zaciekawione czymś, co się na ziemi działo. To kujący .opodal dzieciół przerywał nagle swe pożyteczne zajęcie i z niespokojnym a szybkim pogwizdywaniem

falistym swym lotem przecinał idącym drogę. To znowu spłoszony zwierz wpadał na nich z nagłą i w ostatniej chwili zmieniał kierunek swej ucieczki. Czasami nawet gdy przystanęli, oczekując powrotu pozostawionych w tyle ludzi i cisza była taka, że słyszeć było można niemal szelest kropel żywicy, skapującej z rozprężonych słońcem pni, bystrzejsze uszy mogłyby ułoić w głębi boru szelesty i jakby stapania grubego zwierzka, skradające się i ostrożne.

Komtur jednak nie zwracał na to uwagi przemy śliw u jać, czyby nie zawrócić w nietknięte jeszcze wojną okolice, gdzie spłoszona zrazu ludność mogła już powrócić do swych siedzib. Gdy cienie pni zaczęły się wydłużać, a nikogo nie spotkali, zawrócił ku południowi i dotarłszy o zachodzie do drożyny wiodącej nad Czarną Wodę, zatrzymał się na nocleg.

Beztrósko zezwolił rozniecić ogniska dla ochrony od komarów i przygotowania wieczerzy, a gdy knechci jęli susz rąbać i spragnione konie powiedli do wodopoju, sam ułożył się na uboczu, by wydychać dzienny skwar.

Zdjawszy hełm z uznojonego czoła komtur ani się spostrzegł jak usnął głęboko. Śnił mu się las i ciemność. Ale las był dziwny i ciemność niesamowita. Gładkie pnie, które macał rękoma przed sobą nie były okrągłe, lecz ociosane, jak belki. Nagle dotknął czegoś, co martwo ustąpiło pod ręką i powróciło bezwładnie. Wzdrygnął się: wisielec. Las składał się z szubienic, jedne puste jeszcze czekały na łup, inne obwieszane już były straszonym owocem. Było ich coraz więcej, napierały na Zygfyryda ze wszystkich stron. Zaczął szukać wyjścia, ale nie mógł znaleźć; chciał krzyczeć, ale głos zamarł mu w krtani. Na szczęście ktoś

s

~ 413 ~

żywy uchwycił go za ramię i jął nim potrząsać. Komtur ocknął się, zlany potem. Nad nim stał knecht mówiąc:

- Zbudźcie się, szlachetny panie. Dym zalatuje od rzeki.

Zygfyryd zerwał się. Natychmiast nakazał ciszę i wygaszenie ognisk, a sam udał się do wodopoju. Stał przez chwilę, pociągając nosem jak pies. Gdy powiew z zachodu szedł dołem, lekki, lecz wyraźny zapach żywicznego dymu zalechtał nozdrza komtura.

- Konie siodłać, obóz zwijać. Ruszamy - nakazał.

Rozkaz wykonano sprawnie i cicho i za chwilę, przebrnąwszy rzeczkę, oddział Zygfyryda zanurzył się w las. Zapadała już ciemność, ale zapach dymu, z każdą chwilą wyraźniej szy, służył za przewodnika. Po chwili poczuli raczej niż ujrzeli leśną ścieżynę, wiodącą niezawodnie do jakiejś osady, a wkrótce idącą w przedzie straż dała znać, że widać już poblaski płomienia. Wówczas komtur zatrzymał pochód i podzieliwszy knechtów na dwie części kazał im otoczyć obozowisko czy osadę z dwóch stron, sam zaś na czele gości podchodzić jął ostrożnie, konie polecając trzymać przy pysku, by nie rżały.

Tak posuwając się, sam dostrzegł po chwili światło. Ognisko musiało być duże, bo oświetlało korony wyniosłych sosen. Komtur lada chwila oczekiwał wrzasków, i nie widząc już potrzeby

ukrywania się dosiadł konia, gotowy do skoku. Ze zdziwieniem dojrzał nagle przed sobą knechta, który oznajmił:

- Wasza miłość! Nie ma nikogo.

Zygfyrd był jednak dość doświadczony na to, by zrozumieć, że wprawdzie obozujący mogli zbiec, zauważywszy nadciąganie nieprzyjaciela, ale mogła to również być zasadzka, a ognisko stanowiło jedynie przynętę. Bez namysłu kazał knechtowi ściągnąć pozostałych, sam zaś zwrócił się do rycerskich gości:

- Miejcie się w pogotowiu. Zdarza się, że zbóje zasadzki gotują, jako paści na lisa, ale nie mnie...

Nie dokończył, bo las zadrżał od krzyku. Komtur, wyjąwszy miecz, ryczeć jął potężnym głosem, by wśród nieopisanej wrzawy głos jego dotarł do knechtów:

- Do mnie!

"u 414 "w

Biały jego płaszcz znaczył się w ciemności jasną plamą. Ja-koż po chwili rozległ się tupot i z obu stron drogi nadbiegały cienie ludzkich postaci. Komtur krzyknął:

. - Stawać w sprawie i za mną.

Głos jego umilkł nagle i jasna plama płaszcza zniknęła, jakby ją kto zdmuchnął. Rycerscy goście zawrócili niepokojące się od wrzasków konie i ile jeno pozwalała ciemność pognali z powrotem, modląc się do św. Jerzego, by ich wspierał w tym trudnym przedsięwzięciu.

Zatrzymali się dopiero nad rzeczką, gdzie po dłuższej chwili nadciągać jęli rozproszeni knechci, ale w takim przerażeniu, że mimo rozkazów żaden zatrzymać się nie chciał, by czekać na swego wodza i towarzyszy. Trochę ich jeszcze dociągnęło po drodze do Swiecia, gdzie dotarli o jasnym już dniu.

Rycerze bez trudu ustalili między sobą, że komtura diabeł porwać musiał, bo zniknął tak nagle, jakby w ziemię zapadł, a tym sposobem najłatwiej wyjaśnić było, dlaczego z pola uszli bez walki. Od zwykłego rycerza trudno bowiem wymagać, by jak w pieśniach rycerskich, walczył z nieczystymi siłami. Za powrotem do domów będzie jednak można prawić o tym niewia-  
stom, zyskując zasłużoną chwałę, która wynagrodzi przebyty strach.

Marszałek jednak mniej był skłonny wierzyć na rycerskie słowo w nadprzyrodzone siły. Zgryzł się stratami i posłał silny oddział pod wodzą Bernera w poszukiwaniu zaginionych, z rozkazem bezlitosnego ukarania napastników.

Berner dotarwszy na wskazane miejsce zastał jednak tylko porozrzucane po lesie trupy knechtów, napoczęte już przez wilki, a po komturze jedynym śladem był płaszcz zakonny, leżący obok popiołów ogromnego ogniska, które już zdołały ostygnąć. Dopiero gdy jeden z ciekawszych grzebać jął w zgliszczach, z przerażeniem odkrył na pół zwęglone zwłoki, ani chybi komtura.

Owinąwszy je tedy w płaszcz, zawieziono do Swiecia, jako oczywisty dowód, że istotnie diabeł, porwawszy komtura, w rozniecony na zgubę chrześcijan przez nieczyste siły ogień gft.ci-

snął, a od płomieni ocalał jeno poświęcony i krzyżem znaczony płaszcz, i

Marszałek jednak najsurowiej o sprawie mówić zakazał, nie chcąc, by w czasie, gdy toczył się głośny w całym chrześcijaństwie proces templariuszy o stosunki z diabłem, mówiono, że krzyżackiego komtura zgubiła nieczysta siła, mająca widno do niego dostęp. Niemniej wieszania jeńców kazał zaniechać, tym bardziej, że brakło ochotników, by nowych łowić, a roboty przy grobli przyspieszać należało.

Krzych zaś o sprawę omal się nie rozszedł z Radochą. Gdy on bowiem jeszcze wycinał knechtów po drugiej stronie koliska, Radochą pojmwawszy komtura obdarł go ze zbroi, a poznawszy w nim głośnego z okrucieństwa Zygryda, związanego cisnął w ognisko bez zwłoki, choć chętnie by się nim pobawił. Lękał się jednak, że Krzych na to może się nie zgodzić i przewidywał słusznie, bo rycerz zwabiony potwornym, wyciem Zygryda nadbiegłszy wpadł gwałtownie na Radochę, wyrzucając mu nie-ludzką srogość i samowolę.

Nie nawykły do karności Radochą zrazu zmarszczył się, ale powściągnął się zaraz i tając uśmiech pod wąsem odparł:

- Radziej dziękować mi winniście, żem na wasze rozkazy nie czekał. Tym sposobem sprawa nie paskudzi waszej rycerskiej czci, jeno moją, zbójceją, bo pasa jeszcze nie mam.

- Ale sumienie jest jedno, chrześcijańskie.

- Wraz poznać, żeśta do murowanych kościołów na kazania chodzili. I jam ich słuchiwał, klejem się jeszcze matusinej zapaski trzymał. Ale w lesie mnie inak uczyli: nie ubijesz ty, to ubiją ciebie. Gdyby Zygryd mnie dostał, -to byśta dopiero mieli nad czym wydziwiać. Zresztą i swoje sumienie mam: biednych nie drę, słabych nie biję. Resztę mi Bóg odpuści, tedy i wy nie mata się o co sierzcić.

- Choćby i o to, że do mnie rozkaz należy. Chcecie przy mnie ostać, słuchać musicie.

Radochą zmarszczył się znowu, ale potem chytry uśmiech rozpozgodził jego twarz. Odparł:

~ 416 ~

- Juści będę. Gładko nam dotychczas szło, myślę że i dalej pójdzie. Żeby nie jeńce, nie byłoby się o co spierać. Nic nam po nich.

Spojrzał wymownie na swoich zbójów, wiedząc, że nic więcej rzec nie musi i ciągnął:

- O łup się przedsa nie poswarzym. Chceta, to wam nawet Zygrydową zbroję oddam, choć leży na mnie, jak ulał. Spójrzta, zali by kto zbója uznał we mnie? A dla was po prawdzie na nic. Łońskiego roku widziałem ci ja Krzyżaka, z którego by prawie na was była, jeno by się zapocić trzeba.

- Starczy mi kolczuga - burknął jeszcze nachmurzony Krzych.

Radochą nieznacznie jeno wzruszył ramionami. W walce nawykł szukać zysku, a jeśli Krzych nie żąda udziału, tym lepiej.

Wawelskie wzgórze - 27

XL

W kilka dni Krzyżacy ukończyli naprawę grobli i jęli tłuc niskie, drewniane ściany zamku z czterech stron. Polacy jednak odpowiadali zawzięcie, miotając z olbrzymich kusz tramy i głązy, przeszkadzając w budowie oblężniczych wież oraz ruszto- wań i osłon na tarany do łamania bram i częstokołów. Dwukro- tnie też rozbili i spalili zbudowane mimo przeszkód wieże, od- pierając uderzenia z wielkimi stratami dla Krzyżaków, przy nie- wielkich własnych i w serce obrońców zaczynała wstępować na- dzieja, że doczekają odsieczy i chwały zwycięstwa. Sprzętu nie brakło, żywności mieli zapas jeszcze na parę miesięcy i strach, jaki w załodze budziła zrazu potęga krzyżacka i sława ich wo- jennych umiejętności, ustąpił miejsca zapałowi i pewności sie- bie. Nawet małoduszni książęta kujawscy, Kazimierz Gniew- kowski i Przemko Inowrocławski, skłonni poprzednio na skutek gróźb krzyżackich do układów o wydanie zamku, nabrali du- cha, widząc przed sobą otwartą drogę powrotu do łask stryja. Gdy jednak Krzyżacy z kamiennym uporem gotowali dalsze uderzenia i oblężenie przedłużało się, tu i ówdzie wśród załogi podnosić się zaczęły szepty, że gdyby odsiecz przyjść miała, po- winna już nadejść, bez kresu bowiem bronić się nie można, a im zaciętszą jest obrona, tym większa będzie srogość, gdy w końcu Krzyżacy opór przemogą.

Zdało się jednak, że nareszcie nadszedł dzień, który zdejmie z oblężonych gniołący ich ciężar. Od świtu trąby grały w krzy- żackim obozie, ale jakoś inaczej niż zazwyczaj przed uderzeniem. Co żyło w zamku, nawet ci, co dopiero zeszli ze straży, wylegli na wały, patrząc w podnieceniu co się będzie działo. Uderzył\* ~ 418 ~

wszystkich, że na grobli nie było żadnego ruchu, choć dochodzą- ce z obozu odgłosy zdradzały ponad wątpliwość, że Krzyżacy szykują się do bitwy. •

- Chyba odsiecz przyszła - domyślał się nieśmiało ten i ów i czekali niecierpliwie, aż słońce rozproszy mgłę, zakrywającą krzyżacki obóz przed oczyma oblężonych. Dźwignęło się wre- szcie, spędzając tuman z rzeki i łągów. Rozległy się okrzyki, zrazu pojedyncze, przechodzące we wrzawę nieustanną. Prze- krzykiwano się wzajem, pokazując sobie coś na błoniach ku Przechowu, na których jakby kto iskry rozsypał. Na widok wojsk krzyżackich stojących w sprawie czołem od zamku nikt już wątpić nie mógł, że odsiecz nadeszła.

I starszyzna do ostatniego zjawiała się na wałach i stojąc przy bramie wiodła ożywione rozmowy. Zwiędła twarz Boguszy pro- mieniała radością. Widząc jak ruszają krzyżackie szyki zwrócił się do Zyry z Krupocina, podskarbiego i klucznika zamku:

- Każcie belki i gruz z bramy odwalić i klucze przynieście, by kłode otworzyć.

Stojący obok książę Kazimierz spojrzał na niego pytająco i niespokojnie. Sędzia zrozumiał spojrzenie i rzekł porywczo:

- Wždy nie będziemy patrzeć z założonymi rękoma, jak dru- dzy o nas walczą.

- Może by lepiej przeczekać jak się sprawy obróca - za- uważył Kazimierz, ale podniecony starzec odparł ostro:



- Nie pomóc swoim, co nam na odsiecz przyszli, haniebnie to i głupio. Róbcie, co kazałem - rzucił do Żyry.

Kazimierz zagryzł wargi. Choć był starostą pomorskim, w zamku nie on rozkazywał, ale mniemał, że sędzia mógłby z większym szacunkiem do niego się odnosić. Zwrócił się nastroszony do stojącego w milczeniu Jędrzeja Cedrowica, który nie raz się nad Kazimierzem użalał, że stryj go za nic ma, a żadnej nie dając pomocy troskę o Pomorze mu zostawił.

- Sędzia zamierza wyjść z grodu - mówił kwaśno - by się z Krzyżakami potykać. Wasze zawołanie chroni was od podejrzeń, że zajęczą skórkę macie pod zbroją. Praw-li jestem, że poczekać radzę, jak się sprawy obróćą?

~ 419 ~

- Nie - odparł Jędrzej, uśmiechając się złośliwie i drwiąco, a widząc zawiedzione spojrzenie Kazimierza, dodał :

- Czeakać nie ma na co. Tam ni tysiąca luda nie ma, nas, choćbyśmy wszyscy wyszli, ani drugie tyle. Wiadomo każdemu, że Krzyżakom ni w równej liczbie nie dostoim, tedy uderzać, gdy ich trzech na jednego z nas, to chyba po to tylko, by na niedobitkach do zamku wjechali. Mnie tam za jedno, nie 'moja rzecz, bom nie ja tu burgrabią. Zresztą koniec i tak będzie jednaki.

Sędzia odczuł zawiść w słowach Jędrzeja, że nie on tu wodzem, ale nie mógł zaprzeczyć, że była pewna słuszność w zdaniu bitnego i doświadczonego rycerza. Toteż, choć zapął jego przygasł, mruknął:

- Krzywousty zwykł mawiać, że wroga liczyć należy, gdy się go pobije.

Jędrzej zaśmiał się i odparł:

- Tedy myślę, że nas policzą. Nie utrudzą się tym.

Odwrócił się i odszedł. To, co mówił, mówił szczerze. Co myślał ponadto - taił. Chytry i nieufny jest Łokiet, że nie jemu powierzył dowództwo. Mimo młodego wieku Jędrzej wzięcie i powagę miał w kraju, zarówno przez swój wysoki ród i pokrewieństwa, "jak i wykazaną waleczność. Świecie zawierzono Boguszy, mimo że Gdańska utrzymać nie wydolił. Stary on i uparty jak cap!

Uparty był istotnie. Choć przyznać musiał, że wyniku bitwy nie przeważy, zjawił się wkrótce, przybrany do boju. 'Tarczę ze znakiem rodu - Brogiem - by mu nie zawadzała przewiesiwszy na łęku, z pewnym trudem wdrapał się na konia i łajaniem poganiał pracujących przy odwalaniu belek i kamieni od bramy. Gdy tym był pochłonięty, doszły go z góry okrzyki, ale tym razem nie radość w nich brzmiała, jeno żal i rozczarowanie. Bogusza zeskoczył z konia i sapiąc wspiał się na wał. Wzrok miał już nieco przygasły, tedy stanąwszy obok tczewskiego kasztelana Świętosława, trącając go niespokojnie zapytał:

- Prawcie, co widać.

~ 420 ~

- Cóż by - odparł kasztelan. - Nasi się cofają, jako jest słuszne, nie czekając aż ich Krzyżaki otoczą i wytną.

Zniechęcenie brzmiało w głosie kasztelana. Gdy podrażniony

Bogusza ręką po siwym łbie przejechał, Świętosław dodał:

- A czegożście się spodziewali? Że zniosą krzyżackie wojska i zdejmą z nas'obłężenie? Dobrze, że ich zabawią niemnogo, bo nam i chwila ulgi i lżej pomyśleć, że księżę Włodzisław nas całkiem nie poniechał, jako tu szeptają niektórzy.

- Kto śmie! - Twarz Boguszy poczerwieniała z gniewu i żyły mu wystąpiły na skroniach, ale kasztelan ciągnął:

- Sierdzić się nie ma o co, ani nawet dziwić. Któż bo tu ostatnią polską stopą na Pomorzu stoi? Wy, ja, Wojciech gdański, Wojsław pucki, Stefan chełmiński kasztelan, wszyscy bez swych grodów, jako i Jędrzej Gryfita, Stefan Pruszcz, czy Dobrosław z Jeżewa. Rycerstwo bez ziemi! I jakaż nas czeka nagroda? Wypnanie, jeśli gardła nie damy pod miecz. A zdrajcy przy majątnościach swych ostaną.

Gorycz zabrzmiała w słowach kasztelana. Przygnębiony Bogusza zapytał:

- Nie wierzycie, że się obronimy?

- Zyry lepiej zapytajcie, na jak długo zasobów starczy. Póki są, bronić się możemy, ale nie dłużej. Resztę sami sobie dopowiecie.

Boguszy zdało się, że kamienie, którymi z powrotem zasypywano bramę, wałą się na jego serce, przed chwilą jeszcze pełne nadziei.

Kilka następnych dni minęło na wypatrywaniu posiłkowych wojsk, ale nie ukazały się więcej, choć ruchy w krzyżackim obozie i wstrzymanie działań oblężniczych zdradzały, że Krzyżacy zajęci są walką gdzie indziej. Ale wkrótce ustały i te oznaki. Z niepokojem patrzyła załoga zamku na wzmożone znów przygotowania do uderzenia, gdy na grobli pojawił się konny rycerz w białym płaszczu z trębaczem. Bogusza wysłał zaraz Jędrzeja Cedrowica, by się wypowiedział w jakiej sprawie Krzyżak przyjeżdża i widać było jak rozmawiali, po czym poseł zsiadł z konia i obaj weszli do zamku. Jędrzej oznajmił sę-

~ 421 ~

dziemu, że wysłany przez krzyżackiego wodza zakonnik Albrecht von Braunschweig rozmowy z nim żąda i Bogusza polecił zaprowadzić go do wieży, gdzie tymczasem zwołać kazał starszysznę.

W przeciwieństwie do szorstkich przeważnie i grubych rycerzy zakonnych, Krzyżak dworny był w mowie i obejściu, choć z pańska pewny siebie i dumny. Mimo 'młodego wieku opanowany i obrotny w języku, twarz miał miłą, jeno w jasnoszarych oczach coś się czaiło podstępnego. Gdy Bogusza siadać go prosił, Krzyżak uprzejmym ruchem wskazał sędziemu, by pierwszy zajął miejsce. Gładkim zwrotem oznajmił pozdrowienia od marszałka i jego podziw dla męstwa Polaków, opierających się tak długo krzyżackiej przewadze. Księciu Kazimierzowi przypominał znajomość, choć w uprzejmości jego brzmiało coś takiego, że trudno było pomiarkować, dla kogo ta znajomość ma być zaszczytem. Potem patrząc na końce swych ciżem, jakby chciał ukryć oczy, zaczął:

- Żywiąc uznanie dla waszej stałości i męstwa, Marszałek

nie może jednak bez żalu patrzeć, jak w bezcelowych zmaganiach leje się krew chrześcijańska, a zwłaszcza krew zakonników, których żywot służbie Bożej i walce z poganami jest poświęcony. Odpowiadać za nią musi przed Wielkim Mistrzem i Kapitułą. Pomny też dobrodziejstw, jakich Zakon nasz od przodków i poprzedników księcia Włodzisława doznał, chciałby dalszemu rozlewowi krwi kres położyć i dawną przyjaźń i życzliwość wzajemną przywrócić.

Bogusza poczerwieniał i zbierał się widocznie coś odpowiedzieć Krzyżakowi, lecz ten ruchem ręki z uśmiechem poprosił, by mu nie przerywać i ciągnął:

- Wiemy, że jako to zazwyczaj bywa w niespokojnym czasie, niejedno zaszło, co gniewu może być przyczyną i nad czym boleje Marszałek, ale nie wypominajcie, gdy z oliwną gałęzią przyjeżdżam. Przeszłości ni Bóg nie odwróci, przyszłość jednak zależy od dobrej woli i chrześcijańskiego odpuszczenia wzajemnych win i krzywd. My wyciągamy rękę, na was spadnie krew, jeśli swojej umkniecie.

~ 422 ~ 9

- Czegóż żądacie od nas? Wždy wyście napadli, a my się jeno bronim, na rozkaz naszego pana. Odejdźcie, a krwi rozlanie skończy się i pewni być możecie, że was na waszej ziemi nikt nie zaczepi - rzekł Bogusza, sapiąc gniewnie.

- Tego pewni jesteśmy - Krzyżak wyprostował się dumnie. - Kto by po dobro Zakonu, Bogu poświęcone, bezbożną rękę wyciągnął, tego sam Pan porazi.

- Tego rozumieć mamy, że naszego nam bronić nie Iza, bo jako że to może być bez krwi rozlewu?! - wtrącił młody Dobrosław z Jeżewa.

Albrecht uśmiechnął się z lekceważącą dobrotliwością i odparł:

- Zda mi się zbyt zawiłą sprawa, czyją jest ta ziemia, a my obaj zbyt młodzi jesteśmy, byśmy się nad nią głowić mogli! Jam jeno prosty zakonnik i nie takie sprawy uładzić mi polecono. Alem słyszał, że Askańczycy prawa swe do Pomorza nam na sprzedaż ofiarowali. I jedno wiem, że jeszcze Mestwin, który panem był tego kraju, hołd im złożył i dzierżył je prawem lennym. Tedy powiem więcej: nie tylko my, maluczcy, ale nawet sam Marszałek i obecni tu Bogusza i książęta, jako pana krakowskiego namiestnicy, rozważać tego nie mamy prawa. Wielkiego Mistrza ino patrzeć, niech on to z księciem Włodzisławem rozważy, i jako między chrześcijańskimi panami przystało, wedle prawa i słuszności roztrzygnie.

Sędzia, który słuchając mowy Krzyżaka czerwienił się coraz bardziej, nie wytrzymał wreszcie i wybuchnął:

- Tedy chcecie widno, byśmy wam gród wydali, a potem panowie rozważyć mają, komu on przypadnie? Jedno wam rzekę: weźmiecie siłą - woła Boża. Ale go z dobrej woli nie wydam, jak tu stoję, bo nie dziecko-m, bym wierzył, że was co innego, niż siłą, przekona.

Krzyżak uśmiechnął się zimno i odparł:

- Nie wiem, na jaką siłę liczycie, która by nas przekonać

miała. Bo jeśli na odsiecz, to na próżno. Przysłał ci tu wasz pan wojsko pod rozperskim kasztelanem Jędrzejem i Michałem, sędzią sandomierskim. Niewiele tego było, mniej jeszcze odeszło, ~ 423 ~

a wraz z nimi i posiłki niezyczliwego sąsiada, Bolka Płockiego. Jeśli przeto na własne jeno liczyacie siły - bo myślę, że nie na tych paru zbójów, co nam więcej nie szkodzą niż giez koniowi - to bądźcie gotowi gardła dać, gdy słowem do was trafić nie można. Ale mniemam, że trafić nie mogę jeno dlatego, że nie-wprawny poseł ze mnie i mówię wiele, a niejasno. Marszałek żąda tylko jednego: ślijcie do pana waszego do Krakowa. Powtórzcie mu, co przedstawiłem i proście, by was oszczędzając na wydanie grodu się zgodził, do czasu, gdy sam z Wielkim Mistrzem sprawy uładzą. Książę wasz nad innymi władcami rozumem góruje, tedy Marszałek ani wątpi, że zgodzi się, a rozważywszy to, co Wielki Mistrz przedstawić mu zamierza, z praw swych do tego kraju roszczonych ustąpi, a tak zawarłszy słuszne pojednanie, uznany za dobrodzieja Zakonu wraz z przodkami swymi po wiek w modlitwach naszych będzie wspominany. Zda mi się tedy, że i naradzać się nad czym nie macie. Cztery niedziele daje Marszałek na porozumienie z księciem, a tymczasem rozejm będzie między nami, który - Bóg da - w wieczysty pokój i przyjaźń się zamieni.

Między obecnymi rozległ się szmer, a Albrecht podniósłszy nieco głos zakończył:

' - Ale nawet gdyby Bóg zdrowy sąd, którym księcia obficie udarzył, odebrać mu zechciał, to co wy stawiacie? Cztery tygodnie życia przed wami. A odmówicie, może i nie cztery dni. Marszałek postanowił skończyć - i skończy.

Wstał i dodał: ...

- O odpowiedź prosimy dzisiaj. Jutro 'mogłaby przyjść za późno.

Skłonił się nisko, ale z godnością i wyszedł. Narada istotnie nie trwała długo. Przeważało zdanie, że zmęczonym już ludziom zda się cztery niedziele wypoczynku, a i na czasie zyskać należy. Jędrzej Cedrowic jeszcze tegoż wieczora odwiózł Marszałkowi odpowiedź, o świcie zaś sam Bogusza z krewniakiem swym Niemierzą i dwoma pachółkami opuszczał zamek, by udać się do Krakowa. Serce miał tak ciężkie, iż dziw, że się koń pod nim nie ugiął.

~ 424 ~

- Mierzi mnie ten piżmem śmierdzący rycerz, bogdaj go z jego układnością! - mrucał do siebie. - Wolę ja już Krzyżaka, co stajnią cuchnie i miast oliwnej gałęzi miecz w garści dzierży. Przynajmniej wiem, czego chce.

Czego nie rozumiał prostoduszny rycerz, to mu wyjaśnił książę. Gdy Bogusza późnym wieczorem przybył do Krakowa i zajechał na zamek, panujący nad sobą zazwyczaj Łokietek aż naprzeciw nadchodzącego wyszedł i nie odpowiadając nawet na pokłon zapytał:

- Świcie wzięte?

- Nie, miłościwy panie. Ale w tej sprawie tu przyjeżdżam.

Opowiedział o krzyżackim poselstwie, a książę słuchał, marszcząc brwi. Gdy Bogusza skończył, Łokietek zapytał:

- I wyście uwierzyli, że te diabelskie mnichy krwi chrześcijańskiej jeno chcą oszczędzić?

- Nie. Jeno wszyscy mówili: zda się cztery niedziele wypocząć, a jakież podstęp w tym być może?

- Trudno odciętym od świata domyśleć się, co ci najchytrzejsi z chytrych knowają i nie to wam za złe poczytuję. Jeno

-Jako stary wojak sami powiedzcie: gdy po ciężkich zmaganiach dacie znużonym wypoczynek i nadzieję pokoju, zali potraficie zniechęconych do cięższych jeszcze zapasów poderwać? I sądźcie, że Krzyżacy też spoczywać jeno będą? A ja z Krakowa ruszyć się nie mogę, bo nie wiem, czybym wrócił. Zdrajca Muskata dziś przysięgę złożył, że diecezji nie opuści i knowań zaniecha, nazajutrz już go nie było i do legata do Preszburga skarżyć na mnie pojechał, że z Kościołem wojują. Szczęście to, że Jakub po mojej stronie oskarżeniu pozór prawdy odbiera, ale i tak nadania poczynić będę musiał, by Kurię dowodnie przekonać.

A tymczasem klątwa ciąży nade mną, lud się niepokoi, a wewnętrznym wrogom w to graj. Skoro patrzeć, jak Muskata na tej wodzie mleć pocznie. Pojechał ci w pościg za zdrajcą przechera jeden i zbójców na niego na Morawach nasadził, ale się wymknął szczywany lis. Krzyżacy już się z Luksemburczykiem ~ 425 ~

i Askańczykami zwąchali, tedy Kuria przeciw nim nie wystąpi, bo jej sprzymierzeńcy potrzebni, by Rzym odebrać. Nie stracą wrogowie tych czterech niedziel, przez które wy wypoczywać będziecie - zakończył z goryczą książę.

Sędzia siedział jakby obuchem w ciemną uderzony. Zerwał się i zakrzyknął:

- Zawiniłem, miłościwy panie, ale co wydołę, odrobień. Wracam do Swiecia, nie wydam go, póki pary w nozdrzach. Ciężkie to brzemie życie tylu ludzi wziąć na siebie, bo jeśli Krzyżacy gród wezmą, wytną nas, jako zagrozili. Ale już i gadać z nikim o poddaniu nie będę. Tak mi Boże dopomóż!

Zasapał się aż z podniecenia, a Łokietek rzekł dobrotliwie:

- Wierzę wam. A mnie tak Boże dopomóż, jako żadnych ustępstw nie poczynię, choćby mi tyle ziemi ostało, co pod nogami. Nie będą się przeniewierce nijakim pergaminem świadczyli, że im Pomorza ustąpił, gdy przyjdzie czas, że przy nas będzie siła. Pół wieka mi, a wiele już zmian widziałem. Bóg mi też w łasce swej dał następcę, a w końcu naród dłużej żyje od człeka. Wracajcie. Nie będę was łudził, że pomoc dam, bo sam od was czekam pomocy.

Bogusza wracał postanawiając, że radziej się w zwałiskach zamku pogrzebie, niżby go wrogom miał wydać. Ale biło mu stare serce, gdy w promieniach wrześniego słońca ujrzał z dala wieżę zamku w Świeciu. Przypomniał mu się zeszłoroczny powrót do Gdańska i to, co po tym nastąpiło. Gdy przeto zatrzymany przez krzyżackie stráže stanął przed Henrykiem z Trewiru, który zażądał stanowczej odpowiedzi, czy zamek bez walki wydany zostanie, stary uchytrzył się i odparł:

- Książę mi rzekł, że chętnie z Wielkim Mistrzem sprawę rozpatrzy, mnie zaś, jeśli wydołę, zamek trzymać kazał. A skąd mam wiedzieć, że wydołę, skórom od czterech niedziel tu nie był? Rozpatrzeć się muszę i ze starszyzną naradzić. Rozejm się kończy za dwa dni. Mamy czas.

- Mógłbym was jutro przekonać, że nie wydolicie, jeno tego właśnie uniknąć chciałem. Potrzebne wam te dwa dni by radzić -'radźcie. Pewnikiem wam postanowienie ułatwi, jeśli  
~ 426 ~

przypomnę, że na belce was obwiesić każe, jeślibym zamek siłą zajął. A i to wiedzieć winniście, że Zakon zakupił ten kraj od Brandenburczyków, stwierdziwszy ich słuszne prawa i w wilię Podniesienia św. Krzyża pergamin w Soldinie spisany został. Tedy pomnijcie, że zakonna to ziemia, na której kromie nas nikt do rozkazywania nie ma. Jedźcie tedy z Bogiem i niech was On oświeci.

Bogusza odetchnął, gdy się furta zamkowa za nim zatrzasnęła, choć pomyślał, że może już ostatni to raz. Stary był i zmęczony życiem. Nagabywany po drodze, opryskliwie odmawiał odpowiedzi na pytania i poszedł prosto do swej gospody na wieży. Jedyłą ulgą mu było, że nie ma tu syna Przezdrzewa. Może go już więcej nie ujrzy, ale nie będzie się syn wstydził za rodzica.

Żal ukąsił starego, ale go odegnał ze złością, jak napastliwego psa. Gdy zaś przybiegł książę Kazimierz i usłyszawszy z czym Bogusza przyjechał, utyskiwać jął na nieustępliwość stryja, sędzia rąbnął:

- Idźcie płakać nad sobą gdzie indziej. Mnie się spać chce. Zegnał się z życiem i nie zależało mu już na nikim.

Nazajutrz z rana zwołał starszyznę i krótko zawiadomił, że książę Włodzisław żadnych ustępstw w sprawie Pomorza Krzyżakom poczynić nie zamierza, a Swiecia bronić kazał, choćby jeden na drugim lec mieli. Gdy próbowano rozważyć sprawę, uciał:

- Nikt tu krom mnie, nic do gadania nie ma, bo imieniem pana mówię i ja przed nim za wykonanie rozkazu odpowiadam. Niemniej stropiło go, że niemal cała starszyzna szeptać jęła między sobą, rozchodząc się na wały, skąd widać było przygotowania krzyżackie do podjęcia walki. Poszerzoną groblę mocścili tarcicami, zamierzając widno tędy przypuścić główne uderzenie i przeprowadzić oblężnicze wieże, które stały już w gotowości, świecąc w słońcu świeżymi deskami. Na Czarnej Wodzie most na łodziach łączył z brzegiem nadsypany i poszerzony klin wyspy, skąd uderzenie na basztę przyjść miało. Krzyżacy  
~ 427 ~

nie stracili darmo czterech niedziel. Wszędzie roiło się od ludzi znoszących sprzęt i stawiających osłony.

Bogusza czuł, że uderzenie ma być ostateczne, ale spodziewał się też, że jeśli je odeprze, załogę nowy zapał ogarnie, a nieprzyjaciela zniechęcenie. Dni stawały się krótkie, noce zimne. Przyjdzie słotna jesień, podniesie wody, porozmywa ziemne roboty i wlec będzie można przynajmniej do zimy, któ-

ra rzadko zresztą skuwała wodę lodowym pancierzem; jeśli jeno żywności starczy!

Sędziaabrał Żyrę i poszli przeliczyć zapasy. Suszonego mięsa i kaszy było bodaj na pół roku. Trochę ludzi ubędzie, zresztą gdy walki ustaną, można żywność załodze ukrócić. Bogusza nabrał ducha i powiedział do Żyry:

- Niech nam jutro Bóg poszczęści, a może doczekamy wybawienia. Trapi mnie jeno, że starszyzna upadła na duchu. Tylko Jędrzej Cedrowic przygiąć się nie dał i jeszcze się jucha uśmiechać wydoli.

Żyra milczeniem pomiął pochwałę rycerza, którego nie lubił, odparł natomiast:

- O spyżę bym się nie troskał. Co będziem na rok naprzód /myśleć, skoro jutro niepewne. Ale powrozy do machin się kończą, a stare trzeba by wymienić przed jutrzejszą walką, bo strzępią się już i rwać się zaczną.

- Gdy Krzyżacy przestaną uderzać, wypoczną i maszyny - odparł Bogusza. - Ale oszczędzać ich trzeba. Liny namoczyć, to dłużej pociągną, a wymianę mieć pod ręką. ••

- Nie wiem zali i na wymianę do wszystkich wystarczy -- odparł Żyra i poszli razem rozejrzeć się. Do wieczora przeglądali każdy, ką, jak w domu przed weseliskim. Przed zachodem .\*\*<

zaś sędzia znużony, choć rad z siebie, zawołał Jędrzeja Cedrowic; wica i rozkazał:

- Jedźcie do Henryka z Trewiru z pokłonem i oznajmieniem, że grodu bronić będziem. Potem zaś nad strażą weźmiecie nadzór, bo znużonym i spocząć mi trzeba, nim się zacznie. Zbudźcie mnie dobrze przed świtaniem.

~ 428 ~

Jędrzej głową skinął z uśmiechem, a Bogusza, jeno się położył, zasnął twardo i spał kamieniem, aż zbudził go jakiś gwar i okrzyki. Otworzył oczy. Serca okiennic jasne były już od wstającego dnia. Sędzia zaklął i wyskoczył •/. łoża, wołając pachołka, by mu pomógł zbroję przywdziewać. Złorzeczył Jędrzejowi, że go obudzić zaniechał, przypuszczał wszakże, że coś mu przeszkodzić musiało. Gdy pachołek wpadł do izby, sędzia huknął:

- Raźniej nie możesz? Co się tam wyrabia? Gdzie Jędrzej Cedrowic? Niech mi tu migiem przyjdzie.

Widząc zmieszany wyraz twarzy pachołka, potrząsnął nim za kark.

- Mówże, niedojdo!

- Wybaczcie, panie! Rycerza Jędrzeja już szukali, ale należć nie mogą. Ani chybi to on powrozy do machin pociął i uszedł.

Sędzia jak ugodzony upadł na łożę szepcząc:

- Jezu miłosierny!

Potem zerwał się i pobiegł na wały jak młodzik. Wieść już się widno rozeszła po całym grodzie, bo wszystko było w największym zamieszaniu. Bogusza patrzył osłupiały na zwisające z machin strzępy lin i zapasowe, wyrzucone z kadzi gdzie mokły, pocięte na kawały nie dłuższe niż ramię. Stał bez ruchu, jak te

bezsilne już proce i kusze. Potem strasznym głosem ryknął:

- Zdrajca!

Zwalił się na ziemię, bełkocąc coś niezrozumiale.

Odniesionemu do łoża puszczone krew, ale nie czas się było nim zajmować, bo w krzyżackim obozie trąby już grały i spodziewane uderzenie nastąpiło. Gradem leciały ha zamek belki i głązy, łamiąc krokwie i dylowania, nadwierzając ściany, na dachy padały płonące kwacze, napojone smołą, t<sup>^</sup>ny tłukły częstokół, a z podsuniętych wież, których nie było czym rozbić, zamknięci w nich strzelcy wiele strat wyrządzali załodze. Sama walka jednak wśród wytrawnych wojów wprowadziła pewien ład i mimo wszelkich wysiłków krzyżackich na niczym spełzły próby wdarcia się do zamku. Wieczorem Krzyżacy cofnęli się poza zasięg pocisków, natomiast na grobli pojawił się herold  
~ 429 ~

z białą płachtą i podjechawszy pod bramę ręką dał znak, że przemówić chce do oblężonych:

- Marszałek Henryk z Trewiru, jeno miłosierdziem chrześcijańskim powodowany, zezwala każdemu wyjść z zamku z bronią i mieniem i udać się, dokąd zechce. Dotychczasowe nieposłuszeństwo zapomnieć przyrzeka i zapewnić ochronę, jaką cieszą się inni poddani Zakonu.

Wyczekawszy, aż ucichł szmer, jaki wszczął się między załogą, która zbiegła się niemal w całości pod bramą, Krzyżak ciągnął, podniósłszy głos:

- Kto by zaś z łaski i miłosierdzia skorzystać nie chciał, lecz w nierozsądnym uporze z mieczem w ręku prawowitym panom wstępu do zamku bronił, ten niech sobie przypisze, że jako buntownik przed bramą za szyję będzie obwieszony.

Wśród grobowej ciszy Krzyżak zawrócił i odjechał.. Tłum rozchodził się, ale już zaczynały się szepty. Posiew strachu i nieufności wzajemnej wschodził szybko, naradzano się po kątach, kryjąc się z tym wzajem przed sobą. Gdy zapadła ciemność, ten i ów zaczynał się wymykać. Starszyzna jeszcze usiłowała ująć załogę w karby, ale rozprzegło się wszystko. Po północy jawnie już uchodzący odwalili bramę, a o świcie wyjeżdżała przez nią starszyzna, z książętami na czele. Oni niemal radzi byli, że' sprawa rozwiązała się sama, bez konieczności powzięcia postanowienia, za które musieliby odpowiadać przed stryjem. Troską przejmowała ich jeno myśl, co się stanie z majątkościami, które zostawili na Pomorzu. Jechali do Orłowa, gdzie przebywała ich matka, księżna Salomea. Przywykli u niej zasięgać rady. Na razie ciężar spadł im z serca, gdy przynajmniej głów<sup>^</sup> całe wnoszą.

Reszta<sup>^</sup>tarszyzny, która wczoraj jeszcze gotowa była walczyć do ostatka, dziś już myślała, jak dalej żyć. Trzeba się uładować z nowymi panami. •

Mijając bramę kasztelan Stefan burknął:

- Hańba zdrajcy Cedrowicowi!

. Na to Wojciech gdański uśmiechnął się gorzko i odparł:

. ~ 430 ~

- Wczoraj hańba była. Dziś zaś przyznać musim, że nie je-



den wolał by na jego być miejscu. Zginąć jest łatwiej niż żyć. Pochód zamykali Żyra i Niemierza, podtrzymując pod ręce sędziego Boguszę, który ledwo na koniu się trzymał. Wczoraj tęgi jeszcze wojak, dziś był zgrzybiałym starcem. Z przekrwionych oczu na skurczoną i zmaląłą twarz lży kapały jedna za drugą.

Gdy minęli krzyżacki obóz, starzec zatrzymał konia i odwrócił się w stronę zamku, mrugając oczyma. Czerniałe blanki i stołb odcinały się wyraźnie od bladego nieba. Ale z czterech rogów wznosić się zaczynały czarne słupy dymu. Idący od Wisły powiew spletał je w górze, dołem rozszerzały swe podstawy, aż złączyły się razem i zakryły świecki zamek przed oczyma Boguszy.

Kujawskie rycerstwo wraz z książętami skierowało się na południe, z Pomorzan jednak coraz to ktoś oglądał się w stronę, gdzie pozostał dom. Pomorze jest dla Włodzisława stracone. Gdy raz pójda na wygnanie, nie będzie powrotu.

XLI

Jędrzej rad był z siebie. Jechał pod Nowe z pismem Marszałka do komtura, by nie czynił wstęptów zasłużonemu przyjacielowi w objęciu z powrotem obszernych włości nad jeziorami Czarnym, Łąkoszem i Radodzierzą. Z zadowoleniem myślał, że gdyby pojął Hannę, związałby się z Łokietkiem, który nie wiadomo, czy i w Krakowie się utrzyma. A ninie nie tylko ręce miał wolne, ale oddana Krzyżakom usługa wysunie go u nowych panów na czoło pomorskiego rycerstwa, zapewniając mu znaczenie, zyski i godności.

Dwumiesięczne zamknięcie w Swieciu zmęczyło go jednak. Z przyjemnością patrzył na rudziejące i łysiejące bory, które przez długi czas z dala jeno oglądać mu było wolno. Jelenie już ryczą, w jego posiadłościach sama ich dziedzina, a pora do łowów najlepsza. Poganiał też konia, rozkoszując się ruchem, powietrzem i słońcem. Promieniał, jak ono, z podziwu i wdzięczności dla samego siebie.

Chwilami jednak przez twarz przebiegała mu chmurka. Od sędziego Boguszy słyszał, że Krzych ciągnął na Kujawy. Żałował, że go w Swieciu nie było. Bez trudu byłby uzyskał od Marszałka, by Krzycha od wyjścia wyłączył i wydał Jędrzejowi. Świadomość, że nie zdążył pomścić się nad wrogiem, mąciła mu poczucie zadowolenia, a nawet wywoływała tajony niepokój. Starał się go pozbyć. Krzych mógłby się zjawić na Pomorzu chyba z wojskami Łokietka. Tego się Jędrzej nie obawiał i powrócił do pogodniejszych myśli.

W Nowem zatrzymał się jeno, by okazać komturowi pismo Marszałka i na południe drugiego dnia był ju7 w swym dworcu

~ 432 ~

nad jeziorem. Psy powitały go radośnie, bo i im tęskno było za łowami, ludzie - ze zdziwieniem, bo jeszcze się nie rozeszła wieść o wypadkach w Swieciu i nieprędko spodziewali się go ujrzeć.

Jędrzej nawet nie obejrzawszy domu, polecił na rano chłopów do przełaju spędzić i spożywszy obfity obiad, od jakiego

dawno odwykł w obleżonym zamku, rozmarzony jadłem i napitkiem poszedł pobaraszkować nad jezioro. Uczucie zadowolenia wzrastało w nim. Wieczorem stadninę przejrzał przy wodopoju, potem przygotowywał sprzęt łowiecki, a wreszcie spać poszedł. Z rozkoszą wyciągnął się na szerokim łożu, zasłanym biało wyprawną, chłodną i miękką skórą łosiową. W obleżonym grodzie sypiać musiał z kilku innymi wojami w ciasnej i dusznej izbie, na twardym i wąskim wyrku z desek; a gdyby nie to, co uczynił, leżałby już może pod zwaliskami zamku, lub w najlepszym razie jechał na wygnanie, pozbawiony mienia, między obcych, nieżyczliwych ludzi. Teraz zaś życie się przed nim ścieli gładkie i miękkie, jak łoże, w które wtulił się z rozkoszą i zasnął kołysany radosnymi myślami.

Spokój i cisza, od których odwykł od dawna, sprawiły, że zasnął. Naganiacze już dawno wyszli w las, a towarzysze łowów czekali przy zastawionym jak do uczty stole. Gdy im wyrzucać jął, że go nie obudzili, i spóźnią się na rykowisko, stary władarz powiedział:

- Niech się byki z łaniami jeszcze popasa. Miast im przeszkadzać, sami byście jakową przyhodowali. Zawždy milej, gdy ktoś czeka w domu, czy się z wojny wraca, czy z łowów.

- Przyjdzie i na to pora. Mam czas, jeno byki z godami nie czekają.

- Poczekają - odparł władarz. - Przesmyk między Czarnym a Łąkoszem sieciami kazałem obstawić i tam je pognamy. Już by też źle było, gdybyśmy wrócili bez jeleniego wieńca. Ale prawda, że i dziewczęcy wam nie ucieknie, choćbyście po księżęcą córę sięgnęli.

Jędrzeja ukłuło przypomnienie, ale zapomniał zaraz, gdy jeno dosiadłszy koni ruszyli. Kopyta rumaków strącały obfitą rosę

433  
Wawelskie wzgórze - 28

z traw, znacząc ciemniejszy ślad na roziskrzzonej milionami kropel łące pod borem. Wjechali w jego ciemne wnętrze, a psy pobiegły przodem z nosami przy ziemi. Zrazu widać było śmigające wśród krzaków i pni zwinne i ruchliwe plamy psiej sierści, ale zaraz stracili je z oczu i rozjechali się szeroką ławą, czekając by głośić zaczęły.

Tymczasem las stał cichy, bo ptactwo już odeszło i ścielił sobie łoże na zimowy sen spływającym bezszelestnie, głuszącym Odgłosy kopyt listowiem. Jędrzej jadąc samotnie słyszał jeno chrzęst rzemiennej uprzęży; czasem trzasnęła gałązka suszu, lub zaszeleścił liśćmi pomykający drobny zwierz.

Gdzieś daleko zagłosił pies, a za nim odezwały się inne. Jędrzej pchnął konia, gdy nagle zatupotało coś przed nim i spostrzegł jak słoneczne plamki migotają złotem po płowym cielisku uchodzącego jelenia. Jeleń szedł szybko, szumiąc porożem po gałęziach młodnika, które zasłaniały zwierza, ale zad migający chwilami białym talerzem zdradzał, że byk jest potężny.

Jędrzej wypuścił konia, na ile pozwalala gęsta drągowina.

Jeleń chwilami ginął mu z oczu, ale zmierzał ku przesmykowi, obstawionemu sieciami. Młodnik kończył się na niewielkim

wzniesieniu, spływającym ku jeziorom łączką, obrośniętą z rzadka chaszczami i tu myśliwy zobaczył zwierza w całej okazałości., jak gnał przesmykiem o podmokłych brzegach między grząskimi pasami trzciny i tataraku ku kępie krzów, za którymi winny być już sieci.

Jędrzej wparł konia za zwierzem w gęstwinę i ledwie zdołał go powściągnąć, by nie wpaść na kilku ludzi, stojących na niewielkiej łysince, dokoła leżącego na ziemi jelenia z oszczepem wbitym pod lewą łopatkę. Wziął ich zrazu za chłopów z przełaju i rozgniewany zakrzyknął:

•:•• - Ścierwa! Nie na łowy was proszono. Kto wam byka ubić pozwolił? . ,

Chwycił za drzewce, gotów tłuc, gdy do konia przyskoczył tęgi mąż w łosiowym kubraku i szczerząc wilcze zęby spod obwisłego, płowego wąsa, powiedział beztrzesko: ... , - ;

~ 434 ~

- Właśnie na łowy nas proszono, tedy zejdzta z konia, byśta nam nie przeszkodzili. - ,

Jędrzeja tknęło i przyjrzał się z bliska twarzy suchej, jakby przywędzonej, w której świeciły jasne oczy, zuchwałe i kpiące. Nie znał jej. Obcy byli również ludzie, którzy zrazu zaskoczeni, teraz zbliżali się, jakby chcąc się przysłuchać nadchodzącej zwadzie.

Jędrzej obyty był z niebezpieczeństwami. Gdy nieznamy powtórzył swój rozkaz, Cedrowic znieacka dzielił go drzewcem oszczepu w łeb i zdarłszy konia zawrócił na miejscu, lecz w teje chwili kupa zwała się na niego; wywlekli go z siodła i ręce związali powrozem.

Rycerz zaniechał daremego oporu, starając się odgadnąć w czyje wpał sidła. Mnóstwo uchodźców, których wojna pozbawiła dachów nad głową i plonów gospodarstw, szukało, póki ciepło, schronienia i życia w lasach. Nie brakło między nimi ludzi żadnego stanu, a trudno ich było rozróżnić od dawna żyjących z grabieży zbójów, których się również namnożyło w czasie bezładu, zwłaszcza że i z zakonnych ziem, gdzie tępieni byli bez litości, przechodzili na polską stronę.

Ci jednak, dostatnio odżywieni i odziani, nie wyglądali na zbiegów, ni zwykłych zbójców. Dobra, choć różnorodna broń, w której nie brak było i krzyżackiej, pozwalała Cedrowicowi przypuszczać raczej, że natknął się na jakiś oddział wielkopolskiego rycerstwa, które sprzyjając Łokietkowi, szukało zysków i przygód w zdobytych przez Zakon ziemiach,, łowiło po bezpiecznych lasach i powiększało zamęt w kraju.

Toteż gdy obalony poprzednio przez Cedrowica mąż zbliżał się ku niemu ze złym uśmiechem na pokrwawionej twarzy, Cedrowic rzucił z wyniosłą poufałością:

- Zdarzy się rycerskiemu człeku, że się na łowach w cudze lasy zapędzi. Niewielkie to przestępstwo i ujednać się można. Ale inna rzecz gospodarza na własnej ziemi pojmać; gardłem cuchnie taka sprawa. Tedy myślę, że gdyście mnie y/ nagłości pojмали, więzy mi zaraz zdjąć każecie, a ja w zamian zapomnę, żem was tu spotkał i swego dochodził nie będę. ; . .

"\*" .435 ~

Ze zdumieniem patrzył na przemianę, jaka na jego słowa zaszła w twarzy - jak mniemał - przywódcy gromady. Zły uśmiech zniknął. Nieznajomy rozpromienił się i klepnąwszy ręką po udzie śmiać się zaczął hałaśliwie:

- Ale ci się nam łowy udały! To wyśta Jędrzej Cedrowic .Gryfita?

Śmiał się, jakby w tym było coś ogromnie zabawnego. Jędrzeja ogarnęła złość zmieszana z niepokojem. Zmarszczył brwi i rzekł sucho:

- Zwykłem to imię słyszeć wymawiane z większym szacunkiem, tym bardziej skoro wiecie ktom jest. Z czego się radujecie? Kim wy jesteście, jakie wasze imię i zawołanie?

- Moje? Radocha. Nie wiem, czyta je słyszeli. Mało kto słyszy je więcej niż raz. Ktom jest? Zbój, a raduję się, gdy pomyślę, jako wy się ucieszyła, spotkawszy znajomka, który nie bacząc na nic, aże tu za warna przyjechał.

Cedrowic, choć niepokój jego wzrastał, udał, że bierze słowa Radochy za dobrą monetę. Odparł:

- Tedy pomyłka jakowaś zaszła. Rad gości widzę i myślę, że i wy wybaczycie, iżem was niezbyt gościnnie na swej ziemi powitał. Poręczam, że pod moim dachem nie będziecie na mą gościnność narzekać. Tedy ruszajmy, bo drogi szmat i nie wiem, czy na południe zdążymy.

- Kędy nam droga, nie zajedziem ani za dwie niedziele, tedy spoczniyta przed podróżą - odparł Radocha z kpina. Jędrzej zdrętwiał. Teraz był już pewny, że na niego polowano. Nogi ugięły się pod nim, gdy z chaszcz na łysinkę wyjechało kilku konnych, a w jadącym na czele poznał Krzycha. Radocha doskoczył do młodego rycerza wołając:

- Widzę, że wam tamci uszli. Ale spójrz-ta! Sam nam w rączki wpadł, jak dziecina, jeszcze byka nagnał. Trzeba go za zadnie nogi obwiesić i oskórować - myślę zwierza - bp tego zdrajcę już sam ksiązę ze skóry obedrzeć każe, a mnie z niej rycerski pas uczynić w nagrodę, żem go pojmał.

Radocha zaśmiał się znowu drapieźnie, a inni mu zawtórowali.

~ 436 ~

Siłą woli i nienawiści Jędrzej opanował się. Wszystko wołał, niż spojrzeć w chłodne i bezlitosne oczy księcia po tym, co uczynił. Na ściągniętej strachem twarzy zdołał nawet wymusić drwiący uśmiech i zwrócił się do Krzycha, który patrzył na niego w milczeniu swymi jasnymi o ciemnych obwódkach źrenic oczyma.

- Słyszałem, jakoście rycerzem i Hanny krewniakiem.

Dziękować wam winienem, żeście memu związkowi z nią przeskodzili. Wstydno swojakiem być takiego, co do zbójów przystał, by ich rękoma pomsty szukać na wrogu, gdy boi się własnymi.

- Nie on do nas, przystał, jeno my do niego - wtrącił Radocha. - Wojacy my tera nie zbijacy.

Jędrzej splunął pogardliwie i rzucił przez ramię:

- Wierę! Skoro patrzeć, a sami jeno tacy rycerze przy Łokcie ostaną.

Spoglądał kątem oka na Krzycha. Nie miał nic do stracenia, prócz nadziei, że zmusi go do walki. Ręce miałby wolne i miecz w nich. Może mu się nawinie jakiś podstęp. Liczył na porywczność i niedoświadczenie wroga.

Jakoż ujrzał, że utrafił, bo na jego słowa Krzych zacisnął szczęki i postąpił groźnie ku Jędrzejowi. Cedrowic wytrzymał rozognione spojrzenie i rzucił drwiąco:

- Przybędzie wam zbójckiej sławy,, gdy związanego ubijecie.

Krzych bez słowa sięgnął do pęt i zaczął je rozwiązywać, ale Radocha zakrzyknął:

- Szmatę do pyska takiemu lisowi, bo chce was w pole wywieść. Jeno głupi puści złowionego w kłodę niedźwiedzia, by się z nim zwodzić, miast okrzą bez łeb dać, skórę zedrzeć, • a ścierwo psom rzucić.

Ale Krzych jakby nie słyszał gadania Radochy. Rozwiązał ręce Cedrowica, który roztarł je i odetchnął. Pierwszy krok ku wolności był uczyniony. Drugi nie przedstawiał się tak łatwo; walki z przeciwnikiem znacznie górującym siłą, choć mniej wprawnym, wolałby uniknąć. Skłonił się i rzucił układnie:  
~ 437 ">-

- Wybaczcie, zem was o bo jaźń posądził. Jedźmy tedy do ' mego dworca, gdzie mam oręż i zbroję, i swoich świadków stawić mogę do walki, by wam nikt nie mógł zarzucić, jako nie po rycersku i nie po Bożemu się odbyła.

- Czegóż! - wrzasnął Radocha, zeźlony już. - Może do Nowego pojedziem, komtura waszego zapytać, zali wam potykać się zwoli? Mnie tu pierw pytać, czy ja zwolę, bo jeniec jest mój, jam go pojmał i żywego chcę odwieźć księciu, by mu za Świecie odpłacił, a mnie za niego. Potem możeta się bić - rzucił zawzięcie, zwracając się do Krzycha - jeśli będzie z kim... Urwał, bo znał już młodego rycerza i zamilkł ostrożnie.

Twarz Krzycha zdradzała, że bić się będzie z Jędrzejem, choćby miał wpierw ubić Radochę, a potem sam zginąć. I Cedrowic, którego obrotny umysł już począł pracować nad tym, jaką korzyść wyciągnąć może z tej zwady, poznał, że droga do wolności prowadzić może jeno przez walkę. Nie brakło mu sił ni doświadczenia, serce już miał w garści. Patrzył spokojnie, jak Krzych zdjawszy kolczugę, zwrócił się do Radochy z rozkazem:-

- Daj swój miecz Cedrowicowi.

Radocha nie ważył się odmówić i wręczył swój pręż pojmanemu, który potrzęsnał nim i odezwał się drwiąco:

- Szlachetnie to z waszej strony, że bez kolczugi walczyć chcecie, gdym i ja bez osłony. Jeno że miecz macie własny, zdalny do takiej walki, gdy obroty nim są jedyną osłoną, a ja mam się bić tym obcym drągiem, dobrym do łamania zbroi. Tania chcecie kupić zwycięstwo, widno pomnąc, że raz już was miałem pod nogami.

Ciemna fala krwi wystąpiła na pobladłą z zajadłości twarz Krzycha. Jędrzej już myślał, że przesadził i gotował się do

obrony. Krzych jednak opanował się i wręczając swój miecz Jędrzejowi a biorąc miecz Radochy powiedział przez zaciśnięte-wargi:

- Tedy obaj walczyć będziem obcym orężem. Czy jeszcze czegoś wam trzeba? •

Jędrzej, w którym prostoduszna wspaniałomyślność Krzycha budziła jeno lekceważenie, skłonił się i odparł:

~ 438 ~

- Widzę, że chcecie równej walki. Wy macie swoich za sobą, ja jestem sam. Niech mi nikt od pleców nie stoi, bym pewny mógł być, iż mnie zniemacka z tyłu nie ugodzi, jako to u zbójów bywa w zwyczaj, bo hańba na was by spadła.

Radocha chciał coś wtrącić, ale Krzych jeno ręką wskazał swoim, by odstąpili. Stary zbój domyślał się już, do czego zmierzają Cedrowi. Ujął oszczep w rękę i stanął z boku obojętnie na pozór, bacząc, co się dalej dzieć będzie. Gdy jeno pozostali odstąpili, Jędrzej zajął postawę i rzekł:

- Tedy gotowym. Zaczynajcie.

Stał skupiony i baczny. Gdyby się walka przedłużyła, musi przegrać. Postanowił rozstrzygnąć ją natychmiast. Jeśli uda mu się odbić pierwszy cios, uderzy przeciwnika po nogach i skoczy w jezioro. Znał swoje wody jak własną rękę, a szukać go długo nie mogą, bo zbiegli towarzysze nie omieszkają sprowadzić wkrótce pomocy. W napięciu czekał, by Krzych uderzył.

Ale Krzych miał już za sobą doświadczenie pierwszej walki z Cedrowicem i nie lekcewał go. Zebrał się w sobie i bacznie śledził ruchy przeciwnika. Cisza zapanowała, jeno gdzieś w szuwarach pokwadały kaczkę i patrzący sapali głośno z podniecenia.

Napięcie stawało się dla Jędrzeja nieznośne. Postąpił krok i cofnął się natychmiast, chcąc przeciwnika za sobą wyciągnąć. Ale Krzych jeno się przyniżył i zebrał do ciosu. Jędrzej, który liczył na jego zapalczywość, poznał, że się pomylił. Z miejsca zmienił zamiar. Przysiadł jak do skoku i nagle zawrócił i puścił się ku gęstwie trzcin na brzegu.

Krzyk uderzył w las i poniósł się po jeziorze. Ilu ich było skoczyli za uchodzącym, ale nim zniknął w ścianie szuwarów, dopadł go oszczep Radochy, przewiercił plecy i wyszedł mu przodem. Ugodzony padł twarzą w przybrzeżne błoto i wił się jak robak na szpilce, ale gdy go zawlekli przed Krzycha, uspokoił się już. Radocha przydepnął plecy trupa i wyciągając oszczep mówił:

- Tak ci to po rycersku i po Bożemu chciał was jak głupca ostawić. Tyle nama z tego, żeśwa czas zmitrężyli; uchodzić trze-

~ 439 ~

ba, bo nas poścignąć mogą, a bawić się z nami nie będą, jako wy z nim. Zaś księciu co przywiezieni? Chyba uszy obetnę, na znak, że karę już otrzymał. Tanio się wykpił!

- Ostaw! - fuknął Krzych gniewnie. - Za jedno mi czy księżę wiedzieć będzie lub nie.

- Ale mnie nie za jedno. Po to skórę stawie,, by z tego coś mieć. <

Krzych nic nie odrzekł, jeno podszedł do konia i dosiadłszy go rozkazał:

- Za mną!

Ruszył przodem nie czekając. Chmurny był i zadumany. Myślał nad tym, czy gdyby pomsty sam dokonał, doznałby ulgi. Bo ninie żadnej nie odczuł.

Radocha na własną rękę jeńców obedrzeć kazał i zostawił związanych, po czym ruszyli za Krzychem; i on nie był zadowolony. Jadąc mruczał do towarzyszy:

- Na ręce bym się z rycerzem Krzychem pomieniał, ale na głowy nie. Widno to rycerski obyczaj, dać się za nos wodzić. Choć Cedrowic chytry był, jeno na mnie za mało. Ale nie ma z czym jechać do onego Krakowa. Co my też teraz robić będziemy? Zda mi się, że sam Krzych nie wie.

Krzych istotnie nie wiedział, co dalej poczynać. Wojna na Pomorzu była skończona, nadchodziła słotna jesień, zmuszając do szukania dachu nad głową dla ludzi i koni.

XLII

lu-zych z niechęcią myślał o powrocie do swego dworca nad Tonczyną. Nie było tam co robić, a obecność-Terki przejmowała go niepokojem. Nie wierzył, że jeno starości przy nim chce dożyć. Natomiast zasługi, jakie na wojnie położył, pozwalały się spodziewać, że go księżę przywróci do łaski i zaufania, a i w Krakowie musiało się coś chyba zmienić i może tam będzie mógł pozostać. Radocha gorąco poparł myśl wyjazdu do Krakowa, bo ochotę miał ujrzeć sławne miasto i u samego księcia o nagrodę się upomnieć.

- Kupcy tam bogaci, jako słyszałem - mówił -aż Łoktem pono koty dra, tedy i na nich obłowić da się, a tu ciepło będzie, choć zima idzie. Póki wojna, można tańcować z Krzyżakami, ale oni inni skoro wszystko w karby wezmą, że się i wilk pod n<sup>^</sup>mi trudno uchowa. A na Kujawach cóże robić będziemy? Wy nie pójdzietą po gościńcach zbijać, a i mnie nie przystoi, skoro rycerzem chcę ostać. Jedźwa do onego Krakowa.

W powrotnej drodze Krzych jeno na noc zatrzymał się w swym dworcu, gdzie pieszych ludzi ze swego pocztu i nazbieranych uchodźców z Pomorza zostawił, z Radocha zaś i konnymi ruszył słotnym porankiem na Brześć. Kundzi już nie zastał i nie taił przed sobą, że woli ujrzeć ją w Krakowie wśród innych znajomków.

Zarówno jego, jak Radochę, spotkał jednak zawód. W Grabiach natknęli się bowiem na sędziego sandomierskiego Michała, który już poprzednio posiłki wodził pod Świecie, a ninie z odrobiną sandomierskiego rycerstwa wysłany był przez księcia na straż kujawskiej granicy. Szczególnie przeszkadzać miał

~ 441 ~

Krzyżakom by się przez Kujawy z Czechami i Śląskiem nie znosili. Na Kujawach zamęt był, bo już się płochliwsi znad granicy zabierali i sędzia nie wiedział, jak się wziąć do powierzzonego zadania. Toteż Krzycha, o którym jeszcze w Krakowie, a później na Pomorzu dużo słyszał, powitał z ulgą i zaraz na wstępie rzekł:

- Książę miał już o tobie wiadomości od kasztelana Jędrzeja, jeno nie wiedział, gdzie cię szukać, dlatego mnie granicy strzec kazał. Ale skoroś się znalazł, to już tobie to ostawię. Spokoju tu nie będzie, bo Krzyżacy jawnie państwo swe urządzają. Wielki Mistrz już zjechał do Malborka na stałe, dotychczasowy Landmistrz von Plotzke Komturem Wielkim ostał. Chciał, było, od księcia prawa do Pomorza kupić. Widno sami nie wierzą w te, co od Brandenburczyków nabyli. Jeno że im książę odrzekł, iż gdyby jeden dech jeszcze ostał mu w piersi, nie zgodzi się. Wtedy Krzyżacy za swoją pomoc zażądali sto tysięcy grzywien, na kpiny chyba, bo wiadomo jak pomagali, a i całe Pomorze tyle nie warte. Juści, że książę nie zapłacił, bo ani chce, ani może i wojnę zagroził. Nie wiem, zali dobrze uczynił, bo sił nie ma, zaś Krzyżakom pergaminu jeno trzeba, bo Pomorze i tak w garści dzierzą i nie puszcza. Choć kto wie? Niejedno już Łokiet uporem wskórał i znają go widno, bo Wielki Mistrz nie bierze tego lekko, skoro zarządził modły, by Bóg wojnę z Łoktem odwrócił. Nie jego się boją, jeno uporu i chytrności. Dziś Kuria przez palce na nich patrzy, bo nie chce narazić się Luksemburczykowi, z którym są w przymierzu, a jutro skasować go może, jak templariuszy, bo wiadomo w całym świecie, jak sobie w Gdańsku postąpili. Będzie z nimi wojna, nie twoja rzecz ich trzymać, ale ninie najważniejsze, by się wrogowie nie znosili z sobą.

- Tedy co mi poczynać? - zapytał Krzych. ^

- Cóż ci mogę rzec? Może się książę do wiosny z Muskaj i mieszczanami upora, tedy ani chybi sam tu przyjdzie. A zaś do czasu poczty łowić trzeba, które będą szły z Torunia przez Kujawy. Mogą iść albo borami na Gniewkowo, albo Wisłą od Otłoczyna, a mogą i bezdrożami, gdyby zima bagna ścięła. Zbójcka to sprawa takie łowy, ale to wszystko, co ninie czynić  
~ 442 ~

można. Bez osłony też ni poselstwa, ni kupieckie poczty iść nie będą, tedy nie taić, że niebezpieczna to robota, ale obrotnyś, kraj znasz, a łaskę księcia zyszczesz i na łupach wzbogacić się można. No cóże? Podejmiesz się?

Krzych czuł, że do tego nadaje się lepiej niż inni, bo i ziemie jego leżały w pośrodku możliwych przejść, ale coś go wstrzymywało. Odparł:

- Do Krakowa jechać umyśliłem, ale mam człeka, który się rad podejmie, a zdatniejszy do tego niż ja, bo z dawna po drogach poluje.

Sędzia zmarszczył się nieco i rzekł:

- Tedy rozumiem, że to zbój jakowyś. Juści książę nie odrzuca i takiej pomocy, ale przecie ktoś w karbach trzymać ją musi, bo bez przebierania łupić poczną, lepiej zbrojnych i liczniejszych pocztów unikając. Nie chcesz ty, to ja ostać muszę. A onże człek gdzie?

- Zaraz go przywołać każę.

Pachołek poszedł po Radochę i rozmowa nie kleiła się, bo sędzia widocznie za złe miał Krzychowi odmowę. Krzych również nie był z siebie zadowolony. Znajomków odwiedzić może



w parę niedziel, poza tym nie miał co robić w mieście. By coś powiedzieć, zapytał:

- A jako że tam w Krakowie?

-. Gerlacha nie masz, bo w jawnej już wojnie z księciem.

W Lipowcu siedzi, który wbrew umowie księcia z Muskała trzyma i rodzinę tam zabrał. Jeśli ci o to idzie, nie masz po co jechać do Krakowa - dodał zgryźliwie.

Krzych umilkł, a w tej chwili nadszedł Radocha. Wystuchawszy czego żądano od niego, pokręcił węża i odparł:

- Anim ja ścierciałka, ani najmita. Z rycerzem Krzychem społem wojowaliśwa, bośwa się dobrali. Ale mi pana żadnego nad sobą nie trzeba, by za niego trudy znosić, a łupami i zasługami się dzielić. Po gościńcach nikt ode mnie lepiej łowić nie potrafi, a takim dobry, jak każdy inny i pas ani chybi dostanę, choćby za to, żem Jędrzeja Cedrowiea pojmał i, ubił. ;'s

•<- '443 ^

Sędzia, który słuchał słów Radochy ze zmarszczoną brwią, teraz zaciekawiony zapytał:

- Jędrzeja ubiłeś? Książę za jego głowę iście nagrodę wyznaczył. A któż to zaświadczy?

- Jako tu stoję. Nawet mu uszy obciąć chciałem, by je jako lico okazać, ale świadków nie brak, choćby i sam rycerz Krzych, co go mało z ręki nie wypuścił. W bitce bo twardy i na-  
• pastliwy jest, ale z brańcami pieścić się lubi.

Sędzia jął wypytywać, a gdy Radocha skończył, rzekł:

- Śmiali z was ludzie i takich tu właśnie trzeba.

Zwracając się zaś do Krzycha dodał:

- Sam widzisz, kto się tu lepiej nada, ja czy ty. Nie ostanieś z dobrej woli, to ci książę nakaże. Ja w tym, bo mocno wierzę, że społem wojując nie przepuścicie nikogo.

- Juści, że nie - odparł Radocha z przekonaniem - chyba że powietrzem latać będą. Znam takich ludzi po kępach i na pobrzeżu, co doniosą o każdym poczcie, który przejdzie Wisłę. Zarobili już ode mnie, kiedym jeszcze na prawym brzegu siedział, tedy radzi pomagać będą.

- Ostaniesz tedy? - zapytał sędzia Krzycha.

- Co mam czynić? Ostanę - odparł Krzych niechętnie.

Trudy i niebezpieczeństwa raczej go pociągały, ale tkwiło w nim jakieś złe przeczucie. Natomiast Radocha zadowolony był. Pokręcił obwisłego węża i rzekł do sędziego:

- Tedy wy pewnikiem wrócita do Krakowa. Rzeknijta księciu co i jak i że nijakiej nagrody n"e chcę, kromie rycerskiego pasa. Co rycerzowi trzeba, wszystko mam, a na wojennym rzemiośle wyznam się lepiej niż wojewoda kujawski.

Sędzia uśmiechnął się i odparł:

- Niejeden i z chłopskiego stanu za męstwo pas otrzymał i nadania na rycerskim prawie. Pewnikiem i tobie książę nie odmówi, jeno się spraw.

- Z pasem jeszcze bym się lepiej sprawił. Gdy mnie w bitce opasanego obaczą, tedy każdy żem pasa przecie darmo me dostał pomyśli [ serce w nim upadnie. Prosta księcia, żeby za-  
i^f 444 ^

raz słał, a będzie spokój, to zjedziem do Krakowa i w samej stolicy, w kościele książę mnie opasze, jak przystoi.

Krzych, choć pozostał niechętnie, do pracy wziął się gorliwie. Ile dusz miał w swych majątnościach, wszyscy walili drzewa na przesiekę wzdłuż leśnej granicy; dworzec otoczył przekopą, nawadnianą z Tonczyny, wał umocnił częstokołem i wystawił basztę z blankami, na której stała straż. Nie wątpił bowiem, że Krzyżacy wnet się spostrzegą, skąd idą napady i zechcą zniszczyć ich gniazdo. Radocha zrazu ramionami wzruszał uważając, że lepiej trzymać po kilku wojaków w niedostępnych miejscach, skąd łatwiej kraj przepatrywać. Ale gdy raz doniesiono mu o silnym poczcie dopiero, gdy ten minął Gniewkowo i gdy ścigając go omal życia nie zbył i ludzi nie wytracił nim Krzych walkę rozstrzygnął, dopadłszy ich dopiero na wielkopolskiej granicy - uznał, że nie czas zbierać po lesie siły gdy pilnie potrzebne. Od tej pory Radocha nie próbował już podejmować walki na własną rękę, jeno czujnie baczył na przeprawy i przejścia. Tym sposobem dwakroć z zasadzki wygnietli silne poczty idące z Torunia, nikogo nie żywiąc, bo nawet rannych Radocha podobijał. Kiedy mu Krzych z tego powodu czynił wyrzuty, wyjaśnił, że gdyby któremuś z jeńców ująć się udało, zdradzić może ich siłę i na niebezpieczeństwo narazić, a zresztą póki pasa nie ma, wojować może po zbójceku.

Krzyżacy wrychle pomiarkowali, że nie zbóje to zwykli, którym o łup i zysk jeno chodzi, na drogach poczty napastują, boby jeńców dla okouu brali. Sił też domyślali się znaczniejszych i komtur von Schwarzburg postanowił zgnieść je, by drogę przez Kujawy otworzyć. Zażądał przeto posiłków z Chełmna i zmówił się, by wciągnąwszy przeciwnika w zasadzkę wspólnie uderzyć i zniszczyć go do szczętu. Czekali jeno sposobniejszej pory, bo jesienne szarugi rozmiękczyły drogi, utrudniły przeprawę, a długie i ciemne noce nie pozwalały swobodnie poruszać się w obcej okolicy. Tymczasem więc wstrzymali tylko wszelki ruch przez Wisłę i mimo iż Radocha nie ustawał w objazdach, o żadnym poselstwie przez dłuższy czas nie było słychu. Krzych zaczął już przypuszczać, że Krzyżacy, zniechęceni

"•" 445 ~  
bezsuktecznymi próbami, poniechali krótszej, ale niebezpiecznej drogi przez Kujawy, lecz Radocha węszył coś w tym spokoju. Gdy zaś po Godach przeszły śnieżyce, a potem mróz skuł drogi i rzucił lodowy most przez Wisłę, rzekł do Krzycha:

- Gdybym ja miał tędy poczet przeprowadzić, ninie bym to uczynił. Ku pełni się ma, noce jasne jak dzień. Wisłę przejdzie wszędy i znaczniejszą siłą, a upilnować trudno.

Krzych nie zaprzeczył, tym bardziej, że znowu zaczął go dręczyć niepokój. Gdy Radocha podjął objazdy po okolicy i zaufanych osadnikach, Krzych czynił przygotowania, jak do walnej rozprawy. Połowie ludzi dzień i noc nakazał stać pod bronią, a konie trzymać pod siodłami, kilku konnym polecił objeżdżać leśną granicę bez przerwy, a innych wysłał pod Nieszawkę i Złotorię, by od krzyżackiej strony dawali baczenie.

Z Terką Krzych niemal nie mówił, a i widywał się z nią

rzadko. Gdy Krzych zbierał się już do wyjazdu, stara wyszła ze swej komory i przypatrywała się przygotowaniom. Noc zapadała i pełny księżyc rozświetlił okolicę, aż iskry grały na zmarniętym śniegu. Krzych kazał sobie konia podać i przybierał się do wyjścia. Stara zapytała:

- Bitka będzie?

- Nie wiem - odparł Krzych. - Ale wy możecie spać.

- Nie mogę - odparła. - Coś mi spać nie daje. A usypiam, to zmora mnie dusi, aż mi serce podchodzi do gardła. Ostałbyś! W głosie jej była prośba, jakiej nigdy Krzych nie słyszał\*  
Choć zniecierpliwiony, nie miał serca Terki ofuknąć, jeno powiedział:

- Cóże ja wam pomogę? Rano poślę do wsi po babę znającą, by wam jakich ziół na sen uwarzyła. Zaś ze wszystkim lepiej by dla was było do Krakowa jechać. Widzę, że pieczy wam potrzeba, a ja jej nie dam. I co wam szukać między wojakami? Spokoju tu nie będzie.

- Pojąłbyś Kundzię, odmieniłoby się-- napomknęła niespodzianie.

- Sama pora na swaty - odparł opryskliwie. - Życzę jej dobrze, ale niech swego szczęścia gdzie indziej szuka, bo przy ~ 446 'v

mnie go nie najdzie! Ani przy was - dodał porywczo. - Spać idźcie.

Krzych oczekiwał zgryźliwej odpowiedzi, ale stara patrzyła na-niego w milczeniu. Zdało mu się, że chce coś rzec. Może by mu wyjawiała to, co czuł, że kryje dotychczas. Ale już nie pragnął wiedzieć. Po śmierci Jędrzeja na-brał przekonania, że nie zmieni się w nim nic. Krzyżackie okrucieństwa, którym się natrzył, wzniciły w nim nienawiść, a powszechna trwoga, jaką budzili - zaciętość. Zarazem wzrastał w Krzychu podziw dla księcia, który zewsząd naciskany i szarpany, ugiąć się nie daje. Zaczynał rozumieć do czego zmierza Włodzisław i czuł, że idąc z nim, nie błąka się bez celu, jak ongi. Wstrząsnął się na wspomnienie, że stanąć przed nim musiał jako przeniewierca. Wtedy ze wstydu chciał życia zbyć. Teraz skłonny był je poświęcić..  
Jadąc bezlistnym borem, którego pnie rzucały błękitnawe, zawikłane cienie na roziskrzoną księżycowym światłem biel śniegu, rozmyślał, starając się zapanować nad wewnętrznym niepokojem. Cóż mu się może gorszego niż śmierć przygodzić? Patrzył jej w twarz już nieraz. Nie pragnął jej, ale się nie lękał. Spokój jednak, jaki był dokoła, nie wskazywał, by węż starego zbója prawdziwy ślad zwierzył. Krzych popędził konia. O północy winien dotrzeć do Nieszawki i wysławszy stamtąd wiadomość wrócić leśnym szlakiem na Gniewkowo. Tak się zmówili z Radocha, który pociągnął ku Wiśle i miał zawrócić lasami na przełaj.

Granica lasów dzielących Pomorze od Kujaw była już niedaleko. W pogodny dzień z niewysokich pagórków można by już widzieć wieże Torunia. Teraz śnieżna płaszczyna zlewała się poszarpaną linią z ciemnym niebem nocnym. Krzych spojrział na nie; gwiazdy wskazywały północ.

. Już miał nakazać Unikowi, który się z nim na objazd wprosił, by wracał do dworca zawiadomić Radochę, że nie ma żadnego ruchu po krzyżackiej stronie, gdy nagle w głuchoj, dzwoniącej w uszach ciszy uderzyły go jakieś odgłosy. Zeskoczył z konia i ręką nakazując towarzyszom milczenie podszedł na otwarty skłon pagórka. Gdy umilkł szmer powodowany przez

~ 447 ^"  
konie, odgłosy stały się wyraźne. Z największą ostrożnością posuwał się w ich kierunku wiedząc, że może natknąć się na krzyżackie straże, bacznie bowiem pilnowały granicy. Wyteżył oczy i uszy. Coś błysnęło raz i drugi na śnieżnej płaszczyźnie, jakby księżyc przejrzał się w żelazie. Potem zza niedostrzegalnego wzniesienia wysunął się jakiś ciemny kształt. Księżyc zachodził już i cienie rozpełzały się po śniegu, ale jadący byli tak blisko, że niemal mógł ich policzyć. Jezdnych było do dwudziestu, jechali w milczeniu, jeno zmarznięty śnieg skrzypiał pod kopytami rumaków; czasem zaszczekało żelazo i światło zagrało na nim. Na czele jechał samotna rycerz w białym płaszczu. Zmierzali ku południowemu zachodowi i wkrótce zniknęli w lesie. Krzych skoczył do swoich. Unikowi kazał jechać z sobą, pozostałym trzem towarzyszom iść śladem krzyżackiego oddziału. Parł konia, by zabrać ludzi i zdążyć zabiec idącym, zanim wynurzą się z borów na Kujawach.

Gdy dopadł bramy swego gródka, strażnik, nim otworzyć ją zeszedł, zawołał:

- Właśnie po was Radocha posłańca pchnął pod Gniewkowo, a sam wyszedł z ludźmi, nie będzie ni pięciu pacierzy. Spory poczet kupiecki ciągnie od Wisły na Grabie, wozów z dzieściami, ludzi kilkunastu, zbrojnych jak na wojnę. Myśli na nich zasiać u przeprawy przez Tonczynę.

Krzych bez słowa zawrócił i ruszył śladem Radochy. Księżyc już zaszedł i zapanował białawy mrok. Mróz zelżał i niebo zaczynało zaciągać się oparem, przez który z rzadka jeszcze przeświecały gwiazdy. Unik kilkakrotnie zsiadać musiał z konia, by szukać śladu, bo miejscami śnieg był zwiany. Krzych niecierpliwił się. Gdy wjechali w las, zsiadać musieli z koni, ale wkrótce zajaśniała polana, a na jej skraju dostrzegł ciemną kupę. Odetchnął. O parę stają ku południowi zaczynał się znowu las, za którym leżało już Grabie. Widocznie Radocha tu spodziewał się ciągnącego pocztu.

"  
Jego samego jednak nie było, a do Krzycha przystąpił Pizło wyjaśniając, że w tym miejscu Radocha przygotować zamierza zasadzkę. Miejsce było dobre, bo polanę z trzech stron las zamy-

448  
kał, z czwartej zaś rzeczka o stromym brzegu przeciwległym, tak że nawet gdyby się napadnięci na czas spostrzegli, trudno by im było z wozami zawrócić. Krzych nie mógł za złe poczytać Radosze, że siły zabrał, nie wiedząc o ciągnącym z północy orszaku. Teraz trudno było coś zmienić. Walka z kupieckim pocztem nie powinna trwać długo. Mieli przeciw nim do trzydziestu pieszych wojów i kilkunastu konnych. Krzych namyślał się, czyby od razu nie zabrać jezdnych i nie zaskoczyć drogi idącemu na

Gniewkowo orszakowi, ale postanowił zaczekać na Radochę, by z nim sprawę wyjaśnić. Pizło zapewniał, że Radocha zaraz wrócić winien, pojechał bowiem jedynie sprawdzić, czy poczet idzie w zasadzkę.

Krzych czekał jednak jak na węglach. Wolno idący poczet kupiecki dopaść można było później. Na wschodzie niebo już szarzało, nim dognają tamtych, będzie biały dzień. Czeka ich nierówna walka, bo piesi nie nadażą na czas. Żał było Krzychowowi wypróbowanych ludzi, ale ani na chwilę nie pomyślał, by poniechać krzyżackiego orszaku. Zrobi, co wydoił.

Na szczęście w tej chwili Radocha ukazał się na skłonie pagórka i za chwilę był przy nich. Na widok Krzycha plasnął się w udo i rzekł z zadowoleniem:

- Dobrze, żeśta są. Jako ryba w matnię idą. Grabie chcą ominąć, by ślad nie pozostał, a na południe oparzeliska są nad rzeką i daleko by objeżdżać musieli.

Chciał mówić dalej, ale Krzych przerwał:

- Gniewkowskim szlakiem silny, poczet idzie. Jeśli się tu zabawimy, ujdą nam. Tedy ja skoczę ku nim z konnymi, bo na kupców reszta starczy. A skończycie, nie bawić się łupem, jeno ku nam co duchu, bo ciężko być może!

Radocha umilkł i nad czymś dumał. Potem powiedział:

- Ostańta lepiej. Cuchnie mi tu coś. Nijak nie może być, by o sobie wzajem nic nie wiedzieli, tedy bezpieczniej im było razem ciągnąć. Czemuż tedy ciągną z osobna?

- Może właśnie po to, co się iście stało. My się tu zabawiamy, a oni tam przejść mogą.

449

Wawelskie wzgórze - 29

-- Dziesięć wozów kupi i kilkunastu luda - za dużo na wabia. I kto by chciał z dobrej woli gardło dać? Coś się .tu innego .szykuje. Znam ja ich sposoby, bo nieraz na mnie zastawiali si-dła. Gdy człek na kunę paści zastawia, też żelazo zakrywa, a jajko na wierzchu kładnie.

- Stało się - rzekł Krzych. - Ja bym tam przodzi uderzył, ale nie było kim.

Rozmowa urwała się, bo w tej chwili dojrzeli zbiegającego ze szczytu pagórka wojaka, który baczyć miał na nadciągających. Wiadomo było, że zaraz się zacznie. Ludzie bez rozkazu przytaili się gdzie który mógł i zaległa cisza.

Niebo na wschodzie już pojaśniało i mrok przybladł. Po chwili na szczycie pagórka ukazał się pierwszy wóz. Widać było, jak kilku ludzi zapierając się opuszczało go po stoku, po czym zniknęli w zagłębieniu rzeczulki i zaraz ukazali się na płaskim brzegu polany. Dość długo trwało, zanim opuścili wszystkie wozy i ustawivszy je w dwa szeregi ruszyli, zbliżając się ku zaczajonym.

Krzych spojrział na Radochę, który stał obok, trzymając konia przy pysku. Twarz starego zbója była mroczna i zacięta.

Widząc, że Krzych patrzy na niego, szepnął:

. - • Węszą cos, psie juchy, bo wozami się myślą zastawić.

Jadziem?

Krzych skinął głową. Doskoczyli koni. Radocha jeszcze dorzucił:

- Miedzy wozy się pchać! - po czym wrzasnął:

-B1.!

Zaroily się brzegi polany od biegnących zewsząd wojów, ale nim dobiegli, z wozów spadły płócienne zasłony i wysypywać się z nich jęli zbrojni knechci, a na biegnących posypały się pociski.

Radochy węż nie zmylił, ale nie czas było myśleć. Krzych widząc, że jego ludzie zawahali się, skoczył przodem, a za nim konni i zakłębiło się koło wozów. Straszliwy wrzask bił w rozjaśniające się niebo i niósł się po lesie. We wrzawie tej ginął głos Radochy. Wyciągając jezdnych ze skrzętu ryczał coś do

~ 450 ~

Krzycha, który zajęty walką nie zwrócił zrazu uwagi. Dopiero spostrzegłszy, że jezdni wycofali się z koliska, zawrócił konia i podjechał ku nim. Radocha krzyknął:

- Tamci niechybnie na kark nam tu spadną, psie krwie.

Niech się z tymi Pizło zwodzi, a my dajmy jeno baczenie.

Krzych spojrział na kłębowisko walczących. Rżnięto się bez miłosierdzia, deptąc po trupach i rannych dokoła powywracanych wozów. Walka wrzała i trudno było jeszcze rozeznąć, na którą przechylili się stronę, ale pewne było, że gdyby niespodzianie uderzyło dwudziestu ciężko zbrojnych i konnych rycerzy, z zamieszania ocali się chyba tylko ten, którego koń na czas uniesie.

Krzych zawahał się, ale postanowił zdać się na doświadczenie Radochy. Słuszność jego domysłu potwierdziła się zaraz. Z zachodniej ściany lasu wypadł jeździec i coś krzyczał w pędzie. Krzych kopnął się ku niemu i wnet poznał Zwana, którego zostawił na śladzie krzyżackiego pocztu. Zwań krzyknął zdyszczanym głosem:

- Tu idą! Ino co ich patrzeć.

Wskazywał na ścianę lasu za sobą. Krzych ręką swoim skinął, by szli za nim i ruszył ku niej. Wolał spotkać się z nieprzyjacielem w lesie, gdzie nie można było iść zwartym szykiem, który trudno byłoby rozerwać, a ciężko zmagających się ludzi przy wozach trzeba przed uderzeniem osłonić.

Las był wysokopienny i ciągnął się wąskim pasmem 'z północy na południe. Słońce zeszło i zaczynało przeświecać przez opar. W lesie panował jeszcze półmrok, ale przez rzadkie pnie migwały już postacie jezdnych. Szli w rozproszeniu, zmierzając na wrzawę. Nie od razu zauważyli nadjeżdżającego Krzycha, biorąc go może za jednego ze swoich, dopiero gdy za nim dociągnęli inni, rozległy się wrzaski i Krzyżacy zawróciwszy ławą, uderzyli.

Walka z miejsca rozpętała się bezładna, choć Krzyżacy starali się skupić. Rozkazy głużył jednak szcęk żelaza, kwik kom i krzyki ginących, które zwielokrotniał niosący się po lesie pogłos. Każdy walczył z kim popadło i jak mógł.

~ 451 ~

Krzych zmiotł z konia rycerza, który mu zaskoczył drogę

i darł się w kłębowisko. Mignęła mu w tłumie pokrwawiona twarz krzyczącego coś Radochy, bez hełmu, z rozwianym włosiem. Potem kupa się rozleciała, tylko na ziemi pozostało kilka ciał. Krzych ledwie dojrzał, że Radocha ze swymi uchodzi, pomykając ku zachodniemu krańcowi lasu, ale nie miał czasu patrzeć, bo zwałiło się na niego kilku napastników. Odcinając się im skoczył za swoimi, od których tymczasem odgradzili go Niemcy, starając się uchodzących wyprzedzić i oskrzydlić. Przed nimi widział Krzych jasną czuprynę pomykającego Unika, który piętami bił podjezdka, starając się dotrzymać uchodzącym kroku. Na czele zaś ścigających pędził olbrzymi rycerz w białym płaszczu, z pół-krzyżem na piersi. Las rzedł i uciekający wypadli już na łysinę. Krzych wbił ostrogi w boki ogiera. Z rozpaczą widział, jak olbrzym dogania już pacholika; niespodzianie miast ciąć mieczem, opuścił go na rzemyk i od niechcenia wierzchem dłoni trącił chłopca w pierś, a Unik jakby przez wiatr zdmuchnięty spadł z siodła. Krzych już nie widział, co się z chłopcem stało, bo dognał ścigających. Ścinając się z nimi, kątem oka dostrzegł, że Radocha nie uchodzi na oślep, lecz zatoczywszy półkole zawraca ku lasowi, a olbrzymi Krzyżak zajeżdża mu drogę. Na ten widok Krzych odczepił się od napastników, spał konia i skręcił za swoimi w las, który znowu zawrzał od krzyków.

Krzych starał się nie stracić z oczu białego płaszcza. Zdało mu się, że walka z Krzyżakiem, któremu widno nikt nie mógł sprostać, rozstrzygnie bitwę. Tymczasem Radocha wypadł znów na polanę. Przy nim było już jeno dwóch ludzi. Natomiast od strony wozów biegło kilkunastu pieszych, a na ich czele Krzych poznał Pizłę, który snadź uporał się już z przeciwnikami i szedł na pomoc. Nie zdążył jednak, bo Krzyżak obalił Radochę wraz z koniem, pozostali dwaj jeźdźcy zaś rozbiegli się w przeciwne strony. Krzyżak zatrzymał się, rozejrzał po polu i krzyknąwszy "oś na swoich zawrócił i pognął z powrotem.

Krzych poznał również, że bitwa, a raczej rzeź już skończona, ale zawziętość aż włos mu zjeżyła pod hełmem. Nie bacząc ~ 452 ~

na nic puścił się za Krzyżakiem. Słońce spędziło już opar i w jasnym świetle widać było migający się między drzewami płaszcz i biały pióropusz.

Wypadli na otwarte pole i Krzychowi wiatr zaświstał w uszach od pędu, ale czuł, że nie obroczonej od wieczora koń dobywa resztek sił. Choćby jednak paść miał, Krzych postanowił ścigać sprawcę wytracenia tylu ludzi. Pochylił się w siodle i gryząc zaciśnięte wargi mierzył rozpalonymi oczyma odległość między sobą a przeciwnikiem. Przez chwilę malała; gdy jeździec wspiał się na zbocze pagórka, Krzych ujrzał go na szczycie w całej okazałości, lecz zaraz stracił z oczu za wyniosłością. Płazując konia, który już chrapać zaczynał, darł się na wzgórze. Gdy dopadł szczytu, odetchnął. Krzyżak zatoczył koniem i jechał wprost na niego.

Krzych ściągnął rumaka. Mimo całej zawziętości pamiętał, że należy dać mu choć chwilę oddechu. Czekał patrząc na prze-

ciwnika. Po raz pierwszy widział go z bliska; Krzyżak płaszcz odgarnął do tyłu, by mu ruchów nie kępował. Tarczę z nałęczką na czerwonym polu zarzucił na plecy i ujął oburącz ogromny miecz, gotując się do ciosu. Był już tak blisko, że przez kratę przyłbicy widać było błyskające jasne oczy. Krzych skoczył nst^ przeciw.

Gdy konie się mijały, Krzyżak zadał potwornej siły cios, który jednak Krzych przyjął na tarczę, jego zaś uderzenie odparował przeciwnik z taką mocą, że Krzychowi broń zadrżała w rękę, a ledwo zdołał się uchylić przed drugim ciosem, zadanym w tył na odlew z jednej ręki. Krzych spał konia i odwrócił go niemal na miejscu, wymierzając dwukrotne uderzenie, jak mu się zdało nieodbite, ale Krzyżak podrzucił jeno tarczę i uskoczył z koniem w bok.

Teraz podjeżdżali ku sobie rozważnie. Każdy z nich wiedział już, że trafił na godnego przeciwnika. Skupieni byli, tocząc końmi dokoła siebie i czając się do ciosu.

Znowu zaświstało powietrze od uderzenia Krzyżaka. Krzych uchylił się i od lewego rąbnął w hełm, ostrze jednak ześliznęło się i posypały się tylko białe pióra. Ledwo zdołał odparować, i to u

~ 453 ~

niedokładnie, uderzenie skierowane w łeb konia. Rumak ugodzony boleśnie płazem spał się i rzucać zaczął, a Krzyżak zawrócił swego i puścił się pędem na północ. /

Krzycha ogarnęła wściekłość. Krzyżak widno zwątpił w swe siły, skoro ucieka. Młody rycerz zmusił spłoszonego ogiera do biegu. Za sobą posłyszał okrzyk. To nadjeżdżał Radocha.

Krzych stanął w strzemionach, by ulżyć koniowi i gnał jak jaskółka. Z radością dostrzegł, że odległość między nim a uchodzącym zaczyna maleć. Ciężki koń Krzyżaka dobywał ostatka sił. Krzych dochodził go już, zajeżdżając z lewej i gotując się do ostatecznego ciosu, ale nim go spuścić zdołał, uchodzący niespodzianie ściągnął swego konia, zawracając. Konie wpadły na siebie. Karosz Krzyżaka zbity z nóg padł na bok, ale i Krzychowy ogier, potknąwszy się na obie nogi o leżącego, przewalił się przez łeb.

Krzych zerwał się natychmiast i nie podnosząc nawet hełmu, który spadł mu z głowy, skoczył z mieczem na dźwigającego się dopiero przeciwnika, który pod uderzeniem Krzycha zachwiał się odsłaniając pierś, a Krzych pchnął całą siłą ramienia, aż ostrze przebiwszy blachy wyszło pod łopatką. Wyprostował się i odetchnął, patrząc jak śnieg szybko barwić się zaczyna krwią leżącego bez ruchu wroga. Za sobą usłyszał tętent i Radocha zeskoczył przy- nim z konia. Twarz jego trudno było rozpoznać pod zaschniętą już posoką, ale zęby błysnęły mu w wilczym uśmiechu.

- Ten ci to musi być, com go łońskiego roku widział. O nim myślałem mówiąc, że z niego zbroja prawie na was. Zaraz ją zdejmujemy, póki ścierwo nie zeszywnieje, jeno pomóżta mi dźwignąć to cielsko. On ci mnie, jucha obalił i połowę ludzi nam wyciął. Ale trafił na swego.



Mówiąc to odkręcał już przyłbicę. Gdy zdjął hełm, zakrzyknął:

- Patrzajta! Żywię jeszcze. Twarde bydlę.

Sięgnął do noża, ale Krzych z gniewem uderzył go po rękę.

- A wy znowu swoje - rzekł Radocha. - Wždy i tak zdechnie, gdy go tu ostawim.

454

- Nie ostawim - odparł Krzych. - Unika mógł ubić, - a oszczędził. Skocz po wóz, zabierzem go do gródka.

- Juści! Po wóz na to ścierwo będę skakał, a nasi, co potłuczeni, piechty pójda! - odparł Radocha ze złością.

Myśl Krzycha odwróciła się ku wynikowi bitwy:

- Dużo pobitych? - zapytał.

- Pytajta się, ile całych ostało: wy jeden, a Pizło drugi.

Stary lis twardą ma skórę. A zaś na własnych nogach ustoi tyłu, że prawie starczy woźniców, by potłuczonych odwieźć. Z tych połowa już gotowa na Bożą rolę, a reszta albo się wylize, albo nie. A wy jednego Krzyżaka będzieta żałować!

Krzych przerwał niecierpliwie:

- A Krzyżaków dużo uszło?

- Przy wozach do nogi ich Pizło wyciął, bo nie było się komu za nimi wstawiać. A z konnych poniektóry, ale ich albo chłopci wyłowią, albo zdechną z głodu i mrozu. Może toruński komtur długo czekać, aż mu jaki wróci i nieprędko zechce drugi-raz próbować.

Radocha podkreślił wąsa, zamyślił się i dodał:

- A spróbuje, to juści, że nie my ich strzymamy. A już pewnikiem nie ja. Jadę do Krakowa. Jeśli mi ksiązę tera pasa nie da, wracam na gościniec.

- Zaś teraz skoczysz po wóz - powiedział Krzych groźnie.

Radocha znał już Krzycha na tyle, że wiedział jak długo spierać się z nim można. Mruczał coś pod nosem, ale dosiadł konia i odjechał.

Krzych zwrócił się do rannego. Przytomny był widocznie i musiał pojąć o czym mówili, bo uśmiechnął się do Krzycha. Patrzył na niego swymi jasnymi oczyma, jakby coś chciał rzec lub sobie coś przypominał.

Krzych zwinął płaszcz zakonny i podłożył rannemu pod głowę. Potem podszedł do stojącego opodał ogiera, podjął z ziemi strącony hełm, schował miecz do pochwy i tarczę zawiesiwszy na łęku powrócił do leżącego.

Tym razem ranny nie patrzył na niego, ale utkwiał oczy w tarczy i twarz mu zmierzchła. Krzych spojrział bacznie na le-

~ 455 ~  
żącego. Był pewny, że widzi go po raz pierwszy, a jednak dziwnie znajomą wydała mu się ściągnięta cierpieniem twarz Krzyżaka. Ranny oddychał płytko i chrapliwie, ale z uporem wpatrywał się w tarczę. Krzych zapytał: ""

- Rozumiecie po naszymu?

Miast odpowiedzi Krzyżak ledwo dosłyszalnie szepnął:

- Leliwa!

- Mój ci to znak. Jam jest Krzych Leliwa, Spytków syn.

Ranny drgnął wyraźnie i zamknął oczy, których nie otworzył nawet wówczas, gdy przyjechał wóz i z trudem ładowano ciężkiego jak kłoda męża. Potem Krzych ruszył przodem, przykazując jechać wolno i ostrożnie. Teraz poczuł znużenie. Jadąc rozmyślał o niezrozumiałym zachowaniu się rannego.

Gdy przyjechał do gródka, zastał tam niedobitków swojej drużyny. Radocha nie przesadził. Nie było kim pilnować' granicy. Trzeba jechać do Brześcia do wojewody zdać sprawę i ludzi do straży zażądać. Krzych pomyślał, że nadeszła pora, by do Krakowa skoczyć i z tym poszedł do Terki.

- Wyjechać muszę. A mam ruszyć, pojedę i do Krakowa, bo Radoch się tam wybiera i przystoi mi za nim zaświadczyć. Siła usług oddał. Żeby nie on, może by się dziś inaczej skończyło. Nie wiem czy i kiedy tu wrócę, tedy odwiózłbym i was.

- Słabam - odparła. - Nie dojadę, a znowu śniło mi się źle. Nacięli też was. Radam, żeś ty cały wrócił. Widno dlatego, że Kundzi nie masz, by cię pielęgnowała - uśmiechnęła się. - I pono jakiegoś wielkoluda ubiłeś?

- Nie ubiłem, jenom zranił. Poślę po babę dla was, to niech i koło niego się zakrzątnie. Wraz go tu przywiozą, tedy dopilnujcie, bo ja zjeść coś muszę i spocząć. Każcie go w mojej komorze położyć. Jutro zaś jedziemy. Każę warn sanie wymościć, pojedziecie jak w łożu.

Krzych spał już kamieniem, gdy nadjechał wóz z Krzyżakiem. Radocha burczał, że swoich rannych ułożyć gdzie nie ma, ale gdy pojrzał na Krzyżaka, powiedział:

- Długo nam tu śmierdział nie będzie. Ale niech się pomęczą jeszcze trochę, skoro rycerzowi Krzychowi tak się podoba. ~ 456 ~

Pomógł nawet zanieść rannego do komory, gdzie czekała już Terka ze sprowadzoną babą. Gdy go wnosili, Krzyżak otworzył oczy i powiódł nimi dokoła. Wzrok jego spoczął na twarzy Terki, która stała, jak słup. Bezzębne jej usta jakby żuły coś, zanim wyszedł z nich chrapliwy szept:

- Tyżeś to!? Mścigniew!...

Ranny z wysiłkiem palec położył na ustach. Stara zwróciła się do obecnych; w oczach jej była rozpacz. \ Krzyknęła przeraźliwie:

- Precz stąd!

. Radocha nastawił uszu, ale wyszedł. Przegnał znachorkę i usiadł pod drzwiami. Darmo jednak nasłuchiwał. Dochodził go jeno urywany szept rannego i szlochanie Terki; ale że znużony był i bolały go kości, machnął ręką i poszedł się położyć. Gdy drzwi od komory się zamknęły, Terka upadła na kolana, rwąc siwe włosy:

\_ Mścigniew! Chryste! Tobiem mściciela'chowwała, na to, by z jego ręki...

Ranny poruszył się niecierpliwie, dając znak, że chce mówić. Terka umilkła i wpatrywała się z rozpaczą w jego sine wargi.

- Daj mi pić! - szepnął.

Drżącymi dłońmi naląła kubek miodu. Gdy się napił, lekki

rumieniec zabarwił poźółkłą twarz i oczy się ożywiły. Skinął, by się ku niemu pochyliła:

- Nie mów mu nic... jeno prosz, niech tarcz moją zachowa... jaka jest. Tyle mu dziedzictwa... a zła dola niech się na mnie skończy.

\_ A wiesz ty, że on wraży znak Leliwów nosi? I tak ma ostać?

\_ Widziałem. Niech ostanie... a pomsta umrze wraz ze mną. Nie poprzestałem na Spytku... chciałem dosięgnąć Łokta... swojacką krew rozlewałem... moją rozlał własny syn. Gdybym wiedział, że żyje... dość krwi...

~ 457 ~

Jasne oczy rannego zaszkliły się. Terka twarz ująwszy w dłonie trzęsła się od szlochów. Mścigniew z wysiłkiem położył rękę na jej siwych włosach szepcząc:

- Nie płacz. Musisz spokojny dać pozór... by się niczeg(r) nie domyślił. Mnie dość, zem go ujrzał, choć w godzinie śmierci... Taki podobny do niej...

Urwał i przetykał głośno, bo coś go w gradle dławilo. Gdy się opanował, ciągnął:

- Nie wie, kim jest... dobrześ uczyniła... boby go pomsta wciągnęła na zaturę... jako mnie... Niech się nie dowie... że rozlał ojcową krew...

Ranny umilkł i dyszał chrapliwie. Po chwili uspokoił się.

Ściągniętą twarz rozjaśnił blady uśmiech. Szepnął z dumą:

- Nie pokonał mnie nigdy nikt. Dopiero synaczek mój.

I piękny, jak ona... Chciałbym go ujrzyć jeszcze, nim oczy zgasną.

Oczy zmętniały mu znowu. Terka wstała, -nówiąc:

- Spać się ułożył, znużony, ale chcesz, to obudzę... •

- Nie budź... niech śpi. Utrudził się. Ciężka była walka...

i jam się utrudził... spoczne... daj jeszcze pić.

Zęby mu dzwoniły o kubek, przetykał z trudem i oczy mu zachodziły mgłą. Ogromne ciało przebiegało drzenie.

- Zimno mi - szeptał ledwo dosłyszalnie,

Terka okryła go derą i gryząc usta gładziła jego czoło okryte zimnym potem. Poruszał wargami niemal bezgłośnie.

Gdy pochyliła się nad nim, dosłyszała jeszcze:

- Zbudź mnie... gdy dziecko wstanie... pójdziemy razem...

w łaki...

Szept konającego zamierał. Chwycił jeszcze oddech, po czym pierś opadła i nie podniosła się więcej. Terka legła u jego nóg.

Choć kości go bolały, Radocha wstał o świtaniu, bo myśl o wyjeździe nie dała mu doleżeć. Niecierpliwie oczekiwał na obudzenie się Krzycha, a tymczasem dół kazał kopać, by po-

~ 458 ~

chować poległych. Potem obejrzał rannych, z których kilku jeszcze doszło przez noc i powiedział do Pizły:

- Mądryś ty, stary, żeś się ubić nie dał. Za to pojedziesz ze mną do Krakowa. Legnie człek, to mu dwa łokcie ziemi nadadzą, a żywie, to wieś. Ale ty już lepiej zbójem ostań. Będiesz robił to, co mnie nie przystanie, gdy rycerzem będę pasowan,

bo ktoś ci to w końcu robić musi. Społem będziemy siedzieli, bo dwoje nas już jeno s-ierot ostało. Ale teraz babę pojme, bo raniej nijak ją było do łasa brać. A ninie, do malowanego dworca, ino gwizdnę, każda polecie, bo jary jeszcze ze mnie chłop.

Podkręcił węża i nieco utykając skierował się do dworca; po drodze gadał:

- Rycerzowi Krzychowi wczorajsza bitka opłaciła się najlepiej; zbroję wziął, rzekłbyś, na niego kowaną. Ino mu płatnerz dziury zaklepie i jak nowa. Ale mu nie zawidzę, bo ućciwie zarobił, kiedy taką mocarną juchę nadział, jak gęś na rozen. Licho go wie, co za jeden. Chyba z Terka się znali, czy co. Dziwy się trafiają. ,

Weszli do świetlicy. Stara siedziała przed wygasłym kominem. Siwe włosy bez czepca miała w nieładzie, twarz zapadniętą i zmalą. Zdała się nie widzieć i nie słyszeć, ale gdy Radocha zaglądnął do komory, gdzie leżał ranny, zwróciła zaczerwienione oczy i syknęła groźnie:

- Czego tam chcesz?

- Ino popatrzeć, czy już zdechl. Wraz będziemy chować naszych, to i jego się przyklepie. Nie pogryzą się'już - zaśmiał się.

- Odejdź!

-Radocha jeno ramionami wzruszył i wychodząc mruknął do Pizły:

- Zgłupiała stara. Nie wiem, czy rzec Krzychowi, com słyszał. Zawdy to milej Niemca ubić niż swego.

- Ja bym nie mówił, bo i co po tym? - powiedział, zacinając się Pizło.

~ 459 ~

- Ty byś nie mówił, bo gadać nie umiesz. A mnie aż język śwędzi i rad bym się dowiedzieć, co jest w sprawie. Ale ze starej i tak nic nie wydostanie, tedyby się jeno głowi", po próżnicy. a głowić się bez tego lubi.

Powiedział też jeno Krzychowi, że Krzyżak doszedł. Krzych jakby się zasepił i poszedł do komory. W świetlicy nadal siedziała Terka. Spojrzała na wchodzącego obcymi oczyma i powiedziała cicho:

- Pomarł. Kazał ci rzec, że nijakiego żalu nie żywi do ciebie i prosić, byś tarcz jego zachował na pamięć, żeś zmógł takiego, co nigdy nie uległ nikomu.

Odwróciła oczy. Krzych odparł z namysłem:

- Tak mi się roi, jakbym go znał skądś...

- Skądżeby? - odparła niespokojnie. - Takiego starczy raz ujrzeć, by nie zapomnieć... Chyba przyśnił ci się, jako mpie. .

Krzych wszedł do komory. W świetle przesianym przez błoniaste okienko, ogromne zwłoki zdały się jakby wykute w kamieniu. Takie Krzych widywał na kościelnych nagrobkach. Patrzył teraz na ściągniętą twarz i zapadnięte już oczy, pod którymi leżał cień.

- Zdało mi się - mruknął.

Przeżegnał się i wyszedł. Zwrócił się do Terki:

- Gotujcie się do drogi. Z południa ruszamy.

Odparła szeptem:

- Jedź... i nie wracaj tu. Ja ostanę. Jeno Kundzię pozdrów ode mnie i powiedz, by pamiętała, co mi przyrzekła... choćbym i pomarła.

Krzych patrzył na nią pytająco:

- Ostaniecie to sami teraz, gdy wam właśnie starunku potrzeba?

- Nie sama. I nie trzeba mi. Jedź i niech ci się szczęści... lepiej niż przy mnie. Żalu nie chowaj. Nie uczyło mnie życie miłowania, tedy i nie umiałam.

Na dziedzińcu pod wałem spoczęły zwłoki poległych, a gdy udeptano zmarzniętą ziemię, Krzych dosiadł konia i wyjechał ~ 460 ~

za wrota. Obejrzał się jeszcze, czy Terka nie wyjdzie, ale nie było jej. Nie miał do niej żalu, ale czuł, jakby zrzucił z siebie jakiś ciężar. Popędził konia. Radocha zrównał się z nim mówiąc:

- Padliną tu zawdy śmierdziało, dobrze, że nie naszą.

Ochlałem ci ja się krwi od wyrostka i strachu nie znam, ale jak ten wczora na mnie szedł, zdało mi się, że już nic z rycerskiego pasa. Anim myślał, że na nim prędzej trawa porośnie. Was to chyba księżę wojewodą jakim uczyni.

Gdy Krzych milczał zadumany, Radocha gadał dalej:

- A zbroi, coście dobyli, niejeden wam pozazdrości. Trafiał swój na swego. Jak ją przybierzeta, rodzona mać by was pomylić mogła. Nawet z gęby podobništa.

XLIII

W porę przyszła Włodzisławowi śmierć Henryka Głogowskiego. Kaliskie i wielkopolskie rycerstwo jechało na zwołany do Gniezna wiec, na którym rozstrzygnąć się miała sprawa następstwa na wielkopolskim stolcu. Nikt jednak nie wątpił, że głosy padną na Łokietka, gdy popierał go sam metropolita. Zniemczały Głogowczyk bowiem, usuwając w cień krajowe rycerstwo, pozwolił zapomnieć Łokietkowych błędów i przewinień. W Wielkopolsce jak w zdobytym kraju rządził niemiecki starosta, w Poznaniu spanoszone niemieckie mieszczaństwo, z wójtem Tylonem na czele, którego ojciec przed kilku laty wprowadzał Henryka na stolicę. I teraz wiadomo było, że z dobrej woli nie przyjmą wrogię Niemcom Łokietka. Wybór Włodzisława oznaczałby tylko oddanie mu przywództwa w walce z Niemcami. Łokietek wojsk nie miał, nawet na obronę Pomorza, ale znano go już: nie ustąpi nigdy, walczyć będzie, choćby sam.

Dlatego też wiec w Gnieźnie nie trwał długo i z poselstwem niosącym wiadomość o dokonanej jednomyślnie wyborze Łokietka ruszyli do Krakowa przedstawiciele wielkopolskiego i kaliskiego rycerstwa: wojewoda kaliski, Marcin Zaręba, Dobrogost Nałęcz Tomisławów z Dzwonowa, koniński i kwieciszewski kasztelan Michał z Koszanowa, Dobiesław z Osieka, Sobiezir z Ziemięcina. Przywodził im zaś stary Mikołaj Łodzia,

ulubieniec Włodzisława' z czasów jego pierwszych rządów w Wielkopolsce.

Ofiarowaną sobie jedną więcej walkę Łokietek przyjął radośnie, jak długo oczekiwany owoc swej wytrwałości. Nie-  
~ 462 ~

prędko jednak spodziewał się wyruszyć. Na drodze znowu stał Muskała. Na skutek bowiem skargi biskupa legat kardynał Gentiiis de Monteflorum zatwierdził rzucone na Łokietka interdykt i ekskomunikę i wyznaczył w Preszburgu termin rozprawy. Proces wymagał pieniędzy i zabiegów oraz pilnego baczenia na sprawę. Szczęściem dla Łokietka, Muskała popełnił błąd, skarżąc jednocześnie metropolitę i wielu krakowskich i gnieźnieńskich dostojników kościelnych, przez co upadał zarzut, jakoby Łokietek walczył z Kościołem. Słuchanie świadków szło opornie, nie rokując szybkiego zakończenia procesu in curial. Postanowiono tedy przesłuchać pozostałych świadków in partibus<sup>2</sup>, wkrótce jednak legat przekonał się, że niesposób przeciw Łokietkowi prowadzić proces w jego własnym kraju. Kardynał wymógł przeto na Jakubie, iż zgodził się na sąd polubowny, a chcąc wreszcie zakończyć sprawę, uwolnił Muskata od zarzutów objętych wyrokiem Henryka z Wierzbna, co do dalszych zaś uwolnił go ad cautelam<sup>3</sup> pod warunkiem, że arcybiskupa przeprosi osobiście. Jakub zaś zapewnić miał Muskacie bezpieczeństwo oraz zobowiązał się nie podnosić przeciw niemu dotąd mu stawianych zarzutów. Za swoje pieniądze, których pozbawionemu dochodów brakować już zaczynało, miał tedy Muskała pergamin, choć w skuteczność jego sam nie wierzył. Zbyt dobrze znał Włodzisława. Legat wprowadzie, by uspokoić wreszcie polską prowincję, starał się i z księciem sprawę załagodzić i w tym celu zjawiał się w Preszburgu Gerward Leszczyc z Koszut, biskup wrocławski, który zręcznie przedstawwszy sprawę, ustanowiony został sędzią w procesie między księciem a biskupem. Wezwany na termin do Krakowa Muskata nie stanął, pomny że już raz wpadł w pułapkę, z której ledwo krzywoprzysięstwem wydobyć się zdołał. Gerward przeto chciał wydać wyrok in contumaciam<sup>4</sup>, legat jednak się nie zgodził, sobie zastrzegając zdjęcie

' w sądzie

8 na miejscu

\* warunkowo

' zaocznie

463

klątwy z Łokietka, zaś interdykt uchylił pod warunkiem wprowadzenia Muskaty na urząd. Interdyktem jednak księżę nie przejmował się, skoro go za milczącą zgodą Jakuba nie respektowało polskie duchowieństwo. Potem Gerward sam dostał się do więzienia, schwytyany przez Przemka i Kazimierza książąt kujawskich. Nim go uwolnili, Gentiiis załatwiwszy sprawę koronacji Karola Roberta wyjechał z Węgier i sprawa zawisła w powietrzu. Łokietek, by okazać, że nie walczy z Kościołem, zaczął odbudowę wawelskiej katedry. Ale Muskata wiedział już, że nie dla niego to i choć w prawie biegły i przebiegły, ni-

czego nim nie wskóra. Postanowił tedy sięgnąć do dawnych środków.

Wobec tylu ważnych spraw roilo się na Wawelu od przyjezdnych dostojników i posłów, tak, że Krzych i Radocha z trudem dopchali się do księcia, który zbył ich kilku łaskawymi słowami mówiąc, że już wie od wojewody o ukaraniu Jędrzeja i pobiciu Krzyżaków, a sposobną porą o nagrodzie pomyśli. Krzychowi starczyło, że księżę życzliwie spojrział na niego, jakby nie pamiętając mu przewinienia, ale Radocha zeżlił się. Gdy wyszli z zamku, burknął do Krzycha:

- Sposobną porą? Tedy i ja sposobną porą służyć będę, a ninie na gościniec bym wrócił. Jeno z kim?

Targał ze złością węża. Ale Krzych odparł:

- Lepsi od nas służą nie patrząc, co im z tego przyjdzie. Życ mam z czego, ale żeby nie księżę, nie wiedziałbym po co. I ty -masz z czego. Trzy wozy łupów przywiozłeś, które tu przędąc możesz i choćby do śmierci w moim dworcu siedzieć, jeśli ci zbrzydło skórę stawić.

Radocha udobruchał się nieco i mruknął:

-- Prawda, że mi i bez rycerskiego pasa portki nie opadną, ale skórom zasłużył, czemu nie mam dostać? Lepsi od naa, Krzyżakom plecy pokazowali. U was do śmierci siedział nie będę, bo niewiastę chcę .po jąć, tedy własny dworzec muszę mieć,  
464

•W którym ją mógłbym ostawić, gdy wojować znów przyjdzie. A zaś dziewczki gdzieby obejrzyć można? Znacie tu jakowe? Zwolnił Krzycha od odpowiedzi Blidziwoj, który dojrzawszy go z dala, zakrzyknął:

- A toś mi się zjawił! Z końmi se rady dać nie mogę, a wdzięczność mi winieneś, choćby za to, żeś ci miecz naraił, którymś Krzyżaków poraził. A to pewnikiem onże Radocha, o którym też wojewoda pisał?

Radocha z dumą podkręcił węża, a Krzych mile powitał życzliwego wojaka:

- Pomogę wam, póki nas księżę gdzie indziej nie wyśle, a i o przysługę was poproszę, bo zbroję mam-zdobyczną, którą do płatnerza chciałbym dać dobrego, by ją narządził.

- Nie praw byłem, gdym ci kupować odradził? Ale'żeś też nalazł taką, co w sam raz na ciebie była! Rozrosłeś się jeszcze, jako dzwonnica wyglądasz.

Klepał z zadowoleniem Krzycha jak konia, a Radocha wtrącił:

- Można rzec, że zbroja niemal za luźna jeszcze na rycerza Krzycha. Prawy wielkolud to był, którego on przy mnie zarznął. Chceta wiedzieć, jako było?

- Niczego radziej nie posłucham, ale szkoda opowieści stojący na mrozie, kiedy przy ogniu i napitku lepiej się słucha. I nie ja sam ciekaw jestem. Kundzia już wie, żeś wrócił - dodał zwracając się do Krzycha. - Niewdzięczność by to była, gdybyś jej nie odwiedził. Jam teraz za Wojskiego przy niej, bo twój Ostróżka i Braciszek łążęgi są. Ryży znowu po mieście coś węższy, a Kudłacza apostolski duch naw'edził. Kazania ci po mieście

prawić począł głośnie, że jedyne prawo Ewangelia, a jedyna władza - Bóg. Ale że tu prawem Zwierciadło Saskie, a władzę ma wójt, tedy go ścigać poczęli i uchodzić musiał, mnie dziewczynę na głowie ostawiając. Żeby tak pół kopy mniej lat miał, to bym wiedział co robić. A ty, żebyś był mądrzejszy...

Ku u'dze Krzycha Radocha przerwał koniuszemu pytając, ile też lat sobie liczy. Budziwój, który nie lubił o tym mówić, odburknął:

465

Wawelskie wzgórze - 30

- A cóże ci do tego?

- Nic - odparł Radocha. - Jeno wyliczyć chciałem, czyby dla mnie nie była prawie. Wydać się umyśliłem, a Krzych tu nijakich dziewczek nie zna. Zbylibyśta kłopotu.

- Wzdyś jej nawet nie widział, a to pewne, że ojcem jej mógłbyś być.

- To i co? Przebrzydny nie jestem, a ojcem mógłbym być niejednej, jeno nigdy czasu nie stało czekać co z tego będzie. Dobra byłaby dla was, dobra będzie dla mnie.

Krzych zmarszczył się gniewnie, ale Budziwój zaśmiał się i patrząc spod oka na niego powiedział:

- Skoro on nie chce, to juści za kogoś wydać ją trzeba, bo żrała już, a sierota. Tedy sama o sobie postanowi, jeno przypodobać się jej musisz...

Krzych z ukrywaną złością przerwał:

- Cóż Kundzią tarzycie, jakby wasza była, albo innych dziewczek brakło. Nie stójmy na mrozie. Idziecie albo nie?

- Pójdę - odparł Budziwój, ukrywając pod wąsem uśmiech. - Zaś wieczorem zejdziem się w Siedlikowej chacie, czas będzie gwarzyć o wszystkim. 'Gerlacha nie masz w mieście i w otwartej już wojnie z księciem społem z Peskonem z Lipowca i Sygehardem z Przechodu książęce włości pustoszą. Tedy wyznaczonej na twoją głowę nagrody nie ma kto wypłacić i myślę, że w mieście pokazać się mozesz.

- Gdy mi książę wybaczył, nie stoję o mieszczkańskie gniewy - odparł Krzych.

- Stoisz, czy nie, ostrożność nie zawadzi. Mieszczany znowu drą się z Włodzisławem. Kolekty odmówili, gdy się Kaźmirz urodził, pomocy nie dali, gdy na Pomorzu była potrzebna. Prawda, że poza granicami krakowskiego księstwa nie są powinni, aleć im samym w handlu strata, gdy ujście Wisły kto inny dzierży. A jurysdykcję za dwinienia w mieście popełnione przywilejami mają zawarowaną, zaś książę wojny z nimi nie chce, bo zadość ma innych.

Krzych lekceważąco ramionami wzruszył i weszli przez Grodzką bramę do miasta, mówiąc już o codziennych sprawach.

466

Jak ongiś, niewiasty rzucały za Krzychem wabne spój rzenia, mężowie zaś groźne, ale Krzych zdał się nie widzieć ni jednych ni drugich. W Rynku Radocha, który przystawał co chwile, nie wiedząc czy prędzej patrzeć na urodne niewiasty, czy na bogate kramy, stracił się im gdzieś i wrócił do dworca dopiero, gdy



zniecierpliwiony Krzych zbierał się sam iść do Kundzi; Radocha podchmielony był i wielce rad z siebie. Gdy mu Krzych jął robić wyrzuty o spóźnienie, odparł myśląc widocznie o czym innym:

- Siedzieliście tu, a nijakich znajomek nie mata; ja zaś, jenom się ruszył, dziewczek poznałem co niemiara. Jedna od drugiej wahniesz, a mało brakło, pobłyby się o mnie.

Podkreślił wąsa mocniej niż zwykle i ciągnął:

- Coś ci muszę mieć takiego, że lgną do mnie, jakby muchy do miodu.

Krzych mimo woli uśmiechnął się, znając już miasto.

- Masz pieniądze - mruknął.

Radocha otworzył gębę i pomacał trzos. Wąsy obwisły mu znowu i poskrobał się po głowie: • \

- Miałem. Ale nie mam. Nic to - odprężył się. -- Łupy przedam, będzie znowu pieniądz.

- Jeno nie na długo starczy, a żenić się chcesz.

- Nic to! Miasto bogate, a koniuszy prawil, że z księciem zadzierają. Przyjdzie do bitki, to łupu będzie, że nie przebie-rzesz: odbiorę swoje. -

- Ja zaś oddam, com winien - warknął Krzych.

Budziwój przyszedł do Kundzi wcześniej z pacholikiem, który niósł napitki. Powitawszy dziewczynę, widząc jej zdziwienie, powiedział:

- Ani wiesz, dla kogo to. Krzych przyjdzie z Radocha, co z nim po społu wojował. Mowny on jest, ale gardło odwilżać musi, a będzie o czym gadać. Nie cieszysz się? - zapytał, widząc zmieszanie dziewczyny.

Gdy nie odpowiadała, spoważniał i ciągnął:

~ 467 ~

- Słuchajże! Wiesz, zem ci przychylny, ja zaś wiem, że Krzycha miłujesz, miłowania jako i kaszlu ukryć się nie da.

A i to wiem, że się Krzych nakłania ku tob'e, bo widziałem, że zeżlił się, gdy mu onże Radocha napomknął, iż chciałby cię pojąć. Co ta miał z innymi, przeszło, a bezżennym przecie nie ostatnie, skoro mu dopiero trzeci dziesiątek lat się zaczął. No, czemóż nic nie gadasz?

Pochyliła głowę, by ukryć łzy. Udawał, że nie widzi i gładził ją po ciemnych włosach. Myślał, że się rozpłacze, ale jeno powiedziała:

- Miłuję go, aleć on miłuje inną, dlatego jest taki... Nis znalazłby szczęścia ze mną... a może by kiedyś przeklinał, gdy się dowie...

- Gdy się o czym dowie? . ' ...

Kundzia teraz wybuchnęła płaczem. Koniuszy niecierpliwie ręką przejechał po czuprynie.

- Znowu jakweś tajemnice! Nie trudno zgadnąć, że cię Terka nimi zaraziła. I czemuś to od niej odeszła? Zaszło coś między wami? No, gadajże, przecie nie z ciekawości, jeno z życzliwości pytam.

Gdy dziewczyna milczała, ciągnął gniewnie: /

- Co było z Adelajdą, minęło jako dym na wietrze. Zaś

Hanna mu prawie siostra i skoro patrzeć złoży śluby u klarysek. Przejdzie i to, jeśli już nie przeszło. Tedy czego ma się dowiedzieć i za co miałby cię przeklinać?

Nie odpowiadała, jeno rozszlochała się jeszcze bardziej. Podniósł się z gniewem i zaczął chodzić po izbie.

- Nie wydolił Braciszek, ni Ostróżka wydobyć ze starej, co tam jeszcze chowa, wydobyć ją, żeby ją miał na węglach położyć. Jadę do niej, raz musi temu być koniec.

Urwał, bo na dworze rozległy się kroki.

- Idźże oczy przemyć i przygotuj co dla gości-rzucił.

Dziewczyna skoczyła do komory. Gdy drzwi się z pola otworzyły, koniuszy ze zdziwieniem poznał Ostróżkę.

- Jesteś przecie! Krzych wrócił i zaraz ma tu być, ja zaś jadę na Kujawy, tedy ktoś na dziewczynę baczenie dać musi.

~ 468 ~

- Wiem, że wrócił - odparł Ostróżka - bo po mieście się wałęsa i właśnie przestrzec go chciałem, że się zmawiają na niego. Byłem na Łobzowie, ale mi Unik rzekł, że już tu poszedł. Dziwne, żeśmy się zminęli.

- Nie gadaj dziewczynie - rzekł cicho Budziwoj. - Nie dziecko on i nie szedł sam. Poczekajmy, może jeszcze nadejdzie. Ale się mieszczany uzuchwalają!

- - Juści! Gerlachowa w tym ręka, a że on sam w Lipowcu siedzi, tedy widno się z nim znoszą. Zaś Muskała w Zatorze, ani chybi na coś tutaj czeka. Zresztą głośno gadają po mieście, że pod takim księciem na dziady im zejść przyjdzie, bo gdy Pomorze stracone, kupcy pruscy handel z Niemcami i Flandrią przejęli, tedy co zostało dla Krakowa? Pośrednictwo w handlu wołami między Włodzimierzem a Wrocławiem. Marzy im się powrót Waclawowych czasów, gdy wszystkie drogi były otwarte.

- Ważne to, co mówisz, ale pilniejsze, co z Krzychem - odparł Budziwoj. - Pójdźmy - dodał wstając. - Jeno jak Kundzi rzec, by niespokojna nie była?

- Rzekniemy, żeście coś zabyli - odparł Ostróżka.

W tej chwili jednak z dworu doszły ich głośne i grube przekleństwa.

- To Radocha - powiedział, koniuszy z ulgą. - Ale czemu klnie?

Istotnie drzwi się otworzyły i wszedł Krzych wiodąc Radochę, który nogą włókł, a krew skapywała mu po wąsach. Rany jednak widno nie były ciężkie, bo kłął głosem mocnym, a spod nasiąkniętych krwią wąsów błyskały zęby zwierzęcą wściekłością.

- Stulże gębę - powiedział Budziwoj - i gadajcie, co się stało?

Kundzia wypadła z komory i na jej w^dok Radocha umilkł.

Z przyzwyczajenia sięgnął do wąsów, okrwawił rękę i ujrzał. - szy to zaklął znowu.

- Gadaj ty - zwrócił się Budziwoj do Krzycha. - Napadli was?

-- Koło młyna przy mostku na Rudawie z dwóch stron nam

~ 469 ~

zastąpili. Aleśmy dwóch skąpali, jeden ostał na mostku, a reszta uciekła. Radocha puścił się ich ścigać i wtedy go któryś nożem przez gębę przejechał, a drugi w kolano ugodził czymś, tak że go tu wlec musiałem.

- Tedy czemu klniesz? - zwrócił się koniuszy do Radochy. - Dobrze, że się tak skończyło.

- Bo jako że będę gadał, kiedy czuję, jak mi gęba puchnie i jako się z takową przypodobam.

Budziwoj zaśmiał się i odparł:

- Skoro możesz kłać, to i gadać wydolisz, a przypodobać się nie musisz dzisiaj. Zaraz cię opatrzym. •

Gdy Ostróżka zabrał Radochę, Budziwoj zwrócił się do Krzycha:

- Nie rzezimieszki to żadne, jeno zasadzka była na ciebie.

Gerlachowa to sprawka i Ostróżka właśnie przestrzec cię przyszedł. Po mieście nie laź i może bezpieczniej, byś u mnie na Wawelu zamieszkał. Coś ci się między mieszczany gotuje.

- Niechby się raz zagotowało - rzucił Krzych zajadle.

Zwracając się zaś do Kundzi dodał:

- Anim cię jeszcze powitał, przez to zamieszanie. I Terka cię pozdrowić kazała, a przypomnieć o jakowymś przerweczeniu - Prosi, byś -je zdzierzyła, nawet gdyby ona pomarła. "

Zdziwił się widząc, jak zarumieniona i zmieszana twarz dziewczyny stwardniała nagle.

-- Com przysięgła, strzymam... i nic więcej.

Budziwoj nastawił uszu, ale poniechał pytania, wiedząc już, że z dziewczyny nic nie wydostanie. Upewnił się natomiast w przypuszczeniu, że źródło wszelkich tajemnic leży u Terki.

Gdy Ostróżka wrócił z opatrzonym już Radocha oznajmiając, że rana i stłuczenie nie są ciężkie, koniuszy odezwał się:

- Wypijemy tedy nie tylko za wasz szczęśliwy powrót, ale i żeście się tanio z zasadzki wykpiłi. Radocha zaś niech prawi, jako było, bośmy też wszyscy ciekawi, a Krzych mowny nie jest. Nalał w kubki, a Radocha prosić się nie dał, ani do picia, ani do opowiadania, czasami jedynie przerywając stłumionym przekleństwem, gdy zapomniawszy się wąż pokręcił i zaboląła g@ ~ 470 ~

rana w twarzy. Zresztą opowiadał 'żywo i gładko, odwilżając często gardło. Dopiero pod koniec się zaciął, gdy mówił jak ranego Krzyżaka przywieźli do Krzychowego gródka. Zaczął - o Terce, urwał i widocznie coś pominął. Budziwoj spojrzał na Krzycha, ale widząc, że nie słucha, nie dał nic poznać po sobie i gdy Radocha skończył, wstał mówiąc:

- Ot i noc się zrobiła, czas spocząć, tym bardziej, że mi jutro wyjechać przyjdzie na parę niedziel. Tedy moja gospoda na zamku wolna będzie i bezpieczniej tam, niż w samotnym dworcu na przedmieściu, a i dla Radochy bliżej, zaś tobie, Krzychu, dogodniej, bo pod moją nieobecność objeżdżania koni mi dogiędziesz.

- Jeno Unika uwiadomić muszę i przyodziejewę inną zabrać - odparł Krzych.

- Za dnia się pośle, zaś teraz bezpieczniej, byś sam nie

chodził.

Krzych uparł się jednak, sprawę zaś rozstrzygnął Ostróżka mówiąc, że pójdzie razem z nim. Wyszli tedy, a koniuszy zabrał Radochę i prowadził go z trudem, Radocha bowiem nie tylko utykał, ale przebrał nieco miary w napitku, bo już podchmielony przyszedł. Budziwoj zagadnął go zniecacka:

- Coś o Terce mówić zacząłeś, czegom nie wyrozumiał?

- Mówilem? Miałem nie mówić, jeno że miód tęgi był i w kolanie mnie łupie...

- A czemuż to miałeś nie mówić? Ona ci zakazała?

- Co mi tam stara ma do zakazowania! Z Pizłą uradziliśmy, by rycerzowi Krzychowi nie mówić, boby znowu sumować się zaczął, kto zaś był ten, którego ubił. I tak się już coś nad nim sumował i dobić go nie dał...

- Dość będzie tych tajemnic - rzekł koniuszy ze złością. -

Dziwić mu się, że jako zaczadzony chodzi, kiedy nie wie, co dzieje się dokoła niego.

- Chceta, to mu powiedzta - odparł Radocha obojętnie. -

Ja tam nie mam nic do ukrywania; co wiem, to gadam.

- Tedy mów, a ja sam uznam, można li rzec Krzychowi, czy nie.

/

y

'-^/ 471 /^

' Radosze nawet ulżyło, gdy opowiedział, co widział i słyszał.

Gdy doszli na zamek, ułożył się i zasnął zaraz. Budziwoj jednak . czekał na powrót Krzycha, choć pierwsze kury już piał, a gdy nadszedł, powtórzył to, co słyszał od Radochy, patrząc bacznie na niego. Skończywszy zapytał:

- Nie miarkujesz, kto zacz mógł być i co znowu Terka ma za tajemnice?

Krzych słuchał ze zmarszczoną brwią, ale odparł obojętnie:

- Zajedno mi, co chowa przede mną. Niechęć już nic wiedzieć. A onego człeka, zdało mi się zrazu, że gdzieś ci widziałem. Alem potem pomiarkował, że nie znam go, jeno do mnie samego podobny był. Po naszymu też rozumiał i znak miś na tarczy, jaki Nałęczce noszą, tędym myślał, że jakowy zaprzaniec czy wywołaniec, których nie brak wśród krzyżackich półbraci. Nie musiał być zły człek, bo mi Unika oszczędził, który się bez potrzeby zaplątał w bitwę, tedy na mszę dam za niego, ale głowy sobie łamał nad nim nie będę, bo i imienia nigdy nie słyszałem.

Budziwoj jednak łamał sobie głowę, bo jemu imię Mścigniewa Nałęczca zdało się nieobce. Niczego jednak nie wymyślił i nazajutrz ruszył na Kujawy.

Wrócił w trzy niedziele ponury, jak jesienna noc i oznajmił Krzychowi, że Terka zmarła. Krzychowi mimo wszystko żal się uczyniło starej, która go chowała. Zdziwiony był nieco, choć domyślał się przyczyny, że Budziwoj do niej jeździł i wypytywać począł:

- Przy was zmarła, czy raniej?

- Przy mnie - odparł koniuszy.

- A rzekła wam co?

- Nic.

- Tedy zabrała swe tajemnice. Może raz koniec będzie.  
Budziwoj nic nie odpowiedział, ale gdy Krzych wyszedł, mruknął:

- Wolejby zabrała.

XLIV

Muskata powrócił do swej diecezji i osiadł w Zatorze, poza granicami Łokietkowego państwa, ale o dzień drogi tylko od jego stolicy. W ręku miał wyrok legata, będący w tej chwili, wobec uporu i zaciętości Łokietka, jeno skrawkiem pergaminu. Ale Muskata już znalazł "swego" księcia. Przez przyjaciela, wrocławskiego biskupa, trafił w Awinionie do ambitnego hrabiego Luksemburskiego Henryka, wasala króla francuskiego, który z papieskim, arcybiskupa mogunckiego i królewskim poparciem sięgnął po niemiecką koronę, a teraz szukał dalszych, by stanowisko swe w Niemczech umocnić, zdobyć Rzym i odbudować potęgę cesarstwa.

Moguncki arcybiskup, Piotr von Aichspalter, znał Muskate jeszcze z czasów, gdy sam był kanclerzem Waclawa. Podobni byli do siebie: lubili rozdawać korony, sobie zachowując władzę i znaczenie. Toteż gdy kilkunastoletni syn Henryka, Jan Luksemburski, wraz z ręką Waclawowej córki otrzymał koronę • czeską, Muskata podjął się wprowadzić go na polski tron i pomoc jego wdzięcznie została przyjęta. Po ustaleniu się Andegawenów na Węgrzech, Łokietek nie był już Kurii potrzebny, utrata Pomorza obniżyła jeszcze jego wartość, wewnętrzne trudności, z jakimi walczył, n<sup>e</sup> były tajemnicą. Luksemburczyk zaś był cennym sprzymierzeńcem papieża. Jeśli Muskata z cesarskim poparciem obejmie Kraków z ramienia czeskiego króla, Łokietek nie wróci już po raz trzeci.

Obydwaj przeciwnicy wiedzieli, że teraz sprawę rozstrzygnie siła, w tej chwili jednak nie miał jej żaden z nich. Łokietek wyczerpany walką o Pomorze, Muskata długotrwałym wygnaniem, zbierać ją dopiero musieli, na żadną pomoc z zewnątrz liczyć tymczasem nie mogąc. Luksemburczyk nie umocnił się jeszcze w Czechach, dopiero walczył o Morawy, nie mógł własnymi rękami sięgnąć po dziedzictwo Przemyślidów w Polsce; zresztą inaczej cenić będzie sprzymierzeńca, który go na opróżniony już tron wprowadzi. Wzorem niemieckich biskupów marzyło się Muskacie stanowisko udzielnego księcia, jakie osiągnął • już jego przyjaciel, Henryk z Wierzbna. Rozumiał jednak, że dla swych zamierzeń pozyskać musi potężnego wójta Alberta.

Albert jednak nie siedział na wygnaniu, był księżęcym kome-sem, sądeckim kasztelanem i krakowskim żupnikiem. Majątek miał nieprzebrany; pragnął mógł chyba tylko władzy. Trzeba się będzie nią podzielić. Na zaproszenie biskupa przyrzekł stać się w Zatorze. Muskata niecierpliwie oczekiwał przybycia wójta, nie zaniedbując tymczasem urabiania i innych sprzymierzeńców.

Napad na Krzycha, który zrazu zdał się obrachunkiem Ger-

łacha, był jeno początkiem tego, co się zaczynało dziać w mieście. Napaści na ludzi książęcych, początkowo pod takim czy innym pozorem, mnożyły się, powodując wzajemną zajadłość. Mieszczanie żądali od księcia sprawiedliwości, książę ładu i bezpieczeństwa w mieście. Ślali do siebie wzajem poselstwa, ale coraz bardziej miasto i zamek przypominać zaczynały wrogie obozy. Kto się z jednego do drugiego wychylił, życie narażał. Gdy wreszcie wójt dogadał się z biskupem, nadszedł czas, by odrzucić pozory. Po Zielonych Świątkach, podczas zabawy w Rynku, omal nie doszło do rzezi, a gdy książę zażądał wydania sprawców rozruchu, Rada odmówiła oświadczając, że książęcy ludzie nie mają niczego w mieście do szukania. Bramy zamknięto, nie wpuszczając z zamku nikogo, a w kilka dni później odbyte wybory oddały władzę w mieście ludziom, którzy wprost już mówili o wygnaniu księcia. Z Ławy usunięto długoletniego wójta sądowego, Petra Guisa, który doradzał umiarkowanie i zaufanego Łokietkowego ławnika, Wilhelma. Bunt się rozpoczął.

"•^f 474 "<1

Jednocześnie przyszły wiadomości, że na zjeździe w Ołomuńcu Jan Czeski doszedł do porozumienia z dziedzicami Henryka Głogowskiego. W zamian za poparcie w Wielkopolsce najstarszy Bolesław zrzekł się tytułu króla polskiego na rzecz Luksemburczyka, którego Albert panem Krakowa ogłosił. Muskata miał już swego księcia, trzeba tylko wygnać Łokietka, objąć rządy i wytepić przeciwników.

Ale i Łokietek nie zasypiał sprawy. Książę ponaglał przygotowania do zbrojnej rozgrywki, koniuszy ni Krzych na posiłek nawet nie mieli czasu. Potem Krzych odszedł z oddziałem Jana, syna Budziwojowego imiennika, by zająć wrogi Łokietkowi klasztor bożogrobców w Miechowie, którego opat, Henryk, stryjeczny brat Alberta, do buntu się przyłączył. Koniuszy Budziwoj zaś otrzymał polecenie objęcia od tynieckiego opata biskupiego zamku w Bieczu, który panował nad drogą na Węgry. Za zamek zapłacił książę sołectwami zbuntowanych mieszczan we wsiach klasztornych, zyskując w ten sposób w opacie tynieckim pewnego, bo w wyniku walki zainteresowanego sprzymierzeńca. Po drodze do Biecza koniuszy wstąpić miał do Melsztyna z poleceniem dla Jaśka, by w podobny sposób kupił przychylność sądeckich klarysek i mieszczan w Nowym Sączu.

Próbował i Muskata tych sposobów i zdołał pozyskać Żegotę Starzę Sułkowica, po zmarłym Wierzbiecie krakowskiego kasztelana, łudząc się, że za nim pójdą inni. Pomylił się jednak; rycerstwo i wielmoże stali przy Łokietku, chłopstwo nienawidziło biskupa i niemieckich przybłędów, miejski zaś motłoch milczał i tymczasem słuchał panów. Ale biskup wiedział, że bogactwa patrycjuszów kłują w oczy biedotę, która pierwsza cierpieć zaczynała na skutek wojennych wypadków, a do zyskania miała tyle, ile w zamieszaniu zdoła zachwycić. W miarę jak czas płynął, droga z Zatora do Krakowa zdała się Muskacie coraz dłuższa.

W podnieceniu, jakie zapanowało Budziwoj nie miał cgaśu

głowić się, co począć z wyjawioną mu tajemnicą. Dłużyła mu się też droga z Krakowa do Melsztyna. Nim się zobaczy z Jaś-475

kiem,, musi powziąć postanowienie. Hanna wkrótce kończy nowicjat; gdy złoży śluby, mówić będzie za późno. Koniuszy przez całe życie nawykł do szczerości i otwartości, trzebaż mu było zmiany na starość?! Przeklinał w duszy chwilę, w której wmieszać zachciało mu się do cudzych spraw. Byłby spokojnie dokończył żywota między końmi, które nie miały tajemnic, a jeśli miały, to nie mówiły o nich. Zarazem żał mu było Kundzi. Gdyby ona nic nie wiedziała, łatwiej byłoby milczeć. Choć też nie łatwo. Koniuszy umyślił sobie, że dokona żywota przy Kundzi i Krzychu, a już teraz musiał ich unikać, nie umiając chować tego co wiedział. Klął Terkę i bił konia, a potem szepotał pacierze za jej nieszczęsną duszę i powściągał rumaka, by nie gnał do Melsztyna zanim on poweźmie postanowienie.

Melsztyn jednak nie za morzem był i koniuszy wkrótce dojrzał wieżę zamkową bodącą błękitne niebo, a wciąż jeszcze postanowień a nie powziął. Z Jaśkiem gadał o sprawach, a myślał o Krzychu. Dopiero gdy poczet, z którym ciągnąć miał do Biecza, stał gotowy do drogi, a koniuszy popijał z Jaśkiem wsiadanego, nie patrząc mu w oczy powiedział: .

- Bijże mnie, bo gadam z tobą, a taję co najważniejsze:

Krzych żaden wasz krewniak. Mścigniewa Nałęcz syn, jeno ni jak mu to powiedzieć, bo własną ręką ubił rodzica w boju, ani wiedząc o tym. A ty kłałbyś mnie, gdybym ci nie rzekł i takż kłać będziesz, żem ci rzekł. Tedy na jedno mi wyjdzie. Zaś Han nie wyjaw, albo nie, sam sobie głowę łam. Powiesz - kłać mnie będzie Kundzia, nie powiesz - Krzych. Niechże to wszyscy biesi!...

Rzucił niechętnie kilka wyjaśnień, pozostawił Jaśka w osłupieniu, dosiadł konia i ruszył. \

Kasztelan ni przez chwilę nie wątpił, że Budziwoj pewnoś musi mieć tego, co powiedział. Hanna już spokojna była i on nawykł do myśli, że córa pozostanie w klasztorze, posag jej już wydzielił. Teraz wszystko zburzyć trzeba i na nowo myśleć co robić; ale trzeba. Jaśko nie wahał się. Wiedział, że wiadomość wstrząśnie Hanną, ale to minie. On zaś nigdy by nie odzyskał

~ 476 ~

spokoju, gdyby pozwolił córce," by o życiu swym stanowiła, na błędnym opierając się mniemaniu. Powie jej wszystko.

W Nowym Sączu' sprawy poszły gładko. Gród Jaśko obsadził bez, oporu, w mieście wójt Albert nie cieszył się więciem, bo dbał jeno o swój Kraków, współzawodniczący z Sączem. Teraz trafiała się miastu sposobność uzyskania przewagi; za przyrzeczenie uwolnienia od ceł w krakowskim i sandomierskim księstwie, Sącz opowiedział się po stronie Włodzisława.

Z miasta była jeno mila do klasztoru, położonego na skłonie pasma wzgórz schodzących klinem w widły Popradu i Dunajca. Kasztelan patrzył, jakby chciał odgadnąć, czy wyrastające przed -nim mury odetną na wieki córę jego od-świata. Jeże-i ma w nich pozostać, nrech to uczyni z dobrej woli, jeżeli

wyjdzie, niech wróci do świata takiego, jaki jest: pełnego zawodów, trosk i rozterki.

Zajechawszy przed bramę kasztelan polecił oznajmić przeryszy, że z poselstwem przybywa od księcia i usiadł w mrocznym parlatorium, oddzielonym gęstą, drewnianą kratą od klauzury. Za nią zdał si. ^ zaczynać inny św^at, w którym sterane życiem zwykły szukać spokoju wdowy księżęce. Czy zechce w nim pozostać Hanna w kwiecie swych lat, gdy się dowie wszystkiego? A jeżeli zechce, czy on jako ojciec dobrze czyni, przynosząc jej ze świata niepokój, przed którym uciekła? Zawahał się, ale jeno przez chwilę; nie można kończyć obrachunków z życiem z zamkniętymi oczyma. Prawda i przez najgęstsza kratę może się precisnąć. Hanna musi ją znać, zanim będzie za późno. Tym miał myśl zaprzątniętą, gdy sprawiał swe poselstwo.

Łokietek za dostarczenie ludzi ze wsi klasztornych i zezwolenie na postój w nich węgierskiej pomocy, przyobiecował znieść zwolnienie krakowskich kupców od przysługującego klasztorowi cła na przewozie w Rytrze. Kupował sobie sprzymierzeńców za pieniądze swych wrogów.

Jaśko bez trudu dobił targu, bo i jemu klasztor niejedno zawdzięczał.

~ 477 ~

Przełożona rzekła przy rozstaniu:

- Zapewne i córę waszą pożegnać .zechcecie, zanim welon włoży?

- Rad bym ją ujrzał - odparł. - Ale czy tu ostanie, nie wiem, bo zaszły takowe sprawy, że może zamiar odmieni.

- Żal by nam było - odparła przełożona. - A może i jej; przywykliśmy już do siebie.

- Odmawiał jej nie będę, ale Wieści, które przywiozłem, ^znać musi. Klasztor zaś w żadnym razie straty nie poniesie.

- Znana nam jest hojność wasza dla naszego zgromadzenia. Z życzliwości jeno chciałabym Hannę zatrzymać.

- Ostanie, czy nie, życzliwości waszej ją polecam - odparł kasztelan.

Usiadł i czekał, rozmyślając jak przystąpić do sprawy. Póysłszy szelest szat i do ręki jego pochyliła się Hanna. Patrzył na jej przybladłą twarz i serce mu się ścisnęło. Coś obcego legło już między nimi. Nie umiał jej sobie wyobrazić znowu wesołą i roześmianą. Jeszcze raz zawahał się, czy niepokoić ją sprawami, od których tu się schroniła.

- Bóg z tobą, dziecko. Nie tęskno ci za nami?.

- Zawszy człek za czymś tęskni - odparła smutno. - Nawykłam,

- Za czymś? Byłem ci i ja młody, zda się niedawno. Jeszcze pamiętam. Jeśli o nim myślisz, wiedzieć musisz: nie masz przeszkód by cię pojął, jeżeli jeszcze wolę macie po temu.

Odetchnął, jakby zrzucił ciężar, i patrzył na twarz córki, która przybladła tak silnie, że zdało mu się, iż zemdleje. Objął ją ramieniem i posadził obok siebie.

- Słuchaj, jak sprawy stoją. Wyszło na jaw, że Krzych nie Spytków syn, jeno Mścigniewa Nałęczca. Domyślać się jeno



mogę, że to ów, z którym Spytek darli się o niewiastę... tę, którą ubił... niech mu Bóg wybaczy.

Gdy" Hanna milczała, Jaśko podjął:

- Nie dość na tym. Nie przeczę, że Krzychowi wdzięczność winien i związkowi z tobą nijak byłoby się przeciwzić. Jeno nie wiem już, czy on... Co dużo mówić: było, że sprzął się

~ 478 ~

z inną. Niewiasta wabliwa, a chytra, ani chybi usidlała niedoświadczonego młodzika, by do przeniewierstwa go nakłonić. Nie winu j ę go, i księżę mu wybaczył, bo zasłużony już był... a już pewniej dlatego, iż mniemał, że Spytków syn. Ninie słyszę znowu Budziwoj z jakąś tam go swata. Nie wiem co jest na rzeczy. Młody, czekać zdało się nie miał na co. Zwykła rzecz. Nie to by było najgorsze...

- Mówcie wszystko - szepnęła Hanna.

- Nie wie jeszcze, jak się rzeczy mają, tedy o związku z tobą myśleć nie może... a chcąc go tak czy inak zagabnąć, trzeba mu rzec. Klątwa jakowaś, zda się, cięży na nim... ubił własnego rodzica, któren Krzyżakom służył. Wónczas dowie się i o tym. Co pocnie,, przewidzieć trudno... straszne to, i .strach oddać dziecko w ręce, choć bez winy, krwią rodzicielską skalane. Wybac, że ci spokój burzę i ciężar postanowienia na ciebie składam, ale inak być nie mogło. Czemuż milczysz?

- Rozważam - odparła cicho. - Musiałam się go wyrzec, choć go miłowałam. Ciężką już przebyłam drogę, drugi raz sił mogłoby nie starczyć... A jemu czy szczęście przyniosę? Niech nie wie. Tu ostaną, modlić się za wszystkich, których zły los wciągnął w tę sprawę... Niech raz zginie ona w niepamięci.

- Możebyś z postanowieniem się wstrzymała. Wrócić tu zawždy możesz. Ty go jeszcze miłujesz.

- Miłuję. Wyrzekam się go przeto.

XLV

.Braciszek sycząc zanurzał w lodowato zimnej wodzie natar-te śniegiem stopy. Potem z rozanielonym wyrazem na swej ruchliwej twarzy wycierał je starannie wełnianą chustą, nasmarował tłuszczem, owinął grubo szmatami i wziął się do dymiącej polewki, którą Kundzia postawiła przed nim na stole. Nasycony siadł przed paleniskiem i westchnął z ulgą:

- Ale też człeku u ciebie dobrze.

- Tedy po co się wałęsacie?. Zmamiliście się. Znowu łachmany z was wiszą, a nogi... cud, że wam palce nie poodpadały. Miejsca u mnie dość. Siedzieć możecie.

- Bóg ci zapłać, dziewczyno. Ale gdy człeku co dzień dobrze, nią czuje. Nie wiem, zali komu lepiej mogą smakować kapłony małmazją popijane, niż mnie twoja polewka i chleb, skoro dwa dni nie jadłem. Czuję, jak się życie rozechodzi po wszystkich członkach.

- Ale do pracy sił nie starczy, gdy jeść co trzeci dzień.

- Tedy i nie pracuję. Ale" czasem miło się przyjrzeć, jak drudzy pracują, kiedy im składnie idzie i z ochotą. Jeno tych mi żal, co dla pieniędzy pracują; na złego pana pracują.'

- Zawždy co innego prawicie, niż drudzy - odparła Kun-

-jdzia.

- Pan nasz i Apostołowie Nowinę nieśli, nie-wyświechtane prawdy, z którymi już świat żyć nie mógł. Siła się różni doktorowie nagłowiec musieli, by co .proste, wypaczyć. Nie dziw też, że prześladowają tych, co Ewangelię znowu głosić zaczynają.

- Przygodziło się wam co? - zapytała dziewczyna niespokojnie.

480

- Mnie nic. Tyle żem uchodzić musiał jak stałem, bo Bergardów tępić zaczęli we Wrocławiu. O bracie Dolcino myślę i siostrze Małgorzacie. Spotkałem tam jednego, co był w Bieliń przy jej męczeństwie...

Twarz Braciszka zmierzchła nagle głębokim smutkiem, a z wylupiastych oczu bezgłośnie polały się łzy. Kundzia patrzyła zdziwiona. Przystąpiła i gładząc jego czarne kudły zapytała cicho:

- Miłowaliście ją?

- Któż by mógł jej nie miłować?! Chyba ci sładzy szatana, co ten najpiękniejszy twór Boży potargali rozpalonymi obcęgami i spalili. Ale ani słowa skargi nie wydobyli z jej pięknych ust. Miłowałem ci ją, jak się miłuje ptaki, i kwiaty, i życie samo. Powiada Klemens z Aleksandrii: "Jako piętno zdradza zbiegłego niewolnika, tak piękno oblicza zdradza nierządnicę". Miast nienawidzić własnej chuci, nienawidzą jej przedmiot, choćby czystszy był niż lilie polne. Bóg dał światu piękno, by wypełnienie przykazania miłości ułatwić...

Wytańł hałaśliwie nos i dodał:

- Któż z nich, co się następcami Apostołów być mienia, za św. Piotrem powtórzyć może, jak ona: "Otośmy opuścili wszystko i poszli za Tobą". Biada pasterzom, którzy pasą samych siebie.

Zadumał się ponuro, a Kundzia nie przerywała milczenia. Po chwili podjął z westchnieniem:

- I ja jej naśladować nie wydołę. Gdzie rusz, palmę męczeńską chcą mi ofiarować i zawsze jakoś ochoty brak. Umiem diabła za ogon ciągnąć, a do rogów mu stanąć nie mam serca. Mizerny ze mnie człeczyna.

- Schwytali was we Wrocławiu?

- Ee! Zaś tam schwytali. Bracia wolnego ducha gminę tam założyli, która nie w smak była cechom, bo za nic im przepisy cechowe. Nie masz mistrzów ani uczniów, nikt drugiemu nie służy. Społem pracują i społem zaspokajają swe potrzeby, a ostanie, oddają ubogim. Tedy nam jednego dnia warsztaty poniszczyli i tłukli, kogo popadło.

481

Wawelskie wzgórze - 31

- I wiście z nimi pracowali?

- Nie. Lepszą częśćkę obrałem. Ja byłem ubogim. I tacy są potrzebni, bo komuż by oddawali, co im ostanie? A nie oddadzą, zbierać się zacznie, jako u innych. Daj diabłu palec, za rękę uchwyci.

- Dziwnie gadacie, ale dobry z was człek i radam, żeście

wrócili. Smutno samej i ciężko.

- Nikogo nie masz?

- Ostróżka wpadnie czasem jak po ogień, bo na Wawel zachodzi z wieściami z miasta. Kręci się tam, a teraz, gdy mieszczany z księciem w wojnie, gdyby go dopadli, nie zratuje go nikt. Lękam się o niego.

- Wie on o tym, tedy złowić się nie da. Radbym go obaczył, bo też wieści przyniosłem, zda mi się ważne. Nie przyjdzie on, sam chyba na zamek pójde.

- Siedźcież, póki nogi nie wydobrzeją. A na Wawel i tak was nie puszcza. I zamek i miasto jakoby w oblężeniu. Nie pilne, to chyba, a Ostróżka wpadnie, nie dziś, to jutro.

- A koniuszego nie masz?

- Wyjechał. Nawet pożegnać się nie przyszedł - odparła jakby z żalem.

- Nie trap się. Widno nie mógł. Lubi on ciebie, bo kto by cię nie lubił? A ludzki pan i wesoły, zgoła, od innych różny.

,Z każdym gada jak z człkiem; nawet z końmi. A Krzych? Gdy dziewczyna nie odpowiedziała, Braciszek westchnął:

- Spać chyba pójde, skoro gadać nie chcesz. Nie ma go, to wróci. Ciągnie tu do ciebie takich, co się gdzie indziej ogrzać przy kim nie mają.

Łatwiej było bramy miejskie zamknąć niż otworzyć. Z trudem przesiąkały do Krakowa wieści ze świata. Jedno było pewne: upłynęły trzy kwartały, bunt zamiast się rozszerzać, gasł.

Kraków został ostatnim jego ogniskiem. Tu się zaczęło, czy i tu się skończy? Jak ongiś na Waclawa, tak czekano teraz na Jana.

Jeno wówczas Łokietek chciał się z miastem układać. Teraz

~ 482 ""•'

układał się z wszystkimi, jeno nie z Krakowem. W Sandomierzu zbuntowani wójtowie Witko i Zygfryd wraz ze stronnikami siedzieli już w ciemnicy, oczekując swego losu. Łokietek ni ręki przyłożyć nie musiał. Wyzyskał rozdwojenie w mieście, tanio sprzedał wójtostwo Markowi i Ruprechtowi, byle je własnymi siłami objęli. Teraz czekał w biskupim Sączu na węgierską pomoc. Gdy ją otrzyma, walczyć będzie trzeba z nim nie o przywileje, lecz o życie. A już i w Krakowie rozdwojenie ukazywać się zaczynało.

Przywódcy buntu taili nawet przed najbliższymi, że Luksemburczyk nie nadejdzie. Na Morawach bunt wybuchł, stany czeskie odmówiły zarówno udziału w wyprawie, jak i zasobów na nią; ile Luksemburczycy mieli własnych, poszło na rzymską wyprawę.

Głowy przywódców coraz niepewniej zdały się trzymać karków. Mimo to Albert głowy nie tracił. Przypomniawszy sobie dawnego wroga Łokietkowego, który po dwakroć już wspierał obcych książąt przeciw niemu w walce o Kraków. Prowadzone przez całą zimę z Bolkiem Opolskim układy dały wreszcie upragniony wynik. Stary książę zgodził się objąć miasto jako namiestnik czeskiego króla i własnym wojskiem je obsadzić. Ci, którzy dla uchwycenia stanowiska i władzy przed rokiem bunt rozpalili, teraz oddawali je w obce ręce nie tylko chętnie, lecz

z radością. Wójt nawet z własnego gródka zobowiązał się ustąpić. Wszystko było im lepsze, niż powrót Łokietka.

Zawarty układ trzymano jednak w tajemnicy, Łokietek bowiem, mając już cały kraj w rękę, uprzedzony na czas, mógł nadejściu Bolka przeszkodzić. W ogólnym też przygnębieniu minęła wczesna, Wielkanoc 1312 roku. Błotniste ulice nie były ludne, Rynek niemal opustoszały, bo kramy z żywnością, które zazwyczaj uginały się o tej porze od wymyślnego jadła, stały niemal puste. Niektórych nawet nie otwarto. Scholarze jeno i młodzież rzemieślnicza, wywabieni pierwszym wiosennym ciepłem wyprawiali swoje igry, paląc po ulicach róg i inne cuchnące przedmioty, zszywając w ścisku po kościołach kapoty mieszczanom, niewiastom przypinając kurze łapki, lejąc inkaust

~ 483 ~

do kropielnic. Zazwyczaj odnoszono się pobłaźliwie do tych wybryków, ninie budziły złość i gniewy. Nie było radości w święto Zmartwychwstania.

Natomiast w trzy dni później załapa Kraków radość niespodziana, jak wiosenna powódź. Śpiące jeszcze ciężkim snem utrapienia miasto obudziły o świcie dźwięki dzwonów. Ten i ów zrywał się zaniepokojony i narzuciwszy na siebie byle co, bo ranek był chłodny, wybiegał na ulicę. Po dwudniowych ulewach wstawał świetlisty dzień. Z wezbranych zalewisk Rudawy i Niecieczy podnosił się lekki opar, który nasyczał się światłem z każdą chwilą, aż wreszcie przebiło go obmyte ze snu słońce i wzniosło się ponad dachy, zasypując blaskami błotniste ulice i place. Dzwony biły nadal, ale dźwięk ich był uroczysty i radosny, a wraz z nim rozchodziła się wieść, że odsiecz nadeszła. Podawana z ust do ust uniosła się przez opłotki, niecąc radość jak pożar. Kto żył, przybierał się odświętnie, mury roiły się od ciekawych, choć spędzała ich straż. Ale już gnali Wyśłani do mistrzów przez starszyznę cechową wyrostki z rozkazem, by z godłami i chorągwiemi stawili się w Rynku. Ciągnęły też zakony i bractwa, ulice wypełniło morze głów, które zakołysało się i z szumem popłynęło ku Sławkowskiej bramie. Wieść już była pewna, że tędy wejdą do miasta wojska Bolka Opolskiego. Jakóż poprzedzani strażą z miejskich pachołków, dostojnie i okazale, z laskami o metalowych gałkach w rękę, z łańcuchami na piersiach, szła w pełnym składzie Rada i Ława. Na czele kroczył wójt Albert. Na twarzy miał zwyczajną powagę, ale zniknął z niej wyraz troski. Czasem, gdy tu i ówdzie pokrzykiwać mu zaczęto, zjawiał się na niej uśmiech gorzkiego lekceważenia. Wczoraj jeszcze gdzie się pojawił, witało go ponure milczenie, Od bramy szedł krzyk i rozsypywał się po wąskich uliczkach, w które straż spychała tłumy, by przejście uczynić dla nadciągających; zbliżał się jednak ku Rynkowi, potężniejąc z każdą chwilą. Wytężonym głosem podawał jeden drugiemu, że wraz z Bolkiem wraca do miasta sam biskup. Nigdy jeszcze nie witano go z tak szczerą radością. Przyjazd jego zdał się poręczeniem, że koniec już będzie utrapieniom i biedzie. Zapowiedział,

484

że wróci ze swoim księciem. Jechał teraz w czerwonych szatach

na białej klaczy, wielki i wspaniały, po prawicy przybranego, w lśniącą zbroję siwowłosego Bolka, któremu jako namiestnikowi czeskiego króla oddawał stolicę Polski. Ochryplymi już z wysiłku głosami ryczał tłum na cześć Jana Luksemburskiego, od którego spodziewano się spokoju i chleba. Znowu stanął otworem drogi dla handlu, nawet przez utracone Pomorze. Jan bowiem w przymierzu jest z Krzyżakami. Tłum oblatywała wieść, że Bolko poraził wojska Łokietka. Prawdziwość jej zdały się potwierdzać świeże widocznie rany niektórych rycerzy z Bolkowego pocztu. Kilku leżało na ciągnących za nimi wozach, pochód zaś zamykało stado wołów. One jedyne, mimo że również witały je radosne okrzyki, stapały ociężale i niechętnie, jakby wiedząc, że idą na rzeź.

Przed ratuszem, wobec całego pospólstwa, wójt uroczyście wręczył księciu na purpurowej, aksamitnej poduszce klucze od miejskich bram, po czym orszak skierował się do Gródka. Po raz ostatni wójt, jako jego gospodarz, ucztę zastawił dla księcia i dostojników. Gródek objąć miał na rezydencję swą Opolczyk, póki nie zdobędzie Wawelu. Tłum zaczynał się rozchodzić, wszyscy spieszyli na biesiady, by odbić chude święta. Przejadano zapasy, schowane na czarną godzinę, chętnie wierząc, że jej widmo pierzchnęło jak cień przed słońcem. Na Rynku ukazały się towary, z przedmieść ciągnęły wozy z żywnością. Miasto zmieniło oblicze, jakby kto kartę odwrócił.

Jak fala wiosennej powodzi, radość przyszła i odeszła. Mniemane zwycięstwo nad wojskami Łokietka zmalowało do nic nie znaczącej bitwy, w którą, objeżdżając z kilkunastu ludźmi okolicę, wdał się był komes Tomisław, łowczy krakowski, niespodzianie napotkawszy ciągnącego do Krakowa Bolka. Natomiast już nazajutrz po wejściu Opolczyka do miasta wysłani do podmiejskich osad i wsi pachółkowie, wrócili obdarci i pobici. Bramy znowu zamknięto, a po żywność trzeba było wysyłać pod osłoną zbrojną i coraz częściej miast niej przywożono pobitych i rannych. Jak kruki do ścierwa zbiegały się nie wiadomo skąd gromady zbrojnych ludzi, które same niezdolne niczego prze-

~ 485 ~

ciw miastu przedsięwziąć, przeszkadzały jednak w dostawie żywności. Szarpana z obu stron spokojna ludność wieśniacza zabierała szczupłe resztki zapasów, jakie jej na przednówku pozostały i uchodziła, zostawiając puste obejścia. Wójt Albert zażądał od księcia Botka osłony jezdnych, by sięgnąć do dalszych okolic, ale książę odmówił: nie będzie bitew zwodził o parę baranów czy kilka worków zboża. Gdy go namawiano do przyjęcia, zwało się, że żywność dla wojska będzie zapewniona. Wójt winien rad być, że książę jej dla siebie od miasta nie żąda. W miarę jednak jak czas płynął i jemu coraz trudniej było o żywność. Pod koniec kwietnia na wszystkich wiodących do miasta drogach panowały wojska Łokietka, połączenie ze Śląskiem było niemal zerwane, pętla dokoła Krakowa zaczynała się zaciskać.

Wiadomo już było, że Jan Czeski nie przybędzie, Łokietek

zaś otrzymawszy pomoc węgierską, dość ma siły, by skończyć ze zbuntowanym miastem. Ziemia podeschła i okryła się zieleńią, pora do uderzenia była już sposobna, Włodzisław jednak nie uderzał. Widno żałował sił i postanowił miasto wziąć głodem. Sam siedział jeszcze w Starym Sączu, ale na Wawelu zjawił się kasztelan Jaśko, na czele wojsk ściągniętych z południowych grodów. Wezwał zaraz podkanclerzego Zdzisława, z którym jakoweś pismo układali, a Ostróżka nocną porą poniósł je na Gródek. Wreszcie jednego dnia z węgierską jazdą zjawił się sam książę.

Wiadomo było, że sprawy mają się ku końcowi.

#### XLVI

W wiosna obiegła miasto puszystą pianą białoróżowego kwiecica sadów, złotem jaskrów docierała pod mury przez łąki i rowy; pod ciepłym wiatrem z południa zaczynał szemrać młody porost trzciny na stawach, których błękit mienił się w jego tchnieniu rdzawozielonymi odcieniami, jak aksamit z Arras. Nie wdarła się jednak wiosna do miasta, sterczącego w tym morzu barw, jak szary, skalisty, bezpłodny, najeżony basztami ostrów, z którego smutnymi oczyma wygłodniałe gromady mieszczan patrzyły na rozkwitły i nabrzmiały życiem świat. W ich dworach podmiejskich, dokąd przenosić się zwykli, gdy jeno cieplejszy wiatr zaczynał przeganiać po mieście złe zapachy z rynsztoków i latryn, stały teraz Łokietkowe wojska. Koło zabudowań płonęły wieczorami wielkie ogniska. Ten i ów z mieszczan, patrząc na swą, znaną niemal do liści na drzewach siedzibę, widział, że tu ubyłó płotu, tam zniknęła korona ulubionego drzewa; a jak po wojsackim pobycie będą się przedstawiały miłe wnętrza, zdobione od lat złotem i sztuką najbieglejszych rzemieślników, lepiej nie myśleć.

Średnie mieszczaństwo martwiło się jeszcze o swój dobytek, ale uboższemu zaglądał już w posmutniałe oczy głód, a patrycjuszom - śmierć. Przywódcy buntu chcieli jeszcze wierzyć, że bez ich zgody nikt miasta opanować nie zdoła, ale załoga Bolka Opolskiego, ciężąc miastu żołnierską swawolą przypominała, że już i tak nie są panami u siebie. Nadzieja, że nadejdzie odsiecz króla Jana zgasła w mieście, Łokietek zwlekał jednak z rozpoczęciem walki. Tedy pewny swego być musi.

Głód zaś pełznął od dołów, dosięgając najpierw tych, którzy

~ 487 ~

najmniej mieli powodów obawiać się zwycięskiego księcia. Zacięty jest, ale powściągliwy; całego miasta zniszczyć nie zezwoli, ni w pień wyciąć mieszkańców. Przywódcom buntu jeno nie daruje. Dla nich jedna była droga ocalenia: jak najrychlej od buntu odstąpić i nieszczerą wiernością kupić łaskę zwycięzcy, pomagając do zdobycia miasta. Ale i ta droga nie dla wszystkich była otwarta. Dlatego nieufność czaiła się w spojrzeniach; zaczęli się wzajem śledzić i donosić.

Stary zaś książę Bolko, siedząc samotnie na wójtowskim Gródku, stawał się coraz bardziej milczący i niedostępny. Może wspominał młode lata, gdy po stronie Probusa walczył o krakowską stolicę z Kazimierzem Mazowieckim, któremu Wło-

dzisiaj wówczas pomagał dobijać się tronu; Bolko do dziś pomni jego zaciętość i uporczywość w bitwie pod Siewierzem, gdzie pobity i ranny, dostał się w Włodzisławowe ręce i jeńcem wjechał do Krakowa. Wykupił się wówczas. Teraz chciał wyzyskać ciężkie położenie dawnego przeciwnika, sądząc, że Łokietek będzie zmuszony zwrócić siły gdzie indziej. Wrychle pomiarkował, że Włodzisław zawziął się na Kraków. Skoro się zawziął, to go dostanie. Bolko przeżuwał niemiłe wspomnienia. Na ratuszu natomiast tłumnie było i głośno, Rada i Ława zasiadały niemal bez przerwy. I im jaśniejsze się stawało, że położenie jest bez wyjścia, tym bardziej gorączkowo go szukano. Zrazu nieśmiało, potem coraz natarczywsze podnosiły się głosy, że miasto poddać należy. Przez klasztorne mury docierały one do Muskaty. Po raz pierwszy w życiu rad był, że nie zasięgano jego zdania i zapominano o nim w zamęcie. Miał o sobie samym dość do myślenia.

W wigilię Wniebowzięcia NMPanny Peter Guis zażądał otwarcie wydania miasta Łokietkowi, a gdy go zakrzyczano, wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Albert cisnął za nim jeno groźne spojrzenie, ale brat wójtowy Henryk powiedział:

- Trzeba go mieć na oku. Przyjdzie czas, to się z nim policzym.

Do nowej Rady weszli następcy Petra w Ławie, sołtys Petzold z Rożnowa i Ortlib. Spodziewano się, że niespodziane go-

~ 488 ~

ności zachęcą ich do wytrwania i przynajmniej w Radzie rozwojenia nie będzie. Ale jeno się rozeszła, doniesiono wójtowi, że prosto z ratusza do Guisa udali się rajcy: Henryk z Wysockiego Domu, Peter Moric i Henryk z Kocierza.

Wójt Albert szedł do domu brata, przy ulicy Braci Bosych, gdzie zamieszkał. Do niedawna uważał miasto za swą własność, którą może ofiarować, komu zechce. Teraz nie był panem nawet na swym Gródku. Jeszcze głowę nosił górnie i przemawiał z oschłą wyniosłością, ale twarz 'mu wpadła, a głowa szybko okrywała się szronem. Dla niego nie było wyjścia przez układy, czy poddanie. Walczyć musiał do końca, z głuchą rozpaczą widząc jak topnieje siła, na której jego pewność i buta były oparte. Im tylko zawdzięczał, że dał ucho podszeptom Muskaty, który nie mogąc inną drogą dojść swego, tę obrał dla swoich celów. Albert zawierzył biskupowi, że Łokietek, szarpany na północy i wschodzie, klątwą i interdyktem obłożony przez legata papieskiego, ugnie się pod utratą stolicy. Nie dość go znali, nie ugiął się. Wtedy dopiero Albert zrozumiał, że korzyści, jakie wójtowi i miastu obiecywała zdrada, niczym są wobec ceny, jaką zapłacić przyjdzie w razie przegranej. A teraz przychodzi płacić.

Noc już zapadła. Wójt z zaufanymi ludźmi siedział przy kubku, ale napój nie podnosił ducha. Jedyne tylko młody Petzold, upojony jeszcze świeżym dostojeństwem, nadrabiał chępliwością. Ale inni słuchali niechętnie i rzadko kto jakie słowo rzucił. Złączył ich zły los, ale nie słowami go odwrócić. Wójt milczał i patrzył na kuty świecznik krakowskiej roboty, w któ-

rzym dopalały się już woskowe świece. Wkrótce umilkł i Petzold, widząc, że jego słowa nie znajdują oddźwięku. Pryskanie wosku było jedynym odgłosem, który przerywał ciszę.

- Późno już - powiedział Henryk.

- Wino wypite i świece wypalone - zaśmiał się gorzko

Hanuś. - Czas spać.

Powstali wszyscy, zegnając się w milczeniu. Henryk zapytał brata, który siedział nieporuszony:

- Ostaniesz na noc?

~ 489 ~

- Nie czas spać - odparł Albert. - I duszno tu jakoś.

Przejdę się po murach. Prosiłbym też, aby wasze czeście rozdzielili obchody po północy. Mało komu teraz zaufać można, a pilnie baczyć należy na wszystko.

Wstał i skinąwszy głową wyszedł.

Noc była pogodna i ciepła. Wielki księżyc wytoczył się nad miasto. Cienie stały się krótkie i czarne, kamienne budowle świeciły bielą, na szczytach zmalanych wież i baszt grały zimne płomyki, a latarnia przy bramie ratusza, dokąd zmierzał Albert, świeciła niepewnym, przytłumionym blaskiem.

Straż powitała wójta niedbale; przeszedł mimo, jakby jej nie zauważył, zmierzając do izby radnej, gdzie pozostawił hełm i miecz. U wejścia natknął się na Nosderkę, który na jego widok, niechając zwyczajnych pokłonów i przemówień, zakrzyknął:

- Biskup jest u Bolka, a w waszym Gródku coś ci się niezwykłego dzieje.

Wójt odwrócił twarz od światła, a głos miał ochrypły, gdy zapytał na pozór spokojnie:

- Cóż takiego?

• - Nie wiem. Ale byłem u braci predykantów u jednego znajomka, którego mi rzekł, że biskup udał się do księcia. Wyszliśmy przed furkę od Szkolnej ulicy i stali gadając o tym. Cicho było, jeno od waszego Gródka ruch jakowyś słyhać i ani 'chybi, skrzyp furty mnie doszedł w Mikołajskiej bramie. Znam ja tu każdy głos w mieście, nie mylę się. Kto i po co mógł nocą z miasta wychodzić? Poszedłem się tedy tam wełgać i obaczyć. Straż stoi przy furcie od Krowiej ulicy i nie puszcza. Udałem, że was szukam, choć wiedziałem, że na ratuszu radzicie. Strażnik mi na to: "Do biesa z twoim wójtem. Wynoś się, bo cię drzewcem zdzieję". Widzę, że źle, tędym tu przybieżał. Rzekli mi, że Rada już się rozeszła, ale jakem wasz hełm i miecz obaczył, wiedziałem, że wrócicie.

- Pójdź ze mną - rozkazał krótko wójt.

Wyszli na zalany księżycowym światłem, opustoszały Rynek. Wójt skierował się koło wielkiej wagi w Szkolną ulicę.

Nosderka zapytał niespokojnie:

~ 490 ~

- Na Gródek myślicie iść? Zdałoby się pierw wiedzieć, co się tam wyrabia.

- Do Starszego rzeźniczego cechu. Niech swoich ludzi zbierze i Gródka niech pilnują, bo do nich to należy.

- Juści - odparł nieco uspokojony Nosderka. - A będą



pilnowali, bo nie daj Bóg, gdyby Łokiet zajął miasto, im pierwszym nie przepuści.

Zająknął się, bo pomyślał, że będą i tacy, co przed rzeźnikami pójdą na hak, a on między nimi. W tej chwili pożałował, że pchał się do urzędów i godności. Ale marzyły mu się dostojęstwa, majątność, nawet sława. Związał się z Niemcami, bo wierzył, że nikt i nic z miasta ni kraju wyprzeć ich nie zdoła. Teraz widział, jak nawet niejedyn z nich chował pychę, niczym kot pazury i radby choć żywot ocalić, odstępując swoich. I on by odstąpił, gdyby się jeno dało. Ale nim zajmie się Ostróżka. Gdy o tym pomyślał, uczyniło mu się naprzód gorąco, a potem zimno. Obejrzał się trwożnie, jakby na pustym placu, zalanym światłem księżycy, które zdradzało najdrobniejszy przedmiot, mógł się czaić ten szatański pociotek. Teraz wierzył, że sam diabeł ocalił niegdyś Ostróżkę z rąk mistrza. Miasto ze swymi zaułkami i zakamarkami, które znał jak swoje, zdało mu się zbyt ciasne i przejrzyste, by udzielić schronienia. Toteż uczeplił się jedynej nadziei, że Kraków się obroni. Powiedział, siląc się na pewność:

- Rzeźnicy - naród bitny i zawzięty. Nie dadzą się.

Albert spojrział na Nosderkę z roztargnieniem. Dopiero po chwili odparł:

- Gdy mu do gardła sięgają, każdy jest mężny i zacięty.

I nam to jeno ostało.

- Myślicie, że przyjdzie nam ginąć - zapytał Nosderka drżącym głosem.

Tęgi był, ale na samą myśl o walce na śmierć, zdało mu się, iż ziemia ugięła się pod nim. Za nic nie chciał umierać. Myśl jego pracowała gorączkowo, aż zatrzymała się na jednym: musi wyjść z miasta. Także po podgrodziach i osadach zna każdy kąt. Opanował się na tyle, że myśleć zaczął, jak postanowienie wyko-

~ 491 ~

nać. Jeszcze się zawahał: mimo wszystko i tak mogą go schwycić; ale nawet w tym wypadku nie musi trafić na Ostróżkę. Nie diabeł to przecie, by wszędzie być. Powie, że uciekł od zbuntowanych i wyda wszystko, co wie; a wie dużo, potrafi się uczynić potrzebnym. Jeno czasu tracić nie należy, uciekających może być więcej, on musi być jednym z pierwszych.

Zagłębił się w swych myślach tak, że wójt musiał dwa razy powtarzać polecenie, by Nosderka odszukał Starszego Sonne, ylessera i kazał mu zgłosić się do niego. Popędził, jakby g(r), już ścigano, ale miast spełnić rozkaz, wpadł do swej gospody przy Swiniej ulicy i z zagłówka wydobył sakiewkę z uciulanym pieniądzem. Trzeba ją mieć przy sobie, jeśli uda się zemknąć z miasta; może już nigdy do niego nie wróci. Żal ścisnął mu serce. Siedział tu od wyrostka, różnie bywało, ale zawsze czuł się u siebie. Ostatnio szło mu dobrze a obiecywało się jeszcze le- ^  
piej. I wszystko rzucić trzeba, iść na niepewny los.

Przez uchylone okno widniała w księżycowym świetle zębata linia domów przy ulicy Sw. Ducha, a dalej na północ świeciły wieże św. Krzyża na czarnym tle wysmukłych topól.

Wszystko zdało mu się w prześwielonym powietrzu zmalęte.'

<r ale swoje, tak dobrze znane o każdej porze dnia i roku. Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że złoto, to jeszcze nie wszystko. Kochał złoto, ale miasto weszło mu w krew. Żył tu przecie długie lata bez pieniędzy, nieraz było głodno, ale nigdy źle. Gdyby mógł oddać kiesę i zostać, nie zawahałby się.

Usiadł na wyścielanej ławie, która służyła mu za łożo. Coś go gniotło w piersiach i ścisnęło gardło. Chciał tu pozostać jeszcze choć chwilę. Krzepił serce nadzieją, że wróci, a strach przypominał, że trzeba już iść.

Siedział jeszcze, ale odgonił wspomnienia. Należało przemyśleć, którędy wyjść z miasta. Najłatwiej byłoby koło Gródka. Tam stoją wojska Opolczyka, który też coś knowa. Nieprzezornie jednak sam zwrócił uwagę wójta na część murów, obsadzoną przez Bolka. Z kolei przyszedł mu na myśl sad koło klasztoru braci mniejszych, przylegający do murów od południa i zachodu. Pamiętał dobrze, jak się tam dostać, bo nieraz, jesz-

~ ' 492 ~ •  
cze jako scholarz kradł tam owoce. Za murami zaś od tej strony przestrzeń jest niezamieszkała, stawy i bagniste groble, wojska nie mają gdzie stać, najwyżej strażę. Ale Nosderka znał wszystkie ścieżki i przejścia, potrafi strażę uniknąć. Najtrudniej będzie kćło grobli nad Wisłą, ale gdy ją minie, łatwo już przedostanie się na Śląsk. Może do Zatora, gdzie ani chybi zjedzie Muskata, jeśli i jemu zbiec się uda. Nosderka jeszcze nie wyzbył się wiary w potęgę biskupa. Może z nim wróci.

Wymknął się cicho. Teraz już wołał nie zwracać na siebie uwagi, dlatego szedł ostrożnie, przemykając się w cieniu opłotków. Ulgę przynosiła mu myśl, że w rzeźniczym kwartale nie wolno trzymać psów, które oznajmić go mogły. Nie lubił zresztą psów od czasu, gdy złowili psa Ostróżki. Kundel wzięty na powrót, nim mu oczy uciekły w głąb czaszki, patrzył na Nosderkę niemal ludzkim spojrzeniem, jakby coś mówić chciał, ale jeno zacharczał i po wszystkim. I tak był potłuczony, cóż było z nim począć? Nosderka czuł jednak, że takiego usprawiedliwienia nie przyjąłby Ostróżka. Szedł, bacznie nasłuchując. Cisza była.

Gdzieś daleko, koło św. Floriana obwołały się strażę, zew szedł wzdłuż murów, obleciał miasto, po czym ucichł. Cienie stały się dłuższe, przestrzeń między domami zaczynał wypełniać mrok, a gwiazdy zaiskrzyły się silniej. Do zachodu księżycy nie było daleko. Nosderka pomyślał, że lepiej poczekać. Światło nie było mu potrzebne, a mogło go zdradzić. Postanowił przejść mur koło narożnej baszty od strony Wawelu. Rudawa rozlewała się tam szeroko, ale płytko, można ją było przebrnąć. Trochę zbyt blisko zamku, ale i mniej pilnują. Spuściwszy się z muru stał przez chwilę nasłuchując. Gdy się upewnił, że nie zauważył go nikt, chyłkiem, od krza do krza, dotarł do rzeki i wszedł w wodę.

Prąd był słaby, ale spychał go, woda miejscami dochodziła do pasa. Nosderka zasapał się na przepławie, bo dno było grząskie i muliste, ale gdy znalazł się na drugim brzegu, odetchnął. Najgorsze miał za sobą. Nabrał ducha i ruszył.

Od stóp Wawelu ku Wiślniej bramie leżał szereg stawów,

wzdłuż których wiodła wydeptana wśród gęstego sitowia, kręta'

~ 493 ~

ścieżka, rozdawając się w pół drogi. Nosderka stanął; rozważyć musiał, czy iść odnogą wśród bagien ku mostkowi na głównym korycie Rudawy, czy podmokłą łąką ku gościńcowi na Zwierzyńcu.

Rozważania przerwały mu głosy nadchodzących od strony zamku ludzi. Skoczył przed siebie i omal nie wpadł na drugą straż, idącą od grobli. Ukryć się było za późno, mogli go już dostrzec. Stał, usiłując uspokoić rozkołysane serce.

Straż zatrzymała się, patrząc na niego podejrzliwie. Przemówił pierwszy, siląc się na spokój:

- Z miasta idę do księcia. Wieści mam ważne.

- Idź no przodem - odparł idący na czele wojak. - Będziem wracać na zamek, zabierzem cię. Ciepło wam w mieście?

- Jeno samemu księciu mogę rzec, co mam do powiedzenia.

- Nie moja sprawa. Pójdźmy!

Ścieżka wchodziła w opłotki zabudowań dworku niedaleko Wiślniej bramy. Przez okiennice przesączało się światło, ktoś czuł. Weszli do wnętrza przez ciemną sień. Gdy otwarły się drzwi od świetlicy, Nosderka zauważył niezwykle rosłego i barczystego męża, a raczej jego plecy, gdyż siedział przy stole odwrócony od wejścia i spożywał wieczerzę. W zbroi był, jeno hełm i miecz leżały przed nim na stole. Widno skądś przyszedł, lub zbierał się iść. Gdy odwrócił się, Nosderka od pierwszego rzutu oka poznał Krzycha.'

Serce mu zadrżało, ale Krzych zdał się jego nie poznawać.

Gdy dowódca straży oznajmił, że przyprowadził zbiega z miasta, który z księciem chce mówić, Krzych obojętnie wskazał Nosderce ławę, a sam powrócił do wieczerzy.

Nosderka uspokajał się zwolna. Krzychowi wkońcu nic nie winien. Co tam zaszło między nimi - rzecz drobna, a lata już minęły. Zastanawiał się nawet, czyby się nie przypomnieć, to znów krzepił się myślą, że zmieniony jest do niepoznania. Ale poczucie bezpieczeństwa, ledwo się w nim zapaliło, zgasło.

W sieni posłyszał głosy. Jeden z nich znał tak dobrze, że nie mógł się pomylić. Mrówki przeszły mu po plecach i uczyniło mu się słabo. Szybko odwrócił się od światła i głowę ująwszy w dło-

~ 494 ~

nie udawał, że drzemie. Nie pomylił się istotnie. Nosderka nawet spojrzeć nie potrzebował by poznać koci chód Ostróżki, który odezwał się do Krzycha:

- Książę kazał ci przyjść na zamek, jako i innym przywódcom. Zda się, że kończyć będziem rychło. Opolczyk za sto grzywien wyniesie się z miasta...

Krzych przerwał mu, ręką wskazując na Nosderkę. Ostróżka zaśmiał się jeno:

- On już nie powie nikomu.

Podszedł do struchlałego Nosderki i ująwszy go za brodę, zwrócił jego twarz ku światłu, mówiąc:

- Czemuż chowasz oczęta, sławetny pisarzu wysokiej Rady? Dobrze, że pisać teraz nie musisz, boby krzywo wyszło; trzę-

siesz się cały. Ale my bez pergaminu załatwimy sprawę. Nosderka błagalny wzrok zwrócił na Krzycha, który widno poznał go już przedtem, bo ani nie spojrział. Zacinając się i przyspieszając, zaczął Nosderka mówić, jakby się bał, że nie dadzą mu skończyć:

- Jam tu z dobrej woli przyszedł. Wszystko powiem: kto do ' buntu podzegał, kto się przeciwiał, jaka załoga gdzie stoi i kórędy do miasta wejść najłacniej... wszystko, wszystko... Ostróżka usiadł na łożu naprzeciw Nosderki i patrzył na niego z drwiną:

- Jakbyś czego zapomniał, to ja ci mogę dopowiedzieć. Skromnyś i o sobie pewnikiem nie będziesz pamiętał. I niczego w zamian żądać nie będę, a ty byś życie za to chciał kupić?

Prawda, że i ono szeląga nie warte, tedy nic z targu.

Krzych biorąc hełm i miecz, powiedział:

- Idę na zamek. Ty ostań tu, póki nie wrócę.

Jakby na widok odpływającej deski ratunku, Nosderka rzucał się na kolana:

-• Weźmijcie mnie z sobą. Ostróżka się przechwala. Nie może wiedzieć tyle, co ja.

- Każe cię książę przysłać, to pójdziesz - odparł Krzych i minął klęczącego jakby z obrzydzeniem. Ostróżka zaśmiał się:

~ 495 ~

- Szukałeś mnie, a gdyś znalazł, nie radeś gadać ze mną w cztery oczy. Znamy się przecie tak dobrze i dawno. Mimo strachu, jakiego napędzał mu sam widok Ostróżki, Nosderce słowa Krzycha dodały otuchy. Ma trochę czasu. Powstał, odchrząknął i udając, że przypomnienie bierze za dobrą monetę, zagadnął:

- Prawda! Siła się napsociło za młodu, jak to wyrostki głupie. Ale wspomnieć miło. Nie widzieliśmy się dawno.

- Nie ciebie winić. Szukałeś mnie przecie. A teraz znalazłeś i nie radujesz się jakoś.

Nosderka poznał, że Ostróżka drwi z niego. Sięgnął do innego sposobu:

- Wiem, że urazę żywisz do mnie, może i słuszną. Ale robiłem, co mi kazali. Minęło, trawą zarosło, pogodzić się mogę, tym bardziej, że i ja służyć chcę waszemu panu. A tym, co mam, z tobą się podzielę, jak z bratem. Czy to raz wrogowie się pojedną i żyją potem w najlepszej przyjaźni!

Ostróżka jakby nie słyszał, usiadł przy stole i wz"ęł się do jedzenia. Ukroił glon chleba, płat mięsa, nóż wbił w leżący przed nim bochen i jedząc odezwał się pełną gębą:

- Miałem ci ja psa. Pomnisz? Coście to mnie na niego ułowili. Co też się z nim stało?

- Nie wiem - odparł Nosderka niepewnie.

- A mówiłeś, że wszystko wiesz. No, widzisz. Pamięć ci nie dopisuje. Pies też robił, co ja mu kazałem, a tyś go za to na powrozie obwiesił.

Nosderkę ogarnęła rozpacz. Ostróżki nie przejedna. Rozłatane oczy uczepliły się rękojeści tkwiącego w chlebie noża. Czasu

nie ma, w każdej chwili ktoś może wejść. Na dworze noc jeszcze ciemna, Nosderka zna każdy krzew i każdą deskę w płocie.

Ostatnia sposobność, żeby ujść. Skoczył^-

Gdy ręka jego ponad barkiem Ostróżki sięgała do noża, Ostróżka zerwał się i przytrzymał ją oburącz, przerzucił napastnika przez siebie, aż jęknęły deski podłogi. Nosderka leżał bez ruchu, a Ostróżka klęczał mu na piersi. W jego oczach nie było gniewu a w głosie brzmiał jakby hamowany śmiech:

~ 496 'v

- I złyś, i głupi! Wagowałem się, czy cię za psa obwiesić. Teraz się już wagował nie będę. Zresztą sam wiesz, że to lekka śmierć. Pies ino zacharczał i już go nie było. Niektórym tu cięższa pisana.

Gwizdnął przeraźliwie na palcach. Gdy wpadło dwóch wojaków rozkazał:

- Powroza!

Krzych wrócił przed świtem i zastał Ostróżkę drzemiącego na ławie. Trącił go i zapytał:

- Gdzie Nosderka? Książę kazał go przysłać.

- Po cóż go pošlesz? Już ostygnąć musiał.

Młody rycerz spojrział chmurnie na Ostróżkę:

- Książę gniewać się będzie. A tobie cóż za pomsta nad bezbronnym? Serce masz jako wilk.

- A ty jako białka. Jenó cóż ci do mojego, gdy się z własnym uładzisz nie umiesz? A gdybym ja nóż dał Nosderce, jako ty Cedrowicowi miecz, to jeno śmiały się ze mnie - dodał z kpina.

Krzych zadumał się smutno. Nie ma nikogo, kto by mu pomógł dźwigać ciężar. Ostróżka trzyma go zawsze jakby na odległość ręki, niesposób zbliżyć się. Mimo to zapytał:

- Dobrze ci z tym? Mógłbyś przecie żyć inaczej.

- A ty byś nie mógł? Jenó szukasz tam gdzie nie najdziesz, a co jako na dłoni leży, tego nie chcesz...

- Ostaw - przerwał Krzych szorstko. - Nie to mi w myśli...

- Nikt nie wie, co drugiemu w myśli... gorzej gdy sam nie wie, czego chce.

- Dla siebie nie chcę nic. Pókim potrzebny, służyć będę księciu, a potem...

- Tedybyś się nie sumował, bo za Łokieta^pokoju nie będzie. Ale to nieprawda, jeno cóż pomoże gadać. Każdy sam musi swoje zgryźć.

Umilkli. Przez otwarte okiennice wtargnął chłodniejszy pod-

497  
wawelskie wzgórze - 32

wiew od rzeki i zachybotał płomieniem dopalającego się kaganka, którego światło pożółkło. Ostróżka wstał i zdmuchnął płomień. Izbę zaległ półmrok, z ciemnych ścian wystąpiły jaśniejsze prostokąty okien. Szarzało.

Ostróżka podszedł do okna i patrzył na widne na jasnym tle wschodniego nieba, zaczynające świecić jakby własnym światłem wieże i baszty. Powiedział do siebie:

- Mógłbym żyć inaczej, ale nie -chę. Tę się urodził i tu zdechnę.

Wójt Albert podczas obchodu spotkał na murach Sonnevlessera, zdziwiony, że Nosderce nie udało się go odszukać. Obeszli mury. Rzeźnicy czuwali pilnie, duch był dobry. I gdzie indziej wójt naszedł wszystko w gotowości. Nieco uspokojony zakolał do dębowej, nabijanej wielkimi gwoździami bramy domu, będącego niegdyś ojcową siedzibą, a ninie brata Henryka. Nie niecierpliwił się nawet, gdy mu czekać przyszło, nim zaspany odzwierny wyjrzał przez zakratowane okienko. Albert patrzył na znany mu od dzieciństwa widok. Rynek pusty był jeszcze, tłum, który się tu zazwyczaj przewalał, nie rozpraszał uwagi wójta. Wszystko to dzieło niemieckich rąk, a jeśli nie rąk, to głowy. Niemało ojcowej i jego własnej. Cóż tu było, gdy przyszli? Zgliszczą po tatarskim napadzie, przez lat szesnaście już do niepoznania trawą i chaszczami zarosłe. Stały wprawdzie Odrowążowy kościół NMPanny i pono Bolesławowy jeszcze św. Wojciecha, ale w ruinie. We dnie gruchały w nich gołębie, w nocy huczały sowy. Niemcy przynieśli tam z powrotem Słowo Boże we własnej mowie, własnym złotem ozłocili ołtarze.

Wójt patrzył na stopy cegieł i kamienia, piętrzące się pod cmentarnym murem NMPanny. Gdyby tu ostał, nie tak wyglądać będzie mieszczańska katedra: przysadziste wieże śmigną do góry, ściany się rozszerzą i podniosą, a w bocznej nawie ślubował własnym kosztem ufundować kaplicę i uposażyć altarystę, lly, gdy spocznie tam kiedyś, syt dostatków i chwały, w najdalsze wieki modły wznoszono za jego duszę.

"

~ 498 ~

Rozmyślenia przerwał mu szczęk odkładanej żelaznej kłody i skrzyp wierzwi. Wszedł do obszernej, sklepionej sieni, prowadzącej na przestrzał do oficyn i gospodarczych budynków.

Mroczna była, ale wójt znał każdy zakątek w tym domu. W połowie jej długości zamknięte żelazną kratą schody wiodły do górnych komnat i komór sypialnych.

Nie budząc nikogo wójt rozebrał się i rzucił na łożo. Znużony usnął zaraz.

Spał głęboko i spokojnie, Jak niegdyś, za dziecinnych lat. Nie zbudził go ani -gwar w Rynku, ani krzątania po domu, ani wdzierające się przez serca okiennic słoneczne promienie, które rozjaśniły przez chwilę komnatę i odeszły, zostawiając ją w półmroku.

Zbudził się już dobrze z południa i leżał jeszcze, oczyma wodząc po rzeźbionych belkach powały. Potem błędził wzrokiem po ścianach, wykładanych ściemniałym drzewem i obwieszonych burgundzkimi, barwnymi kobiercami, spływającymi na ławy, które stały dokoła ścian, pokryte poduszkami z barchanu lub skóry. Oczy pana wójta zatrzymały się na kutym, mosiężnym świeczniku, zawieszonym nad wielkim, dębowym stołem. Nie potrzebował, światła, by rozróżnić każdy szczegół. W tej komnacie przyszedł na świat, przy tym stole pito "kindelbir" - lat temu... ile? Już sześćdziesiąt! Ilu panów zmieniło się w kraju

i stolicy przez ten czas! A oni tu byli... I będą!

Wójt zerwał się z łoża. Nie da się złamać. Był tu panem i zostaniem. Jeno twardą ręką trzeba za kark ująć tych, którzy o poddaniu myślą.

. Kończył się ubierać. Zamierzał właśnie zadzwonić, by mu podano polewkę, gdy rozległ się tupot nóg na schodach i ludzkie głosy, a zaraz rozwarły się drzwi i wpadł ceklarz z ratusza.

- Czego tam, Hanko? - zapytał Albert.

- Pan Sonnevlesser wiadomość przysłał, że księżę Bolko odchodzi. Pyta, co ma czynić?

Wójt nic nie odrzekł i szybko wyszedł na Rynek. Jednym rzutem oka poznał, że wiadomość rozejść się już musiała, wzniecając niemal popłoch. Miast zwyczajnego widoku ludzi ciągną-

~ 499 ~

"  
cych w świąteczny, pogodny dzień do kościołów na nabożeństwo, ujrzał jak kręcili się niespokojnie, przystając to tu, to tam i szepcząc w podnieceniu.

Niemal nie zauważony wszedł do dynguza, gdzie panował gwar i gdzie zastał izbę natłoczoną ludźmi, którzy gadali bez ładu i składu, nie zwracając na niego uwagi. Gniew ogarnął wójta. Potężnym głosem krzyknął:

- Jarmark tu, czy sąd! Milczeć!

Z nagła ucichło. Wśród milczenia Albert przeszedł do sądowego stołu i stanął na podwyższeniu. Powiedział już spokojnie:

- Kto do Rady ni Ławy nie należy, precz stąd!

Wychodzili, szemrając. Peter Guis stał jednak i patrzył ponuro na Alberta. Wójt zwrócił się do niego:

- Zabyliście, żeście już nie na urzędzie?

- Niczego nie zabyłem. Ale los miasta i własny całospółstwo obchodzi, nie jeno panów rajców.

- Ale ich tylko rzecz o tym stanowić. Wyjdźcie!

- Nie wyjdę.

Patrzyli wzajem groźnie na siebie. Wójt wiedział, że jeśli stanowczości nie okaże, to koniec. Wychodzący zatrzymywali się, czekając co będzie. Wójt zaklaskał w dłonie. Gdy wszedł hutman, Albert wskazując na Guisa rzucił:

- W dyby!

Hutman zawahał się. Wójt powtórzył ostrzej:

- W dyby! • ^

Wśród ogólnego milczenia hutman wyprowadził Guisa. Z dołu dochodził szmer zgromadzonych tłumów. Wójt usiadł i zagał spokojnie:

- Odchodzi Bolko, krzyż na drogę. Nie ludzi, jeno spyży nam brak, a pana o jednego w mieście za dużo. Niech idzie, przed królem się sprawi z przeniewierstwa. Ale my bronić się ..będziem. Zjedliśmy krowy, to zjemy konie, a w końcu psy, ale Łokiet pod miastem wiecznie stać nie będzie, a siłą nas nie weźmie, póki nam serca nie zbraknie.

- Do szturm się gotuje- zauważył ktoś niespokojnie.

500

- Tedy Boga chwalić. Niech raz i drugi zęby na murach wyszczerbi, sił, które mu gdzie indziej niezbędnne, natraci, wnet

odstąpić będzie zmuszony. Jeno trzeba, by mężów zastał na murach, nie owce.

Wstał Suderman z Pisar i powiedział:

- Nas zagrzewać nie musicie. Wiemy, czego oczekiwać, gdyby Łokiet miasto zajął. Ale w pospólstwie serce upadło, bo widno - mówią - źle z nami, skoro Bolko uchodzi. Zatrzymać go tedy trzeba, namową czy złotem. A ludzi nam nie brak, jeno takich mało, co by wojnę znali. Jeśli Bolko zostanie, wraz się duch odmieni, jako to zwykle u pospólstwa.

- A my tymczasem układy wszcząć możemy z Włodzisławem. I jemu musi być pilno - dodał Isinbold.

- Nie ma układów, póki ja tu jestem - huknął wójt.

- Ale nie wy tu sami stanowicie. Nie myślimy swego gardła dać, by waszego bronić.

Stali grożąc sobie oczyma, ale z twarzy niejednego z panów widać było, że myśli to samo, co Isinbold. By zapobiec nieobliczalnemu w skutkach rozdwojeniu, Henryk wtrącił:

- O tym raCnić możemy później, a jedno pewne, że i układy łatwiej wszcząć będzie, gdyby Bolkowi w mieście ostali.

Widząc, że słuchają go wszyscy z przytakiwaniem, brat wójta ciągnął:

- Tedy do Bolka nam iść. Jeśli go Łokiet kupił, my więcej zapłacimy.

Gwar się wszczął. Mówili jeden przez drugiego. Wójt wstał:

-- Pójdźmy więc do Bolka. Kto ze mną?

Gdy jednak zgłaszali się wszyscy, powiedział:

- Nie pójdziem całą Radą, by zaś nie myślał, żeśmy go błażyć przyszli. Pospólstwo też ktoś uspokajać musi, baczyć, by go nie podburzano i przestrzec, że nie przepuścim nikomu, kto by w obronie chciał przeszkodzić. Pójdę sam, •Z bratem jeno i Sudermanem.

Spojrzał po obecnych. Nie wszyscy patrzyli mu w oczy.

Na Gródek nie było daleko, ale dla okazałości i by się tłumom pokazać, wójt konie kazał osiodłać. Gdy czekali u wejścia

~ 501 ~

na ratusz, już przez ciżbę leciała wieść, że starszyzna udaje się do Bolka, by go zatrzymać. Dwóch pachołków z halabardami szło przed małym orszakiem, by torować drogę, ale zbędne to było. Milczący tłum rozstępował się przed jadącymi, aż zniknęli za kościołem NMPanny. Tłum nie rozchodził się jednak. Widno •czekał na wynik poselstwa.

Przed główną bramą na Gródek wójt z towarzyszami zeskończyli z koni. Stojący na straży wojak zastąpił im drogę, ale Albert spiorunował go oczyma i weszli. Wójt szedł pewnym krokiem, jakby podkreślić chciał, że jest u siebie. Jeden rzut oka przekonał go, że przyszli w ostatniej chwili, jeżeli nie za późno. Podwórzec zatłoczony był ludźmi i końmi, widocznie gotowymi do drogi.

Przecisnęli się ku wejściu do dworca i bez zapowiedzi szli do komnat w zachodnim skrzydle, gdzie Bolko Opolski stał gospodą. 'Sam książę też był widocznie już na wsiadającym. Zobaczywszy wójta jakby stropił się z lekka. Odłożył hełm, który właśnie



wkładał na głowę, mówiąc:

- Wyjeżdżam. Na nic mi tu siedzieć.

Twarz Alberta skurczyła się. Hamując gniew zapytał:

- Przepuszczą to was spokojnie w biały dzień? '

-- Gdzie zaś biały dzień. Skoro mierzchnąć zacznie. Zresztą moja w'tym głowa.

- Juści, wasza. Jak i w tym, co rzeknie król, którego tu jesteście namiestnikiem. My jeno wiedzieć chcieliśmy, co Łokiet tu miał do powiedzenia? Ile wam dał?

Bolko poczerwieniał, ale i jego ogarnął gniew. Odparł wyniośle:

- Juści, zem tu królewskim namiestnikiem, tedy wam się sprawiał nie będę. Pomiarkowałem; że miasta nie obronimy, odchodzę. Myślicie wy inaczej, brońcie się, jeno mnie rozkazować nie będziecie. Nie stały nasze kołyski wedle siebie.

- Mógłbym was siłą nie puścić - odparł wójt. - Nie stoi. wasz stolec wyżej od mojego. Ale nie pytam po próżnicy. Ile żądacie, by zostać? Mogliście nas przędać Łokietowi, możecie nam jego.

~ 502 ~

Patrzyli na siebie groźnie. Bolko uśmiech wymusił na twarz:

- Każdy woli pieniądz wziąć, miast gardło dać; ale jeno głupi przęda gardło za pieniądz. Tedy żegnajcie.

Ruszył ku drzwiom. Albert zastąpił mu drogę. Henryk i Sunderman struchleli. Wójt mówił ochryłym głosem:

- Nie za darmoście tu przyszli. Mam wasze słowo książęce, że miasta bronić będziecie, póki prawy pan nie nadciągnie. Na rzeź nas wydać chcecie, a siebie na hańbę.

Bolko zaśmiał się zjadliwie:

- Nikt się nie wyzna, kto tu prawym panem. Pono każdy, kto siłę ma. Macie ją, tedy się brońcie, bo u króla Jana jej nie widzę. A hańba, mówicie? Kto tu i komu słowo zdzierzył? Nie ślubowaliście to wiary temuż Włodzisławowi. Ninie strach wam . przed nim, by was za wiarołomstwo nie pokarał. Ino byście na mnie nie pomstowali, zabiorę was z sobą, jako i biskupa.

Wójt cofnął się o krok:

- Niech nasza krew spadnie na waszą siwą głpwą. Ja tu ostanę.-

- Po co ma spadać? Pójdziecie ze mną. Strażą! - krzyknął.

Wpadli zbrojni, Tf stary książę, wskazując na mieszczan, powiedział:

- Z nami pojedą. Gdyby się opierali, związać.

Nie spojrzął na osłupiałych i wyszedł.

Wójt Albert jechał bezpieczny w stronę Śląska. Bolko ze złośliwym uśmiechem zwrócił się do miejskich dostojników, jadących z opuszczonymi głowami: •

- Bogu i mnie dziękować winniście, że głowy wynosicie całe. W gości jedziecie do Opolu, tedy strzecwas winieniem od jakowej po drodze przygody. Łokiet zdradliwy jest, Istotnie obstawieni byli jak jeńcy, ale i sam Bolko szedł jak na wojnę. Nie od dziś znał Łokietka i wiedział, że Włodzisław

zwykł płacić równą monetą za zdradę, podstęp i łamanie przysięg.

~ 503 ~

Wójt Albert nic nie odrzekł. Po chwili podniósł opuszczoną głowę i obejrzał się na swoje miasto. Noc już zapadła, jeno wstająca na widnokregu luna wskazywała położenie Krakowa. Daleko było, ale widno blask zapiekł Alberta w oczy, tak iż zamknąć musiał powieki i krwawa luna pozostała pod nimi, jako ostatni obraz miasta w którym się urodził, życie spędził i władzę sprawował, żadnej innej nad sobą nie uznając. Teraz czuł jednak, że nie żal władzy i bogactw ścisła mu gardło: zapadał się nie tylko gmach jego pychy, ale przeszłość i przyszłość, własna i dzieci. Wszystko, czym żył. Ale już i ten ostatni obraz zasłoniły lesiste wzgórza, a koń niósł go na niewiadome losy, ciemne, jak noc, lub loch, w którym spędził pięć lat przymusowej gościny u Opolczyka. Dokonał złamanego żywota w obcej mu już, dawnej ojczyźnie, w goryczy poniżenia i zazdrości wobec tych, co zostali, by pod twardą ręką Łokietka uczyć się posłuszeństwa i dzielić los z ludem, wśród którego osiedli. Za całą sławę została jeno pieśń o wójcie, co chciał być wszystkim, a został niczym:

"ad hoc traxit me natura  
quod est Almanorum cura,  
ut quocumque veniunt,  
semper volunt primi esse, •  
nemini prorsus subesse,  
ad hoc sic muniunt1."

\* "Natura niemiecka do tego wiodła;  
Niemiec, gdziekolwiek stąpi swoją nogą,  
Trzyma się zawsze stale tego godła:  
Wszystkich poniżyć, nie słuchać nikogo."

Wolny przekład średniowiecznej pieśni o wójcie Albercie wg Długopolskiego.

XLVII

riazem z wieścią o odejściu Opolczyka i zabraniiu przezeń wójta wraz z towarzyszymi, od wszystkich baszt i bram posypały się wiadomości, że nieprzyjaciel jawnie gotuje się do uderzenia. Zewsząd słychać było skrzyp toczonych machin, głosy rozkazów i tupot nóg końskich i ludzkich.

W mieście powstał zamęt i przerażenie, ale twardą ręką ujął wszystko Herman z Raciborza. Był jednym z głównych podżegaczy do buntu i jego przywódców, wiedział, że Włodzisław na niego najbardziej jest zawzięty, więc nic już nie miał do stracenia. Kilku co głośnieji gardlujących za poddaniem miasta ściąć kazał i bez przerwy, od zapadnięcia zmroku obchodził mury, grożąc, tłumacząc i zagrzewając. Liczył jeszcze na to, że jeśli miastu uda się niewątpliwy już szturm odeprzeć, duch znowu może się zmienić. W końcu liczył na szczęście, czy przypadek. Na jedno liczyć nie mógł: na przebaczenie księcia.

Gdy jednak Herman na murach gotował się do walki, w ratuszu toczyła się narada, a raczej wrzał spór: słać do księcia, czy nie? Tych, co się bronić chcieli, ogarniała rozpacz. Jasne już

było, że książę ma w mieście stronników, którzy nie tylko nie lękają się jego wejścia, ale go oczekują i w czasie walki na jego stronę przejść gotowi: już nie radzili by słać do księcia, ale wprost żądali, by mu bramy otworzyć. Krzyżowały się pogrożki i wyzwiska. Zarzucano im, że sobie zapewnili bezpieczeństwo a innych na rzeź chcą wydać. Skakali sobie wzajem do oczu. Noc już zapadła, ale nikt nie pomyślał nawet o zapaleniu świateł. W hałasie i mroku trudno już było rozeznąć, co i kto mówi. Poznano jednak wśród gwaru głos Keczera, gdy wrzasnął:

~ 505 ~

- O sobie jeno myślicie! Ale kto weźmie na siebie krew, jeśli Łokietkowe wojska siłą ogarną miasto? Róbcie, co wam się zda, ale i my to uczynim.

Roztrącając stojących po drodze, rzucił się ku drzwiom, a za nim inni, w zamieszaniu obalali sprząty i siebie wzajem.

W popłochu wypadli na Rynek i nagle zamilkli, jakby zarżeni milczeniem tłumu, zgromadzonego koło ratusza. W powszechnej ciszy słychać było od murów odgłosy walki. Władzi-sław nastąpił.

- Za broń i na mury - krzyknął Herman.

- Do bram! Otwierać- zawołał Piotr Moryc.

Tłum zakołysał się i zaszumiał, ale potężniejszy wrzask od murów zagłuszył inne głosy, a ostatnie odbłaski zachodniej zorzy zgasły w czerwonej poświacie, jaka zapaliła się na wschodzie.

- Gore! - zakrzyknął ktoś przeraźliwie.

Tłum rozprysnął się. Jedni pędzili do domów po wiadra i bosaiki, inni, by schować się lub zabezpieczyć mienie, gdy nieprzyjaciel wtargnie do miasta. Niektórzy stali jeszcze w osłupieniu, ale pustoszał już Rynek i ulice, a przed gwarnym dopiero co ratuszem zapanowała cisza. Natomiast dźwięk dzwonów i sygnaturek wmieszał się we wrzawę idącą od murów; zbliżała się ze wszystkich stron ku Rynkowi.

Łokietek był już w mieście; skończył się bunt, zaczynała kara.

Nad ranem przeszła nagła zlewa, gasząc wszczęty pod Sławkowską bramą pożar, który w zamęcie rozszerzyć się mógł i pochłonąć całe miasto. Przyroda zmiłowała się nad Krakowem, ale zwycięzcy nie mieli litości. Gdy pod naporem Łokietkowych wojsk pękła obręcz murów, spoza których rozzuchwalone powodzeniem mieszczaństwo ongi uragać myślało całemu światu, obrona rozsypała się w ręku przywódców, a kto wydolił, przeskakiwał na przechyloną ku Łokietkowej stronie szalę zwycięstwa. Pierwszy przesypał się motłoch miejski, gnieżdżący się na

~ 506 ~

przedmieściach i pod murami. Zdobyte miasto jest łatwym łupem, a dotychczasowi rządcy nie byli lubianymi panami. Toteż w miarę, jak walka posuwająca się od murów ku Rynkowi, zmieniała się w rzeź, każdemu wojakowi towarzyszyło już po kilku przewodników, wskazując drogę do domów co przedniejszych mieszczan, pomagając łamać dębowe bramy i żelazne kraty, za którymi skryli się buntownicy, jako za ostatnią zaporą.

Wywlekano zaszytych w zakamarkach swych obejść mieszczan. Jedni dawali gardło na miejscu, innych, wśród urągania gawiedzi, prowadzono na ratusz, gdzie jak śledzie beczkę, zapelnili kabaty. Krew ściekała po schodach domów, sączyła się przez progi wyłamanych bram, barwiła czerwono wodę w ściekach i znaczyła kroki zwycięzców na deskach chodników. Bogate sprzęty sypały się przez okna w błoto uliczne, wniwecz szedł dorobek półwiekowej pomyślności i zapobiegliwości, podstawa dumy i pewności siebie mieszczan. Wyniszczone tatarskimi napadami, przez lata odsunięte od wszelkich korzyści rycerstwo, brało swój udział w bogactwach na równi z pospółstwem,, któremu dotąd jeno głodnymi oczyma patrzeć było wolno na te'wszystkie świetności. Wojna równała stany.

Książę Włodzisław umiał jednak nałożyć wędzidło własnej i cudzej chciwości i nienawiści. Miasto było potrzebne, jeno samowolę i zdradę należało ukrócić. Toteż wnet po złamaniu oporu, przez wybite wieże Grodzkiej bramy wjechał do miasta sam książę na czele hufca jazdy, który pędząc rozproszył się na wszystkie strony, z surowym rozkazem zaprzestania rabunku i mordów.

W rzeźniczym kwartale jeszcze trwała walka. Liczny, 'bitny i najlepiej w karby cechowej karność ujęty lud rzeźniczy, miał dawne z księciem porachunki i nie mógł liczyć na pobłażliwość. W perzynę szło jądro buntu, oraz zacieklej obrony, wójtowski Gródek i okoliczne domy. Ale w Rynku już zbierała się ciżba, a nawet ciągnącego na ratusz na czele starszyny księcia witały tu i ówdzie okrzyki, jakimi tłum zwykł darzyć zwycięzcę. Przed ratuszem Włodzisław zeskoczył z konia i udał się na wyżkę do izby sądowej.

~ 507 ~

Tu czekali na księcia dawni stronnicy. Ci szczerze witali pana z radością niekłamana. I ich domy ucierpiały wprawdzie w zamęcie, ale nic to wobec oczekiwanych korzyści. Zwycięstwo Łokietka wynosiło ich na czoło mieszczaństwa. A przed nimi nawet mało komu dotychczas znanego Nićlasa Werzinga, cieszącego się szczególnym zaufaniem księcia. Mniej szczerze, choć może i głośniej witali pana nowi stronnicy, którzy nie tylko nie spodziewali się nagrody, ale nawet nie byli całkiem pewni, czy książę ich karać nie zechce. Stali zbitą gromadką, gdyż inni odsuwali się od nich, i umilkli trwożliwie, gdy Włodzisław, nawet głową nie skinąwszy na ich powitania, twardym krokiem wstał na podwyższenie, gdzie do ostatnich dni wójt zwykł był siedzieć. Wśród powszechnego napięcia czekali, co książę powie:

- Chcemy, by doszło do powszechnej wiadomości, że z powodu niecnoty, wiarołomstwa, odstępstwa, zdrady i zbrodni 'obrazy majestatu, których mieszczenie miasta naszego Krakowa najniegodniej względem nas, dziedziców naszych i ludu polskiego okrutnie się dopuścili, wydając miasto rzeczony książętom obcym, usuwając i wypędzając nas, swego prawdziwego pana i dziedzica - wszelkie z nadania naszego, przodków i poprzedników naszych służące rzeczonemu miastu prawa i przywileje konfiskujemy i za niebyłe uznajemy. •

- Wszystkim, którzy do bezecnego buntu- przeciw nam niegodziwej ręki przyłożyli, miast należną przywilejami i nadaniami zawarowaną pomocą nam służyć, - wójtostwa, sołectwa i wszelką własność zabieramy i konfiskujemy, by wiedzieli, że nie ma winy bez kary. Majętności te, prawa i przywileje nagrodę zasług stanowiąc będą dla tych, co wiernie i niezachwianie przy majestacie naszym stali. Tym zaś, co uwiedzeń! lub przymuszeni w porę się opamiętali i, od buntu odstępując, po naszej

stanęli stronie, szyję darujemy, a z majątności, co nasza wola i łaska.

- Ze zaś rządcy tego miasta przez nas i poprzedników naszych użyzycznej władzy niegodziwie na szkodę naszą, naszego ludu i królestwa nadużyli, przeto miastem rządzić i sądy w nim ~ 508 ~

sprawować będą mężowie godni naszego zaufania, których wyznaczymy.

- Z przywódców buntu zaś, ci którzy jeszcze nie dali głów pod miecz, dadzą je w ręce mistrza świętej sprawiedliwości, a będzie ona sądem naszym i baronów naszych bezzwłocznie im wymierzona, by zaś ostały na przyszłość świadectwo, pamięć i przykład.

Stali przed sądem z powrozami na szyjach i pętami na rękach, ze zwieszonymi głowami, jak obite psy; z opuszczonymi oczyma słuchali rejestru swoich win. Jedna noc starła butę i pewność siebie z zapadniętych twarzy, jak puch z motyla. Pozostało w nich jakby osłupiałe zdziwienie, że los może się odwrócić tak szybko, jak karta pergaminu, z którego odczytywał wyrok podkanclerzy krakowski, Zdzisław. Jedno za drugim padały nazwiska, na których dźwięk niedawno chyliły się głowy w mieście: Hanuś, czyli Jaśko, zwany Wójtem, rajca Paweł z Brzega, Godfryd Keczer, pisarz Rady, Herman z Raciborza zwany Habirkese i inni. Podkanclerzy czytał wyraźnie, z przestankami, jakby litanie odmawiał, by nie przesłyszał się nikt z wymienionych w>ty'm spisie. Czytał po łacinie, ale choć nie wszyscy rozumieli, znali swoje winy i wiedzieli, co wyrok zawiera: śmierć! Jeno jeszcze nie wiedzieli, jaką.

Gdy Zdzisław skończył czytać, zwinął i odłożył pergamin.

Dowiedzieli się. Spokojnym, równym głosem wyjaśnił po niemiecku: końmi mają być włóczeni po mieście, a potem wisieć tak długo, aż zgniłe ciała same spadną z powroza.

Trochę głos zadrgał podkanclerzemu, gdy zakończył po polsku; "a duszom waszym niech Bóg będzie miłosierny".

Twarze skazańców pobladły, głowy opadły jeszcze niżej, jakby już czuli na szyjach śmiertelny uścisk. Z oczu Jaśka puściły się łzy. Płakał bezgłośnie, trzęsąc się.

Gdy książę i panowie wyszli, zbrojna straż otoczyła skazańców, by ich wyprowadzić. Do Jaśka przystąpił Ostróżka. Stał przez chwilę, patrząc na niego drwiącym spojrzeniem i nagle i

~ 50& ~

parsknął śmiechem, od którego wzdrygnęli się nawet pacholko-

wie ze straży:

- Nad sobą umiecie płakać! Nie poznajecie mnie, panie wójcie?

Jaśko zwrócił zbolące, mgłą łez przesłonięte oczy na dręczyciela, co rzuconego, zda się, na dno ludzkiej niedoli wgniał jeszcze głębiej swą drwiną. Ledwo dosłyszalnym szeptem odparł:

- Nie!

- Nie dziw! Szkoda było pamięć zaprzętać szczeniakiem, co . zębów jeszcze szczerzyć nie umiał, jeno skomleć, gdy go wyganiają na mróz i głód. Dawno zdechnąć był winien.

Uchwycił Jaśka za brodę i podnosząc ku sobie jego twarz mówił:

- Choć teraz przyjrzyjcie mi się dobrze. Wówczas schylić się wam nie chciało by spojrzeć na dzieciaka, co błagał o życie . dla swego rodzica, któreście mu zabrać kazali za to, że krwią pomścił krwawą zniewagę. Wlokłem się u waszych nóg, ale ręce jeszcze miałem słabe; puścili. Dziś ja was powlokę... na powrozie; nie puści!

Jaśko twarz zasłonił związanymi rękoma, ale Ostróżka odtrącił je:

- Patrzcie, bo skoro jeno zad koński oglądać będziecie, a potem palce własnych nóg. Może przypomnicie mac' moją? Piękna była, wpadła w oko waszemu pociotkowi. Gdyśmy już głodni byli, potaniała, ale pierwszy raz trzeba było za nią krwią zapłacić.

Głos Ostróżki zadrżał a oczy zasłży mgłą, ale mówił dalej drwiąco:

- W godzinie śmierci grzechy przypomnieć trzeba. Prawie wam czasu starczy, gdy was przez miasto powlokę, ostrożnie, jak farfurkę, byście żal za nie mogli wzbudzić i świadomość mieli, gdy wam powróż pokutny zakładał będę na szyję, tam gdzie i Ją-

Urwał i splunął w twarz Jaśka, który jeno oczy zamknął.

Krzyknął na pachotków:

- Brać ich!

~ 510 ~

Z zamkowego podwórca ruszyli zwolna, jak procesja, ciągnąc za końmi skazańców, przywiązanych za nogi do orczyków, c Dla ludzi wleczonych po wybojach i błocie droga była daleka. Ręce im rozwiązano, by jak najdłużej chronić mogli od uderzeń głowy i żywi jeszcze zawiśli na szubienicach. Pochodowi zrazu niewielu ludzi towarzyszyło. Krok za krokiem zsuwali się ze stoków Wawelu, zmierzając przez Grodzką bramę na Rynek.

Milczenie przerywał jeno czasem okrzyk skazańca, gdy boleśnie' o kamień się ugodził. Nim jednak dotarli do bramy, towarzyszył pochodowi już tłum, który rósł w miarę jak pochód ciągnął przez miasto. Wieść o wyroku i egzekucji leciała z ust do ust i kto jeno ochłonać zdołał po wczorajszych wypadkach, wylęgał na ulicę, mimo, że znowu deszcz siąpić zaczynał, przybierając z każdą chwilą na sile. Niejeden ze ściśniętym sercem, przez współczucie szedł na ten pogrzeb żywych ludzi, większość tłumu stanowili jednak gapie, żądni niezwykłego widowiska. Za-

zwycieaj na kaźń prowadzono chudopachołków, nie co dzień trafia się patrzeć, jak końmi włóczą i wieszają najwyższych dostojników miasta. Chwilami ciżba gęstniała tak, że Ostróżka z trudem parł swego konia, głosem, a nawet biczem torując sobie drogę..

Skazańcy krzyczeli teraz niemal bez przerwy, ale głosy ich ginęły wśród wrzasków, śmiechów i gwizdów. Śmieszna^ bowiem była przemiana dostojników, zwykłych nosić głowy wysoko nad tłumem, strojnych w bławaty, futra i aksamity - w ubłocone do niepoznania i okrwawione łachmany ludzkie, usiłujące jeszcze niezdartymi ruchami poobdzieranych już niemal z mięsa rąk chronić przynajmniej głowy od uderzeń o wyboje i kamienie. Nim objechali Rynek, niejeden zaprzestał tych usiłowań. Zwiotczałe ręce wlokły się za nimi, jak strzepy, a głowy podskakiwały na nierównościach. Gdy jednak wjechali w Sławkowską ulicę, zlewa stała się tak silna, że tłum zaczął rzędnąć, a wstający wichur zagłuszył wrzawę i jęki katowanych.

Ruszyli szybciej, nim jednak dotarli na miejsce, gdzie zazwyczaj tracono skazańców u zbiegu drogi z Kleparza ze Śląskim gościńcem, deszcz ustał, tylko wichur wył, kołyszając pu-

~ 511 ~  
stymi jeszcze pętłami. Czarne chmury mknęły nisko, ale na zachodzie zabłysnął pas świetlny i rozszerzał się szybko.

Żaden ze skazańców nie wydolił o własnych siłach wyleźć na ławę, tedy pachołkowie podsadzali jednego po drugim, a wichur brał ich od razu w dziki taniec, aż skrzypiały belki. Przemokli do nitki oprawcy spieszyli się, gapie rozproszyli się szybko, bo wojenny rygor był w mieście i pod gardłem nie wolno było przebywać na ulicach po zachodzie słońca. Ukazała się właśnie jego czerwona tarcza w szczelinie chmur i zgasła.

Ostróżka kazał pachołkom zabrać konie i odejść. Zdziwieni byli, że sam zostaje i odeszli, szepcząc między sobą.

Zgaszonym wzrokiem patrzył Ostróżka na ofiary. W ociekających krwią i błotem łachmanach zaledwie można by poznać kształty ludzkie. Ostróżka stępałe oczy utkwiał w jaśniejszym pasie zachodniego nieba. Wiatr nacichał, aż ustał zupełnie. Ciała zawisły w bezruchu, a wygładzone kałuże odbijały gasnącą zorzę i czarne zarysy wisielców. Czasem jeszcze lekki powiew zmarszczył ich zwierciadła i wówczas drżenie zdało się przebiegać martwe postacie.

Noc już była głęboka, gdy Ostróżkę ocknął chlupot kroków po błocie. Wstał i zmarszczył czoło. Od strony miasta szła jakaś postać, niosąc na barku narzędzia. Pewnie zamierza pochować wisielcÓ^, Ostróżka dźwignął się. Gdy nadchodzący zbliżył się na kilka kroków, poznał Braciszka, który nic nie mówiąc usiadł na ławie. Ostróżce zdało się, że słyszy szept modlitwy.

- Za nich się modlisz? - mruknął gniewnie.
- Zawszy się człek za siebie modli - odparł od rzeczy.
- Skądś się wziął i po coś przyszedł?
- Do ciebie przyszedłem. Ciężko ci musi być.

Ostróżka wzdrygnął się, ale nic nie rzekł. Braciszek ciągnął:

- Uciekła ci pomsta?

Ostróżka spojrział ze zdziwieniem i wskazując najbliższego wisielca odparł:

- Przecie to on!

- Nic mu więcej nie zrobisz. A cóż gorszego, niż bezsilna nienawiść, co jako wąż, samą siebie pożera? Jeśli ci nie ulżyło, ~ 512 ~

to już i nie ulży. A gdybyś wyrzucił ją z siebie, prędzej byś zapomnieć potrafił.

Oczy Ostróżki załśniły w poblasku wyjaśnionego nieba.

Ukrył twarz w dłoniach i rzekł głucho:

- Nie wydolę zapomnieć. W uszach mi wierci jej skowyt, gdy płomień lizać ją zaczął... Uszedł mi ten wściekły pies z pastorałem w paszczy, co ją na stos skazał...

Zachłysnął się i wyjąkał:

- Tu jej prochy rozrzuć w błoto... by dziecko nie miało gdzie płakać matki...

9 Cisnął się na ziemię i tarzać jął, gryząc ręce. Braciszek przykląkł obok niego i gładził po głowie. Zaczął mówić cicho:

- Bóg ukarał księcia ciemności, w pychę go ugodziwszy.

Ostaw go Bogu. A choćbyś tu siedział, aż Jaśko zgnije i spadnie, a ptacy i psy rozwekają jego kości, nasycisz się zemstą? Cóż człeku za różnica w wieczności, czy imię jego i grób zaginie za dzień, czy za dziesięć wieków? Widziałem ci ja w Egipcie całe góry kamieni, które tamtejsi królowie abudować kazali, by groby swe na wieczność zabezpieczyć. Ani ich imion kto pomni, a chłopci wywlekają zasuszone ciała i palą razem z wielbłądzim gnojem, bo drewna na opał im brak.

Ostróżka leżał bez ruchu, jak martwy. Braciszek już nie przerywał milczenia.

Wiosenna noc uchodziła szybko. Jeszcze resztki poświaty stały na zachodnim niebie, gdy wschodnie już blednąc zaczynało, wróżąc pogodny dzień.

Ostróżka dźwignął się wreszcie i usiadł na ławie, skurczony i drżący. Chłód przedświtę przenikał jego ciało przez wilgotne szaty. Braciszek objął go ramieniem i siedzieli w milczeniu.

Gdzieś w Zaroślach zbudził się pierwszy ptak i zaćwierkał, za nim odezwały się inne, odcinając ciszę nocną od głosów budzącego się dnia. Braciszek ocknął się z zadumy:

- Ave Maria! Nowy dzień już. Odrzuć wczorajszy, jak żebrak brudną koszulę, gdy ci Bóg daje nową i czystą. Czyż nie lepiej człeku, gdy myśl jego lata wesoło i wysoko, jak skowronek, niż na szubienicy ją posadzić, jak kruka? Jaśkowi za jedno Wawelskie Wzgórze - 33

513

już. Ciało wycierpi swoje i cierpieć przestaje. Pogrzebniemy go, jak Chrystus przykazał, łacniej zapomnisz.

- Ja to mam uczynić? I księżę pod gardłem zabronił. Czyś oszalał? Uchodźć bym musiał.

- Cóż ci o księcia? Społem uczynimy i razem ujdziemy.

Świat szeroki i piękny, czym innym myśli zajmiesz. Zapomnisz.

Gdy Ostróżka nic nie odrzekł, Braciszek wziął się do kopa-



nia. Ostróżka patrzył przez chwilę, po czym i on ujął za łopatę:

- Tedy prędko trzeba zrobić, nim strażą przyjdzie.

Kopali w milczeniu. Gdy dół był gotowy, Ostróżka wstał na ławę i obciął sznur. Zesztywniałe zwłoki spadły i zwały się jak kłoda. Ułożyli je w dole i zasypywali pospiesznie, udeputując powstałą mogiłę, na którą padł pierwszy promień wschodzącego słońca. Jednocześnie na błękitnym niebie zaczęły stada ptactwa, ciągnącego na żer z wielkim krakaniem.

- Już się zwiedziały te diabelskie ptaszyska. Zda się, że ludzie jeno o to dbają, by im żeru nie zbrakło. Nie schudną o tę krzywę, cośmy im skradli. Pójdź!

- Chwilę jeszcze.

Ostróżka zwrócił się twarzą ku miastu. W przejrzystym powietrzu poranka, widne było jak na dłoni. Z wiosennej zieleni, przerywanej tu i ówdzie jasnymi zwierciadłami wody, wyłaniał się pierścień murów i częstokółów, sadzony kamieniami baszt; szczerbate linie domów znaczyły kierunek ulic, a nad nimi, jak lilie korony złociły się w słońcu strzeliste wieże kościołów. Daleko, na przeciwległym krańcu, zwarty na białej skale panował nad wszystkim Wawelski gród. Ostróżka powiedział cicho:

- Miłuję ci ja to miasto. Żal odejść.

- Ptak też miłuje swoje gniazdo, a odlatuje daleko. Odlatuje i wraca.

- Może i ja wrócę - szepnął Ostróżka,

Wskwarny już, niedzielny, czerwcowy dzień Radocha stał przed kościołem NMPanny nadęty tak, że zdało się, iż pęknie na nim rycerski pas, który wciąż poprawiał, chcąc widno zwrócić nań uwagę wychodzących z kościoła mieszczan. Od czasu do czasu ocierał pot z czoła, który skapywał spod futrzanej czapy, lub kręcił węża, rzucając zabójcze spojrzenia na białogłowy, a wyzywające na ich małżonków i narzeczonych. Niewiasty jednak unikały jego spojrzeń przez skromność, mężowie zaś zbyt świeżo nabrali dla rycerstwa szacunku przy zdobyciu miasta, by odpowiadać na zaczepkę.

Toteż Radosze wkrótce znudziła się zabawa i stanie w południowym słońcu, mimo że oświetlało całą jego świetność i chwałę. Przybrany był bowiem bogato w sukna i futra, jakkolwiek nie wszystko, co miał na sobie, zdało się być na niego sporządzone.

Rozwagał, czy pójść do szynku ochłodzić się piwem, czy pod bramę Floriańską, gdzie dziewczki wdzięczniej przyjmowały jego zaloty i można by zrzucić uroczystry strój. Rozmyślił się jednak: pić piwo samemu - żadna zabawa, a nie przystoi rycerzowi znajomić się z byle kim. Dziewki zaś wołały jego dawny pas, wyładowany srebrem. Trzeba się zaś ustatkować, bo nie prędko po raz wtóry Kraków zdobywać się będzie, a zbójceckie zyski skończyły się. Wracać na gospodę nie miał ochoty. Pizło, jedyny towarzysz, jaki mu pozostał, nie umie słuchać jego opowiadań. Zresztą nie dziwota; od wyrostków razem żyli i wspólne przygody były mu równie dobrze znane, jak Radosze. Ma w dodatku niemiły zwyczaj poprawiania najmniejszych odchyień od praw-

dy, bez których minione przygody dla samego Radochy były nudne, poprawiając zaś Radochowe opowiadania zaczynał się ponadto tak, że Radocha tracił wątek i chęć do gadania. Nie było zaś nic lepszego do roboty.

Tedy Radocha spostrzegłszy zmierzającego przez Rynek ku Grodzkiej ulicy koniuszego, uradowany jął się, roztrącając tłum, ku niemu przepychać. Niejeden zachnął się, ale zmilczał, z zachowania i stroju miarkując, że nie z byle kim sprawa.

Budziwój również zauważył Radochę, lecz jeno uśmiechnął się pod wąsem i szedł dalej, udając, że go nie poznaje. Dopiero „gdy Radocha zbliżywszy się zawołał go po imieniu, koniuszy odwrócił się i rzekł:

- Przyklęknąć chciałem, mniemając, że idzie ksiądz z Panem Bogiem, tak ostrogami dzwonicie. I poznać was trudno. Myślałby kto - wojewoda! Widzę tedy, że macie, czegoście chcieli, daj Boże szczęśliwie.

- Bóg zapłać za dobre słowo. Sprawiedliwie mi się należało, jeno że wojna skończona i cni mi się. Pizło dobry towarzysz w lesie, ale w mieście nicpotem. Kolanem każde słowo trzeba z niego dusić, a między ludzi wstydno go brać, bo zaraz poznać, że zbój. Chciałem i jego przybrać pięknie, ale jeszcze mnie wyśmiał, prawiąc, że mnie się nie zda na nic przybranie, bo i tak każdy uzna, com za jeden. Pożarliśmy się. Co było, to było, nie szlachetny rycerz jestem, co każdy po pasie i ostrogach snadnie pomiarkować może. Ostróżkę i Braciszka gdzieś biesi ponieśli, rycerza Krzycha nie masz, a do Kundzi wciąż się wybieram, jeno jakoś samemu brak śmiałości zapytać: udałem się jej, czy nie? Blizny na gębie prawie już nie znać - pokazywał szramę idącą przez policzek od oka i ginącą jak droga w lesie, w gęstwinie wąsów.

- Co tam blizna - odparł Budziwój. - Tyle, że wam z jednej strony wąs bardziej wisi. Za to prawić umiecie pięknie. Sam widziałem, jak Kundzia oka z was nie spuszczała, gdyście o Krzychu gadali.

Radocha pociągnął wąsa i mruknął:

^ 516 "w

- Właśnie! O Krzychu. A jak się pobierzemy, nie będę jej przecie o Krzychu prawić. I tak, zda mi się, za dużo o nim myśli.

- Jeżeli myśli, to nic z waszych zamierzeń. Pójdziemy do niej zapytać: wóz alibo przewóz. Po co głowić się? Nie strujecie się czarną polewką.

-. Wiadomo, że nie. Jeno chciałbych obabić się, by ród nie zaginął.

Radocha podkreślił wąs do góry, choć bezskutecznie i ruszyli raźniej, zmierzając ku Grodzkiej bramie. Że jednak było już z południa, Radocha poczuł głód i gdy wyszli z miasta, powiedział:

- Trzeba by się pożywić i gardło czymś zwilżyć. Pójdźwa do gospody Pod Bawołem. Może się i o Ostróżce coś wywiemy.

- Pójść możemy, ale o Ostróżce nie muszę się tam wywiadywać. Nieprędko będzie mógł w mieście się pokazać, bo ksiązę się na niego zbiesił, że co miał wykonania wyroku na rajcach

dopilnować, sam Hanusa pogrzebnał i uszedł. Ani chybi, że to sprawka Braciszka, bo on to zawsze gadał, że człek człeku nie winien posłuszeństwa, jeno Bogu, którego do każdego przez sumienie przemawia. Niechże tedy społem wędrują, takiego kraju szukając, gdzie każdy sumienia jeno słucha. Jeśli najdą, sam za nimi pójdę; a nie najdą, to i oni wrócą tu, gdzie pana słuchać trzeba. Dobrze, jeśli swojego, nie obcego. Może się tymczasem księciu żółć odstoi.

- Co prawita? Ani to do Ostróżki podobne, bo na zawziętego patrzył. Nie głupi chłop? Nie mówię, by pas dostał, aleć, jako słyszałem, wielce się przy zajęciu miasta zasłużył, a księżę dla takich nagrodami sypie.

- Jeno że Łokiet nie lubi, by mu w wąsy dmuchać, zaś Ostróżka dmuchał każdemu, na nic nie zważając. A służył swoim sprawom, które też nie były wesołe, miarkując z tego, co rzekł Hanusowi na sądzie... Bóg z nim.

Weszli do karczmy i zasiadłszy do posiłku mówili dalej o Ostróżce, bo Radocha nijak nie mógł zrozumieć, żeby tak swoje zasługi bez przyczyny przekreślić. Ale Budziwój powiedział:

517

- Zawždy tak b

^tet-2Ta: . "s^Tsy- -wnyprzecte

^ p^z^ . ^ • "v.-., ss""si? pies2-

°° . ^A-11^

• ^^5?^S^T

^wie. Lubiał .a ", 21ała' ze PO Powrocie od T 1 p kazał si(?)

^r52-'^^^^

-i " ;;• - • ••'... ,... " ,.. " .. ^

nemc ^•^^LAS^ ^ ^ ^ "

Znnetzała się ale B"rt • 'Wriii mnie. •

^^a,- ""^^^^e^e^o,^.

~ 518 ^

- Krzych wrócił z Melsztyna. Pół wożą grzywien Jaśko tititU nasypał za Spytkowe dziedzictwo. Nie ukrzywdził go.

- Co prawicie? - wtrąciła Kundzia zaskoczona. <- Przecie Krzych...

Urwała zmieszana i zarumieniła się. Budziwoj patrzył na nią z uśmiechem:

- To, co ty wiesz, wie i kasztelan... i wiedziała Hanna, zanim śluby złożyła.

- Nie mówcie - szepnęła Kundzia. - Wiedziała i śluby złożyła?

- Z czym innym przyszliśmy. Cóż tak na mnie patrzysz?

Wiedzieć chciałabyś, skąd mnie to wiadomo? Nie chciałaś ty mnie wyjawić swojej tajemnicy, nie wyjawię ja tobie swojej.

Ale my gadamy, a rycerz Radocha nawet nie wie o czym i język mu się zaparzyć gotów w taki upał. Lubi on prawić i pięknie prawi. Myślę, że rada posłuchasz raz jeszcze o onej bitwie z Krzyżaki, bo źle mu się pierwszy raz mówiło, gdy gębę miał nożem rozciętą.

Radocha zadowolony, że wreszcie zwrócono na niego uwagę,

prosić się nie dał i rozpoczął opowieść, a Kundzia słuchała zapatrzona w niego i zasluchana. Gdy skończył, Budziwoj zapytał:

- A jakoże się zwał on wielkolud, bo zabyłem?

- Mścigniew - odparł Radocha, nieco zdziwiony, że koniuszy nie pamięta, a jeszcze bardziej wrażeniem, jakie opowieść jego uczyniła na Kundzi. Dziewczyna krzyknęła i przybladła wyraźnie, a Budziwoj spojrzął na nią i rzekł:

- Rozumiesz teraz? To, co my wiemy, niechże już i pozostanie tajemnicą, skoro tak długo nią było.

Ale Radocha widząc, że znowu zaczynają mówić o czymś, Czego nie rozumiał, trącił nieznacznie Budziwoja i szepnął:

- Mielicie gadać w mojej sprawie.

Koniuszy uśmiechnął się pod wąsem i zaczął:

- Jest obyczaj, że gdy kto dziewczkę pojąć zamierza, choćby mowny był, jak sam ten oto rycerz Radocha, przecie życzliwego człeka uprasza, by jego imieniem zapytał, załoby go pojąć nie chciała. Sierotaś, niebożę, tedy nie ma kogo pytać, jeno ciebie  
^ 519 ^.

same], a jakowegoś opiekuna wybrać sobie musisz. Rad bym ja nim ostał, bo polubiłem cię i, jako miarkuję, nie byłabyś mi przeciwna, ale skoro się rzekło, tylko imieniem Radochy pytam: chcesz li go pojąć?  
^ \*•

Dziewczyna zaskoczona i zmieszana kręciła zapaskę, ale widząc, że koniuszy uśmiecha się kpiarsko, zrozumiała, że jeno Radosze odmowę chce osłodzić. Odparła tedy:

- Za samą chęć wdzięczna być muszę, okazaną sierocie bez rodu i wiana...

- Co tam! - przerwał Radocha. - Wiano mam swoje i ród będziem mieć swój, byś jeno chciała. A tak myślę, że pan koniuszy już na to za stary, tedy i wybór nietrudny.

- Prawda, że dziadkiem jej mógłbym być, a wy ino ojcem.

Ale nalegać nie przystoi, tym bardziej, że jako słyszałem i druh nasz, Krzych, o to samo zapytać zamierza. Tedy ninie pięknie się pożegnawszy, jutro zajdziem po odpowiedź. !

Wstał, uśmiechając się do dziewczyny, której twarz rumieniła się jak zorza zachodzącego już słońca. Chciała koniuszego w rękę pocałować, ale roześmiał się, mówiąc:

- Juści wiem, że ci do całowania, ale jak żywot długi, w gębę mnie dziewczki całowały i nie radem odmieniać; zaś rycerz Radocha mógłby mniemać, żeś mnie wybrała. Pójdźmy! Kundzia lśniącymi oczyma patrzyła za Budziwojem. Radocha szedł przy nim nachmurzony. Mruknął:

- Zda mi się, że jutro nie mamy po co przychodzić.

- Myślicie? Ale was niejedna jeszcze będzie chciała, tedy nie obwiesicie się z żalu. Ani ja też, choć mnie konie już jeno ostały, którym nie wadzi, za mam wiechy siwe. Ja zaś lubiłem" je od małości, tedy i do śmierci wierny im ostanę. Zaś najważniejsze lubić coś w życiu, zajedno nawet co.

K ONIBO

Kraków, lipiec 1950.